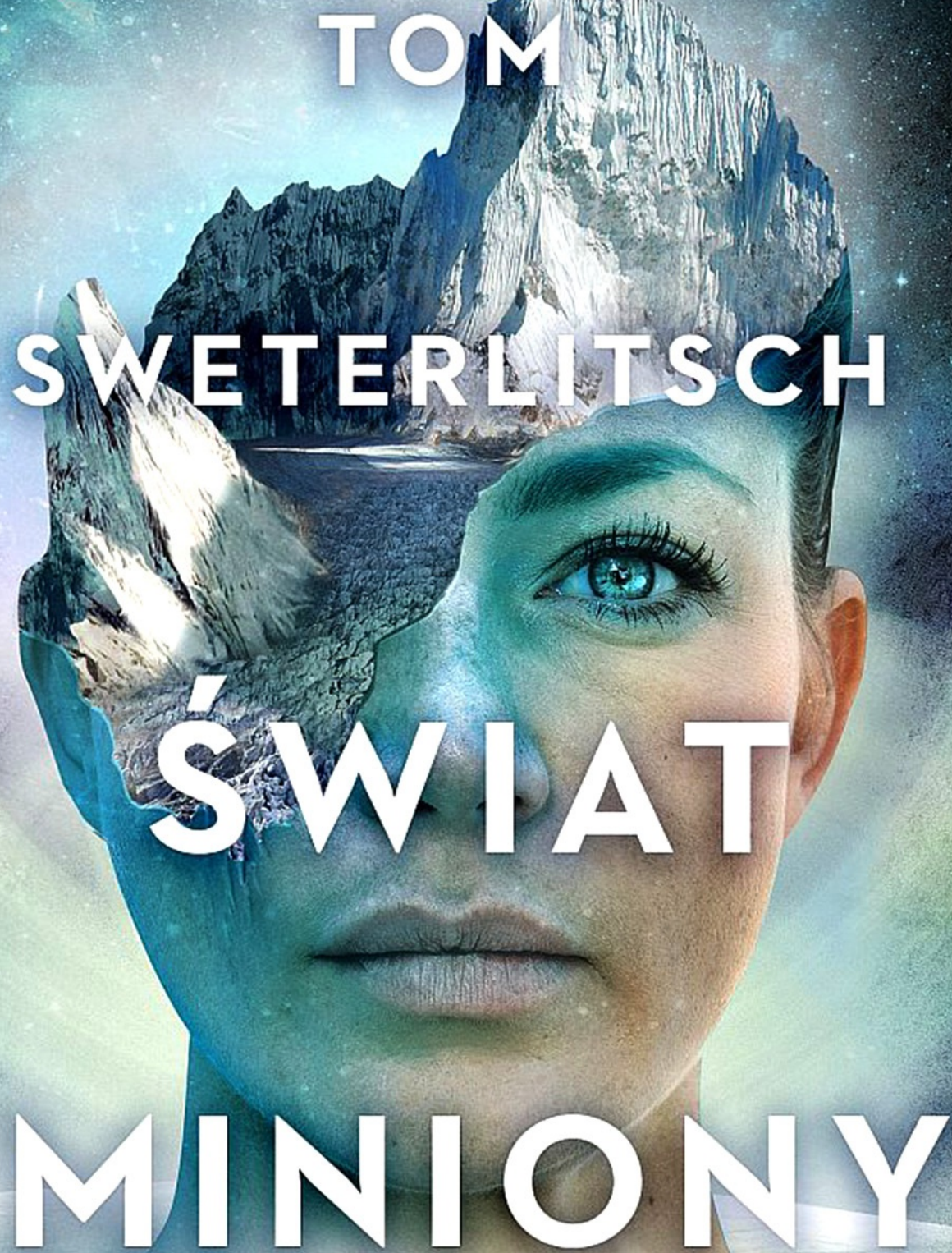


Błyskotliwe i niepokojące połączenie  
12 małp i Incepcji



TOM  
SWETERLITSCH  
ŚWIAT  
MINIONY



**TOM**  
**SWETERLITSCH**  
**ŚWIAT**  
**MINIONY**

Przełożył  
Miroslaw P. Jabłoński



Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału:  
*The Gone World*

Copyright © 2018 by Thomas Sweterlitsch  
All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form. This edition published by arrangement with **G.P. Putnam's Sons**, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Rychter

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Świat miniony*, wyd. I, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-690-4

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08  
fax: 61 867 37 74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

*Dla Sonji i Genevieve*

*Jak widzę, wzrok wasz sięga za granicę  
Zdarzeń dziejących się w obecnej porze,  
Lecz obecności zakryte wam lice...*

Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń X,  
w przekładzie Edwarda Porębowicza

Prolog

**2199**

Ostrzeżono ją, że ujrzy rzeczy, których jej umysł nie pojmie. W martwym lesie, w zimie, w niekończącej się nigdy zimie stały drzewa poczerniałe od ognia i pokryte lodem, kilka pni leżało przewróconych, zwęglone gałęzie tworzyły koronkowy wzór. Godzinami szła przez obszar martwych sosen, ale kombinezon kosmiczny zapewniał jej ciepło, cienki strój, który dawał swobodę ruchów pozwalającą posuwać się naprzód. Skafander był pomarańczowy, kolor dla kursantów, gdyż była to jej pierwsza wyprawa w daleką przyszłość Ziemi. Wszędzie, w każdym kierunku, w którym patrzyła, widziała zwarzone mrozem niebo i zaśnieżone podłoże zasłane krzyżującymi się pniami obalonych drzew. Nie było słońc – bladego dysku Słońca, jakie znała, oraz jaskrawego promieniowania fenomenu, który jej instruktor nazwał Białą Dziurą. Niegdyś to była Wirginia Zachodnia.

Odeszła daleko od bazy i martwiła się coraz bardziej, czy znajdzie drogę powrotną do quad-landera, żeby zdążyć na czas podjęcia. Dozymetr pokazywał poziom jej napromieniowania, kolorowa plama, która w ciągu ostatnich kilku godzin zmieniła barwę z jasnej zieleni do zieloności rzęsy wodnej. Została zainfekowana przez to miejsce, którego powietrze i glebę zanieczyszczały opary metalu, cząsteczki na tyle małe, żeby wnikać przez kombinezon do jej organizmu. KTN-y, nazwał je jej instruktor; kwantowo tunelowane nanocząsteczki, powiedział. Zapytała go, czy KTN-y są jak rój robotów, ale odparł, żeby myśleć o nich raczej jak o raku – zagnieżdżają się w mikrotubulach jej komórek, a kiedy znajdzie się ich tam wystarczająco dużo, będzie stracona. Nie chodzi o śmierć, rozwinął, niedokładnie; powiedział jej, że zobaczy, co KTN-y robią z ludzkim ciałem, ale że jej intuicja może odrzucić tę wizję, że może być pełna obrzydzenia i poczuć gwałtowną potrzebę „odwidzenia”.

Jedno ze spalonych drzew stało nadal, naga sosna okryta korą zbielełego popiołu, a kiedy minęła białe drzewo, krajobraz wokół niej się zmienił. Wciąż znajdowała się w lesie, ale drzewa nie były już spalone i przewrócone.

Teraz sosny rosły bujnie, zielone, chociaż obsypane śniegiem. Lód przygiął gałęzie odległych chojaków, niewyraźnych za kurtyną śniegu. Jak się tutaj znalazłam? Obejrzała się; żadnych śladów, nawet jej własnych. Zabłądziłam. Przepychała się między iglastymi gałęziami, wyczerpana brnięciem przez zasy. Minęła kolejne spalone drzewo, identyczne jak to, które widziała wcześniej, martwe, ze szkieletami spalonych gałęzi. A może to była ta sama sosna? Kręcę się w kółko, pomyślała. Przechodząc nad korzeniami i kamieniami, ześlizgując się po śniegu, starając się wypatrzeć coś znajomego, jakąś charakterystyczną cechę krajobrazu, przecisnęła się przez przerwę między drzewami i wyszła na polanę, na brzeg czarnej rzeki. Krzyknęła na widok ukrzyżowanej kobiety.

Ukrzyżowano ją do góry nogami, ale nie było krzyża; wisiała w powietrzu, unosząc się nad czarną wodą. Ogień płonął wokół jej nadgarstków i kostek nóg. Klatka piersiowa była rozciągnięta, wypukła, ciało skarłałe, wychudzone do stopnia zagłodzenia, nogi pokrywały czarne smugi gangreny. Twarz była sina, fioletowa kałużą napływającej do niej krwi, a włosy, jasnoblond, zwisały tak, że dotykały powierzchni wody. W ukrzyżowanej kobiecie rozpoznała samą siebie i osunęła się na kolana na brzegu czarnej rzeki.

Sztuczka KTN-ów, pomyślała. To było odrażające, ta niedorzeczność. Są we mnie, każą mi widzieć te rzeczy...

Ogarnęła ją panika na myśl, że KTN-y gromadzą się w jej komórkach, w mózgu, ale mimo to zrozumiała, że to nie jest halucynacja, że ukrzyżowana kobieta jest realna, równie rzeczywista jak ona sama, jak rzeka, lód i drzewa. Pomyślała, żeby ją odciąć, ale perspektywa dotknięcia wiszącej przerażała ją.

Jej dozymetr zmienił barwę z zielonej na musztardowożółtą, a ona ruszyła biegiem, aktywując sygnał podjęcia, próbując przypomnieć sobie położenie miejsca ewakuacji, ale las otaczający rzekę był obcy, a ona zagubiona. Potykając się w śniegu, zawróciła w stronę, z której przyszła, jak się jej zdawało, smagana przez lodowaty wiatr. Minęła kolejne białe drzewo, identyczne jak pozostałe; albo nie, to musiało być to samo... Spalona sosna o korze z białego popiołu. Żółć dozymetru pociemniała do barwy czerwonej gliny. Nie, nie, nie, pomyślała, biegnąc znowu, nurkując pod chwytającymi ją gałęziami. Dozymetr rozblęsnął jaskrawą czerwienią. Poczowała mdłości i upadła, przytłoczona ciężarem własnej krwi. Poczowała się między drzewami i przekonała się, że dotarła ponownie na polanę na brzegu



czarnej rzeki, w miejsce swojego ukrzyżowania, ale teraz widziała tam tysiące ciał wiszących do góry nogami wzdłuż biegu rzeki, nadzy mężczyźni i kobiety krzyczący w świetle dwóch słońc.

— Co się dzieje? – zapytała na głos, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Wzrok jej pomroczył, walczyła o oddech. Kiedy ujrzała na niebie błyski, pomyślała, że być może traci przytomność, ale to były światła jednego z quad-landerów, modułu o nazwie *Tezeusz*. Sygnał podjęcia, pomyślała, jestem uratowana. Quad-lander podskoczył kilka razy na polanie, zanim osiadł na lodzie.

— Tutaj – powiedziała słabym głosem. Próbowała krzyknąć: – Tutaj jestem.

Z włazu wygramolili się dwaj mężczyźni w kombinezonach kosmicznych oliwkowej barwy, noszonych przez członków marynarki, i widziała, że podchodzą do rzeki.

— Tutaj – powtórzyła, ale przybyli znajdowali się zbyt daleko, żeby ją usłyszeć.

Usiłowała wyczołgać się spoza linii drzew, chciała pobiec w stronę tamtych ludzi, ale była zbyt słaba, żeby się podnieść. Widziała, że mężczyźni brodzą w rzece zanurzeni po pas, ujrzała, że ściągają z powietrza ukrzyżowaną kobietę, biorą ją w kołyskę ramion. Owinęli ją w grube koce.

— Nie, jestem tutaj, tutaj – powiedziała, ale widziała, że wnoszą ukrzyżowaną, inne wcielenie jej samej, na pokład lądownika.

— Jestem tutaj – powtórzyła. – Proszę.

Jej dozymetr ściemniał do barwy błotnistego brązu; następny będzie śmiertelny odcień czerni. Zamknęła oczy i czekała.

Potężne szarpnięcie silników sprawiło, że odzyskała przytomność i poznała, gdzie się znajduje – w kapsule quad-landera, pojęła, mając nadgarstki i kostki nóg przywiązane do koi, a głowę i kark chronione przez wyścielany stabilizator. Była odrętwiała, miała dreszcze, a przykrywające ją koce były przytroczone w rogach. Przyśpieszenie związane ze startem zmalowało, poczuła nieważkość.

— Proszę – odezwała się. – Zawróćcie. Jestem tam na dole, wróćcie, proszę, nie zostawiajcie mnie...

— Wszystko w porządku, jesteś bezpieczna – zapewnił ją instruktor, lecąc przez kapsułę do jej posłania. Był mężczyzną dużo starszym od niej, o srebrzystych włosach, chociaż niebieskie oczy sprawiały wrażenie młodych. Kiedy sprawdzał jej puls, dłonie miał delikatne i miękkie. – Nadgarstki i kostki stóp będą cię mocno bolały – stwierdził. – Nie wiem, jak byłaś spętana, ale doznałaś oparzeń. Ucierpiałaś na skutek wychłodzenia, masz rozległe odmrożenia. Hipotermia.

— Macie niewłaściwe ciało – powiedziała, przypominając sobie, że w jakiś sposób widziała samą siebie w pomarańczowym kombinezonie kursantki czołgającą się wzdłuż linii drzew. – Musisz mi uwierzyć. Wciąż jestem tam na dole. Proszę, nie zostawiajcie mnie...

— Nie, jesteś z powrotem na *Tezeuszu* – odparł instruktor. – Znaleźliśmy cię w lesie.

Miał na sobie niebieskie spodenki gimnastyczne, białe podkolanówki oraz szary T-shirt NCIS<sup>1</sup>.

— Jesteś zdezorientowana – dodał. – KTN-y mieszają ci w głowie. Masz je we krwi. Ich stężenie w twoim organizmie osiągnęło niebezpieczny poziom.

— Nie rozumiem – odparła, usiłując sobie przypomnieć, ale umysł miała ociężały. – Co mam w sobie? Nie wiem, co to są KTN-y.

Zęby jej dzwoniły, ciało drżało. Przenikliwy ból torturował kończyny, jasne strzały nerwobólów, ale palce rąk i nóg miała zdrętwiałe. Przypomniła sobie, że pozbyła się kombinezonu kosmicznego przy rzece, zrzuciła ubranie. Pamiętała lód palący jej barki, powodujący bąble. Pamiętała ogień na nadgarstkach i kostkach nóg. Pamiętała, że godzinami wisiała do góry nogami nad płynącą czarną wodą, całymi dniami może. Modliła się o śmierć, kiedy ujrzała samą siebie wyłaniającą się spoza sosen.

— Nie rozumiem – powiedziała, płacząc z bólu.

— W tej chwili naszym głównym zmartwieniem są hipotermia i odmrożenia – stwierdził instruktor, podlatując bliżej jej stóp i odwijając róg pledu, żeby sprawdzić jej stan. – Och, Shannon – westchnął. – Och...

Uniosła głowę i zobaczyła, że stopy ma fioletowoczarne i spuchnięte, a wokół łuszczy się żółtawa skóra.

— Boże, nie. Och, Boże, nie – powiedziała i w stanie szoku wydało się jej, że te stopy należą do kogoś innego, że są cudze, nie jej. Ktoś włożył

między palce kawałki gazy. Po lewej nodze wspinały się fioletowe smugi. Instruktor potarł jej stopy wilgotną myjką, ale nie czuła wody, nawet kiedy jej bąble, wyciśnięte z materiału, spłynęły po palcach i odleciały, wirując w powietrzu niczym szklane paciorki.

— Twój umysł ucierpiał, pamięć mogła zostać zaburzona skutkiem wychłodzenia – powiedział. – Porucznik Stillwell i mat Alexis uratowali cię i ustabilizowali twój stan. Nie jesteś już tam, jesteś tutaj. Jesteś teraz bezpieczna.

— Nie wiem, kim są tamci ludzie – odparła.

Nazwiska nic jej nie mówiły. Quad-landera pilotował porucznik Ruddiker wraz z matem Lee; o ile wiedziała, nie istniał żaden Stillwell. Wypukły iluminator ujmował w ramę Ziemię, odległą teraz, marmurowo białą, pełną mgieł i lodu. Rozmyślała o swoim ciele, które umierało na dole w dziczy, nadal w kombinezonie kosmicznym, ale widziała, że jej skafander jest zamknięty w jednej z szafek kapsuły, jaskrawopomarańczowy, jak kurtka myśliwska. Co się ze mną dzieje, do diabła? Chociaż nadgarstki i kostki nóg spowijały bandaże pachnące maścią, czuła, że skóra ją piecze, jak polewana kwasem.

— To boli – poskarżyła się. – Bardzo boli.

— Zawiadomiliśmy lekarzy, że cię wieziemy – poinformował ją instruktor. – Są gotowi zająć się tobą, gdy tylko zadokujemy do statku.

— Co... co to było, tam na dole? Co mi się stało? – zapytała. – Wisiałam. Wszyscy oni...

— Widziałaś ukrzyżowanych ludzi wiszących wzdłuż rzeki – odparł. – Też ich widywałem podczas wielokrotnych podróży, kiedy badałem Terminusa. Nazywamy ich „wisielcami”. Krzyżują ich KTN-y. Ukrzyżowały cię.

— Powiedziałeś, że mam je we krwi. Pozbądźcie się ich, wydobądźcie je ze mnie...

— Shannon, przechodziłem przez to, nie da się ich pozbyć. Mówiliśmy o tym na szkoleniu. Sądziłem, że jesteś gotowa. Ostrzegałem cię przed nimi.

— Nie, nigdy tego nie zrobiłeś – zaprzeczyła, wysilając się, żeby się skupić pomimo bólu, rwącego pieczenia nadgarstków. Jej wspomnienia były zagmatwane, splątane... Pamiętała, że podróżowała do Głębokiego Czasu na USS *Williamie McKinleyu*, do roku 2199, albo do jednej z nieskończonych możliwości roku 2199, na odległość niemal dwustu lat. Kiedy tam przybyli,

nad Ziemią wisiła blada radiacja, lśniąc niczym drugie słońce; cała załoga była zdumiona. Nikt nie wiedział, czym było to blade lśnienie. Nikt jej nie ostrzegł przed KTN-ami ani nie poinformował o wisielcach. – Mówiłeś, że zabierasz mnie do domu, to wszystko, co kiedykolwiek powiedziałeś.

— Shannon – odezwał się bezradnie instruktor. Ponownie przetarł myjką jej stopy. – Nie wiem, co powiedzieć. Hipotermia... może powodować amnezję. Możliwe, że kiedy dojdiesz do siebie...

— Spotkanie z *Williamem McKinleyem*. Przygotować się do dokowania – rozległo się z głośnika.

Nie poznała tego głosu. Pamiętała gnającą pod nią czarną wodę. Spojrzała ponownie na swoje stopy. Prawa odzyskała nieco naturalnych barw, ale palce lewej były nadal czarne, a linie ciągnące się w górę nogi pociemniały. Na ten widok poczuła mdłości.

— Czym one są? Czym są KTN-y? Co jest w moim organizmie? – zapytała, walcząc z oszołomieniem. – Mam gdzieś, że ci się wydaje, że już to przerabialiśmy.

— Nie wiemy, skąd przybyły ani czego chcą – odparł instruktor. – Może nie chcą niczego. Kwantowo tunelowane nanocząsteczki. Uważamy, że pochodzą z innego wymiaru, że przeszły przez Białą Dziurę, to drugie słońce, które widziałaś. Kiedyś, w naszej przyszłości. Powodują zdarzenie, które nazywamy Terminusem.

— Ukrzyżowania.

— Chwila, w której ludzkość przestaje się liczyć – powiedział instruktor. – Nikt nie zostaje przy życiu. W każdym razie nie w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Istnieją wisielcy, ale są także uciekinierzy. Miliony uciekających wielkimi grupami, póki ich ciała nie ulegną dezintegracji albo nie rzucą się do oceanu, żeby utonąć. Niektórzy kopią doły i kładą się na dnie. Inni stoją z twarzami uniesionymi do nieba, a ich usta wypełnia płynne srebro. Tworzą ludzkie łańcuchy na plażach i wykonują to, co nazywamy kalisteniką.

— Dlaczego?

— Nie wiemy, dlaczego ani w jakim celu. Może cel nie istnieje.

— Ale to jest jedynie pewna wersja przyszłości – stwierdziła, wyobrażając sobie, że KTN-y w swojej krwi odczuwa jak pasożyty. – To tylko jedna z nieskończonych możliwości. Istnieją więc inne możliwości, inne przyszłości. Terminus nie musi nastąpić.

— Terminus kładzie się cieniem na przyszłości naszego gatunku – odparł jej instruktor. – Wszystkie linie czasowe, które odwiedziliśmy, kończą się Terminusem. On się przybliża. Na początku oceniliśmy to zdarzenie na rok 2666, ale następni podróżnicy, którzy go doświadczyli, stwierdzili, że przesunął się do roku 2456. A potem jeszcze bliżej, do 2121. Widzisz, Terminus jest jak spadające na nas ostrze gilotyny. Nasza marynarka i jej flota otrzymały zadanie znalezienia drogi wyjścia z tego cienia, a naszym powołaniem jest wspierać marynarkę. Wszystko, czego cię nauczę, wszystko, co ujrzysz, ma na celu pomóc naszemu gatunkowi uniknąć Terminusa. Musimy znaleźć drogę wyjścia z cienia.

— Co jeszcze zobaczę?

— Kres wszystkiego.

---

1. NCIS – Naval Criminal Investigative Service, Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej. [\[wróć\]](#)



Część pierwsza

**1997**

# 1

Słucham?

— Agentka specjalna Shannon Moss?

Nie poznawała głosu mężczyzny, chociaż przeciąganie samogłosek było znajome. Wychował się tutaj, w Wirginii Zachodniej, albo na wiejskich terenach Pensylwanii.

— Mówi Moss – potwierdziła.

— Zabito rodzinę. – Głos zadrżał. – Dyspozytor policji hrabstwa Waszyngton odebrał zgłoszenie nieco po północy. Zaginęła dziewczyna.

Druga nad ranem, ale wiadomość była jak lodowata kąpiel. Shannon była teraz w pełni rozbudzona.

— Z kim rozmawiam?

— Agent specjalny Philip Nestor – odparł rozmówca. – FBI.

Włączyła nocną lampkę. Ściany sypialni pokrywała kremowa tapeta ze wzorem w winorośl i chabrowe róże. Śledziła wzrokiem kontury, zastanawiając się.

— Skąd moje zaangażowanie? – zapytała.

— Jak rozumiem, szef naszego oddziału terenowego skontaktował się z kwaterą główną, a oni polecili cię włączyć – odparł Nestor. – Potrzebują pomocy NCIS. Naszym podejrzanym jest członek Navy SEAL.

— Gdzie?

— W Canonsburgu, przy Cricketwood Court, przecznicy z Hunter's Creek – powiedział.

— Hunting Creek.

Znała Hunting Creek, Cricketwood Court – przy tej ulicy mieszkała Courtney Gimm, jej najlepsza przyjaciółka z młodości. Twarz Courtney wypłynęła z pamięci Moss niczym kra wynurzająca się wody.

— Z iloma ofiarami mamy do czynienia?

— Potrójne zabójstwo – odparł Nestor. – Jest źle. Nigdy dotąd...

— Powoli.

— Widziałem kiedyś dzieci potrącone przez pociąg, ale nigdy czegoś podobnego – stwierdził.

— Dobra – powiedziała Shannon. – Mówiłeś, że zgłoszenie nastąpiło po północy?

— Nieco później – rzekł Nestor. – Sąsiadka usłyszała tumult i wezwała w końcu policję...

— Ktoś z nią rozmawia?

— Jeden z naszych ludzi jest teraz u niej.

— Dotrę tam za trochę ponad godzinę.

Zebrała się w sobie, żeby złapać równowagę, zanim spróbowała wstać – jej prawa noga była nadal szczupłą kończyną sportswomenki, ale lewa kończyła się w połowie uda stożkowatym kikutem, którego mięśnie i ciało były zwinięte jak ciasto. Straciła nogę całe lata temu, kiedy została ukrzyżowana w trakcie głębokiej zimy Terminusa – amputacja w połowie uda, chirurg marynarki odciął część, w którą wdała się gangrena. Kiedy wstała, sterczała na jednej nodze jak długonogi ptak brodzący, kołysząc się na opuszkach palców w celu utrzymania równowagi. Kule były w zasięgu ręki; kule firmy Lofstrand stały oparte w przerwie między łóżkiem a stolikiem nocnym. Wsunęła przedramiona w objęmy i chwyciła rączki, po czym ruszyła przez sypialnię zawaloną ubraniami, czasopismami, płytami CD, pustymi pudełkami po płytach – bałagan grożący poślizgnięciem się, przed czym przestrzegał ją terapeuta.

Cricketwood Court...

Na myśl o powrocie tam Shannon przeniknął dreszcz. Ona i Courtney były jak siostry w gimnazjum, w pierwszej klasie ogólniaka; bliżej niż siostry, były nierozłączne. Wspomnienia Moss o Courtney stanowiły najmiłszą kwintesencję okresów letnich z dzieciństwa: niekończących się dni spędzanych nad basenem, kolejek górskich w Kennywood, dzielenia się papierosami nad Chartiers Creek. Courtney zginęła, gdy były w drugiej klasie

liceum, zamordowana na parkingu dla kilku dolarów, które miała w torebce.

Headline News w odbiorniku w sypialni, kiedy się ubierała. Zaaplikowała antyperspirant na szczątkową kończynę, potem umieściła na końcu kikuta poliuretanową wkładkę, rozwinęła ją i podciągnęła jak nylonową pończochę. Wygładziła gumowy rękaw, pozbywając się bąbli powietrza, które mogły się tam zebrać. Proteza to był prototyp, Ottobock C-leg; skomputeryzowany, zaprojektowany pierwotnie dla rannych żołnierzy. Moss wsunęła nogę w gniazdo i wstała, a objętość jej uda wycisnęła powietrze z węglowego kołnierza, uszczelniając próżniowo protezę. C-leg sprawiła, że poczuła się, jakby jej szkielet został odsłonięty – stalowe podudzie zamiast goleni. Włożyła spodnie i bluzkę w perłowym kolorze. Przypięła kaburę z bronią służbową. Narzuciła zamszową kurtkę. Ostatni rzut oka na telewizor: Dolly kryła się w pełnej siana zagrodzie. Clinton ogłaszał świeżo podpisaną ustawę zakazującą klonowania ludzi, klipy promujące *NBA on NBC*, Jordan kontra Ewing.

Cricketwood Court była ślepą uliczką, światła ostrzegawcze rozbłyskiwały na trawnikach i ścianach szeregowych domów. Kwadrans po trzeciej nad ranem, sąsiedzi wiedzieli, że coś się dzieje, ale mogli jeszcze nie wiedzieć co; jeśli zerkali przez okna, widzieli nagromadzenie jednostek policyjnych, samochody z biura szeryfa i posterunku w Canonsburgu, krążowniki policji stanowej; dochodzenie w splątanej sieci kompetencji do czasu przybycia agentów federalnych. Sprawy prowadzone przez Moss dotyczyły przeważnie przestępstw popełnionych przez marynarzy z Dowództwa Marynarki Kosmicznej przebywających w domu na przepustkach po powrocie z Głębokich Wód, z tajnych misji w Głębokiej Przestrzeni i Głębokim Czasie. Barowe bójkki, przemoc domowa, narkotyki, zabójstwa. Zajmowała się sprawami dotyczącymi żołnierzy DMK, którzy się załamali i zatłukli na śmierć swoje żony czy dziewczyny; tragiczne zdarzenia wywołane tym, że niektórzy nie wytrzymywali oglądania grozy Terminusa czy światel obcych słońc. Zastanowiła się, co tutaj znajdzie. Nieopodal stała zaparkowana furgonetka koronera. Silniki karetek i wozów strażackich pracowały na wolnych obrotach. Mobilne laboratorium kryminalistyczne FBI przejechało przez pobocze i wtoczyło się na trawnik przed domem jej dawnej przyjaciółki.

Jezu Chryste...

Dom, który Moss pamiętała z dzieciństwa, był jakby nałożony na ten stojący, jak odtwarzane jednocześnie dwa filmy, jako wspomnienie i miejsce zbrodni. Rodzina Courtney wyprowadziła się stąd dawno temu i Moss nie sądziła nigdy, że jeszcze kiedykolwiek postawi nogę w domu przyjaciółki, zwłaszcza w takich okolicznościach. Jednopiętrowy segment na końcu szeregu domów, inne ustawione w ordynku jak lustrzane odbicia, każdy z podjazdem, malutkim garażem, ganek każdego oświetlony jedną latarnią, fasady identyczne wzdłuż całej ulicy, cegła nakryta białym winylem. Zdawało się, że dorastając, Shannon spędzała tutaj więcej czasu niż we własnym domu, nadal pamiętała dawny numer telefonu Gimmów. Oleiste wrażenie jednej rzeczywistości przesączającej się w drugą, niczym żółtko wylewające się przez pęknięcie w skorupce jajka. Pociągnęła łyk kawy z termosu i potarła oczy, jakby chciała się obudzić, przekonać samą siebie, że ta koincydencja domów jest prawdą, że jej nie wyśniła. Zbieg okoliczności, powiedziała sobie. W ogródku od frontu rósł niegdyś kwitnący dereń, który został ścięty dawno temu.

Moss zatrzymała swojego pick-upa przed blokadą szeryfa, a do jej okna podszedł zastępca, brzuchacz w średnim wieku i z chaplinowskim wąsikiem, co byłoby zabawne, gdyby nie znużenie w jego oczach. Chciał kazać jej zawrócić, ale opuściła szybę i pokazała swoją legitymację.

— Co to takiego?

— Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej – odpowiedziała przyzwyczajona do rozszyfrowywania skrótu swojej agencji. – Agentka federalna. Interesują nas ewentualne związki z wojskiem. Jest źle?

— Mój kumpel był wcześniej w środku i powiedział, że to najgorsze, co widział w życiu, po prostu najgorsze, kurwa – odparł zastępca szeryfa; oddech miał kwaśny od kawy. – Mówi, że niewiele z nich zostało.

— Są już dziennikarze?

— Jeszcze nie. Powiedziano nam, że furgonetki agencji informacyjnych są w drodze z Pittsburgha. Nie sądzę, żeby wiedzieli, co zastaną. Poza tym spokój. Proszę przejechać.

Taśma policyjna oddzielała trawnik i podjazd; biegła od słupa latarni i zakręcała wokół balustrady z kutego żelaza na ganku. Kilku techników kryminalistycznych zbiło się w gromadkę w pobliżu garażu; przerwa na papierosa. Obserwowali zbliżanie się Moss bez oznak zwyczajowego



szowinizmu czy bezpośrednich spojrzeń, z jakimi spotykała się niekiedy na miejscach zbrodni; zerkając dzisiejszej nocy w jej stronę, mieli nawiedzone oczy, jakby współczuli jej z powodu tego, co będzie musiała znieść.

Wejście było zasłonięte plastikową płachtą, ale odór z domu zaatakował ją, gdy tylko zanurkowała pod tą kurtyną: mdły zapach krwi, świeżego gnicia oraz gówna zmieszany ze smrodem środków chemicznych używanych przez techników, zestawu do pobierania próbek i etanolu. Zapachy wsiąkły w nią, czuła metaliczny posmak krwi, jej ślina stała się natychmiast miedziana w smaku, jakby Mossssała jednocentówki. Kryminaliści w kombinezonach ochronnych tłoczyli się w przedpokoju zajęci zabezpieczaniem dowodów, robieniem zdjęć. Przed ujrzeniem nowego miejsca zbrodni Shannon ogarniała na moment nerwowa antycypacja; kiedy jednak skręciła za róg i zobaczyła, z czym ma do czynienia, cała jej nerwowość ulotniła się, zastąpiona przez nagłą, pełen smutku przymus jak najszybszego poskładania z powrotem połamanych kawałków.

Na podłodze leżeli chłopiec i kobieta o zmasakrowanych twarzach, miazga mózgow, krwi i odłamków kości. Na zwłokach chłopca flanelowe spodnie, sportowa bluza jako góra od pizamy; miał dziesięć, jedenaście lat, uznała Moss. Koszula nocna kobiety była przesiąknięta krwią, gołe nogi zsiniały, gdzie odbarwiła je bladość. Oboje opróżnili jelita, podłoga była mokra od gówna i stojącej krwi, która zebrała się na wykładzinie w postaci nieregularnych strumyków. Fetor pozbawił Shannon oddechu. Ten odór ich poniża, pomyślała, ich człowieczeństwo upodlone za sprawą smrodu kloaki i bezkształtności.

Moss poznała dawno temu technikę dysocjacyjną polegającą na przyglądaniu się ciałom przez różne soczewki, na jak największym oddzieleniu okaleczeń od osób, którymi ofiary niegdyś były – patrzyła na kolegów przez obiektyw człowieczeństwa, a na zwłoki przez pryzmat technik śledczych. Shannon potraktowała trupy przedmiotowo. Cios, który zabił kobietę, był jednym z dwóch uderzeń w jej głowę, w lewą kość jarzmową albo ciemieniową po tej samej stronie. Lewa źrenica rozlała się do wielkości sporego, czarnego spodka. Moss zauważyła, że chłopcu zerwano wszystkie paznokcie. Wyglądało na to, że także u palców stóp. Przyjrzała się kobiecie i przekonała się, że jej również usunięto paznokcie. Ktoś – bez wątpienia mężczyzna – zabił tych ludzi, po czym ukląkł w kałuży krwi, żeby pozbawić ich paznokci. Czy też zrobił to, zanim ich zamordował? Dlaczego to uczynił?

Jeden z techników rozciągał nici od plam krwi na ścianach i na suficie, tworząc siatkę, która wyznaczała ognisko rozprysku – wyglądało na to, że ofiary klęczały podczas ataku czy też egzekucji. Pokój, w którym umarły, był nijaki, niegustowny, nie przypominał ani trochę wnętrza, które Moss niegdyś znała, wygodnego, przestronnego salonu w domu jej najlepszej przyjaciółki. Teraz był beżowy, z reflektorkami na szynach. Gołe ściany, żadnych obrazów, żadnych fotografii; pomieszczenie wyglądało, jakby nikt w nim nie mieszkał, jak nieruchomość przygotowana na sprzedaż.

— Shannon Moss?

Jeden z ludzi w kombinezonach ochronnych przerwał pracę. Zaczerwienione oczy, niemal szkarłatne, ciemna cera pobladła, pod nosem maść VapoRub rozsmarowana w dwóch szarych smugach.

— Agentka specjalna, Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej – powiedziała Moss.

Przeszedł przez pokój po podstopnicach ze stali nierdzewnej, z których technicy korzystają jak z kamieni w rzece, żeby nie zadeptywać śladów krwi. Żuł gumę.

— Agent specjalny William Brock, dowodzę tutaj. Porozmawiajmy.

Brock poprowadził ją przez wąską kuchnię, w której zgromadzeni tam ludzie nie mieli już na sobie kombinezonów ochronnych, ich koszule i krawaty były wymięte po całych godzinach pracy, a twarze wymizerowane z niewyspania. Brock zaś wyglądał na niez mordowanego, jakby szarżował agresywnie, póki morderca nie zostanie schwytany. Zły, niemal patrzący wilkiem, kiedy prowadził Moss, jakby osobiście obrażony przez to, co się tutaj stało. Miał słuszną posturę, jego baryton brzmiał donośnie w pomieszczeniu wypełnionym stłumionymi głosami.

— Tędy, prosto do tego małego pokoiku – powiedział, odsuwając cienkie harmonijkowe drzwi pomieszczenia odchodzącego od kuchni.

Resztę domu zmodernizowano bezdusznie przez lata, ale ta dziupła pozostała niezmienną, najwyraźniej nietkniętą od czasu, gdy Moss widziała ją ostatni raz. Efekt wytrącił ją z równowagi, jakby to małe wnętrze zostało zapomniane, kiedy czas przemijał. Drewnopodobne panele, jaskrawa lampa spowijająca pokój bursztynowym blaskiem. Nawet biurko z płyty wiórowej i szafki na dokumenty były podobnymi, jeśli nie tymi samymi elementami wyposażenia. Courtney znalazła kiedyś schowany w szafce plik listów, które pisali jej rodzice, kiedy się rozwodzili. Dziewczęta usiadły na frontowym

ganku i czytały je sobie wzajemnie na głos – Shannon uderzyło, jak szczere, niemal dziecinne mogą być listy do żony pisane przez dorosłego mężczyznę, nieróżniące się niczym od licealnych liścików o zerwaniu; najmniejszej różnicy, pomyślała. Nic się nie zmienia. Serce się nie starzeje.

— Mamy zdjęcia ofiar? – zapytała. – Jakież współczesne? Nie wiadomo, jak wyglądali.

— Mamy kilka albumów – odparł Brock. – Pokwitowania z fotomatu i negatywy. Przekażemy ci je po wywołaniu. Miałaś okazję obejrzyć całe miejsce zbrodni? Piętro?

— Będę musiała tam pójść – stwierdziła Moss.

Brock zasunął harmonijkowe drzwi.

— Muszę z tobą pogadać, wyjaśnić kilka spraw – powiedział, siadając za biurkiem z płyty wiórowej. – Zastępca dyrektora FBI zatelefonował w środku nocy i wyciągnął mnie z łóżka. Zwykle nie ma takiego zwyczaju. Powiedział mi, że w Canonsburgu doszło do przestępstwa, które podlega władzom federalnym, kazał odizolować to miejsce.

— Ale to nie wszystko – poddała Moss.

Brock się wyszczerzył; miał to być uśmiech, przełamanie lodów, ale przypominało grymas bólu. Przykleił gumę do zucia do srebrnego papierka i zastąpił ją nowym czarnym paskiem. Jego oddech przyniósł woń lukrecji. Shannon zauważyła ślady zębów na jego długopisie, być może rzucił palenie, pomyślała, albo próbuje to zrobić. Tuż po czterdziestce, tak między czterdziestką a pięćdziesiątką, muskularny, bywalec siłowni, uznała. Wyobraziła go sobie sparującego, boksera. Wyobraziła go sobie przebiegającego całe kilometry na ruchomej bieżni w pustych salach do ćwiczeń.

— Staram się zrozumieć, co mi powiedział zastępca dyrektora – rzekł Brock. – Ogarnąć to, co tutaj zastaliśmy. Wprowadził mnie krótko w sprawę Programu Specjalnego Dostępu, zwanego Głębokimi Wodami. – Wypowiedział te słowa niczym magiczną formułę, w oczach przemknął mu cień strachu. – Tajny program marynarki wojennej. Powiedział, że nasz główny podejrzany, Patrick Mursult, członek SEAL, jest powiązany z programem Głębokie Wody podległym Dowództwu Marynarki Kosmicznej. Poleciał mi włączyć do śledztwa Shannon Moss.

Zaledwie kilka godzin temu przed tym mężczyzną otworzył się zakres możliwego świata, pomyślała Moss, obserwując, jak Brock usiłuje uwierzyć

w niewiarygodne. Został wprowadzony w tajniki Głębokich Wód, ale ile mu powierzono? Shannon pamiętała pierwszy odrealniony widok słońca błyszczącego w przestrzeni na kadłubach floty DMK, jak brylanty rozsypane na czarnym aksamicie, podniosłość, której doświadczyło niewielu ludzi. Wyobraziła sobie, jak Brock odbiera w domu telefon, wyobraziła go sobie siedzącego na brzegu łóżka i słuchającego swojego przełożonego, który opisywał mu to, co musiało brzmieć jak cuda.

— Mursult był... kimś w rodzaju astronauty – ciągnął Brock, a jego szczęki żuły lukrecję. – Głęboka Przestrzeń... Wiem, co to jest głęboka przestrzeń, rozumiem, że bywamy w Układzie Słonecznym dalej, niż się o tym informuje, ale nie pojmuję, w jaki sposób. Piana kwantowa...

Zatem powiedziano mu o Głębokiej Przestrzeni, ale nie o Głębokim Czasie, pomyślała Moss. Dowództwo Marynarki Kosmicznej miało oficjalne oblicze, było zaangażowane w Gwiezdne Wojny za czasów prezydentury Reagana, miało w budżecie Departamentu Obrony pozycję równą nakładom na Dowództwo Sił Kosmicznych i NASA, ale większość jego operacji była ściśle strzeżonymi tajemnicami. Shannon poleciała w Głęboką Przestrzeń, ale także w Głęboki Czas, podróżowała do różnych wersji przyszłości nie tylko po to, żeby zobaczyć Terminusa, ale także w związku z prowadzonymi przez siebie dochodzeniami kryminalnymi. Te przyszłości były nazywane NTP, wymawiane jak „nie te” – niedopuszczalne trajektorie przyszłości. „Niedopuszczalne”, ponieważ przyszłość była zmienna; wersje przyszłości, do których podróżowało DMK, były jedynie możliwościami rozgałęziającymi się z warunków teraźniejszości. Moss nie wolno było wykorzystywać dowodów zebranych w przyszłości, żeby przedstawić sprawę oskarżeniu w teraźniejszości, gdyż przyszłość, której była świadkiem, mogła się nigdy nie zdarzyć.

— Myśl o mnie jak o zasobie – powiedziała Shannon. – Dlatego tu jestem, dlatego poproszono cię, żebyś mnie wezwał. Mój wydział zajmuje się przestępstwami związanymi z programem Głębokich Wód.

— Nie wiem, w co mam wierzyć – przyznał się Brock. – Nie wiem, w co mam wierzyć odnośnie do Patricka Mursulta, na temat programu tajnych operacji... Wszystko to brzmi... Nie wiem, ile z tego rozumiem.

— Mamy zaginioną dziewczynę – rzekła Moss. – To nasz priorytet.

Przypomnienie o zaginionej nastolatce sprawiło, że się skupił; myślał o jakimś działaniu.

— Marian Mursult – powiedział głośno. – Siedemnastolatka...

— Marian – powtórzyła Shannon. – Znajdziemy ją. Zaczniemy od razu.

— Miejscowi byli tutaj pierwsi – poinformował ją Brock; wszelka mgła niedowierzania rozproszyła się już. – Ustalili natychmiast, że interesującą nas osobą jest Patrick Mursult, zrozumieli, że to on zabił swoją rodzinę. Kiedy policjanci z Canonsburga znaleźli dokumenty, z których wynikało, że Mursult jest marynarzem, zadzwonili do centrum rezerwistów, żeby informować na bieżąco marynarkę. Potwierdzili jego tożsamość, służył w marynarce podczas wojny w Wietnamie, musiał być dzieciakiem.

— Czego jeszcze się dowiedziałeś?

— Twój przełożony przesłał mi na temat Mursulta faks z Narodowego Archiwum Personelu Wojskowego w St. Louis – kontynuował Brock. – Ogólne informacje o nim, streszczenia. Navy SEAL pod koniec lat siedemdziesiątych. Służył w Dowództwie Marynarki Kosmicznej na początku lat osiemdziesiątych. Mat pierwszej klasy, ale jego akta urywają się w 1983 roku. Okazuje się, że facet zniknął z radarów, wszystko na nazwisko żony. Oficjalny status: zaginiony w akcji.

Moss pomyślała: Marynarz, żyjący w cieniu, zaginiony w akcji marynarz DMK. Żołnierz zaginiony w Głębokich Wodach to tragedia, ale uznany za zaginionego marynarz, żyjący w ukryciu, który pojawia się w ten sposób, stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

— Musimy go natychmiast odnaleźć.

— Możemy dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego o tym facecie?  
– zapytał Brock.

— Będę współpracowała z moim dyrektorem, ale NCIS jest cywilnym organem – odparła Moss. – Mam certyfikat dostępu do ściśle tajnych informacji, tak jak i ty, ale dane na temat programu Głębokie Wody są udostępniane według potrzeb chwili i stopnia poufności. Możemy działać wyłącznie na podstawie tego, co powie nam marynarka.

Brock wypluł gumę do żucia do opakowania i pstryknięciem posłał pakiet do kosza na śmieci.

— Skupmy się na tym, co już wiemy – zaproponował. – Sprawca obudził swoje ofiary, zebrał je w salonie, po czym zaatakował.

— Czym? – zapytała Moss.

— Toporem – odparł Brock.

Wyobraziła sobie klęczących kobietę i chłopca, mlaszczący cios,



uniesienie siekiery przed kolejnym zamachem. Unicestwienie rodziny równie proste jak rąbanie drewna.

— Jakiś powód, żeby wątpić, że uczynił to Patrick Mursult? – zapytała.

— Żadnego – powiedział Brock. – Ale mógł mieć współnika. Sąsiadka, która wezwała policję, wspomniała o jego przyjacielu, facecie jeżdżącym czerwonym pick-upem z rejestracją z Wirginii Zachodniej. Koncentrujemy się na tym pojeździe, próbujemy znaleźć jego właściciela. Opisała go jako kłopotliwego, zawsze blokował jej podjazd. Półciężarówka z nalepkami na zderzakach. Rozejrzyjmy się na górze.

Moss wyszła za Brockiem z pokoiku. Zanurkował pod taśmą policyjną, powiódł ją na górę, wspinaczka, jaką odbywała niezliczoną ilość razy, idąc za Courtney, której pokój był pierwszy po prawej. Poręcz ze skręconego metalu, znajome wrażenie, że obraca się jej w dłoni. Wchodziła teraz po schodach na wpół świadomie, ruch jej protezy niezbyt płynny, mechaniczny. Brock przystanął na ostatnim stopniu, przyglądając się wspinaczce Moss, zdawał się ją obserwować, niemal gotów złapać, gdyby miała polecieć do tyłu albo się przewrócić. Shannon miała po dziurki w nosie tych niezręcznych chwil, kiedy ludzie się orientowali, że pracują z osobą po amputacji, i próbowali wykombinować, jak ją mają traktować.

— Co zaszło na górze? – zapytała.

— Jessica, jego siedmioletnia córka, uciekła przed początkową napaścią – wyjaśnił Brock. – Wbiegła tutaj.

Pokój Courtney. Brock oparł dłoń na gałce drzwi.

— Mam dwie córki – powiedział. – Dwie piękne córki...

Otworzył drzwi i wpuścił Moss do środka; powrót do tego pokoju był jak wpełzanie z powrotem do kokonu. Pamiętała malowanie tych ścian na kolor różu o nazwie „guma do żucia” w czasie wakacji po szóstej klasie, odsączanie wałka na pochyłej tacce, Courtney krzyczącą za każdym razem, kiedy na jej czarne loki spadała paćka farby z sufitu. Pamiętała wydmuchiwanie papierosowego dymu przez żaluzję okienną w upalne lato, AC/DC na talerzu gramofonu, *Powerage*, aż płyta była tak zdarta, że nie odtwarzało się nic więcej poza kilkoma pierwszymi sekundami *What's Next to the Moon*. Pokój był obecnie w kolorze lawendy, z białą komodą i piętrowym łóżkiem – córki Mursultów musiały go dzielić. Zeppelin i Van Halen zostali zastąpieni przez DiCaprio, *Romeo i Julia*, ale pomieszczenie wydawało się takie samo. Ciało Jessiki Mursult znaleziono w rogu, tam gdzie

dawniej stało łóżko Courtney. Koszula nocna małej była w strzępach, na plecach ziała głęboka rana, jak rozdziawione usta między łopatkami odartymi ze skóry.

Biedna dziewczynka. Biedna dziewczynka...

— Dobrze się czujesz? – zapytał Brock.

— Gdzie są ich paznokcie? – Shannon odpowiedziała pytaniem, wzrok miała rozmyty, ale zauważyła, że na palcach dłoni i stóp dziecka także brak paznokci.

— Zbladłaś – stwierdził. – Chcesz usiąść?

— Nic mi nie jest...

Zachwiała się, Brock podtrzymał ją, opierając dłoń na jej plecach.

— Dziękuję – powiedziała, chociaż nadal była oderwana od rzeczywistości. Poczła przelotne zażenowanie. Weź się w garść, pomyślała. – Jestem... Nie wiem, co jest nie tak – dodała. – Przepraszam.

Brock wyprowadził ją na korytarz.

— Posłuchaj – odezwał się, zamykając za nimi drzwi pokoju. – Każdemu trudno znieść podobny widok, zwłaszcza jeśli się do tego nie przywykło. Nie ma sprawy, jeśli jest ci trochę słabo.

— Muszę ci coś powiedzieć – rzekła. – To jest... Trochę mi trudno dzisiejszej nocy, to jest niesamowite. Znam ten dom.

— Mów dalej.

— Dorastałam tutaj – powiedziała. – Praktycznie mieszkałam w tym domu jako dziecko. Mieszkała tutaj moja najlepsza przyjaciółka. Courtney. Nazywała się Courtney Gimm. To był jej pokój. Spędziłam w nim mnóstwo czasu. Dokładnie tam stało jej łóżko.

— Bez jaj.

— Wytrąciło mnie to z równowagi, ale nic mi nie jest – zapewniła go Moss. – Kiedy zadzwonił Nestor i powiedział, że do zbrodni doszło przy Cricketwood Court...

Oparła się o ścianę; dotykając jej, czuła się tak, jakby mogła zedrzeć ten współczesny świat i ujrzeć ponownie swoją przyjaciółkę, być nadal jej przyjaciółką, jakby czas w ogóle nie upłynął, jakby mogła wejść do dawnej sypialni, do minionego świata. Samozaciskowych bransoletek, plastikowych butów, kolorowych obrączek na aparacie ortodontycznym Courtney.

— Bawiłyśmy się w lesie za tymi domami – powiedziała Shannon. – Paliłyśmy tam papierosy.

Opalanie się w fotelach ogrodowych, dzielenie się piwem. Ojciec Courtney pracował na nocną zmianę, miały więc dom wyłącznie dla siebie, bo jej matka mieszkała w Pittsburghu ze swoim chłopakiem. Gandzia w niektóre wieczory, gdy Courtney udało się ją zdobyć, ale przeważnie siedziały po prostu do późna, oglądając telewizję, następnego dnia w szkole miały zaczerwienione oczy. W niektóre noce imprezowały z innymi dziewczynami na boisku. W inne z chłopakami. W niektóre wieczory Courtney, Shannon oraz chłopaki, których poderwały w centrum handlowym, upalali się, pili i migdalili, nic poważnego, tylko pieszczoty, pocałunki i robienie dobrze ręką kończące się późno w nocy zapachem mydła i spermy.

— Chryste, straciłam dziewictwo w pokoju na końcu tego korytarza – odezwała się. Brat Courtney, Davy Gimm; widziała jego twarz tak wyraźnie, jakby była z nim zaledwie wczoraj. On w klasie maturalnej, ona w pierwszej, kiedy chwycił w garść jej włosy i pocałował ją, wsunął dłoń pod jej bluzkę, rozpiął sobie dzinsy i położył jej ręce na sobie. Twardniejącym w jej dłoniach. Uczucie jego ciężaru na niej, jego wciskania się w nią. – Przepraszam, nie powinnam była tego mówić.

— Chodźmy zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedział Brock. – Dasz radę zejść po schodach?

— Poradzę sobie – odparła. – Zejdę za chwilę.

Pierwszą noc z Davym Gimmem spędziła w małej sypialni na końcu korytarza, w pomieszczeniu przypominającym bardziej składzik czy pokój dziecięcy niż właściwą trzecią sypialnię. Pamiętała noże, które Davy kupił na pchlim targu, plakat z Christie Brinkley ze „Sports Illustrated”. Leżeli na skrzypiącym podwójnym łóżku, czuła jego niecierpliwe palce gmerające pod jej elastycznymi szortami, wilgotny oddech na karku. Pamiętała dźwięki, które wydawał przez sen, gdy leżała rozbudzona, a blask księżyca skradał się po modelce prezentującej kostiumy kąpielowe.

Zanim otworzyła drzwi dawnej sypialni Davy’ego Gimma, Moss odczekała, aż usłyszy z dołu głos Brocka – wejście do tego pokoju było jak wkroczenie w kosmos, gromady gwiazd i konstelacje zodiakalne wybuchały z nieskończonej ciemności. Pstryknęła włącznik światła, częściowo licząc może, że zobaczy plakat z Christie w kostiumie kąpielowym i kolekcję noży, ale zamiast tego ujrzała pokój małego chłopca, o ścianach upstrzonych naklejkami gwiazd, które świeciły w ciemnościach. Głupie; pożałowała tego, co powiedziała Brockowi, rozumiejąc, że powinna była trzymać buzię na

kłódkę, że nie powinna w ogóle mówić nic o tym domu. Brak profesjonalizmu, chwila słabości. Widziała pokój nie taki, jaki był wcześniej, ale taki, jaki jest teraz – pokój zamordowanego dziecka.

Znalazła Brocka na dole. Trawniki przy Cricketwood Court srebrzył szron, jego kwiaty rozpościerały się na przednich szybach zaparkowanych samochodów. W sąsiednim segmencie na piętrze zaświeciło się światło.

— Gdzie w tym czasie była Marian? – zapytała. – Czy ktoś ją widział?

— Wszyscy sąsiedzi ją znają, ale nie było jej tutaj – odparł Brock. – Od piątku. Dzwonimy teraz po nocy do członków rodziny i przyjaciół, próbując ją odnaleźć.

— Wspomniałeś, że Mursult ma kumpla jeżdżącego czerwoną półciężarówką – powiedziała Moss. – Ktoś zna tego faceta?

— Nikt – rzekł Brock. – Sąsiedzi zauważyli to auto, bo często parkował je na ulicy, ale Mursult i jego kompan trzymali się na uboczu.

— Sądzę, że powinniśmy posunąć się dalej i rozpowszechnić komunikat o zaginięciu dziewczyny.

— Może się znaleźć – stwierdził Brock. – Może być w domu przyjaciółki. Sprawdzamy wszędzie.

Alarmowy system powiadamiania o zaginionych był nowością, przypomniała sobie Shannon, nie tak powszechną, jak kiedyś się stanie.

— To nam pomoże – powiedziała. – Ktoś mógł ją widzieć.

Brock spojrzął na podświetlaną tarczę swojego zegarka.

— Moss, twoje biuro znajduje się w SISK, zgadza się? – spytał.

SISK to Służby Informacyjne Sądownictwa Kryminalnego, ośrodek nerwowy FBI, niedawno ukończony kampus, krystaliczna osobliwość stojąca wśród wzgórz na pustkowiach Wirginii Zachodniej nieopodal Clarksburga. Budynek należał do FBI, ale wobec braku obiektów marynarki wojennej czy piechoty morskiej w tym rejonie umieszczono tam siedzibę Kryminalnego Biura Śledczego Marynarki Wojennej.

— Mieszkasz tam? – zapytał. – W pobliżu Clarksburga?

— Zgadza się.

— Moja żona, Rashonda, pracuje w SISK, w laboratorium daktyloskopii. Może wpadłyście na siebie.

— Jesteś mężem Rashondy Brock? – zdziwiła się Moss. W biurach SISK pracowało kilka tysięcy ludzi, ale Rashonda Brock, jako zastępczyni asystenta dyrektora Wydziału Laboratoriów, była dobrze znana. Gabinet

Shannon znajdował się w pobliżu przedszkola ośrodka, więc chociaż nie poznała osobiście żony Brocka, to w większość poranków widziała Rashondę, która w nawałnicy objęć i pocałunków zostawiała tam dwie córki. – Wydaje mi się, że widziałam jakieś malunki waszych dzieci – powiedziała. – Brianna i Jasmine, prawda? Fioletowe dinozaury...

— Barney – potwierdził Brock, uśmiechając się i chichocząc. – Wszystko jest dinozaurem Barneyem, ściany pokoju Brianny są nim upstrzone.

Moss zrozumiała, jak to jest, że Rashonda może pasować do Brocka; pulchna, wysoka, zawsze promienna kobieta musiała doznawać ciepłego uczucia satysfakcji za każdym razem, kiedy rozśmieszyła swojego poważnego męża.

— Przyjechałaś więc z okolic Clarksburga? To ile stąd, godzina jazdy, półtorej? – zapytał, wyławiając z kieszeni marynarki kopertę z kartą magnetyczną do drzwi. Podał ją Shannon. – Wynajęliśmy w pobliżu kompleks pokoi, nie wracaj dzisiaj w nocy do Clarksburga. Z samego rana będziesz musiała znowu być tutaj.

— Dobrze, przenocuję – powiedziała, oceniając zmianę w zachowaniu Brocka. Złagodniał, odkąd zauważył jej protezę i od wspomnienia o żonie.

— Głębokie Wody – rzekł, patrząc w niebo, chociaż pokrywa chmur uniemożliwiała dojrzenie gwiazd. – W dzieciństwie marzyłem o zostaniu astronautą. Dziadkowie zabrali mnie na przylądek Canaveral, żebym się przyjrzał startowi rakiety. To był najpiękniejszy widok do narodzin moich córek.

Moss widziała mknące o świcie błyski ognia, rakiety wznoszące się i znikające z pola widzenia.

— To zawsze jest piękne, za każdym razem – stwierdziła.

— Prześpij się – powiedział Brock. – Mój zespół będzie nadal pracował w nocy. Spotkanie na temat postępów, ze wszystkimi zaangażowanymi, o dziewiątej rano, a potem konferencja prasowa.

Kiedy odjeżdżała z Cricketwood Court, z Hunting Creek, pragnienie oddalenia się od tego domu czuła jak pieczenie barków i pleców. Hotel zarezerwowany przez Brocka to był Best Western, znajdujący się bliżej Waszyngtonu w Pensylwanii, ale przed wjazdem na

siedemdziesiątkędziewiątkę zrobiła pętlę na parkingu Pizza Hut, który graniczył z Chartiers Creek. Tutaj została zamordowana Courtney, w listopadzie, w drugiej klasie liceum. Pizza Hut wyglądała tak samo jak zawsze, niezmienną od czasu, kiedy Moss była tutaj, ceglany budynek z półkolistym blaszanym dachem, z tyłu dwa kontenery na śmieci, niebieskie w świetle reflektorów jej auta. Zwłoki Courtney pozostawiono między tymi pojemnikami. Moss policzyła godziny; niemal trzydzieści trzy od czasu, gdy ostatni raz widziano Marian Mursult. Shannon pojechała do hotelu, rozmyślając o swojej martwej przyjaciółce, myśląc o zaginionej dziewczynie. O paznokciach zerwanych z palców dłoni i stóp zabitych. Czy Patrick Mursult zamordował swoją rodzinę? Gdzie był teraz?

Moss trzymała w bagażniku podręczną torbę z dwiema zmianami ubrań i kosmetyczką, będąc w każdej chwili gotowa do wyjazdu. Rozebrała się w pokoju hotelowym, odjęła protezę, usunęła wkładkę; wilgotny podmuch, ostra woń potu rozbudziły ją na moment. Wzięcie prysznicą było trudne z powodu braku uchwytów dla niepełnosprawnych, ale kiedy woda zrobiła się ciepła, usiadła na krawędzi wanny, przerzuciła nogę ponad jej brzegiem, a potem ześlizgnęła się po emaliowanym wnętrzu i usiadła na macie antypoślizgowej. Lała się na nią gorąca woda. Umyła włosy, zużywając cały hotelowy szampon, starając się zmyć z siebie zapach rozkładu i krwi. Pozbawiona kul i wózka, przemieściła się, skacząc po wykładzinie, po czym wślizgnęła się pod świeżo wyprasowaną pościel i otuliła kołdrą. Przy opuszczonych żaluzjach i wyłączonym świetle pokój był cudownie ciemny. Zimny. Obróciła się, chciała zasnąć, ale ujrzała ciała kobiet i dzieci przedstawione w postaci wielkich krwawych łuków i rozkwitających ran. Pomyślała o Marian – nadal żywej, proszę, niech będzie żywa – ale nie wiedziała, jak dziewczyna wygląda, więc jej wyobraźnię wypełniła podobizna Courtney Gimm, a jej myśli pognały ku ostrzom siekier kruszących kości oraz ku ranom, które się rozwierały niczym usta. Spocona, rzucała się na materacu, zaplątana w pościel; w pokoju unosiła się cierpka woń jej wkładki protetycznej. Usiadła i pomacała ręką po ciemku w poszukiwaniu pilota. Wszystkie lokalne stacje donosiły o zamordowaniu rodziny w hrabstwie Waszyngton, na przedmieściach Canonsburga. Moss przymknęła oczy, gdyż raził ją jaśniejący coraz bardziej ekran telewizora – ujęcia sąsiednich dachów z lotu ptaka, film z blokady szeryfa, jego zastępca z chaplinowskim wąsikiem podciągał spodnie przy kozłach zapór.

Pierwsze doniesienie o zaginionej zostało nadane przed piątą rano. Marian Tricia Mursult. Lat siedemnaście, zamieszkała w Canonsburgu w Pensylwanii. Na zdjęciu opalona, piegowata, w obciętych dzinsach i podkoszulce na ramiączkach, o włosach prostych, czarnych jak węgiel. Shannon zatchnęło na widok podobieństwa między zaginioną dziewczyną a jej przyjaciółką, obie zwyczajnie piękne, o długich, ciemnych włosach. Moss była wyszkolona do podróży w czasie, przyzwyczajona do przeżywania przyszłych zdarzeń, jakby rozgrywały się na terra firma teraźniejszości, ale to déjà vu było czymś innym, jakby przyłapała świat na powtarzaniu się – dom, dziewczęta – jakby zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć, mechaniczną powtórkę cyklicznego czasu. A może podobieństwo dziewczyn było czymś dużo rzadszym, czymś jak druga szansa? Straciła Courtney, ale nadal mogła ocalić Marian. Shannon rozluźniła się w łóżku, pocieszyła tym, że ludzie będą szukali dziewczyny, że być może ktoś już ją widział, mógł wiedzieć, gdzie przebywa, bezpieczna, bezpieczna, ale kiedy zasypiała, mając przed sobą zaledwie kilka godzin snu, Moss niemal czuła, że ciało dziewczyny stygnie.

## 2

**A**patyczna po śmierci Courtney, Shannon była nieśmiałą szesnastolatką. Gimmowie poprosili ją, żeby towarzyszyła im podczas ceremonii w domu pogrzebowym, wyczerpujący koszmar, niezręczność, jaką było stanie obok Davy’ego przed kolejką żałobników i witanie gości, Courtney liliowobiała w pośmiertnym makijażu, wystawiona w aproksymacji snu. Courtney zawsze powtarzała, że chce być pochowana w dżinsach, ale ubrano ją w sukienkę z gniecionej aksamitu, z wysokim koronkowym kołnierzykiem niezbędnym do ukrycia tego, czego nie mógł zamaskować makijaż, rany na szyi. Kompletna nieruchomość zwłok, tak nienaturalnie sztywnych, że Shannon spodziewała się niemal, że jej przyjaciółka usiadzie, żeby się choć trochę poruszyć lub odetchnąć.

Wychodząc z domu pogrzebowego, Shannon wyobrażała sobie, że umarła jakaś wersja jej samej, która zostanie pochowana wraz z Courtney. Była przygnębiona, wyalienowana, niezainteresowana nową wersją siebie, tą, która przeżyła. Mieszkała tylko z matką; ojciec opuścił je, gdy miała pięć lat. W dość przyjacielskich stosunkach z matką, której jednak nigdy nie było w domu; była albo w pracy, albo u McGrogana podczas happy hours, które przeciągały się w długie noce picia. Moss dorastała skryta, wycofując się każdego wieczoru do swojego pokoju z rosnącą kolekcją płyt: The Misfits, The Clash, The Sex Pistols, Black Sabbath, albumy punkowe, które wybierała z pudeł winyli w sklepach z CD; po prostu leżała na łóżku ze słuchawkami na uszach, w ciemności, zagubiona w pejzażach dźwięku.



Całkowicie zmarnowane lata, te ostatnie w ogólniaku – pijana od Jacka Daniel'sa z wiśniową coca-colą lub jakiegokolwiek innego alkoholu, który ktoś przemycił na parking w porze lunchu. Nieobecna we własnej skórze niemal wyleciała ze szkoły, ale tylko niemal, gotowa siedzieć po prostu w domu, gdyby musiała, gotowa pracować w tej samej firmie telemarketingowej, w której pracowała jej matka, ale jej trener zauważył to, pociągnął za pewne sznurki i zapewnił Moss częściowe stypendium na Uniwersytecie Wirginii Zachodniej.

Trzy lata po tym, jak straciła Courtney, Shannon została wezwana, żeby zeznawać przeciwko zabójcy przyjaciółki. Siedziała w sądzie hrabstwa Waszyngton, mając na sobie robocze ciuchy matki, i odpowiadała na pytania dotyczące nocy, kiedy umarła Courtney; rodzice przyjaciółki słuchali jej zeznań, matka Courtney chlipała, zabójca Courtney słuchał beznamiętnie. Moss nie wypierała się nigdy swojego braku empatii wobec człowieka – ćpuna, menela – który zamordował jej najlepszą przyjaciółkę. Pragnęła jego śmierci, okropnej, albo dożywocia bez możliwości zwolnienia, jakiejś zemsty. Jakiejś sprawiedliwości. Wyrok poznała dopiero później, zabójca dostał dożywocie z możliwością wyjścia po dwudziestu ośmiu latach, ale to wydawało się niewystarczające. Jej wściekłość, że ten człowiek będzie żył i może wyjść kiedyś na wolność, przebiła się przez dławiącą ją mgłę smutku. Pierwszy semestr drugiego roku studiów, pijackie weekendy i dziesięciodolarowe działki narkotyków ustąpiły miejsca pracy okresowej. Wybrała kierunek studiów, kryminologię i dochodzeniówkę, i załatwiła sobie staż w biurze koronera hrabstwa Waszyngton odpowiadający wymogom jej kursu.

Z początku onieśmielona praktyką, ale biuro lekarza sądowego stanowiło przyjemne miejsce na spędzenie popołudnia, kobiety były wdzięczne za pomoc i skore do psucia jej, gawędziły z nią o antykoncepcji i muzyce, podczas gdy ona pełzała na czworakach, porządkując ich szafki na akta. Doktor Radowski, koroner, witał ją każdego ranka, ale utrzymywał przyjacielski dystans – alkoholik, powiedziały jej urzędniczki, homoseksualista, co było powszechnie wiadome – i chociaż jego twarz bywała niekiedy lśniąca i zaczerwieniona, kiedy wracał z przedłużonych lunchów, to był niezmiennie uprzejmy. Część jej współlokatorek przerażało to, czym się zajmowała, czuły mdłości na myśl o zwłokach, ale Moss dostosowywała bez wahania swoje zajęcia na uczelni do godzin stażu

i przekonała się, że w każdy czwartek wyczekuje dwunastej dwadzieścia, kiedy pojedzie swoim bananowożółtym pontakiem sunbird siedemdziesiątkądziewiątką do Waszyngtonu, żeby zdążyć na pierwszą do biura koronera.

Zdenerwowana, ale nie przestraszona, kiedy Radowski pozwolił jej pierwszy raz asystować podczas sekcji, ubrana w laboratoryjny kitel, okulary ochronne i rękawiczki, niczym dziecko bawiące się w naukowca, stała zaledwie metr od patologa przygotowującego zwłoki sześćdziesięcioczworoletniej kobiety, którą znaleziono dopiero po telefonie sąsiadów skarżących się na smród z mieszkania obok. Moss ogarnął pierwszy powiew woni ludzkiego rozkładu, lepko-słodki, gryzący fetor, ale ciekawość zmusiła ją do wzniesienia się ponad obrzydzenie. Procedura była niekiedy chirurgiczna, cięcia skalpelem i dysekcja, albo nieoczekiwanie brutalna, kiedy Radowski posługiwał się sekatorem, żeby przeciąć klatkę piersiową, lub rozcinał czaszkę piłą przemysłową, która z przenikliwym piskiem zasypywała pomieszczenie pyłem. Asystent Radowskiego płukał w zlewie wnętrzności kobiety, lejąc wodę na naręcza jelit i napełniając pomieszczenie smrodem odchodów; ten sam asystent rzucił dowcip, kiedy znalazł w żołądku denatki częściowo strawione twinkies: „Przetrwałyby wieczność”.

Radowski pozwolił Shannon potrzymać serce zmarłej. Dzierżyła je ostrożnie w stulonych dłoniach, bardziej jak ptaka ze złamanym skrzydłem niż martwy mięsień. Zdumiona jego wagą, tym, o ile serce było cięższe od jej wyobrażeń na ten temat. Żeby dotrzeć do niego, Radowski potrzebował skalpela do rozcięcia worka okołosercowego w klatce piersiowej trupa, osierdzia, z którego płyn surowiczny rozlał się na płytę ze stali nierdzewnej i wyłożoną płytkami podłogę.

— Połóż je tam, żebym mógł je zważyć.

Moss zrobiła, co jej kazał, kładąc serce na ociekaczu, żeby je osuszyć.

— Popatrz tutaj – powiedział Radowski jakiś czas później, podtykając jej pod oczy jeden z narządów. – Patrzysz na to, co stanowi przyczynę śmierci. Wątroba. Zauważ ciemnofioletową barwę, strukturę niczym zmiażdżony węgiel drzewny. Zdrowa wątroba wygląda jak połec mięsa, który mogłabyś kupić w supermarkecie, różowawa i gładka. To jest marskość. Denatka zapiła się na śmierć.

Śmierć jest niedzieloną z nikim intymnością, myślała czasami Shannon, znajdując spokój w naukowej atmosferze kostnicy. Śmierć i strata jej bliskimi

towarzyszkami, przyjaciółka nie żyła, a ojciec odszedł. Pokaz autopsji pomógł jej zamknąć doświadczenia ze śmiertelnością – śmierć mogła nadal stanowić tajemnicę, ale kompletność życia ludzkiego mogła zostać podsumowana w teczkach na akta, w postaci miar i wag.

Akademiki znajdowały się w Morgantown, ale podczas letnich wakacji wynajmowała górny poziom w bliźniaku w Dormont, skąd dojeżdżała do centrum Pittsburgha, żeby dorobić. Jedna z dziesiątek sekretarek w Buchanan Ingersoll, biurze prawniczym w USX Tower; jej biurko zagraczały kanciasty monitor komputerowy i elektryczna maszyna do pisania, a stalowy regał za jej plecami był szarym morzem posegregowanych alfabetycznie teczek. Nosiła się modnie, gdy miała dwadzieścia jeden lat – wojskowe kurtki z ozdobnymi epoletami, duże złote kolczyki, lśniąca czerwona szminka i tipsy w panterkę. Starsze kobiety nazywały ją Madonną; być może był to komplement. Codziennie rano godzina w łazience i kilka wizyt w damskiej toalecie w trakcie popołudnia, żeby natapirować włosy i spryskać je lakierem, nadać puszystość nastroszonym lokom końskiego ogona zebranego frotką. W przerwach na papierosa współpracownicy odsuwali się od niej w obawie, że jej głowa może stanąć w płomieniach.

Podręczniki kryminologii i medycyny sądowej w czasie lunchów jedzonych na Market Square. Kubełek z woskowanego kartonu ze smażonymi ostrygami i frytkami po południu; podszedł do niej mężczyzna w sportowej kurtce i krawacie w popularny turecki wzór. Zajął miejsce naprzeciwko, nie zwracając sobie głowy pytaniem, czy może się przysiąść. Przewrócił okładkę jej książki, *Wstęp do kryminologii: teorie, metody i zachowania przestępcze*, wydanie II.

— Dowiedziałaś się, dlaczego ludzie robią to, co robią? – zapytał.

Przyzwyczajona do biznesmenów i prawników z Grant Street, którzy wkręcali się w jej towarzystwo, którzy uważali, że sekretarki z centrum istnieją tylko dla ich przyjemności, zachowywała się lekceważąco, póki nieznamy nie pokazał swojej odznaki, Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej, o którym nigdy nie słyszała. Nawet wtedy pomyślała najpierw o tym, że coś się stało jej matce podczas jednej z popijaw.

— Werbujemy najlepszych i najinteligentniejszych – oświadczył.

Moss zastanowiła się, co to ma z nią wspólnego.

— Dobra – odparła. – I?

Przedstawił się jako agent specjalny O'Connor.

— Jedna z twoich wykładowczyń zaproponowała cię jako ewentualną kandydatkę do federalnych organów ścigania – wyjaśnił. – Jest pod wrażeniem twoich osiągnięć.

— W porządku – powiedziała Shannon, zastanawiając się teraz, która z wykładowczyń i czy to jakaś podpucha. – Ma pan jakieś ulotki reklamowe czy coś takiego?

— Przewiduję cię do konkretnego wydziału – odparł O’Connor. – Chciałem poznać cię osobiście, zanim przedstawię ci propozycję. Nie rekrutuję zwykle w ten sposób, ale mam już powód, żeby uważać, że staniesz się znakomitą agentką. Niemniej muszę być tego pewny, zanim cię zwerbuję.

Może to wkręt marketingowy – rozpowszechnienie jej nazwiska i adresu, żeby ją potem bombardować niechcianymi reklamami pocztowymi i telefonami od akwizytorów. W każdej chwili może poprosić ją o dwadzieścia dolców, żeby „zapewnić jej miejsce w programie”, albo o datek.

— Moje akta nie mogą się panu wydawać aż takie dobre – powiedziała, starając się sprawdzić blef faceta. – Niewiele brakowało, żebym nie zrobiła matury.

— Twoja przeszłość odgrywa pewną rolę. Interesuje mnie odzyskana przez ciebie koncentracja, twoje obecne zaangażowanie. Niektórzy marnieją w ogólniaku, a rozkwitają na studiach, to mi odpowiada. Nie chcę błyskotliwych dzieciaków, które się wypalą w kilka lat. Czytałem twoją pracę na temat obowiązku bronięcia praw najsłabszych przez silne społeczeństwo, przy czym ofiary brutalnych przestępstw są tu najbardziej bezbronne. Przepisałaś to skądś czy to twoje własne przemyślenia?

— Niczego nie skopiowałam.

— Twój referat mnie poruszył – powiedział O’Connor. – Płomienny. Interesuje mnie wyrażona przez ciebie pasja, Shannon. Sądzę, że mogłaby cię wspierać w tym, co mam na myśli.

— Miałam przyjaciółkę – wyjaśniła Moss. – To stanowi powód, dla którego zainteresowałam się sądownictwem karnym.

— Okazuje się, Shannon, że mam ulotkę, którą mogę ci dać – rzekł O’Connor. – Do dyplomu zostało ci ile, rok? Zanim zaczniesz szukać pracy, zostaniemy zreorganizowani. Jeśli wówczas będziesz miała tę samą pasję co teraz i jeśli zdecydujesz się aplikować, wyślij podanie bezpośrednio do mnie.

Zapisała jego adres pocztowy – Budynek 200, Washington Navy Yard –

na odwrocie ilustrowanej reklamówki, mężczyźni i kobiety w wiatrówkach, wachty na pokładzie lotniskowca. Jej ojciec był marynarzem na pancerniku USS *New Jersey* pod koniec lat sześćdziesiątych, ale Shannon niewiele wiedziała o jego służbie.

Na miesiąc przed dyplomem wysłała zestaw dokumentów do Kryminalnego Biura Śledczego Marynarki Wojennej oraz podania do lokalnych wydziałów policji i biur prokuratorów okręgowych w Wirginii Zachodniej i Pensylwanii. O'Connor zadzwonił przed upływem tygodnia, poprosił ją, żeby zgłosiła się w bazie Oceana w Wirginii w celu rozpoczęcia procesu kwalifikacyjnego. „Zarezerwuj czas”, powiedział. Zagubiona w marzeniach na jawie o przydziale na pokład któregoś z ociężałych okrętów przecinających stalowe wody oceanu, wyobrażając sobie, że w jakiś sposób ma we krwi marynarskie doświadczenia ojca, wyznaczonego dnia poczuła zaskoczenie, kiedy się przekonała, że przechodzi przez bramę Bazy Lotniczej imienia Apolla Souceka, a nad jej głową przelatuje eskadra F/A-18 Hornet.

O'Connor zwerbował dwunastoosobową grupę, Moss była jedną z zaledwie trzech kobiet, a przed upływem kilku dni odpadli dwaj faceci, nie mogąc podołać fizycznym wymaganiom instruktorów. Shannon zorientowała się, że nie tyle prowadzi się z nią rozmowy kwalifikacyjne, ile coś się z niej wyplenia. Godziny pływania w basenie ze sprzętem do nurkowania założonym na kostium kąpielowy. Okresy wirowania w symulatorze przyspieszeń, podczas których znosiła narastające przeciążenie, aż oczy uciekały jej w głąb czaszki i traciła przytomność, po czym odzyskiwała ją i wirowała dalej. Rekrutom wydawano skromne posiłki i skoszarowano ich w sypialni z piętrowymi łózkami, w której miejsca było tylko na sześć osób; jedna łazienka na nich wszystkich, pudełko wilgotnych chusteczek zamiast prysznic. Spartańskie warunki nadwyręzały niektórym nerwy, ale Moss zaadaptowała się całkiem szybko, jej sportowa przeszłość dała jej wytrzymałość, zapewniła kontrolę umysłu nad ciałem. Pod koniec piątego tygodnia zostało tylko siedmioro rekrutów, Shannon była jedyną kobietą. Podczas uroczystości odbywającej się w jednej z sal wykładowych O'Connor przedstawił wyniki każdego z nich wraz z propozycją: „Zgłoś się w Navy Yard, w Budynku 200, gdzie zostaniesz przyjęty z otwartymi ramionami, żeby rozpocząć satysfakcjonującą karierę agenta służb federalnych, albo zostań na miejscu”. Jeden mężczyzna wstał i wyszedł, ale reszta pozostała przy swoich pulpitych, skonsternowana i podekscytowana, gdy O'Connor

wręczał im T-shirty w kolorze leśnej zieleni oraz certyfikaty z ich nazwiskami.

Przyjęcie przy kawie i cięście z prostokątnej formy, polecenie przebrania się w mundury lotnicze przed upływem godziny. Po zapadnięciu nocy absolwenci wsiedli na pokład odrzutowca o nazwie *Ogopogo*, z węzłem morskim namalowanym wzdłuż zwężającego się stożkowo dziobu; samolot to był cormorant, długi i elegancki, w barwie obsydianu, wyglądał jak SR-17 Blackbird, ale był większy, rozmiarów małego liniowca pasażerskiego. O'Connor i jego uczniowie zapięli pasy bezpieczeństwa i *Ogopogo* wystartował. Moss była ogromnie podekscytowana, kiedy cormorant wzniósł się z ogromnym przyspieszeniem i wyrwał z okowów grawitacji. Półksiężyc oświetlonej Ziemi, rozsypane brylanty światła miast na odległym globie. Shannon poczuła w piersi oszałamiającą błogość nieważkości, jej włosy niczym kula dmuchawca, póki nie zawiązała ich w kok. O'Connor był pierwszym, który odpiął uprząż i unosił się swobodnie, rysy jego postarzałej twarzy nagle dziecinne, reszta poszła w jego ślady, pokrzykując wesoło z powodu swobodnego spadania niczym dzieci na trampolinie. Moss odbiła się ze swojego miejsca i płakała otwarcie z radości, ale łzy gromadziły się jej w oczach jak kleiste kulki i piekły, aż wytarła je rękawem i się roześmiała.

Krajobraz księżycowy był jeziorem ciemności. Podeszli do stacji Black Vale, placówki lunarnej będącej jak tajne miasto zbudowane w kraterze Dedala o średnicy stu kilometrów po tej stronie Księżyca, która nie zwraca się nigdy ku Ziemi. Zbocza wyniosłych krawędzi krateru były tarasowate, niczym potężne stopnie schodzące ponad trzy kilometry w głąb, ku rozległemu podłożu niecki. Nikt się nie odezwał, gdy ujrzeli po raz pierwszy lunarne wyrzutnie startowe. Budynki i pasy startowe Black Vale były obramowane światłami, rozkład przypominał Moss szyby naftowe Wirginii Zachodniej i Pensylwanii, wieża kontroli lotów – iglica ze stali i jasnych światła, niczym rusztowanie instalacji wiertniczej. W Black Vale cumowało siedem statków, potężnych pojazdów wielkości okrętów podwodnych klasy Ohio – hebanowe statki, eleganckie i kanciaste, jak figurki origami.

— To są TERN-y – powiedział O'Connor, pokazując po kolei każdy z siedmiu pojazdów. – Spójrzcie tam...

Ich silniki były generatorami makropola piany kwantowej firmy Brandt-

Lomonaco, wyjaśnił, osiągnięciem techniki wojskowej pozwalającym na podróże w Głęboką Przestrzeń i Głęboki Czas.

Od wieży, na kształt listków koniczyny, rozchodziły się płyty startowe i lądownicze połączone siecią dróg i ścieżek kołowania, które prowadziły do hangarów i zbiorowiska białych kopuł mieszkalnych i warsztatowych, biur i laboratoriów. O'Connor wyjaśnił, że plany statków Dowództwa Marynarki Kosmicznej – shrików, cormorantów i TERN-ów – zostały sprowadzone z przyszłości odległej o niemal sześćset lat i dostosowane do rosnących zdolności wytwórczych przemysłu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy zbudowano większość floty – innowacyjne przedsięwzięcia inżynierskie prowadzone w firmach Boeing, McDonnell-Douglas, Lockheed Martin i Northrop Grumman. Cormoranty używały ulepszonych silników Harriera jako zespołów sterujących, których krótkie impulsy odrzutu korygowały obrót statku, kąt nachylenia i zejście z kursu, *Ogopogo* wylądował na Płycie nr 4 jak owad siadający na liściu. We wszystkich iluminatorach było widać rozległe równiny szarego pyłu oświetlone przez reflektory. Na Księżycu wszystko spadało powoli; przy słabszej grawitacji Moss się wydawało, że opada w wodzie. Miała dwadzieścia dwa lata, była przytłoczona wojskowymi tajemnicami i cudami, złożonością Dowództwa Marynarki Kosmicznej działającego poza wiedzą opinii publicznej.

Tych kilka pierwszych tygodni trwającego nadal szkolenia – z wykładami w solarium z lampami kwarcowymi, spaniem na piętrowych pryczach, odnajdowaniem drogi w szklarniach i korytarzach, nauką o statkach floty – było podobnych do snu. Shannon została przydzielona do grupy bojowej TERN O'Connora, na pokład USS *William McKinley*, i wystartowała ku Głębokim Wodom. Przed upływem dwóch miesięcy od przyjazdu do Virginia Beach podróżowała do Terminusa ludzkości i żeglowała po najdalszych rejonach Galaktyki Andromedy, skąpana w świetle gwiazd, które nie dotrze do Ziemi jeszcze przez dwa i pół miliona lat.

Dziennikarze opanowali główny korytarz budynku Rady Miejskiej w Canonsburgu, reporterzy błagali o wypowiedź na temat wielokrotnego zabójstwa i zaginionej dziewczyny. W gmachu mieściło się biuro burmistrza oraz posterunek policji, ale wszyscy wydawali się nieprzygotowani na ogromne zainteresowanie mediów, pomyślała Moss, przepychając się przez

gromadę fotoreporterów. Pokazała dokumenty policjantowi i podpisała się przy swoim nazwisku na wydrukowanej liście upoważnionych, zanim została wpuszczona do sali konferencyjnej. Jakiś starszy mężczyzna, ktoś z rady miejskiej, zauważył jej protezę i odsunął się na bok. Oparł dłoń na jej plecach, kiedy go mijała, a ona zeszywniała pod tym dotknięciem, bardzo znajomym, gdyż jego palce zatrzymały się na skraju paska jej stanika. Uśmiechnął się, pokazując, żeby szła dalej – szarmancki, we własnym mniemaniu, albo ojcowski – ale czuła jego dotyk między łopatkami, póki nie przeszła na drugi koniec pomieszczenia. Nadal kilka minut do dziewiątej. Kilkoro członków grupy operacyjnej zajęło już miejsca przy ustawionych w podkowę stolikach bankietowych. Shannon знаła ich twarze z poprzedniej nocy, głównie ludzie z FBI, ale ich zachowanie się zmieniło, boleść z powodu śmierci Mursultów rozviała się w świetle dnia, zastąpiona przez świeżo nałożony żel do włosów i czyste ubrania. Styropianowe kubki z kawą, pączki w białych pudełkach na czarnym stole.

Ktoś pomachał do niej, pragnąc zwrócić na siebie jej uwagę, mężczyzna o piaskowoblond włosach i szczęce ciemnej od szczeciny zapowiadającej brodę. Ma ciepły uśmiech, pomyślała Moss, który zmiękcza jego skądinąd surowe rysy. Bładoniebieskie oczy z opadającymi powiekami, zamyślane.

— Agentka specjalna Moss? – zapytał. – Philip Nestor. Rozmawialiśmy zeszłej nocy przez telefon.

— Tak, oczywiście – odparła. – Shannon.

— Mam dla ciebie miejsce – powiedział. – Brock poprosił mnie, żebym się tobą zaopiekował.

Zjeżyła się na to „zaopiekowanie się”, poza tym i tak nie miała ochoty meandrować między krzesłami.

— Nie chcę się pchać na afisz.

— Och, w porządku... dobra, jasne – przystał Nestor i oparł się obok niej o ścianę. – I nie chodzi o „zaopiekowanie się” tobą, to bardziej współpraca – dodał, odczytawszy szybko jej ton. Pamiętała jego głos z rozmowy minionej nocy, zaniepokojony, pełen smutku. Teraz spokojny. Miły głos, pomyślała. – Brock uważa, że powinnaś mieć pełny dostęp, ale ponieważ ma na głowie mnóstwo spraw – ciągnął, wskazując machnięciem pokój – będę twoim łącznikiem.

Lubi aktywność fizyczną na świeżym powietrzu, domyśliła się; nieprzesadnie wysportowany, w przeciwieństwie do stałych bywalców



siłowni o bardziej napakowanych ciałach. Miał na sobie czekoladowobrązowe sztruksy, kontrast z szarymi czy beżowymi spodniami noszonymi przez jego kolegów, rękawy koszuli podwinięte do łokci, bezrękawnik i krawat, wygląd profesorski pomimo plakietek FBI, które nosił na smyczy na szyi.

— Nie pamiętam, żebym widziała cię zeszłej nocy – odezwała się.

— Byłem tam... widziałem cię, kiedy przyjechałaś – odparł – ale robiłem... – wykonał gest sugerujący kombinezon ochronny – ...zdjęcia. Nie zauważyłabyś mnie. Muszę zapytać, czy to prawda, co powiedział mi Brock.

Kurwa mać, pomyślała Shannon, zastanawiając się, co się rozniosło po ludziach.

— To zależy, co ci powiedział.

— Że znałaś rodzinę z Cricketwood Court.

— Rodzinę, która mieszkała tam dawno temu – przyznała Moss. – Przed laty mieszkała tam moja najlepsza przyjaciółka. Bywałam w tamtym domu niemal codziennie.

Nestor westchnął.

— Przykro mi – rzekł. – To musiał być szok.

— Co jeszcze ci powiedział?

Nestor uniósł dłoń, delikatne pojednanie.

— Tylko żebym odnosił się z szacunkiem. Powiedział, że ciężko to znosisz.

Gwar rozmów ścichł, gdy Brock podszedł do pulpitu. Ubranie miał wymięte, to samo co zeszłej nocy, być może ochlapał twarz wodą przed tym zebraniem, użył wody kolońskiej, ale nie wziął prysznic, nie odpoczął. Otaczała go aura wyczerpania, pod oczami miał fioletowe worki, które odcinały się od jego ciemnej karnacji. Zmniejszył o połowę natężenie oświetlenia w pomieszczeniu.

— Dzień dobry – zaczął, włączając projektor nad głową; na suchościeralnej białej tablicy za jego plecami ukazał się prostokąt światła. – Załatwię to krótko. Dowodzący agent specjalny William Brock, FBI. Mój zespół będzie współpracował ściśle z policją z Canonsburga i Biurem Kryminalistyki Sądowej z Pensylwanii w trakcie śledztwa dotyczącego zamordowania rodziny Mursultów i poszukiwania Marian Mursult. Naszym prowadzącym śledczym jest agent specjalny Philip Nestor.

Pierwszy slajd Brocka ukazywał zdjęcie wykorzystane w komunikacie

o zaginięciu dziewczyny.

— Marian Mursult – powiedział. – Zapamiętajcie jej twarz. Zaginiona od trzydziestu ośmiu godzin.

Brock siorbnął wody z butelki i zrobił przerwę w swojej przemowie, póki się nie przekonał, że oczy wszystkich wpatrzone są w podobiznę dziewczyny. Cisza, pomijając brzęczenie wentylatora rzutnika.

— Media interesują się już mocno tą młodą kobietą, najprawdopodobniej na skalę ogólnokrajową. Ostatni raz była widziana w piątek po południu, kiedy wyszła z pracy po swojej zmianie w Kmarcie w Waszyngtonie, gdzie jest kasjerką. Odbiła kartę zegarową o dziewiętnastej i to jest jej ostatni potwierdzony ślad. Zabraliśmy z parkingu jej samochód, zatem odjechała z kimś albo została porwana. Ani kierownik zmiany, ani współpracownicy nie pamiętają niczego niezwykłego w związku z tamtym popołudniem. Nie ma stałego chłopaka, o którym byśmy wiedzieli. Policja stanowa szuka jej w rozległym kręgu przyjaciół.

Zmienił slajd. Przycięta fotografia mężczyzny w niebieskiej bluzie zapiętej na zamek błyskawiczny, włosy brudnoszare. Uśmiechał się, mrużąc oczy w słońcu.

— To najbardziej aktualne zdjęcie jej ojca, Patricka Mursulta, jakim dysponujemy. Mat pierwszej klasy, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. Urodzony trzeciego sierpnia 1949 roku. Patrick Mursult widnieje na tablicy jako nasz główny podejrzany, zarówno w sprawie uprowadzenia Marian, jak i zamordowania reszty członków rodziny. Wydano nakaz jego aresztowania. Nie mamy żadnych pewnych informacji na temat miejsca jego pobytu.

Kolejny slajd. Zdjęcie z polaroida, dżungla, Mursult w burozielonym mundurze polowym, skóra szorstka i opalona, wygląda jak dziecko, pomyślała Moss, pomimo papierosa i M16 przewieszzonego swobodnie przez ramię.

— Potrójne zabójstwo – powiedział Brock, pokazując slajd z kobietą o zakrwawionej twarzy.

Zbliżenie dłoni w krwawej rękawiczce.

— Sprawca usunął paznokcie z palców dłoni i stóp kobiety oraz dzieci – wyjaśnił Brock. – Tej informacji nie wolno przekazać mediom. Czy to jasne? Zachowujemy tę wiadomość na wypadek, gdybyśmy mylili się co do Mursulta, żeby odsiać fałszywe przyznania się zgłaszane telefonicznie.

W pomieszczeniu zapanowała atmosfera niepokoju; zerwane paznokcie zakłopotają zebranych ludzi, przenosząc zamordowanych z kategorii ofiar zwykłej brutalności ku czemuś bardziej dziwacznemu, o niezgłębionych intencjach.

— Dobrze się czujesz? – zapytał Nestor, miał troskę w oczach.

— A ty? – odparła Shannon pytaniem.

Brock odbył konferencję prasową pół godziny później, przy czym biała tablica suchościeralna była zasłonięta planszą z godłem FBI. Skupił się na jedynym konkretnym dowodzie, jakim dysponowali, a mianowicie na zeznaniu sąsiadki o niezidentyfikowanym towarzyszu Mursulta, białym brodatym mężczyźnie, który jeździł czerwonym dodge'em RAM z tablicami rejestracyjnymi z Wirginii Zachodniej. Brock opisał półciężarówkę jako oblepioną na zderzakach naklejkami, wśród których wyróżniała się flaga konfederacka. Moss dołączyła do kilku gliniarzy oglądających telewizję w pomieszczeniu socjalnym. Nalała sobie do kubka oleiste męty z dzbanka, podczas gdy dziennikarze z Pittsburgha i Steubenville-Wheeling zasypywali Brocka pytaniami dotyczącymi Marian Mursult i zbrodni popełnionej na jej rodzinie.

Moss wyszła z pokoju socjalnego i znalazła pusty boks biurowy w otwartej sali na dole. Zadzwoiła na bezpośredni numer swojego przełożonego w kwaterze głównej NCIS. O'Connor zwerbował ją podczas ich popołudnia nad smażonymi ostrygami, był jej mentorem w trakcie szkolenia, poleciał wraz z nią ku Głębokim Wodom na pokładzie *Williamy McKinleya*, towarzyszył jej w pierwszym spacerze kosmicznym, podczas którego szybowali oboje z dala od statku, przywiązani do jego kadłuba, niczym pająki zawieszane na jedwabnej nici. O'Connor urodził się jedynie dziesięć lat wcześniej od Shannon, ale żeglował często po Głębokich Wodach i do NTP, postarzał się już, gdy reszta świata trwała w miejscu. Miał strzechę kręconych siwych włosów i mocno pomarszczoną twarz, ale jego poważne, gniewne spojrzenie wymazywał bez trudu krzywy uśmiech psotnego dzieciaka.

— O'Connor – zgłosił się.

— Mówi Moss. Potrzebuję informacji o Mursulcie, jeśli możesz je dla mnie zdobyć. Te, które otrzymałam, są ocenzone. Jest na liście zaginionych w akcji.

— Mam coś dla ciebie – powiedział O'Connor. – W nocy miałem

spotkanie w Dowództwie Marynarki Kosmicznej. Pojawienie się Mursulta to poważny problem, Shannon.

— Co mamy?

— Patrick Mursult był ważnym graczem, kiedy Dowództwo Marynarki Kosmicznej stanowiło część Gwiezdných Wojen zasypywanych forszą dzięki Reaganowi – wyjaśnił O'Connor. – Pierwsze lata, część większej inicjatywy Departamentu Obrony, przed *Challengerem* i konsolidacjami. Mursult uczestniczył w programie inżynierskim Załogowych Lotów Kosmicznych pod Los Angeles, otrzymał także płytkę z odciskiem dłoni w podłodze Centrum Kosmicznego imienia Johnsona. Jednak dane na jego temat urywają się na misjach *Zodiaku*. Słyszałaś o nich?

— Dwanaście statków, które wysyłano w okresie od końca lat siedemdziesiątych do około 1989 roku. Przed moim czasem. Trzy z tych statków są nadal w eksploatacji.

— *Baran*, *Rak* i *Byk* – potwierdził O'Connor. – Dziewięć pozostałych nigdy nie wróciło, przypuszczalnie zginęły setki ludzi. Katastrofalne. A *Byk*...

— *Byk* odkrył Terminusa – wtrąciła Shannon. – Byli pierwszymi.

Oglądała zdjęcia z miejsca zbrodni na USS *Byk*. Statek wystartował pod koniec 1986 roku, ale wrócił z dalekiej przyszłości NTP z uszczuploną załogą, tylko kilku ocalałych, a wewnątrz pojazdu pokrywały prymitywne rysunki trupów i ostrzeżenia wypisane ich krwią.

— Patrick Mursult jest wymieniony jako zaginiony w akcji, gdyż był marynarzem na pokładzie USS *Waga* – powiedział O'Connor. – *Waga* jest uważana za zaginioną, Shannon.

Zaginiony na Głębokich Wodach, ale pojawił się teraz.

— Jak to możliwe? – zapytała.

Obserwowała starty DMK, widziała statki zapuszczające się na Głębokie Wody i wracające przed upływem sekundy, niemal momentalnie; pojazdy znikwały na mgnienie oka, chociaż ich załogi mogły przemierzyć galaktyki i żyć całe lata w obrębie tamtego czasu. Niesamowite wrażenie: ujrzeć w jednej chwili człowieka wsiadającego do statku jako młodego mężczyznę, a moment później zobaczyć go, jak opuszcza pojazd w wieku emerytalnym. Czasami jednak statek DMK startował, ale nigdy nie wracał, po prostu znikał całkowicie, mignawszy. Pojazdy, które mignęły, były uważane za bezpowrotnie stracone. Zostały zniszczone przez kosmiczne śmieci, rzucone

w gorejące słońca, pozarte przez czarne dziury albo – co bardziej prawdopodobne – ucierpiały na skutek usterki technicznej, która okazała się zgubna, lub z powodu jednej z wielu innych katastrof, ale statki te nie wróciły nigdy ani nie pojawiły się w żadnym innym miejscu. Jeśli pojazd zniknął z mignięciem, to był stracony, a członkowie załogi martwi, wymieniani jako zaginionieni w akcji tylko dlatego, że ich ciała nie miały zostać nigdy odnalezione.

— Jeśli *Waga* zaginęła, to Patrick Mursult nie powinien istnieć – odezwała się Moss. – Albo wcale nie był na pokładzie *Wagi*. Może jest dezertorem? Lub nie został zamustrowany?

— Musimy wyjaśnić sprawę *Wagi*, musimy wyjaśnić casus Mursulta – odparł O'Connor. – To dlatego cię wezwano. Musimy aresztować Patricka Mursulta, poznać jego historię.

— Brock mówi, że facet żyje w cieniu, wszystko jest na nazwisko jego żony, z wyjątkiem kilku podrobionych dowodów tożsamości, fałszywego prawa jazdy – powiedziała Shannon. – Mamy świadków, którzy znają Mursulta osobiście. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z błędną identyfikacją czy czymś podobnym. Mieszkał w Canonsburgu, na widoku.

— Nikt go nie szukał – odparł O'Connor. – Wszystkim zainteresowanym było wiadomo, że Mursult zniknął wraz z innymi na pokładzie *Wagi*. Można się długo ukrywać, kiedy nikt cię nie szuka.

— Teraz tropi go mnóstwo ludzi.

— Shannon – rzekł O'Connor – agent Brock wspomniał, że jesteś osobiście związana z miejscem zbrodni...

— W porządku... nic mi nie jest – zapewniła go Moss. – Mieszkała tam moja przyjaciółka z dzieciństwa. Zeszłej nocy miejsce zbrodni wydawało mi się przerażające, ale czuję się dobrze.

— Mogę przydzielić ci więcej agentów, jeśli uważasz, że potrzebujesz pomocy – zaoferował O'Connor.

— Daję radę – odparła Shannon, myśląc o Jessice Mursult, o rozplatanym ciele. O sypialni Courtney Gimm, w której Moss marzyła o wyrwaniu się z Canonsburga. Nikt nigdy nie opuści tamtego pokoju. – Nic mi nie jest – powtórzyła. – Skupiam się na Patricku Mursulcie.

— Jaki jest twój pogląd na sprawę?

Pomyślała o kobiecej dłoni w rękawiczce z krwi, o zerwanych paznokciach.

— W tej chwili wygląda to na zbrodnię rodzinną – powiedziała. – Sądzę, że niebawem znajdziemy Mursulta, jego zdjęcie jest pokazywane we wszystkich wiadomościach. Bez względu na jego sytuację wojskową, bez względu na komplikacje związane z *Wagą*, wiesz równie dobrze jak ja, że wszystko to sprowadza się przypuszczalnie do kwestii pieniędzy, a możliwe, że i romansu. Coś gwałtownego i brutalnego, ale pospolitego. Zabrał ich paznokcie, nie wiem dlaczego. Zastanowimy się nad większą liczbą agentów, kiedy go aresztujemy. Powinieneś wiedzieć, że ta zaginiona dziewczyna to niezła laska.

— Widziałem ogłoszenie – powiedział O’Connor.

— Spodziewam się, że zainteresowanie mediów jeszcze wzrośnie, kiedy zdjęcie Marian zacznie krążyć – stwierdziła, wiedząc, że dociekliwość dziennikarska jest przekleństwem DMK. – Nie upłynie dużo czasu, nim ktoś zacznie się dopytywać o Mursulta, o to, kim on jest.

— Zajmujemy się tym – odparł O’Connor. – FBI z nami współpracuje. Nasi dyrektorzy rozmawiają ze sobą, mamy umowę przedwstępną w sprawie tego śledztwa. Mają dosyć ludzi, żeby poradzić sobie ze wścibstwem mediów i prowadzić poszukiwania Marian.

— W tej chwili trwa konferencja prasowa – poinformowała go Shannon, myśląc, że jej matka może to oglądać. Cholera, pomyślała, matka jest plotkarą polującą na lokalne nieszczęścia, wiadomości o okaleczonych zwierzętach, pożarach domów, rodzinnych morderstwach. Powinnam do niej zadzwonić. Będzie pamiętała Cricketwood Court, wszystkie te popołudnia, kiedy podrzucała córkę do domu jej najlepszej przyjaciółki.

Po skończeniu rozmowy z O’Connorem Moss zadzwoniła do matki. Sygnał rozległ się dwa razy, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

— Mamo, mówi Shan – powiedziała. – Jeśli tam jesteś, odbierz. Wieczorem wpadnę do domu. Nie przejmuj się zbytnio wiadomościami. Pogadamy niebawem.

Nestor otworzył drzwi biura, zapukawszy cicho.

— Chodźmy – polecił.

Moss zamknęła klapkę komórki.

— Dokąd? – zapytała.

— Znaleźliśmy półciężarówkę – wyjaśnił. – Patrol policji stanowej z Wirginii Zachodniej właśnie to zgłosił. Jedź ze mną.

Czerwony RAM należał do Elrica Fleece'a, prawo jazdy nieważne, rejestracja wygasła, adres gdzieś w okolicy Barthollow Fork Branch, w pobliżu Dents Run i Mannington. Lokalni policjanci chyba go znali, agresywnego pijaka, którego musieli wyrzucać z barów, ale żadnych aresztowań; weteran z Wietnamu, nielicencjonowany elektryk wykonujący fuchy za gotówkę. Nestor wioził Shannon suburbanem FBI, wyprzedzając wolniejsze pojazdy na autostradzie międzystanowej, aż niskie wzgórza Pensylwanii ustąpiły wyższym wypiętrzonym Wirginii Zachodniej. W trakcie ponadgodzinnej jazdy rozmowa o Patricku Mursulcie zamieniła się w osobistą pogawędkę. Nestor pochodził z południa Wirginii Zachodniej, wyrósł w biedzie. Przez kilka lat parał się fotografią jako wolny strzelec, zanim przypadkowo podjął bardziej stałe zajęcie w policji w Phoenix w Arizonie, pracując w daktyloskopii i na miejscach zbrodni. Kiedy umierał jego ojciec, wrócił do Wirginii Zachodniej. Moss była ostrożna we wszystkim, co zdradzała na swój temat; korciło ją, żeby podzielić się tym i owym z Nestorem, uważnym słuchaczem, ale wiedziała, jak łatwo mogą się wystrześcić zasłony jej życia i kariery.

— Chyba nie jestem gadułą – powiedziała.

— Jesteś powściągliwa – odparł Nestor. – Szanuję to.

Dojechali do skrzyżowania z Barthollow Fork Branch i zdawało się, że zostawiają świat za plecami, połknięci przez lasy. Barthollow Fork Branch zwięzła się w miarę ich jazdy, linia drzew podchodziła do samej drogi, smukłe pnie, których kopyły dławiły światło dnia. Poprzez zasłonę gałęzi Shannon dostrzegła domy wzniesione daleko od drogi, w odosobnieniu. Minęli kilka zabudowań wspartych na pustakach; wyblakły pastelowy siding znaczyły smugi po wodzie z zardzewiałych rynien. Podwórka wyglądały jak złomowiska. Moss zastanowiła się, jaki odgłos wydawały wszystkie te drzewa, kiedy się kołysały. Gdy przejechali drewniany most łączący brzegi wyschniętego strumienia, droga stała się czymś w rodzaju gruntowego traktu. Nestor skręcił w odnogę odchodzącą od Barthollow Fork, ledwie dwie bruzdy ziemi biegnące w poszyciu.

— Nie widzę właściwie, dokąd jadę – odezwał się. Moss czuła, że opony SUV-a toczą się po wielkich kamieniach i kępach roślin, że pojazd wraca w koleiny. Gałęzie wznosiły się łukowo nad szlakiem i uderzały w okna. – Czekaaj, czekaaj, czekaaj – powiedział. – Jesteśmy na miejscu.

Błysk czerwieni, gdy wjechał na polanę; tylna kłapa dodge'a RAM.

Starszy model, z lat osiemdziesiątych, ale pasujący do opisu, wiśniowy, z wyjątkiem miejsca, gdzie rdza zaatakowała drzwi, flaga konfederacka była zaledwie jedną z dziesiątków zniszczonych i na wpół odklejonych nalepek. POŁUDNIE POWSTANIE. Naklejka z Calvinem sikającym na logo Forda. Pistolet, TEJ CIĘŻARÓWKI STRZEŻE SMITH & WESSON. Stelaż na długą broń, coś skleconego samodzielnie z listew pozbijanych gwoździami, bez strzelb, ale mocno zużyty.

— Spójrz na to – powiedział Nestor. – Co to jest?

Shannon podążyła wzrokiem we wskazane miejsce.

— Co, do kurwy? – zapytała, wysiadając z SUV-a i patrząc na szkielety między drzewami.

Rzeźby. Kościce jeleni, rozebrane na części i zespolone ponownie za pomocą drutu, żeby wyglądały jak ludzie z porożami, z żyłami z miedzi. Cztery takie wisiały na drzewach za kostki nóg, z rozłożonymi szeroko ramionami; odwrócone ukrzyżowanie. Terminus, pomyślała. Ten facet wie o Terminusie. Dom był w opłakanym stanie, dach zapadnięty, jakby budynek się roztopiał. Moss poszła za Nestorem ścieżką od frontu, po kamiennych płytach zagłębionych do połowy w błocie. Obok drzwi wejściowych mnóstwo kości gryzoni, głównie wiewiórek i świstaków. Szkielety jeleni leżały na trawie, pozostawione do wyschnięcia na słońcu.

— Myślisz, że jest tutaj? – zapytała Shannon.

— Nie wiem. Jest jego ciężarówka – odparł Nestor. – Może być na spacerze.

— O co chodzi z tymi wszystkimi kośćmi? – dociekała Moss.

Nestor się roześmiał.

— Nie wiem, do diabła...

Świeża woń zgnilizny uderzyła Moss i Nestora jak tocząca się fala; śmierć. Shannon pomyślała: Marian. Wyciągnęła broń, Nestor zrobił to samo. Frontowe drzwi to była zwykła płyta ze sklejki, wypaczona, z marną siatką rojącą się od much, które miały się i bzycały, kiedy Moss weszła do środka. Smród był mocny, wręcz ciążył jej fizycznie, pokrywając język, wypełniając zatoki, zdawał się rosnać w ustach jak gąbka. Śmierć, mokra sierść, gówno. Oczy jej łzawiły.

— Marian? – zawołała.

Powietrze żyło, muchy obijały się o nią, Nestor był obok. Ciemny frontowy pokój. Ściany pokrywał dywan zwierzęcych skór: pasiaste futra



szopów, szaroniebieskie wiewiórek, brązowe świstaków; zaświtało jej, że patrzy na skórzany mural, doliny i zagłębienia, futerka białych królików jako zaśnieżone szczyty. Góry; mural przedstawiający góry, wykonany ze skór.

— Marian? – zawołała ponownie; z każdym oddechem do płuc dostawało się przesiąknięte zgnilizną powietrze. Po jej policzku wędrowała mucha; skrzywiła się, strzepnęła ją. Bała się ich, tego, co mogły oznaczać, bała się znaleźć ciało Marian. Nie tutaj, nie tutaj...

— FBI – odezwał się Nestor. – Agenci federalni.

Moss przeszła do przyległego pokoju, z bronią wyciągniętą przed siebie; większe pomieszczenie, z aneksem kuchennym w rogu i telewizorem z anteną pokojową owiniętą folią aluminiową. *Familiada*. Ściany pokrywały nazistowskie flagi; były także przypięte do sufitu. Czarne sztandary, SS w postaci białych błyskawic. Szmaragdowe flagi z białymi łbami jeleni, poroża obejmowały swastyki. Szalenciec, pomyślała, ale była przestraszona, jakby znalazła wrota piekieł. Puszki po montain dew i pabście zaścielały podłogę, roiły się w nich czarne mrówki.

— Tutaj – odezwał się Nestor. – Chodź tutaj.

Korytarz biegł ku tylnym pomieszczeniom domu, hol z niepasującymi do siebie lustrami porozwieszanymi na chybił trafił. Na podłodze leżało coś zawiniętego w worki na śmieci, zwłoki, plastik upstrzony tak gęsto przecinkami larw i muchami, że worek zdawał się pełzać. Nestor naciągnął rękaw na dłoń i szarpnął za worek. Shannon spodziewała się bladej twarzy Marian, ale zobaczyła gęste futro, bezzębne czerwone dziąsła, czarne oczy jak szklane kulki.

— Jezu – powiedział Nestor, odskakując w tył. – Co to jest? Pierdolony niedźwiedź?

Moss szła dalej lustrzanym korytarzem, jej postać w wielokrotnych odbiciach. Co to za miejsce? Ale w pewnym stopniu pojmowała wystrój budynku, na pewnym poziomie świtało jej coś znajomego. Lustra w holu, jej odbicia; coś w tym wnętrzu poruszyło jej pamięć i pomyślała o śnieżnych połaciach, o wędrowce przez zasy w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym, o takim zimnie, że wiatr niósł okruchy lodu. Minęła łazienkę, potem sypialnię – materac na podłodze, worek marynarski w nogach posłania. Poszła wzdłuż luster do głównej sypialni z tyłu domu, a kiedy tam zajrzała, usłyszała własny krzyk.

Facet powiesił się na drzewie zbudowanym z kości, na instalacji

w kształcie drzewa z kości, żelaza i miedzianego drutu, w pomieszczeniu o suficie i ścianach wyłożonych lustrami, tak że wisielec był nieskończoną rekurencją odbić. Dyndał u szkieletowych gałęzi, twarz miał obrzmiałą, język był fioletową kulą. Otyły, jego potężne ciało roiło się od much. Moss podeszła bliżej, z bronią przed sobą, ale z trzęsącymi się rękami, i ujrzała swoje odbicia z trupem. Ten dom był rekonstrukcją – przytłoczyło ją doznanie powrotu – lustrzany korytarz i kościane drzewo w zwierciadlanym pokoju wydobyły na wierzch wspomnienia, które Shannon starała się zatrzeć przez lata, wspomnienie ukrzyżowania, ryku czarnej rzeki pod sobą. Jednak te pokoje były jak szturchający palec. Pamiętała lód, pamiętała powietrze migoczące wokół niej niczym wachlarz luster. Widziała drzewo, kiedy była w Terminusie; powtarzające się w nieskończoność drzewo o barwie zbielełych kości czy popiołu. Fleece odtworzył ten krajobraz w taki sposób, jakby wyciągnął tę scenerię z jej głowy.

— Chodźmy – zwrócił się do niej Nestor, opierając dłonie na jej barkach i wyprowadzając ją z pokoju. – Marian tutaj nie ma. Chodźmy.

Szeryf hrabstwa Brooke odciął dojazd do posiadłości przy Barthollow Fork Branch, zablokował dostęp, póki nie zjawilo się Mobilne Laboratorium FBI. Wyciągnęli z domu gnijące ściervo czarnego niedźwiedzia i zawlekli je do lasu, po czym odcięli Elrica Fleece'a, zadanie dla kilku ludzi ze względu na masę jego ciała. Niedźwiedź został wcześniej sprawiony – oskórowany, pozbawiony kości, wypatroszony. Technicy prowadzili dokumentację domostwa Fleece'a jako miejsca zbrodni, ale okazało się szybko, że jego śmierć była samobójstwem, że wisiał na kościanym drzewie co najmniej dobę, jeśli nie dłużej. Moss przyglądała się ludziom, którzy wieźli zawinięte w prześcieradło zwłoki Fleece'a na wózku noszowym, po czym umieścili je w karetce, żeby przetransportować ciało do Charlestonu w celu przeprowadzenia autopsji. Wszystko, na co spojrzę, obróci się w lód, pomyślała i niemal poczuła, jak lód wdziera się skądś z przyszłości. Okrążyła posiadłość Fleece'a, weszła do lasu, gdzie znalazła ścieżkę wiodącą ku powieszonym na gałęziach za kostki nóg szkieletom. Były wykonane z przerażającą pomysłowością – miedziany drut, owijający kości jeleni, tworzył iluzję mięśni i żył. Skąd wiedział o Terminusie, o wiszących ludziach? Moss wyobraziła sobie, jak Patrick Mursult, nawiedzany przez

przyszłą śmierć świata, przekazuje szeptem swoje wizje Fleece'owi; a może Fleece widział to na własne oczy, może był kolejnym marynarzem na pokładzie *Wagi*, który pojawił się teraz, widmem. Wśród marynarzy DMK panował wysoki wskaźnik samobójstw. Moss przyglądała się sekcjom zwłok ludzi, którzy się powiesili, podcięli sobie żyły lub zakończyli życie samobójczymi strzałami; złamanych mężczyzn, którzy nie potrafili dostosować się ponownie do ślimaczego tempa normalnego czasu. O'Connor będzie w stanie zweryfikować, czy Fleece podlegał Dowództwu Marynarki Kosmicznej, ale Shannon była coraz bardziej przekonana, że to kolejny marynarz, którego akta będą opatrzone napisem: „Zaginiony w akcji”. Usłyszała czyjeś kroki; Nestor deptał poszycie, zmierzając w jej stronę.

— Hej, wszystko w porządku? – zapytał. – Zniknęłaś stamtąd.

— Zbieram myśli – odparła. – Widziałeś wcześniej coś podobnego?

Czoło Nestora pofałdowało się, jakby pytanie było kamieniem wrzuconym w staw jego myśli.

— Pokój przypomniał mi coś, o czym opowiadał często mój ojciec – powiedział. – O swoim nawracającym śnie, który nazywał „niekończącym się lasem”. Chodź, zostawmy te pomniki czy cokolwiek to jest.

Szli razem ścieżką przez rzadki las z powrotem w stronę domu Fleece'a.

— Jaki sen? – zapytała.

— Mieszkaliśmy w Twilight, małej górniczej miejscinie. Ojciec pracował w kopalni, śniło mu się zawsze, że jest w ciemnościach – odparł Nestor. – Nocami budził się z krzykiem. Słyszałem, jak wstaje, przychodzi do mojego pokoju, siada na łóżku i patrzy na mnie. Miałem jakieś dziewięć lat, liczyłem, że uzna, iż śpię, ale był pijany i mówił, że utknął w zawale i nie mógł się wydostać z kopalni, więc czołgał się głębiej, aż kopalnia się skończyła, a on wynurzał się w lesie. Mówił o drzewach, jakby rosły w moim pokoju, jakby mógł ich dotknąć.

— Niekończący się las – rzekła Moss.

— W drzewach były drzwi – ciągnął Nestor. – A kiedy je otwierał i przechodził przez nie, wkraczał do całkiem nowego lasu. Mówił, że chyba się zgubił, i prosił, żebym go odnalazł. Obiecowałem, że to zrobię, i czekałem, aż sen, który trzymał go w swoich szponach, zacznie się rozwiewać, a on wyjdzie z mojej sypialni. Szedł do łazienki i słyszałem, jak wraca korytarzem. Słyszałem, że zaczyna chrapać, i wiedziałem, że znowu zasnął. Ja nie zasypiałem nigdy.

— Miałeś dziewięć lat? – zapytała Moss, wyobrażając sobie chłopca i jego ojca.

— Czasami mówił o swoim śnie, jakby to było miejsce, do którego można pójść, jakby to wcale nie był sen, więc kiedy zobaczyłem tamte lustra...

Shannon chciała się zwierzyć, ale powiedziała:

— Nie myśl o tych bzdurach Fleece’a. Nie chcesz mieć tego w głowie.

Wzięła się w garść przed ponownym wejściem do domu. Mimo że bezpośrednie źródła rozkładu usunięto, pozostały inne smrody: futrzanych ścian, gnijących odpadków w pojemnikach na śmieci. Technicy wyjęli kartonowe pudła z szafy Fleece’a. Shannon nałożyła lateksowe rękawiczki i przeglądała ich zawartość. Znalazła album z pozólkłymi zdjęciami z Wietnamu; fotografie czteroosobowych rzecznych łodzi patrolowych zwanych ścigaczami. *Mekong* i *Rung Sat*, nazwy napisane niebieskim długopisem. Marynarka Wojenna, Wietnam, związek z Mursultem, pomyślała. Zastanowiła się, czy Mursult i Fleece służyli razem. Pudełka po zapalkach pełne zdechłych pajaków, żuków; jeden z techników znalazł poszewkę na poduszkę wypchaną martwymi ptakami. Ohyda, pomyślała. „Dzieła sztuki” Fleece’a pokrywały ściany; nie tylko ten wielki mural ze skór zwierzęcych, ale oprawione w ramki obrazki, zdjęcia, które przerobił. Dwa wisiały w łazience. Stopklatka z filmu *Zaprudera*, moment, w którym Kennedy zostaje trafiony przez drugi pocisk, twarz prezydenta mięsiście różowa i wywinięta na zewnątrz, jakby była drzwiczkami na zawiasach. Fleece namalował aureolę wokół Kennedy’ego; utleniona, brązowawa krew tryskała promieniście z jego głowy. Na drugiej fotografii, na zdjęciu *Challengera*, domalował siedem aureoli – podmuch eksplozji wybuchającą chmurą, a fragmenty promu w zawijasach dymu, dziwaczne trajektorie.

— Znaleźliśmy coś – odezwał się Nestor. – Tutaj.

Zajmował się mniejszą z dwóch sypialni, stosunkowo czystym pokojem – materac na podłodze był zasłany, prześcieradło i kołdra naciągnięte porządnie w rogach. Wisiały tutaj największe z fotografii przerobionych przez Fleece’a; rozpoznała powiększone zdjęcie jego rzecznego ścigacza z Wietnamu, ale łódź była pokryta półksiężycowymi ścinkami paznokci oraz pazurami i szponami zwierząt. Przeszył ją smutek, ciężki jak ołowianka; pomyślała o palcach członków rodziny Mursulta, o zerwanych paznokciach. Zdjęcie było podpisane: *To jest Statek z Paznokci, który przewozi ciała zmarłych.*

— Sądzymy, że tutaj przebywał Mursult – powiedział Nestor. – Że to są jego rzeczy.

Zawartość czarnego marynarskiego worka została rozłożona na materacu. Kilka tysięcy dolarów w plikach dwudziestek, ubrania, przybory toaletowe, pager. Dwadzieścia cztery polaroidowe zdjęcia ułożono szachownicowo; drastyczne w portretowaniu kobiety. Czarnoskórej, szczupłej. Jej twarzy nie było nigdy widać. Miała piękne piersi, uznała Moss, brzuch napięty. Przyglądała się uważnie gładkim, ciemnym zarysom jej ud, obrazom genitaliów, temu, jak rozwierała się różowo. Raczej intymne niż pornograficzne, zdjęcia, których nikt oprócz fotografującego i modelki nie miał nigdy oglądać. Zdawało się, że zrobiono je w jakiejś chacie, nie tutaj. Może wynajętej. Ściany były gołymi deskami, widać było stolik nocny, blok papieru, telefon.

— Możesz zidentyfikować kobietę? – zapytała.

— Nie.

— Co ci każe myśleć o Mursulcie?

— Kilka pierwszych numerów, które odzyskaliśmy z pagera, to telefon domowy Mursultów – odparł Nestor. – Sądzę, że dzwonił do siebie, upewniał się, że pager działa.

Wyszli na zewnątrz. Nestor zostawał na miejscu, ale załatwił, żeby jeden z zastępców szeryfa odwiózł Moss do Canonsburga. Późne popołudnie, dzień się wykrwawiał.

— Zauważyłeś zdjęcie łodzi? – zapytała Shannon.

— Paznokcie? Taa – odparł Nestor. – Nasi ludzie zbadają je, sprawdzą, czy któreś należą do Mursultów, ale to potrwa. Nie sądzą jednak, żeby ten facet, ten Fleece, był w stanie zabić trzy osoby, nie używając broni palnej. A ty? Bez kondycji, nie wygląda, jakby był w stanie schwytać ich albo się obronić, gdyby któreś się opierało. Kobieta, Damaris Mursult, była wysportowana. Syn...

— Moim zdaniem sekcja i tak wykaże, że nie żyje od zbyt dawna, żeby być naszym sprawcą – stwierdziła Moss.

— Co on napisał na tamtym zdjęciu? Statek z paznokci?

— Statek z paznokci, który przewozi zmarłych – powiedziała Shannon. – Nie wiem. Jezu Chryste, widzieliśmy dzisiaj mnóstwo śmierci.

— Jesteś religijna? – zapytał Nestor.

— Co? – zapytała. Zrozumiała, że popełniła bluźnierstwo, zmartwiła się,

że mogła go urazić. Kilku ludzi, których poznała w organach ścigania, było chrześcijanami, ewangelikami. – Przepraszam, ja...

— Wiara jest jedyną rzeczą, która mnie wspiera – stwierdził Nestor. – Myślenie o chłopcu i dziewczynce, myślenie o Marian. To mnie załamuje, ale wierzę w życie wieczne, myślę o tym, że Bóg zaopiekuje się ofiarami, i to mi pomaga, pomaga mi pozostać skupionym. Wyobrażam sobie ich nowe życie. Wierysz w zmartwychwstanie ciała?

Moss pomyślała o całej ludzkości w leju prowadzącym do punktu osobliwego.

— Nie – odparła.

### 3

**J**ej matka nadal mieszkała w Canonsburgu, w tym samym domu, w którym Shannon dorastała, w małym niebieskim domku na stromych wzgórzach na północnym wschodzie East Pike, zaledwie kilka przecznic od fabryki słodczy Sarris. Dzieciństwo Moss pachniało czekoladą. Parkując, zawsze wjeżdżała na chodnik dwoma kołami, skręcała je i włączała hamulec postojowy. Ruszyła zarośniętą ścieżką do bocznych drzwi i otworzyła zatrask tym samym kluczem, którego używała od gimnazjum.

— Mamo? – powiedziała.

— Na górze – odparła matka.

Była zaskoczona, że zastała ją w domu, sądziła, że będzie u McGrogana – niemal każdego wieczoru po skończeniu zmiany w firmie telemarketingowej matka przebierała się w dekatyzowane dżinsy i obcisłą koszulkę i szła do baru, żeby nie prowadzić w drodze powrotnej do domu. Każdy znał jej matkę z widzenia, wędrowała po okolicy w poszukiwaniu papierosa czy drinka, czterdziestoczterolatka spita często po ostatnim zamówieniu przed zamknięciem baru, wałkoniąca się na pustych parkingach z innymi ómami barowymi zbyt nawalonymi, żeby chciały wracać do domów. Postać, bywalczyń. U McGrogana bywało raz tak, raz siak, w niektóre noce panował spokój, nie było tam nic więcej do roboty, jak oglądać wiadomości w telewizji i gawędzić z barmanami, a w inne panował taki tłok, że trzeba było przepychać się bokiem, żeby dotrzeć do toalet. Jej matka miała stały stołek w rogu przy barze, gdzie mogła się oprzeć wygodnie o ścianę

i obserwować, co się dzieje. Dłonie miała poznaczone żyłami, a naturalny kolor jej włosów zmatowiał do odcienia pszennego chleba, ale nadal przyciągała spojrzenia, jeśli była odpowiednio ubrana, a światło przyćmione. Moss patrzyła na matkę i widziała siebie za kilka lat. Ironia związana z podróżami do NTP polegała na tym, że ciało Shannon starzało się w tych przyszłościach, nawet jeśli na terra firma terażniejszości czas zdawał się zatrzymywać, czekając na nią. Kalendarzowo rzecz ujmując, Moss miała dwadzieścia siedem lat, urodziła się w 1970 roku, kiedy jej matka była siedemnastolatką. Biologicznie jednak Shannon miała niemal czterdziestkę, zaledwie kilka lat mniej od matki. Żadna z nich nie wspominała nigdy tej drugiej o swoim wieku, choć Shannon sądziła, iż matka musiała zauważyć zmniejszającą się różnicę dzielących je lat; bardziej siostry niż matka i córka, anomalia zbyt niepokojąca, żeby rozmawiać o niej czy choćby przyjąć ją do wiadomości. Mimo to między nimi nigdy nie powstała zażyłość, nie było żadnego wrażenia podobnej sytuacji, ich doświadczenia zbyt różniły, żyły w odmiennych światach. Shannon była wyższa, muskularna i poważna, podczas gdy jej matka była wyzywająca – przy tych rzadkich okazjach, kiedy szły razem na drinka, ludzie wyobrażali sobie nieodmiennie, że są siostrami.

Tego wieczoru matka, już w piżamie, siedziała przy kuchennym stole i przeglądała „Reader’s Digest”.

— Nie u McGrogana? – zagadnęła Shannon.

— Zostawiłam ci trochę kurczaka, jeśli jesteś głodna – powiedziała matka.

— Jadłam już.

— Zjedz więcej – zachęciła tamta. – Shiner kręci się w okolicy z tą dziewczyną z... skądkolwiek ona jest, do diabła... South Fayette czy skądś tam. Nie mam dzisiaj ochoty pić z nimi. Deb chce zacząć chodzić do tej nowej knajpy, o której ci mówiłam... Jak ona się nazywa? Próbowałam się do ciebie dodzwonić. W każdym razie przygotowałam kurczaka.

— Pracowałam – powiedziała Shannon.

— Próbując znaleźć tę dziewczynę? Nie mogłam w to uwierzyć, z wiadomości wynika, że ta rodzina została zamordowana w dawnym domu Courtney Gimm – zauważyła matka.

— Taa – mruknęła Shannon.

— Ten sam dom? To nad tym pracujesz?

— Chyba już wcześniej próbowali sprzedać ten dom. Mursultowie nie



mogli być tymi, którzy kupili go od Gimmów, prawda?

— Nie, nie... musieli wynajmować – powiedziała matka. – Jej brat, jak ma na imię?

— Davy.

— To on się zaciągnął? Myślę, że zaczął wynajmować dom, kiedy jego ojciec przeniósł się do Arizony. Wpadłam kiedyś na Davy’ego, to musiało być kilka lat temu... Może w dziewięćdziesiątym trzecim? Albo w dziewięćdziesiątym czwartym. Wydaje mi się, że mówił coś o tym, że chce zatrzymać dom, ciągnąć z niego zyski, gdyby się dało. Jestem taka wścibska, ale nigdy nie pamiętam, czego się dowiedziałam.

— Korzystają ze służby pośrednictwa, żeby znajdować sobie wzajemnie domy – wyjaśniła Shannon. – Rodziny wojskowe.

Była wstrząśnięta, przekonawszy się, że miejscem zbrodni jest dom Courtney, tym synchronicznym, mrozącym krew w żyłach splataniem się jej przeszłości z terażniejszością, ale to był tylko zbieg okoliczności, przypomniała sobie. Davy Gimm zgłosił dom do wynajmu, a inna rodzina z marynarki się tam wprowadziła; służba pośrednictwa. Rozmowa z matką porządkowała sytuację, dawała jej poczucie budzenia się z nieprzyjemnego snu, po którym przekonywała się, że świat jest taki jak zawsze.

— Co się stało? – zapytała matka.

— Nie wiem – odparła Shannon. – Przemoc domowa, jak sądzę.

— Straszne – rzekła tamta. – Śledzę historię tej zaginionej dziewczyny ze względu na Courtney, każe mi to o niej myśleć.

— Marian Mursult – powiedziała Shannon. – Mnie także przypomina o Courtney. Włosy.

— Zamierzałam wspomnieć o jej włosach – przyznała matka. – Courtney miała piękne włosy, całe w lokach.

Dorastając, Shannon myślała o swojej matce po prostu jak o kolejnej pijaczce z Guntown, o rozbitku, ale teraz widziała, że matka była okaleczona, perspektywa, której nabywa się z wiekiem, kiedy wszyscy zakorzenili się w tej samej masie dorosłości, kiedy wszyscy byli pokiereszowani i mogli dużo łatwiej przeoczyć rany innych. Shannon skubnęła panierowanego kurczaka, twardego i suchego. W kredensie znalazła rum zmieszany z wiśniową coca-colą. Jej matka nalała sobie wódki.

— Przy okazji, jutro wieczorem spotykam się z Cheryl u McGrogana – powiedziała.

— Cheryl z twojej pracy? – zapytała Shannon. – Zdawało mi się, że macie się dość.

— W ostatnim miesiącu sprzedałam najwięcej subskrypcji, więc obiecałam, że wyjdę z Cheryl, korzystając z karty podarunkowej, którą mi dają, pięćdziesiąt dolców. Nawiasem mówiąc, zauważyłam, że wygasła twoja subskrypcja na „Homemaker’s Companion”, więc podpisałam jej odnowienie. To pomogło mi wejść na szczyt.

— Nienawidzę tego.

— To nie ma nic do rzeczy.

Matka w firmie telemarketingowej wpychająca subskrypcje czasopism. Shannon piła swój rum z wiśniową colą w salonie, siedząc na dwuosobowej skórzanej kanapie, a matka wyciągnęła się na sofie. Shannon prawie poszła do pracy w tej samej firmie telemarketingowej, matka protegowała ją u kierownika, ale ona olała tę okazję. Otarcie się o tę pracę było jednym z niewielu rozdroży na szlaku, którym wędrowała. Modnie myśleć o „wieloświecie” składającym się z nieskończonej liczby kierunków, z nieskończonych ścieżek, ale wiedziała, że rozdzielające się dróżki nie były naprawdę niepoliczalne; większość ludzi miała skończoną liczbę dostępnych opcji, zwłaszcza dziewczęta, które wyrosły w biedzie. Gdyby wzięła tę robotę w telemarketingu, mogłaby stać się taka jak jej matka. Zostałaby ostrą alkoholiczką, uważała zawsze. Centra telemarketingowe, bary i sypianie z każdym, kto był gotowy opłacić jej rachunek za wieczór – niekiedy myślała o takim życiu z obrzydzeniem, a innymi razy znajdowała pociechę w marzeniu na jawie, że prowadzi po prostu normalne życie, wypełnione mężczyznami, stresem i gównianymi zajęciami. Na obramowaniu nad telewizorem stało duże, oprawione zdjęcie ojca Shannon. Jego uśmiech był raczej wyrazem ironii, ale błysk w oku sugerował, że będzie się śmiał zawsze, gdziekolwiek jest. Shannon wyrosła w obecności tej dziwnej oficjalnej fotografii ojca jako młodego mężczyzny, który był młodszy na zdjęciach niż w jej wspomnieniach; służył w marynarce i na zdjęciu miał na sobie biały mundur. Kiedy myślała o firmie telemarketingowej albo o tym, jak inne mogłoby być jej życie, albo zastanawiała się nad powodami wstąpienia do NCIS, mówiła sobie czasami, że poszukiwała ojca, ale to była gówniana odpowiedź, wiedziała o tym. Odszedł z marynarki przed jej narodzinami; opuścił rodzinę, kiedy Shannon miała pięć lat.

— Możemy obejrzeć *Z Archiwum X* – powiedziała matka. – Wiem, że

lubisz ten serial.

Niedzielne wieczory były wieczorami Scully, ale dzisiaj leciała powtórka, *Upadły anioł*, odcinek z Mulderem, więc powiedziała matce, że może skakać po kanałach, jeśli chce. Matka była spragniona wiadomości, *Headline News* przerwane przez banner CNN: Z OSTATNIEJ CHWILI. MARTWY RAPER; napis był wystarczająco bezpośredni, ale potem nastąpiły nagłówki z „Los Angeles Timesa”: WYKONAWCA GANGSTA RAPU NOTORIOUS B.I.G. ZAMORDOWANY. Cztery kule przeszły jego SUV-a. Czarny suburban GMC otoczony taśmą policyjną. Matka usiadła prosto.

— Cholera. Muszę zadzwonić do Shelly. Uwielbia go.

— Chyba pójde do łóżka – stwierdziła Shannon, matka pomachała jej na dobranoc, ale wpatrzona ze smutkiem w ekran.

Z upływem lat jej dawna sypialnia zamieniła się w rupieciarnię matki, ale ażurowe łóżko Jenny Lind, które należało niegdyś do jej babci, zostało zachowane, a na półkach stało nadal kilka jej starych książek: *Czarny rumak*, *Pułapka czasu*, jakieś pozycje z cyklu „Wybierz swoją własną przygodę”, z zagiętymi rogami stron ze scenami śmierci. W fotelu na biegunach piętrzyły się pudła z ubraniami. Zgasła światło, sądząc, że usnie momentalnie, ale wiadomość o śmierci rapera zaniepokoiła ją, łącząc się z ciężarem, który już spoczywał na jej sercu. Czuła się tak, jakby świat się rozpuszczał. Miała wrażenie, że gwiazdozbiory znikają z nieba.

— Nestor – powiedziała, myśląc o nieśmiertelności duszy, o zmartwychwstaniu ciała, o naiwności Nestora, obskurantyzmie jego wiary, ale próbując nadal wymawiać jego nazwisko zaczynające się na czubku języka i przesuwające wstecz.

W ciemności sypialni, otoczona przez znajome cienie wyobrażała sobie świat wokół siebie pod śniegiem, z zamieciami, jedyne ciepło w zagłębieniu pod kołdrą, gdzie leżała skulona. Stłumiony dźwięk odległego telewizora, głos matki rozmawiającej w kuchni przez telefon. Odgłosy jej dzieciństwa. Łatwo było przekonać samą siebie, że nadal jest tylko dzieckiem, małą dziewczynką w łóżku, że całe jej życie było jedynie dziwnym snem i jeśli obudzi się teraz, to o całe lata młodsza, a wszystko będzie takie samo jak dwadzieścia pięć lat temu. Czuła się jak intruz w swojej własnej przeszłości, więc wyciągnęła rękę, żeby dotknąć lewego uda, przesunąć palce po wybrzuszeniach kości i bliznowatej tkance skóry kikuta, przypomnieć sobie, kim jest teraz. Matka obdzwaniała najwyraźniej wszystkich w związku

z wiadomościami, które oglądała. Shannon uwielbiała śmiech matki, to, z jaką łatwością nawiązywała trwałe przyjaźnie, jak swobodnie się oddawała, nierozważnie. Moss dawała się bardzo łatwo uwikłać. Rzuciła się na podwójnym łóżku, rozmyślając. Myśląc ponownie o Nestorze. Nie potrafiła nigdy nawiązywać takich swobodnych relacji jak jej matka, nie latała na randki – zadurzenia Shannon rozwijały się gwałtownie, jej uczucia miały kolce, jak rzepy. Niegdyś fotograf, wspomniał Nestor, i zadumała się nad tym, zastanowiła się, kim on jest, czy zawsze był taki święty. W każdym razie zirytowana tym, w jaki sposób zredukował śmierć dzieci do chrześcijańskiego patosu na temat wieczności, ale pomyślała o kobietach w jego życiu, o tym, czy była w nim teraz jakaś. Próbowwała sobie przypomnieć, czy nosi obrączkę. Pocięty przez szprosy okna blask reflektorów na suficie sypialni przypomniawszy jej lustrzane odbicia Elrica Fleece'a oraz szkielety na drzewach. Statek *Waga*, który zniknął w Głębokich Wodach, powracający zaginionemu marynarze. Sprawiony czarny niedźwiedź pokryty larwami. Sztuczka, jakiej Moss nauczyła się, żeby usnąć, polegała na wyobrażaniu sobie rzeki czarnej wody – stała naga przed wkroczeniem do niej, woda sięgała jej do kolan, do ud, mroczna jak atrament na tle białej skóry, do brzucha, do piersi, a niebawem przykrywała ją, migoczące w górze światło słońca zniknęło, ona sama zapadała głębiej w rozciągającą się ciemność. Kiedy tonęła, już spała.

Dzwonił telefon. Dźwięk jej komórki na stoliku nocnym.

— Halo? – odezwała się.

— Mówi Brock.

Czerwone cyfry unoszące się w ciemności: 2:47.

— Dzwonił właśnie jeden z naszych ludzi w związku z pagerem, który znaleźliście z Nestorem w domu Fleece'a – powiedział Brock. – Coś wykombinował.

— Mów.

— Znaleźliśmy zachowane informacje. Żadnych numerów telefonicznych, tylko kody. Nie odkryliśmy, co oznacza większość z nich, ale znaleźliśmy kilka, które się powtarzają – „kc” i „tzt”. Moi ludzie mówią mi, że to skróty od „kocham cię” albo „tęsknię za tobą”, coś w tym rodzaju. Posługują się nimi nastolatki.

Mursult i kobieta ze zdjęć polaroidowych umawiający się na randki, być może za pomocą kodów, których nauczyli się od swoich córek.

— Miał romans – stwierdziła. – Były tam dwadzieścia cztery zdjęcia kobiety.

— Porównaliśmy billingi telefoniczne rozmów ze stacjonarnego telefonu w domu Mursulta z danymi z pagera i odkryliśmy zbieżności – powiedział Brock. – Kilka razy, gdy na pager przyszła wiadomość „22”, Mursult dzwonił do Blackwater Falls Lodge w hrabstwie Tucker.

Znała wąwóz Blackwater, dostępny w rozległym Parku Narodowym Monongahela, o turystycznych walorach ze względu na oszałamiające wodospady, niczym perły na sznurze Blackwater River. Moss mieszkała kiedyś przez tydzień w schronisku, przemierzając całe kilometry szlaków w wąwozie; za sprawą protezy i nierównego terenu wyczerpujące wędrówki, podczas których przeszukiwała okolice Red Run, dopływu Dry Fork River, gdzie została uratowana przed śmiercią w Terminusie. Szukała odcinka rzeki, nad którym wisiała, szukała zapamiętanego spopielonego drzewa, wypalonej na biało sosny, która zdawała się powielać, ale nie udało się jej znaleźć miejsca swojego ukrzyżowania. Latem wracała często do bungalowów wokół Blackwater Falls, gubiąc się na szlakach, gapiąc się godzinami na dudniące fale i wiry wodospadów Elakala – przypominała sobie o pięknie świata, kiedy bardzo łatwo było jej pamiętać tę okolicę jako pustkowie i lód.

— To schronisko jest kilka godzin jazdy stąd, ale byłoby dobrym miejscem na schadzki – powiedziała. – Romantyczne, na odludziu.

— Mursult telefonował tam dziesiątki razy, dwa w ostatnim miesiącu – rzekł Brock. – Zadzwoń tam, ale recepcjonistka nie miała meldunków nikogo o nazwisku Patrick Mursult. Z samego rana zatelefonuję do biura szeryfa hrabstwa Tucker, zapytam, czy mogą tam kogoś wysłać.

— Ja pojedę – zaoferowała się Shannon, wąpiąc, czy uda jej się usnąć ponownie. – Jestem w Canonsburgu. Mogę tam podjechać. Mam po drodze.

Matka chrapała w pokoju po drugiej stronie korytarza. Moss zeszła ostrożnie na dół, czując się ponownie jak nastolatka, która wymyka się z domu w środku nocy; pamiętała, które stopnie skrzypią, wiedziała, gdzie stanąć, żeby nie zakłócić ciszy. Zaparzyła w kuchni dzbanek kawy, ochlapała twarz wodą, żeby się rozbudzić. Marian Mursult była zaginiona od trzech dni, widziano ją ostatnio w zeszły piątek; za kilka godzin miał wstać poniedziałkowy świt. Butelec z aspiryną nad zlewem, Shannon popiła

pastylki kawą. Jechała pustymi międzystanówkami, z Canonsburga do siedemdziesiątkidziewiątki na południe, do Wirginii Zachodniej; pozwalała, by obrazy wirowały jej w głowie, łączyły się, *Challenger* w ogromie nieba, statek zmarłych zbudowany z paznokci, zimowy las. Autostrada była rzeką asfaltu oświetlonego przez latarnie. Moss była świadoma, że wokół niej wznoszą się góry, ale nie widziała ich, były gargantuicznymi ciemnościami gaszącymi gwiazdy.

Serpentyna przecinała sosnowy las, który otwierał się na parking, gdzie stało zaledwie kilka aut, oddalonych od siebie. Schronisko zostało zbudowane jako długi pawilon o czerwonym dachu, z zewnętrznym kominem paleniska wieńczącym główne wejście. Moss przeszła po kremowych płytkach podłogi pustego lobby o podwieszanym suficie ku stanowisku recepcji w barwie naturalnego drewna wiśniowego, wszystko skąpane w jaskrawym jarzeniowym świetle. Postąpiła chwilę w opuszczonym pomieszczeniu, zaglądając za kontuar do pustego gabinetu kierownika.

— Halo? – odezwała się.

Pomruk odległego telewizora. Poszła za tym dźwiękiem do baru hotelowego, gdzie na półkach na tle luster stały w szeregach różnokolorowe alkohole. Siedziała tam samotna młoda kobieta, która piła kawę i przeglądała w „Vogue’u” tekst o Spice Girls. Była smukła, miała podkolanówki i spódniczkę z wyszytą leśną scenką, jeleni, króliki i polne kwiaty; jej wargę i brew przebijały srebrne kolczyki, włosy – z wyjątkiem ogolonych skroni – miała nastroszone, ufarbowane na metaliczny jaskrawy błękit.

— Halo – powtórzyła Moss.

— Przepraszam – powiedziała młoda kobieta. – Powinnam być w recepcji.

— Pani tutaj rządzi? – zapytała Moss.

— Chce się pani zameldować? – odparła tamta pytaniem. – Powinniśmy mieć wolne pokoje.

Mogła być tuż po dwudziestce, zaraz po studiach albo była to jej studencka praca. Delikatne rysy i piękne, ciemne oczy. Shannon pokazała swoją legitymację.

— Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej – powiedziała. – Zastanawiam się, czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań, być może mi pomóc.

— Jest pani kim, gliną? – chciała wiedzieć młoda kobieta.

— Jestem agentką federalną prowadzącą śledztwa w sprawach przestępstw związanych z marynarką wojenną – odparła Moss.

Takie wyjaśnienie często uspokajało ludzi, którzy mogliby się obawiać, że zostaną wplątani w policyjne dochodzenia; osobom niezwiązanym z siłami zbrojnymi Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej wydawało się czymś odległym, nieszkodliwym.

— Jak FBI? – zapytała tamta. – Ktoś dzwonił całkiem niedawno.

— Nie jestem z FBI – zapewniła ją Shannon.

— Zobaczę, co mogę zrobić – powiedziała młoda kobieta. – Mogę podać alkohol, jeśli chce się pani napić. Albo kawę. Właśnie zaparzyłam świeżą.

— Poproszę kawę. Zwykle śpię o tej porze.

— Czuję się czasami jak wampirzyca – zwierzyła się tamta, wchodząc za bar, żeby przygotować dla Moss kubek kawy. Wystawiła na kontuar cukier i karton mleka ze śmietanką. – Przy okazji, mam na imię Płatek.

— Płatek? – powtórzyła Moss. – Piękne imię. Shannon.

— Tylko podstawowy personel dzisiejszej nocy – powiedziała Płatek. – Mam lobby dla siebie. Reszta personelu zjawi się przed śniadaniem.

— Pracujesz tutaj na stałe? – zapytała Moss.

— Głównie nocami – wyjaśniła dziewczyna. – Dwie noce tygodniowo, niekoniecznie jedna po drugiej. Trudno zaplanować życie bez prawdziwych weekendów. I to nudne. Cieszę się z twojego przyjazdu, mam przynajmniej co robić.

— Znasz może Marian Mursult? Albo Patricka Mursulta? – zapytała Moss.

— Nie brzmi znajomo – odparła Płatek.

— Sądzę, że Patrick Mursult zatrzymywał się tutaj często – powiedziała Shannon. – Jakie informacje o gościach przechowujecie w ewidencji?

— Podstawowe dane. Nazwisko, ilu ludzi się zameldowuje. Tego rodzaju sprawy. Numery kart kredytowych, jeśli nie płacą gotówką.

— Rozmowy telefoniczne z pokoi? Niespodziewane koszty, pokrycie strat?

— Jasne – odpowiedziała dziewczyna.

Moss pokazała jej zdjęcie Mursulta.

— Poznajesz go? – zapytała.

Płatek przyjrzała się uważnie fotografii.

— Nie – stwierdziła. – Ale w godzinach pracy nie mam zbyt wiele do

czynienia z gośćmi. Większość ludzi zameldowuje się, zanim się zjawiam, i wymeldowuje po moim odjeździe, a lwią część czasu spędzają na wędrownkach po lesie. Niekiedy widuję ich w trakcie śniadania, jeśli zostają, żeby coś zjeść.

— Mam daty pobytów tego mężczyzny z mniej więcej ostatniego roku – powiedziała Moss. – Oraz numer telefonu, z którego robił rezerwacje.

— Numer niewiele pomoże – uznała recepcjonistka. – Jednak daty... Możemy spróbować zweryfikować to po datach.

— Możesz to sprawdzić w komputerze?

— Och, nie – odparła dziewczyna. – Nie mamy systemu komputerowego. Grałaś kiedyś w *Memory*?

Usiadły w lobby po dwóch stronach szklanego stolika, obok ognia, który Płatek roznieciła w kamiennym palenisku, a przed sobą miały kilka skoroszytów ułożonych według dat. Każdy zawierał stertę pokwitowań byłych gości, niektóre były ręcznie pisane; Moss zaczęła od najcieńszego skoroszytu, przeglądając nazwiska, numery kart kredytowych i pokoi, informacje, które zlewały się w miarę lektury. Żadnego Patricka Mursulta.

— Czytaj nazwiska na głos, żebym je słyszała – odezwała się Płatek. – Albo... zapomnij o nazwiskach, trzymajmy się numerów kart kredytowych. Mam pomysł. Podawaj mi ostatnie cztery cyfry, ja je zapiszę i sprawdzimy kopie rachunków.

— Dobra – zgodziła się Shannon, nieprzywykła do takiego zaangażowania, ale dziewczyna wydawała się nadzwyczaj skora do pomocy; przygotowała notes i zaczęła zapisywać nową kolumnę obok wiersza, który tworzyła. Moss odczytywała na głos numery kart kredytowych, a Płatek porównywała je ze swoją listą, poszukując powtórzeń. Pracowały niemal czterdzieści minut, robiąc jedynie przerwę na dolanie kawy.

— Czekaj, czekaj... możesz powtórzyć ostatni numer? – poprosiła dziewczyna.

Shannon wyrecytowała go, a tamta powiedziała:

— No proszę. Tak. Znalazłam dopasowanie. Patrick Gannon.

— Patrick Gannon – powtórzyła Moss.

Zanotowała numer karty kredytowej, którą posłużył się „Patrick Gannon”, żeby dokonać rezerwacji. Nie wynajmował pokoju w samym schronisku, tylko jeden z bungalów, które stały wzdłuż południowej krawędzi wąwozu: Domek 22, taki sam numer jak kod z jego pagera. Miała



go. Sprawdziła wszystkie poprzednie pokwitowania – dwoje gości, chociaż nie było informacji o osobie towarzyszącej.

— Coś szczególnego, jeśli chodzi o ten domek? – zapytała Moss. – Albo w związku z nazwiskiem Gannon? Może któryś z twoich współpracowników miałby o nim jakieś informacje? Lub go pamiętał?

— Popytam, gdy zjawi się ranna zmiana – obiecała Płatek, zawiązując swoje jasnoniebieskie włosy w luźny węzeł. – Sprawdzę teczkę Domku 22, zobaczę, czy są jakieś notatki o nim.

— Studiujesz? – zapytała Shannon, kiedy dziewczyna zebrała dokumenty.

— Pracuję od kilku lat – odparła tamta. – Nie wiem, czy chcę iść na studia. Chciałam podróżować z plecakiem po Afryce, ale ojciec znalazł mi to zajęcie.

— Zastanów się nad karierą w organach ścigania – poradziła Moss. – Masz wrodzony talent. Bardzo mi pomogłaś.

Płatek odniosła skoroszyty z rachunkami do biura kierownika, po czym weszła za kontuar recepcji i otworzyła segregator o trzech kółkach podpisany: *Bungalowy*. Przewróciła na koniec, przejrzała kilka formularzy.

— Gniazdo os w Domku numer 22 w 1983 roku – powiedziała. – Wygląda na to, że się tym zajęto. – Otworzyła kolejny segregator, opisany *Zameldowania*, i powiedziała: – O cholera. Gannon jest zameldowany teraz. Domek 22.

— Dziś w nocy? – spytała Moss. Dreszcz adrenaliny. Pomyślała o Marian, zastanowiła się, czy dziewczyna jest w którymś z bungalowów, możliwe, że przetrzymywana.

Płatek sprawdziła tablicę z kluczami na tylnej ścianie, zajrzała ponownie do segregatora.

— Zrobił rezerwację w piątek wieczorem, zameldował się w sobotę i ma domek na tydzień.

Rezerwacja w piątek wieczorem, zabukował chatkę dokładnie wtedy, kiedy została porwana Marian.

— Muszę się tam dostać – powiedziała Moss; nie miała chwili do stracenia, jeśli mogła uwolnić dziewczynę tu i teraz. – Mogę pojechać którąś z dróg prowadzących z parkingu?

— To jakieś dwa kilometry stąd – odparła Płatek. – Trudno trafić w nocy, mogę cię tam zawieźć.

Dziewczyna narzuciła na siebie dwurzędową marynarską kurtkę i poprowadziła Moss przez biura administracji do garażu, gdzie stał ubłocony wózek golfowy. Wyjechały na zewnątrz i ruszyły ścieżką wzdłuż domków, krętym pasem betonu oświetlonym jedynie słabym reflektorem wózka. Moss trzymała się uchwyty, gdy Płatek prowadziła, biorąc szybko zakręty. Mrowie gwiazd tutaj, z dala od rozpraszającego światła miast. Orion i obie Niedźwiedzice były wyraźnie widoczne, ale na niebie dominowała srebrna raca komety Hale’a–Boppa, kosmiczny lód i płomieniste ogony, jak świetlna smuga po kciuku.

Dwadzieścia cztery domki były usytuowane wzdłuż krawędzi wąwozu, stały osobno, oddzielone od siebie gęstymi choinkami. Kilka chat było wynajętych, domyśliła się Moss na widok samochodów ukrytych między drzewami, ale większość bungalowów stała pusta, dla wielu ludzi marzec był nadal zbyt chłodny. Płatek podjechała do jednego z odległych domków.

— To dwadzieścia dwa – powiedziała.

Na zwirowej ścieżce stał zaparkowany jeep wrangler, koło zapasowe okryte osłoną z literami JW\*ZWA. Żadnych świateł. Domek wyglądał na pochłonięty przez noc.

— Płatek, zostań tutaj i zaczekaj, dobra? – poleciła Moss, wysiadając z wózka.

Dziewczyna opatulila się w kurtkę i zapaliła papierosa. Marian może być tutaj, pomyślała Shannon. Ruszyła w stronę domku ścieżką zasypaną igliwem. Noc była tak ciemna, że ledwo widziała wózek golfowy i siedzącą w nim recepcjonistkę, dostrzegając jedynie pomarańczowy koniuszek jej papierosa podskakujący niczym świetlik. Moss zapukała do drzwi i odczekała chwilę. Wewnątrz nic się nie poruszyło, nie zapaliło się światło, żadnego zamieszania. Zapukała głośniejsze.

— Agentka specjalna, NCIS – powiedziała. – Chcę porozmawiać z Patrickiem Mursultem.

Cisza. Rozpięła kaburę, gotowa wyciągnąć broń. Zastukała ponownie, bez skutku. Może nikogo tam nie było; domki były na tyle małe, że usłyszałyby, gdyby ktoś poruszył się w środku.

— Masz klucze? – zawołała za siebie.

— Taa – odpowiedziała Płatek. – Muszę otworzyć ci drzwi. Nie mogę przekazać kluczy kierownika.

Moss obserwowała, jak czubek papierosa zbliża się, podskakując.

Dziewczyna miała pęk kluczy, zezowała, żeby znaleźć ten oznaczony „22”.

— Szkoda, że nie mam latarki – stwierdziła, obchodząc Moss i szukając po omacku zamka drzwi.

Shannon usłyszała odgłos towarzyszący wkładaniu klucza, obracaniu go. Recepcjonistka weszła do środka w chwili, w której Moss uderzyła woń krwi.

— Płatek, nie...

Dziewczyna włączyła światła, ujrzała plamę krwi, krzyknęła, a papieros wypadł jej z ust. Moss chwyciła ją za ramiona, objęła i wyprowadziła z domku.

— W porządku, w porządku... wracaj do biura, wezwij policję.

— Nic mi nie jest – odparła Płatek głosem, w którym bulgotała panika. – Nic mi nie jest, w porządku. Nie widziałam tego, nie widziałam...

Moss ujęła w dłonie twarz dziewczyny, uspokajając ją.

— Posłuchaj mnie, posłuchaj – powiedziała; zauważyła ten moment, gdy Płatek wzięła się w garść. – Wracaj do biura i wezwij policję – poleciła. – Moja komórka nie będzie tutaj działać. Musisz to dla mnie zrobić, dobrze? Wezwij gliny.

Moss odczekała, aż odgłos silnika wózka ścichł w oddali, po czym wróciła do domku. Przydeptała papieros recepcjonistki tłący się na podłodze. Zamknęła za sobą drzwi. Wnętrze było z drewna, z belkowanym sufitem. Zwłoki Patricka Mursulta leżały obok łóżka, głowa była wsparta o materac, ręce skrepowane paskiem za plecami. Ktoś strzelił mu w potylicę, egzekucja. Krew trysnęła z rany wylotowej, oblewając zagłówek, posoka błyszczała w świetle.

Sprawdziła resztę domku. Nikogo więcej w nim nie było, ani śladu Marian. Mursult przebywał tutaj sam. Zauważyła pistolet na podłodze, berettę M9. To mogła być broń służbowa, pomyślała, zastanawiając się, czy beretta należała do Mursulta, czy też zostawił ją zabójca. Ale nawet jeśli to był jego pistolet służbowy, to członkowie SEAL DMK, z którymi współpracowała, zdecydowanie woleli SIG-sauery P226. M9 mogło być bronią wydaną Mursultowi w połowie lat osiemdziesiątych. Poprzedni pistolet.

Przeszywające ciszę syreny usłyszała na długo przed przybyciem pojazdów. Pierwsza na miejscu zjawiała się karetka z Broadus Hospital, Shannon czekała przed domkiem i odesłała sanitariuszy gestem ręki, żeby nie zanieczyścili miejsca zbrodni. Kiedy przybył szeryf hrabstwa Tucker, Moss

poprosiła go, żeby wezwał przez radio FBI. Zastępcy szeryfa obudzili gości w innych chatkach, notowali ich nazwiska i dane kontaktowe, pytali, co słyszeli bądź widzieli. Zjawił się oddział FBI z biura terenowego w Clarksburgu, już w kontakcie z Brockiem, który był w drodze z Pittsburgha.

Komórki nie miały tutaj zasięgu, ale Płatek pozwoliła Moss skorzystać z telefonu w schronisku. Biuro było ciasne, wyposażone w małe metalowe biurko i ozdobione kalendarzem Blackwater Falls ze zdjęciami zrobionymi o różnych porach roku.

Shannon wybrała numer linii zewnętrznej; sądziła, że o tej porze O'Connor będzie spał, zadzwoniła więc na jego numer domowy zamiast do kwatery głównej NCIS. Myślała o nim teraz – kosmyki białych włosów, kłujący zarost – jak siada na łóżku i szura nogami w swoim wielkim domu w Wirginii Zachodniej, żeby zdążyć do dzwoniącego telefonu, zanim dźwięk zakłóci sen młodszej od niego żonie.

— O'Connor – odezwał się.

— Moss – powiedziała. – Znalazłam go. Patrick Mursult nie żyje. Dzwonię z Blackwater Falls Lodge w Wirginii Zachodniej. Wynajmowałam tutaj domek.

— Zabójstwo? – zapytał O'Connor.

— Strzelono mu w tył głowy – wyjaśniła Shannon. – Nadgarstki skrępowane za plecami. Egzekucja. Nie sądzę, żeby Mursult zamordował swoją rodzinę. Ktoś go wytropił, zabił ich wszystkich. Nadal nie mamy wskazówek na temat jego córki.

— FBI zajmie się poszukiwaniem Marian – rzekł O'Connor. – Naszym głównym problemem jest Patrick Mursult, a także Elric Fleece. Rozmawiałem wcześniej z agentem specjalnym Nestorem, wyciągnąłem akta Fleece'a. Marynarka, mat-elektryk, okręty podwodne pod koniec lat siedemdziesiątych, DMK w osiemdziesiątym pierwszym, *Zodiak*.

— *Waga?* – zapytała Moss.

— Zgadza się. Musimy odkryć, w co byli zamieszani ci ludzie, dlaczego nie znajdowali się na statku. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o *Wadze*. Jutro spotykam się z dyrektorem DMK, admirałem Annesleyem.

— Jest coś jeszcze – powiedziała Moss. – Fleece widział Terminusa albo wiedział o nim, jego dom był... Jego posiadłość była ozdobiona rzeźbami wiszących ludzi. Sądzę, że widział przyszłość. Pamiętasz, że kiedy straciłam

nogę, byłam skonfundowana z powodu odbić? Pamiętasz, zdawało mi się, że widziałam samą siebie...

— Oczywiście – odparł O'Connor; tamten okres jej życia był delikatną kwestią w ich stosunkach ze względu na to, że rutynowe ćwiczenie terenowe w dolinie Canaan zakończyło się utratą przez nią nogi. Był niepokieszony, kiedy personel medyczny na *Williamie McKinleyu* wspomniął o amputacji jako jedynym sposobie ocalenia Moss przed gangreną, i był obecny przy dwóch operacjach, podczas których ucięto jej nogę na wysokości uda.

— Ten gość, Fleece, wykonał rzeźbę powieloną w lustrzanych odbiciach – ciągnęła Shannon. – Nie potrafię tego wyjaśnić, ale on wiedział. Myślałam, że Mursult nie latał nigdy na *Wadze*, nie miał przydziału, ale jeśli Fleece wie o Terminusie...

Milczenie na końcu linii.

— Musimy wysforować się przed to śledztwo. Rozprzestrzenia się jak pożar, musimy je opanować – odezwał się O'Connor. – W związku z tym muszę cię wysłać w przyszłość.

Na te słowa szczęki Moss się zacisnęły, barki napięły. Podróżowanie do NTP odbiło się na jej zdrowiu. Lata życia spędzone w przyszłości. Straciła związek, kiedy poprzednim razem udała się w podróż. Miała chłopaka, z którym wyobrażała sobie życie, ale podróżując, jednego poranka opuściła jego łóżko, po czym wróciła przed upływem tygodnia postarzała o cztery lata, zdystansowana wobec niego, z sercem i umysłem już dawno poza momentem, w którym żyła wcześniej.

— Daj mi jeszcze kilka dni – powiedziała. – Mamy tropy. Są zdjęcia kobiety...

— Wyznaczam cię do tego – rzekł O'Connor. – Muszę. Najpierw pojawienie się Mursulta, a teraz Fleece'a. Stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, Shannon. Musimy natychmiast poznać prawdę o tych ludziach. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o *Wadze*.

Za dwadzieścia lat obecne dochodzenie będzie zakończone; wszystko, co się tutaj dzieje, stanie się historią. Przy odrobinie szczęścia ten, kto zamordował Mursulta i jego rodzinę, będzie schwytany, status Mursulta, „zaginiony w akcji”, zostanie wyjaśniony, jego powiązania z *Wagą* zrozumiałe. Moss może się znaleźć w chwili odległej o dwadzieścia lat, w której wręczą jej teczkę z odpowiedziami na wszystkie pytania, z wyjaśnieniami wszelkich wątpliwości. Na biurku stało opracowane w ramkę

zdjęcie pracowników Blackwater Lodge; Shannon wyłowila wśród nich Płatek, na tej fotografii jej włosy nie były niebieskie, naturalny odcień miała ciemny, niemal czarny. Marian, pomyślała Moss. Możesz znaleźć Marian.

— Dobra, udam się w przyszłość – przystała. Nie była w stanie prześlizgnąć się po linii czasu wstecz, żeby zapobiec zniknięciu dziewczyny, masakrze jej rodziny, ale mogła podróżować w przyszłość, żeby się dowiedzieć, co stało się z Marian albo co mogło się stać. Może zdołam ją ocalić, pomyślała. Może nie jesteśmy spóźnieni. – Polecę – powiedziała. – Wyjeżdżam stąd, dotrę do Oceanu przed południem.

— Załatwię wszystko – obiecał O'Connor.

Moss zastała Płatek za kontuarem recepcji. Młoda kobieta płakała wcześniej, oczy miała zaczerwienione, ale wzięła się w garść. Ten świat, terra firma, wydawał się Shannon już odległym wspomnieniem, jakby należał do minionej epoki, skąpany w mgiełce wspomnień. Nawet recepcjonistka zdawała się kimś zapamiętanym z dawnych czasów. Moss wręczyła jej wizytówkę i powiedziała:

— Masz tutaj moje nazwisko, Shannon Moss. Jeśli ktoś z biura szeryfa lub z Federalnego Biura Śledczego zapyta cię o zdarzenia dzisiejszej nocy, zażądaj rozmowy z agentem specjalnym Williamem Brockiem z FBI. Opowiedz mu wszystko.

— Brock – powiedziała Płatek. – Dobra.

— Świetnie się spisałaś – pochwaliła ją Shannon. – Trzymaj się.

Moss wyjechała z Blackwater Falls Lodge. Włączyła radio, żeby zagłuszyć własne myśli, tuner szukał stacji, odbierając zakłócenia. Moss słuchała białego szumu w nocy płonącej od gwiazd. Istniała kobieta, która spotykała się z Mursultem w domku w Blackwater, która go znała, była z nim blisko. Kto to był? Moss myślała o tej nieznannej kobiecie, myślała o Marian. Pomyślała o grupach poszukiwawczych, które w najbliższych dniach przetrząsną lasy, o mężczyznach i kobietach przeczesujących gęstą siatkę kwadratów, wypatrujących wśród sosen śladów dziewczyny. Może ją znajdą, może wydobędą zwłoki Marian z ziemi albo może znajdą jej ciało dopiero po całych miesiącach, gnijące i sponiewierane przez dzikie zwierzęta, lub nie znajdą jej nigdy. Po obu stronach drogi ciągnęły się sosnowe lasy. Moss myślała o Marian, myślała o Courtney. Wyobrażała sobie przyjaciółkę wędrującą samotnie, zabłąkaną między drzewami, jej myśli o Courtney były tak sugestywne, że Moss się zdawało, iż niemal ją widzi, plamę bieli wśród

ogarniającej ciemności lasu, zagubioną dziewczynę, zabłąkaną daleko od domu, zdezorientowaną w nieskończonym lesie, straconą na zawsze.

# Część druga

## **2015–2016**

**...chcę, żeby mnie zaproszono na kolację widm.**

August Strindberg, *Sonata widm*,  
w przekładzie Zygmunta Łaniewskiego



# 1

**S**zara Gołębico, dokładnie na twój znak.

— Jazda – powiedziałam.

Silniki odpaliły, wcisnęło mnie w fotel, toczyłam się po pasie startowym, a kiedy *Szara Gołębica* wzbija się w noc, skręciło mnie w żołądku z powodu stromej trajektorii wzlotu. Ziemia uciekła spode mnie. *Szara Gołębica* grzechotała wokół mnie, trzęsła mną. Zwykle traciłam przytomność podczas startu, przyśpieszenie pozbawiało mój mózg krwi, ale teraz przywykłam do statku, ścisnęłam fotel i przyglądałam się niknącym w dole światłom miast, zamieniającym się w motki lśnienia tak delikatnego, jak oświetlone pajęczyny, które znikają z mojego pola widzenia, zastąpione przez rozległą czerń nocnego oceanu.

— *Szara Gołębico*, przygaś światła – poleciłam.

Światła kokpitu gasną, znikają wskaźniki refleksyjne i wysoko ponad pokrywą chmur czy wszelkimi zanieczyszczeniami świetlnymi ukazują się gwiazdy, niezliczone punkty blasku. Przytłaczające piękno.

— Ptak w locie wygląda dobrze, wszystkie systemy sprawne – przychodzi potwierdzenie z wieży Apollo Soucek, *Szara Gołębica* zaczyna wznosić się jeszcze bardziej stromo, a ja niebawem patrzę prosto w zenit, mając Ziemię dokładnie pod sobą. Odpalają jądrowe silniki sterujące, miażdży mnie nagła siła, trudno wziąć oddech, ale ból trwa tylko sekundy, najwyżej pół minuty, po czym *Szara Gołębica* umyka więżącej ją grawitacji, a ja staję się nieważka. Ziemia kurczy się pode mną, za mną. Czuję dudnienie

silników sterujących w przenikających statek wibracjach i wydaje mi się, że spadam, że wszystko dryfuje i spada.

Podejście do Księżyca było zaledwie kilkugodzinnym lotem, ale nie zadokowałam do Black Vale; przeleciałam obok. A kiedy jego srebrna tarcza zmniejszyła się i ściemniała, z komputerem *Szarej Gołębic*y połączyła się Latarnia Morska Black Vale, po czym przeprowadzono ostatnią kontrolę generatora makropola piany kwantowej Brandt-Lomonaco. *Szara Gołębic*a wleciała w obszar przestrzeni, który DMK nazywało „Niebezpiecznym Sektorem”, gdyż był upstrzony węzłami czasoprzestrzeni B-L, punktami niestabilności wytworzonymi przez silniki B-L podczas żeglugi ku Głębokim Wodom.

Wskaźnik napędu B-L zaświecił się na zielono.

Zerknęłam przez szybę kokpitu na Ziemię niczym żeglarka rzucająca ukradkowo ostatnie spojrzenie na brzeg. Ziemia w oceanie kosmosu, fala żałości, przejmujące doznanie kruchości życia – to były te rzadkie chwile, kiedy czułam przypływ duchowości.

— Marzec 1997 – powiedziałam, przypominając sobie, co mam niebawem opuścić, i przerzuciłam przełącznik.

Napęd B-L zadziałał, tworząc makropole piany kwantowej. Przez moment czułam się tak, jakby istniały we mnie możliwości wszystkich przyszłości, melancholijna słodycz, która się rozpuściła. Makropole piany kwantowej nie było czymś, co zdołałabym kiedykolwiek zobaczyć, nawet gdyby *Szara Gołębic*a była nim otoczona; zmacony system tuneli czasoprzestrzennych, które pojawiały się z rozbłyskiem i zapadały w nicość, wszystko w czasie Plancka. Ziemia, Księżyc i gwiazdy – wszystko zgasło. Żeglowałam przez tunel czasoprzestrzenny. Który z nich, ze wzburzonej piany, przemierzała *Szara Gołębic*a, było kwestią przypadku, każdy tunel do innego odgałęzienia wieloświata przyszłości.

Będę żeglowała w pianie kwantowej przez trzy miesiące, za jedyne światła mając oświetlenie kabiny *Szarej Gołębic*y. Na zewnątrz była bezdenna ciemność, pustka. Odpięłam się od kokpitu, towarzyszące temu dźwięki dziwne w tej upiornej ciszy. Poszybowałam do obszerniejszej części statku, wewnątrz krzywoliniowe, białe. Samotna podróż. Przeczytałam notatki dotyczące sprawy, przeczytałam je ponownie, a z upływem dni oglądałam w kółko pozycje z filmoteki statku – Jean Seberg, Bardot, *Parasolki z Cherbourg*a; słuchałam The Cure, Shanii Twain i Nirvany, długie sesje

muzyki klasycznej, Rachmaninow, Ravel. Zanikanie mięśni i zmniejszanie się masy kośćca to stały problem w stanie nieważkości, więc moja codzienna rutyna obejmowała ćwiczenia fizyczne; przywiązywałam się do bieżni szerokimi pasami ramiennymi i biegałam, korzystając z protezy. Taśmy elastyczne i pompy próżniowe. Kilometry schodów na poduszce dynamicznej.

Trzymiesięczny lot, żeby się przenieść o dziewiętnaście lat.

Przestraszyłam się, kiedy rozległ się sygnał alarmu *Szarej Gołębic*, powiadomienie, że statek nawiązał łączność z Latarnią Morską Black Vale, że wokół mnie ukonstytuowała się nowa rzeczywistość. Włożyłam kombinezon, poszybowałam do kokpitu i przypięłam się do fotela. W pustce ponownie pojawiła się Ziemia, jakby włączono niebieskie światło. Sprawdziłam datę na wskaźniku refleksyjnym: wrzesień 2015. Poczułam ulgę, że moja podróż się kończy, ale przyloty różniły się od odlotów, żadnej radości z ujrzenia domu po tak długiej nieobecności; widok tej przyszłej Ziemi przypominał raczej spojrzenie w lustro i ujrzenie obcej twarzy.

O drugiej nad ranem podchodziłam znad Atlantyku do Bazy Lotnictwa Marynarki Wojennej Oceana, *Szara Gołębica* igłą lecącą nad czarną tkaniną oceanu. Zalane deszczem okna kokpitu, światła odległych okrętów podskakujących na falach, linia brzegowa Wirginii dużo jaśniejsza, niż ją zapamiętałam, nawet w czasie tej okropnej pogody.

— Podejście do Oceany – powiedziałam, wywołując lotnisko. – Cormorant siedem zero siedem golf delta, pułap pięć tysięcy metrów, informacja kilo na pokładzie...

Wybuch zakłóceń radiowych, głos kobiety:

— Cormorant siedem zero siedem golf delta, podejście do Oceany, skręć w lewo na trzy dwa zero, zmniejsz wysokość i pozostań na trzech tysiącach.

Pierwsze głosy po przybyciu wydawały się zawsze tajemnicze, dźwięki strun, które nie zostały jeszcze potrącone. Kobieta z kontroli lotów mogła być w 1997 roku zaledwie dzieckiem albo, jeśli była tutaj bardzo młoda, mogła się jeszcze nie urodzić. W 1997 roku całe jej życie było jedynie warunkiem możliwości, niczym więcej – powołana do istnienia przez moje przybycie tutaj, znikająca, kiedy odleczę. Była duchem nawiedzającym własną potencjalność.

Przed doświadczeniem NTP wyobrażałam sobie podróże w czasie jako coś bardziej konkretnego; sądziłam, że znajomość przyszłości będzie równie

pewna jak przeszłości. Uważałam, że wiedza o przyszłości mogłaby mi pomóc oszukiwać w czymś, na przykład w grze na loterii: widziałabym zwycięskie numery, zanim zostałyby w ogóle wylosowane. To było przed tym, nim zaczęłam uczęszczać na wykłady w Black Vale, nim zaczęłam się przedzierać przez nafaszerowaną wzorami matematycznymi broszurę wyjaśniającą zasady fizyczne stojące za generatorem makropól piany kwantowej Brandt-Lomonaco. Kiedy wspomniałam naszemu instruktorowi o totolotku, wyjaśnił mi, że każdy numer w loterii istnieje jako potencjalny zwycięski numer do chwili, gdy wygrywające liczby zostają fizycznie wylosowane. Tym, czego doświadczę, podróżując do NTP, powiedział, nie będzie obserwowane rzeczywistego wyniku losowania, a jedynie możliwości wygrywających liczb.

— Innymi słowy, nie obstawiaj – zakończył.

— Cormorant siedem golf delta – powiedziała kontrolerka – przechwyć lokalizer do pasa dwa osiem prawy, zezwalam na podejście według ILS do pasa dwa osiem prawy.

Odbicia kropli deszczu były jak cienie gotujące się na moim kombinezonie lotniczym. Kołowałam, kierując się wskazaniem neonowych świateł sygnalisty. Co pewnego dnia będzie realne? NTP odbierało się jak zabłądzenie w domu o rozkładzie podobnym do twojego, jak nieustanne powracanie do nie całkiem znajomych korytarzy, nie do końca znajomych pokoi. Kiedy tylko *Szara Gołębica* wjechała do hangaru, statek otoczyła grupa techników w odbłaskowych kamizelkach z napisem NETWARCOM, którzy zajęli się napędem B-L mieszczącym się w maszynowni na rufie.

Podnoszony trap do kokpitu. Jeden z techników zastukał w przezroczystą osłonę.

— Witaj w Apollo Soucek! – zawołał. – Baza Lotnictwa Marynarki Wojennej Oceana.

Odblokowałam i podniosłam czaszę; doznałam ataku irracjonalnej paniki na myśl o oddychaniu hipotetycznym powietrzem; zdejmując maskę, wstrzymywałam oddech, rozkoszując się ostatnim haustem z butli tlenowej, aż nie byłam w stanie wytrzymać ani chwili dłużej i wypełniłam płuca atmosferą tego miejsca. Odwykłam od grawitacji; kiedy się odpięłam i spróbowałam wyjść z kokpitu, grawitacja ciągnęła mnie w dół jak haki. Technik z NETWARCOM zarzucił sobie na barki moje ramię, pomógł mi wstać z fotela lotniczego i zejść po trapie. W trakcie trzech miesięcy na

pokładzie *Szarej Gołębic* straciłam na wadze, moja proteza była zbyt luźna. Technik posadził mnie w wózku inwalidzkim.

Zdawało mi się, że jedynie przymknęłam oczy, ale kiedy wrócił rój światła, zostałam już przewieziona z hangaru i byłam podłączona do kroplówki w celu nawodnienia. Placówka służby zdrowia, szpitalny pokój. Dwaj sanitariusze przenieśli mnie z wózka na twardej materac, postępując ze mną tak, jakbym była łupiną. Znużenie; czułam, że moje ciało się wyłącza. Rumieniec wstydu, kiedy rozebrali mnie, zdejmując przepocony kombinezon i bieliznę. Ostatnie, co zapamiętałam, zanim pochłonęła mnie głębia snu, to zdanie: „Zmień przynajmniej kanał w telewizorze”; w płaskim odbiorniku leciało *Z Archiwum X*, odcinek, którego nigdy nie widziałam.

Mój ojciec opuścił nas na dwa tygodnie przed moimi szóstymi urodzinami. Mama przeniosła swój fotel na biegunach do mojego pokoju i siadywała przy mnie, póki nie usnęłam, mówiąc każdego wieczoru, że przyjdzie Piaskowy Dziadek i zasypie mi oczy snami. Kiedy raz zapytałam, kim jest Piaskowy Dziadek, odpowiedziała, że to cień, który zakrada się do pokoi śpiących dzieci, przynosząc sny tym grzecznym, a wydłubując oczy złym. Kiedy dociekałam, co Piaskowy Dziadek robi z tymi oczami, powiedziała, że przekazuje je dzieciom, które mają się urodzić, żeby miały czym patrzeć. Każdej nocy, kiedy opuszczałam powieki, słyszałam kołyszący się fotel mamy i bałam się, że Piaskowy Dziadek przyjdzie po moje oczy, i chociaż przywykłam do zasypiania z myślą o nadchodzącym Piaskowym Dziadku, to każdej nocy na nowo czułam strach.

Podróż w czasie wywoływała podobne niepokoje. Do tej pory latałam do NTP siedem razy, ale nie przywykłam nigdy do lęku istnienia w przyszłości; byłam drzazgą rzeczywistości, która przebiła membranę snu. Wszystko, co zdarzyło się po moim wstąpieniu do NCIS, było jak sen, począwszy od pierwszej chwili na cormorancie, gdy moja grupa rekrutów doświadczyła stanu nieważkości. Kiedy przebywaliśmy w Black Vale, nasi instruktorzy zapoznawali nas z zagadkami Głębokiego Czasu; mówili o tym, że nie można skutecznie podróżować w przeszłość, z wyjątkiem tych krótkich zdarzeń zwanych węzłami czasoprzestrzeni i czasopodobnymi krzywymi zamkniętymi, że jesteśmy w stanie przenosić się w przyszłość, ale jedynie do możliwych przyszłości. Realna jest tylko Teraźniejszość, jedynie

Teraźniejszość jest terra firma. Ostrzeżono nas, że na terra firma czas nie mija, kiedy żyjemy w NTP-ach, które na dodatek nie są realne, nie „obiektywnie”. Powiedziano nam, że wpływamy na NTP-y, nawet jeśli tylko je obserwujemy, że zakrzywiają się wokół naszych psyche w sposób subtelny, ale równie pewny, jak potężna grawitacja zakrzywia światło. Efekt jest zwany soczewkowaniem, wrażenie dziwaczne; według instruktora NTP-y można było odczuwać jak sny wewnątrz snów. Podczas któregoś wykładu zapytał nas:

— Co by się stało, gdybyście spotkali w przyszłości kogoś i sprowadzili go ze sobą, żeby zamieszkał na terra firma? Co by się stało, gdyby ta osoba istniała już w teraźniejszości?

Do sali wszedł inny człowiek, idealna kopia naszego instruktora, sobowtór, doppelgänger.

— Mielibyście to, co nazywany echem – powiedział dublet.

Obudziłam się w pokoju szpitalnym.

— Który jest rok? – spytałam pielęgniarkę, która przyszła pobrać mi krew.

— Dwa tysiące piętnasty – odparła.

— Wrzesień?

— Nie spałaś aż tak długo. Tak, nadal mamy wrzesień.

Badanie gęstości kości, badanie wzroku, rezonanse magnetyczne. Fizykoterapia, żeby dojść do siebie po miesiącach nieważkości, ale szybko się dostosowuję, moje ciało radzi sobie znakomicie z adaptowaniem się do nowego sposobu ruchu. Ćwiczenia w celu oswojenia działania grawitacji nie różniły się od treningu po amputacji nogi, od godzin rehabilitacji, podczas których fizykoterapeuci i terapeuci zajęciowi uczyli mnie, jak żyć bez kończyny. Na pokładzie *Szarej Gołębicy* bardzo straciłam na wadze; nie miałam pojęcia, ile kilogramów mi ubyło, ale rysy twarzy miałam ściągnięte, żebra i kości biodrowe sterczące, sylwetkę skurczoną w pełnowymiarowym lustrze. Olbrzymi apetyt, codzienne koktajle proteinowe, czasami dwa razy dziennie; łatwo przekroczyć rekomendowane spożycie kalorii po trzech miesiącach żywienia się filedami proteinowymi, rosyjskimi batonami witaminowymi i pastą owocową z foliowych saszetek. Będę musiała nabrać ciała, żeby przetrwać podróż powrotną do domu.

Piątego dnia po południu rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pomyślałam, że może to któryś z laborantów w celu pobrania krwi do kolejnych badań, ale kiedy otworzyłam, ujrzałam ociężałego mężczyznę, nieco pochylonego przez wiek, łysego, z wyjątkiem siwego wianuszka, z bujną siwą brodą. Miał na sobie brązowy garnitur, a w butonierce jasnobłękitną poszetkę, która pasowała do jaskrawoniebieskiej koszuli. Kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy rozlał się ciepły uśmiech, jak słońce wynurzające się zza chmur.

— No proszę – powiedział. – Na spotkanie z tobą czekałem niemal dwadzieścia lat.

Poznałam go, pamiętałam z czasów, gdy był fizykiem w średnim wieku, mierzył metr dziewięćdziesiąt pięć i miał na głowie szokującego irokeza; szczupły wówczas jak trzcina, w rozpinanym swetrze i wielkich okularach w czarnych oprawkach, teraz był zgarbiony i tęższy, a czubek głowy miał gładki jak otoczak. Doktor Njoku był naukową gwiazdą dochodzeniówki już w czasie, kiedy widziałam go, gdy przemawiał na sesji szkoleniowej w Savannah w związku z jego pracą przy sprawie Faraghera; policyjny organizator śledztw dotyczących ech, owych osobników sprowadzonych z NTP i dublujących żyjących już ludzi.

Przypadki naruszania regulaminu były powszechne wśród marynarzy DMK, epidemia prochów oraz pieniędzy kradzionych w NTP i rozprowadzanych na terra firma. Chociaż negatywne skutki skandalu Tailhook odbiły się w marynarce szerokim echem, to wśród marynarzy DMK nie przeprowadzono reform, ponieważ czyny popełnione w niedopuszczalnych trajektoriach przyszłości uważano zawsze za *niedopuszczalne dowody*, jakby nigdy się nie zdarzyły. Działania Njoku pomogły zmienić ten stan rzeczy. Poświęcił całe lata na śledztwo w sprawie mata Jacka Johna Faraghera, marynarza uprawnionego do samotnych podróży ku Głębokim Wodom, który jednak odbył zamiast tego kilka wypraw w bliską przyszłość, skąd porwał żony przyjaciół i sprowadził te dublety na terra firma, żeby wykorzystywać je seksualnie, a w końcu zabić. Faragher nie przyznał się do winy, jednak sąd uznał, w oparciu o dokonania Njoku, że echa sprowadzone na terra firma powinny być uznane za „żywe” w każdym znaczeniu tego słowa, obdarzone prawami cudzoziemców niezamieszkałych w kraju. Oskarżenia przeciwko Faragherowi podtrzymano, co skończyło się sądem wojskowym, po czym, po szeregu apelacji, karą

śmierci.

— Doktorze Njoku – powitałam go. – Jestem zaszczycona. Słyszałam pana, gdy wygłaszał pan mowę w Savannah.

W jego oczach zamigotała witalność lata, chociaż poruszał się z trudem. Sztywne kolana, ortopedyczne buty. Miał ze sobą cienki srebrny laptop i szare koperty.

— To ja czuję się zaszczycony – odparł. – Jesteś ptakiem w locie, podróżniczką w czasie, reszta z nas to tylko duchy. Proszę, przyniosłem ci prezenty powitalne. – Wręczył mi kopertę. – O’Connor chciał dostarczyć ci to osobiście, ale nie mógł odbyć podróży. Problemy zdrowotne.

Grobowe wieści były powszechne w NTP-ach, ale zawsze szokujące.

— Przykro mi – stwierdziłam, nie wiedząc, jak zareagować inaczej; próbowałam wyobrazić sobie cierpienie O’Connora, powiedzieć sobie, że bez względu na tutejsze okoliczności w 1997 roku jest nadal zdrowy.

— Miewa lepsze i gorsze chwile – wyjaśnił Njoku. – Mieszka w Arizonie, mówi, że suche powietrze dobrze mu robi. Bardzo chciał zobaczyć się z tobą ponownie, ale w niektóre dni... nie może nawet mówić. Przed laty przeżył kilka ataków serca. Musiał mnie wysłać w zastępstwie.

Szkolono nas, żebyśmy nie brali takich osobistych rewelacji za fakty, nie martwili się możliwościami, które widzimy w stanie nierozwiniętym. Seria ataków serca O’Connora mogła się nigdy nie zdarzyć. Otworzyłam zostawioną mi przez niego kopertę: karta Visa, ubezpieczenie samochodu i prawo jazdy. Pięćset dolarów w dwudziestkach. Cienki telefon komórkowy, który wyglądał jak kieszonkowy telewizorek.

— Korzystałaś kiedykolwiek z bankomatu? – zapytał Njoku.

— Jasne, ale podróżujemy z gotówką. Przywiozłam dość, żeby przeżyć.

— Używaj karty debetowej, będziesz miała niewyczerpane zasoby. Oszczędzi ci to roboty papierkowej po powrocie do domu. Twój PIN to 1234. Wszystko opiewa na nazwisko, które nam podałaś.

Prawo jazdy stanu Wirginia, zdjęcie z legitymacji NCIS przerobione tak, że jestem brunetką. Courtney Gimm. Przed odlotem poprosiłam O’Connora o przygotowanie dokumentu, wiedząc, że będę podróżowała pod przybranym nazwiskiem. I oto miałam go po niemal dwudziestu latach od momentu wypełnienia przeze mnie formularzy.

— To jest komórka na kartę – powiedział Njoku. – Jednorazowa, biodegradowalna.



— Nie macie tutaj systemów ambientowych? – zapytałam, myśląc o innych NTP-ach, które odwiedziłam, przyszłościach zamglonych przez nanotechnologię, o powietrzu migoczącym złotym niczym magiczny pył, o halucynacyjnych obrazach, iluzjach, głosach, które odpowiadały, gdy wywołało się je po imieniu. W innych przyszłościach telefony komórkowe były przestarzałe.

— Nie, nic takiego – odparł Njoku.

Wypiliśmy na spółkę dzbanuszek herbaty ulung, oglądając na jego laptopie film zmontowany z obrazów wydarzeń, które ominęły mnie w ubiegłych latach, „Najważniejsze wydarzenia końca XX i początków XXI wieku”, śmierć księżnej Diany i sukienka z plamami nasienia, tysiące zabitych podczas ataku na ośrodek Służb Informacyjnych Sądownictwa Kryminalnego FBI, cierpki szok na widok stojącego w płomieniach biura, w którym pracowałam, ofiary zawinięte w prześcieradła. Wybór Gore’a, padające wieże. Traktat z Iranem, inwazja na Afganistan i Pakistan. Niektóre z tych sytuacji były podobne do zdarzeń w innych NTP-ach, ale w jeszcze innych historia toczyła się odmiennie.

— Co z Terminusem? – zapytałam.

— Oznaczony przez załogę USS *James Garfield* na rok 2067.

Za czasu ludzkiego życia.

— Pokaż mi ponownie ten fragment o ataku na SISK – poprosiłam.

— Największy akt terroru wewnętrznego od zamachu bombowego w Oklahoma City – stwierdził Njoku. – Ponad tysiąc ofiar. Smutny, straszny dzień.

Internetowe obrazy bezpośrednich następstw ataku, zabici leżący na terenach otaczających ośrodek i na rozległym parkingu. Kogo mogłam znać, kto mógł być wśród zabitych? Rashonda Brock, dotarło do mnie, oraz dziewczynki, Brianna i Jasmine; zastanowiłam się, czy zginęły w tym ataku, przypomniałam sobie Brocka tuż przed tym, nim otworzył drzwi sypialni Courtney. „Mam dwie piękne córki”, powiedział. Jednego poranka mógł stracić całą rodzinę.

— Mój gabinet znajduje się w jednej z płonących sekcji – powiedziałam, ten róg gmachu był zasłonięty przez dym na każdym niemal zdjęciu, wrażenie takie, jakby zobaczyć spalony na popiół dom, w którym się niegdyś mieszkało. Pomyślałam o twarzach, które bym rozpoznała. Rashondy Brock, biegnącej korytarzami ciemnymi od dymu, szukającej swoich dzieci. – Był –

poprawiłam się. – Mogłam zginąć w tym ataku. Albo mogłabym zginąć, tyle że wiem...

— Zamachowiec-samobójca, człowiek pracujący w FBI, jego biuro znajdowało się w budynku SISK – rzekł Njoku. – Miał certyfikat bezpieczeństwa.

Zatem zamachowiec pracuje tam teraz, pomyślałam. Mogłam mijać się z nim na korytarzach, mogłam mieć z nim styczność. Nie rozpoznawałam go na zdjęciach ani nie znałam jego nazwiska: Ryan Wrigley Torgersen.

— Co się stało?

— Dziewiętnasty kwietnia 1998 roku – zaczął Njoku. – Torgersen zjawił się w pracy jak każdego innego dnia, przeszedł gładko przez kontrolę bezpieczeństwa – bombę miał zaszytą w ciele, paskudna sprawa – a wcześniej poświęcił sporo czasu na umieszczenie w budynku innych ładunków. Eksplozje spowodowały pewne zniszczenia, ale podrasował sarinem system przeciwpożarowy.

Sarin, pomyślałam. Jeden niuch gazu zabijał w ciągu sekund. Wyobraziłam sobie moich kolegów w wąskich korytarzach, sarin rozpylany ze spryskiwaczy pod sufitem.

— Dlaczego do tego doszło? – zapytałam. – Jaki miał motyw?

— Antyrządowa paranoja – odparł Njoku. – Bardzo prawdopodobne, że inspirowana działaniem Timothy’ego McVeigha. Torgersen kupił plany ośrodka od aktywnego członka bojówki z Wirginii Zachodniej. Musiał uznać, że zniszczenie SISK sparaliżuje organy ścigania.

Njoku napełnił ponownie nasze kubki herbatą i położył na stoliku między nami dwie szare koperty, obie zapieczętowane. Jedna była opisana „Mursult Patrick”. Druga „Mursult Marian”.

Wszelkie nadzieje na to, że Marian Mursult zostanie znaleziona żywa i bezpieczna w okresie między jej zniknięciem a chwilą obecną, rozwiały się teraz na widok jej nazwiska. Rozerwałam pieczęć na aktach Marian, wysunęłam cienki plik dokumentów i rozpłakałam się na widok fotografii na wpół zakopanych fragmentów kości; napływ żalości, którą powstrzymywałam w sercu od chwili, kiedy się dowiedziałam o zaginięciu dziewczyny. Szczątki Marian znaleziono w 2004 roku, zagrzebane w rozległej dziczy wąwozu Blackwater. Zdjęcie tego miejsca ukazywało niewyróżniający się niczym spłacheć błota w zielonym lesie. Pomimo odkrycia szczątków nie pojawił się nigdy żaden inny podejrzany, poza jej

ojcem, i nie wniesiono żadnego oskarżenia kryminalnego. Njoku zgromadził kilka pożółkłych już wycinków prasowych z tamtego okresu. Kolejne zdjęcie Marian, znane z alertu o zaginięciu. Kilka notatek Brocka potwierdzających ustaloną już wersję, że Patrick Mursult zamordował swoją żonę i dzieci, po czym popełnił samobójstwo. Konfuzja; na Patricku Mursulcie wykonano egzekucję, oczywiste zabójstwo. Przejrzałam teksty gazetowe, klepsydry. Tylko ciotka i wuj z Ohio, którzy mieli odczuć ulgę na wiadomość o odnalezieniu szczątków Marian, znieść powszechny smutek, a potem było po wszystkim, sprawa rodziny Mursultów odłożona *ad acta*.

— Dokumenty się mylą – stwierdziłam. – Patrick Mursult został zamordowany. Nie popełnił samobójstwa.

— NCIS i FBI podjęły decyzję, żeby kontrolować wersję prezentowaną publicznie, przekazywaną mediom. Historia o rozszerzonym samobójstwie pomogła zamknąć zewnętrzne dochodzenia. Trop wystygł.

— Znaleźli ją turyści – powiedziałam.

— Przypadek. Nic nie pozostaje zakopane – rzekł Njoku. – Kiedy odkryto jej szczątki, jeden z naszych ludzi dołączył do FBI, ale nie znaleziono niczego, co upoważniałoby do powtórnego otwarcia tej sprawy.

— Ona żyje. Marian może żyć tam, skąd pochodzę – powiedziałam mu, odkładając na bok akta dziewczyny, jakby same kartki były kruche.

Otworzyłam teczkę „Mursult Patrick”.

Strzelec łodzi patrolowej w Wietnamie, związek z Elrikiem Fleece’em potwierdzony. Zdjęcie obu mężczyzn na ich ścigaczu, Fleece chudy, niemal nierozpoznawalny w porównaniu z otyłym cielskiem, które odcięliśmy z drzewa wykonanego z kości, młodszy. Akta zawierały fotografie lustrzanego pokoju, rzeźb. Zdjęcia Kennedy’ego, *Challengera*, łodzi pokrytej obrzynkami paznokci.

— Co z tym? – zapytałam go. – Coś o paznokciach?

— Należały do Elrica Fleece’a – odparł Njoku. – Żadnego przełomu w tej sprawie.

— Jakiś domysł, czym jest „statek do przewozu zmarłych zrobiony z paznokci”?

— Powinno być w notatkach. Mit wikingów, coś związanego z końcem świata.

Znalazłam adnotację: „Nagelfar – statek zbudowany z paznokci zmarłych, żegluje po krańcach świata, żeby prowadzić wojnę z bogami”.

Kolejny zestaw zdjęć, kopie dwudziestu czterech polaroidowych odważnych odbitek znalezionych w worku marynarskim w pokoju gościnnym domu Fleece'a: Nicole Onyongo.

— Ta kobieta została zidentyfikowana? – zapytałam. – Kim ona jest?

— Dzień czy dwa po znalezieniu ciała Patricka Mursulta – odpowiedział Njoku. – Odszukał ją agent specjalny Philip Nestor, korzystając z prowadzonego w schronisku spisu numerów rejestracyjnych samochodów. Przesłuchał ją, ale nie była zamieszana w nasze zabójstwa, pomijając związek seksualny z Mursultem. Miała z nim wieloletni romans, ale była w szoku i pogrążona w smutku z powodu tego, w jaki sposób skończył, co spotkało jego rodzinę. Pamiętam, że bardzo źle przyjęła wiadomość o jego śmierci.

Nicole Onyongo, dyplomowana pielęgniarka w Donnell House, hospicjum powiązany ze szpitalem w Waszyngtonie w Pensylwanii. Jej adres był aktualny, apartamentowiec Castle Tower, w pobliżu miejsca pracy; notatki na temat jej życia, zwyczajów. Zdawało się, że niemal każdą dzienną zmianę spędzała w Donnell House, po czym szła do pobliskiego baru May'rz Inn, gdzie piła przed nocnym powrotem do domu. Jedno ze zdjęć w aktach było kopią jej identyfikatora pracowniczego – była oszałamiająca, niemal onieśmielająca. Oczy piwne. Porównałam fotografię z identyfikatora z tymi erotycznymi, ten sam głęboki odcień skóry. W jaki sposób nawiązała romans z takim facetem jak Mursult?

— Nestor ją przesłuchał? Chcę zobaczyć wszystkie dokumenty, jakie miał na temat tej kobiety – powiedziałam.

— Możemy go odnaleźć – odparł Njoku. – Nie był nigdy wprowadzony w kwestie Głębokich Wód, a jakiś czas temu odszedł z FBI. Sądzę, że sprzedaje broń.

— Nestor? – zapytałam. Nic niezwykłego, że agenci FBI podejmowali inną pracę, wykorzystywali swoje zdolności przywódcze na lepiej płatnych posadach biurowych, ale sprzedaż broni palnej była zaskoczeniem. Nie bardzo wiem dlaczego; przepracowałam z Nestorem tylko jedno popołudnie, nie znałam go, ale, zauroczona, myślałam o nim od tamtej pory. Łagodny głos, fotograf. Chciałam oddzielić go od zapalonych sportowców i maniaków broni, których spotykałam w pracy, ale być może wyobrażałam sobie Nestora jako kogoś, kim nie był. Albo może coś się z nim stało, odkąd go poznałam, coś, co go zmieniło. Życie obiera dziwne ścieżki. Przypomniałam sobie opowieść Nestora o jego ojcu, o drzwiach w lesie prowadzących do innych

lasów.

— Taa, odszukam go. Zobaczę, co mi powie.

— Jest ktoś jeszcze, z kim chciałabyś porozmawiać, ktoś związany ze śledztwem? – zapytał Njoku. – Możemy dotrzeć do nich w twoim imieniu.

— Ta kobieta, Onyongo – odparłam i zastanowiłam się, czy nie porozmawiać z Brockiem, ale tutaj Brock był dla mnie niebezpieczny. Wprowadzono go w sprawę Głębokich Wód, wiedział o Głębokiej Przestrzeni i było możliwe, że w minionych latach dowiedział się także o Głębokim Czasie. Instruowano nas, żebyśmy unikali kontaktów z przedstawicielami rządu i wojska, którzy mogli rozumieć mechanikę podróżowania w czasie, którzy mogli pojąć, że nasze pojawienie się w ich rzeczywistości może oznaczać, że ich świat zniknie wraz z naszym odlotem. Znałam niegdyś agentkę, która w chwili startu miała dwadzieścia cztery lata, po czym ujrzałam ją kilka miesięcy później, kiedy wróciła na terra firma wyniszczona nudą i postarzała. Została uwięziona w jej NTP przez kogoś z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i przez ponad pięćdziesiąt lat przetrzymywana w więzieniu Holman o zaostrzonym rygorze. Jej przypadek nazywaliśmy „motylem pod kloszem”, stała zagrożenie dla agentów działających w Głębokim Czasie. Jeśli Brock wiedział o podróżach w przyszłość, mógł mnie tutaj schwytać i więzić do końca życia.

— Tylko Nicole Onyongo i Nestor – powiedziałam. – Przynajmniej na początku. Ale skontaktuję się z nimi na własną rękę. Nie chcę występować jako przedstawicielka organów ścigania. Mogą nie chcieć mówić.

Prowadzenie starych spraw, zamkniętych od niemal dwóch dekad. Zniechęcające, jak niewielkie postępy poczyniono w tym śledztwie przez cały ten czas, jakby zabicie Mursultów stanowiło jedynie incydentalny przejaw przemocy, było burzliwą pogodą, która uderzyła i przeminęła. Niemniej nowe informacje się pojawiają. Odnajdę Nestora, odnajdę Nicole Onyongo, przesłucham ich osobiście; ludzie często mówią otwarcie o dawno pogrzebanych tragediach, wyjawiają rzeczy, których nie ujawniliby w gorączce trwających wydarzeń. Związki ewoluują, rozpadają się; ludzie, którzy nie mówili wtedy, mogą przemówić teraz.

Przerzuciłam kartki, wracając do przebiegu służby Mursulta.

— Nadal niezbyt wiele – zauważyłam. Samowolne oddalenie się, dezercja. *Zodiak*, *Waga*. – Co z tym? – zapytałam. – Jakież informacje o *Wadze*? Lub *Zodiaku*? O'Connor polecił mi dowiedzieć się wszystkiego

o *Wadze* oraz o tym, dlaczego Mursulta i Elrica Fleece'a nie było na pokładzie.

— Nic – odparł Njoku. – Ich pojawienie się pozostaje niewyjaśnione. *Wagę* uważa się nadal za zaginioną.

Był tam cienki dokument, broszura o klejonym grzbiecie i okładce ozdobionej godłem Dowództwa Marynarki Kosmicznej, złotą kotwicą z linami obejmującymi wizerunek globu. I jeszcze jeden emblemat: kobieta o kasztanowych, powiewających włosach, wznosząca złote szale wagi, postać w obrysie konstelacji w kształcie domu.

„Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, Dowództwo Marynarki Kosmicznej, Lista załogi USS *Waga*”.

Odnalazłam w spisie Patricka Mursulta, mata pierwszej klasy, operatora broni specjalnych, i zobaczyłam jego zdjęcie na tle flagi amerykańskiej, twardego jak krzemień, w granatowym mundurze i białej czapce z daszkiem. Była tutaj także fotografia Elrica Fleece'a, wymienionego jako mat-elektryk, niepodobnego do otyłego samobójcy, którego widziałam, ale przystojniaka o pełnych ustach, sprawiającego w okularach o grubych szklach wrażenie intelektualisty. Pracował dorywczo jako elektryk, przypomniałam sobie, a na tym zdjęciu wyglądał jak pilny magistrant. Nietrudno było mi wyobrazić go sobie z lutownicą w dłoni, majstrującego przy płytach głównych w zagraconym piwnicznym warsztacie pełnym drutów.

— Kryminalne Biuro Śledcze odnalazło żyjących krewnych wszystkich marynarzy zamustrowanych na *Wadze*, ale pytaliśmy o duchy – odezwał się Njoku. – Mursult i Fleece zostali skazani pośmiertnie za dezercję. Przypuszczamy, że nie było ich na *Wadze* podczas startu statku.

Dowódcą *Wagi* była kobieta, Elizabeth Remarque; przejrzałam zapis przebiegu jej służby. Akademiczka, doktorat z inżynierii na MIT. Włosy miała srebrzyste, pierzaste, ostrzyżone na pazia. Kiedy powierzono jej dowództwo, była młodą kobietą; urodzona w 1951 roku, w chwili startu miała trzydzieści cztery lata. Oczy ciemnoniebieskie, pasujące do tła gwiazdzistego sztandaru za jej plecami.

— Znałem komandor Remarque – powiedział Njoku. – Była moją przyjaciółką.

— Służyliście razem?

— Byłem agentem na USS *Rak* – odparł Njoku. – Remarque była naszym oficerem technicznym, wyróżniła się. Uratowała nam wszystkim

życie. Poruczono jej dowództwo *Wagi* ze względu na to, jak poradziła sobie na *Raku*.

— Ocalały tylko trzy statki *Zodiaku* – stwierdziłam. – *Rak*...

— Wystartowaliśmy w 1984, mieliśmy wykonać pięć oddzielnych skoków w Głęboki Czas, ale Remarque odkryła usterki o-ringów w napędzie B-L – powiedział Njoku. – Uszczelki były kruche, nie trzymały, powszechny problem statków tamtej epoki. Sądziliśmy wszyscy, że B-L nie odpali albo eksploduje. Uważaliśmy, że zginiemy, byliśmy tego pewni, jakbyśmy spędzali ostatnie dni na latającej bombie. Jednak Remarque i jej zespół zabrali się do pracy. W ciągu miesiąca wykonali osiemnaście spacerów kosmicznych, wymienili, co tylko mogli, przekonstruowali resztę. Nasz dowódca zrezygnował z dokończenia misji i nakazał rejs do domu. B-L wytrzymał.

— Wykonaliście jednak skok, prawda? – zapytałam. – *Rak* musiał być ostatnim statkiem, którego załoga widziała przyszłość bez Terminusa.

— Pokonaliśmy pięć tysięcy lat – przyznał Njoku. – I widziałem... cuda, Shannon. Cuda, których nigdy nie pojmę. Oceany były gęste jak miód. Pięćdziesiąt pięć miliardów ludzi, a może więcej. Pustynie, wszystko pokryte piachem. Dawne miasta upadły, ale wzniesiono nowe, w kształcie czarnych piramid wspartych na barkach milionów, które żyły w ich cieniu. Całe pokolenia rodziły się, żyły i umierały pod niesionymi miastami. Ruchome metropolie wędrujące w poszukiwaniu wody. Ludzie pod spodem głodowali, byli nadzy, egzystowali dzięki odpadkom i resztkom pozostawionym przez królów zamieszkujących piramidy.

— Może Terminus to wybawienie – zasugerowałam.

Njoku wyrwał się ze swojej zadumy.

— Mogę ci powiedzieć, że bogaci mieli się znakomicie – zapewnił mnie. – Wewnątrz piramid znajdowały się parki rozrywki, grotty, fontanny. Nasza załoga była witana jak zaginione dawno temu dzieci, synom marnotrawnym zapewniono wszelkie wygody. Wszystkie choroby były uleczalne, jeśli było cię stać na kurację. A niektórzy ludzie opuścili swoje ciała, stali się nieśmiertelni, żyli w postaci fal światła, jednak nie mogąc umrzeć, błagali o śmierć, gdyż życie bez upływu czasu staje się bezsensowne. Uważano, że piekło to brak Boga, ale piekło to brak śmierci. – Njoku dopił swoją herbatę, sprawdził czas; prawie dziesiąta wieczorem. – Powinnaś się przespać – powiedział. – Ale jestem ciekawy: jaki ostatni moment zapamiętałaś przed

przybyciem tutaj?

— Na niebie była kometa Hale’a-Boppa – odparłam.

Przez skupienie Njoku przebił się uśmiech.

— Oczywiście, oczywiście, pamiętam, doskonale pamiętam tamte czasy. Wystartowałaś w marcu, prawda? W 1997 roku, mój Boże. Byłem oddelegowany do filii w Bostonie, więc na terra firma jestem tam nadal. Współpracowałem przy pewnym projekcie z fizykami z MIT-u. Załamanie funkcji falowej. Węzły czasoprzestrzeni Brandt-Lomonaco. Załedwie kilka tygodni później poznałem Jaylę... Uczyła gry na saksofonie, grała wtedy w trio. Pamiętam, jak przyglądałem się jej występowi, pamiętam grane przez nią dźwięki, palce przyciskające klapki, jej oddech. Jesteśmy małżeństwem od siedemnastu lat, ale, och, pamiętam tamte czasy.

— Zatem na terra firma masz załedwie kilka tygodni, zanim twoje życie zmieni się na zawsze – powiedziałam.

— Cudownie, Shannon. To cudowna myśl.

— Jestem gotowa cię zluzować – powiedziałam, kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie; zwyczajowa formułka wypowiedzana przez rozstających się marynarzy DMK, zawoalowane przyznanie, że kiedy wrócę do domu na pokładzie *Szarej Gołębicy*, to zniknie każda chwila, którą Njoku przeżył po marcu 1997 roku; cały ten wszechświat, cała ta w pełni uformowana NTP przepadnie równie nagle jak przelotna myśl. Zamiast jednak odpowiedzieć zwyczajowym „Jestem gotów zostać zluzowany”, Njoku uśmiechnął się tylko.

— Trudno było zaakceptować fakt, że moje życie jest iluzją – powiedział. – Czy jesteś z Kryminalnego Biura Śledczego, czy z Dowództwa Marynarki Kosmicznej, kiedy zdradzą ci tajemnicę Głębokich Wód, zgadzasz się, że być może będziesz musiał poświęcić życie dla kraju, że teoretycznie w każdej chwili możesz dojść do wniosku, że twoja egzystencja jest złudzeniem. Racjonalizujesz to, mówisz sobie, że żołnierze umierają za ojczyznę, że policjanci poświęcają życie. „Poświęcają życie” dla większego dobra... Jednak mimo że znam fizykę, na pewnym poziomie nie chciałem uwierzyć, że jeśli kiedykolwiek cię spotkam, Shannon Moss, będzie to dowodzić, iż cały ten kosmos jest jakimś „kieszonkowym wszechświatem”, który zniknie w mgnieniu oka, gdy odlecisz. Kiedy O’Connor przysłał cię do mnie, to jakby wręczył mi wyrok śmierci. Potrafisz to pojąć? Jestem żonaty, mam dzieci, które dorosły i mogą mieć własne potomstwo, ale każdą



szczęśliwą chwilę mojego życia zakłócała świadomość, że wszystko, czego doświadczam, jest nieprawdziwe.

— Jesteś jednak rzeczywisty tam, skąd przyleciałam. Nadal prowadzisz to życie – stwierdziłam.

— Doktor Wally Njoku może być realny, może za kilka tygodni poznać Jaylę, jak powiedziałaś, może mieć rodzinę, ale nie tę samą. Jakie są szanse na to, że konkretny plemnik zapłodni konkretną komórkę jajową? Njoku może mieć dzieci, ale to nie będą te same dzieci, nie będą moje. Będzie szczęśliwy, ale to nie będzie moje szczęście...

— Wiem – powiedziałam mu. – Rozumiem, naprawdę.

— Zaakceptowałem jednak to, że moje życie jest iluzją. Wiesz, jak wygląda kwitnąca cynobrówka? – zapytał. – Ja widziałem raz, to było latem, kilka lat temu. Byliśmy z Jaylą na spacerze i przechodziliśmy obok ogrodu sąsiada, kiedy zauważyliśmy pewien kwiat. Pokazała mi go, a ja poczułem się oczarowany. Pojedyncza łodyga, każdy kielich idealnie symetryczny, pomarańczowy, niemal jak ogień. Byłem oszołomiony, gdyż pierwsze dwa kwiaty, które rosły u podstawy pędu, były w pełni rozwinięte, dwa kolejne zaczynały dopiero rozkwitać, a następne dwa były jeszcze mniejsze i tak dalej, wzdłuż całej łodygi aż do czubka, gdzie znajdowały się dwa pączki zaledwie, które jeszcze w ogóle się nie otworzyły. To była *Lucifer Crocosmia*, ale Jayła знаła ją jako „spadającą gwiazdę”. Wiem, że my, fizycy, interpretujemy istnienie jako przejaw załamania funkcji falowej, wykorzystanie swego rodzaju iluzji kwantowej, krótką fermatę nieoznaczoności, wolę jednak myśleć o sobie i wszystkich moich osobowościach jak o „spadającej gwiazdzie”, jak o wszystkich permutacjach wszelkich wyborów, jakich kiedykolwiek dokonałem i dokonam, istniejąc w każdym momencie, na zawsze. „Wesoło, wesoło”, czyż nie tak mówią prawdziwi żeglarze? Nic nie znika, nic się nie kończy. Wszystko istnieje, zawsze. „Życie jest tylko snem”<sup>1</sup>, Shannon. Osobowość to jedynie złudzenie.

Następnego ranka wyjechałam z Oceany zamówionym dla mnie samochodem, beżowym sedanem. Pojechałam z Bazy Lotnictwa Marynarki Wojennej na północ przez Dystrykt Kolumbii, a potem ku bramkom poboru opłat Pensylwania Turnpike West, myśląc o „spadającej gwiazdzie”. Auto było elektryczne, zasilany z akumulatorów silnik cichy, czułam ciągły

niepokój, że samochód wysprzęglił i jadę siłą rozpędu. Kofeina pomogła mi pokonać wrażenie lunatykowania; zamówiłam czarną kawę w Starbucksie w pobliżu sklepu dyskontowego we Fredericksburgu. W radio muzyka country, piosenki, których wcześniej nie słyszałam i być może nie usłyszę nigdy więcej, ale kiedy góry zamieniły muzykę na FM w szum zakłóceń, przełączyłam na AM i szukałam tak długo, aż znalazłam audycję kaznodziei mówiącego o zmartwychwstaniu. „Wierzysz w zmartwychwstanie ciała?”, zapytał mnie kiedyś Nestor. Przez tunel Allegheny Mountain. Stojące w odosobnieniu domy, zrujnowane magazyny tytoniowe. Widziałam jastrzębie krążące nad stożkowymi piwniczkami solnymi. Jaka była ta droga, kiedy pokonywałam ją ostatnim razem w moim świecie, mniej niż rok temu, ale niemal dwadzieścia lat wcześniej z perspektywy tej rzeczywistości? Jaki był krajobraz? Pogubiłam się, próbując zauważyć różnice. Place pełne rupieci i domy w rdzewiejących rusztowaniach. Wieże telefonii komórkowej, biały kościół w dolinie w pobliżu Breezewood. Nowsze przystanki dla podróżnych, a w nich splukujące się samoczynnie toalety na czujniki. Musiałam podłączyć samochód i naładować akumulatory. Zmiany zaszły w minionych latach stały się wyraźniejsze, kiedy zbliżyłam się do Canonsburga – parki przemysłowe, sześciiany biurowców i osiedla mieszkaniowe wyrastające na pustych niegdyś zielonych wzgórzach. Na wzniesieniach stały białe wiatraki o obracających się leniwie śmigłach i widziałam całe pola pokryte panelami słonecznymi w miejscach, gdzie dawniej rosły uprawy. Wjazd do Canonsburga nadal odczułam jak powrót do domu. Jazda w dół Morganzą była taka sama, tak jak i Pizza Hut na skraju Chartiers Creek.

Sprawdziłam na policji w Canonsburgu, że moja matka wciąż żyje, jej adres wskazywał na pokój 405 w domu opieki Townview. Pod górę wzdłuż Barr, zmierzch już zapadł, gdy wjechałam na parking. Kobiety w wózkach na kółkach oddychały wieczornym powietrzem, starzy mężczyźni palili, *Va banque!* w pokoju rekreacyjnym, partia jukera, zajrzałam grającym w karty, zdenerwowana przed spotkaniem z matką, zastanawiając się, jak bardzo się zmieniła.

Windą na trzecie piętro, oprawione w ramki obrazy wiejskich domów, flory. Mama mówiła zawsze, że nie chce skończyć w podobnym miejscu, że powinnam ją zabić, zamiast pozwolić, żeby tak się stało.

Drzwi pokoju 405 były otwarte, telewizor ryczał. Pomieszczenie było sterylne na podobieństwo gabinetów lekarskich, kolorystyka, jakiej nie

wybrałoby się do domu – niebieski i fuksja, tapeta w białe kwiatki. Taca z jedzeniem na obrotowym uchwycie, przesunięta nad posłanie, plastikowe naczynia i kartonik z mlekiem taki sam, z jakiego piją przedszkolaki. Na stoliku nocnym doniczkowe hiacynty napełniające pokój słodkim zapachem maskującym bardziej pierwotną woń ciała mojej matki.

— Chyba skończyła się moja dawka – powiedziała. – Jestem śpiąca...

Kiedy odwróciła się do mnie, mrugnęłam na widok wklęsłości w jej twarzy. Głowa miała inny kształt, była zapadnięta w sobie; matce usunięto znaczną część szczęki. Za sprawą prześcieradła na nogach i zabandażowanych odleżyn na przedramionach przypominała mumię.

— Mamo – odezwałam się.

— Och – westchnęła. – Och, myślałam, że to pielęgniarka. Shannon?

— To ja, mamo.

— Niemożliwe. Nie wierzę.

Podparła się na łokciach, koszula się obsunęła, odsłaniając skórę na barkach, bardziej zwiotczałą z powodu wieku, miększą, jak się zdawało, i pokrytą białym meszkiem. Włosy miała zmierzwione, wyglądały na tłuste, jakby niemyte od kilku dni.

— Nie zmieniłaś się ani trochę – stwierdziła. – Tylko spójrz na siebie, Shannon. Gdzie się podziewałaś? Opuściłaś mnie. Zostawiłaś samą.

— Oddelegowano mnie – odparłam, kłamstwo nie mniej podłe, mimo że w pewnym sensie prawdziwe. – Musiałam wyjechać.

— Ja... spójrz na mnie – powiedziała, naciągając ponownie koszulę na ramiona. – Jestem taka zażenowana. Nie powinnaś mnie takiej oglądać. Nie powinnaś widzieć swojej matki w takim stanie. Powinnaś im powiedzieć, że przyjeżdżasz, ubrałabym się.

Artykulację miała zmienioną z powodu operacji, blizn, które wiły się na jej podbródku i szyi jak białe larwy, kiedy mówiła.

— W porządku, mamo – zapewniłam ją. – Lubię cię odwiedzać.

— Codziennie przychodzą nowe pielęgniarki, które się o mnie nie troszczą. Słonko? Jesteś tam, Słonko? Chodź tutaj, Słonko...

— Jestem tu – odparłam, ale kiedy zrobiłam krok w stronę łóżka, matka powiedziała:

— Nie ty.

W drzwiach pojawiła się stara kobieta na wózku inwalidzkim, o włosach jak motek stalowej przędzy. Słonko odepchnęła się stopami w białych

tenisówkach i pomagając sobie dłońmi obracającymi kółka wózka, zaparkowała w pokoju i spojrzała na mnie.

— To o niej ci opowiadałam, Słonko – powiedziała mama. – Moja córka.

— Jestem Shannon – przedstawiłam się, rozumiejąc, że podczas mojej wieloletniej nieobecności zostałam potępiona. – Miło mi panią poznać.

Słonko roześmiała się, straszliwe świszczenie.

— Słonko jest moją przyjaciółką, jedyną – wyjaśniła matka. – Nazywamy to miejsce domem duchów, bo czujemy się tutaj jak zjawy.

— Jasna sprawa – potwierdziła Słonko.

Przysunęłam sobie krzesło do łóżka i ujęłam dłoń matki. Była wiotka, tylko żyły, kości i skóra jak papier pakunkowy.

— Co się stało? – zapytałam. – Chorowałam.

— Mówią, że jestem twardą sztuką, Shannon – odparła. – Zbyt dzielną, żeby śmierć mnie zjadła.

Rak jelita i jamy ustnej, wyjaśniła. Lekarze wycięli jej część szczęki i usunęli zrakowaciały fragment. Rozcięli tchawicę. Usunęli zaatakowany odcinek jelita i zostawili ją z woreczkiem na kał.

— Jadłam tylko odżywki i suplementy – powiedziała. – Chyba całymi latami. Bardzo długo miałam sondę do karmienia, wprowadzoną wprost do żołądka, dokładnie tędy – ciągnęła, wskazując miejsce tuż nad pępkiem. – Schudłam.

— Zawsze byłaś szczupła – odpowiedziałam.

— Trudno mi żuć, nawet teraz nie mogę dużo zjeść. Nie wydaje mi się, żeby te pielęgniarki wiedziały, co robią.

Ledwie uszczknęła plaster indyka i ziemniaki purée z tacy z kolacją.

— Dziewiętnaście lat – powiedziała. – Zniknęłaś w 1997 roku. Nie wróciłaś, nie pożegnałaś się. Co o tym sądzisz, Słonko? Twój chłopcy to nic dobrego, poznałam ich, zawsze próbują wyciągnąć od ciebie forszę, ale przynajmniej cię odwiedzają. Moja córka mnie zostawiła.

— Niedobrze – stwierdziła Słonko.

— Eksperymentowali na mnie – powiedziała matka. – Kiedy mnie tak zmasakrowali, złożył mi wizytę pewien lekarz, akwizytor. Powiedział, że jestem śmiertelnie chora, ale idealna ze mnie kandydatka, więc chcieli wiedzieć, czy za tysiąc dolarów zgodzę się uczestniczyć w ich testach. Byłam jedną z pierwszych w całym kraju. Trzy zastrzyki, to wszystko. W mojej krwi pływają malutkie roboty, znajdują komórki rakowe i je zabijają. Po tych

wszystkich latach, całym tym cierpieniu – trzy iniekcje. Kiedyś opowiesz swoim dzieciom, że ich babcia była uczestniczką pierwszych badań.

Lekarstwo na raka.

— To... cudowne – wyjąkałam. Słyszałam pogłoski o dalekich NTP, w których rozwiązano problem chorób, ale lek na raka przed 2015 rokiem? – Wyleczyli cię?

— Królik doświadczalny – rzekła. – Miałam szczęście, nigdy nie mogłabym sobie na to pozwolić. Mogę opowiedzieć ci sen? O tobie. Kiedy zniknęłaś, a ja porzuciłam nadzieję, że kiedykolwiek wrócisz, śniło mi się, że szłam ulicą, jedną z ulic w Europie, stare kamienice, stare mieszkania. Usłyszałam odgłos pęknięcia i ujrzałam, że rozpadła się ściana budynku. Trzask drewna, desek podłogowych. Mieszkanie stało w ogniu, widziałam strzelające z okien płomienie, jasnopomarańczowe, sięgające pod niebo. Byłaś zaledwie dzieckiem, bawiłaś się na chodniku, moja słodka dziewczynka. Podbiegłam do ciebie i porwałam cię w objęcia tuż przed tym, jak budynek się zawalił. Uratowałam cię, Shannon, kiedy jednak spojrzałam na ciebie, moje ramiona były puste.

— To tylko sen – powiedziałam.

— Straszna rzecz śnić coś takiego – stwierdziła.

Siedziałyśmy wraz ze Słonkiem ponad godzinę, większość czasu przemijała w milczeniu, patrzyłyśmy we trzy w telewizor, konkurs wokalny z sędziami obracającymi się w futurystycznych fotelach. Pielęgniarka zmieniła matce worek na kał; rumieniec zażenowania na jej użytek, kobiety oddanej temu mężczyźnie, zajmującemu się jej ciałem tak, jakby było tylko koszem na śmieci, który trzeba opróżnić.

— Opuściłaś mnie. Tak samo jak on – odezwała się, wiedząc, gdzie zagłębić nóż.

— Zostałam wysłana – powtórzyłam puste kłamstwo.

— Wysłana, zawsze w misji. Straciłaś nogę, postarzałaś się, okropnie się postarzałaś, zawsze taka stara, za stara, zawsze starzejąca się tak szybko, że myślałam, iż jesteśmy w tym samym wieku, ale teraz jesteś tutaj i nie postarzałaś się przez dwadzieścia lat. To choroba...

— Byłam na morzu.

— Dziewiętnaście lat bez jednego słowa, ty i twój ojciec.

— Wiem – powiedziałam.

— Czy ty w ogóle pamiętasz swojego ojca? – zapytała. – Odszedł, kiedy

byłaś mała, ale założę się, że coś pamiętasz.

Nic prócz obrazów, potrzaskanych witraży, co do których miałam nadzieję, że mogą zostać złożone ponownie w podobiznę świętego.

— Pamiętam jego zdjęcie, które stało na obramowaniu kominka – odparłam. – Głównie tak go pamiętam.

— Tak chciałam, żebyś pamiętała swojego ojca, kiedy byłaś młodsza. Chciałam, żebyś miała miłe wspomnienia.

— Pamiętam, że podnosił mnie wysoko – dodałam.

— Zastanawiałam się, czy czujesz od niego zapach tej drugiej kobiety – powiedziała matka.

— Proszę, nie...

— Chyba nie jesteś aż taka delikatna, co? Wracasz po tych wszystkich latach i spodziewasz się, że cię z nim nie porównam? Wszystkie tutaj jesteście dorosłe. A może chcesz być mu wierna? – zapytała. – Nie jest tego wart. Czułam od niego jej zapach, kiedy wracał spóźniony do domu na kolację, potem cię ścisnął, a ja się zastanawiałam, czy ją czujesz. Czy to nie straszne, że kobieta się zastanawia, czy jej mała córeczka rozpoznaje zapach innej kobiety?

Ojciec pachniał dymem fajkowym. Jego oddech czasami gumą Wintergreen.

— Nie musimy o tym rozmawiać – powiedziałam.

Bardzo niewiele wspomnień o ojcu. Flanelowe koszule i džinsy, albo może tylko jedno wspomnienie rozciągnięte na lata. Dym fajkowy, wintergreen. Niechlujny – widzę go z brodą albo szczecina, nawet mimo że obraz, który pamiętam najwyraźniej, to jego zdjęcie znad kominka, młodego marynarza jak z żurnala.

— Pamiętam jego flanelowe koszule – dodałam.

— Nie wierzę, że to ty – rzekła matka. – Myślę, że jesteś snem albo koszmarem, który mnie dręczy. Czy ja śnię, Słonko?

— Mam nadzieję, że śnimy, ty i ja – odparła jej przyjaciółka.

— Nie możesz zniknąć tak po prostu na dziewiętnaście lat – odezwała się matka. – Ty i twój ojciec.

— Przepraszam – powiedziałam. Wstałam i wyszłam, nie chcąc płakać na jej oczach.

Powietrze w korytarzu było gęste od zapachów medykamentów i środków dezynfekcyjnych. Gdzieś, w którymś z pokoi, krzyczała kobieta,

co brzmiało, jakby płonęła żywcem. Musiałam sobie przypomnieć, że ten świat jest fałszywy, że jej oskarżenia pod moim adresem także nie są prawdziwe; to mój ojciec odszedł od nas. Czułam się winna z powodu czegoś, czego nie zrobiłam – nie opuściłam jej nigdy, będę z nią ponownie po powrocie z tej NTP, jakby nie minęła ani chwila. Dla niej w każdym razie. Kiedy myślałam o zdjęciu ojca na gzymsie naszego kominka, stosowałam zawsze wobec niego przywilej domniemanej niewinności, na jakimś poziomie oskarżając matkę o to, że nas zostawił – nie w porządku z mojej strony, ale myślałam o niej w centrum telemarketingowym, o jej braku większych ambicji, pijaczka spędzająca godziny u McGrogana na przelewaniu życia, i myślałam: „Nic dziwnego, że ten facet odszedł”. Miałam do niej pretensje, że go straciła. Oddała go. Oddała wszystko, nie zatrzymując niczego.

Wróciłam do pokoju. Słonko i matka ponownie zwróciły uwagę na telewizor, nieobecny uśmiech wykrzywił twarz matki, gdy nuciła wraz z jednym z uczestników konkursu muzycznego.

— Mamo?

— Za późno, za późno – odpowiedziała. Opadła na poduszkę, zamknęła oczy.

Pocałowałam ją w czoło, skórę miała lepką i wilgotną, czuć ją było potem. Zaczęłam płakać gwałtowniej, ta NTP wydobywała na powierzchnię zbyt wiele bólu. To tylko wersja prawdy, mówiłam sobie, NTP wypacza się wokół umysłu obserwatora, czarna dziura zakrzywiająca światło. Zastanawiałam się zawsze, czy odziedziczyłam coś po ojcu, mając czasem nadzieję, że tak, wyobrażając sobie jego skomplikowane życie wewnętrzne, wyraźny kontrast w stosunku do matki, która patrzyła zawsze na zewnątrz. Po śmierci Courtney czułam się bardzo samotna i potrzebowałam jej wtedy, pragnęłam matki, chciałam, żeby pokazała mi, jak się uporać z taką stratą, ale trzymała się na dystans. Jej krąg znajomych u McGrogana, przesiadywanie do późna w nocy, podczas gdy jej córka dryfowała bez cum. Zwykłam myśleć, że ojciec starał się ją kochać, ale jej nigdy dla niego nie było, w końcu odepchnęła go od siebie. Obrażona marzyłam na jawie, że ja także ją opuszczam. Ale po jego odejściu była jedyną osobą, jaka mi pozostała. Została nawet wtedy, gdy wszyscy inni w jej życiu ją porzucili, kiedy ja ją porzuciłam.

Brązowe oczy Słonka były stawami, które mnie zapraszały, żeby w nich

utonąć.

— Będziemy trzymać się razem – powiedziała. – Kiedy się obudzi, powiem jej, że byłaś jedynie duchem, kaprysem umysłu.

Odszukałam w dyżurce jedną z pielęgniarek matki, stukając pazurami w wyświetlacz telefonu.

— Przepraszam – powiedziałam. – Moja matka była poddana kuracji z powodu raka, wspomniała o terapii zastrzykami. Amanda Moss.

Pielęgniarka wyglądała na zirytowaną, że oderwałam ją od telefonu; rzuciła na blat broszurę *Nieinwazyjna terapia rakowa*. Phasal Systems. Wiedziałam o istnieniu Phasal, firmy wydzielonej z Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej – w większości innych NTP-ów Phasal rozrosła się do molocha w dziedzinie łączności i mediów, twórcy systemów ambientowych. W tej przyszłości Phasal była firmą farmaceutyczną; inne NTP-y mogły się cieszyć cudami nanosfery zamiast smartfonami, tutaj jednak istniało lekarstwo na raka. Środek dostarczany bezpośrednio do komórek. Inteligentne leki, nanozastrzyki.

— Dostała preparat dzięki wsparciu rządu – wyjaśniła pielęgniarka. – Ale trzeba być bogatym, żeby żyć wiecznie.

Zameldowałam się w Red Roof Inn, gdzie akceptowano gotówkę. Pomieszczenie biurowe obok lobby, pokój z komputerami i drukarką. Zalogowałam się kartą do pokoju, Google okazało się całkiem proste w obsłudze, kiedy już recepcjonistka pokazała mi, gdzie klikać. Godziny poszukiwań Marian, skrobania notatek na hotelowym papierze listowym. *Philip Nestor + Wirginia Zachodnia* przerzuciło mnie na stronę o nazwie „Orle Gniazdo”. Memorabilia z okresu drugiej wojny światowej. Zakładka SKLEP ukazała planszę z nazistowskimi artefaktami, flagami i zabytkową bronią. Zjeżyłam się na widok swastyk, zastanawiając się, czy chodzi o tego samego człowieka, którego znałam, czy też może znalazłam niewłaściwego Philipa Nestora. Niezbyt wiele informacji na stronie, ale WYDARZENIA informowały o zbliżających się targach, Monroeville Broń i Amunicja, za zaledwie kilka tygodni. Mogłabym go tam spotkać.

Skąpe informacje o Nicole Onyongo, kobiecie ze zdjęć Mursulta. Trafiłam na dokument PDF z biura szeryfa dotyczący pobytu Nicole w więzieniu okręgowym w związku z narkotykami; kolejny powód, żeby nie



błyskać odznaką i nie zasypywać jej pytaniami na temat dawnego morderstwa. Akta Njoku wskazywały, że jest bywalczynią baru o nazwie May'rz Inn. Pomyślałam o matce, o tym, że jeśli nie była w domu, to siedziała u McGrogana. Nazwa baru Nicole Onyongo brzmiała znajomo, sprawdziłam więc adres i dowiedziałam się, gdzie znajduje się lokal, na South Main, zaledwie dziesięć minut jazdy z Red Roof do centrum Waszyngtonu. Niemal północ, ale spora szansa, że bar będzie nadal otwarty, wyjęłam więc kartę z komputera i pojechałam tam. May'rz Inn było speluną w szeregu przeważnie opustoszałych witryn sklepowych, gnieźdzącą się obok Bradford House, kamiennego georgiańskiego budynku z osiemnastego wieku, z okresu Whiskey Rebellion. Żadnych okien, tylko szmaragdowozielone drzwi wejściowe pod markizą. PALENIE DOZWOLONE. W ŚRODĘ SKRZYDEŁKA. Zaparkowałam na pustej ulicy od frontu.

May'rz oświetlał neon, a blask telewizora nad barem był zamglony przez unoszący się dym. Wąskie pomieszczenie, stukot kul bilardowych w tylnej sali, Led Zeppelin z szafy grającej. Lokal był niemal pusty, ale siedziała przy barze, jej papieros tlił się, gdy rozmawiała z barmanem. Nicole Onyongo była starsza niż na widzianych przeze mnie fotografiach, wyższa, niż się spodziewałam, ale ruszając się, wiała się jak pasmo dymu unoszącego się z jej papierosa. Zauważyła, że ją obserwuję, oczy miała zdumiewające, o barwie drewna tekowego, ale surowe, wyraz twarzy taki, jakby zwątpiła już we wszystko, co kiedykolwiek powiem.

— Podać coś? – zapytał barman.

— Szukam kogoś – odparłam, idąc do wyjścia.

FBI przesłuchiwało tę kobietę. Nestor ją przesłuchiwał. NCIS także z nią rozmawiało, może i O'Connor. Nawet jeśli w okresie po zamordowaniu Mursulta izolowała się emocjonalnie, mogła mówić teraz. Była blisko z Mursultem, jej wspomnienia o nim były dla mnie cenne.

Obok May'rz stał podupadły budynek, z przodu napis WOLNE POKOJE. Zanotowałam numer telefonu właściciela, zadzwoniłam po powrocie do Red Roof. Niemal pierwsza nad ranem, spodziewałam się, że zostawię wiadomość na automatycznej sekretarce, ale odezwał się mężczyzna, akcent wschodnioeuropejski, niemal zbyt twardy, żeby dało się go zrozumieć.

— Przyjdź jutro – powiedział. – Rano. Dam ci wtedy klucze.

— Mogę zapłacić gotówką?

— Wyłącznie – odparł.

Następnego ranka wręczyłam mu kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc, żadnej umowy najmu, opłaty z miesiąca na miesiąc. Wprowadziłam się po południu, mieszkanie było jednopokojowe, na drugim piętrze, bez windy. Zanim zdołałam podnieść okna, musiałam nożem odkrobać z nich lakier. Zniszczone drewniane podłogi, listwy pokryte kilkoma warstwami kremowej farby. Nad zlewem taki sam kran, jaki pamiętałam z domu babci, także szafki były podobne; efekt soczewkowania, domyśliłam się, detale istniejące tylko dlatego, że jestem tą, która ma je widzieć. Na terra firma to mieszkanie mogło różnić się odrobinę. Przyniosłam ze sobą z Red Roof Inn bloki papieru listowego, usiadłam teraz przy starym biurku, które stanowiło część wyposażenia, i rysowałam – szkicowałam w końcu ukrzyżowane szkielety.

*Patrick Mursult*, napisałam. *Elric Fleece*. *Waga*.

Pomyślałam o Remarque, dowódcy *Wagi*, o tym, w jaki sposób uratowała *Raka*. *O-ringi*, napisałam, zastanawiając się, czy w *Wadze* też zawiodły uszczelki... Ale czy Remarque nie wiedziałaaby o tym? Nie ocalałaby *Wagi* w taki sam sposób, w jaki uratowała *Raka*?

Podarłam notatki na malutkie kawałeczki i spojrzałam ponownie na zdjęcie Remarque z akt załogi *Wagi*. Atrakcyjna kobieta, pewna siebie, nawet na fotografii wyglądała tak, jakby była w stanie przechytrzyć świat.

Co się z tobą stało?

Kilka tygodni do chwili, kiedy Nestor mógł się pojawić w Monroeville na targach broni, gdzie zapytałabym go o Patricka Mursulta, śmierć Marian i odnalezienie jej szczątków, o to, jak to wszystko się rozegrało. Miałam dość czasu. Większość poranków spędzałam na spacerach po centrum Waszyngtonu, na poznawaniu układu tego miejsca; kupiłam w centrum handlowym kilka ciuchów odpowiadających stylowo tym noszonym obecnie przez kobiety, wygodne ubrania, bluzę Mountaineers, obcisły sportowy tank top, luźne spodnie. Zmywalną farbę do włosów L'Oréal, żeby wyglądać jak na zdjęciu w prawie jazdy, elegancki ciemny kolor, który wyostrzył mi rysy, kości policzkowe i zarys szczęki; poczułam się mocniejsza i bardziej zadziorna, niż będąc blondynką.

Wieczory przeważnie w May'rz, stałam się bywalczynią, i Nicole też tam bywała w większość nocy. Przychodziła pić, palić i oglądać telewizję,

siadywałyśmy o kilka stołków od siebie, zabijając w milczeniu czas, aż minął jakiś tydzień, był czwartek, blisko północy, kiedy niezle się zaprawiłyśmy. Rozpętała się wczesna na tę porę roku burza śnieżna, wchodzący do May'rz tupali i strzepywali śnieg z kołnierzy. Przekonałam się, że Nicole pija manhattany, więc postawiłam jej jednego.

— Jestem Courtney – powiedziałam, wzmacniając zaciąganie z Guntown, które zresztą i tak było słychać w moim głosie. – Pora się przedstawić.

— Cole – odparła. Afrykański akcent, śpiewny, melodyjny. Uścisnęłyśmy sobie ręce, dłonie miała szorstkie, zdawało się, że niemal zrogowaciałe. Nosila bransoletkę w kształcie węża. Przynęła się do mnie o jedno miejsce, zapaliła kolejnego parlamenta. – Mieszkasz w okolicy?

— Tuż obok – odpowiedziałam. – W tej zasranej norze, biały dom. Kilka dni temu wynajęłam tam mieszkanie, więc piję tutaj i wtaczam się na górę, kiedy mnie stąd wykopią.

— Kiedy zaczęłaś się pojawiać, pomyślałam z początku, że pracujesz w firmie gazowniczej – powiedziała Nicole – ale potem mi się wydało, że cię poznaję. Spotkałyśmy się już?

— Nie sądzę. Chodziłaś tutaj do ogólniaka? Ja byłam w Can-Mac.

— Dorastałam w Kenii – rzekła. – Co pijesz?

— Rum z wiśniową colą.

Postawiła następną kolejkę. Okazała się gadatliwa, chętna do rozmowy, sączyła mi do ucha szczegóły na temat swoich codziennych zajęć, harówki w hospicjum. Kierowałam ją w stronę przeszłości, zadając otwarcie pytania o byłych chłopaków, licząc na to, że wspomni o Patricku Mursulcie, do czego mogłabym się przyczepić, ale zamiast tego poznałam najdrobniejsze szczegóły dotyczące Donnell House, jego personelu, radości z pomagania ludziom oraz doznań grzesznej ulgi ogarniającej Nicole za każdym razem, kiedy umierał w końcu któryś z jej trudniejszych podopiecznych; zdarzenia, które świętowała kieliszkiem jägermeistra.

Widywałam Nicole w May'rz niemal co wieczór, czasami kontentując się tylko pobytem w barze, jego atmosferą, jej towarzystwem i paplaniną. W niektóre noce zapominałam całkowicie o Shannon Moss i żyłam jak Courtney Gimm. Łatwo przybrać nową tożsamość i pozwolić, by stare życie się rozpuściło; nie było tutaj nic pilnego, bo bez względu na to, jak długo tu zabawię, wrócę do chwili, którą opuściłam. Mogłam pozwolić przemijać

czasowi, prowadzić dowolne życie, jakie chciałam. Mogłam się tutaj zagubić, więc przypomiinałam sobie często, po co przybyłam. Każdej nocy przed zaśnięciem spoglądałam na fotografię Marian Mursult, którą trzymałam na biurku. Żyjesz, szeptałam. Nadal żyjesz. Obok zdjęcia położyłam arkusz papeteryjny z Red Roof i napisałam czarnym markerem: ŻYCIE JEST SILNIEJSZE NIŻ CZAS.



1. Słowa pochodzące z rymowanki dziecięcej: *Row, row, row your boat...*, „Wiosłuj, wiosłuj, wiosłuj w swojej łódce/Lekko w dół strumienia/Wesoło, wesoło, wesoło, wesoło/Życie jest tylko snem” (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

## 2

**T**ablice stały przy Old William Penn Highway: BROŃ I AMUNICJA – W TEN WEEKEND. Znalazłam centrum zlotu przy Monroeville Mall, obok sklepu Babies „R” Us, parking był pełny, dodatkowe miejsca postojowe zapewniał plac opuszczonego biurowca po drugiej stronie ulicy. Bilet za dziewięć dolarów, żeby wejść na targi; bileter zapytał, czy mam broń.

Nie ma miejsca na udawanie, fałszywe dowody tożsamości, gdyż Nestor mógł mnie rozpoznać i tak. Pokazałam swoją odznakę.

— Biuro Śledcze Marynarki Wojennej.

— Jesteś od Gibbsa?

— Nie wiem, co to jest.

— Z serialu telewizyjnego – powiedział, przedzierając mój bilet i stemplując dłoń orłem.

— Jestem agentką federalną.

— No wiesz, serial telewizyjny – powtórzył.

Salę konwentową wypełniały wijące się szeregi składanych stolików. Szukałam w tłumach Nestora. Amunicja i wysuszeni na wiór sprzedawcy, niektóre stoły jak z pchłego targu z przypadkowym złomem, ze starymi łukowatymi magazynkami do AK-47 i zardzewiałymi winchesterami. Stoły z bronią białą – noże sprężynowe z rękojeściami w kolorach kamieni szlachetnych. Jaskrawozielone topory do polowania i zabijania zombi; zastanowiłam się, czy rzeczywiście o to chodzi. Ktoś zapytał, czy nie

potrzebuję pojemnika z gazem łzawiącym do samoobrony.

— Dobrze by ci w tym było – oświadczyła sprzedawczyni o platynowych lokach, przykładając do mnie nieprawdopodobnie skąpy różowy tank top, Hello Kitty z AK-47: KALASHNIKITTY.

Kolejne T-shirty, Pillsbury Doughboy z nazistowską opaską BIAŁA MAKA na ramieniu, koszule Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, plakietki Screaming Eagles. Kiedy oglądałam broń, bardziej podobały mi się egzemplarze z drewnianymi kolbami, ich ciepło i waga, niż dotyk plastiku niektórych karabinów półautomatycznych. Moją uwagę zwróciły karabiny o różowym wzorze maskującym, domyśliłam się, że są przeznaczone dla lasek, miłośniczek broni, ale oprócz mnie było tutaj tylko sześć kobiet, które nie wyglądały mi na zwolenniczki różowego kamuflażu.

— Mój Boże, Shannon Moss... czy to ty?

— Nestor?

Wtedy po trzydziestce, teraz był po pięćdziesiątce. Nadal przystojny. Oczy wciąż zachwycające, niemal zapomniałam, jakie były jasne. Bładoniebieskie, rozświetlone od wewnątrz. Włosy pociemniały mu nieznacznie, a szpeciniasta broda i wąsy posiwiały na końcach. Dawniej był chudy, ale stracił jeszcze na wadze, żyłasty jak długodystansowiec. Flanelowa koszula, niebieskie džinsy. Jego stolik był podpisany „Orle Gniazdo”, stoisko dla kolekcjonerów. Niemal wyłącznie nazistowskie eksponaty: stare karabiny, bagnety, szklana gabłota z pistoletami, P38 i lugery z dołączonymi naszywkami oficerów, którzy nosili tę broń, certyfikaty autentyczności. Trochę amerykańskich artefaktów, zdjęcie Pattona z autografem. Nestor wyszedł zza swojego stolika.

— To naprawdę ty – powiedział i uściśnął mnie. Zapach dymu fajkowego. Objęłam go z przyjemnością. – Nie zmieniłaś się – stwierdził. – To znaczy naprawdę się nie zmieniłaś, wyglądasz dokładnie tak samo, jak cię zapamiętałem. Tylko spójrz na siebie. Ile to czasu minęło?

— Dziewiętnaście lat – odparłam. – Mniej więcej.

— Dziewiętnaście – powtórzył. – Wiesz, kiedy cię zauważyłem idącą przejściem między rzędami stolików, zdawało mi się, że to ty, ale najpierw pomyślałem, że widzę może twoją córkę.

— Ha, nie, żadnych dzieci...

— Niech ci się przyjrzę – powiedział. – Boże. Wyglądasz... wyglądasz super, mówię ci. Dbasz o siebie.

— No cóż, nie czuję się taka młoda – stwierdziłam. – Farbuję teraz włosy.

— Zauważyłem, wyglądają świetnie – pochwalił Nestor. – Dobrze ci z ciemnymi włosami.

— Zupełnie siwe, musiałam coś zrobić.

— Będę szczery, cieszę się, że cię widzę. Zniknęłaś tak po prostu – ciągnął. – A potem pomyślałem, że mogłaś, no wiesz, w ośrodku Służb Informacyjnych. Kiedy został zaatakowany. Miałaś tam gabinet, prawda? Dobrze pamiętam?

— Tak – odparłam. – Ale byłam na morzu.

— Wiesz o Brocku? – zapytał. – To znaczy o jego żonie? Stracił ją w zamachu, także obie córki.

— Rashonda – powiedziałam. – Nie widziałam Brocka od czasów Canonsburga. Co u niego?

— Oddawali dzieci do przedszkola w tamtym budynku – rzekł Nestor. – Stracił wszystkich. I nigdy nie uporał się z tym naprawdę, nie ożenił się powtórnie ani nic, zakopał się po uszy w robocie, był zajęty. Miał się dobrze, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, wiesz, otrzymał wszystkie możliwe awansy. Pracuje teraz w Quantico. Pytałem go dawniej, czy wie, co się z tobą stało, ale nie wiedział. Zdawało się, że nikt nie wie. Myśleliśmy, że ty także mogłaś zginąć podczas zamachu, ale teraz jesteś tutaj. Sprawdzałem nazwiska wszystkich, którzy zginęli, oglądałem wszystkie pogrzeby, które pokazywali w telewizji. Ale jesteś. Mój Boże, Shannon. Dobrze cię widzieć.

Zmienił się, był bardziej gadatliwy, facet przywykły do trajkotania, ale w jego głosie brzmiała taka sama serdeczność, jaką pamiętałam.

— A co z tobą? – zapytałam. – O co chodzi z tymi wszystkimi rzeczami?

— „Orle Gniazdo” wypełnia mi czas. To była kolekcja mojego ojca. Zbierał militaria. Pierwsza lub druga wojna światowa. Miałem zamiar sprzedać to wszystko hurtem, ale kumpel przekonał mnie do uczestnictwa w targach broni i robię to już chyba... od niemal sześciu lat. Obracam memorabiliami amerykańskimi, brytyjskimi, ale nazistowskie sprzedają się tutaj najlepiej. To lepsze od pracy za biurkiem.

— Nie pracujesz już w FBI?

— Od dawna – odparł. – Coś ci powiem, poproszę sąsiada, żeby popilnował przez chwilę mojego stoiska. Masz kilka minut? Postawię ci lunch. Panierowane paluszki z kurczaka nie są tutaj najgorsze.

Zgodziłam się na kawę. Kafeteria centrum konwentowego znajdowała się w pobliżu toalet, kilka wystawionych stolików. Kawa, którą wręczył mi Nestor, pachniała nieco sosem barbecue i ledwie ją siorbałam, ale byłam zadowolona z trzymania czegoś ciepłego. Mówiąc, Nestor marszczył czoło, tak jak to zapamiętałam, tylko bruzdy były teraz głębsze. Brwi miał bardziej krzaczaste, miększe.

— Miło cię widzieć – powiedziałam.

Zażyłość między nami – w 1997 roku ledwo go znałam i chociaż minione lata stworzyły przepaść między nami, absolutnie nie czułam upływu czasu, jakbyśmy podejmowali rozmowę, której żadne z nas nie chciało wcześniej skończyć.

— Co cię tutaj sprowadza? – zapytał.

— Ty – odparłam. – Co porabiałeś?

— Odszedłem z Biura w 2008. Przez jakiś czas zajmowałem się fotografią jako wolny strzelec. Obecne zajęcie mi odpowiada. Podróżuję nieustannie. Jest dobrze. Historia zawsze mnie interesowała.

— Schudłeś – zauważyłam. – Wyglądasz jak szczapa, tylko spójrz na siebie.

— Taa, cóż – rzucił.

— Przeprowadziłeś się z powrotem do Wirginii Zachodniej? – zapytałam. – Dorastałeś w Twilight?

— To zawsze były moje strony. Mam dom tuż za Buckhannon – wyjaśnił. – Cisza. Z dala od świata. Co roku mają fajny festiwal truskawek.

— Bywałam tam jako dziecko – powiedziałam. Mrożony deser śmietanowy z truskawkami i podziwianie Truskawkowej Królowej Piękności podczas parady. Wyobraziłam sobie Nestora z aparatem, migawki z amerykańskiego życia. – Nie byłam tam od lat.

— Racja, dorastałaś tam – powiedział. – W Canonsburgu, prawda? Wychowywałaś się w domu, który był naszym miejscem zbrodni...

— Dlaczego Buckhannon? – zapytałam.

— Tak się złożyło. Potrzebowałam domu z garażem, żeby zmagazynować cały mój złom. Na terenie nieruchomości jest mała stodoła. Powinnaś to kiedyś zobaczyć. Przyjeżdżają do mnie kolekcjonerzy, żeby oglądać pamiątki wojenne.

— Wygląda na przyjemne życie.

— Lepsze od tego, które miałem – stwierdził.



— Nie chcę owijać w bawełnę – powiedziałam. – Co się stało? Dlaczego odszedłeś z Biura?

— Wiesz, weźmy coś takiego jak to, co się stało parę lat temu w Nevadzie – rzekł Nestor. – Całe FBI gotowe do szturmowania rancho tamtego faceta... i dlaczego? Z powodu wypasu bydła? Jaki to ma cel? Cała ta przemoc? Po prostu... nie mogłem już dłużej tego znieść, jak sądzę. Nie mogłem być szturmowcem. – Zatopił się w myślach, patrząc na morze głów na targach broni; zgiełk sali konwentowej oddalił się. Nestor odchrząknął, kaszlnął. – Uczestniczyłem w incydencie „z użyciem siły”... Zabiłem kogoś. To mną wstrząsnęło, niemal zniszczyło. Trudno mi było uporać się z tym, co się stało, i nie dawałem sobie rady z całym tym politycznym pieprzeniem. Tym w Biurze – wyznał. – Piłem za dużo, przyznaję. Przez jakiś czas... Musiałem dojść do ładu z pewnymi rzeczami.

— Teraz nic ci nie jest? – zapytałam.

— Czuję się dobrze – odparł. – Zatem odnalazłaś mnie. Przyjechałaś aż do Monroeville, żeby się ze mną spotkać.

— Muszę porozmawiać z tobą o Marian Mursult – powiedziałam.

— Marian Mursult – powtórzył Nestor, przesuując dłonią po piersi, jakby nazwisko go zraniło. – Dlaczego ona?

— Została odnaleziona – stwierdziłam.

— Znalezliśmy ją, długo potem.

— Czytałam o śledztwie, ale potrzebuję szczegółów.

— Po tylu latach? Po co? – zapytał. Czoło mu się zmarszczyło, wyraz, jakby błagał o łaskę. – Dlaczego?

— Przydzielono mnie do komisji rewizyjnej – skłamałam; standardowa przykrywka, która nie prowokuje pytań, mgliście administracyjna monotonia papierkowej roboty. – Została znaleziona nieopodal Blackwater Falls?

— W lesie, zgadza się. Zakopana w wąwozie Blackwater – powiedział. – Ty zjawiasz się tutaj. Jesteś jak duch, który pyta o inne duchy. Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? Marian Mursult.

— Chcę wiedzieć wszystko, co możesz mi o niej powiedzieć – poprosiłam.

— Dlaczego nie załatwisz tego przez Biuro? Po co mnie odnalazłaś? Brock jest nadal na miejscu w Wirginii. Możesz z nim pogadać. Będzie wiedział więcej.

— Muszę porozmawiać z tobą – upierałam się.

— Ale nie tutaj – zaproponował Nestor. – Nie chcę się wdawać w tym miejscu we wszystkie te sprawy. Do diabła, większość tych ludzi, gdyby się dowiedziała, że pracowałem w FBI, umieściłaby mnie na czarnej liście, uważając, że ich szpieguję. Możemy się spotkać? Choćby dziś wieczorem? Targi zamykają o czwartej po południu.

— Gdziekolwiek zechcesz – przystałam. – Gdzie się zatrzymałeś?

— Jadę wieczorem do domu – odparł. – Chcesz przedtem zjeść ze mną kolację? Jest tutaj taki lokal, do którego część z nas poszła zeszłego wieczoru, Wooden Nickel.

— Mieszkasz w Buckhannon, to niedaleko Blackwater – stwierdziłam. – Możesz mi pokazać, gdzie ją znaleźliście?

— Poważnie? Odnajdujesz mnie po wszystkich tych latach i chcesz, żebym cię tam zabrał? Cóż, niech ci będzie. Jazda tam i z powrotem zajmie kilka godzin – powiedział. – Zrobi się ciemno. Jak twoja noga? Możesz odbywać piesze wędrówki?

— Tak.

— W porządku. Spotkajmy się zatem w schronisku, w Blackwater Lodge. Mogę wyjechać stąd trochę wcześniej, spotkać się tam z tobą o szóstej, powiedzmy, szóstej trzydzieści. Nie udało mi się kupić ci paluszków z kurczaka tutaj, ale mogę postawić ci potem kolację. Znam pewną knajpę.

Przyjechałam jakieś dwadzieścia minut przed nim i czekałam w samochodzie, z włączonym radiem, drąc na coraz mniejsze strzępki serwetkę, którą dostałam w Starbucksie wraz z kawą, zawstydzona tym, jak bardzo się denerwuję. Nestor powiedział, że jestem jak duch pytający o inne duchy. Czekałam na niego przed Blackwater Lodge, nie zmierzchało się jeszcze, ale pamiętałam, jak ciemne są nocą te lasy; zdawało się, że z latami sosny wokół schroniska urosły gęstsze, cała okolica pełna zjaw, uczucie takie, jakbym mogła wejść do Domku numer 22 i ujrzeć leżące tam ciało Patricka Mursulta, bez życia.

Nestor zatrzymał swojego F-150 obok mojej camry i machając ręką, przywołał mnie do swojego auta.

— Ty prowadzisz? – zapytałam.

— Zdołamy tam dojechać tylko jednym samochodem.

Opuściliśmy główne drogi, obierając węższe szlaki, które wspinały się stromo; górujące nad nami choiny zasłaniały resztki dziennego światła.

— Nie rozumiem, Shannon, jak możesz nadal wyglądać tak młodo.

— Daj spokój – powiedziałam.

— Mówię poważnie – ciągnął Nestor. – Ja się zestarzałem, a ty wyglądasz...

— Dzięki, ale nie wiem. Ćwiczę, odżywiam się zdrowo – odparłam wymijająco.

— Cóż, jakoś to wykombinowałaś – stwierdził. – Powinnaś napisać książkę o źródle młodości, mówię ci. Mogłabyś zostać milionerką, w różnych talk-show.

Nestor skręcił na szlak, który był szeroki tylko na tyle, żeby zmieściła się jego półciężarówka, droga dojazdowa albo trasa zwózki drewna, która biegła w górę pod zawrotnym kątem. Koła zabuksowały, ale Nestor dodał gazu, opony złapały przyczepność i ford skoczył do przodu. Zapałam się w fotelu, wyobrażając sobie, że samochód przewróci się do tyłu, że przekeziołkujemy.

— Jesteśmy na miejscu. Szlak jest nadal oznaczony.

Nestor wskazał przed siebie, a ja zobaczyłam pomarańczową taśmę zawiązaną wokół pnia drzewa. Ocierając się o sosny, Nestor manewrował półciężarówką, aż dotarł do miejsca, gdzie ścieżka robiła się pozioma i wychodziła na polanę, na której mógł zaparkować.

— Dalej nie przejedzie żadna ciężarówka – powiedział. – Nie mogli sprowadzić tam karetki, więc zwieźli jej zwłoki na pace pick-upa.

Jej zwłoki. Wsiadłam z samochodu, patrząc pod nogi. Sosny były zarysami, ale niebo w górze kołem wieczoru, fioletowym okiem patrzącym na nas w dół. Było tutaj chłodniej.

— Trzeba jeszcze podejść – poinformował Nestor. – Kawalek.

Ścieżka, którą ruszyliśmy, była zarośnięta, ale i tak ją odnajdował, depcząc poszycie i przytrzymując gałęzie, żebym mogła iść za nim. Wspinaliśmy się po naturalnie uformowanych stopniach, dla równowagi chwytając się drzew. Doprowadził mnie do koryta wyschniętego od dawna strumienia. Klamra w postaci pięciu choin, czarna ziemia, szmaragdowy mech porastający na wpół wystające kamienie.

— Tutaj – powiedział Nestor.

Marian, pomyślałam. Tutaj znaleziono twoje ciało...

— Na to miejsce trafiono przez przypadek – odezwał się Nestor. – Przechodziło wtedy dwóch poszukiwaczy żeń-szenia, którzy zabłądzili wyżej na wzniesieniu i uznali, że dotrą do rzeki, jeśli będą po prostu schodzili,

a potem ruszą wzdłuż rzeki do wodospadu. Nieco wyżej na wzgórzu znaleźli pierwszą „wieżyczkę”, jak nazwaliśmy stosy płaskich kamieni. Znaczniki. Pomyśleli, że może inni kopacze oznaczali połać, zeszli więc niżej i znaleźli kolejny stos i następny. Najwyraźniej doprowadziły ich do miejsca, w którym stoimy. Nie widzę już tych wieżyczek. Ktoś musiał je poprzewracać. Wiesz, jak wygląda to, co opisuję, te znaczniki?

— Taa, tak sędę – odparłam. – Górki z kamieni.

— No więc ci faceci zatrzymali się, żeby się rozejrzeć. Zobaczyli czerwone owoce i zrozumieli, że naprawdę znaleźli tutaj żeń-szeń. Kopali w poszukiwaniu korzeni, ale zamiast tego natrafili na kości. Pomyśleli, że może pochowano tu jakieś zwierzę, ale wiedzieli, że sytuacja wygląda dziwnie. Przestali kopać i zgłosili swoje znalezisko.

— Wy ją wydobyliście?

— Straż leśna – odparł Nestor. – Znaleźli ludzkie szczątki, wezwali nas. A my zrozumieliśmy od razu, po prostu wiedzieliśmy. To dziwne, pamiętam, jak Brock wszedł do sali konferencyjnej i oświadczył: „Znaleźli Marian”. Wszyscy słyszeliśmy, że straż leśna wykopała jakieś kości, ale Brock wiedział, że to nasza zaginiona dziewczyna. Instykt. Poznaliśmy jej tożsamość dzięki porównaniu szczątków z kartą dentystyczną.

Odetchnęłam, powietrze było nasycone wonią sosnowej żywicy, wilgotnych kamieni. Piękne miejsce na spoczynek.

— Czytałam w gazetach, co powiedział Brock – odezwałam się. – Że Mursult popełnił samobójstwo. Wiedział, że Patrick Mursult został zamordowany. Nie wierzył nigdy, że zabił swoją rodzinę, prawda? Wyjaśniono mi, że jego wersja była przykrywką.

Nestor się roześmiał.

— Taa, można tak powiedzieć – stwierdził. – Prawdę mówiąc... Pytałaś, dlaczego odszedłem z FBI. Były inne powody, ale mieliśmy zwłoki Patricka Mursulta. To było oczywiste morderstwo, jednak Brock wydał polecenie, że mówimy o samobójstwie. Powiedziano nam, że Mursult zabił swoją rodzinę, a potem siebie, mamy trzymać się scenariusza. Nie mogłem tego zaakceptować, jawnych kłamstw, z którymi musieliśmy żyć. Po latach znaleźliśmy zwłoki Marian, ale mieliśmy utrzymywać tę samą wersję. Patrick Mursult został zamordowany, jasne jak słońce, że nie popełnił samobójstwa. To mnie nie przekonywało.

— Nadal prowadzili jednak dochodzenie w sprawie zabójstwa, prawda?

– zapytałam. – Przesłuchiwałeś tę kobietę? Onyongo?

— Nicole – odpowiedział Nestor.

— Znaleźliśmy jej zdjęcia w domu Fleece’a – powiedziałam. – Czytałam w aktach sprawy, że miała kilkuletni romans z Mursultem.

— Taa, pamiętam, kim ona jest – przyznał Nestor. – Jeśli się nie mylę, w schronisku prowadzono spis numerów rejestracyjnych samochodów, tak ją namierzyliśmy.

— Nic z tego nie wyszło?

— Nic a nic – odparł Nestor. – Sprowadziliśmy ją następnego dnia po tym, jak znalazłaś Mursulta, może dwa dni później. Przesłuchiwałem ją dwa dni z rzędu, ale nie była w stanie wiele wniesć do sprawy.

— A co powiedziała?

— Mursult poderwał ją w jakimś barze – wyjaśnił. – Wiedział, że Nicole jest pielęgniarką, i chciał z nią porozmawiać, bo cierpiał na zespół stresu pourazowego. Pracowała w ośrodku stałej opieki nad osobami starszymi, nie wiedziała, jak mu pomóc, ale to zapoczątkowało ich związek. Spotykali się w schronisku.

To była Nicole, jaką znałam; należała do tamtego baru jak obraz ze sceną rodzajową do nieciekawego pokoju. Być może jedynie kaprys losu sprawił, że Mursulta zaniósł do May’rz, ale kiedy ją zobaczył, kiedy usłyszał, jak mówi, to nie chciał, żeby ten głos umilkł. Nie wiedziałam nic o Mursulcie, ale wyobraziłam sobie, jak zakochuje się w Nicole, błyskawiczne zauroczenie.

— Rozmawiałeś z nią ponownie po znalezieniu Marian? Pytałeś o córkę Mursulta?

— Nie – odparł Nestor. – Po znalezieniu ciała Marian przyjrzelśmy się jeszcze raz materiałom, zastanawiając się, czy nie przeoczyliśmy czegoś, sprawdzając, czy to odkrycie zaowocuje jakimiś tropami. Ale to był... który rok, dwa tysiące trzeci? Czwarty? Po jedenastym września nasze priorytety się zmieniły. Nie mieliśmy dosyć środków, żeby zajmować się wszystkimi niewyjaśnionymi wątkami tego dochodzenia, nasze biuro skupiało się na atakach cybernetycznych i wojnie z terroryzmem. Brock dał spokój sprawie Patricka Mursulta, prokuratura była zadowolona. Kryminalne Biuro Śledcze nadal prowadziło dochodzenie, ale głównie bez naszego udziału. Chcieliśmy skonsultować się z tobą, w istocie włączyć cię do tego, ale nikt nie potrafił cię odszukać. Sądziłem, że po znalezieniu Marian chciałabyś w tym

uczestniczyć.

— Tak, chciałabym – przyznałam. – Gdzie ją pochowano?

— W Canonsburgu, z resztą rodziny.

— Ojca też?

— Taa, wszyscy zostali skremowani.

— Pamiętasz dom Fleece’a? – zapytałam. – Statek z paznokci?

— Jasne.

— Coś z tego wyszło? – dociekałam.

— Prawda, pamiętam, że współpracowaliśmy z koronerem – powiedział Nestor. – Próbowaliśmy się dowiedzieć, czy Marian zerwano paznokcie z palców dłoni i stóp, ale stwierdzenie tego okazało się niemożliwe.

— Co się stało, kiedy znaleźliście jej szczątki?

— Nic. Było trochę szumu w gazetach, ale Brock nie chciał ujawnić wszystkich szczegółów, nie chciał, żeby ludzie tam pielgrzymowali.

— Nie zbliżyliście się nigdy do odkrycia, kto ją zabił? – zapytałam. – Po tylu latach?

Nestor pokręcił głową.

— Nie.

Cienie między drzewami zgęstniały. Widziałam świetliki. Nestor usiadł na kamieniu, zakutany w kurtkę. Możemy obserwować to miejsce, pomyślałam. Znakomita osłona drzew. Możemy zostawić kogoś w ukryciu, sprawdzać, kto się pojawi, kto wznosi te stosy kamieni.

— Musisz pokazać mi to miejsce na mapie – odezwałam się. – Potrzebuję dokładnych wskazówek, jak się tutaj dostać. Którymi drogami i tę przecinkę, w którą skręciłeś. Na tyle szczegółową mapę, że jeśli będę musiała kiedyś tutaj wrócić, a nie będę miała żadnych innych wskazówek, to wciąż zdołam tu trafić. Możesz to dla mnie zrobić?

— Zaznaczę ci to wszystko – obiecał. – Musi ci być zimno. Wracajmy. Postawię ci kolację.

W trakcie schodzenia Nestor oświetlał drogę latarką, ale mimo to trudno mi było znajdować oparcie dla stóp. Nie wiedziałam, gdzie postawić swoją silikonową stopę, nie czułam, czy ziemia lub kamienie mogą się osunąć. Potknęłam się, upadłam, rozciąłam sobie kolano. Chwytałam się gałęzi i trzymałam konarów, nadal się ślizgając; dłonie, pokłute przez igły sosen, lepiły mi się od żywicy.

— Oprzyj się – powiedział Nestor, oferując swoje ramię.

Przyjęłam je i odzyskałam równowagę, wspierając się na nim. Objęłam go, przywarłam do niego i szłam z nim bok w bok przez resztę drogi w dół zbocza. Przyciskał mnie do siebie.

— Dziękuję – powiedziałam sfrustrowana, że potrzebowałam pomocy. – Nie lubię takich sytuacji, kiedy zależę od innych.

— Nie przeszkadzało mi to – stwierdził.

Zjedliśmy w knajpie o nazwie Whistle Stop Grill w Buckhannon, w pobliżu rzeki. Siedzieliśmy w jednym z boksów przy stoliku z obrusem w brązową kratę nakrytym grubym arkuszem plastiku. Wystrój przypominał wiejską kuchnię: stary kredens, kominek. Ściany pokryte boazerią i obwieszane girlandami. Oboje zamówiliśmy steki, krążki cebulowe. Nestor nalał nam piwo Yuengling z dzbanka.

— Podoba mi się tutaj – powiedziałam.

— Taa... jestem tu stałym bywalcem. Kuchnia jest dobra.

— Ładna – rzuciłam, zerkając na barmankę wyglądającą na Irlandkę o ciemnej karnacji. – Rozmawiasz z nią?

— Annie, jasne – potwierdził. – Założę się, że kiedy zjawię się tu następnym razem, będę musiał się wytłumaczyć z twojego towarzystwa.

— Jest twoją dziewczyną? Nie chcę narobić ci kłopotów.

— Nie, nie jest. Przez jakiś czas byłem z kimś na poważnie, kilka lat temu, ale pewnego dnia budzisz się z przekonaniem, że ty i ta druga osoba niszczy się wzajemnie – wyjaśnił. – Czasem nawet dobre rzeczy nie całkiem pasują. A niekiedy tak.

Czułam się podekscytowana flirtem tłącym się między nami. Żadnych konsekwencji. Chciałam ująć jego dłoń. Otarłam się kolanem o jego kolano, a on go nie cofnął.

— Dzięki, że zabrałeś mnie tutaj – odezwałam się.

— Uważasz, że masz wszystko, czego będziesz potrzebowała? – zapytał.  
– Musisz przedstawić swój ogląd sprawy czy coś? Napisać raport?

— Nie od razu – odparłam. – Będę w okolicy.

— To dobrze. Miło było cię widzieć – powiedział.

Ociągałam się, stojąc z Nestorem obok jego półciężarówki, żałując, że ma tę gęstą brodę, ale kiedy powiedział: „Dużo o tobie myślałem przez te lata”, i tak go pocałowałam, przekonując się, że wargi pod zarostem ma miękkie. Poczułam, że nie spodziewał się tego, niezbyt ochoczo, ale oddał pocałunek i uległ pragnieniu, jakby chciał mnie wypić; czułam w nim żądzę. Położył

stuloną dłoń na mojej piersi i pocałował mnie w kark.

— Ludzie patrzą – powiedziałam.

— Przepraszam.

Cofnął się, jakby mnie obraził lub przekroczył granicę, więc zapytałam:

— Mieszkasz w pobliżu?

Pojechałam za nim stopięćdziesiątkajedynką, Old Elkins Road, jakieś dwadzieścia minut drogi, aż zatrzymał się na długim żwirowym podejździe. Światło na frontowym ganku. Zaparkowałam za jego półciężarówką i poszłam za nim do bocznych drzwi.

— Nie zdołałem nigdy naprawić tego zamka – powiedział, otwierając drzwi pchnięciem, wypuścił psa, nerwowego setera, który wypadł do ogrodu i pognał w ciemność.

Nestor pocałował mnie w przedsionku, ja całowałam jego. Całowałam jego oczy, jego samego. Poczułam przez dzinsy jego wzwód, więc dotknęłam go, masowałam, gdy się całowaliśmy. Dotykał moich włosów jak czegoś cennego, całował ich pasma. Poprowadził mnie przez kuchnię.

— Tędy – powiedział, kierując się do salonu.

Lustro nad obramowaniem kominka odbijało nasze ciemne sylwetki. W tym odbiciu podszedł do mnie od tyłu. Położył dłonie na moich piersiach, czułam, jak przytula się do mnie. Zdyszany obrócił mnie ku sobie, gmerał nieporadnie przy guzikach bluzki, więc mu pomogłam, rozpięłam je i obnażyłam się. Nestor rozpiął mi dzinsy, ukląkł, zsuwając je, całował moje udo, coraz wyżej, posmakował mnie. Sięgnął w górę i ujął piersi, kolano ugięło się pode mną i osunęłam się wraz z Nestorem na wykładzinę. Pomogłam mu zdjąć protezę, śmiejąc się wraz z nim przy zwolnieniu próżniowego uszczelnienia z powodu dźwięku towarzyszącego zdejmowaniu wkładki, zażenowana, gdy całował mój kikut, świadoma, jak może pachnieć – jaki zapach nadaje skórze wyściółka – ale całował mnie tam, całował mnie. Całował powyżej linii włosów, w dole złotych, przesuwając się w górę brzucha, po czym brał do ust piersi i ssał. Zadrzałam, wygięłam się w łuk, zapraszając go, a on położył się na mnie, wszedł we mnie, po czym wycofał się, gdy tylko doszedł.

— Przepraszam – powiedział. – To było za szybko, przykro mi.

A potem ustami i palcami doprowadził do tego, że zacisnęłam uda, zadrzałam i krzyknęłam, dysząc. Przespaliśmy ponad godzinę na wykładzinie salonu, obudziliśmy się i całowaliśmy. Wzięłam go do ust, a potem



wprowadziłam w siebie. Za drugim razem patrzyliśmy sobie w oczy, mniej spragnieni niż poprzednio. Ściągnęliśmy poduszki i koc z oparcia sofy, zwinęliśmy się razem na podłodze. Dotykał mojego lewego uda i zostawił tam dłoń; zastanowiłam się, czy uważa to za przejaw odwagi ze swojej strony, gest akceptacji, czy też pociąga go amputowana kończyna, co kręci niektórych ludzi, ale nie chciałam o to pytać, pragnęłam jedynie pozwolić mu na wszystko, czego ode mnie potrzebował.

— W jaki sposób straciłaś nogę? – zapytał jakoś po północy. – Czy urodziłaś się bez niej?

Mój wzrok przyzwyczaiał się do mroku i w księżycowej poświacie dostrzegłam nad telewizorem dziwny obraz. Przedstawiał leżące na wznak ciało i zaniepokoiłam się, że może to być naga kobieta, coś w złym guście, jak plakaty Davy’ego Gimma z modelką prezentującą kostiumy kąpielowe, ale zrozumiałam, że to podobizna martwego człowieka.

— Co to jest? – zapytałam. – Nie namalowałeś tego, co?

— Nie, nie namalowałem. Był tutaj, kiedy kupiłem ten dom, i nigdy go nie zdjęłem – wyjaśnił. – Facet, który pośredniczył w sprzedaży, chciał, żebym zatrzymał obraz. Powiedział, że ma coś wspólnego z rosyjską powieścią. To kopia jakiegoś starego malowidła. Obraz Jezusa.

— Mogłeś powiesić jedną ze swoich fotografii – stwierdziłam.

— Obraz martwego Chrystusa jest gorszy od zdjęć z miejsca zbrodni?

— Musisz mieć coś innego.

— Taa – przyznał. – Może go zamienię. Mam zdjęcia z Yellowstone, które lubię, jedno przedstawia Grand Prismatic Spring. Ale wiesz, ten obraz... byłem kiedyś religijny, wychowałem się w kościele.

— Pamiętam, że zapytałeś mnie, czy wierzę w zmartwychwstanie – przypomniałam. – Uważałeś, że może mi to pomóc, skoro tak często mam do czynienia ze śmiercią.

— Zgadza się – rzekł. – Brzmi jak coś, co mógłbym powiedzieć. Ale w tamtym czasie doświadczyłem czegoś. Doznania religijnego, ale można by rzec, że na wspaniale. Nie przeżyłaś nigdy objawienia religijnego? Jak usłyszenie głosu Boga?

Pomyślałam o widoku Ziemi z głębi kosmosu, o niemal mistycznej jedności z każdym przejawem stworzenia, którą odczuwałam w tamtej chwili.

— Nie – odparłam. – Nic religijnego. Znajduję piękno w naturze, ale nie

słyszę głosów.

— Ja przeżyłem... Jakbym widział Boga, który przypominał czarną dziurę – powiedział Nestor. – Ta wizja mnie przytłoczyła. Ludzie dyskutują o nieskończoności i myślą o rzeczach, które się nigdy nie kończą, ale nieskończoność może mieć także negatywną stronę. Może być zaprzeczeniem. Powstajemy z prochu, nasze komórki się mnożą, rośniemy, marniejemy i gnijemy, a kolejni zajmują nasze miejsce. To obrzydliwe, wszystkie te ciała i śmierć, miliardy nas, to jak fala, która przychodzi i się cofa. Cała ta religia, te bzdury o Bogu, to jak brednie, w które wierzysz jako dziecko, aż pewnego dnia zastanawiasz się, jakim cudem wierzyłeś w ogóle w cokolwiek. Dziecinada. Wszystko zmieniło się dla mnie po tej wizji, po tym doznaniu. Zacząłem pić, żeby stępić przerażenie, które czułem. Nie mogłem już dłużej znieść Biura, przeprowadziłem się tutaj i piłem dla zapomnienia. Gapiłem się na ten obraz Chrystusa i przekonywałem sam siebie, że może usiąść, miałem nadzieję, że usiądzie, żeby mi udowodnić, że się myślę, ale każdej nocy... Myślę, że ten obraz przedstawia Jezusa po zdjęciu z krzyża, że on zwyczajnie nie żyje, martwe ciało, a wszyscy oczekują rezurekcji i on też czeka na własne zmartwychwstanie, ale nic się nie stanie. Nienawidziłem tego obrazu dlatego, że wydawał mi się tak bardzo niechrześcijański, ale potem zrozumiałem przesłanie. Poszukałem dokładniej, znalazłem głębsze znaczenie.

— Jesteś ateistą – stwierdziłam.

— Nie, wierzę w Boga. Wierzę, że Bóg istnieje. Miałem objawienie, miałem wizję, w której widziałem Boga. Jest zabójczym światłem otoczonym przez czarne gwiazdy. Jestem nadal człowiekiem wiary, gdyż wierzę, kiedy jednak myślę o Bogu, to widzę coś w rodzaju pasożyta.

Serce mu waliło, oblał się zimnym potem. Jego ciało srebrzyło się w blasku księżyca. Na piersi, powyżej serca, miał drobną konstelację pieprzyków, jak Pas Oriona. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

— Przepraszam... Przepraszam, że spytałem o twoją nogę – odezwał się. – Nie chciałem cię urazić. Musisz mieć po dziurki w nosie pytań na ten temat.

— Tak naprawdę to nawet nie pamiętam, jak to się stało – powiedziałam. – Zabłądziłam w lesie, doznałam hipotermii. W nogę wdała się gangrena. Musieli ją amputować. Pamiętam operację.

Sto pięćdziesiątkajedynką przejechał samochód, którego reflektory

oświetliły przelotnie ścianę, przesunęły po suficie kratkę szyb okiennych. Zastanowiłam się, czy zobojętniejemy dla siebie po tym, gdy dostaliśmy to, czego chcieliśmy, ale Nestor wsunął dłoń w moje włosy, pieścił mnie, przyciągnął bliżej. Objęłam go, oparł głowę na moich piersiach. Czułam wznoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej, wiedząc, że słyszy bicie mojego serca.

— Dali mi znieczulenie miejscowe, ale byłam świadoma – wyjaśniłam, wspominając operację w stanie nieważkości, bąble krwi pierzchające pośpiesznie wokół, brudzące ściany i sufit. – Byłam przytomna, ale nie mogłam patrzeć. Cały czas gapiłam się po prostu w sufit. Najpierw ucieli mi nogę w goleni, amputowali kostkę i stopę. Czasami mi się wydaje, że pamiętam to cięcie, bóle fantomowe. Czuję niekiedy przecinanie goleni. Jednak zakażenie dotarło już do kolana, więc musieli amputować resztę.

Po jakimś czasie Nestor pomógł mi założyć protezę.

— Nie przeszkadza mi to – powiedział. – Chcę, żebyś po prostu wiedziała. Chciałem być z tobą, odkąd tylko cię ujrzałem...

— Nie pamiętasz, kiedy widziałeś mnie pierwszy raz – stwierdziłam.

— Mignęłaś mi przelotnie tamtej nocy na miejscu zbrodni. Wpadłaś mi w oko. A następnego rana w sali konferencyjnej zamierzałem ci się przedstawić. Wiedziałem już, że jesteś atrakcyjna, ale, Jezu Chryste, Shannon, kiedy ujrzałem cię tamtego ranka...

— W porządku, wystarczy.

— A gdy odjechałaś, nie mogłem przestać o tobie myśleć. Potem była ta kolejna sprawa i sądziłem, że może wpadniemy na siebie, ale nigdy do tego nie doszło. Liczyłem...

— Chciałabym, żeby nasze ścieżki się skrzyżowały – przyznałam. – Co mnie ominęło?

— Tylko strata czasu dla nas. Jakiś facet z Harrisburga, prawnik – wyjaśnił Nestor. – Zabity podczas kradzieży samochodu. Chcieliśmy to z tobą skonsultować.

— Co miał ze mną wspólnego?

— Nic. Błędne raporty. Opieraliśmy się na bazie danych balistycznych, a pociski wydobyte ze zwłok prawnika pasowały do tych wyjętych z ciała Mursulta, więc pomyślałem o tobie, cały czas mieliśmy tę broń w magazynie dowodów rzeczowych. Chcieliśmy cię wezwać, żebyś zeznała, że to dopasowanie jest błędne, ale nie mogliśmy cię znaleźć. Ja nie mogłem cię

znaleźć.

— Co się stało z oskarżeniem?

— Sędzia oddalił sprawę – odparł Nestor. – Tamta cholerna baza danych balistycznych wypluła garść dopasowań, wszystko zostało poddane weryfikacji.

— Tęsknisz za tą robotą? – zapytałam.

— Czasami – przyznał. – Ale potem, gdy...

— Nie musisz o tym mówić.

— Zastrzeliłem człowieka, na służbie. Byłem usprawiedliwiony, działałem w obronie własnej, ale nie mogłem żyć z tym, co zrobiłem – wyznał Nestor. – Tamten wyciągnął broń, strzelał do mnie.

Próbowałam go zrekonstruować, odtworzyć jego przeszłość taką, jakiej mógł nigdy nie mieć. Wizje Boga-pasożyta, zabójczej gwiazdy. Może jakiś przełom. A może złamało go zabicie człowieka.

— Kim on był? – zapytałam.

— Jakaś gruba ryba, komputerowiec – odparł Nestor. – Jego nazwisko wypłynęło w śledztwie dotyczącym tajemnic wojskowych wykorzystywanych w prywatnym celu. Pojechałem go przesłuchać, to wszystko, wcale nie skupialiśmy się na nim, ale on spanikował. Odesłano mnie na urlop, strzelanina stała się przedmiotem dochodzenia wydziału wewnętrznego. Mówią ci, że jesteś niewinny, póki nie udowodni ci się, że jest przeciwnie, ale odnosiłem inne wrażenie. Mimo że zostałem oczyszczony, spotkałem się w Biurze z ostracyzmem. Graham kontra Connor.

— I odszedłeś z FBI – stwierdziłam.

— Mam nadzieję, że to nie zabrzmia żałośnie – powiedział – ale szukałem cię w Internecie, chciałem znaleźć twoje zdjęcie. Jedną fotkę. Ale nie było niczego. Nie mogłem wyrzucić z głowy wspomnienia o tobie, wyobrażałem sobie, jak wyglądałoby życie z tobą. Wypytywałem nawet o ciebie, ale nikt nic nie wiedział. Brock nie wiedział. Ale oto jesteś.

— Oto jestem – powiedziałam. – I chciałabym się napić. Co masz w domu?

Patrzyłam na obraz martwego Chrystusa, czekając na drinka. Ciało było szare. Podpis: Holbein. Płótno było wąskie, ciało wydłużone. Niemożliwe wyobrazić sobie, że mógłby zacząć znowu oddychać.

Zawinięci w kołdry siedzieliśmy w fotelach ogrodowych na frontowym

ganku. Piliśmy koniak z kubków do kawy, obserwując odległe światła reflektorów. Pies Nestora, Buick, zwinął się u jego stóp i chrapał. Ścigał w snach królika. Czuliśmy się swobodnie, milcząc, dochodziła trzecia nad ranem, a moje myśli zbłądziły ku zakopanym wśród sosen zwłokom Marian oraz ku wędrującym miastom w kształcie piramid.

— Co jest głębszego od Chrystusa? – zapytałam. – Powiedziałeś, że patrzyłeś na ten obraz i odkryłeś coś bardziej niezgłębionego niż cuda, w które niegdyś wierzyłeś. Co jest głębszego od Chrystusa?

— Niekończący się las – odparł Nestor. – Wszędzie wokół nas. Wszystko, co widzisz.

Za zimno, żeby zostać na zewnątrz. Położyliśmy się w jego łóżku i on usnął, ale ja nie spałam, przyglądając się różowo-pomarańczowemu światłu świtu na ścianach. Przypomniałam sobie sen ojca Nestora. Śniło mu się, że utknął w kopalni, czołgał się czarnymi tunelami, aż wyszedł w labiryncie lasu. Lustrzany pokój, drzewo z kości. Ja także zbłądziłam w niekończącym się lesie. Chciałam obudzić Nestora, porozmawiać z nim albo pocałować go ostatni raz, ale zostawiłam na stoliku nocnym numer komórki i pozwoliłam mu spać.

### 3

**P**askudna pogoda, wiosenna breja pokryła glazurą chodniki jak warstewka na schłodzonym puddingu. Pół roku pobytu tutaj. Byłam Courtney, należałam do tego miejsca, kaleka żyjąca dzięki czekom z zapomogi, nosząca bluzy Mountaineers i workowate spodnie od dresu, o włosach słabych i długich, niepielęgowanych. Pół roku i wtopiłam się w tło, byłam częścią tkaniny, jak te opuszczone witryny sklepowe, zasłonięte lub zabite sklejką okna, zbrązowiałe od smug deszczu fasady. Pałacowe schody sądu w stylu Beaux-Arts zapełniali palacze, niechlujni mężczyźni skuleni przed deszczem, którzy nie mieli nic innego do roboty, jak się wałęsać. Deszcz ze śniegiem przemoczył mi bluzę, włosy miałam ciężkie, zimne.

W nocie bez Nestora stałam się bywalczynią May’rz, wtapiając się w tę NTP; spędziłam tutaj Gwiazdkę i Nowy Rok. Strząsnęłam z siebie rozmokły śnieg i usiadłam przy końcu baru, na ostatnim stołku, skąd mogłam widzieć telewizor, ale miałam także widok na cały lokal. May’rz, neonowoniebieska kursywa za kontuarem, dym tytoniowy jak gaza. Stałą barmanką była kobieta o imieniu Bex, lewe ramię miała w rękawie tatuaży, hiacynty i winorośl. Nalała mi pierwszego drinka, rum z coca-colą.

— Otwierasz dziś w nocy rachunek, Courtney?

— Taa – odparłam. – I wezmę też na siebie należność Cole, jeśli przyjdzie dzisiaj.

Weszła z deszczu przed siódmą, jej pora; długonoga i elegancka, jej

obecność blaskiem nieprzyćmionym przez wiek średni, chociaż mokra i zmęczona po pracy. Jasnoniebieski fartuch pielęgniarski i wiśniowy płaszcz przeciwdeszczowy. Zajęła swoje zwykłe miejsce obok mnie.

— Cole – powitałam ją.

— Gimm.

Palila już parlamenta, przysunęła sobie jedną z plastikowych popielniczek, po czym wydmuchnęła w moją stronę kółko dymu, zanim strzepnęła popiół. Zmarszczyłam się i cmoknęłam środek obłoku, gdy rozpraszał się na mojej twarzy. Mentol, mokra tkanina i woń ciała, może starych ciał, którymi zajmowała się cały dzień, myła je i wycierała w hospicjum. Oczy miała zaczerwienione i wydawała się dzisiaj senna; zapaliła kolejnego papierosa, nie dokończywszy poprzedniego, oba tliły się w popielniczce. Vicodin, domyśliłam się; łatwo było poznać, kiedy go brała.

— Potrzebny mi manhattan – powiedziała, trąc oczy.

— Dobrze się czujesz? – zapytałam.

— Długi dzień – odparła głosem ozdobionym tym melodyjnym akcentem.

Dowiedziałam się wcześniej, że wyjechała z Mombasy jako nastolatka.

— Stawiam ci dzisiaj – oznajmiłam.

— Ach, twój czek z opieki społecznej musiał się zrealizować – stwierdziła. – Hojność.

Podniosłam szklaneczkę.

— Za życie w państwie opiekuńczym – wzniosłam toast, a po chwili dodałam: – Pamiętam, jaki dzisiaj jest dzień...

— Szesnasty kwietnia.

— Szesnasty kwietnia – potwierdziłam.

Wiedziałam, że tego dnia, dziesięć lat temu, jej mąż umarł na raka tarczycy, przed wynalezieniem leku. Niewiele o nim wiedziałam, o facecie imieniem Jared. Pobrali się młodo i miałam wrażenie, że ich małżeństwo od samego początku przeżywało trudności. Maltretował ją; powiedziała mi kiedyś, że miała złamaną szczękę, bił ją. Wiedziałam, że na wiele lat przed jego śmiercią żyli w separacji. Przez ostatnie miesiące Nicole i ja zbliżyłyśmy się i czułam się tak, jakby przelewała we mnie swoje życie, jakbym była naczyniem. Mówiła swobodnie o swojej bolesnej przeszłości, ciężkim życiu, zażywaniu narkotyków po śmierci męża, chodzeniu do obcych pokoi z mężczyznami i wymienianiu usług na pakieciki prochów. Teraz jej

życie nie było takie szalone, wiek sprawił, że złagodniała, ale nadal ćpała, nadal piła i próbowała się pozbyć trawiącego ją bólu.

— Niemal zapomniałam – odezwała się, przekopując torebkę; z bocznej kieszonki wyjęła pięć zdrapek. Rozłożyła je wachlarzowato, przesunęła w moją stronę. – Na moje gównu wygrałam – powiedziała.

Pigułki i alkohol otumaniały ją, poruszała się, jakby jej kości się roztopiały. Dzisiejszy wieczór mógł się skończyć jak niektóre nasze inne wspólne noce, kiedy brała, kiedy piła i łykała kolejne tabletki, jeśli je miała. Czasem odjeżdżała, a wtedy zabierałam ją do mojego mieszkania w budynku obok i pilnowałam jej. Czuwałam przy niej, żeby się upewnić, że nie przestanie oddychać, ale w inne noce pigułki i alkohol rozluźniały ją, wydobywały ze skorupy, a ja gasiłam w mieszkaniu światła i słuchałam jej nieprzerwanej paplaniny. W takie noce sterowałam naszymi rozmowami, mówiąc jej, że chcę posłuchać o jej dawnych miłościach, po prostu pogaduchy dwóch dziewczyn, a ona opowiadała o zmarłym mężu i romansach, które miała, oraz o żalu z powodu kochanka, który nie żył. Mursult, myślałam wówczas i chciałam dowiedzieć się więcej, ale ona mieszała opowieści o nieżyjących kochankach z pełnymi przemocy koszmarami, prowadziła rozmowy bez mojego udziału, jakby słyszała zmarłych przemawiających do niej z wielkiej oddali, póki nie usnęła.

Dopiła swój manhattan i poprosiła o kolejny. Przejrzałam zdraпки, „Kopalnia złota”. Zeskrobałam srebrne paskudztwo z obrazków narzędzi górniczych, ale niczego nie wygrałam.

— Cholera.

— Nie zdrapuj wszystkiego naraz – poradziła Nicole.

May’rz był zawsze barem stałych klientów, ale został przejęty przez gazowników. Głównie południowców przyjeżdżających z południowo-zachodniej Pensylwanii wypłukiwać łupki. Kierowcy ciężarówek i prostytutki, tłum, który przeminie, kiedy złoża w tym rejonie zostaną wyczerpane. Zapełniali May’rz niemal co wieczór, sprawiając, że spelunka była hałaśliwa. Kilku facetów grało w bilard, rozmawiając o lukach w prawie dotyczącym składowania odpadów. Zachowywali się głośno i pili dużo, ich południowa, nosowa wymowa bardziej obca od kenijskiego zaśpiewu Nicole. Była tutaj znana, przychodziła do May’rz co najmniej od początku lat dziewięćdziesiątych, bar znajdował się w odległości półgodzinnego spaceru od Castle Tower, gdzie mieszkała, i niedaleko Donnell House, gdzie



pracowała. Dwie dekady, te same zwyczaje, teraz także ja byłam częścią jej ustalonego porządku. Barmani nazywali nas Cole i Court, jakbyśmy były zestawem albo „dziwną parą”, a w końcu zaczęłyśmy spędzać razem czas poza May’rz, w weekendy, odwiedzając się nawzajem w swoich mieszkaniach lub robiąc krótkie wypadki hondą Nicole, zwykle do Pittsburgha, żeby poszperać w sklepach muzycznych, gdyż Nicole była eklektyczną kolekcjonerką piosenek, średniowiecznej muzyki polifonicznej i dysonansowej klasycznej; dziwne rzeczy, powiedziała, przypominają jej dzieciństwo.

Zakręciła kostkami lodu w drinku. Skłonna dziś wieczorem do widzenia tunelowego, zauważyłam; zwykle kiedy brała, Nicole okazywała się kapryśna, ale dzisiaj była skupiona na sobie.

— Odbędzie się nabożeństwo żałobne za Jareda – odezwała się. – W ich posiadłości. Chcą, żebym przyjechała, ale nie widziałam tych ludzi od wieków.

— Jakich ludzi?

— Moich powinowatych – odparła Nicole. – Matki Jareda, panny Ashleigh. Ma wielką posiadłość, chce, żeby rodzina się zjechała...

— To dobry pomysł?

Nicole wzruszyła ramionami i zaciągnęła się papierosem. Opowiadała mi o cierpieniach męża, o raku, o tym, jak po diagnozie błagał ją, żeby do niego wróciła, jak opiekowała się nim, póki nie umarł. Jego rodzina była zżyta, kuzynostwo albo bliscy przyjaciele, i mieli niezdrowy wpływ na Nicole. Brała ostro po tym, gdy widziała się z nimi ostatni raz, powiedziała, staczała się po spirali, z której wyrwała się dopiero po długim czasie, ale szkoda już się stała i nigdy nie była w stanie zrezygnować całkowicie z heroiny.

— Na kilka dni, co może z tego wyjść? – zapytałam.

— Mogłabym ci powiedzieć – mruknęła Nicole, gapiąc się w telewizor. KDKA drażniła swoimi wiadomościami o jedenastej wieczorem: zabita rodzina, śmiertelny wypadek na sześćdziesiątce, pitbull pogrzebany żywcem. – Mogłabym ci powiedzieć różne rzeczy...

Pigułki działały na nią, zdawała się rozpuszczać. Gesty miała zamaszyste, piła swojego manhattana wielkimi haustami.

— Więc mi powiedz – zaproponowałam, starając się sprawiać wrażenie, że jestem wydrażona, że zmieściłoby się we mnie wszystko, co chciałaby z siebie zrzucić. Uważała mnie za nieskomplikowaną, wiedziałam o tym,

postarałam się, żeby tak sądziła, że nadaję się do żartów i pieprzenia głupot o facetach przy barze, że nie jestem kimś mającym większe cele, a rozmowa ze mną to niemal jak gadanie do ściany. – Cole – powiedziałam.

— Pieprzyłam się z jego przyjacielem, nie przejmowałam się tym – zwierzyła się. – Chciałam go skrzywdzić.

Usiłowałam się skupić, mimo że sama byłam zalana, mimo blasku telewizora, podniesionych głosów przy stole bilardowym i Tima McGrawa z szafy grającej. Skinęłam na Bex, żeby nałała następną kolejkę.

— Patty – powiedziała Nicole. – Patrick. Był żonaty, więc spotykaliśmy się w hotelach, w wynajmowanym przez niego domku. Posuwał mnie, potem robił mi zdjęcia, żebym mogła je wysłać mężowi, żeby wiedział, że jest ktoś inny. Jared pojawiał się w moim życiu i znikał, przynosząc ze sobą cały gnój. Chciałam go zranić.

Patrick Mursult, pomyślałam, czując na karku falę gorąca. Wyobrażałam sobie ich zdradę, Nicole pozującą dla niego w domku w Blackwater i wysyłającą mężowi zdjęcia, jakby to były dawki trucizny.

— Co się stało? – zapytałam.

Nicole wskazała telewizor.

— Było w wiadomościach – odparła, w oczach wezbrały jej łzy. Wytarła je, zdawało się, że ma mdłości, ogarnęło ją jakieś przelotne wspomnienie, pokręciła głową.

— Twój mąż go zabił? – spytałam.

— Jared był tchórzem – powiedziała Nicole, nieobecna, spowolniona, alkohol spychał ją w głąb. – Kiedy go poznałam, miałam zaledwie siedemnaście lat, a zakochałam się w nim z powodu jego tatuażu, tatuaż wystarczył, żeby zrobić na mnie wrażenie, orzeł na jego piersi. On powiedział, że podoba mu się moja kurtka. Był moim najgorszym błędem.

— Jezu, Cole, co ty mówisz? Twój mąż zabił kogoś?

— Jego przyjaciele to zrobili, nasi przyjaciele, Cobb to zrobił i Karl – wyznała Nicole. – A potem telefonował każdej nocy i mi groził, mówił, że zabije mnie za to, co mu zrobiłam, lub jeśli coś powiem. Zniszczył wszystko wokół mnie, wziął wszystko, co dobre, i to zniszczył... Żałuję, że nie umarłam w wieku siedemnastu lat, zamiast przeżywać to piekło.

— Kim są ci goście? – zapytałam. – Karl i Cobb? Nigdy wcześniej o nich nie wspominałaś. To byli wasi przyjaciele?

— To było dawno temu – stwierdziła Nicole, dopijając swojego

manhattana. Pogryzła lód.

— Pojadę z tobą na to nabożeństwo żałobne – zaoferowałam się, rozważając, kto się zjawi, żeby wspominać jej męża. Faceci nazywający się Cobb i Karl zabili Patricka Mursulta, a Jared, mąż Nicole, był w to zamieszany. W tej NTP Jared zmarł na raka tarczycy w 2006 roku, ale będzie nadal żył w 1997. Mogę go odnaleźć. – Zabierz mnie.

— Nie, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – zaproponowała Nicole. – Tamci ludzie...

— Nie powinnaś jechać sama – stwierdziłam. – Po tym, co mi właśnie opowiedziałaś. Nie puszczę cię samej. Chryste, Nicole, pojadę z tobą. Będzie dobrze. Musisz mieć przy sobie przyjaciółkę.

— Chyba tak, może – przyznała. – Daj mi się zastanowić. Chyba nie chcę być sama.

Poszła do toalety, a ja zamówiłam dla nas następną kolejkę. Nie byłam przyjaciółką, tylko fałszywą manipulatką, ale tutaj każda prawda była kłamstwem. Buzowało we mnie; trzech podejrzanych w sprawie śmierci Mursulta. Wysłałam esemesa Nestorowi, że nie będzie mnie w ten weekend. „Przyjedź dzisiaj”, odpowiedział, ale odpisałam: „Jest późno”, a on na to: „Jutro”.

— O cholera – powiedziała Bex.

Nicole wracała z toalety, zataczała się. Wpadła na kogoś, niemal rozciągnęła się jak długa.

— Czekaj chwilę – poleciłam. – Płacę kartą, Bex. Muszę zabrać stąd Nicole.

Dwudziestka na barze, napiwek. Przewiesiłam sobie przez ramię torebkę Nicole.

— Chodź, Cole – powiedziałam. – Pójdziemy do mnie.

Ramię Nicole na moich barkach. Chuchro, jakby była z powietrza.

— Nic ci nie będzie – zapewniłam ją. – Jesteś tylko pijana, to wszystko. Zabieram cię do domu.

— Potrzebujesz pomocy? – zapytała Bex.

— Damy radę – odparłam, świadoma, jak śmiesznie wyglądamy. – Może iść.

W May'rz nie było szaleństwa, ale noc na zewnątrz była cicha. Spadł deszcz, lodowata mgła. Zanim postawiłam stopę, macałam nią chodnik przed sobą, żeby sprawdzić, czy nie jest oblodzony. Wspięliśmy się po schodach

do mojego pokoju, po drodze zerkałam na Nicole. Mieszkanie 3-B, otworzyłam zasuwę.

— Połóż się na sofie.

Kaszląc, osunęła się na składany futon, nogi zwisały jej z podłokietnika. Bulgotliwe beknięcie, poczułam ostrą woń wymiotów alkoholowych i podeszłam sprawdzić, co z nią. Zabrudziła fartuch i płaszcz. Zdjęłam jej buty i zapaskudzone ubranie. Piersi drobne, ciało wyniszczone, ramiona ze śladami po igłach. Miała swoją bransoletkę w kształcie węża i naszyjnik, którego kamień wzięłam najpierw za jasny szafir z powodu jego blasku, ale przyjrzawszy się dokładniej, przekonałam się, że opalizująca niebieskość pochodziła od płątka jakiegoś wspaniałego kwiatu zatopionego w żywicy.

Naszyjnik był zachwycający, odcień błękitu nierzeczywisty. Ubrałam ją w jeden z moich swetrów i przykryłam kocem, błękit płątka kwiatu taki niezwykle, pomyślałam, gasząc światło w mieszkaniu. Taki zapierający dech ton niebieskości, jakiego nigdy nie widziałam. Usiadłam na podłodze obok Nicole. Jej palce dotykały mojej głowy i pojęłam, że niemal mnie pieści, przeczesując palcami moje włosy.

— Chcesz czegoś? – zapytałam, ale zamknęła oczy. Usta miała otwarte, wkrótce chrapała już cicho jak mrużący kot.

Zostawiłam uchylone drzwi sypialni, żeby usłyszeć, jeśli Nicole się poruszy, wzięłam z podłogi szafy aktówkę, po czym położyłam ją na łóżku. Teksty, które wydrukowałam w minionych tygodniach w bibliotece, artykuły o ataku na budynek SISK, o Marian Mursult. Zerknęłam na zdjęcie plakatu z napisem WIDZIAŁEŚ MNIE?, rozwieszanego w latach poprzedzających znalezienie jej zwłok, wydrukowanego przez Krajowe Centrum Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci. Były inne foldery, informacje o Patricku Mursulcie. Wyjęłam swoje kopie polaroidowych zdjęć znalezionych w worku marynarskim w domu Elrica Fleece'a, zbliżenia ud czarnoskórej kobiety, piersi, brzucha, stóp. Wówczas, dziewiętnaście lat temu, Nicole była w lepszej kondycji, ciało miała mniej zniszczone.

Nicole wierzyła, że Patrick Mursult został zamordowany z zazdrości, ale Patrick Mursult nie był jedyną ofiarą, zabito całą jego rodzinę. Historia Nicole miała luki, czas bardzo ją uniewinnił. Jej wersja przeszłości była tutaj jedyną obowiązującą, ale musiało być coś więcej. Mogłam sobie wyobrazić, że jeden facet strzela do drugiego z powodu zdrady żony, zaczaiwszy się na cudzołożnika w jego miłosnym gniazdku w Blackwater Lodge, ale nie

mogłam przekonać się do tego, by uwierzyć, że mąż Nicole lub jego przyjaciele zarżnęli z powodu tego romansu całą rodzinę Mursulta, że zabrali Marian do lasu. Brak wyobraźni być może, niezdolność do uznania skrajnego zła w ludziach, ktoś jednak zabił siekierą kobietę oraz dwoje dzieci, a potem zamordował siedemnastoletnią dziewczynę. Nie ogarniałam tego.

Wyjrzałam przez okno. Przeszedł śnieżny szkwał, pokrywając ulice białą błyszczącą jak kryształki cukru. Zdjęłam bluzę przemoczoną przez deszcz ze śniegiem i przewiesiłam przez drążek zasłonki prysznic, żeby wyschła, a potem odczepiłam protezę i podłączyłam do gniazdka baterię stawu kolanowego, żeby się naładowała. Patty, powiedziała Nicole. Patrick. Zastanowiłam się, czy jego zabójcy nadal żyją w tej NTP. Upłynęło dwadzieścia lat, odkąd znaleźli Mursulta w Blackwater Lodge i dokonali na nim egzekucji. Pamiętałam smołową ciemność nocy wokół tamtych domków, światło gwiazd i księżycy zdławione przez sosny. Wyobraziłam sobie pukanie do drzwi, przerwaną ciszę, i dotarło do mnie, że Patrick Mursult mógł znać swoich zabójców. Nicole wyznała, że sypiając z Patrickiem, chciała zranić swojego męża, że Patrick był jego przyjacielem. Może Mursult znał swoich morderców przybyłych nocą, może powiedzieli mu, że zamordowali jego rodzinę, że zabili jego najstarszą córkę i zakopali w wąwozie niedaleko domku, w którym zostawią jego zwłoki, że od Marian będzie go dzieliło tylko kilka kilometrów.

Wróciłam do aktówki i wyjęłam listę załogi *Wagi*. Znalazłam jego nazwisko: *Jared Bietak, mat-mechanik, technik Laboratorium Inżynieryjnego*. Mąż Nicole był marynarzem na *Wadze*, znał Mursulta, bo służyli razem. Jako technik LI mógł pracować przy napędzie B-L, byłby szefem maszynowni. Fleece by mu podlegał. Z bijącym sercem znalazłam nazwisko *Cobb Charles – operator broni specjalnej*, kolejny z SEAL. Był także *Karl Hyldekrugger – GWI-NAW*, gwiazdny nawigator. Wszyscy byli marynarzami na *Wadze*. Mursult nie był jedynym zaginionym w akcji, który się pojawił. *Waga* wróciła albo nigdy nie wystartowała. Gdzie się podziewała reszta załogi? Ci ludzie się znali, wiedzieli o romansie Mursulta z Nicole. Gdybym zdołała odszukać ich na terra firma, to mogłabym znaleźć Marian.

Oddech Nicole był niekiedy urywany, sapała i przewracała się z boku na bok. Przyniosłam kołdrę, żeby spać na podłodze obok niej, leżałam i nasłuchiwałam jej niespokojnego snu. Gapiąc się w sufit przez większą część nocy, wyobrażając sobie, że mój wzrok przebija wszystkie przeszkody,

przechodzi przez strop i mieszkanie powyżej, przez powłokę deszczowych chmur, prosto w nocne niebo, ku gwiazdom. Próbowałam wyobrazić sobie ten trójkąt miłosny: Nicole, Jared i Patrick Mursult, ale rozpraszały mnie cienie deszczu, myśli powędrowały ku Fleece'owi, ku drzewu z kości w lustrzanym pokoju, ku statkowi zbudowanemu z paznokci, który powiezie zmarłych. Zerwane paznokcie. Ktokolwiek zamordował rodzinę Mursultów, zabrał im je. Nicole sapnęła, zabrzmiało to, jakby przełknęła wymiociny, po czym obróciła się i zaczęła ponownie oddychać. Co by się stało, gdyby Nicole umarła? Nikt nie znalazłby jej ciała, póki nie zjawiłby się tutaj właściciel domu. Gdyby Nicole umarła w nocy, spakowałabym się i wyszła frontowymi drzwiami, nie oglądając się za siebie, wróciłabym na terra firma, pozwalając, by ta możliwość zniknęła z mignięciem.

## 4

**K**iedy zatrzymałam samochód na podjeździe Nestora, z przedsiionka domu wybiegł mi na spotkanie Buick, żeby zostać wytarמושony za uszy; obwęchał opony mojego auta, a potem pognął po trawniku. Nestor wyszedł na frontowy ganek i powiedział:

— Jesteś.

Pocałował mnie, kiedy wspiełam się po schodkach. Podał mi płytę w kopercie z brązowego papieru.

— Co to? – zapytałam. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, chciał się dowiedzieć, jak spędzam czas, gdy nie jestem z nim, a ja skłamałam, że moim najulubieńszym zajęciem na świecie jest leżenie w łóżku i słuchanie muzyki.

— Zobacz – powiedział. – Daj się zaskoczyć.

Krzyż z czaszek, *Leadbelly* Nirvany.

— Pomyślałem, że może ci się spodobać – powiedział. – Nie masz jej, co?

— Nie na winylu – odparłam. – Dobry wybór, uwielbiam to.

— Chciałem dać ci coś z 1997 roku, kiedy się poznaliśmy – ciągnął. – Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. To wyszło wtedy.

— Miałam na studiach T-shirt z Nirvaną. Ten z przezroczystym aniołem, całą tą anatomią. Oderwałam rękawy i zrobiłam z niego tank top.

— To samo robiłem z moimi koszulkami – przyznał, zapalając papierosa. Nestor ogarnął się dla mnie, zgolił brodę, bez zarostu wyglądał

o całe lata młodziej. – Widzisz, gdybyśmy byli wówczas przyjaciółmi, moglibyśmy pożyczać sobie ciuchy.

— Nie sądzę, żeby moje na ciebie pasowały.

Przepełnął powiew lata, topiąc glazurę śniegu z zeszłej nocy, zamieniając podłoże w błoto. Spędziliśmy popołudnie w bujanych drewnianych fotelach, wyjmując butelki schłodzonego yuenglinga z lodówki i obserwując Buicka ścigającego motyle. Puszczaliśmy *In the Pines* na tyle głośno, żeby słyszeć w ogrodzie muzykę z salonu.

Steki i cukinia z grilla na kolację, a po zmyciu naczyń obeszlśmy jego posiadłość, teren o powierzchni niemal siedmiu akrów oddzielony pasem drzew od sąsiedniej działki. Buick truchtał obok nas bez smyczy, biegając w tę i z powrotem w wysokiej trawie. Od czasu do czasu trzymaliśmy się z Nestorem za ręce, a kiedy chwyciłam go dla równowagi na nierównym gruncie, nie puścił mojej dłoni. Dotarliśmy do miejsca, w którym zwykle zawracaliśmy, do zniszczonej ciężarówki Rydera, którą poprzedni właściciele porzucili w polu. Stodoły sąsiada były nowsze, jasnoczerwona blacha falista, reflektory aktywowane przez czujniki ruchu. Buick zaszczekał, przypuszczalnie czując w powietrzu woń owczarków sąsiada.

— Wydajesz się nieobecna – zauważył Nestor.

— Taa – mruknęłam. – Sama nie wiem.

Łatwo zapomnieć się tutaj, z nim, zapomnieć, że ten świat jest jak sen, ale poznanie nazwisk zabójców Mursulta było dotknięciem koszmaru. Zastanawiałam się, czy Marian już nie żyła na terra firma, czy też miałam szansę ją uratować; nie dowiem się, póki nie wstąpię ponownie do rwącej rzeki czasu. Na swój sposób życie tutaj, obok Buckhannon, było idealne, idealne z Nestorem. Przyłapałam się na tym, że zapamiętuję Nestora, każdy szczegół, wiedząc, że pewnego dnia go opuszczę.

— Wracajmy – powiedziałam.

Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu, kończąc spacer w jego półakrowym, nierównym, zarośniętym kwiatami polnymi ogródku z boku domu. Nestor zrywał naparstnice i astry, Buick wysforował się przed nas ku niższej trawie. Było tutaj ciemniej, dom Nestora zasłaniał światło padające z frontowego ganku i od stodoły sąsiada. Pamiętałam z dzieciństwa podobne noce na wsi, z gwiazdami tak licznymi, że widziałam niekiedy mgiełkę Drogi Mlecznej.

— Nie mogę zostać na noc – powiedziałam. – Jadę z przyjaciółką na



nabożeństwo żałobne. Przyjeżdża po mnie rano...

Nestor pocałował mnie w czoło. Objął mnie, wdychał zapach moich włosów.

— Będę tęsknił.

— To tylko kilka dni.

Niebo było czyste, a kiedy zapadła noc, ujrzałam gwiazdy, ale nie ten niesłychany splendor, który pamiętałam z dzieciństwa. Horyzont się jarzył, zawsze trochę lśnił; zanieczyszczenie świetlne, światło interferujące ze światłem.

Nicole przyjechała po mnie swoją hondą fit; od tamtej nocy widziałyśmy się pierwszy raz. Wtedy wymknęła się rano, gdy ja jeszcze spałam, zostawiwszy mi kartkę z przeprosinami i podziękowaniami za pożyczony sweter. Kolejny akt skruchy polegał na tym, że przywiozła mi coś na drogę, kawę i croissanta na śniadanie.

— Ładnie wyglądasz – pochwaliła. – Nie widziałam cię nigdy tak wystrojonej.

Znalazłam na Avalonie goździkowo różową sukienkę koktajlową. Była dopasowana, miała elegancki krój, z czarnym paskiem w talii.

— Ty też – powiedziałam. Nicole swobodnie powabna w białej lnianej sukience i granatowej marynarskiej kurtce. – Myślałam, że masz tylko pielęgniarские kitle.

Z Waszyngtonu pojechaliśmy na południe, do Wirginii Zachodniej, do domu teściowej Nicole stojącego w sadzie w pobliżu Mount Zion. Wiejskie drogi, przystanek na stacji benzynowej, jedyna toaleta w budynku z pustaków. Zastanawiałam się, co Nicole pamięta z tamtej nocy, czy żałuje, że tyle mi powiedziała. Jest bardziej milcząca niż zwykle, pomyślałam, albo może to ja dopatrywałam się zbyt wiele w tym, że nie była rannym ptaszkiem. Włączyła muzykę, żeby wypełnić ciszę, gmerła przy panelu radia, aż w końcu wsunęła płytę CD. Obserwowałam ptaki szybujące na rozpostartych skrzydłach, wykorzystujące podmuchy wiatru.

— Nic ci nie jest? – zapytała Nicole. – Zbladłaś.

— Ja... Taa, tak sędę – odparłam. – Czy którykolwiek z tych ludzi, którzy...

— Nie mówmy o tym – powiedziała Nicole. – Zapomnij, dobra?

Zastanowiłam się, czyje twarze ujrzę: innych marynarzy podobnie jak Mursult uznanych za zaginionych, ale obecnych tutaj, żyjących, jakby powstałi z martwych? W jakiś sposób Nicole znajdowała się w centrum tych mężczyzn. Podśpiewywała cicho do wtóru muzyki, *color of her true love's hair*, dźwięczny głos. Trudno porównać ją z jej przeszłym wcieleniem, którego nie rozumiałam w pełni. Stado szpaków znaczyło kropkami niebo; skrzydła, zmieniły razem kierunek jak myśląca chmura.

— Nie będziesz uczestniczyć w nabożeństwie – odezwała się Nicole. – Tylko rodzina. Nie wiem, kto wróci do domu, ale niektórzy mogą przyjechać.

Skręciliśmy z głównej drogi na prywatny podjazd i jechałyśmy między rzędami drzew owocowych, niektóre były chore lub uschnięte, większość buchała wspaniałymi białymi kwiatami, których płatki wyglądały na trawie jak wiosenny śnieg. Dom stał na szczycie niewielkiego wzniesienia. Miał szczytowy dach, podwójny kamienny komin. Stodoła stała na drugim końcu zbocza, dwuspadowy dach odpowiadający temu domowemu, przybudówka z jednospadowym dachem. Ani dom, ani stodoła nie były pomalowane, oba budynki w barwie szarzejących desek, trawnik wyschnięty na brąz. Nicole zaparkowała obok stodoły.

— Tu jest pięknie, Nicole – powiedziałam. – Jak często tutaj przyjeżdżasz? Tak spokojnie.

— Nigdy – odparła. – Prawie nigdy.

Dom miał przestronne pokoje, drewniane podłogi. Na parapetach stały stare butelki z kolorowego szkła, które rzucały tęcze blaski na ściany. Zauważyłam, że na stoliku do kawy wystawiono niewielki zbiór przedmiotów, urządzono ekspozycję pamiątek: album z fotografiami, flaga amerykańska w trójkątnej gablocie, kieszonkowy zegarek na wstędze aksamitu. Nad obramowaniem kominka wisiał stary, długi karabin, dziewiętnastowieczny, a może starszy; u wylotu lufy dyndał woreczek z prochem. Zastanowiłam się, co by to powiedziało Nestorowi. Dom wypełniała woń chili gotującego się na wolnym ogniu i pieczonego chleba.

— Panno Ashleigh? – zawołała Nicole.

Odpowiedział jej kobiecy głos:

— Cole, och, zaraz do ciebie przyjdę!

Kobieta była korpulentna, miała siwe włosy w lichych warkoczach, pulchne policzki i grubą szyję, miękką jak cukrowa pianka.

— Jesteś – powiedziała i chociaż poruszała się o lasce, wzięła Nicole

w silne objęcia. – Przelecisz mi przez ręce, Cole. Jesteś koścista, zbyt chuda.

A kiedy Nicole mnie przedstawiła, panna Ashleigh ujęła moją dłoń i powiedziała:

— Courtney, miło cię poznać. Spójrz tutaj, obie coś straciłyśmy. – Uniosła skraj sukni, odsłaniając protezę stopy.

— Cukrzyca? – zapytałam.

— Zgadza się. Miałam neuropatię – odpowiedziała. – Typu drugiego, nagle. Straciłam także wzrok, ale zmusiłam lekarza do przepisania mi tych nanobotycznych kapsułek żelowych, uzdrowiły mnie. Nie będzie ci przeszkadzać łóżko polowe w przybudówce, co?

— Ani trochę – odparłam. – Dzięki za gościnę.

— Też coś – stwierdziła. – Przyjaciółka Cole, no wiesz... Shauna i Cobb mają swoje rzeczy w pokoju gościnnym. Inni zamieszkali w hotelu bliżej Spencer.

Cobb. Pod jednym dachem z nim, z członkiem SEAL.

Zaniosłam walizkę do pokoju w przybudówce głównego domu; brązowa wykładzina, komoda z zastawą upamiętniającą dwustulecie USA, pusta kasetka z wiśniowego drewna na osiem sztuk broni. Miałam widok na trawnik i odległy sad. W ogródku z boku domu, nieopodal starego pługa konnego, który pozostawiono jako dekorację, siedziała na taborecie kobieta, u stóp miała jutowy worek i wiadro i łuskała kukurydzę. Jej włosy spływały miedzianymi falami, farbowane. To musi być Shauna, uznałam. Obserwowałam ją przy obieraniu kukurydzy, gdy rozrywała łupinę, zdzierała liście i jedwabne wąsy. Miała na sobie bojówki o maskującym wzorze i termiczną bluzę z długimi rękawami, która przylegała do jej tułowia. Wysportowana, ale nie w swoim żywiole, jeśli chodzi o kukurydzę. Tego rodzaju kobieta, która kupiłaby różowy karabin. Nicole zapukała do drzwi.

— Będzie ci tu dobrze? – zapytała. – Wygodnie?

— Taa – odparłam, rozglądając się po pomieszczeniu i patrząc na składane łóżko. – Idealnie.

— Będę musiała zostawić cię na chwilę samą – powiedziała. – Panna Ashleigh i ja spotkamy się z innymi członkami rodziny. Wrócimy na kolację. Cobb nas zawiezie.

— Nie ma sprawy – stwierdziłam. – Dasz sobie radę?

Wiedziałam, że przywiezienie mnie tutaj uważa za błąd.

— Nic mi nie będzie – zapewniła. – Posłuchaj, w sprawie tego, o czym

rozmawialiśmy tamtej nocy. Nie wiem, co mówiłam. Nie pamiętam, ale jestem pewna, że byłam...

— Rozumiem, Cole – powiedziałam. – Ja też piłam. Nawet tego nie pamiętam.

— To moja rodzina. Nic mi nie będzie – powtórzyła. – To dobrzy ludzie.

Wypiłyśmy kawę przy kuchennym stole, podczas gdy panna Ashleigh przygotowywała się do drogi. Na schodach rozległy się zstępujące ciężkie kroki. Facet, który wszedł do kuchni, był gargantuicznych rozmiarów, co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy ode mnie, szeroki w barach, rękawy i plecy marynarki opinały się na nim. Muskularny, o postawie zapaśnika, który z wiekiem stał się opasły. Skandynawskie korzenie, okaz ze Środkowego Zachodu wykarmiony na kukurydzy, co najmniej po pięćdziesiątce, jeśli nie starszy, białoblond włosy, ostrzyżone krótko na jeża, pokrywały meszkiem różowawe fałdy na karku. Oczy miał w nosie, niesymetryczne, jedno nieco wyżej od drugiego; tępe, można by powiedzieć, ale dla mnie było w nich coś zdziwego.

— Kto to? – zapytał na mój widok.

— Courtney Gimm – przedstawiłam się, po czym uścisnęliśmy sobie dłonie; moja niczym płatek kwiatu zawinięty w kotlet.

— Przyjaciółka – wyjaśniła Nicole.

— Gimm – powiedział. – W porządku. Jestem Cobb.

— Cobb – powtórzyłam i zdawało się, że jest zadowolony z ponownego usłyszenia swojego nazwiska.

Uśmiechnął się, swego rodzaju ironiczny grymas okraszony zezowatym spojrzeniem. Wyobraziłam sobie, jak zabija Mursulta. Zabija dziewczynę. Wyobraziłam sobie, jak morduje ją gołymi rękami, wyciskając z niej życie, łamiąc jej kark.

— Wrócę niebawem – powiedziała Nicole.

Obserwowałam ich odjazd, podczas którego półciężarówka Cobba wyrzucała w powietrze obłok pyłu na długim gruntowym podejździe. Ruszyłam samotnie przez dom, deski podłogi skrzypiały. Lampa u szczytu schodów miała różowy klosz. Znalazłam sypialnię Nicole i zastanowiłam się, czy to jest pokój, w którym dorastał Jared Bietak. Jeśli tak, wszystkie ślady po nim zniknęły. Białe ściany, bielszy prostokąt w miejscu, gdzie niegdyś wisiał obraz. Wróciłam na dół i podniosłam okładkę albumu fotograficznego stanowiącego część wystawy pamiątek: miłość matki nie wygasa nigdy.

Zdjęcia Jareda Bietaka ze szkoły podstawowej, z ogólniaka. Wygląda na zabijakę, pomyślałam, ale panna Ashleigh zachowała wszystkie świadectwa, wzorowy uczeń. Zdjęcie z rozdania dyplomów, potem studia doktoranckie. Doktorat z chemii, Uniwersytet Pensylwanii. Obróciłam kartkę i ujrzałam zdjęcie czterech mężczyzn: Cobb, bez koszuli, muskularny, obejmujący ramieniem Jareda. Na fotografii był Patrick Mursult palący cygaro, ale nie znałam czwartego mężczyzny. Niemal równie wysoki jak Cobb, ale szczuplejszy, burza rudozłotych włosów. Głowę miał jak czaszka kościotrupa, zapadnięte policzki, wystające kości policzkowe, wargi rozchylone, zęby odsłonięte. Jego oczy przysłaniały cienie.

— Nie powinnaś tego oglądać.

Przestraszona zamknęłam album.

— Nie chciałam – powiedziałam, odwracając się do stojącej w drzwiach Shauny. – Byłam ciekawa, przepraszam...

— Nie jestem na ciebie zła – zapewniła mnie Shauna – ale nie pozwoliliby ci przeglądać ich rzeczy. Panna Ashleigh nie powinna tego zostawiać na wierzchu.

Była mniej więcej w moim wieku albo kilka lat młodsza, gdzieś po trzydziestce. Kiedy odgarnęła włosy, doznałam wrażenia *déjà vu*, jakbym widziała ten gest już wcześniej. W zagłębieniu obok kciuka lewej dłoni zauważyłam tatuaż, czarne kółko z zakrzywionymi szprychami.

— Chciałam tylko zobaczyć, jak wyglądał Jared – wyjaśniłam.

— Chodźmy stąd – powiedziała Shauna. – Pokażę ci sad.

Między drzewami owocowymi biegły ścieżki prowadzące do szosy. Drzewa kwitły, ale każdego roku warzyły je późne przymrozki, więc niektóre płatki zbrązowiały i opadły. Głównie jabłonie i grusze, nic nadającego się już do zbioru, ale Shauna mówiła z sentymentem o przychodzeniu tutaj latem i zbieraniu owoców na ciasta. Kiedy szłyśmy, moje myśli błądziły, myślałam o Njoku, o jego statku, *Raku*. *Rak* żeglował po Głębokim Czasie i zastanowiłam się, czy to samo dotyczyło *Wagi*. Rozmyślałam, w jaki sposób *Waga* wróciła, najwyraźniej niezauważona przez nikogo, albo czy w ogóle wystartowała.

— Jesteście więc z Nicole bliskimi przyjaciółkami, ale nigdy nie poznałaś Jareda? – odezwała się Shauna.

— Wiem tylko tyle, ile mi o nim opowiedziała – odparłam.

— Umarł kilka lat przed tym, zanim związałam się z Cobbem –

powiedziała Shauna. – Bardzo się przyjaźnili. Cobb gada o Jaredzie cały czas, o ich służbie w marynarce.

— Jak spiknęłaś się z Cobbem? – zapytałam.

— Chadzałam do takiego zajazdu, do baru dla motocyklistów na zadupiu – wyjaśniła. – Pokazywali tam walki MMA w systemie pay-per-view, a on zaczął ze mną gadać. Przedstawił mnie wszystkim wokoło, wszystkim szczerom rzeczonym.

Szłyśmy wzdłuż odległych zagonów truskawek, obok starego wychodka, który wyglądał malowniczo, popadając w ruinę. Ujrzałyśmy półciężarówkę Cobba jadącą przez sad w stronę domu.

— Powinnyśmy wracać – powiedziała Shauna. – Powinnyśmy być na miejscu, żeby ich powitać.

— Wspomniałaś o czymś – zauważyłam. – Powiedziałaś „szczury rzeczne”?

— Byli razem w marynarce wojennej. Jared, Cobb i pozostali – wyjaśniła. – Hyldekrugger.

— Tak się nazywali? – dociekałam. – Są gangiem czy co?

— Nazywali się tak w Wietnamie – odparła Shauna. – Szczury rzeczne. Patrolowali tam rzeki, gadają o tym cały czas, o całym tym gównie, które przeżyli. Hyldekrugger mówi zawsze, że są ocalańcami, że owce są składane w ofierze, a szczury przeżywają.

Szłyśmy obok starej stodoły, przyglądając się polnym kwiatom. Na strychu piętrzyły się nadal bele siana, ale panna Ashleigh wykorzystywała budynek jako garaż. W środku stał stary, wielki, zakurzony kamper. Skręciłyśmy w stronę domu.

Jared Bietak. Charles Cobb. I pozostali, powiedziała Shauna. Załoganci *Wagi* byli ocalańcami, stwierdziła. Szczury rzeczne. Nie są owieczkami. Żartuje się często, że najważniejszą grupą personelu Dowództwa Marynarki Kosmicznej jest jakaś dwudziestka psychiatrów zajmujących się marynarzami, którzy powracają z Głębokich Wód. Głęboka Przestrzeń i Głęboki Czas są nierealnościami, a wierzenia zbudowane na nierealności są przekonaniem wzniesionymi na ruchomych piaskach. Marynarze DMK, którzy doświadczyli Głębokiego Czasu, są często nawiedzeni, reagują na wypadki, które jeszcze nie zaszły i mogą się nigdy nie zdarzyć. I wielu marynarzy, którzy widzieli Głęboką Przestrzeń, wróciło wydrażonych, przytłoczonych ogromem kosmosu. Wszystkie ludzkie starania są niczym

wobec gwiazd.

Jedliśmy wspólnie kolację w napiętym milczeniu, siedząc w piątkę wokół kuchennego stołu w ciszy przerywanej jedynie przez brzęk sztućców o porcelanę, odgłosy jedzenia. Chili, kukurydza łuskana przez Shaunę, chleb. Od powrotu tamtych trojga Nicole nie odezwała się słowem, smutniejsza, niż widziałam ją kiedykolwiek wcześniej, i zastanowiłam się, jak głęboka jest jej żałoba po Jaredzie, czy ta sprawa wraca do niej, czy też coś się zdarzyło podczas jej nieobecności w domu. Próbowałam chwalić jedzenie, a panna Ashleigh i Shauna odpowiedziały uśmiechami, ale Cobb jadł szybko, gapiąc się na wyświetlacz swojego telefonu, po czym odszedł niecierpliwie od stołu.

Myślałam naczynia, które Shauna wycierała, panna Ashleigh piła kawę przy kuchennym stole, podczas gdy na zewnątrz gasło światło dnia. Nie wiedziałam, dokąd poszli Nicole czy Cobb. Przysiadłam się do panny Ashleigh, żeby wypić z nią kawę, a potem wyszłam na zewnątrz. Wspaniale tutaj, dom i stodoła surowe na tle pogłębiającego się zmierzchu. Obeszłam dalszy róg domu i ujrzałam Nicole opartą o krawędź otwartych wrót stodoły, palącą parlamenta. W swojej białej sukience wyglądała jak duch; marynarską kurtkę miała zarzuconą na ramiona.

— Tutaj jesteś – odezwała się aksamitnym głosem w przerwie między obłokami wydychanego dymu. – Przykro mi, że nie było mnie tutaj. Powinnam być dzisiaj z tobą.

— Dawałam sobie radę – odparłam. – Shauna jest miła, tak jak i panna Ashleigh. Jak się trzymasz?

— Dzisiaj pochowaliśmy ponownie mojego męża – powiedziała Nicole.

Podeszłam do niej bliżej, żałując, że już nie palę, pragnąc dzielić się papierosem i cieszyć nocą.

— Nie zdradzasz, jak bardzo za nim tęsknisz – stwierdziłam.

— Czasami – odparła Nicole. – Przyłapuję się na tym, że myślę o Jaredzie, potem pojmuję, że on nie żyje, i myślę o tym wszystkim, co się stało, i za każdym razem boli mnie to na nowo.

— Po tylu latach – powiedziałam.

— Straciłaś kogoś bliskiego? – zapytała.

— Tak.

— Zapomina się to, co złe, twoja pamięć próbuje uzdrowić przeszłość. Lata także się nie liczą – stwierdziła Nicole. – Czas po prostu się wypala. Czas się wypala i wydaje ci się, że rany zostały przyżegnane, ale one się

otwierają, raz za razem.

Odwróciła ode mnie wzrok i patrzyła w ciemność. Na to, co było odbiciem ostatniego zbłąkanego promienia światła zachodzącego słońca, oczy się jej szklily. To przydawało jej twarzy kociej inteligencji. Minę miała wyczekującą, przestraszoną, jakby trzymała straż na wypadek zjawienia się niewidocznych drapieżników. Zachód słońca był krwawy, niebo jeziorem ognia. Zwróciła się ponownie ku mnie, blask zniknął z jej oczu, złudzenie optyczne, które przeminęło.

— Jak rodzina? Stanowiła pocieszenie? – zapytałam. – Wiem, że nie dogadujesz się z niektórymi z nich.

— Strzepnij mokrą szmatę i patrz na krople wody, które lecą jak brylanty.

— Nie rozumiem – powiedziałam, ale przyszpiliła mnie wzrokiem. Zaciągnęła się papierosem. Wciągnęłam głęboko do płuc zapach dymu, tę słodysz.

— Rozumiesz – odparła. – Wiem, że ze wszystkich ludzi ty byś to zrozumiała.

Woda w nieważkości, pomyślałam. Woda, która odpływa splotami, wijąc się jak opalizujące robaki lub galaretowate brylanty. Skąd jednak mogła wiedzieć? Przypominałam sobie popołudnie, starając się ustalić, czy coś mi się wysnęło, czy zdradziłam się w jakiś sposób, ale nie, nie wiedziałyby, nie mogła.

— Starzeję się – oznajmiła Nicole. – Bardzo szybko. Czasami wydaje mi się, że słyszę, jak moje ciało się starzeje. Zapominam, jak bardzo mi się tutaj podoba, jak ociążały wydaje się sad. Spędzam każdy dzień na pomocy starszym, widzę, jak umierają, i to przypomina fale rozbijające się o brzeg, ale tutaj wszystko płynie wolno. Przypomina mi dom.

— Kenię?

Skinęła głową.

— Mombasę. Sprawili, że drzewa wyglądają jak szmaragdy. Wszystko zmodyfikowane genetycznie, nic nie rośnie naturalnie, nawodnienie, proste rzędy. Zrywasz owoc, a on odrasta momentalnie, nigdy niczego nie brakowało. Jako dziecko nigdy nie byłam głodna. Widok idealnie równych rzędów drzew owocowych przypomina mi mój kraj. Nie tęskniłam za nim, póki nie pojęłam, że nigdy więcej go nie zobaczę.

— Możesz wrócić – powiedziałam. – Skoro to ojczyzna...



— Nie, mój dom nie istnieje – odparła Nicole. – Nigdy go nie było. Wyjechałam z nią, bo mój ojciec poznał ją na zabawie w naszej wiosce, na przyjęciu dla załogi *Wagi*, i załatwił, żebym z nią poleciała.

*Waga*, wstrząsające słowo.

— Dlaczego to mówisz? Cole...

— Nie ma już czasu na kłamstwa – stwierdziła, a w jej oczach zatliło się coś w rodzaju nienawiści lub przebiegłości. – Jesteś teraz dla mnie jak wiadomość w butelce. Czasami butelka się rozbija i tonie w oceanie, ale niekiedy dociera do brzegu. Nie wiem która.

Jej nazwiska nie było na liście załogi *Wagi*, ale wiedziała o statku. Była na pokładzie. Spotkałam ją, uważając za ćmę barową, ćpunkę. Uznałam, że jej życie jest tylko tym, co widać, Donnell House i May’rz Inn, lata picia, pigułek i niekończących się zmian w pracy polegającej na opiekowaniu się starszymi ludźmi, ale żeglowała na *Wadze*, jej życie skrzyło się wspomnieniami z Głębokich Wód.

— Skąd wiesz? – zapytałam. – Kim jesteś?

— Byłam w szkole medycznej – odparła. – Ojciec przekonał ją, że mogłabym być pomocna. Chciał dla mnie innego życia. Pokochałam ją od pierwszego wejrzenia. Zainspirowała mnie. Chciałam z nią polecieć. Miała w sobie to coś, ludzie chcieli iść tam, dokąd ich prowadziła. Chcieliśmy podążyć za nią.

— Za kim? – zapytałam.

— Komandor Remarque – odpowiedziała Nicole. – Czterdzieścioro siedmioro członków załogi. Zadaniem *Wagi* było dotrzeć do galaktyk NGC 5055 i NGC 5194, do Słonecznika i Wiru. Sześćioletnia misja. – Zapaliła kolejnego parlamenta, tłący się niedopałek poprzedniego posłała w trawę obok stodoły. Zakreślił pomarańczowy łuk i zgasł. – Najpierw dokonaliśmy przejścia do NGC 5194 i przez dwa i pół roku prowadziliśmy obserwacje, przenosząc się na ziemską stronę NTP-ów na przepustki i w celu uzupełnienia zapasów – wyjaśniła Nicole. – Ale Wir był jałowy, więc Remarque wydała rozkaz lotu do drugiego celu, do Galaktyki Słonecznika, i to tam trafiliśmy na cud.

— Jaki? – zapytałam.

— Życie – odparła Nicole. – Znaleźliśmy życie.

KTN-y przybędą jak choroba przez przyszłą Białą Dziurę, ale podczas licznych odysei DMK wszechświat ukazywał się wyłącznie jako płonący gaz

i martwa skała. Wiadomość o tym, że *Waga* odkryła planetę, na której istniało życie, była niemal nie do pojęcia, wezbrała we mnie ogromna pycha. Zdawało się, że gwiazdy w górze zaroily się nagle, już nie zimne ognie niebieskie, ale pulsujące życiem, niczym frenetyczne mrowie organizmów zawartych w kropli wody.

— Płynna planeta – ciągnęła Nicole. – Atmosfera była mieszaniną metanu i dwutlenku węgla. Nic, co by podtrzymało ziemską egzystencję, a jednak roilo się na niej życie. Była mała, okrązała gwiazdę podwójną. Powierzchnią był ocean z krystalicznymi strukturami, które pływały jak lewiatany, kryształy jak filigran, mamucie wielościany, które wynurzały się i zanurzały w atramencie. Kryształy zaśpiewały na nasz widok; znasz ten dźwięk, kiedy przesuwają się palec po brzegu kieliszka? Remarque nazwała planetę *Esperance*, czyli *Nadzieja*. Występowały tam masywy lądowe, zmarszczki fiordów, a ja byłam w dwunastoosobowym zespole egzobiologów. Zostawiliśmy *Wagę* na orbicie i przelecieliśmy przez atmosferę w trzech quad-landerach. Podwójne słońca były odległe, umierały. Wiatr miotał pojazdami, powietrze było pełne lodu. Wylądowaliśmy i założyliśmy bazę.

Szkoliliśmy się wszyscy w warunkach imitujących powierzchnie obcych planet, wznosiliśmy pianowo-betonowe kopuły jako tymczasowe domy, obozowaliśmy na arizońskich pustyniach i arktycznych połaciach lodowych, korzystaliśmy z samopodgrzewających się pojemników i bezdymnego chemicznego ognia, spędzaliśmy noce w kombinezonach kosmicznych przy ograniczonej ilości tlenu. Nie wylądowałam nigdy na powierzchni kryształowej wyspy czy obcego morza, ale wszyscy trenowaliśmy na taki wypadek. Nicole chodziła po obcym świecie; wyobraziłam ją sobie wypatrującą gwiazdozbiorów na nieznanym niebie, jakby usiłowała czytać brajlem w obcych językach.

— Mieliśmy ze sobą dwóch członków SEAL, Mursulta i Cobba – podjęła wątek Nicole. – Wylądowali też Jared oraz Beverly Clark, botaniczka, a ja zostałam wyznaczona na jej asystentkę. Byli z nami Patricia Gonzales, geolożka, i Nate Quinn, biolog. Elric Fleece i Esco z działu technicznego, mechanicy lądowników. Tamika Ifill, Takahashi i Josephus Pravarti byli naszymi pilotami. Od słońc planety dzieliło nas niemal siedem miliardów kilometrów. Nazwaliśmy je Błędnyimi Ognikami, bo były upiornie niebieskie. Planeta miała trzy księżyce, największy był dziobaty kraterami

olbrzym, którego ogrom wisiał wszędzie, gdzie się spojrzało, niemal kolejna planeta krążąca wokół naszej. Pozostałe księżyce, niekiedy ledwie widoczne, zakreślały własne łuki, przy czym najmniejszy wykonywał dwa okrążenia, zanim największy zdawał się w ogóle poruszyć. Z powodu częstych zaćmień trudno nam było odróżnić noc od dnia i nawet najjaśniejszy dzień wydawał się zmrokiem. Podłoże było brejowate i miękkie jak kit. I ta breja zasysała nasze buty i ochlapywała kombinezony drobnym pyłem krzemowym siejącym zamęt w naszej elektronice. Łączność z *Wagą* się rwała, była poszarpana wybuchami zakłóceń. Ale piękno tamtych grani, to, jak ocean barwił lód na niebiesko... Po dwóch dniach przekonaliśmy się, że ląd się zwęża i wyrównuje, a my zeszliliśmy po lodowych półkach i wkroczyliśmy na moczary. To był nasz pierwszy kontakt z życiem, pas flory, niczym pogranicze odległego oceanu, ostrza dzikiej trawy i coś jak wiotkie urginie morskie o zamkniętych bulwach, łodygach bardziej szarych niż zielonych. Rośliny o szerokich liściach, niczym lilie wodne, i włóknisty mech porastający lodowe błoto, zarośla trzciny wysokich jak drzewa, wygiętych nad nami, zrosniętych w łukowe bramy, jakby całe mokradło było jednym organizmem, który wyrósł w postaci geometrycznej architektury. To jest niemal... Pomyślałam, że jesteśmy we wnętrzu struktury, której nie mogę zobaczyć, która jest niewidzialna. A rośliny obrastają ją jak bluszcz. Rozumiesz?

Wyobraziłam sobie zespół egzobiologów wędrujących przez mokradło, przemierzających roślinność jak turyści zwiedzający katedrę.

— Chyba tak.

— Aż dotarliśmy na plażę z metalowych kamieni, jakby z łożyskowych kulek zamiast z piasku, a dalej rozciągał się czarny ocean. Beverly Clark stawała się coraz bardziej niespokojna, przede wszystkim nie chciała w ogóle lądować na *Esperance*. Bała się iść przez mokradła i wpadła w panikę na widok oceanu. Dostała hysterii, powiedziała, że ocean nas pochłonie, że uważa, iż ocean jest ustami planety. Jej strach udzielił się Quinnowi i Fleece'owi, którzy powiedzieli, że nie będą nieśli dalej ekwipunku, odmówili. I oto staliśmy tam, w obliczu obfitości życia, a prowadziliśmy sprzeczkę. Cobb zdecydował, że będziemy spać na zmianę, żeby odpocząć przed powrotem do bazy, a potem na *Wagę*. Tymczasem reszta z nas zbierała okazy, napełniając probówki oceanem, gromadząc próbki gleby, skał, wycinki liści. Staraliśmy się siłą otworzyć zamknięte bulwy, ale były

zaciśnięte jak małże. Chcieliśmy wykopać rośliny z nieuszkodzonymi systemami korzeniowymi, ale Beverly Clark, Quinn, a nawet Patricia Gonzales kłócili się z nami...

— Tracili zmysły – powiedziałam. – Przytłoczeni.

— Nie, póki nie doszło do koniunkcji księżyców – odparła Nicole. – Trzy księżyce w jednej linii, zaćmienie, kręgi w kręgach. Niemal dało się odczuć zmianę grawitacji, jaką wywołały wspólnie – lekkość, uniesienie, wrażenie przyciągania przez satelity, jakby ciągnęły cię za nić w piersi. Także morze zareagowało, cofnęło się od brzegu, poddając się przyciąganiu, odpływ. W miarę cofania się wody plaża się powiększyła, dno pokrywały porosty, luminescencyjny dywan, który rósł w bruzdach prowadzących w głąb oceanu. Poskręcane szkliste skały, niczym lawa wijąca się w wodzie, a jeszcze dalej widzieliśmy kryształ, oślepiające jak brylanty. Woda cofnęła się na tyle, że odsłoniła korpus jednego lewiatana, jednego z dzwoniących tworów, które obserwowaliśmy z góry... Czy raczej krystaliczny kształt lewiatana. Znajdował się w oddali, ale wydawał się bardziej konturem niż obiektem, takie same kształty, w jakich wyrosły rośliny, albo może to był niegdyś organizm, ale teraz stał się kryształem. Nie wiem, jak to... Nie znam odpowiednich słów... Krystaliczna forma, jak splecione brylanty albo piramidy wewnątrz piramid. Fraktal. Ale najpiękniejszym widokiem było to, że wszystkie te zamknięte pąki na moczarach, wszystkie rośliny wzdłuż brzegu zareagowały na zwiększone przyciąganie grawitacyjne i wszystkie kwiaty rozpostarły swoje liście, pąki wybuchały, zamieniając się w kwitnące ciężkie kwiaty o bordowych pręcikach i długich, jarzących się niebiesko płatkach. Ich błękitne światło było niemal zbyt intensywne dla wzroku i musiałam zmrużyć oczy.

— Twój naszyjnik – odezwałam się. – Niebieski płatek.

— Masz – powiedziała Nicole, zdejmując i wręczając mi wisiołek jaśniejącego błękitu.

Ujęłam go w stulone dłonie, tak jak przyjąłm niegdyś ludzkie serce, drżąc na myśl, że trzymam artefakt obcego życia. Przyjrzałam się uważnie, dostrzegłam żyłki w niebieskości, sprasowany płatek jarzył się nadal widmowym blaskiem.

— O mój Boże – powiedziałam. – O mój Boże.

Jednak trzymając go, czułam niepokój. Zwróciłam naszyjnik Nicole, która wsunęła go do kieszeni, niebieskość zgasła.

— Otworzyły się wszystkie kwiaty – kontynuowała. – Na mokradłach i wzdłuż całego wybrzeża; na dnie oceanu rosło ich tyle, że odsłonięty fragment był jak zagon polnego kwiecica. A kiedy przyglądaliśmy się im, ich zarodniki, albo pyłek, wzniosły się ku księżycom, rozmyte światła, jak padający odwrotnie niebiesko-złoty deszcz. I to wtedy... to wtedy stało się z Quinnem, gdy zaczął krzyczeć. Patrzyliśmy wszyscy na niego, stojąc na polu kwiatów, otoczeni przez wznoszące się zarodniki. Pyłki wtargnęły w niego, przeniknęły przez kombinezon kosmiczny i wniknęły w jego ciało, jakby absorbował te niebieskie światła. Jego twarz przez maskę... Oczy się wybałuszyły i zaczęły krwawić, widziałam, jak kombinezon i hełm opadły z niego, ale wisały w powietrzu obok jego ciała. I został uniesiony, nagi, metr nad powierzchnię gruntu, z rozpostartymi ramionami i rozłożonymi nogami, skóra płonęła mu obcym światłem. To wszystko stało się bardzo szybko. Krzyczałam. Myślałam, że krzyczę. Szyja mu pękła, trysnęła z niej krew, napełniając powietrze mgiełką, inne rany otworzyły się wzdłuż ramion i ud i krew płynęła z nich przez kilka minut. Ciało się zmarszczyło, ale krople wisały wokół niego jak mgła. Skóra się złuszczyła, z dłoni zeszła jak rękawiczki, z ramion jak rękawy, z tułowia niczym kurtka, powiewała jak szarfy na wietrze. On dryfował, płynące ciało, obłoki mięsa, białe ścięgna i kształt ziejący w jego piersi, otwarty w nim jak oko, wielokąt o połączonych wierzchołkach, i patrzyłam przez tę figurę w inną przestrzeń jak przez portal, który się w nim otworzył, kolejny śnieżny krajobraz i następny, i jeszcze jeden. Patrzyłam przez niego, ale zdawało mi się, że coś patrzy stamtąd na mnie. Czułam, że coś sięgnęło przez niego i zostałam dotknięta. Jego ciało uległo poćwiartowaniu i niebawem był już tylko konturem nerwów i naczyń krwionośnych, jak człowiek z koronki. Wszystkie narządy mnożyły się wokół niego, tworząc sześcian, wszystko wystawione na pokaz.

Nicole jęknęła jak śpiący pies, skierowała oczy w nocne niebo. Było mi słabo, gdy myślałam o milczeniu wszechświata i śpiewie krystalicznych form. Nicole widziała ciało rozczłonkowane w powietrzu jak zwłoki otwarte na stole. Mruczący układ krążenia, dzwoniący układ nerwowy, wilgotne miechy płuc. Ogarnął mnie strach. Ciała odarte ze skóry, mięśnie wiszące na pokaz w powietrzu, mięśnie jarzmowe, mięsień obniżacz ust, mięsień okrężny oka, mięsień okrężny ust – sekcja zwłok.

— Następna była Beverly Clark, uciekała i czołgała się, ale została uniesiona w powietrze i rozebrana na części. Była fraktalem, wszystkie jej

elementy. Krew była mgłą, przez którą biegliśmy, oszaleli. Paliłam się w środku, jakby mózg i oczy wypełniał mi ogień, jakby skóra miała na mnie spłonąć. Takahashi krzyknął i widziałam, że rzuca się na Patricię Gonzales i tłucze ją na śmierć, rozbija wizjer jej hełmu i tłucze ją, a ona dusi się obcą atmosferą. A ja nie mogłam już dłużej znieść pieczenia. Chciałam umrzeć, cokolwiek, byle pozbyć się bólu. Pragnęłam wbiec do czarnego oceanu, ale Jared, mój Jared, krzyczał, płonął, i próbował mnie zabić...

— Został przemieniony – odezwałam się. – Tamto miejsce doprowadziło go do obłądu, zamieniło w mordercę.

— Tylko Cobb i Mursult pozostali przy zdrowych zmysłach. Ocalili nas, ci z SEAL. Zdołali zachować rozum, być może dzięki szkoleniu. Cobb odciągnął ode mnie Jareda. Dotarł do niego jakoś. A Patrick podniósł mnie z ziemi, słyszałam jego głos jak przez wodę, ale w końcu słowa dotarły do mnie: „Biegnij, biegnij”. Zostawiliśmy Takahashiego, widziałam, że Esco wbiega do oceanu, znika w nim. Fleece się załamał, ale był z nami, Cobb go niósł. Straciliśmy Tamikę Ifill w głównym obozie, ale reszta z nas wystartowała w quad-landerach. Zerwaliśmy z siebie ubrania i drapaliśmy się, ciała nam płonęły. Przycumowaliśmy do *Wagi*, a Remarque oddaliła się od planety. Słyszeliśmy krystaliczne dzwonienie i kosmos wokół nas stał się kruchy jak lód, błyszczący jak diamentowy pył. Remarque włączyła napęd B-L, zanim cała przestrzeń wokół nas stała się łamliwa, i dokonaliśmy przejścia, ale to podążyło za nami.

— Co? – zapytałam.

— Białe światło. Podążało w kilwaterze ujemnej energii pozostawianym przez napęd B-L, śladem, który marynarze nazywają liniami Casimira. Remarque dokonywała kolejnych przejść, ale białe światło było zawsze nad nami, zawsze nas otaczało. A nam kończyły się zapasy...

— Wyruszyliście więc ku Ziemi – poddałam, pojmując, że Nicole opisuje narodziny Terminusa.

— Daleka przyszłość – powiedziała. – Przeskoczyliśmy w przyszłość odległą o tysiące lat, mając nadzieję, że cywilizacja o technologii dużo bardziej zaawansowanej od naszej będzie w stanie nam pomóc, ale kiedy dokonaliśmy przejścia, białe światło pojawiło się tam, to drugie słońce. Widzieliśmy rozpuszczanie się przyszłości rodzaju ludzkiego. Widzieliśmy ludzi wbiegających do morza, żeby utonąć, widzieliśmy ludzi wiszących w powietrzu. Z ustami wypełnionymi srebrem. Remarque przeskoczyła do

innych przyszłości, ale białe światło lśniło w górze na każdym niebie, kalając każdą możliwość.

Pomyślałam o pożarze ogarniającym nieba nieskończonych Ziemi. Pomyślałam o Białej Dziurze lśniącej jak martwe oko.

— Remarque wiedziała – odezwała się Nicole. – Zebrała nas w kantine, jedynym miejscu na tyle dużym, żeby pomieścić całą załogę. Powiedziała nam o przestrzeni Everetta, o tym, że przemieszczamy się w przyszłościach zwanych przestrzeniami Everetta, które były wykrojone z naszych obserwacji, naszych doświadczeń. Powiedziała nam, że gdybyśmy popełnili samobójstwo, wszyscy naraz, gdybyśmy się wszyscy zabili, to wszystko, co widzieliśmy i odkryliśmy, zniknęłoby w mgnieniu oka. Moglibyśmy przeskoczyć do nowej przyszłości i popełnić zbiorowe samobójstwo, a wszystko, co widzieliśmy i przeżyliśmy na *Wadze*, przestałoby istnieć. Na terra firma nigdy by się nie dowiedziano o *Esperance*; planeta nie zostałaby odkryta, bo gdybyśmy zniknęli, byłoby tak, jakbyśmy nigdy na nią nie trafili. Moglibyśmy ocalić ludzkość. Powiedziała nam, że zapoczątkowałaby sekwencję zdarzeń w celu wywołania „awarii kaskadowej” w napędzie B-L, że zniszczenie silnika unicestwiłoby nas oraz wszystko, co odkryliśmy. Stwierdziła, że byłoby to bezbolesne.

— Ale odmówiliście – powiedziałam.

— Hyldekrugger nie chciał umierać – odparła Nicole. – Remarque miała zwolenników, Chloe Krauss, naszą oficer zbrojeniową, i innych. Jednak większość ludzi była gotowa posłuchać Hyldekruggera, część załogi, która przyłączyła się do niego, kiedy Remarque wydała nam rozkaz zabicia się. Zebrał wokół siebie popleczników.

— Bunt – stwierdziłam.

— Jestem niewinna. Niewinna tego wszystkiego, co się wydarzyło, wszystkiego, co się stanie. Schroniłam się w pomieszczeniu systemu podtrzymywania życia, żeby nie znaleźć się w ogniu walki, a kiedy usłyszałam, że potyczka zbliża się do mnie, ukryłam się w areszcie, o którym wiedziałam, że mogę się w nim zamknąć. Nie pamiętasz? Spotkałyśmy się kiedyś, lata temu.

— Co? – zapytałam skonfundowana. – Nie, to niemożliwe. Skąd miałabym pamiętać?

— Nie mamy czasu na twoje kłamstwa, Courtney – oznajmiła i zaciągnęła się mocno papierosem. – Musimy stąd wyjechać. Zbierz swoje

rzeczy...

— Powiedz mi, co się stało z Remarque.

— Zabili ludzi lojalnych wobec niej – powiedziała Nicole. – Schwytali ją. Poderżnęli jej gardło na oczach wszystkich innych, wiwatowali z powodu jej śmierci. Zamordowali ją. Zrobił to Hyldekrugger. Przekazywali sobie zwłoki, każdy zaangażowany w bunt bezczęścił je. Mnie oszczędzili, bo byłam żoną Jareda. Zabili wszystkich innych, ale mnie oszczędzili. Jestem niewinna.

— Co się stało ze statkiem? – zapytałam. – Wróciliście tutaj, przywlekliście Terminusa ze sobą. Co z *Wagq*?

W oczach Nicole wezbrały emocje; po jej twarzy przemknął cień wspomnienia i momentalnie zniknął. Sięgnęła po moją dłoń, uściśnęła ją. Powiedziała:

— Znam opowieść o duchach w lesie, które poprzedzają żywych niczym dusze przed ich ciałami. Dusze przeżywają życie, a potem ich ciała prowadzą to samo życie, ale zawsze spóźnione o kilka kroków.

W oddali mignęło światło latarki, omiatający promień w pobliżu sadu. Ktoś czegoś szukał. Nicole powiedziała:

— Powinnyśmy wyjechać. Zaczekaj, aż przyjdę po ciebie.

Wycofała się w noc, jej białe ubranie jak promieniująca plama księżycowego blasku, zanim połknął ją mrok.

— Nicole, zaczekaj – powiedziałam. – Nicole...

W powietrzu unosił się dym z jej papierosa. Zabili ją, powiedziała, a moje serce przyspieszyło rytm; mokra szmata, woda jak brylanty.

Byłam tutaj sama, pojęłam. Zmierzch się pogłębił, światła domu były jedynym blaskiem, pomijając czerwoną obręcz horyzontu. Sądząc po zapachu, panna Ashleigh piekła ciasto, czuć było woń jabłek i przypraw. Chłodniej teraz, gdy byłam bez zakietu. Zadrzałam, myśląc o deszczu zarodników, o autopsjach w powietrzu. Pomyślałam o *Wadze*. Bunt...

Promień latarki podkradł się bliżej, omiół murawę, trawę przed stodołą.

— Kto tam? – zapytałam.

— Cicho. – Głos Shauny. Wyłączyła latarkę. – Poczekaj – powiedziała.

— Co się dzieje? – spytałam, ale nie odpowiedziała, póki nie znalazła się na tyle blisko, żeby szeptać.

— Nie wracaj do domu. Biegnij w tamtym kierunku – poleciała, odwracając mnie w stronę sadu. Poświeciła latarką na ziemię, daleko przed



nami. – Idź prosto między drzewami owocowymi, a dotrzesz do szosy, dokładnie tam, dokąd doszliśmy dzisiaj. Oddal się od domu i idź do drogi...

— Powiedz mi, co się dzieje.

— Shannon Moss – odparła Shauna. – Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej.

Szok wywołany brzmieniem własnego nazwiska, moja maska zdarta. Pomyślałam o twarzy Shauny, o jej ciemnych oczach, ale nie, nie rozpoznawałam jej. Skąd miałaby wiedzieć?

— Nie...

— Zidentyfikowali cię – powiedziała Shauna. – Kiedy Cobb i Nicole wyjechali tego popołudnia, musieli się spotkać z Hyldekruggerem. Dysponują nazwiskami agentów, którzy prowadzili ich sprawy, listami sięgającymi wiele lat wstecz. Cobb sprawdził. Zidentyfikowali nazwisko Courtney Gimm, ale ja wiem, kim naprawdę jesteś. Musisz zniknąć. Będę miała transport, kiedy dotrzesz do drogi.

— Są z *Wagi*? – zapytałam. – Kto jeszcze w tym uczestniczy?

— Nie wiem, co to jest *Waga* – odparła Shauna. – Nie wiem, w jakim wydziale pracujesz. Ja zajmuję się terroryzmem wewnętrznym.

— Kim jesteś?

— Z FBI – powiedziała. – Idź.

Tłąca się myśl, że mogę tutaj zginąć, była jak skrzydła Merkurego. Kiedy Shauna odwróciła się w stronę domu, pobiegłam w kierunku sadu. Na czoło wystąpił mi zimny pot. Starłam się panować nad oddechem, tak jak mnie szkolono, próbowałam zachować zdrowy rozsądek pomimo strachu, usiłowałam myśleć. Przebiegłam przed domem przez plamę światła rozlaną na trawniku i dotarłam w rejon wyższej trawy, gdy usłyszałam krzyk. Potknęłam się i upadłam, spojrzałam w stronę budynku. Szczytowe ściany domu i stodoły zdobiły grzebieniem wzniesienie, czarne kontury na tle piekielnie czerwonego zachodu słońca jarzącego się na horyzoncie. Krzyki trwały, przesywający wrzask skrajnego szoku, śmierci.

Uciekaj. Wstań, Shannon. Uciekaj...

Szybko w dół zbrocza, dotarłam do sadu i pobiegłam wzdłuż równych rzędów drzew, patrząc pod nogi. Korony w górze były sklepieniami nade mną cieniami, niebo zalewem światła gwiazd. Grunt wokół zdawał się jarzyć, blask księżyca odbijał się od dywanu z płatków kwiatów. Posuwałam się szybko, ale gdzieś za sobą słyszałam głośne dyszenie. Ciężkie kroki, łamiące

się gałązki, ktoś gnał w dół. Ciemny kształt pomknął ku mnie. Mężczyzna, który przygniótł mnie do ziemi. Pod jego ciężarem powietrze uszło mi z płuc, nie mogłam oddychać.

Facet bił szaleńczo, walił mnie w bark, w czoło, ale nie były to celne ciosy. Cobb, jego dłonie jak miażdżące młoty. Gdyby trafił czysto, znokautowałby mnie, ale ciemność działała na moją korzyść. Wyrwałam się mu, a kiedy spadł na mnie ponownie, nie wylądował całym ciężarem ciała, nie unieruchomił mi ramion. Zamachnął się, pięść jak cegła trafiła mnie w oczodół, błyski światła. Oszołomiona, przywarłam do jego tułowia, objęłam go, wepchnęłam mu głowę pod pachę, trzymałam się blisko, żeby jak najbardziej ograniczyć jego zamachy. Uderzył mnie w plecy. Zmieniłam chwyt, dłonie znalazły pasek jego spodni, przypiętą do niego pochwę, rękojeść noża. Cobb grzmocił mnie po plecach, po nerkach, co czułam głęboko w trzewiach, ale kiedy zmniejszył natężenie ataku, żeby przyjąć lepszą pozycję, sięgnęłam szybko po nóż. Wyszarpnęłam ostrze z pochwy i przez koszulę wbiłam mu je w brzuch. Wzdrygnął się, a ja dźgnęłam go w pachę, usłyszałam, jak chrząka, poczułam, że ramię mu słabnie. Puścił mnie, ale nadal trzymałam się blisko, ciachnęłam wyżej, przeciągając ostrzem po szyi. Opryskała mnie gorąca krew, zalewając mi falami twarz. Cobb zabalgotał, beknął. Zatoczył się i przewrócił. Nerozumiejące oczy omiały sad tylko przez kilka chwil.

Co powiedziała Shauna? Transport... FBI. Drzewa się skończyły, a ja wytoczyłam się na drogę. Odległe reflektory. Samochód ruszył w moją stronę, zatrzymał się kilka metrów ode mnie. Stałam unieruchomiona przez jego światła, ociekając krwią Cobba. Z auta po stronie pasażera wysiadła kobieta, drobna blondynka o wielkich niebieskich oczach, porcelanowa lalka w dżinsach i wiatrówce. Wyciągnęła broń.

— Rzuć nóż... natychmiast.

Pozwoliłam, by upadł na ziemię.

— Gdzie Vivian? – zapytała.

— Nie wiem... Nie znam Vivian – odparłam. – Kobieta imieniem Shauna...

— Jedźmy – powiedziała tamta. Zaprowadziła mnie na tył SUV-a. Kierował krótko ostrzyżony mężczyzna, włosy jak kolce kasztanowca. Dodał gazu. Sad był już daleko za nami, kiedy kobieta zapytała: – Potrzebujesz pomocy medycznej?

Pochwyciłam swój widok we wstecznym lusterku, byłam skąpana we krwi.

— Krew nie jest moja – odpowiedziałam. – Oberwałam, ale nie muszę jechać do szpitala.

Lewy oczodół, ten, w który trafił Cobb, rwał w rytm pulsu; dotarło do mnie, że widzę tylko na jedno oko.

— Muszę się umyć.

— Zatrzymamy się gdzieś – obiecała kobieta.

— Kim jesteś?

— Agentka specjalna Zwerger – przedstawiła się, wyciągając legitymację FBI.

— Egan – odezwał się kierowca.

— Zadzwoń do swojego przełożonego – powiedziałam, opluwając krwią ich fotele; podczas walki musiałam się ugryźć w język. – Powiedz im, że macie *Szarą Gołąbicę*. Cholera, moje oko. Co z nim?

— Spuchnięte – odparła Zwerger. – Sprowadzimy kogoś, żeby cię obejrzał, kiedy będziemy bezpieczni.

Nigdy nie będziemy bezpieczni. Byliśmy ciałami w piekle, a Biała Dziura była naszym martwym słońcem. Płakałam z wyczerpania. Świeża krew wypełniła mi usta, przełknęłam ją. Krew Cobba stygła na mojej skórze. Po jakimś czasie Egan zatrzymał się przed drogerią, gdzie Zwerger kupiła bandażę i neosporin. Usiadła przy mnie z tyłu samochodu, podczas gdy Egan chodził na zewnątrz, sprzecząc się z kimś przez komórkę. Zwerger wytarła mi twarz chusteczkami dezynfekcyjnymi. Delikatnie, po matczynemu. Zapach pudru dla dzieci i szminki, gdy przysunęła się bliżej. Skrzywiłam się na widok swojego odbicia we wstecznym lusterku, w blasku światła sufitowego – oko zamknięte, zdeformowane przez opuchliznę, pożółkłe, fioletowe. Zwerger zasłoniła mi je białym bandażem.

— Gotowe – stwierdziła.

— Dokąd jedziemy? – zapytałam, kiedy Egan wyjechał ponownie na szosę. Jechaliśmy już dobrze ponad godzinę i dotarliśmy w tym czasie z Wirginii Zachodniej do Pensylwanii.

— Nie jesteś z FBI – powiedział.

— NCIS. Jakie dochodzenie prowadzicie?

— W sprawie podejrzanych o terroryzm wewnętrzny – wyjaśniła Zwerger. – Domyślałam się, że interesują cię podobne sprawy. Być może

Vivian musiała się pozbyć swojej przykrywki, żeby cię stamtąd wydostać. Straciłam z nią kontakt.

Czyj krzyk słyszałam, zanim uciekłam? Cobb zaskoczył Shaunę... Vivian? Zamordował ją? Odepchnęłam tę myśl. Okna SUV-a były przyciemniane, ale migają mi oświetlone tablice drogowe, więc orientowałam się w okolicy. Connellsville, Uniontown, National Pike, Business 40, krajobraz to głównie wzniesienia porośnięte drzewami i krzakami, od czasu do czasu niewielkie centra handlowe.

— Część z tych ludzi ma powiązania wojskowe – odezwał się Egan. – A czym ty się zajmujesz?

— Terroryzmem wewnętrznym – odparłam.

Zwenger siedziała w milczeniu, dostrzegłam odbicie jej twarzy, wyraz skrepowania, jakby miała być świadkiem sprzeczki małżeńskiej.

— Rozmawiałem z moim przełożonym – powiedział Egan. – Wyjaśnimy to.

Skręcił na parking motelu Blue Mountain, ledwo z tuzin segmentów mieszkalnych pod nisko zwieszającym się dachem, cały parking oświetlony jedynie przez neon WOLNE POKOJE i jaskrawoczerwony automat do sprzedaży coca-coli mruczący między środkowymi pokojami. Tylko jedno auto na parkingu, stary srebrny sedan zaparkowany w pobliżu recepcji. Wnętrze samochodu było oświetlone łagodnym blaskiem. Ktoś siedział w środku, ale kiedy Egan przejechał przez parking, światło w sedanie zgasło.

— Nie ma czego wyjaśniać – stwierdziłam. – Powiedzcie im, że macie *Szarą Gołębicę*. Reszta to sprawa między waszym dyrektorem a dyrektorem NCIS.

— Jak się nazywa wasz dyrektor? – zapytał Egan, zatrzymując się przed pokojem numer trzy. Nie potrafiłam mu odpowiedzieć; wiedział, że nie wiem. Wysiadł z auta i się przeciągnął. – Daj mi chwilę – powiedział. Znowu z komórką, w pobliżu światła automatu z coca-colą. Ta rozmowa była krótsza, a kiedy ją skończył, otworzył drzwi pokoju numer trzy i wszedł do środka. Chwilę później za grubymi zasłonami rozbłysło światło.

Coś jest nie tak. Egan musiał zadzwonić do swojego szefa, musiał wspomnieć o *Szarej Gołębicy* i albo nie wierzył, że jestem z NCIS, albo FBI wiedziało dokładnie, kim jestem. Egan i Zwenger mogli zaprowadzić mnie do tego pokoju, zadać mi kilka pytań, a potem pozwolić odejść, lub mogli nigdy mnie nie wypuścić. Nawet jeśli Egan i Zwenger nie mieli pojęcia, kim jestem,

to ich szefowie mogli wiedzieć. Mogli oznakować *Szarą Gołębicę* i polecić im przesłuchać mnie, aresztować. Istnieją w Ameryce więzienia z dala od oczu opinii publicznej: żadnego oskarżenia, procesu, motyl pod kloszem. Mogli trzymać mnie tutaj, żeby ich egzystencja nie zniknęła. Chwyciłam klamkę drzwi, ale były zablokowane, wewnętrzne uchwyty nieaktywne.

— Nie róbcie tego – powiedziałam. – Nie macie pojęcia, o co chodzi.

— Nic ci nie będzie – zapewniła Zwerger.

— Jeśli się stąd nie wydostanę, zginie, kurwa, cały świat – zagroziłam. – Zadzwońcie do bazy Apollo Soucek. Porozmawiajcie z agentem specjalnym Wallym Njoku.

— Właśnie mamy zamiar pogadać – powiedziała Zwerger. – Uporządkować wszystko. Uspokój się albo będę musiała zakuć cię w kajdanki.

Zabij ją, pomyślałam. Zabij ją i zabierz samochód. Ale Zwerger wysiadła z SUV-a i otworzyła drzwi po mojej stronie. Zważyłam opcje: mogłabym jej uciec, nawet mimo mojej nogi zdołałabym ją zdystansować, ale nie było dokąd uciekać. Poszłam za nią, oddalając się od auta. Mogłabym krzyknąć. W srebrnym sedanie siedział ktoś, kto może wezwałby policję, gdybym wszczęła alarm. Zwerger ścisnęła mi ramię. Kierowała mnie w stronę pokoju numer trzy, prowadząc jak więźniarkę.

— Nie musisz tego robić – odezwałam się. – Puść mnie. Jeśli mnie nie puścisz, umrze wszystko, co kochasz, dziura się otworzy, Biała Dziura, i wszystko zginie...

— Dość – rzuciła.

Drzwi sedana odskoczyły, kierowca wysiadł, starszy, czarny mężczyzna, którego głowę porastały wełniste włosy. Na szarym garniturze miał płaszcz przeciwdeszczowy.

— Pomocy! – zawołałam do niego. – Niech pan wezwie policję! Na pomoc!

— Czego to dowodzi? – zapytał, idąc z wahaniem w naszą stronę; opierał się o auto, przesuwając dłonią po karoserii.

— Egan, chodź tutaj! – krzyknęła Zwerger na widok tego człowieka. – Policja – zwróciła się do niego. – Proszę się nie zbliżać.

W sposobie jego poruszania się było coś znajomego, a potem go poznałam, gdy się zbliżył: Brock. Szczuplejszy niż kiedyś, muskulatura zwiotczała. Już nie musiał się podpierać, szedł szybko, gdy Egan wyłonił się

z pokoju.

— Brock? – zdziwił się. – Co tutaj robisz?

Brock sięgnął pod płaszcz i wy dobył z kabury pistolet. Uniósł go i podszedł bliżej do Egana. Ten podniósł ręce.

— Billy – powiedział.

Brock strzelił. Egan zgiął się, chwytając się za brzuch, chrapliwy jęk, gdy złożył się wpół na krawężniku.

Zwenger sięgnęła po broń, ale Brock odwrócił się już w jej stronę i wystrzelił, trafiając ją w kark. Upadła z krzykiem, dławiąc się i walcząc o oddech. Złapała się obiema dłońmi za szyję, ale krew tryskała spomiędzy jej palców w rytm tętna, usta miała okrągłe w agonii.

Egan pełzł w stronę światła pokoju numer trzy, krwawiąc z trzewi. Brock przystawił mu pistolet do głowy i strzelił. Egan opadł na ziemię. Spojrzałam na Zwenger, jednak światło w jej oczach zgasło. Sięgnęłam po jej broń, ale Brock wrócił do mnie, celując mi w pierś.

— Brock – powiedziałam. – Proszę.

Wyglądał na opętanego, jakby umysł go zawiódł. Twarz miał wykrzywioną w zastygłym grymasie uśmiechu. Zaśmiał się szczekliwie.

— Co ja zrobiłem? – zapytał. – Jezu, Jezu Chryste, co ja zrobiłem? – Popatrzył na zwłoki Egana i powiedział: – Wstawaj. Daj spokój, Egan. Powiedz coś. Nic ci nie jest. Jezu, co ja narobiłem? – Schował broń do kabury, stanął nad Zwenger. – Ona ma dziecko – ciągnął. Przypomniał sobie, że jestem tutaj, i zapytał mnie: – Co ja zrobiłem?

— Nic nam nie jest, Brock – odezwałam się, starając się go uspokoić. – Wszystko będzie dobrze...

Chwycił mnie za brodę, przechylił moją twarz w stronę światła automatu z coca-colą i przyjrzał mi się badawczo.

— Czego ty dowodzisz? – zapytał. Patrzył mi zdecydowanie w oczy. Wpełzłby we mnie, gdyby musiał.

Przestraszyło go coś, jakiś dźwięk, którego nie usłyszałam. Wzdrygnął się, pociągnął mnie za sobą przez parking do swojego samochodu. Wepchnął mnie na fotel pasażera, po czym zajął pośpiesznie miejsce za kierownicą.

— Musimy stąd zniknąć – stwierdził, wyjeżdżając z parkingu na National Pike. – Wiem, kim jesteś – ciągnął, przyśpieszając do ponad setki, potem do prawie stu pięćdziesięciu na godzinę. – Niebawem zaczną nas ścigać. Nie myślałem. Nie potrafię myśleć. Powinienem był usunąć ich ciała.

Nie myślę trzeźwo.

— Nie wiem, za kogo mnie bierzesz – odezwałam się – ale to...

— Nie okłamuj mnie, kurwa – przerwał mi, wyciągnął broń i przycisnął lufę do mojego policzka; odchyliłam się, przywierając uchem do szyby. – Mógłbym cię zabić teraz... gdybym cię zabił – powiedział – to by zniknęło, co? To wszystko po prostu by zniknęło, prawda? Egan i jego partnerka, byłoby tak, jakbym ich nigdy nie zabił, co? Racja? Gadaj.

— Opuść broń, proszę – powiedziałam. – Zatrzymaj się i pogadajmy.

— Mów teraz – polecił. – Gadaj, kurwa, natychmiast.

Droga przed nami zafalowała, światła reflektorów na czarnym asfalcie. Bolało mnie, lufa broni wciskała mi się teraz w skroń.

— Nie chcę tak umrzeć – poprosiłam.

— Potrafisz odmienić to, co się stało? – zapytał. – Po to się tutaj zjawiaś? Żeby to wszystko zmienić?

— Co twoim zdaniem mogę zmienić? – spytałam. – Proszę, opuść broń. Proszę...

— Ośrodek Służb Informacyjnych – powiedział. – Kiedy dokonano zamachu, Shannon, straciłem Rashondę i córki. Straciłem moje piękne dziewczynki, moje dziewczynki...

— Zatrzymaj się i pogadajmy – powtórzyłam. – Opuść broń, proszę, i zjedź na bok.

Cofnął pistolet. Ręce mu drżały. Schował broń do kabury. Zostałam pod oknem, wzrok miałam rozmazany przez łzy. Ciała jego żony i córek, spowite w białe płachty, wyłożono na terenie otaczającym budynek. Nawdychały się sarinu i umarły momentalnie. Wyobraziłam sobie zwłoki jego żony. Wyobraziłam sobie przedszkole przy ośrodku pełne martwych dzieci.

— Ludziom, którzy je zabili, wydawało się, że walczą z końcem świata – powiedział Brock. – To dlatego zginęły moja żona i dzieci. – Zaniósł się szlochem. – Dlaczego muszą umrzeć? I oto jesteś tutaj, po tych wszystkich latach. Nie postarzałaś się.

— Przykro mi – powiedziałam. – Przykro mi z powodu twojego bólu...

— Jesteś tutaj, żeby zbadać tę sprawę – stwierdził Brock. – Żeby ocalić ich wszystkich.

Patrick Mursult. Jego nazwisko wydawałoby się pozbawione znaczenia, jedna śmierć obok tysiąca innych. Co mogłam powiedzieć Brockowi? Mogłam opowiedzieć mu o *Wadze*, o Terminusie. Mogłam mu powiedzieć,

że Terminus przenika każdą przyszłość, zabijając wszystkich żyjących, wszystkich, którzy mogliby kiedykolwiek żyć, niszczy każdą możliwość w każdym możliwym świecie.

— Mogę ocalić twoją rodzinę... Chcę to zrobić. Chcę ocalić Rashondę – powiedziałam. – Możemy pogadać.

Brock zjechał na stację benzynową Sheetz przy drodze pięćdziesiąt jeden, za Belle Vernon, z całodobowym sklepem ogólnym. Wilgotnymi chusteczkami, które trzymał w schowku na rękawiczki, wytarliśmy się z krwi najlepiej, jak się dało. Mimo to miałam na sobie płaszcz Brocka zapięty pod szyję, żeby nie było widać mojej zakrwawionej sukienki. Wyglądałam jak postać z horroru. O tej porze samoobsługowa restauracja była pusta. Pracownicami były nastolatki, blondynka i brunetka, które przerzucały kartki „Hustlera”, chichocząc i słuchając radia znajdującego się obok kasy. Ogarnęłam się w toalecie, wybierając z włosów zakrzepłą krew; umyłam ręce i twarz mydłem w pianie z podajnika.

Brock czekał w jednym z boksów, niewidocznym od kas. Dołączyłam do niego. Skurczył się z wiekiem, wraz ze smutkiem. Głębokie zmarszczki porały okolice oczu i ust, włosy miał w kolorze popiołu z papierosa.

— Powiedziano mi, że bym wyobraził sobie ścianę złożoną z drzwi – odezwał się. – Powiedziano mi, że gdybym spadał w jej stronę, to wpadłbym w któreś. Przez którekolwiek drzwi bym przeleciał, zaprowadziłoby mnie to w przyszłość. Różne drzwi to różne przyszłości. Różne wersje przyszłości.

— Kto ci to powiedział? – zapytałam.

— Po zamachu na ośrodek, po pogrzebach – odparł – przyszłaś mi na myśl. Nestor i ja rozmawialiśmy o tobie. Pracowałaś w SISK. Zastanawiałem się, czy zginęłaś tamtego dnia wraz z moją rodziną. To, w jaki sposób zniknęłaś, sugerowało, że mogłaś zostać zabita. I pomyślałem o Głębokiej Przestrzeni i o Patricku Mursulcie. A potem wychyciłem coś w wiadomościach, zobaczyłem coś w programie *60 minut*, kiedy Dowództwo Marynarki Kosmicznej zostało wchłonięte przez inną agencję. Projekty odłożone na półkę, sprawy, które nie miałyby najmniejszego znaczenia dla kogoś, kto by tego nie obserwował, głupkowate rzeczy – chińskie satelity, lasery na Księżycu – ale chciałem dowiedzieć się więcej. I pytałem. Nie potrafiłem odpuścić. Aż pewnego dnia otrzymałem od dyrektora zapieczętowaną przesyłkę z informacją o restauracji TJ w Silver Spring w Marylandzie. Wiadomość mówiła, że jestem tam oczekiwany. Biuro



zarzuciło sieci na pewnego fizyka, który pracował w Laboratorium Badawczym Marynarki Wojennej. Mieliśmy dowody, że otrzymał poufne informacje z Senackiej Komisji Sił Zbrojnych, wykorzystał tajemnice wojskowe do założenia własnej firmy, Phasal Systems. Technologie medyczne, lek na pierdolonego raka, wszystko najściślejsze sekrety uzyskane od wywiadu. Przycisnęliśmy go, a on puścił farbę. I tak dowiedzieliśmy się o Głębokich Wodach. Zostałem dopuszczony do grona wtajemniczonych. Zjadłem z nim lunch. To był starszy człowiek, który przedstawił się, mówiąc mi, że jest nadal jak dziecko, że latem powinien skończyć czterdzieści dwa lata, ale on był stary, Shannon. Pokazał mi swoje świadectwo urodzenia, pierwsze prawo jazdy. Pracował w Phasal Systems nad lekarstwem na raka, ale wiedział wszystko o DMK. Opowiadał o pianie kwantowej i tunelach czasoprzestrzennych, a kiedy tego nie rozumiałem, kazał mi wyobrazić sobie ścianę złożoną z drzwi...

— Pomyśl o tym jak o trzepaczce do jajek – wtrąciłam.

— O czym?

Wysunęłam się z boku i pogrzebałam za kontuarem baru, szperając w szufladach. Łyżki, folia spożywcza, stare ścierki. Znalazłam trzepaczkę wiszącą na kołku przy zlewie.

— Trzepaczka – powtórzyłam, wracając do stolika. – Tak uczył mnie mój instruktor. – Trzymałam ubijaczkę poziomo. Wskazałam koniec rękojeści. – Początek czasu – powiedziałam. Przesunęłam palec wzdłuż uchwytu. – Cała historia, zaobserwowana przeszłość. – Dotarłam do szczytu trzonka. – Teraźniejszość.

— A potem spadasz na ścianę drzwi – odezwał się.

Dotknęłam kolejno wszystkich drutów trzepaczki.

— Możliwe przyszłości, możliwe linie czasowe, nieskończoność możliwości – stwierdziłam. – Wyobraź sobie tę ubijaczkę z nieskończoną liczbą drutów.

— Co jest tutaj? – zapytał Brock, wskazując czubek trzepaczki, gdzie wszystkie pręty się zakrzywiały, zbiegając się i łącząc.

— Terminus – odparłam.

— Co to takiego?

— Koniec świata.

— Dobra – powiedział, zasłaniając usta stulonymi dłońmi. Odzyskał wigor, szaleńczą energię. Oczami zdawał się chwytac pomysły, jak tonący

łykałby powietrze. – A gdzie jest... to? – Wskazał koniec trzonka, terażniejszość.

— W marcu 1997 – odpowiedziałam.

Jego twarz przeciął szeroki, maniakalny uśmiech, oczy miał szalone; radość, która mnie przeraziła.

— A ty... przybyłaś tutaj? Przyleciałaś? Jesteś astronautką, prawda? Tak jak Mursult. Pamiętam, że pytałem, czy nim był, a ty nawet nie mrugnęłaś. Nie, bo też jesteś astronautką, zgadza się? Przemieściłaś się tutaj w czasie...

— Nie wiem, czy praktycznie rzecz biorąc, jestem tutaj czy nadal tam. To się nazywa „superpozycja kwantowa”, ale nigdy nie byłam orłem z matmy – odparłam. – W 1997 miałeś zwyczaj żuć gumę lukrecjową.

Roześmiał się; odgłos bardziej przypominający płacz.

— Zrzuciłem to – powiedział. – Lukrecja. Ta guma pochodziła z Włoch. Kupowałem ją w sklepie z towarami importowanymi, na pudełka. Jedyna wystarczająco silna lukrecja; zabarwiała na czarno ślinę, zęby i język. Ale tamtego dnia, w ośrodku SISK, oszalałem, bo wiedziałem, że one nie żyją, moja rodzina, w jakiś sposób wiedziałem, że moja rodzina nie żyje, że wszystkie są martwe. Przedostałem się przez kordon bezpieczeństwa i biegałem między rzędami ciał, podnosząc białe płachty, myśląc za każdym razem, że zobaczę jedną z moich dziewczynek, ale widziałem tylko obce martwe twarze. Nie ujrzałem ich nigdy, nie znalazłem. Żułem cały czas lukrecję, nerwowy nawyk, a kiedy następnego dnia wziąłem kawałek gumy, to zapach lukrecji przywołał wspomnienia tych wszystkich martwych twarzy. Wyplułem ją...

— Nadal szukasz swoich córek – stwierdziłam. – Sądziysz, że będę w stanie pomóc ci je znaleźć.

— Dlaczego teraz? – zapytał. – Dlaczego zjawiałaś się teraz?

— Nie kontroluję tego – odparłam. – W naturze pojawiają się pewne kształty... muszli i galaktyk. Płatków śniegu, układu ziaren w słoneczniku i tak dalej. Widzisz ten sam wzór, który pojawia się wszędzie wokół. Liście, to, jak spływa woda w sedesie.

— Fraktale – powiedział Brock. – Ten sam powtarzający się wszędzie wzór.

— Piana kwantowa narasta w ten sam sposób – wyjaśniłam. – Tak jest uformowana. Istnieje zbiór liczb, które określają ten kształt, zbiór zwany ciągiem Fibonacciego; ten kształt jest wszechobecny w naturze. Nie muszę

podróżować tak daleko albo mogę się przenieść dużo dalej, ale protokół postępowania w większości dochodzeń jest taki, że przenosimy się o dziewiętnaście lat, o sześć tysięcy siedemset sześćdziesiąt pięć dni. Przyleciałam z nadzieją, że prawda wyjdzie w tym czasie na jaw. Przybyłam przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci Patricka Mursulta oraz zamordowania członków jego rodziny.

— Dlaczego? Dlaczego on? Dlaczego jego życie jest takie ważne? – zapytał Brock, ale nie chciał wysłuchać moich wyjaśnień na temat *Wagi* i Terminusa, był mocno pogrążony w sobie. Po chwili mówił dalej: – Więc ten fizyk powiedział, że cieszy go moje towarzystwo, cieszy się z możliwości rozmowy z kimś, kto mu wierzy, i stwierdził, że na lunch chce lody. Tuż obok TJ mieści się Baskin-Robbins, więc zabrałem go tam i obaj zjedliśmy lody w rożku. Tylko teoretycznie, powiedział mi. Może wciskał mi kit, ale kiedy wychodziliśmy, powiedział, że jeśli spotkam kiedykolwiek podróżnika w czasie, to powinienem go schwytać, założyć mu kajdanki i zamknąć w odosobnieniu. Więzienie o najostrzejszym rygorze. Zamknąć go i wyrzucić klucz; utrzymywać go przy życiu najdłużej jak to możliwe, w zdrowiu i wygodzie, bo w chwili, w której umrze lub przejdzie przez tę ścianę drzwi z powrotem do realnej przeszłości, do prawdziwej przeszłości, to zniknie wszystko, co znam w życiu – wszystkie moje wspomnienia, wszystko, wszyscy ludzie, których kiedykolwiek poznałem, każdy istniejący atom.

— Ulegną unicestwieniu – potwierdziłam.

— Zginą – rzekł Brock.

— Nazywamy to motylem pod kloszem – dodałam. – To się przytrafia takim jak ja. Zostają schwytani w różnych przyszłościach przez ludzi, którzy nie potrafią stawić czoła swojemu nieistnieniu.

— Co by się jednak stało, gdybym wrócił z tobą? Możesz zabrać mnie w przeszłość?

— Mogłabym – przyznałam.

Znałam takie przypadki, na wpół legalny status osobników, których sprowadziły z przyszłości statki DMK, dziwne życie tych doppelgängerów, ludzi zwanych przez nas echami.

— Mógłbym je znowu zobaczyć – powiedział Brock. – Moje dziewczyny. Mógłbym je objąć, prawda?

— Sprowadziłyś jedynie zamieszanie i ból – stwierdziłam. – Wystraszyłyś je tylko. Ujrzałyby cię takiego, jaki jesteś teraz, starego

mężczyznę bardzo podobnego do ich ojca. Twoja żona żartowała, że William Brock, jej mąż, mógłby na starość wyglądać tak jak ty. Gdybyś spróbował pójść do domu, byłbyś tylko dublerem, niczym więcej. Nie chciano by cię. Byłbyś jedynie echem Williama Brocka, nie byłbyś Williamem Brockiem. Zapytaj sam siebie: jak bardzo je kochasz? Naprawdę kochasz Rashondę, swoją żonę? Ona ma już męża. Kochasz prawdziwie swoje córki? One mają już ojca.

Brock zakasłał, gardłowy dźwięk: albo szaleńczy śmiech, albo zdławiony smutek. Wyciągnął broń, glocka, którym posłużył się już dzisiejszej nocy, żeby zabić. Wycelowował w mój mostek, a moje serce się rozpuściło. Czułam, że gdyby mnie postrzelił, moja krew nigdy nie przestałaby płynąć.

— Mógłbym trzymać cię tutaj w komforcie – powiedział.

— Czy to właśnie zamierzali zrobić Egan i Zwerger? – zapytałam.

— Nie wiedzieli, ile znaczysz – odparł Brock. – Istnieją ludzie, którzy to wiedzą. Mój kolega Whittaker. Wydał rozkaz, żeby cię przesłuchać i uwięzić. *Szarą Gołębicę*, powiedział. Egan i Zwerger mieli cię zatrzymać, ale nie wiedzieli dlaczego. Jak to nazwałaś? Motyl?

— Motyl pod kloszem – powiedziałam.

— Zabawne – stwierdził Brock. – Kilka miesięcy temu zadzwonił do mnie Nestor. Cholernie się zdziwiłem. Nie rozmawiałem z nim od lat. „Właśnie widziałem się z Shannon Moss”, powiedział. „Dasz wiarę? Nie zmieniła się ani na jotę”. Zrozumiałem, że cię mam. Wiedziałem. Powiedziałem mu, żeby cię wydał, ale odparł, że widział cię tylko przelotnie. Stwierdził, że rozmawialiście chwilę, a potem zniknęłaś. Nacisnąłem wszystkie sprężyny w Biurze, poleciłem wszystkim, że jeśli kiedykolwiek cię zobaczą, to mają dać mi znać. Ten mój przyjaciel, Whittaker? Zadzwonił wcześniej tego wieczoru, poinformował, że ma *Szarą Gołębicę*. Błagałem go, telefonowałem, prosiłem każdego, kogo mogłem, pociągałem za sznurki, wywierałem naciski, żeby sprowadzono cię do Uniontown, gdzie mógłbym cię przechwycić. Na jakimś poziomie, w głębi ducha, wciąż nie wierzę. To, że zjawiłaś się tutaj, niczego nie dowodzi. Ale nie postarzałaś się, Shannon.

— Pomyśl o swojej miłości do nich – powiedziałam.

— Moja żona i córki nadal żyją – stwierdził Brock. – Wciąż żyją tam, skąd przybyłaś.

— Tak.

— I możesz zapewnić im bezpieczeństwo – powiedział.

— Tak.

— Co stanie się ze mną tutaj? Kiedy odleciś, co się stanie z całym tym bólem?

— Nie ma cię – rzekłam. – Nie ma bólu.

Brock włożył sobie lufę do ust i strzelił. Jego głowa otworzyła się na czubku, krew lała się ze wszystkich otworów. Ciało osunęło się z siedzenia na podłogę, szkarłat rozprzestrzenił się w fugach płytek. Kelnerki podbiegły, jedna krzyczała. Zadrżałam, walczyłam o oddech, ale moje życie było tutaj w równowadze, w tej chwili. Jedna dziewczyna stała jak sparaliżowana, ale druga już telefonowała. Wyciągnęłam z kieszeni Brocka kluczyki i wybiegłam z lokalu, widząc otwarte usta pracownic, ale nie słysząc żadnego dźwięku, jedynie ogłuszające dzwoniące przejściowej głuchoty wywołanej strzałem. Gmerałam przy stacyjce auta Brocka. Jak daleko jest stąd do Wirginii? Ile czasu upłynie, zanim policja zacznie szukać jego samochodu? Silnik zaskoczył i odjechałam. Notatki ze sprawy Marian, moje notesy – wszystko stracone bezpowrotnie. Co zyskałam? Nicole. *Waga*. Hyldekrugger. Nestor, pomyślałam, wyobrażając sobie, że czeka na mnie na swoim ganku, spogląda na ogród o zmierzchu, Buick szczeka na samochody na stopięćdziesiątcejedynce. Wyobraziłam sobie, że Nestor widzi reflektory wszystkich przejeżdżających samochodów i zastanawia się, który z nich jest mój. Noc wydawała się ciemniejsza od wszystkich innych. Myślałam o Nestorze w czasie jazdy, myślałam o jego ustach, o ciele tak mi teraz znanym, o konstelacji pieprzyków powyżej serca. Miałam nadzieję, że mi wybaczy, że wybaczy mi ciągle znikanie, ale niebawem nie będzie nic do wybaczenia, wkrótce nastanie tu nicość.

# Część trzecia

## **1997**

***...gdzie są niegdysiejsze śniegi?***

François Villon, *Ballada o paniach minionego czasu*,  
w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego

# 1

**S**zara Gołębica była powiązana z terra firma impulsami ujemnej energii zwanymi liniami Casimira – dla Moss trzymiesięczny powrót przez próżnię piany kwantowej. Obrażenia odniesione w sędzie zagoiły się, ale ich psychiczne skutki będą utrzymywać się dłużej. Budziła się z koszmarów, sądząc, że słyszała krzyki. Unosiła się w przyćmionym świetle kabiny sypialnej, pociła się, czuła się klaustrofobicznie i słuchała mruczenia urządzeń systemu podtrzymywania życia, gdy wyłaniała się ze snów o Charlesie Cobbie, duszącym ją ciemnym kształcie, a na obrzeżach jej pamięci majaczyła woń owocowego kwitnienia...

Szarą Gołębicę przenikały głosy; omamy słuchowe, ale przypominały głos Nestora, gdy wypowiadał w nocy jej imię. Albo wzdrygała się na dźwięk wystrzału i pojmowała, że to jedynie rozbrzmiewający w jej głowie odgłos towarzyszący samobójstwu Brocka. Kafeteria na stacji benzynowej, strumień krwi. Puszczala muzykę, żeby utopić dźwięki w ciszy. Robiła ołówkiem notatki i wycierała je, sposób na zapamiętanie – *Esperance, Terminus, który podążył za Wagą* – wyobraziła sobie krystalizującą się przestrzeń. Mnóstwo z tego, co usłyszała, było nadzwyczajne, przekraczało jej zdolności rozumienia. Gdzie jest Esperance? Czy Dowództwo Marynarki Kosmicznej może tam wrócić? Narysowała wielokąt w brzuchu człowieka. Sekcja włók. Zdawało się, że Nicole rozpoznała ją tamtej ostatniej nocy, ale *poznała mnie jako Courtney Gimm*, napisała. Shauna powiedziała, że Hyldekrugger i Cobb zidentyfikowali ją jako „Courtney Gimm”.

*Elizabeth Remarque*, napisała, a potem zmasała. Napisała ponownie:  
*Remarque.*

*Gdzie jest Waga?*

Wygumkowała pytanie.

*Kiedy?*

Technicy nadzorujący start *Szarej Gołębicy* ku Głębokim Wodom ujrzeli teraz jej powrót, moment po odlocie, zniknięcie i ponowne pojawienie się przed upływem uderzenia serca; statek tylko zamigotał, mimo że Moss przeżyła w tym czasie ponad rok. Trwający dzień przelot z Black Vale na Ziemię napełnił ją niepokojem, czas rzeczywisty działał teraz przeciwko Marian. Gdzie była? Już stracona, jej zwłoki pozostawione w lesie? Albo gdzieś indziej i żywa? *Szara Gołębica* pruća ziemską atmosferę, świecąc się jak włókno w żarówce, po czym wylądowała pod osłoną nocy w bazie Apollo Soucek. Technicy DMK pomogli Moss wydostać się z kokpitu i przewieźli ją do „sterylnego pomieszczenia”, do domu w bazie, z widokiem na Atlantyck. Trzymiesięczna podróż przez pianę kwantową była wystarczającą kwarantanną, na tyle długą, żeby wszelkie możliwe egzotyczne wirusy, które Shannon mogła złapać w przyszłości, zdążyły wyinkubować i zrobić swoje. Mimo to pierwsze godziny w izolacji spędziła w towarzystwie lekarzy w kombinezonach ochronnych, którzy badali ją, poszukując symptomów chorób. Wymazy, analizy krwi. Ostatni medycy wyszli o trzeciej nad ranem. Moss wzięła kąpiel, zmyła z siebie trzy miesiące pobytu w powietrzu o obiegu zamkniętym. Nie zauważyła w trakcie minionego roku, jak się postarzała, ale dostrzegła to teraz, gdy stała parę z lustrem w łazience, żeby się przejrzeć. Zobaczyła uderzające podobieństwo do swojej matki. Skonfundowana, w jakim naprawdę jest wieku. Biologicznie musiała dobiegać czterdziestki, pomyślała, ale straciła rachubę lat. Trzydzieści dziewięć? Chronologicznie powinna mieć dopiero dwadzieścia siedem. Zawinęła włosy w turban z ręcznika, a drugim owinęła ciało. Niemal czwarta nad ranem. Zawahała się w związku z godziną, ale zadzwoniła do Brocka na komórkę.

— Halo? – odezwał się.

Na dźwięk jego głosu zebrało się jej na płacz. Nadal żyje, pomyślała; przełknęła łzy, czując ulgę, że jego samobójstwo miało podobną wagę, co sen



na jawie.

— Brock, mówi Shannon – powiedziała.

— Gdzie się podziewałaś? Minęły całe dni. Nie miałem od ciebie żadnych wiadomości – odparł, a Moss usłyszała w tle cichy kobiecy głos: – Kto to, skarbie?

Brock żył, jego żona żyła, ich małe córki smacznie spały. Moss zamknęła oczy i ujrzała rozbłyśki koloru wyglądające jak świetlne żyłki. Wiedziała, że to wyczerpanie. Rok od zniknięcia Marian... nie, tylko siedem dni...

— Nie mogę długo rozmawiać – stwierdziła. – Nie dzisiejszej nocy. Zajrzę do ciebie za kilka dni, ale musisz mnie wysłuchać. Masz długopis?

— Czekał. Taa, mów.

— Jared Bietak, Charles Cobb, Karl Hyldekrugger, Nicole Onyongo – wyrecytowała.

— Rozmawialiśmy z nią – powiedział Brock. – Nestor przesłuchiwał ją przez kilka godzin, odnalazł ją dzięki temu, że w schronisku zapisywano numery rejestracyjne samochodów. Zidentyfikowano ją jako kobietę ze zdjęć polaroidowych, które znaleźliśmy w domu Elrica Fleece'a. Miała romans z Mursultem, ale nie jest powiązana ze sprawą. Była rozkojarzona, lecz współpracowała, odpowiedziała na wszystkie zadane jej pytania. Nic to nie dało.

— Jest nam potrzebna – powiedziała Moss.

— Nie udało się nam skontaktować z nią ponownie – odparł Brock.

Nieprzyjemna wiadomość. Moss usiłowała sobie przypomnieć, co się stanie. Nicole była przesłuchiwana przez FBI, przez Nestora, ale żyła w zagrożeniu ze strony męża, Jareda Bietaka. Ukryła się, przypomniała sobie Moss. Poza zasięgiem.

— Szukajcie jej dalej – poprosiła. – Wie więcej, niż wam powiedziała.

— Wyślę kogoś do jej mieszkania, zobaczymy, czy ją zgarniemy – powiedział Brock. – Kim są pozostali?

— Podejrzanymi – odparła Moss. – Uważam, że ci ludzie to zabójcy, Brock. Sądzę, że zamordowali Mursulta oraz jego rodzinę. Opublikujcie ich nazwiska, aresztujcie ich. Nie wiem, który z nich pociągnął za spust i zabił Mursulta ani kto załatwił Marian czy resztę rodziny, ale wszyscy są w to zamieszani. Słuchaj teraz uważnie. Musicie przeszukać pewne miejsce. Sprowadź oddział z psami wyszkolonymi do poszukiwania szczątków ludzkich.

— Dokąd?

— Jest droga dojazdowa oznaczona na mapach terenów leśnych wąwozu Blackwater jako TR-31 – wyjaśniła. – To stary trakt do zwózki drewna, łatwy do przeoczenia. Pojedźcie przecinką w górę. Dotrzecie w końcu na polanę.

— Co tam znajdę? – zapytał Brock.

— Szukajcie stosów kamieni ułożonych jako punkty orientacyjne. Nazywają je wieżyczkami. Ale to konieczne, absolutnie konieczne, żeby twoich ludzi nikt nie widział. Rozumiesz? Przeszukajcie to miejsce, ale nikt nie może was zobaczyć. Wierzę, że sprawca albo sprawcy je odwiedzą. Jeśli zauważą waszą obecność, możemy stracić naszą szansę.

— Znajdę Marian? – spytał Brock.

Przyszłość oddaliła się już od niej jak obrazy odzyskane połowicznie ze snów albo jakby jej wspomnienia były falami rozbijającymi się o brzeg rzeczywistości i odpływającymi. Było jej zimno, czuła się wyczerpana i zmarznięta, a w ciemności, pod zamkniętymi powiekami tańczyły obrazy jak lśniące sny. Widziała Nestora, noc w lesie, żywicę sosnową, wilgotny kamień, piękne miejsce na spoczynek.

— Chodzi o Marian, Moss? – drążył Brock.

— Nie wiem, co znajdziecie – odparła. – Mam nadzieję, że nic.

Przespała szesnaście godzin. Kiedy się obudziła, zajęła się kwestionariuszami, których wypełnienia domagało się Dowództwo Marynarki Kosmicznej dla udokumentowania każdej NTP. Zestaw przypominał zeznanie podatkowe: *Stwierdzenie faktów i poświadczenie wiarygodności wraz z arkuszem 34 i wyjątkami 1–13*. Dotycząca jej część zaczynała się na stronie szóstej ze stu szesnastu. Wiersz pierwszy: *Czy byłeś świadkiem jakiegokolwiek zdarzenia, które mogłoby stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych?* Wkręciła arkusz do elektrycznej maszyny do pisania, przesunęła o trzy wiersze. *Dziewiętnastego kwietnia 1998 roku, napisała, zostanie przeprowadzony zamach na budynek Służb Informacyjnych Sądownictwa Kryminalnego (SISK) FBI w Clarksburgu w Wirginii Zachodniej. Zginie tysiąc ludzi, zabije ich sarin rozproszony przez system przeciwpożarowy...*

Szybkie śniadanie następnego rana, a potem jej sprawozdanie: marynarz zawiózł ją do biur w kwaterach mieszkalnych NCIS, gdzie zaprowadzono ją do sali konferencyjnej, ciasnego pomieszczenia o ścianach koloru musztardy. Samotne krzesło przy stole z przodu, mikrofon, jej nazwisko wydrukowane

na tekturce w kształcie daszka. Szefostwo DMK z Dahlgren, stłoczone razem, gadające. Dostrzegła admirała Annesleya, który miał zadawać jej pytania. Rozpoznała agentów specjalnych NCIS z oddziału terenowego w Norfolk. Był tam O'Connor, po siedemdziesiątce, ale dziarski. Nos miał kartoflowaty, poznaczony fioletowymi żyłkami. Zmarszczki na czole i pod oczami były jak mapa koryt wyschniętych rzek. Uśmiechnął się na jej widok i ruszył w jej stronę. Jego oczy zdawały się należeć do młodszego mężczyzny, ukrywały jego wiek, niebieskie, lśniące mocną energią.

— Jak długo cię nie było? – zapytał.

— Przybyłam we wrześniu 2015 roku, zostałam do wiosny – odparła Moss. – Razem z podróżą mniej więcej rok, odrobinę dłużej.

— Pamiętaj tylko, żeby złożyć podanie o wypłatę nadgodzin i zaliczenie ci tego do emerytury – powiedział. – Pogadaj z kadrami, gdy będziesz miała okazję. Już niedługo?

— Do emerytury? Sądzę, że biologicznie mam trzydzieści dziewięć lat – odparła Moss. – Jeszcze kilka. Jeśli spotkam jakichś przyjaciół z ogólniaka, pomyślą... Nie wiem, co sobie pomyślą. Jestem dwanaście lat od nich starsza. Uznają, że nie dbałam o siebie.

O'Connor się roześmiał.

— Jestem starszy od swojego ojca – wyznał.

Te sprawozdania były nazywane nieformalnymi, ale Moss, która uczestniczyła w siedmiu takich prezentacjach, znała ich znaczenie. Przez kilka następnych godzin to zgromadzenie będzie rozważało jej postępowanie, oceniało sposób przeprowadzenia przez nią operacji. Była zdenerwowana, powątpiewała w siebie, nie ufała wspomnieniom i obawiała się, że może sobie przeczyć. Na stole w jej pobliżu położono magnetofon kasetowy, stenograf zapisywał jej wypowiedzi. Przedstawiciele marynarki w granatowych mundurach o rękawach bogato zdobionych złotymi pasami i lamówkami siedzieli razem jak orkiestra dzwonkarzy. Patrzyli z uwagą, gdy Moss odczytywała swoje oświadczenie wstępne, podsumowanie pobytu w jej NTP. Mówiła o zbrodniach popełnionych przez członków załogi USS *Waga*, o ich rzekomym buncie, rzekomym uczestnictwie w zamordowaniu Patricka Mursulta i jego rodziny. Admirał Annesley był sympatyczny, ale postępował jak prawnik, kiedy wypytywał Moss i poddawał jej odpowiedzi badaniu krzyżowemu. Polityk o maleńkich oczkach, które błyszczały jak ciemne klejnoty, jeden z ludzi Reagana, zdawał się uśmiechać nawet wówczas, gdy

drażył wypowiedzi Shannon; jego atak osłabił tylko wtedy, gdy Moss opisywała śmierć Elizabeth Remarque. Zgromadzenie ogarnął powszechny smutek; zdawało się, że wielu z obecnych tutaj znało Remarque. Według opowieści Nicole Remarque została stracona publicznie i Moss opowiedziała o tym, jak zwłoki dowódcy były przekazywane marynarzom w mesie. Annesley był ciekaw spraw *Wagi*, chętny usłyszeć ponownie opowieść Nicole o *Esperance*, chciał potwierdzenia, że planeta znajduje się w NGC 5055, w Galaktyce Słonecznika. Czy to zatem *Waga* sprowadziła Terminusa na Ziemię? Moss przypuszczała, że *Waga* była za to odpowiedzialna, że z pewnością był to pierwszy statek, który zaobserwował Terminusa, a nie *USS Byk*, jak sądzono wcześniej. W jakim stanie psychicznym, pani zdaniem, znajdowali się ocalali członkowie załogi? Shannon opisała widoczne na rękach Nicole ślady znęcania się nad nią przez Jareda Bietaka oraz wynikające stąd uzależnienie kobiety od narkotyków. Annesley czepiał się jej odpowiedzi, ale nie przedłużał tej części przesłuchania. Zdecydowanie zaskoczył ją sporym zainteresowaniem lekarstwem na raka, o czym wspomniała początkowo jedynie w celu ubarwienia swojego opisu NTP. Admirał chciał się dowiedzieć więcej o chorobie jej matki, o tym, kiedy została zdiagnozowana, o pierwszych operacjach oraz o sposobie uzdrowienia: kto ją wyleczył, jak została wybrana do prób klinicznych.

— Jak zrozumiałam, ludzie posiadający odpowiednio wysokie ubezpieczenie mogą po prostu przyjść do szpitala i otrzymać trzy zastrzyki – wyjaśniła Moss. – Nanotechnologia, wprost do komórek rakowych.

— I zostało to wynalezione przez firmę Phasal Systems? – zapytał Annesley, a Moss potwierdziła informację, którą powtórzyła już wcześniej.

— Kto wynalazł lek? – dociekał admirał. – Zna pani nazwiska jakichś zaangażowanych w to lekarzy?

— Przykro mi – odparła. – Nie...

— Czy w Phasal Systems opracowano także systemy łączności, czy działają jedynie w sektorze medycznym?

— Medycyna, jak sądzę – powiedziała Moss, wysilając umysł, żeby przypomnieć sobie, czego się dowiedziała o firmie, gdy przebywała w NTP, informacje, które mogły zapaść jej w pamięć, nawet jeśli tylko na obrzeżach jej uwagi. Naukowiec, z którym rozmawiał Brock, mógł mieć coś wspólnego z lekarstwem na raka, przypomniała sobie; „Wyobraź sobie ścianę złożoną z drzwi”. Brock powiedział jej, że uczony pracował w Laboratorium

Badawczym Marynarki Wojennej, zanim przeszedł do sektora technologii medycznych. – Myślę, że Phasal Systems mogła mieć powiązania z LBMW – powiedziała. – Spółka zależna. Sądzę, że po opuszczeniu LBMW naukowcy z marynarki pracowali nad lekarstwem na raka. Nie było tam jednak ambientu ani Inteligentnej Atmosfery, jeśli o to pan pyta, ani żadnych innych środowiskowych systemów saturacji nanotechnologicznej popularnych w innych NTP-ach. Większość ludzi nadal używała telefonów komórkowych. Ale leczyli raka.

— Wyleczyli wszystkie choroby? – zapytał Annesley. – Czy Phasal Systems rozwiązała problem chorób?

Moss przypomniała sobie słowa pielęgniarki matki.

— Choroby istnieją nadal – odparła. – Opiekunka mojej matki powiedziała mi, że trzeba być bogatym, żeby żyć wiecznie.

Spotkanie się skończyło, nastąpiła intensywne wymiana uścisków rąk, a do Shannon dotarło, że Annesley nie zadał jej pewnych pytań, na które przywykła udzielać odpowiedzi, na przykład na kiedy został przewidziany Terminus. W jej NTP przysunął się bliżej, do 2067 roku, ale admirał nie zapytał o to. Nie drążył także kwestii ataku na ośrodek SISK, pojęcia, ani nawet stanu zaawansowania jej śledztwa dotyczącego zamordowania Patricka Mursulta czy sprawy buntu. Wiedziała, że będzie dalsza robota papierkowa, formularze do wypełnienia, że w każdej chwili będzie mogła zostać wezwana, żeby udzielić odpowiedzi na kolejne pytania albo przedstawić wyjaśnienia do zeznań, które już złożyła, ale skupienie się przez Annesleya na lekarstwie na raka zaskoczyło ją, jego zainteresowanie Phasal Systems, firmą, która w 1997 roku nawet jeszcze nie istniała. Wystąpienia Moss kończyły się często tym wrażeniem rozczarowującej niepewności, na ile dobrze się spisała; nie wydawało się nigdy, by jej raporty na temat przyszłych ataków terrorystycznych, wojen czy sytuacji gospodarczej przyczyniały się zbytnio do prewencji, i nadal dochodziło do wielu zdarzeń, przed którymi ostrzegała. Czuła się wtedy jak amerykańska Kasandra. Pocieszała się jedynie myślą, że istniał większy obraz polityczny, którego marynarka była częścią, a w który Shannon nie była wtajemniczona; widziała tylko pociągnięcia pędzla, nigdy całe płótno.

— Dobrze ci poszło – pochwalił O’Connor, gdy znalazła się z powrotem w swojej kwaterze w bazie. Nie chciał zostawać długo, ale przystał na filiżankę kawy i siedział z Moss na zamkniętej werandzie z tyłu domu;

Atlantyk poza zasięgiem piasku był wieczornym lśnieniem.

— Siedem godzin z tymi ludźmi – powiedziała. – Prawie osiem. Jestem wyczerpana. I nigdy nie wiem, czego chcą się dowiedzieć, do czego dążą.

— Dowództwo Marynarki Kosmicznej znajduje się pod nadzorem Senatu. Mają własne zmartwienia, które nie zawsze idą w parze z naszymi – stwierdził O’Connor. – Każda NTP kosztuje amerykańskich podatników miliony dolarów. Rozumiem, że prosto stamtąd admirał poszedł na kolację z senatorem C.C. Charleyem, żeby omówić twój raport. Ma przed sobą długą noc.

— Zeznaję na temat Hyldekruggera i Cobba, prawdopodobnie zabójców, którzy są też winni buntu na *Wadze*, a admirała zdaje się to nie obchodzić – poskarżyła się Moss. – Tamci ludzie zamordowali swoją dowódczynię i są powiązani z Terminusem. *Waga* mogła go sprowadzić. Annesley prawie nie pytał o *Wagę* ani o to, co Nicole Onyongo opowiedziała mi o *Esperance*. Byłam przygotowana mówić o Nicole.

— Wiem, że Remarque obchodziła Annesleya. Wszystkich nas – rzekł O’Connor.

— Znałeś ją?

— Była mądra. Miała spojrzenie, które mówiło ci, że jest już kilka kroków przed tobą – odparł O’Connor, uśmiechając się do wspomnień. – Nie znałem jej dobrze. Odbyliśmy wspólnie kilka sesji treningowych. Pamiętam opowieści o niej: kursowała korytarzami swojego wydziału, krążyła, wprawiając wszystkich w zdenerwowanie, bo ludzie wiedzieli, że może wykonać ich robotę lepiej od nich. Bardzo wysokie standardy, bardzo dokładna. Ale i cierpliwa. Każdy chciał dostać przydział na jej statek. Bardzo trudno było słuchać twojego zeznania o jej śmierci.

— Annesley wydawał się zainteresowany jedynie nanolekiem na raka.

— Cóż, nigdy nie wiadomo, jakie karty skrywa Annesley – stwierdził O’Connor. – Mógł już dysponować raportami na temat *Wagi*, które zostały potwierdzone, albo znać fakty zaprzeczające twojej wersji. Poza tym Nicole Onyongo nie podlegała nigdy DMK, co czyni jej status prawny nieco mglistym.

— Co to znaczy?

— Na *Wadze* nie było nikogo o nazwisku Onyongo – powiedział O’Connor. – Ci pozostali, których wymieniłaś, tak, ale nie Nicole Onyongo. Nie należała do załogi. Jej nazwisko nie pojawia się w żadnych dokumentach

DMK. Nie służyła w marynarce. Dowództwo Marynarki Kosmicznej uważa, że Nicole Onyongo została podjęta w przyszłości *Wagi*, co jest wysoce nieregularne. Możemy jedynie się domyślać, dlaczego Remarque miałyby uczynić coś podobnego, no ale proszę. Nicole Onyongo nie istnieje, nie w taki sposób jak ty i ja.

Moss poczuła się urażona, zaskoczona, że Nicole nie urodziła się na terra firma. Ale ta dziwna opowieść o Kenii; Nicole powiedziała, że mieszkańcy Mombasy przyjęli serdecznie załogę *Wagi*, że ona sama poleciała z Remarque dopiero po tym, gdy ojciec interweniował w jej imieniu. Nicole była pasażerem na gapę ze świata, który nigdy nie istniał. Shannon ogarnęła fala niepokoju. Nicole była zjawą, po prostu kolejnym z niezliczonych cieni rzucanych przez *Wagę*.

— A co z innymi? Znaleźliście pozostałe nazwiska, które wam podałam? Znajdowały się na liście załogi *Wagi*.

— Owszem, zrobiliśmy to... A Hyldekrugger to interesujący przypadek – powiedział O'Connor.

— Gwiazdny nawigator.

— Tak, okrętowy GWI-NAW – potwierdził O'Connor. – Wietnam. Przed DMK studiował filozofię i religioznawstwo na Uniwersytecie Chicagowskim. Zrobił dyplom z rytuałów i kultu śmierci wikingów, rozprawa o pogańskim symbolizmie Czarnych Słońc. Próbowałem to czytać, ale jest napisane akademickim żargonem.

— Statek zbudowany z paznokci to mit wikingów – powiedziała Moss. – Coś związanego z końcem świata.

— Czysta kartoteka – ciągnął O'Connor. – Ale Hyldekrugger ma dwóch wujów zaangażowanych w ruch „suwerennych obywateli”. Jeden z nich odsiaduje dożywocie za śmiertelne pobicie czarnoskórego. Zakładam związek tego typu ekstremistycznych poglądów z wydarzeniami opisanymi w twoim raporcie.

— Może. Taa, prawdopodobnie – przyznała Shannon, myśląc o przemocy, która wybuchnęła na *Wadze*, o buncie i masakrze. – Hyldekrugger i jego zwolennicy zabili wszystkich innych na statku – przypomniała; a oni sami przeżyli jakiś powrót na terra firma, w jakiś sposób wrócili. Moss dowiedziała się bardzo dużo o losie *Wagi*, ale inne pytania wyrastały wokół zaginionego statku jak grzyby w ciemności.

— Wystawiliśmy listy gończe za Hyldekruggerem, Cobbem, Bietakiem

i Nicole Onyongo – powiedział O’Connor. – Trafimy na ich ślad, aresztujemy i przesłuchamy w sprawie Mursulta i *Wagi*. Chcę wyroków skazujących, ale nie będę zaskoczony, jeśli zaoferuje się im jakiś układ.

— Zabili dzieci – przypomniała Moss. – Zamordują Marian. Być może ona nadal żyje. Ci ludzie mogą ją więzić...

— Musisz zrozumieć, Shannon, że sytuacja się zmieniała, kiedy cię nie było.

— Co się dzieje? – zapytała.

— Terminus został oszacowany na 2024 rok. Za niecałe trzydzieści lat – wyjaśnił O’Connor. – Przed twoim sprawozdaniem dostaliśmy wiadomość, że *John F. Kennedy* oznaczył Terminusa na rok 2024.

— Za naszego życia.

— Naszego i naszych dzieci. W tej chwili żyje ostatnie pokolenie – powiedział O’Connor.

— Może zdołamy to powstrzymać, może jeśli...

— Możliwe – rzekł O’Connor głosem kogoś, kto pogodził się już jednak z ostatnim stadium choroby. – Annesley jest gotów zaproponować ugodę Hyldekruggerowi i Cobbowi oraz wszelkim innym spiskowcom, którzy zaoferują informacje na temat Terminusa i lokalizacji *Esperance*.

— To bzdura.

— A marynarka dostała zielone światło w sprawie Operacji Sajgon – ciągnął O’Connor. – Decydują, którzy cywile zostaną objęci ewakuacją, jeśli do niej dojdzie. Trzydzieści lat to bardzo mało. Dowództwu Marynarki Kosmicznej polecono zaokrętować tych ludzi na statki i wystartować na Głębokie Wody przed upływem czterdziestu ośmiu godzin od pojawienia się Białej Dziury, a obawiają się, że to może się zdarzyć teraz, w każdej chwili. Odwołujemy agentów od mniej ważnych śledztw i przydzielamy ich do Operacji Sajgon. Dowództwo Marynarki Kosmicznej żąda tylu cormorantów, ile możemy dać. Niebawem je zarekwirują.

Moss chciała oponować, ale sparaliżował ją strach, przeszła strzała paniki w związku z bezpośrednim zagrożeniem w postaci Białej Dziury – 2024. Co się stanie, gdy Biała Dziura się pojawi? Czy miliardy ludzi zostaną uniesione w powietrze, rozczłonkowane i wystawione na pokaz? Będą uciekać bezrozumnie czy stać i się gapić? Shannon czuła dziecięcą bezradność. Czuła, że nie potrafi ogarnąć prawdziwej istoty końca. Wyobraziła sobie Operację Sajgon, wahadłowce *Cormorant* startujące falami,



całą flotę DMK przy Black Vale, statki z cywilami i żołnierzami, mieszanką talentów i genów, wszystkie pojazdy startujące w poszukiwaniu obcych planet. Każdy jako nasienie do wyhodowania nowej ludzkości, nawet jeśli ta umarła. Pomyślała o uciekających statkach, o opuszczonej Ziemi i zatroskała się o to, co zostanie porzucone. Czuła się tak, jakby jej powiedziano, żeby poniechała Marian. Co znaczyło jedno życie wobec wszystkich innych? Jej serce wypełniło przygnębienie, życie Marian porzucone dla istnienia innych. Może jednak się nie spóźniła. Była pewna, że nie. Wróciła myślami do Marian, do tego, że dziewczyna może nadal żyć, może zostać ocalona.

Następnego popołudnia Shannon odebrała dokumenty przeniesienia do rezerwy. Odnalazła swojego pick-upa na parkingu; była zaskoczona, że akumulator działa, i musiała sobie przypomnieć, że od chwili pozostawienia tutaj auta minęło zaledwie kilka dni. Aromat odświeżacza powietrza i woń wyściółek protezy, które rzuciła za fotel pasażera; po prostu jej mały czerwony ford, ale znajome zapachy i doznania towarzyszące siedzeniu za kierownicą podnosiły ją na duchu, sytuowały w życiu po długiej nieobecności. Wyjechała z Bazy Lotnictwa Marynarki Wojennej Oceana przez główną bramę. Powrót na terra firma był jak wejście dwa razy do tej samej rzeki: wszystko takie samo, jak było, gdy to opuszczała, ale teraz nie wydawało się jej całkiem identyczne. Pod różnymi względami rok 1997 sprawiał wrażenie beznadziejnie regresywnego, odzyskana przeszłość. Powrót był jak podróż do biedniejszego kraju, w którym moda i samochody, technika i architektura zostały w tyle o dziesiątki lat.

Osiem godzin jazdy do domu w północno-zachodniej części Clarksburga w Wirginii Zachodniej; ranczerski budynek stojący na czterech akrach trawnika porośniętego polnymi kwiatami. Uwielbiała ten dom, kochała samotność, parterowy rozkład, wygodny w jej sytuacji. W skrzynce na drzwiach wejściowych korespondencja z zaledwie tygodnia. Zanim przebrała się w piżamę, usiadła na skórzanej sofie i oddzieliła rachunki od reklamowych śmieci. Podczas jej nieobecności magnetowid nagrał *Z Archiwum X*, jej idolka Scully, nowy odcinek, ale zdenerwowała się, gdy fabuła skręciła ku statkom kosmicznym i dziewięciominutowej luce w czasie. Zadzwoił telefon, zatrzymała nagranie, rozmazane paski zakłóceń na twarzy Scully.

— Znaleźliśmy coś – powiedział Brock.

— Marian? – zapytała.

— Nie. Znaleźliśmy polanę. Nic tam nie ma. Sprowadziliśmy psy i przeczesałaliśmy okolicę w poszukiwaniu ludzkich szczątków, ale nic tam nie ma.

Za wcześnie, pomyślała Moss. Marian może zostać pochowana w tamtym miejscu w dowolnej chwili między czasem obecnym a rokiem 2004, kiedy to dwaj mężczyźni szukający żeń-szenia znajdą kości zamiast korzeni. Shannon przypomniała sobie coś związanego z ojcem, to, jak zostawiał wąż ogrodowy na chodniku przed domem i przyglądał się wodzie rozdzielającej się na strumyki płynące wzdłuż szczelin i wokół kamieni, rozchodzące się potoczki. Przyszłości były jak te rozgałęziające się strużki wody. Być może ciało Marian nigdy nie zostanie zakopane w tamtym lesie.

— Rozszerzyliśmy obszar naszych poszukiwań – podjął wątek Brock – i znaleźliśmy jedną z tych twoich kamiennych formacji, niecały kilometr na północny zachód od wskazanej przez ciebie pierwotnie lokalizacji. Zostawiłem tam w ukryciu dwóch ludzi, powiedziałem im, żeby cieszyli się przez kilka dni dziką przyrodą.

— Co znaleźliście?

— Rainey zgłosił to telefonicznie – odparł Brock. – Zauważył faceta wznoszącego jeden z tych kamiennych stosów.

— Zidentyfikowaliście go?

— Bez szans. Nie z takiej odległości – wyjaśnił Brock. – Ale Rainey poszedł za nim i przekonał się, że jeździ czarną furgonetką z początku lat osiemdziesiątych, GMC vandura.

— Co z numerem rejestracyjnym?

— Furgonetka jest zarejestrowana na niejakiego Richarda Harriera.

Harrier, pomyślała Moss z rozpaczą.

— Nie znam tego nazwiska – powiedziała, zapisując je na skrawku papieru: *Richard Harrier*. – Może wiedzieć, gdzie jest Marian.

— Shannon, wyszedłem ci w pół drogi – stwierdził Brock. – Nawet dalej. Muszę dostać od ciebie coś więcej. Potrzebny mi wiarygodny powód. Coś więcej niż twoje słowo czy przecucie, na którym się opierasz. W przeciwnym wypadku każdy obrońca tych facetów nas rozszarpie, a my zmarnujemy wszystkie informacje wywiadowcze, które doprowadziły cię do tych ludzi. Nie możemy nękać człowieka za stawianie kamiennych stożków. Co masz jeszcze?

— Po prostu mi zaufaj – powiedziała, ale opadły ją wątpliwości. Nie

było namacalnego dowodu, który łączyłby kamienne stopy ze zwłokami Marian. – Co wiesz o tym facecie? O Richardzie Harrierze? – zapytała. – Znasz jego adres? Cokolwiek?

— Nie ma kartoteki, absolutnie czysty. Pracuje w Home Depot w Bridgeport, samochód jest zarejestrowany w miejscu jego zamieszkania. Żonaty, troje dzieci, ale kazałem jednemu z moich ludzi śledzić jego furgonetkę i wygląda na to, że jej kierowca spędza sporo czasu w domu na obrzeżach miasteczka Buckhannon...

— Buckhannon – powtórzyła Shannon, a kiedy Brock dyktował jej adres – „zjazd ze stopięćdziesiątkijedynki” – jej świat się wypaczył. Odkręciła wodę w kuchni i trzymała rękę pod coraz gorętszą wodą, aż się sparzyła, ból szarpał jej niepewność. Znała ten adres, adres Nestora, dom z czarną furgonetką w Buckhannon był tym samym, w którym za dziewiętnaście lat będzie sypiała z Nestorem.

— Jadę – powiedziała. – Muszę zobaczyć...

— Moss, czekaj...

Ganek z drewnianymi bujanymi fotelami, spacer po całych akrach terenu, Nestor, konstelacja pieprzyków powyżej jego serca. Dlaczego właśnie ten dom ze wszystkich możliwych miejsc?

Wciągnęła dzinsy, przypięła kaburę. Wyobraziła sobie Nestora; może Nestor nie wiedział, pomyślała. Mógł jeszcze nie być związany z tą posiadłością. To wszystko może być zbieg okoliczności, uznała, koincydencja domów, jak w przypadku domu Courtney. Rozpaczliwie pragnęła wierzyć w niewinność Nestora, w to, że mógł być wciąż niewinny, że może zawsze będzie niewinny.

Pół godziny jazdy z Clarksburga do Buckhannon, po północy. Gnała ponad sto pięćdziesiąt na godzinę pustymi wiejskimi drogami, myśląc o Marian pogrzebanej w lesie. O szalonych nocach z Nestorem, o Nestorze porywającym dziewczynę, zabijającym ją, o Nestorze takim, jak będzie wyglądał po latach, o Nestorze tutaj, w domu w Buckhannon, tutaj, tutaj. Zjechała ze stopięćdziesiątkijedynki na żwirowy podjazd, z poślizgiem, gdy przyhamowała. W ogrodzie od frontu rosła grusza, ale poza tym dom wyglądał tak samo jak w przyszłości. Shannon wysiadła z półciężarówki, cały jej sentyment do tego miejsca się zwarzył. Przed domem stała zaparkowana czarna furgonetka z czerwonym rajdowym pasem. Wrota stodoły zalało światło alarmowe włączane przez czujnik ruchu, który się

aktywował. Za stodołą kamper turystyczny bez kół, postawiony na pustakach... Widziałam go już, pomyślała. Sam dom był ciemny, ale w oknach salonu migotała niebieska poświata telewizora. Ktoś był w środku.

Moss wyciągnęła broń. Furgonetkę pozostawiono niezamkniętą na klucz, więc otworzyła szeroko tylne drzwi, ujrzała krew na podłodze i ścianach, zmiętą plastikową płachtę i sznur. Krew Marian. Przewidując, gdzie może znaleźć dziewczynę, przypomniała sobie kiepski zamek w bocznych drzwiach, którego Nestorowi nie chciało się naprawić. Zajrzała przez szybę, ale wewnątrz było zbyt ciemno, żeby dostrzec cokolwiek, napała barkiem na drzwi, a one poddały się z trzaskiem. Głośne dźwięki z telewizora, jęki, odgłosy seksu, niczym jej wspomnienia z tego miejsca. Z wyciągniętą przed siebie bronią przez kuchnię, blask telewizora na linoleum, przez salon. Na sofie siedział nagi mężczyzna z odrzuconą w tył głową. Kobieta klęczała między jego udami, obciągała mu, ciało miała pofałdowane przez cellulit i tłuszcz, brązowe włosy w nieładzie.

— Agentka federalna! Na podłogę – rozkazała Moss. – Na podłogę, kurwa!

Kobieta krzyknęła i zapiszczała, chwyciła się za serce.

— Jezu, Jezu, Jezu! – Przewróciła się w przód, piersi plasnęły, ramiona wyciągnęła przed siebie, dłonie ścisnęły dywan. Mężczyzna wskoczył na sofę, jakby na widok biegnącego szczura, zasłaniając się ozdobną poduszką i wrzeszcząc, ciało miał oświetlone przez lesbijki z Playboy Channel.

— Jezu, paniusiu, nie strzelaj, nie strzelaj!

Włosy kobiety będą kiedyś siwe jak mop z brudnej przędzy – panna Ashleigh, Ashleigh Bietak, teściowa Nicole.

— Na podłogę, kurwa – powtórzyła Shannon, a facet opadł na kolana obok Ashleigh i rozpostarł szeroko ramiona, z tyłkiem w powietrzu. Salon wyglądał tak samo, jak zapamiętała go Moss – to samo lustro nad kominkiem, obraz martwego Chrystusa w miejscu, w którym będzie wisiał, kiedy zamieszka tutaj Nestor. Pomieszanie i boleść zawodziły w jej głowie jak bliźniacze syreny. Marian, pomyślała, jej imię to kotwica. Skuła mężczyznę kajdankami, ale miała tylko jedno, więc kobietę pozostawiła nieskrępowaną. – Gdzie jest Marian Mursult? – zapytała. – Gdzie ona jest, panno Ashleigh?

— O co chodzi? – powiedziała Ashleigh. – Jaka dziewczyna? To jakieś bzdury. Chcę adwokata. Kim pani jest? Gdzie ma pani nakaz? Pierdolić to.

Nie może pani być tutaj...

— Marian Mursult – powtórzyła Moss. – Gdzie ona jest? Ty, gdzie ona jest?

— Nie wiem – odparł mężczyzna. – Są za ciasne, te kajdanki. Chcę się ubrać. Nie powinienem tu być, mam żonę. Proszę, nie powinno mnie tu być. Moja żona się o tym dowie.

— Gdzie jest Marian Mursult? – zapytała kolejny raz, ale nie czekała na odpowiedź. Ruszyła korytarzem w stronę pomieszczeń z tyłu domu, sypialnia, sypialnia Nestora, w której wyslizgiwała się z ubrań i spała tyle nocy. Drewniane stojaki na broń, karabiny i broń maszynowa. – Kurwa mać – mruknęła, poznając niemieckie zabytki, zasoby „Orlego Gniazda”. – Cholera, nie, nie...

Wróciła do salonu, spojrzała na tamtą parę i przekonała się, że nadal leżą twarzami w dół na dywanie. Obok kuchni znalazła drzwi do piwnicy i zeszła tam, świadoma, że panna Ashleigh nie jest skuta, wiedząc, że kobieta może chwycić któryś z nazistowskich gnatów i zacząć się na nią, gdy będzie tutaj, na dole, albo kiedy wróci na górę.

— Marian? – zawołała. – Marian, jestem funkcjonariuszką policji. Jesteś tutaj? Daj mi znać, jeśli jesteś na dole. Odezwij się, proszę.

Zawilgocona piwnica, smród wybielacza. Wysięgnik z wielokrażkiem na centralnej podporze w pobliżu odpływu na środku podłogi. Brązowawe szmaty i plamy krwi na betonowym podłożu, plamy na ścianach z pustaków. Kneble, więzy. Moss wyobraziła sobie dziewczynę przywiązaną do metalowego słupa, z rękami skrępowanymi za plecami. Brązowe plamy w zlewie zalanym wybielaczem. Marian była tutaj związana, maltretowana...

Dudnienie nad głową. Moss słyszała, że tamci uciekają, Ashleigh i ten facet, Harrier. Kurwa, pomyślała, celując z pistoletu w sufit; zastanowiła się, czy strzelać przez deski podłogi, może trafiłaby ich w podeszwy stóp albo przeszła pachwiny zabójczym strzałem, ale nie miała uzasadnienia dla takiego postępowania. Opuściła broń, celując w stronę schodów na wypadek, gdyby ujrzała ich nogi, gdyby tu schodzili, ale usłyszała trzaśnięcie siatkowych drzwi z boku domu i wiedziała, że zwiali. Wspięła się po schodach do kuchni, czujna, ale była sama.

Wyszła na zewnątrz, gdzie w ciemności płonęło białą szerokostrumieniowe światło. Panna Ashleigh i Harrier musieli pobiec w tamtą stronę i uruchomić reflektor. Może skryli się w stodole albo za

kamperem. Obrośnięty chwastami pojazd wyglądał na stały element w tym miejscu. Kiedy Shannon przeszła przez trawnik, drzwi kampera się otworzyły i wyszedł z niego mężczyzna w dżinsach i wojskowych butach, w burooliwkowej rozpiętej koszuli odsłaniającej jego klatkę piersiową. Wielki facet o płowej plerezie. Cobb, zrozumiała, dwadzieścia lat młodszy niż w chwili, w której ujrzała go pierwszy raz, niż gdy zmagala się z nim w sadzie i poderżnęła mu gardło. Charles Cobb, była tego pewna. Trzymał dużą puszkę piwa, z której pociągał zachłanne łyki, patrząc w dal na pola; nie zauważył jej, nie wiedział, że ona tutaj jest, pojęła, jeszcze nie. Dokądkolwiek pobiegli panna Ashleigh i jej facet, to nie do kampera.

— Agentka federalna – powiedziała, celując w środek cielska Cobba i myśląc: Jeśli drgnie, mogę drugi raz zabić tego skurwiela. – Na ziemię. Na kolana, kurwa. Ruchy, ruchy.

Na dźwięk jej głosu Cobb się wzdrygnął. Postawił puszkę na stopniu kampera i podniósł ręce, ale nie ukląkł. Ten człowiek chodził po obcej planecie, pomyślała. Widział swoich przyjaciół obdartych ze skóry i rozpostartych w powietrzu. Syreny na stopięćdziesiątcejedynce, dotarło do niej, odległe niebieskie światła. Brock musiał zatelefonować na posterunek policji w Buckhannon, zrozumiał, że Shannon przyjedzie tutaj sama.

— Ma pani nakaz, żeby tu wejść, funkcjonariuszko? – zapytał Cobb głosem wyważonym, nawet jeśli zaniepokojonym.

Jego ton wytrącił ją z równowagi i poczuła, że chwila jej umyka, ustępując przeczuciu, że nie panuje nad sytuacją.

— Na kolana – powtórzyła. – Trzymaj łapy na widoku.

— Jesteś kaleką – zauważył. Światło na stodole zgasło. Ciemno, choć oko wykol. Cobb uciekł, słyszała to, pognął za kampera. Potem usłyszała, że przedziera się przez pole za pojazdem, i zrozumiała, że nie ma mowy, żeby mogła go ścigać, żeby zdołała go dogonić w wysokiej trawie. Wszyscy uciekali; czuła się tak, jakby się rozpuszczali.

Ciemność przeciął ogień wylotowy z lufy, broń automatyczna. Kule przeleciały górą i wbiły się w ziemię kilka metrów za nią. Uratowała ją ciemność; ktokolwiek strzelał, nie widział jej, nie wiedział, gdzie Shannon jest, a ona padła w trawę, kolejna seria przeleciała ze świstem. Dostrzegła ogień wylotowy w oknie kampera, wycelowała w stronę błysku. Strzeliła. Raz. Drugi. Trzeci.

Dźwięk syren dotarł na podjazd, fale niebieskiego światła na stodole

i kamperze, co najmniej kilka wozów, nadjeżdżały następne. Kolejna seria zabębniła o pojazdy, strzaskała przednie szyby.

— Shannon? – usłyszała. Nestor wysiadł z samochodu. Skierowała broń ku niemu, wycelowała w jego pierś, łatwy strzał z tej odległości, poczuła, że jej palec napiera na spust. – To ja – powiedział. Ukląkł za otwartymi drzwiami po stronie kierowcy swojego radiowożu, w kamizelce kuloodpornej FBI, z wyciągniętą bronią.

Pole widzenia Moss się zwężiło, skupiło na nim. To jest jego dom. To będzie jego dom.

— Shannon, to ja... Nestor. Opuść broń, proszę.

Świat ją dogonił. Nestor nadal był młodym mężczyzną, wciąż pracował w FBI.

— Jeden człowiek, pieszo, przez pola – powiedziała. – Dwie kolejne osoby uciekają, mogą być nadal na terenie posiadłości. Mężczyzna w kajdankach. Strzelec w kamperze.

Grzechot broni automatycznej. Odpowiedź ze strony policji, podziurawili kampera jak sito. Nestor opróżnił magazynek, ale z pojazdu zagrzmiała kolejna seria. Pociski roztraskały przednią szybę i drzwi auta, trafiły Nestora w pierś. Przewrócił się w trawę, krzycząc. Moss wystrzelała swój magazynek w kampera. Przeładowała. Strzeliła ponownie. Ktoś krzyknął, strzelec w pojeździe oberwał. Nestor żył. Podniósł się na klęczki, rękaw koszuli miał rozerwany i przesiąknięty krwią.

— Kamizelka – powiedział. – Nic mi nie jest. Mam kamizelkę...

Ulga, że Nestor jest bezpieczny. Inni funkcjonariusze, ludzie w mundurach rozeszli się wachlarzem po trawniku, oddział z Buckhannon wraz z policją stanową. Nestor, z bronią w lewej dłoni, ruszył w stronę kampera, prawe ramię zwiślało mu bezwładnie. Shannon poszła za nim. Nestor skradał się wzdłuż pojazdu, szarpnięciem otworzył drzwi. Moss ujrzała krew. Wspięła się po stopniu do wnętrza. Krew ochlapała podłogę, aneks kuchenny. Nestor wszedł za Shannon do środka, przeszedł obok wnęki kuchennej do części sypialnej. Boczna ściana kampera była podziurawiona przez kule, światło reflektora na stodole wpadało przez otwory. Strzelec padł na materac piankowy, był bez koszuli, zakrwawiony. Tatuż na piersi, złoty orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Jared Bietak, pojęła Moss. Krew wydobywała się bulgotliwie z jego ust i syczała w ranach na piersi, gdy usiłował oddychać.

— Zastosuję ucisk – powiedziała Moss. Znalazła koc i przycisnęła go do piersi mężczyzny, ale wiedziała, że on umrze. Wykasłał haust krwi. Zbyt ślisko; wytarła kocem krew z tułowia Bietaka i próbowała uciskać ranę, ale poczuła, że jego ciało sztywnieje. – Musimy przeszukać stodołę – powiedziała, rezygnując z prób ratowania Jareda. – Marian jest tutaj albo była.

Wrota stodoły były zamknięte na łańcuch z kłódką. Jeden z funkcjonariuszy policji stanowej wyjął z bagażnika samochodu nożyce przegubowe, przeciął łańcuch, uchylił skrzydło wrót. Dość światła z reflektora, żeby dostrzec żółtą ciężarówkę Rydera – po latach zardzewiałą, porzuconą w polu, miejsce, w którym zawracaliśmy podczas spacerów. Nestor wszedł do stodoły.

— Co to jest? – zapytał.

Ktoś znalazł włącznik światła; ukazał się szereg rur biegnących wzdłuż belek stropowych, błyszczące zbiorniki ze stali nierdzewnej, plastikowe beczki, szklany sprzęt, kolby i zlewki. Wnętrze wyglądało jak laboratorium do produkcji amfetaminy.

— Wszycy wynocha – powiedział Nestor. – Ruchy.

— Nie, potrzebne mi nożyce – zaprotestowała Moss.

Przecięła zamek tylnych drzwi ciężarówki Rydera, otworzyła je z rozmachem; owiała ją fala zgnilizny. Zwalczyła mdłości, ale usłyszała, że policjant ze stanówki rzyga. Z tyłu pojazdu rozkładał się stos trupów o oczach pokrytych ciekącymi wrzodami, o popalanej skórze, o odsłoniętych i czerwonych tkankach tam, gdzie nadal było ciało, o ustach niemal zamkniętych przez bąble, o rozwartych czerwonych ranach.

— O Boże – powiedziała Shannon. – Mój Boże, mój Boże...

Dostrzegła dziewczynę. Zaczęła wspinać się do wnętrza ciężarówki, ale Nestor chwycił ją za barki i przytrzymał.

— Puszczaj – rzuciła.

— Chemikalia – stwierdził Nestor. – Nie możesz tego wdychać.

Zwłoki dziewczyny tkwiły w stosie ciał. Głowę miała kompletnie spaloną, tak że zostało na niej jedynie kilka kępek kruczoczarnych włosów. Przez rozcięcia w policzkach było widać zęby. Tylko kilka skrawków białej skóry miało miękkość charakterystyczną dla młodego wieku, reszta była pomarszczona, pokryta bliznami i ranami, roiała się od robactwa, którego było tyle, że wyglądało to tak, jakby ktoś obsypał ją ryżem. Marian. Marian.



Marian.

— Znajdź koc! – zawołała Moss do Nestora. – Sprowadź karetkę. Proszę, wezwij ambulans.

— To jest komora gazowa – powiedział Nestor. – Wyłaź stamtąd.

Ukryła twarz na jego piersi i szlochała, pozwoliła wyprowadzić się ze stodoły. Na trawniku migotały światła radiowozów, panowała nerwowość towarzysząca przybywaniu sił policyjnych na miejsce zdarzenia, ale na temat tego, co znajduje się wewnątrz, zapadła kurtyna milczenia.

— Więcej martwych niż żywych – powiedział Nestor. – Mój ojciec zwykł tak mówić. Ale ojciec mówił mi o nowych ciałach, które otrzymamy przy końcu świata, ciałach obleczonych w światło. Cóż za wspaniała myśl: odrodzić się w Bogu. Zmarli otrzymają nowe ciała.

Shannon odsunęła się od niego. Nikt nie powinien widzieć, że ktoś ją tuli, nie tutaj; nie chciała, żeby policjanci widzieli, że jedyna kobieta na miejscu zdarzenia jest pocieszana przez mężczyznę. Wytarła oczy.

— Wierzysz w zmartwychwstanie ciała? – zapytał Nestor. – Proszę, przez wzgląd na to dziecko uwierz.

Moss wyobraziła sobie, jak pogrzebani w ziemi zmarli powstają, żeby dostąpić łaski boskiej i otrzymać nowe ciała ze światła. Wyobraziła sobie ofiary z tyłu ciężarówki Rydera, które otrzymują ciała uwolnione od bólu. Dźwięk syren i silników, na teren wjeżdżały dwie ciężarówki. Nowe ciała uczynione ze światła; naiwna nadzieja, dziecięce marzenia. Poczowała, że ktoś dotknął jej dłoni, i ujrzała brązowe oczy Brocka, które widziały już ból, ale nadal były pełne smutku, oczy, które wciąż pragnęły jakiegoś spokoju.

## 2

**K**olejne miejsce zbrodni, które stało się dla niej bliźniacze. Cricketwood Court z jej przeszłości, ten dom w Buckhannon w przyszłości. W fałszywej przyszłości, powiedziała sobie.

Zawiodłam ją. Porażka była realna, ostateczność śmierci Marian przytłaczająca, dławiąca.

Za późno, żeby ją uratować, spóźniłam się.

Siedziała sama na frontowym ganku, rozległy trawnik jeziorem mroku. „Wierzysz w zmartwychwstanie ciała?” – zapytał Nestor. Na drugim końcu trawnika pełnego cieni lśniło jasne wnętrze karetki. Moss obserwowała sanitariuszy opatrujących Nestora. Prawy biceps miał rozdarty na skutek postrzału, kula przeszła na wylot. Zdjęli mu koszulę, odsłaniając siniak na mostku, fioletowe obrzęki po uderzeniach pocisków w kamizelkę, wezbrane guzy napuchłe na obrzeżach czerwienia. Zabiorą go do St. Joseph, sprawdzą, czy nie ma krwotoków wewnętrznych.

Ze wszystkich możliwych miejsc dlaczego zamieszkaż tutaj, Nestorze?

Przyglądała się jego twarzy w świetle ambulansu, gdy Nestor śmiał się wraz z sanitariuszem, który sprawdzał jego opatrunki, o tyle teraz młodszy. To nie był ten sam człowiek, którego znała, to był tylko jego cień, młodszy nawet od niej. I był teraz niewinny, niewinny wszelkich powiązań, jakie połączą go pewnego dnia z tym miejscem. Starła się z Nestorem tuż po znalezieniu Marian, na zewnątrz, pod gruszą, zapytała go, czy zna ten dom, ale nie, nigdy dotąd tutaj nie był, nigdy dotąd nie był w Buckhannon.

Ale powinieneś być wiedzieć o Marian, pomyślała Moss, kiedy byliśmy razem. Wszystkie ich wspólne noce w tym miejscu; wiedziałyby, że krew Marian wsiąkała w tę ziemię. Chora z powodu wspomnień o nim, upokorzona. Był wówczas piękny, ich krótkie wspólne życie błogie, ale przyszło do tego: sześć trupów w ciężarówce Rydera.

Karetka z Nestorem odjechała z terenu posiadłości, Moss przyglądała się oddalającym się czerwonym światłom. Sztuczka, którą poznała jako dziecko – ktoś powiedział jej, że nie da się złożyć arkusza papieru więcej niż jedenaście razy, bez względu na to, jak jest duży. Próbowwała tego na wiotkich stronach gazet, na ogromnych płachtach, ale nigdy nie wyszła poza jedenaście złożeń, ostatnie zagięcia bardzo małe i trudne, papier ściśnięty do postaci małej cegły. Szwy jej życia zachodziły na siebie, dom Nestora i dom, w którym zginęła Marian, dom Courtney i dom, w którym zginęła rodzina Marian, jej emocje mąciły się, przytłaczały ją, więc wyobraziła sobie swoje życie jako ów składany papier, aż jej uczucia zostały sprasowane w kształt brykietu, bez zagięć, twardego w jej sercu jak diament.

Po odkryciu masowego zabójstwa nastąpiły godziny pełne napięcia; śledczy i technicy kryminalistyczni chcieli uzyskać dostęp do miejsca zbrodni, stanowym i powiatowym lekarzom medycyny sądowej polecono pozostać na miejscu i czekać. Początkowo nie było wiadomo, jakich środków chemicznych użyto w stodole, co zmagazynowano w plastikowych beczkach, powstały pytania dotyczące przeznaczenia wyposażenia laboratoryjnego, więc Brock kazał na wszelki wypadek opuścić to miejsce. Po jego telefonie gubernator Underwood poprosił o pomoc najbliższy oddział saperowski, 753. kompanię bojową Gwardii Narodowej. Teren zamknięto na czas pracy saperów w stodole; ich zgniłozielonej barwy ciężarówki stały wzdłuż stopięćdziesiątkijedyńki z silnikami na jałowym biegu, w obłokach spalin z diesli.

Dom był dostępny, piwnica odgrodzona taśmą, plamy krwi oznaczone. Właścicielką nieruchomości była panna Ashleigh, kupiła ją lata temu. Mieszkała tutaj, podczas gdy więźniowie marnieli w piwnicy. Karmiła ich, oporządzała? Moss poznawała w tym miejscu rękę panny Ashleigh: różnokolorowe szkło ozdabiało parapety okienne, w zlewie talerze obiadowe, z których Shannon korzystała w przyszłości odległej o lata. Obraz Chrystusa był osobliwością. Agenci katalogowali w sypialni nazistowskie pamiątki: broń palną, bagnety, naszywki wojskowe, flagi w gablotach za szkłem.

W przyszłości Nestor powiedział jej, że broń należała do jego ojca; kłamstwo. Naszywki przypomniały jej o tym, co może tutaj znaleźć, w domu, w którym spędzali czas Jared Bietak i Charles Cobb, pootwierała więc szafy i szuflady, przeszukała dokładnie pudełka wyciągnięte spod łóżka, licząc na znalezienie dowodów związanych z *Wagą*, emblematu misji lub albumu ze zdjęciami, który widziała w domu w sadzie. Znalazła stare buty i sztuczną biżuterię, rachunki, paragony, książeczki zdrowia. Nie było nic.

Świtało. Nad trawą wisiała mgła do kolan, okolica zdawała się tonąć w powodzi wodnistego mleka. Z Charlestonu przybył oddział poszukiwawczo-ratunkowy, opiekun z psem wyszkolonym do poszukiwania zwłok przeczesał posiadłość, boczny ogród, którego grunt znaczyły kopce, pewnego dnia porośnięty polnymi kwiatami. Gorączkowy zgiełk, gdy pies stanął jak wryty, wpatrzony w ziemię. Mężczyźni z łopatami, w końcu z koparką, odkryte szczątki dwadzieściora dwojga ludzi o skórze rozpuszczonej przez ług. Zostali zamordowani w ciężarówce Rydera, pochowani pod kopcami w ogrodzie. Brock zastał Shannon przyglądającą się ekshumacjom. Wcale nie ukrywał swojego zmęczenia, tak jak za pierwszym razem, kiedy widziała go w domu przy Cricketwood, gdy przechodził po stalowych kładkach nad przelaną krwią; był wyczerpany, oczy miał zażawione, ale to nie był złamany człowiek, nie jak jego wersja, którą Moss знаła w przyszłości. Tutaj Brock był osiłą, spokojem. Technicy kryminalistyczni, gliniarze z Buckhannon i gwardziści w butelkowej zieleni zdawali się wirować wokół niego niczym duchy w porannej mgle.

— Wsadziłaś kij w mrowisko, Shannon – powiedział.

— Skończyli w stodole? Co to jest?

— Broń chemiczna – odparł Brock. – Nie, nie skończyli. Będą się tym zajmowali cały dzień. Zapalniki, C-4. I te chemikalia.

— O czym mówimy, Brock?

— Sarin, gaz musztardowy, wszystko w małych dawkach. Rycyna. Znaleźli wirus ebola – powiedział. – Sądzymy, że produkowali niewielkie ilości rozmaitych środków, których zabójczość sprawdzali w tym pojeździe, w ciężarówce Rydera. Może testowali sposoby rozpraszania, żeby określić dawkę śmiertelną.

— Testowali na siedemnastoletniej dziewczynie – dodała Moss. – Jezu Chryste.

— Naśladowali zamach sekty w japońskim metrze sprzed kilku lat –

stwierdził Brock. – Przynajmniej jeśli chodzi o produkcję sarinu. Ludzie, którzy pracowali w Tokio podczas dochodzenia, są w drodze. Chcą zobaczyć, co znaleźliśmy.

Sarin rozproszony w tokijskim metrze; Moss przypomniała sobie obrazy z wiadomości. Sarin był płynny, umieszczony w plastikowych torebkach, które członkowie sekty rzucili na podłogę w metrze i przekuli czubkami parasoli, uwalniając gaz.

— Zabieram ze sobą grupę do Blackwater, tam, gdzie znaleźliśmy te kamienne stosy – poinformował ją Brock. – Wezmę ze sobą psy, te do poszukiwań zwłok, sprawdzimy większy obszar. Muszę się dowiedzieć, skąd wiedziałas o tamtym miejscu, Shannon. Muszę wiedzieć wszystko, co wiesz.

— Chcę ci pomóc – odparła Moss. Kamienne wieżyczki w dziczy. Sądziła, że wskazują miejsce pogrzebania Marian, miejsce, w którym ją porzucono, ale Marian była tutaj. Co więc oznaczają stożki? Inne ofiary? Sześcioro w ryderze, troje przy Cricketwood, Fleece w lustrzanym pokoju i Mursult w Blackwater... Trupy w ogrodzie domu, potęgująca się potworność, jak odkrycie robaków rojących się w sercu martwego psa. – Powiem ci wszystko, co mogę, ale nadal staram się to pojąć.

— Chodź ze mną. Chcę poznać twoje zdanie w pewnej sprawie.

Nawiedzający obraz: kamper wyłaniający się z mlecznej mgiełki. Pamiętała, skąd go zna; zauważyła pojazd w posiadłości panny Ashleigh, w stodole w sadzie, pokryty spieczonym kurzem.

— Trzysta pocisków, skromnie licząc – odezwał się Brock, prowadząc ją do środka. Tam, gdzie nawała ołowiu przebiła pojazd, jego ściana była w strzępach. – Został trafiony tylko cztery razy. Możesz go zidentyfikować?

— Taa – mruknęła Shannon, przechodząc obok wnęki kuchennej i zbliżając się do części sypialnej. – Nazywa się Jared Bietak.

— Jeden z waszych?

— Marynarka – powiedziała. – Tak samo jak Mursult.

Zwłoki Bietaka były woskową obecnością, stygnącą, ale jeszcze nie zimną. Nicole przyznała się jej kiedyś, jak wielkie wrażenie zrobił na niej tatuaż Jareda; Moss przypominał raczej logo pontiaca firebirda. Był jeszcze jeden tatuaż, napis: NOVUS ORDO SECLORUM, nowy porządek wieków. Moss pomyślała o czasach umierającej Ziemi, kiedy piramidy będą wędrowały w poszukiwaniu wody, ale wspomniała także obecną chwilę, paranoików, którzy wierzyli w bliskość Nowego Porządku Świata, w rząd

światowy niewolący ludzkość. Dwie rany postrzałowe klatki piersiowej, kolejna na szyi, ale nie potrafiła dostrzec czwartej. Krew Jareda Bietaka nasączyła piankowy materac. Zabity miał na wpół przymknięte oczy. Stanowy lekarz sądowy Wirginii Zachodniej przeprowadzi sekcję i Moss zastanowiła się, czy znajdą raka tarczycy, który i tak by go zabił.

— Jared Bietak to mąż Nicole Onyongo.

— Zniknęła – powiedział Brock. – Na twoją prośbę wysłałem ludzi do jej mieszkania. Nie pokazała się także w pracy.

— Zniknęła – powtórzyła Moss, przypominając sobie szkliste oczy Nicole, jej manhattany, wznoszący się pod sufit dym dwóch parlamentów. Może się jednak niebawem pojawić. W swojej NTP Nicole nadal pracowała w Donnell House, stała się regularną bywalczynią May’rz Inn. Ale w tamtej linii czasowej nie odkryto broni chemicznej, kto wie, jakie zmiany to spowoduje? – Dobra, szukajcie jej dalej – powiedziała, obawiając się na podstawie własnego doświadczenia, jak radykalnie mogła się już zmienić przyszłość. – Musimy ją znaleźć.

— Podejź tutaj – polecił Brock. – Chcę, żebyś się temu przyjrzała.

Nałożyli niebieskie nitrylowe rękawiczki, żeby przejrzeć pliki dokumentów, które Brock wyjął z niezamkniętego sejfu na przedzie kampera. Usiedli przy stoliku w kuchence, a Brock rozpostarł mapy i plany. Czerwona linia metra w Waszyngtonie, budynek Kapitolu, szczegółowe notatki na temat sali Senatu.

— I jeszcze to – powiedział Brock, rozwijając schematy wyrzutni startowych Dowództwa Marynarki Kosmicznej w Kodiak na Alasce.

Były i inne: kwatery głównej Dywizji Kosmicznej Sił Powietrznych w Colorado Springs, Dowództwa Marynarki Kosmicznej w Dahlgren. Znajdowały się tam informacje na temat przylądka Canaveral, poziomu wojskowego w Centrum Kosmicznym imienia Johnsona w Houston. Plany ich systemów wentylacyjnych, charakterystyki środków bezpieczeństwa. Brock pokazał jej podobne informacje o siedzibie Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, ale tym, co ją zmroziło, były rysunki techniczne budynku SISK. Na jakimś poziomie wiedziała. Na jakimś poziomie, podczas godzin oczekiwania tutaj, kiedy rozchodziły się pogłoski o tym, co znaleziono w stodole, stykające się ze sobą elementy jej śledztwa zaczęły się łączyć. Do Moss dotarła ogromna ironia faktu, że to Brock znalazł te plany, że zapobiegał atakowi na ośrodek

SISK, który zabiłby pewnego dnia jego żonę i córki.

— To bojówka terrorystyczna – stwierdziła. – Byli wojskowi.

— A to są ich cele? – zapytał Brock.

— Tak – odparła. Pozostałe obiekty nie zostały zaatakowane w NTP, do której poleciała, ale zastanowiła się, czy w innych liniach czasu wypadki nie potoczą się odmiennie; pomyślała o tragediach, do których mogło dojść albo które nadal mogą się zdarzyć. Świadomość ogromu popełnionej przez nią pomyłki wlała się w nią jak woda spadająca do przepaści: pognąła do tego domu zrozpaczona dublowaniem się Buckhannon, śpieszyła tutaj w obłędzie, żeby uratować dziewczynę, ale nie powinna była tego robić. Powinna postępować metodycznie, powinna zatelefonować do O’Connora, poczekać. Był tutaj Jared Bietak, był tutaj Cobb; kogo jeszcze mogliby zastać, gdyby się wstrzymała? Teraz Bietak nie żył, a Cobb i panna Ashleigh uciekli, pyłki na wietrze. Straciła więc z szerszą misją.

— Biali rasiści? – zapytał Brock. – Nazistowskie rekwizyty w sypialni.

— Nie, nie sądzę, nie przede wszystkim – odparła Shannon, próbując wziąć się w garść, przejść do porządku dziennego nad tymi straconymi okazjami. – Z pewnością antyrządowcy. Karl Hyldekrugger. To on zdobył dwa lata temu plany ośrodka SISK, sprzedał mu je członek Bojówki Górskiej<sup>1</sup> na krótko przed aresztowaniem przez twoich agentów.

— Spróbujemy wyśledzić pochodzenie tych chemikaliów, nabycie wyposażenia – powiedział Brock. – Powiem ludziom od terroryzmu wewnętrznego, żeby sprawdzili Hyldekruggera. Zobaczymy, co znajdą. Od czasów McVeigha dużo się nauczyliśmy.

Moss przypomniała sobie nazwisko zamachowca samobójcy z ośrodka SISK; zapamiętała je z książek, które nigdy nie zostaną napisane: Ryan Wrigley Torgersen. Pracował w wydziale Służb Informacyjnych, miał przyjść do pracy z materiałami wybuchowymi zaszytymi w ciele. Istniały konstytucyjne zabezpieczenia przed prewencją kryminalną, zastosowania czwartej poprawki, które komplikowały dochodzenia NCIS. Będzie musiała porozmawiać z O’Connorem, wystąpić do sądów wojskowych o konieczne nakazy, żeby aresztować tego osobnika.

— Ostrzeż natychmiast swoich kolegów w SISK – powiedziała. – Sądzę, że znalezienie tych planów to dość, żeby sprawdzić system wentylacyjny i przeciwpożarowy. Wątpię, żebyście coś znaleźli. Powinni jednak zwiększyć

poziom bezpieczeństwa, zastanowić się nad uznaniem swojego ośrodka za istotny cel. Jest pewien podejrzan, potencjalny zamachowiec. To pracownik FBI Ryan Wrigley Torgersen.

— Torgersen, znam go – stwierdził Brock. – Spotkałem go. Pracuje w wydziale mojej żony. Jesteś pewna? Jest potulny, Shannon. Torgersen... Poproszę o objęcie go nadzorem, zobaczymy, co się uda znaleźć na jego temat.

Dużo później tego popołudnia Gwardia Narodowa zezwoliła na wstęp do stodoły. Zabezpieczyli znalezione chemikalia, usunęli groźbę w postaci materiałów wybuchowych. Koroner hrabstwa Upshur czekał na miejscu od chwili odkrycia zwłok. Był to chudy, młody lekarz, który nosił koszulę, krawat i kowbojski kapelusz w kolorze cielejącej skóry; zdjął z szacunkiem i trzymał w ręku nakrycie głowy, gdy podchodzili do wrót stodoły. Powiedziano mu, że jest wiele zwłok, więc przywiózł trzech pomocników, starszych mężczyzn, którzy wyglądali bardziej na parobków niż techników medycznych. Mieli na sobie kombinezony ochronne, zabezpieczenie przed chemikaliami, które mogły być nadal we włosach ofiar bądź wydobywać się z jam ich ciał.

Moss stała w pewnej odległości, oglądając uważnie ciężarówkę Rydera. W ścianie przestrzeni bagażowej po stronie pasażera wywiercono dziurę, z której zwisała gumowa rura. Ruchoma komora gazowa. Sama stodoła była wyposażona w system wentylacyjny i natryski bezpieczeństwa, a w szafkach znajdowały się ubrania ochronne. Moss wyobraziła sobie w tych żółtych strojach Jareda Bietaka i Charlesa Cobba, którzy wprowadzali do ciężarówki trujący gaz, kwas lub zarazki chorób, mierząc cierpienie swych ofiar.

Musieli przenieść Marian z piwnicy w środku nocy, przy wyłączonym reflektorze z detektorem ruchu, przy zgaszonych światłach w domu. Była związana i zakneblowana, zresztą i tak nikt by jej nie usłyszał, nie tutaj. Korzystny wiatr mógłby ponieść jej krzyki, ale niedaleko.

Tak skończy się moje życie, pomyślałaby dziewczyna. Umrę w skrzyni ładunkowej ciężarówki Rydera, dławiąc się smrodem poprzednich zabitych. Mogła zrozumieć, że czuje własną śmierć. Mogła drapać ściany pojazdu, mogła stracić zmysły z przerażenia; Shannon wyobraziła ją sobie szlochającą i błagającą o litość. Słyszałaby warkot silnika albo szum turbiny pompującej gaz przez gumowy wąż. Zdjęcie Marian wiązało Moss z terra firma w te noce, kiedy czuła się zagubiona w swej NTP. Życie jest silniejsze niż czas,



napisała wówczas. Fałszywa nadzieja.

Lekarz sądowy z Upshur i jego ludzie w kombinezonach ochronnych rozłożyli plastikowe płachty, wyjęli delikatnie ciała z ciężarówki. Czterech mężczyzn i dwóch kobiet; jedną z nich była Marian. Wszystkie zwłoki były nagie, wszystkie mocno uszkodzone skutkiem oparzeń chemicznych bądź od kwasu, większość nabrzmiała i błyszcząca, twarze zniekształcone lub pozbawione rysów. Część ciał rozpadła im się w rękach jak galareta.

Wiadomości KDKA: zdjęcie Marian jadącej na rowerze, ujęcia z helikoptera domu i stodoły, mapy Buckhannon, wywiady z sąsiadami, krótkie wypowiedzi Brocka. Policyjne zdjęcia Ashleigh Bietak oraz mężczyzny, z którym uciekła, Richarda Harriera, schwytanych, gdy ukrywali się pod gankiem posiadłości w odległości pięciu kilometrów od stopięćdziesiątkijedynki. Harrier w kasie Home Depot, ujęcia Home Depot w Bridgeport. Ogólne wiadomości o sarinie, powtórki materiałów na temat ataków sekty Aum Shinrikyō w tokijskim metrze, zamachu w Oklahoma City, a niebawem dom przy Cricketwood Court stał się świątynią ku czci zamordowanej rodziny. Z początku tylko kilka bukietów owiniętych zieloną bibułą i celofanem, kolorowe maki pozostawione na frontowym ganku, ale przed upływem kilku dni weranda została zasypana kwiatami, fotografiami w ramkach i białymi krzyżami. Moss siedziała w swojej półciężarówce i obserwowała ludzi, którzy przyjeżdżali do tego zaimprovizowanego pomnika i odjeżdżali, pełna wyrzutów sumienia, że nie doszło do takiego upamiętnienia Courtney, pełna osobistego żalu, że nigdy nie położyła tutaj kwiatów. Wróciła później tego popołudnia i złożyła własny bukiet, pęk róż.

Wieczorem telefonowała, starając się ustalić właścicieli sadu jabłoniowego, gdzie panna Ashleigh mieszkała w przyszłości, gdzie zorganizowała uroczystość poświęconą pamięci Jareda Bietaka. Moss pamiętała, że Nicole wspomniała jej, iż nieruchomość znajdowała się wcześniej w posiadaniu pary rzemieślników, i dowiedziała się niebawem, że dom i sad są nadal w rękach Neda i Mary Stentów, właścicieli firmy „Pot and Kettle”. Ustaliła, że Ned Stent uczestniczy w kiermaszu sztuki w Atlancie; przez telefon ze swojego pokoju hotelowego Ned wyjaśnił jej różnice między wyrobami ceramicznymi

a *raku*, opisał rodzaje produktów, jakie oferowali w swoim sadzie, podał wymiary pieca do wypalania. Nie, nie poznali nikogo o nazwisku Ashleigh Bietak, nie poznali nigdy Jareda Bietaka i nie, nie zamierzali sprzedać posiadłości.

— Przynajmniej nie w ciągu najbliższych kilku lat.

Nie pokazano zwłok członków rodziny Mursultów, chociaż dla krewnych i przyjaciół, zgromadzonych przed mszą pogrzebową w kościele Świętego Patryka po drugiej stronie ulicy, ich pięć trumien wystawiono w oddzielnych salach domu pogrzebowego Salandra przy West Pike. Mnóstwo młodzieży przyszło okazać swój żal. Z liceum i gimnazjum, ubrani elegancko, w kościółkowych strojach, które włożą ponownie za kilka tygodni z okazji Wielkanocy. Plakaty ze zdjęciami Mursultów umieszczono na stojakach obok trumien. Shannon dotknęła lakierowanego drewna trumny Marian. Stała ze spuszczoną głową i udawała, że się modli, ze względu na innych żałobników, którzy stali w kolejce, żeby złożyć hołd zmarłym.

W trakcie mszy żałobnej Moss siedziała samotnie w tylnej ławce, podczas gdy ksiądz błogosławił kolejno każdą z pięciu trumien, gdy wierni przyjmowali komunię i się modlili. Kościół Świętego Patryka był kościołem Shannon z dzieciństwa. Została wychowana na katoliczkę, miała wspomnienia z tutejszej szkoły niedzielnej, pamiętała swoją sukienkę komunijną, smak komunikantu. St. Pat nie był kamiennym kolosem, jak inne kościoły w Pittsburghu, a raczej współczesną przebudową o ochrowych ścianach i kobaltowych wykończeniach, z witrażami z różowych, zielonych i żółtych kwadratowych szybek. Nastawa była krzykliwym wzorem szkarłatu i złotych rombów. W trakcie mszy uwagę Moss przykuła scena ukrzyżowania nad ołtarzem, krucyfiks skąpany w barwach rzucanych przez wpadające przez witraż światło słońca. Chrystus zdawał się lewitować nad ołtarzem na skrzydłach ramion krzyża; Shannon wyobraziła sobie, że gdyby nie gwoździe w nadgarstkach i kostkach nóg, mógłby po prostu odfrunąć.

Duchota, pełen boleści płacz dzieci, nieznośny smutek. Moss wyszła przed końcem mszy, znajoma ulga, jaką pamiętała, towarzysząca wymykaniu się z kościoła. Wzdłuż ulicy ustawily się furgonetki stacji telewizyjnych, zaparkowane tam, skąd można było uchwycić ogólny plan domu pogrzebowego, kościoła, liczyć na sfilmowanie zapłakanych dzieci

opuszczających kościół.

Powietrze chłodne, ale w słońcu było ciepło. Ruszyła West Pike, żeby oczyścić umysł. Przeszła przez tory i ruchliwe skrzyżowanie przy Morganza. Parking Pizza Hut był pełen, całe rodziny jadły wspólnie lunch. Absurdalne miejsce na żałobę, między niebieskimi kontenerami na śmieci, ale to tutaj zginęła Courtney, to tutaj Shannon znalazła zwłoki przyjaciółki. Przed kilkoma laty jeden pojemnik został wymieniony, ale drugi sprawiał wrażenie, jakby stał tutaj od 1985 roku, niemal dwanaście lat. Moss oparła się o ceglana ścianę i wspominała; opłakiwała Courtney, Marian, jej rodzinę, samą siebie. W mrocznych przeblyskach przypominała sobie ojca, który podnosił ją z łóżka, unosił wysoko i obracał w powietrzu, zapach wintergreen w jego oddechu i woń fajkowego dymu we włosach. Opłakiwała każdą stratę, wszystko, co przeminęło. Za Pizza Hut płynął Chartiers Creek, wąska strużka wody ograniczona z obu stron przez zielsko. Moss usiadła na ławce przy stole piknikowym, z którego korzystali młodzi pracownicy Pizza Hut podczas przerw na papierosa. Patrzyła w mętną wodę. Śmieci zaścielały błotniste brzegi. Spokojnie, na swój sposób, czuła się oddalona od Canonsburga, hałas ruchu ulicznego jako zaledwie biały szum w tle. Światło słońca pstrzyło wodę cętkami srebrnego ognia; cudowne. Ale Moss pozałowała tej myśli. To miejsce nie było piękne, to był koniec wszystkiego.

Zadzwoiła jej komórka, dźwięk ją przestraszył. Pozwoliła, żeby telefon dzwonił. Chwila ciszy, zanim odezwał się ponownie. Sprawdziła numer: Brock.

— Halo? – odezwała się.

— Moss – powiedział ekstatycznym głosem, tryskając entuzjazmem. – To ty, Moss?

— Byłam na pogrzebie – odparła. – Marian i...

— Shannon, mam cudowną wiadomość – ciągnął rozemocjonowany, energiczny. – Nie rozumiem tego ani jak to się stało, Shannon, ale mam naprawdę wspaniałe wieści. Znaleźliśmy ją.

Moss nie odpowiedziała, po prostu starając się zrozumieć, co Brock ma na myśli. „Znaleźliśmy ją”. Drzewa nad wodą rosły jak baldachim. Ich liście pstrzyły błotniste brzegi, wpadały do potoku. Obserwowała, jak się zbijają i tworzą zator, zanim znikną w mroku stalowego zardzewiałego przepustu, który sprowadzał strumień pod ziemię.

— Znaleźliśmy ją – powtórzył Brock. – Ona żyje. Znaleźliśmy ją

w lesie, Shannon, ona żyje. Znaleźliśmy ją.

— Kogo? – zapytała Moss.

— Marian – odpowiedział Brock. – Znaleźliśmy ją. Marian żyje, Shannon. Żyje.

- 
1. Mountaineer Militia – antyrządowa grupa paramilitarna, która planowała zamach na wydział Służb Informacyjnych Sądownictwa Kryminalnego (Criminal Justice Information Services Division) w Clarksburgu w Wirginii Zachodniej. 11 października 1996 roku FBI aresztowało siedmiu członków bojówki, w tym jej przywódcę, Floyda Raymonda Lookera (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

### 3

Pomyłka, pomyślała Moss. Błędna identyfikacja. Ale widziała zwłoki, widziała Marian w przestrzeni ładunkowej ciężarówki Rydera. Ciotka i wuj dziewczyny ją zidentyfikowali, przyjechali z Ohio do biura koronera w Charlestonie, żeby obejrzeć jej szczątki. Ciotka Marian wytrzymała dokładniejsze oględziny, obejrzała zwłoki i zauważyła wgłębienie po wewnętrznej stronie lewego kolana, uraz gimnastyczny, oraz bliznę po operacji wyrostka robaczkowego. Bez wątplenia jej siostrzenica.

Brock musiał znaleźć jakąś inną siedemnastolatkę, podobną dziewczynę, ale inną...

Marian, powiedział Brock. Ona żyje.

Szerzej zakrojone poszukiwania w okolicy Blackwater Falls, gdzie jego ludzie zauważyli wieżyczki. O świcie rozeszli się wachlarzowato po lesie, szukali kolejnych stosów kamieni, starając się zrozumieć, co mogłyby oznaczać, gdy jeden z poszukiwaczy krzyknął. Wątłe ciało, blade i niebieskawe, włosy w kolorze ziemi. Ubranie sztywne od szronu, bez butów. Znalezione ją w korycie wyschniętego potoku. Skórę miała wilgotną, włosy mokre i zmrożone. Podobieństwo do Marian, pomyślał Brock. Położył dłoń na jej szyi, skóra była zimna, ale wyczuł tętno...

Co by się stało, gdyby Brock jej nie znalazł? – zastanowiła się Shannon. Umarłaby, pomyślała. Leżałaby latami w lesie, jej zwłoki rozkładałyby się w tym wyschniętym potoku, aż faceci poszukujący żeń-szenia zauważyliby

czerwone owoce i zaczęli kopać.

— Jest w szoku – powiedział Brock, kiedy Moss wprowadzano do sali rady Preston Memorial’s. Ściany bez ozdób, stół konferencyjny z jasnego drewna. Brock żuł swoją gumę lukrecjową, miażdżył ją.

— Wprowadź mnie – poprosiła Shannon.

— Albo pochowaliśmy... niewłaściwą dziewczynę, albo popełniamy błąd teraz – powiedział. – Osłupiałem na widok podobieństwa. Pomyślałem, że może oszukuję samego siebie. Uznałem, że to musi być ktoś inny, ale powiedziała mi, jak się nazywa...

— Jest przytomna? – zapytała Moss.

— Słaba.

— Kto jeszcze o niej wie? – dociekała.

— Lockwood, tutejszy dyrektor – odparł Brock. – Mały zespół, który się nią opiekuje. Pielęgniarki, doktor Schroeder. Moi ludzie, było nas sześcioro. Mój szef. Wiedzą, że znaleźliśmy młodą kobietę.

— Nie powiadomiliście jej krewnych?

— Nie.

— I rozmawiałeś z Marian?

— Shannon, jest identyczna. Jest taka sama, ale nic nie ma sensu – stwierdził Brock. – Mówi, że zabili niewłaściwą osobę. Jest przerażona. Szczątki, które znaleźliśmy, były zniszczone przez chemikalia. Kiedy jej ciotka identyfikowała zwłoki, spodziewała się, że to Marian, i być może przekonała samą siebie, że widzi ciało siostrzenicy. Sądzę, że powinniśmy zbadać tę dziewczynę, porównać jej DNA z materiałem genetycznym pochodzącym ze zwłok.

Echo, pomyślała Moss. Ktoś musiał polecieć do innej NTP, znaleźć przyszłą Marian i sprowadzić ją tutaj, na terra firma. To nie wydawało się zbyt prawdopodobne, ale to jedyne wyjaśnienie, jakie znała.

— A według niej co się stało? – zapytała.

— To Fleece ją porwał – wyjaśnił Brock. – Elric Fleece zabrał ją sprzed Kmartu. Znała go.

Nazwisko wybrzmiało w uszach Moss. Fleece, marynarz z *Wagi*, samobójca z lustrzanego pokoju. Marian go znała, przyjaciel jej ojca.

— Czy ktoś powiedział Marian, co spotkało jej rodzinę?

— Ona wie – odparł Brock. – Oglądała telewizję.

Doktor Schroeder, szefowa zmiany w Preston Memorial’s, była mocno

zbudowana, o włosach jak srebrna miotła. Elegancka kobieta mówiąca z południową miękkością; jej obcasy stuknęły jak szybki metronom.

— Zmarznięta i przemoczona. Powiedziała, że przepłynęła rzekę. Miała skrajnie wychłodzony organizm, kiedy ją tutaj przyjęliśmy. Będę z wami szczerą, nie miałam wielkich nadziei, ale teraz dziewczyna ma się dobrze, zważywszy na okoliczności. Martwią mnie jej stopy. Tkanki są poważnie uszkodzone. Biedactwo nie miało butów, a ostatnie noce były zimne. Nie jest w stanie długo chodzić bez bólu, ale może dotrzeć do łazienki i z powrotem.

Shannon wstrzymała oddech.

— Zachowa stopy?

— Nie wyszliśmy jeszcze na prostą – odparła doktor Schroeder. – Nie ma jednak gangreny. Reaguje dobrze. Cokolwiek ją tam spotkało, nie wdawała się w szczegóły, co jest naturalne u ludzi, którzy doznali szoku. Jest chyba bardzo skonfundowana. Hipotermia wpływa na pamięć, więc musicie okazać jej cierpliwość.

Brock postawił strażników przed pokojem Marian, kogoś z ochrony szpitala oraz agenta FBI, którego Moss poznała z tamtej nocy w Buckhannon. Skinęli sobie głowami na powitanie.

— Chyba nie śpi – powiedziała doktor Schroeder. – Miała niską temperaturę głęboką, więc jest nieco ociężała.

— Chciałabym porozmawiać z nią sam na sam – powiedziała Shannon. – Zastanę później panią, żebyśmy mogły zamienić słowo?

— Tak, oczywiście – odpowiedziała lekarka. – Wrócę z pani kolegą albo będę w swoim gabinecie. Proszę dać mi znać, gdyby pani czegoś potrzebowała. I, oczywiście, przy jej łóżku jest przycisk dzwonka, jeśli trzeba by było wezwać pielęgniarkę dyżurną.

Moss usłyszała dobiegający z pokoju dźwięk telewizora, śmiech z taśmy. Pragnęła poznać tę młodą kobietę. Zapukała.

— Proszę.

Marian siedziała wyprostowana na łóżku. Wydawało się, że jest jej wygodnie, pomimo rurek łączących jej ramiona z kroplówkami, przewodu tlenowego pod nosem, znaczącego koronkowym wzorem jej górną wargę, oraz płataniny kabli monitorujących jej funkcje życiowe. Była świadoma, ale mizerna, wyczerpana. Włosy miała zebrane z tyłu głowy, co podkreślało owalny kształt jej twarzy. Chociaż Moss wiedziała o echach, to rzadko przebywała w ich obecności. Myślała o nich wcześniej jak o duplikatach, ale

to nie było prawdziwe, pojęła teraz – ta młoda kobieta była Marian Mursult.

Dziewczyna obróciła się ku Shannon.

— Co ze mną nie tak? Wszyscy się gapią, kiedy tutaj wchodzą.

Nadgarstki miała w bandażach; na skutek ekspozycji na chłód czy próby samobójczej? – zastanowiła się Moss. Nikt o tym nie wspomniał. W podwieszonym pod sufitem telewizorze leciał *Seinfeld*.

— Nic ci nie jest – zapewniła ją Moss, świadoma, że emanuje tym samym uczuciem niepewności tak często denerwującym ją w ludziach, którzy zauważali po raz pierwszy jej protezę. – Masz na imię Marian? – zapytała, czując się ponownie winna, że udaje, iż wszystko jest w porządku. – Ja jestem Shannon. Pracuję w agencji rządowej, w Biurze Śledczym Marynarki Wojennej. Możemy porozmawiać o tym, co się stało?

— Nie pamiętam wszystkiego – powiedziała Marian.

— To zrozumiałe – stwierdziła Shannon. – Mogę usiąść?

Było tam tylko jedno krzesło, które stało już obok łóżka. Donośne dźwięki monitora pracy serca i stłumione odgłosy urzędzeń, których Moss nie znała, sprawiały, że pokój wydawał się kruchy. Rano była na pogrzebie Marian, widziała księdza skrapiającego wodą święconą jej zamkniętą trumnę.

— Wiem, że opowiadałaś już swoją historię innym ludziom – odezwała się. – Mojemu koledze Williamowi Brockowi. Możesz się dziwić, dlaczego po prostu nie porozmawiamy ze sobą, dlaczego zamierzam pytać cię o to, co już mu powiedziałaś.

Shannon zauważyła, że Marian drży. Zimno jej? Z przerażenia wywołanego wspomnieniami?

— Dobrze się czujesz? – zapytała.

— Nie wiem – odparła dziewczyna.

Moss nacisnęła dzwonek i chwilę później pielęgniarka sprawdziła, co z pacjentką, pomogła naciągnąć koce na jej barki, nie zakłócając przebiegu rurek i przewodów. Dziewczyna poprosiła o kubek herbaty i pielęgniarka wróciła z plastikowym czajnikiem gorącej wody i torebkami liptona.

— Czuję się dobrze i rozumiem – odezwała się Marian. – Nie sądzę, żeby tamten człowiek, Brock, nie sądzę, żeby mi uwierzył. Chce więc pani usłyszeć to na własne uszy, zgadza się?

— To nie jest kwestia wiary – powiedziała Shannon. – Ale pragnęłabym usłyszeć to od ciebie. Nie chcę wysłuchiwać twojej historii od kogoś innego.

— Widziałam samą siebie, powiedział to pani? Widziałam się w lesie –



wyznała Marian. – Chyba chcieli mnie zabić, ale zamiast tego zabili ją.

Zaskakujące wrażenie podobieństwa sytuacji. Widziałam się w lesie. Mieciony wiatrem śnieg, kobieta w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym, która dotarła do niej.

— Wierzę ci – zapewniła ją Moss. – Opowiedz mi wszystko. Jak się tam znalazłaś?

— Mój tata ma przyjaciela, nazywa się Fleece – zaczęła dziewczyna. – Towarzysza broni. Tata opiekował się nim, jakby tamten nie potrafił zatroszczyć się o siebie, coś było z nim nie tak, był... Myślę, że miał coś z głową. Jeździli razem na motocyklach. Spotkał się ze mną po mojej zmianie, powiedział, że powinnam z nim pojechać, że coś się stało z moją rodziną.

— Dlaczego nie pojechałaś swoim autem? – zapytała Moss. – Zostawiłaś je na parkingu.

— Powiedział mi, że stało się coś strasznego, że nie powinnam prowadzić, skoro właśnie się dowiedziałam. Byłam taka przerażona...

Trudności z oddychaniem. Shannon ujęła dłoń dziewczyny.

— Nie ma sprawy, możesz płakać, jeśli chcesz – powiedziała. – Odpocznij chwilę, wszystko w porządku.

— Czy to on zabił moją mamę? Czy moja rodzina nie żyje? To prawda? Dlaczego?

Moss trzymała ją za rękę.

— Przykro mi – powiedziała. – Nie wiem, dlaczego do tego doszło. Chcę poznać prawdę. – Pragnęła pocieszyć Marian, ale wiedziała, że w rzeczywistości dziewczyna nie otrząśnie się nigdy z tych śmierci. – Opowiedz mi o Fleesie. Dokąd cię zabrał?

— Nie chciał mi powiedzieć, co się stało. Stwierdził, że zabiera mnie do domu – wyjaśniła Marian. – Ale jechał w inną stronę, a kiedy zapytałam go, dokąd mnie wiezie, zatrzymał się i skrępował mi ręce w nadgarstkach. Wsadził na tył swojej półciężarówki.

— Związał cię tam?

— Skrępował mi dłonie sznurem – odparła Marian. – Byłam zakneblowana. Nie mogę... To jest... To nie ma sensu.

— Wierzę ci – powiedziała Shannon. – Muszę usłyszeć, co ci się przytrafiło.

— Ten człowiek z FBI, który był tutaj przed panią, on mi nie uwierzył.

Próbował przyłapać mnie na kłamstwie, zadając mnóstwo pytań, w kółko te same pytania, ale nie kłamię. Przysięgam pani. Przysięgam na Boga, że nie kłamię. Jestem tylko skołowana.

— Dokąd zawiózł cię Fleece, Marian?

— Było takie miejsce, w które zabierał mnie tata – ciągnęła dziewczyna. – Rodzinne wakacje, ale dawniej, kiedy siostra i brat byli bardzo mali, zabierał tylko mnie. Nazywał to naszym Vardoggerem. To chyba po prostu jakieś zmyślane słowo. Jak Nibylandia.

— Vardogger – powtórzyła Moss. – Gdzie znajduje się Vardogger?

— Nie wiem, byłam tylko dzieckiem. Byliśmy w lesie, ale było tam schronisko, w którym spotykał się z przyjaciółmi, czasami były też ich rodziny. Choiny, tak tata nazywał sosny. Płynęła tam rzeka. Lubił łowić ryby. Wodospad. Mnóstwo jaskiń, szczeliny, do których mogłam się wcisnąć i ukryć.

— Czy to było Blackwater Lodge? – zapytała Moss.

— Tak myślę, to możliwe – odparła Marian. – Jednak nie zabierał nas tam przez całe lata. Jeździliśmy tam wcześniej i uwielbiałam to, bo myślałam czasami, że lustro w schronisku ożyje. Niekiedy widziałam się w lesie nad rzeką i sądzę, że to była lustrzana dziewczynka. Moje odbicie podążające za mną. Wie pani, jak Piotruś Pan i jego cień. Widziałam lustrzaną dziewczynkę tylko kilka razy, jak stała po drugiej stronie rzeki. Tata powiedział mi, że nie jest realna, że to tylko moja zmyślona przyjaciółka, zwykły sen na jawie, bo nudzę się bez koleżanek.

— I tam zawiózł cię Fleece? – zapytała Moss. – Do tego schroniska?

— Nie do schroniska, ale to było to samo miejsce, tamte lasy – wyjaśniła Marian. – Nie wiem, jak długo jechaliśmy. Podróż mnie wytrzymała, poraniłam się. Wydawała się nieskończenie długa, ale kiedy się zatrzymaliśmy, a on otworzył tylne drzwi, to zobaczyłam, że nadal jest ciemno, wciąż daleko do świtu. Fleece wyciągnął mnie z samochodu i poprowadził głębiej w las. Powtarzał bez końca: „Przepraszam”. Mówił, że chciał, żebym była bezpieczna, ale jest już za późno i musi zrobić to, co mu kazali. Powiedział, że reszta mojej rodziny umrze w ciągu dnia, ale nie chciał, żebym zginęła, więc powinniśmy robić to, co mówią.

— Kto? – zapytała Moss.

— Nie wiem. Głosy? – odparła Marian. – Był przerażony. Widziałam, że okropnie się czegoś boi, a potem rzucił mnie nagle na ziemię i wtedy

poznałam, gdzie jestem. Zabrał mnie do Vardoggera.

— Skąd wiedziałaś? – spytała Shannon. – Był środek nocy, las...

— Bo stoi tam drzewo, które oznacza Vardoggera, stare i uschnięte, wygląda jak szkielet. Całe białe, bez liści. Drzewo Vardogger. I słyszałam rzekę, którą pamiętałam z dzieciństwa, zaraz za drzewem.

Drzewo Vardogger; Moss je znała. Kiedy zabłądziła w lesie, widziała powtarzające się drzewo, drzewo Fleece'a, drzewo z kości w lustrzanym pokoju. Ojciec Marian nazwał je Vardogger; Patrick Mursult znał to miejsce.

— Powiedziałałam mu: „Niech Chrystus zmiłuje się nad twoją duszą”, a on odparł, że pokaże mi koniec czasu – ciągnęła Marian. – Bałam się go i nie wiedziałam, o czym mówi. Powiedział, że sprawy zapętlily się wokół nas.

— Miejsce w pobliżu Red Run? – zapytała Moss. – Rzeka, polana otoczona sosnami.

— Poprowadził mnie obok drzewa Vardogger i weszliśmy na tę polanę, zobaczyliśmy przed sobą rzekę. Byliśmy w jakimś innym miejscu w lesie, rosły tam inne drzewa, inne drzewa Vardogger, mnóstwo, ciągnących się w jednej linii. Fleece włókł mnie obok nich, przeszliśmy nad wodą po zwalonym pniu, a atmosfera wokół nas zlodowaciała. To nie mogło być naprawdę, co? Na drugim brzegu stopy grzęzły nam w błocie, a niebo było pokarbowane jak podniebienie i ujrzeliśmy samych siebie odbitych w przestrzeni, jakbym widziała się w kalejdoskopie – wszędzie wokół bez końca ja. Nie mogłam na to dłużej patrzeć i zaczęłam się modlić, ale powiedział, że chce mi pokazać Boga, zadarł moją głowę do nieba i zdawało mi się, że nad rzeką pojawił się Jezus na krzyżu, ale krzyż był do góry nogami, usta Chrystusa były zakrwawione, och Boże, o mój Boże, ciało było pozbawione skóry...

Shannon chciała krzyczeć, ale przez wzgląd na Marian przeszła tylko przez pokój, żeby wziąć się w garść. Spojrzała w okno i dostrzegła w szybie swoje odbicie. Marian widziała Terminusa, widziała wiszących ludzi.

— Fleece powiedział, że musi mnie ponownie związać – odezwała się dziewczyna. – Zaprowadził mnie z powrotem do drzewa Vardogger i pchnął na ziemię. Przycisnął do pnia i skrępował mi za nim nadgarstki. Powiedział, że ktoś przyjdzie, żeby zabrać mnie dokądś indziej. Zapytałam go, dokąd mnie zabiorą, ale odparł, że nie wie, że nie wolno mu wiedzieć. Powiedział: „Jestem upośledzony, więc nie mam prawa wiedzieć”. A potem zostawił

mnie po prostu w środku lasu. Było bardzo cicho. Wszystko było milczeniem.

— Ile czasu spędziłaś przywiązana do drzewa? – zapytała Moss.

— Nie wiem – stwierdziła Marian. – Niezbyt dużo. Nawet nie godzinę. Kiedy wiedziałam, że Fleece zniknął, zaczęłam szarpać sznur i poczułam, że ustąpił nieco na nadgarstkach, jakby miał niewielki luz. Trwało to trochę, ale zdołałam uwolnić ręce. – Podniosła je, pokazała bandaż. – Poraniłam się do krwi – dodała.

— Ale byłaś wolna – powiedziała Shannon.

— Taa – przyznała dziewczyna. – Marzłam, włosy i ubranie miałam mokre, bo padało. Nie wiedziałam, gdzie jestem, ale pamiętałam schronisko, do którego zabierał mnie tata, wyobrażałam sobie, że jest blisko. Sądziłam, że je znajdę.

— Wiedziłaś, gdzie jesteś?

— Uważałam, że na przeciwległym brzegu rzeki od schroniska. Nie mogłam znaleźć drzewa, po którym nad nią przeszliśmy, ale wiedziałam, że mogę przebrnąć ją w bród albo przepłynąć, gdyby była za głęboka, więc weszłam do wody – powiedziała Marian. – Była lodowata, w rzece były bystrza. Woda sięgnęła mi do szyi, ale byłam w stanie iść. Straciłam grunt pod nogami i zniósł mnie prąd, ale dotarłam na przeciwległy brzeg i wypełzłam na ziemię. Nigdy w życiu nie było mi tak zimno. Przeszłam przez małą łąkę. W błocie nie czułam palców stóp, bo byłam bardzo zdrętwiała.

— Masz szczęście, że nie umarłaś – powiedziała Moss.

— Ledwo byłam w stanie iść, bo nie czułam stóp, ale wszystko wydawało się cały czas takie samo, jakbym zataczała wielkie koło. Potem pojęłam, że wróciłam w jakiś sposób do punktu wyjścia, nadal po niewłaściwej stronie rzeki. Dotarłam w rejon miększego błota, rozjeżdżonego przez koła ciężarówki, półciężarówki Fleece’a, pomyślałam. Widziałam, że koła buksowały. Pobiegłam z powrotem między drzewami i to wtedy ją ujrzałam.

— Kogo? – zapytała Shannon.

— Lustrzaną dziewczynę – odparła Marian. – Najpierw zauważyłam jej żółtą koszulę, taką jak moja, a potem zrozumiałam, że patrzę na kogoś przywiązanego do drzewa, tak jak ja wcześniej, do tego samego białego pnia. Podeszłam bliżej i ujrzałam jej zwisające mokre włosy. Okrążyłam pień, żeby

podejść do niej od przodu, nie przestraszyć jej, a kiedy mnie spostrzegła, powiedziała: „Pamiętam cię”, a ja odparłam: „Ja też cię pamiętam”.

— Byłyście dziećmi, kiedy widziałyście się ostatnim razem – zauważyła Moss.

— Chciałam jej pomóc uwolnić się z pęt, więc powiedziałam, żeby wyciągnęła nadgarstki, tak jak ja to uczyniłam, ale nie była w stanie tego zrobić. Próbowалаm jej pomóc, jednak ręce miała związane nie sznurem, tylko drutem. Dłonie i ramiona zakrwawione, naprawdę w bardzo kiepskim stanie. Starła się oswobodzić, ale nie mogła, a drut nie pękł. Był ciasny. Usiłowałam jej pomóc, ale ciągnąc, sprawiałam jej wielki ból. Nie wiedziałam, co począć. Więc zostałam z nią przez jakiś czas.

— Musiałas ją opuścić – stwierdziła Shannon.

— Po przebrnięciu rzeki byłam w gorszym stanie od niej – rzekła Marian. – Byłam potwornie zmarznięta. Zamieniałam się w sopel lodu. Byłam mokra, drżałam gwałtownie. Powiedziała mi, żebym sprowadziła pomoc. Stwierdziła, że nic jej nie będzie, że jej tata po nią przyjdzie, że będzie wiedział, gdzie jej szukać.

— Próbowalaś więc znaleźć pomoc.

— Nie pamiętam, co się stało po tym, gdy ją zostawiłam. Zdawało mi się, że umieram. Wspomnienia zniknęły. Obudziłam się po prostu tutaj, w szpitalu. Ona może wciąż tam być. Jest tam nadal.

— Znajdziemy ją – rzekła Moss, myśląc: Jedna Marian tutaj, druga w ciężarówce Rydera. – Marian, dlaczego ktoś chciałby napaść na twoją rodzinę? – zapytała. – Przychodzi ci na myśl ktoś, kto mógłby to zrobić, albo z jakiego powodu? Ktoś zły na twojego ojca?

— To chore – odparła dziewczyna. – Nie mam pojęcia, kto mógłby uczynić coś podobnego.

— Dawni kumple z marynarki? Ktoś taki? – zapytała Shannon, wiedząc już, kto mógł zabić ojca dziewczyny, Hyldekrugger, Cobb, ale pragnąc usłyszeć te nazwiska od Marian. Ofiary brutalnych zbrodni znają często sprawców oraz ich motywy. – Twój tata pozostawał z kimś w kontakcie?

— Musi pani zrozumieć, że mój tata był inny – powiedziała Marian. – Nawiedzały go myśli. Mówił, że został zwerbowany do pewnego programu marynarki. Mama nie chciała, żeby rozmawiał z nami o takich rzeczach, ale czasami nie potrafił się powstrzymać, jakby to wszystko po prostu z niego wypływało. Powiedział... powiedział mamie, że marynarka zwerbowała go

do zbudowania statku z paznokci. Wiem, to brzmi wariacko, jakbym nie pamiętała tego właściwie, ale tak było. Powiedział, że statek pozeźluje, wioząc ciała zmarłych.

— Co to znaczy, Marian?

— Nie wiem. Tata spędzał mnóstwo czasu poza domem – odparła dziewczyna. – Ze swoim przyjacielem Fleece'em. Pili razem. I ze swoją prawniczką, często się z nią spotykał.

— Kim ona była? Po co mu była potrzebna? – zapytała Shannon.

— Ja tylko słyszałam kilka razy rodziców, którzy rozmawiali o tym, gdy leżałam już w łóżku – powiedziała dziewczyna. – Przygotowywał jakieś umowy. Potrzebował pomocy prawnika. Mama zapytała, czy ta adwokatka będzie w stanie pomóc nam w przeprowadzce, ale tata nie chciał wciągać jej w to wszystko.

— Przeprowadzaliście się? – spytała Moss. – Wiesz, dlaczego?

— Chciałam skończyć ogólniak, żeby zdawać maturę z przyjaciółmi, ale mama powiedziała, że wyjedziemy, gdy tylko tata będzie gotowy. Mama nie wiedziała, kiedy to będzie, może po mojej maturze, a może w przyszłym tygodniu. Nie powiedzieli mi nawet, dokąd się przeprowadzamy, ale słyszałam kilka razy, że rozmawiali o Arizonie.

— Przypomnij sobie wszystkich, z którymi twój tata spędzał czas – poprosiła Moss. – Czy jest ktoś, o kim powinnam wiedzieć? Wspomniałaś waszą adwokatkę. Uważasz, że prawniczka twojego ojca jest w to jakoś zamieszana?

Marian zmarszczyła czoło.

— Nie sędzę – odparła. – Nie widzę powodu. Chociaż było coś... – urwała.

— Powiedz mi – nalegała Shannon. – Nieważne, czy masz rację, czy nie, chcę, żebyś wprowadziła mnie we wszystko, żebym to pojęła.

— Tata zdradzał mamę – powiedziała Marian. – Nie sędzę, żeby o tym wiedziała, ale ja to odkryłam, zauważyłam, że coś się dzieje. Raz słyszałam go, jak rozmawiał przez telefon.

Nicole.

— Wiesz, z kim miał romans? – zapytała, ale dziewczyna pokręciła głową. – Słyszałaś jego rozmowę?

— Korzystał z pagera, zawsze rozmawiał na osobności, a ja wiedziałam, co to znaczy, miałam podejrzenia – ciągnęła Marian. – Mama musiała nie

zwracać na to uwagi, pozwoliła się okłamywać. Ale był taki poranek, zaledwie kilka tygodni temu, usłyszałam, że tata kłóci się z kimś przez telefon. Ktoś mu groził. Słyszałam, że powiedział: „Nie mów mu”, a ja pomyślałam, że chodzi o męża czy chłopaka tej kobiety. „Chcę się z tobą spotkać. Nie mów mu jeszcze”, po czym się rozłączył. Kiedy wyszedł z pokoju, wybrałam numer z pamięci telefonu i zgłosiła się kobieta. Odłożyłam po prostu słuchawkę.

— Komu, twoim zdaniem, miała coś powiedzieć ta kobieta? Komuś, kogo znał twój tata?

— Tak uważam – odparła Marian. – Taa, brzmiało to, jakby go znał.

— Jeśli podam nazwisko, powiesz, czy je poznajesz?

— Spróbuję.

— Charles Cobb? – rzuciła Shannon. – Jared Bietak?

— Nie wiem – odpowiedziała dziewczyna. – Nie sądzę.

— Karl Hyldekrugger? – ciągnęła Moss.

— Tak, tata wspominał o nim – przyznała Marian, oczy miała nawiedzone, jakby między nimi dwiema przeszedł duch. – Tata bał się tego człowieka. Nazywał go Diabłem. Mówił czasami, że Diabeł może pożreć ludzi samym wzrokiem.

Wnętrza szpitalne to niepokojące przestrzenie: puste korytarze, zakręty, kolejne hole, jarzeniowy blask na lśniących posadzkach, niezliczone drzwi. Co by się stało, gdybyśmy nie znaleźli ciężarówki Rydera? – zastanowiła się Moss. Jared Bietak i Charles Cobb pozbyliby się ciała Marian. Gdzie? W masowym grobie, pod kopcem przy domu w Buckhannon. A ta Marian? Wędrowcy znaleźliby ją tam, gdzie umarła w lesie. Shannon wyobraziła sobie życie tej młodej kobiety, ogromny smutek i bezsenność, oglądanie telewizji do późna w noc, cykliczne wieści o przyjaciołach oplakujących jej śmierć, mimo że nadal żyła – Marian będzie sama dzisiejszej nocy, będzie samotna każdej nocy do końca życia.

— Co jest grane, Shannon? – zapytał Brock, kiedy Moss wróciła do sali konferencyjnej szpitala.

Zamknęła za sobą drzwi, naląła sobie do kubka kawy z plastikowego dzbanka. Śmietanka w proszku, cukier, zamieszane czerwoną słomką. Fleece uprowadził Marian, zawiózł ją do lasu. Pokazał dziewczynie koniec czasu, przywiązał do drzewa Vardogger. Echo, jedna Marian związana drutem, druga sznurem. Jedna znaleziona martwa w ciężarówce Rydera, druga

odnaleziona żywa.

— To przerażające, co oni potrafią... Widzisz w dzienniku telewizyjnym tę owieczkę Dolly i myślisz, jakie to jest przerażające, czasy, w których żyjemy – ciągnął Brock. – Niewiarygodne rzeczy. Ta owca powinna być niemożliwością, ale wszyscy po prostu przyjmują to do wiadomości. Powątpiewamy w cuda, ale kiedy się zdarzają, traktujemy je, jakby były codziennością. Clinton podpisał ten zakaz ledwie w zeszłym tygodniu, widziałem to w wiadomościach. Prezydent zakazał klonowania ludzi, ale teraz rozumiem, co się tutaj dzieje...

— Nie o to chodzi – zaprzeczyła Moss. – Dajmy się jej wyspać tej nocy, jeśli będzie w stanie spać. Ale pilnujcie pokoju. Sądzę, że jeśli ktokolwiek się dowie, że ona jest tutaj, jej życie będzie nadal zagrożone. Nikt nie może rozpowiadać, Brock, tego, co widzieliśmy. Uważam, że powinniśmy nalegać na objęcie jej programem ochrony świadków, jeśli możemy. A przynajmniej powinniśmy ją stąd przenieść, i to szybko.

Sama w półmroku zamkniętej kafeterii, Shannon zwlekała po wyjściu Brocka, piła kawę i jadła waniliowe oreo z automatu, aż doktor Schroeder poinformowała ją w końcu, że Marian zgodziła się przyjąć środki uspokajające i usnęła. Trzech agentów specjalnych miało się zmieniać w nocy, strzegąc pokoju dziewczyny. Przed wyjściem Brock powiedział Moss, że poruszy ze swoim przełożonym sprawę programu ochrony świadków, uzgodni to z NCIS i policją federalną. Zatelefonuje do wujostwa Marian, wymyśli, w jaki sposób powie im, że przeżyło jedno z dzieci, które pochowali.

Moss zarysowywała niebieskim długopisem serwetki, najpierw kreski i cienie, aż jej myśli się rozjaśniły. *Miejsce w lesie, Vardogger*, zanotowała, a potem napisała to słowo ponownie, dodając: *Jedna związana drutem, druga sznurem*. Dziesięcioro agentów mogło polecieć do różnych NTP-ów, a potem zrelacjonować rozmaite szczegóły z każdej linii czasowej. Egzystencja była kwestią przypadku, prawdopodobieństwa, gdy nieskończona liczba możliwych przyszłości stawała się jedną obserwowaną teraźniejszością. Życie lub śmierć zależały często od drobiazgów; w jednej rzeczywistości nadgarstki Marian były związane drutem, ale w innej sznurem. *Jak stała się echem?*, napisała Shannon, *Lustrzana dziewczyna*, po czym pogрузzyła się w myślach.

Podarła notatki i przed opuszczeniem szpitala zatelefonowała do



O’Connora; było po północy, ale nie spał. Czytał raporty nadchodzące z Buckhannon i porozumiał się już ze swoim odpowiednikiem z FBI, ale wiadomość o echu Marian zszokowała go i pod koniec rozmowy obiecał Moss, że przyjedzie jutro do Clarksburga wraz z innym agentem.

— Co teraz zamierzasz? – zapytał.

— Musimy znaleźć Vardoggera.

Okolo pierwszej w nocy Shannon opuściła Preston Memorial’s; czekała ją godzinna jazda do domu. Jechała wijącymi się wiejskimi drogami osłoniętymi przez drzewa, ciemnymi, choć oko wykol, jednak niekiedy perspektywa z przodu się przejaśniała i wtedy dostrzegała księżyc, ogniste punkciki gwiazd i srebrną kometa Hale’a-Boppa, jej smuzący się ogon jak powiewające kobiece loki.

Pamiętała okoliczne sosny, baldachim dławiący światło, ale to było z Nestorem o całe lata w przyszłości, kiedy nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć miejsce, w którym znaleziono szczątki Marian. Tego poranka Canaan Mountain nie przypominała jej jednak zbytnio tego miejsca, podejście prowadziło przez spokojne polany pokryte darnią, między świerkami i balsamicznymi sosnami, choinami skąpanymi w maślanym blasku słońca. Pracownicy parku oznaczyli drogę dojazdową pomarańczową wstęgą. Dotarła na polanę, gdzie teren stawał się poziomy, i zobaczyła subaru O’Connora schowane pod zwisającymi gałęziami. Stamtąd tylko krótka wędrówka. Ścieżka była bardziej dostępna, niż ją pamiętała po dwudziestu latach zarastania, gdy Nestor odsuwał przed nią gałęzie, przygniatał chwasty na jej drodze. Dużo łatwiej było jej teraz znaleźć oparcie dla stóp, iść wąskim szlakiem. Tym razem miała buty turystyczne, co ułatwiało wędrówkę, i dotarła do koryta wyschniętego strumyka, gdzie zaledwie wczoraj rano Brock znalazł Marian.

— Tutaj, Shannon.

Dwóch ludzi, nieco w oddali. O’Connor przyjechał w nocy z Dystryktu Kolumbii, żeby spotkać się osobiście z Marian i zobaczyć to miejsce w lesie, Vardogger. Człowiek aktywny, tego ranka z laską i w nakładanych na buty kaloszach sięgających mu do kolan wyglądał jak postać dżentelmena na polowaniu z edwardiańskiego malowidła. Moss była pewna, że jego towarzysza rozpoznałaby po samym wzroście i wielkiej posturze, ale poza

tym mężczyzna ani trochę nie przypominał mędrca, którego kiedyś spotkała. Njoku miał głowę ogoloną na łyso, a broda była precyzyjnym pasmem czarnego zarostu. Z uszu zwisały mu złote obręcze. Uśmiechnął się, gdy O'Connor go przedstawił, okazał miłe zdziwienie, kiedy Shannon powiedziała:

— Spotkaliśmy się już kiedyś, doktorze Njoku.

— W związku z rozwojem sytuacji z Marian poprosiłem Njoku, żeby przyleciał nocnym samolotem z Bostonu – wyjaśnił O'Connor. – Jest obeznany z echami, a w pracy w MIT skupia się na przestrzeniach fazowych.

— Zapadanie się przestrzeni Everetta i węzły czasoprzestrzeni Brandt-Lomonaco – wyjaśnił Njoku. – Miło cię poznać, Shannon. Czy też powinienem powiedzieć, że to przyjemność poznać cię ponownie.

Moss była zachwycona widokiem tego człowieka odartego z lat, ale pamiętała, że istniała kobieta o palcach wydobywających cudowne dźwięki z saksofonu. Pamiętała, kiedy Njoku ma poznać tę kobietę.

— Powinieneś być teraz w Bostonie, Wally – powiedziała. – Jest ktoś, z kim powinieneś się spotkać.

Po jego twarzy przemknął wyraz wątpliwości, cień spadającego liścia, ale zaraz się uśmiechnął.

— Istnieje wiele dróg – stwierdził.

O'Connor brnął przed siebie, wyciągając nogi i opierając się na lasce. Moss szła wolniej wraz z Njoku. „Widziałaś kiedykolwiek «spadającą gwiazdę», gdy rozkwita?” Łatwo wyobrazić sobie Njoku ociągającego się w ogródku sąsiada i filozofującego o pięknie kwiatów. Tutaj, w lesie, często przystawał, dając Moss szansę, żeby go dogoniła, a w tym czasie dotykał palcami płatka kwiatu, przykuczał nisko, żeby przyjrzeć się owadowi lub uczynić uwagę na temat kądziółków przednych pająka.

— Jest stożek – odezwał się O'Connor na przedzie.

Miejsce było oznaczone przez pomarańczową farbę w sprayu, krzyż na ziemi, który spłynąłby z pierwszym deszczem. Wieżyczka była taka, jak Shannon sobie wyobrażała, chociaż bardziej starannie wzniesiona; wysoka na około pół metra piramida z płaskich kamieni rzecznych. Stała na zwalonej kłodzie porośniętej okrągłymi grzybami i mchem.

— Jak dotąd FBI znalazło cztery stożki – oznajmił O'Connor. – Dwa znajdują się na przeciwległym brzegu rzeki.

— Sądziłam, że będą oznaczały położenie ciała Marian – powiedziała

Shannon. – Że będą wskazywały drogę do miejsca jej pogrzebania.

— Piramidki wyznaczają lokalizację drzewa Vardogger – wyjaśnił O'Connor.

— Spójrz na to – odezwał się Njoku. Otworzył kieszonkowy notes i pokazał Moss kilka stron pokrytych atramentowymi kropkami, które połączył liniami w rozmaite kształty, wieloramienne gwiazdy. – Stożki są równo oddalone – stwierdził. – Jeśli wyobrazisz sobie każdy jako wierzchołek...

— W środku gwiazdy znaleźliśmy spalone drzewo – poinformował O'Connor.

— Chcę je zobaczyć – rzekła Shannon.

Zarośla borówek, rzepy i osty, które przyłgnęły do jej skarpetki. Łąka usiana głazami o płaskich powierzchniach. Nurt rzeki, gdy zbliżyli się do Vardoggera, pośpieszny szmer, jakby las szeptał, dokąd powinna iść.

— Kiedy O'Connor zatelefonował w sprawie Marian, pomyślałem, że Vardogger może być czymś, co określamy mianem „przestrzeni fazowej” – powiedział Njoku. – Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej nazywa je węzłami czasoprzestrzeni Brandt-Lomonaco.

— Słyszałam już ten termin – odparła Shannon. – Rozmawialiśmy o tym w trakcie szkolenia. Węzły B-L, pozostałości piany kwantowej.

— Trafiłaś w sedno. Resztki, niemal jak zanieczyszczenia. Napęd B-L wpływa na czasoprzestrzeń – wyjaśnił Njoku. – Węzły to punkty, w których horyzont nieskończenie gęstej osobliwości przełamuje efekty grawitacji kwantowej, pozwalając na superpozycję. Równoległe przestrzenie Everetta...

— Hola, nie nadążam – przerwała mu Moss.

— Echa – poprawił się. – Jesteśmy na miejscu, oto drzewo, które znaleźliśmy.

Powłoka sosny, idealnie biała kolumna popiołu otoczona przez bujne, wiecznie zielone iglaki.

— Tak – powiedziała Shannon, rozpoznając spalone drzewo. – Jesteśmy na miejscu.

Zagubiona w Terminusie czuła się skonfundowana przez to drzewo, gdy je wtedy widziała. Zdawało się powtarzać rekurencyjnie, jak lustrzane odbicie lustra. Od tamtej pory szukała go latami, ale nie potrafiła znaleźć i z czasem zaczęła myśleć o nim jak o igraszce pamięci, halucynacji; teraz jego widok stanowił ulgę, był potwierdzeniem. Nie było jednak tutaj niczego

straszego, nie w obecności Njoku i O'Connora, nie w południowym słońcu, w którym kurtka okazywała się niemal zbędna.

Nic przerażającego, ale i nic naturalnego. Vardogger był spalony, ale nie doszczętnie. Moss widziała wcześniej spalone lasy, skutki pożarów, dywany popiołu, zwęglone pnie pozbawione gałęzi i pokryte sadzą, jak drewnianka zużytych zapalek. Vardogger wydawał się raczej zakonserwowany przez ogień niż pochłonięty przez niego. Pień pokrywał popiół spękanej kory tak jasnoszarej, że wydawała się lśniąco biała, ale kiedy Shannon go dotknęła, wydał się jej drewnem bardziej skamieniałym niż wypalonym. Dotknęła gałęzi i przestraszyła się, że są gładkie i kruche jak szkło.

Była teraz bliżej nurtu rzeki.

— Zaraz wrócę – powiedziała, zostawiając Njoku i O'Connora przy Vardoggerze. Ruszyła pośpiesznie w kierunku szumu wody, wyszła spomiędzy drzew i wyłoniła się na wprost sterczących głazów. Widoczny przed nią odcinek Red Run był burzliwymi bystrzami, krętymi kaskadami, spienioną wodą dudniącą w szczelinach między wyszczerbionymi głazami. Tam, gdzie rzeka płynęła spokojniej, miała barwę herbaty, zabarwiona taniną pochodzącą z rosnących nad nią choin. Moss poznała przyszłość tego miejsca. Wtedy panowała zima Terminusa i zamiast nawłoci, wierzb i kwitnących krzewów kalamii szerokolistnej rosnących wzdłuż brzegów był lód, który zdawał się nawlekać ją w powietrzu na pal. To tutaj została ukrzyżowana. Tutaj znajdowało się jej odbicie, echo. Shannon obejrzała się na linię drzew, spodziewając się częściowo widoku kobiety w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym błagającej ją ale nie zobaczyła nikogo.

— Byłam tutaj – powiedziała, wróciwszy do Njoku i O'Connora. – W tym miejscu uległam wypadkowi – dodała. – Jestem tego pewna. Widziałam wersję siebie. Widziałam swoje echo.

— Przestrzenie fazowe są nieprzewidywalne, niestabilne. Niekiedy obojętne, ale czasami straszne jak wszyscy diabli – stwierdził Njoku. – Odbicia, echa, zamknięte krzywe czasopodobne.

— Wyjaśnienia Wally'ego zakładają niekiedy znajomość mechaniki kwantowej na poziomie doktoratu – stwierdził O'Connor. – Może zdoła to dla nas uprościć.

— Rozumiem zjawisko echa, ale całe to miejsce powinno się powtórzyć – rzekła Moss, świadoma, że nie wie dokładnie, jak opisać swoje przeżycie

w tej okolicy. To było to samo białe drzewo, ten sam obszar sosnowego lasu, ta sama rzeka, jaką pamiętała, była tego pewna, ale coś było inaczej, jakby patrzyła na dekoracje zapamiętanego terenu, a nie na ten sam krajobraz. – Zdawało mi się, że widzę setki tych drzew, tysiące, w każdym kierunku, gdzie spojrzałam. Jakby świat oddalił się ode mnie...

Przerwało jej coś, co z początku wydało się zapowiedzią ataku bądź udaru, jakaś gwałtowna aberracja mentalna lub uszkodzenie wzroku, gdy las wokół nich się zmienił. Sosny rosły gęściej, zarośla ściślej. Njoku przedarł się między gałęziami, Shannon i O'Connor za nim, aż wyszli na polanę nad Red Run, ale wyglądało na to, że są po niewłaściwej stronie rzeki. Białe drzewo Vardogger znajdowało się na przeciwległym brzegu zamiast za ich plecami.

— Tam – powiedział Njoku. – W jakiś sposób zostaliśmy zawróceni. Musimy przejść przez rzekę.

Moss go spowalniała. Powędrowali z powrotem tam, skąd przyszli, i minęli białe drzewo. Usiłowali znaleźć koryto wyschniętego strumienia, które zaprowadziłoby ich do samochodów, ale zabłądzili i przeszli ponownie obok białego pnia. Njoku chichotał z frustracji. Przedarli się przez sosny i wrócili do białego drzewa.

Po chwili wrażenie minęło. Znajdowali się znowu w rozpoznawalnym lesie, w sąsiedztwie jednego białego pnia, jakby rosnące gęściej sosny i powielające się drzewa były jedynie złudzeniem optycznym.

Śmiech Njoku był niczym obwieszczenie huczącego dzwonu.

— Jak mówiłem, przerażające jak wszyscy diabli.

— Spadajmy stąd – odezwał się O'Connor, który z powodu zawrotu głowy lub nie ufając podłożu, opierał się na lasce. – To nie miejsce dla nas.

Bliższa tego, co pamiętała ze swoich przeżyć w tym miejscu, dezorientacji, repetycji, Shannon pragnęła się stamtąd oddalić i wysforowała się naprzód, niemal biegnąc, z sercem walącym ze strachu. Njoku i O'Connor dogonili ją dopiero wtedy, gdy dotarła do kamiennego stożka na miękkim pniu, a Vardoggera nie było już widać.

— To przypominało moment odpalenia napędu B-L, gdy się leci do NTP – odezwała się Moss. – Ta chwila, w której ci się wydaje, że czujesz jednocześnie wszystkie możliwości.

— Wally uważa, że to miejsce stworzył napęd B-L – powiedział O'Connor. Pocił się, był zaczerwieniony.

— Sądzę, że napęd B-L mógłby wykreować ten nadzwyczajny obszar – sprostował Njoku. – Zawilą kwestią dotyczącą węzłów Brandt-Lomonaco jest to, że istnieją poza czasem. Niemal paradoks! Jeśli założymy, że napęd B-L stworzył tę przestrzeń fazową, tego „Vardoggera”, to B-L mógł odpalić w dowolnej chwili, wliczając w to dowolny moment przyszłości lub przeszłości. Myślmy, że czas jest ustalony, ale jest zmienny, nieliniowy. Popatrz tylko – dodał – widzisz spalone drzewo pokryte popiołem.

Shannon skinęła głową.

— A teraz wyobraź sobie, że do pożaru lasu, w którym spłonęło, nie dojdzie przez następnych trzysta albo trzy tysiące lat, rozumiesz? Sztuczka kwantowa, takie rzeczy mogą się zdarzyć w przestrzeni fazowej. Czas jest jak woda w tej rzece, płynie niekiedy pod górę. Ta przestrzeń fazowa może być wynikiem działania, które w istocie jeszcze nie zaszło.

Moss pojęła, że Nicole mogła opisywać to miejsce, choć nie wprost. Opowiadała o duchach w lesie, które poprzedzały swoje ciała. Marian, pomyślała, i druga Marian.

— Słyszę, co mówisz, ale nie rozumiem, czym jest to miejsce – powiedziała.

— Nie: czym jest, ale czym mogłoby być – sprostował Njoku.

— Dobrze się czujesz? – zapytała Moss O’Connora, który siedział na pniu, wycierając twarz chusteczką.

— Dobrze. Tylko to było dezorientujące – odparł. – Nic mi nie będzie.

— O czas Plancka od „teraz” istnieje wieloświat – powiedział Njoku. – Grawitacja kwantowa to zamek błyskawiczny, który spina wszystkie te możliwości w jedną jedyną prawdę: terra firma. Przestrzeń fazowa jest jak moment, w którym zamek nieznacznie się zacina.

— Jaka duża jest taka przestrzeń twoim zdaniem? – zapytała Shannon. – Tylko drzewo? Czy też cały las?

— Nie wiem! To cudowne, ale nie domyślam się nawet rozmiarów – odparł Njoku. – Większość węzłów B-L to jedynie hipotetyczne kształty, bardziej problemy matematyczne niż geolokacje, które można zmierzyć. Na Ziemi zaobserwowano bardzo niewiele węzłów B-L, a ten jest ogromnie, niewiarygodnie wyjątkowy.

— Zatem te zjawiska są bardzo rzadkie – stwierdziła Moss.

— Rzadkie na Ziemi, ale nasze miejsca startowe w Black Vale są nimi usiane. To jeden z powodów, dla których DMK przeprowadza starty

w kosmosie – wtrącił O'Connor.

— A jaki jest inny powód? – zapytała Moss.

Njoku się roześmiał.

— Och! Cóż, widzisz, wcześniej, na początku lat osiemdziesiątych, Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej opublikowało raport, w którym udowodniono, że napęd B-L może zapoczątkować powstanie masywnej czarnej dziury. Teoretycznie w każdym razie. Nasze statki żeglują przez czarne dziury w pianie kwantowej, ale gdyby coś poszło nie tak, to, mówiąc szczerze, baza księżycowa nie byłaby wystarczająco daleko.

— Żartujesz – powiedziała Moss.

Njoku wzruszył ramionami, uśmiechając się.

— Kwestie matematyczne – stwierdził.

— Staramy się nie wspominać o tym w naszych dorocznych sprawozdaniach dla Kongresu – powiedział O'Connor. – Doszedłem do siebie, możemy iść dalej.

— Czarne dziury, przestrzenie fazowe – rzekła Shannon, chwytając O'Connora za rękę i pomagając mu wstać. – Gdzie są inne?

— Jedna w Los Alamos, trzy na Pacyfiku, wszystkie w miejscach pierwszych testów napędu B-L – wyjaśnił Njoku. – Większość z nich wpływa jedynie na cząsteczki. Jednak ta przestrzeń fazowa na Pacyfiku jest interesująca.

— Podobna do tej?

— Ani trochę – stwierdził Njoku. – Rozmiar tutejszej... Byliśmy wewnątrz niej. Węzeł przestrzenno-czasowy na Pacyfiku jest uważany za bardzo duży, a ma średnicę jakiegoś metra. W żadnym wypadku nie jest taki jak Vardogger, ale wystarczająco duży, żeby stworzyć echo przepływających przez niego ryb.

— Powielią ryby? – zapytała.

— Ostroboki pacyficzne – sprecyzował Njoku. – Łapiesz ostroboka, a on i tak odpływa.

— Ten, który odpłynął, będzie zawsze większy od złapanego – wtrącił O'Connor.

— Obserwujemy pacyficzną przestrzeń fazową tworzącą echa ryb, ale to jest także metryka Gödla, to znaczy zamknięta krzywa czasopodobna – powiedział Njoku. – To bardzo dziwny rejon Pacyfiku.

— Wspominałeś o tym wcześniej. Co to jest? – zapytała Moss.

— Czterowymiarowa rozmaitość lorentzowska to... Cóż, posłuchajcie, jeśli obserwować tę przestrzeń fazową odpowiednio długo, to w istocie uchwyci się moment, w którym wszystkie oryginalne ryby w układzie „resetują się” do pozycji wyjściowych z początku cyklu. Zamknięte krzywe czasopodobne to coś najbliższego podróży w przeszłość.

— Ryby się powielają? – zapytała. – Chodzi ci o to, że trwają w pętli?

— Tworzenie pętli to dobra analogia – przyznał Njoku. – Istnieją różne rodzaje zamkniętych krzywych czasopodobnych, sposobów, w jakie informacja krąży w tunelach czasoprzestrzennych, przemieszcza się w czasie w przód, ale także wstecz, docierając do momentu startu. Zanurzyłem dłoń w wodzie, a kiedy ta się zapętlila, miałem wrażenie, że ryba znajdowała się we wnętrzu mojej dłoni, póki nie zatrzepotała i odpłynęła, wijąc się. To doznanie było bardzo dziwne, wstrętne. Mogłaś zarzucić wędkę i wyławiać ciągle tę samą rybę.

— Albo zerwać owoc i obserwować, jak momentalnie odrasta – dodała Shannon, myśląc o Nicole, która paliła parlamenta i opisywała coś podobnego do metryki Gödla, gdy wspominała kraj swojego dzieciństwa. Kiedy Nicole była dzieckiem? Moss się zastanowiła. Kiedy cuda na podobieństwo metryk Gödla były możliwe do zrealizowania? Powszechne w sadach Kenii, wykorzystywane w rolnictwie? Nicole jako dziecko nie była nigdy głodna, pola nigdy nie leżały odłogiem.

— Marynarka będzie chciała przejąć to miejsce. Muszę poczynić ustalenia – odezwał się O’Connor. – Będą musieli to ogrodzić, zamknąć dostęp. Cały ten obszar. Chodźmy.

Kamienie na dnie wyschniętego potoku były gładkie, wypolerowane przez płynącą niegdyś wodę; w drodze powrotnej, idąc za Njoku i O’Connorem, Shannon przechodziła z kamienia na kamień. Łatwo wydobyć gładkie otoczaki, żeby wznieść z nich stożki, pomyślała; są wszędzie. Kto oznaczył to miejsce? FBI zauważyło tutaj kierowcę czarnej furgonetki, Richarda Harriera, podążyło za nim do Buckhannon. Ale on nie oznaczyłby tego terenu, uznała. Musieli to zrobić ocalańcy z *Wagi*. To miejsce stworzył napęd B-L. Zerknęła w prześwity między drzewami, zastanawiając się, czy dostrzeże tam statek. Nic prócz drzew, a w oddali kolejne.

— Jak się nazywała? – zapytał Njoku, kiedy dotarli do samochodów.

— Kto?

— Powiedziałaś, że w Bostonie jest ktoś, kogo powinienem poznać.



— Jayla – odparła. – Jayla, ale nie znam jej nazwiska. Gra na saksofonie.

Moss czekała w swojej półciężarówce, gdy O'Connor manewrował subaru, wyjeżdżając z polany, i migał światłami stopu, kiedy staczał się wolniutko ze stromizny. Martwiła się o niego; był blady, gdy się zegnali. O'Connor pojedzie po południu z powrotem do Dystryktu Kolumbii, kilkugodzinna jazda. Niebawem marynarka przejmie ten teren, pierwsza grupa zjawi się przed zapadnięciem nocy, jeśli nie wcześniej. Njoku odleci z Pittsburgha, ale wróci za kilka dni w towarzystwie fizyków z Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej, żeby badać Vardoggera. Nadał czuła się dezorientowana; myślenie o tym, w jaki sposób las zdawał się dzielić i powielać, było jak wspomnienie tiku oka. Kawa w termosie była ciepła. Spokojnie tutaj, pomyślała, chociaż czuła się jak liść schwyty w wir. Ten obszar przyciągnął ją w dalekiej przyszłości, kiedy doświadczyła ukrzyżowania, i została zwabiona w to miejsce także w niedawnej przeszłości, gdy rozpoczęła dochodzenie w sprawie zabicia Mursultów, które teraz zaprowadziło ją tutaj. Liść schwyty w wir wodny, koło w kole.

Siedziała w Wendy's przy West Pike w Clarksburgu i gryzmoła na serwetkach: *Wszystko się zmieniło, ale nic nie uległo zmianie*, kurczak na ostro, bez majonezu, papierowa mata stołowa, frytki maczane w papierowych kubeczkach z ketchupem, *Anatomia mężczyzn i kobiet rozpostartych na niebie*. Piła pepsi, stukot kostek lodu w kubku z woskowanej tektury, *Deszcz pyłku padający w przeciwną stronę* i jeszcze *Dziwna symetria: zwłoki na niebie i wisielcy, zapylenie kwiatów i uciekający ludzie*. Przez całe popołudnie zbierały się chmury, nadciągał chłodny front. Za szybą mżył drobny deszczyk. Shannon wyszła na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, skuliła się pod okapem Wendy's. Idealna chwila na papierosa, późna godzina, samotność, coś dla uspokojenia nerwów, las z drzwiami prowadzącymi do innych lasów. Niemal czuła smak tytoniu, zastanawiając się, gdzie w okolicy mogłaby kupić paczkę fajek albo zdobyć choćby jednego szluga, wyprosić od przypadkowego przechodnia. Zadzwoiła jej komórka. Brock.

— Przyszła identyfikacja jednego z ciał z Buckhannon, które wyjęliśmy z ciężarówki wraz ze zwłokami Marian – poinformował ją. – Powiedziałem lekarzom, żeby zachowali to dla siebie. Uznałem, że powinienem dać ci znać,

zanim posuniemy się dalej. – Odchrząknął. Słyszała, że zмага się z tym. – Pozytywna identyfikacja – odezwał się znowu. – Żadnej pomyłki. Ryan Wrigley Torgersen.

— Podejrzany o zamach bombowy w ośrodku SISK – stwierdziła.

— Jest jak... Torgersen jest jak Marian – dodał Brock. – Jest ich po dwoje, każdego z nich. Są klonami albo zdublowali się jakoś.

— Skupcie się na Torgersenie. Obserwujecie go?

— Rozmawiałem właśnie z Rashondą, żeby się dowiedzieć, kiedy ostatnio widziano go w pracy, i powiedziała mi, że cały dzień siedział za biurkiem. Shannon, ten facet nie może być w pracy i leżeć w pomieszczeniu sekcyjnym, on nie może po prostu... Nie rozumiem, co się dzieje. Nie rozumiem Marian...

— Gdzie on jest teraz? – przerwała mu Moss.

— Rashonda zadzwoniła pod jakimś pretekstem do domu Torgersenów i rozmawiała z jego żoną. Jest tam teraz, w domu.

— Pogadajmy z nim – zaproponowała Moss. – Jestem właśnie w Clarksburgu, w pobliżu ośrodka. Mogę spotkać się z tobą przed domem Torgersenów. Jaki to adres?

Do Ryana Torgersena należał jeden z nowych domów w północnej części Clarksburga, na osiedlu wzniesionym w okresie małego boomu będącego następstwem powstania ośrodka SISK, w skupisku identycznych budynków z prefabrykatów, które jej matka nazwałaby McWillami. Moss trafiła na miejsce, jadąc zaprojektowanymi uliczkami osiedla, drogami będącymi kopiami jedna drugiej, powtarzającymi się, wykreślonymi jednocześnie, ale dziwnie niezrozumiałymi w swoim rozplanowaniu, pozbawionymi wylotu i zakończonymi pętlami. Zapadła noc, w oknach większości domów jaśniały szczeliny między framugami a zasłonami. Brock czekał przed sąsiednim domem, siedząc w swoim nowym srebrnym sedanie. Ta powtórka przyprawiła Moss o dreszcz, o gęsią skórkę. Zaparkowała za nim, zajęła miejsce pasażera w jego aucie. Chciała mu powiedzieć, że kiedy siedzieli tak ostatnim razem, zamordował dopiero co dwoje agentów federalnych. Chciała mu powiedzieć, co stracił w tej dalekiej przyszłości i co już ocalił, znajdując tutaj Torgersena.

Zapach lukrecji, ściszone muzyka klasyczna, twarz Brocka zroszona

potem.

— Jak chcesz to rozegrać? – odezwał się. – Zapytać go o zwłoki, które znaleźliśmy?

— Nie – odparła Moss. – Zapytać o jego życie, karierę. Może nawet nie wiedzieć o tamtych trupach. Prawdę mówiąc, założę się, że nie wie. Musimy trochę powęszyć. Nie chcę tego na niego zwalić.

— Ashleigh Bietak twierdzi, że nie ma pojęcia, co się działo w jej stodole, utrzymuje, że nie wiedziała, czym zajmuje się jej syn.

— Skłoniliście ją do mówienia? – zapytała Shannon. – A co z tym facetem, z którym była, z Harrierem?

— Nie powiedział nam prawie nic nowego – odparł Brock. – A Ashleigh Bietak dopiero co straciła syna. Kiedy poinformowaliśmy ją, że zginął w strzelaninie, załamała się. Do czasu przybycia jej adwokata odzywała się tylko sporadycznie, były to wybuchy rozpacz, niekiedy wręcz niezrozumiałe. Pytaliśmy ją o Mursulta, a ona powiedziała coś o adwokatce, którą tamten znał. Także Marian o niej wspominała, prawda?

— Owszem – przyznała Moss, której kołatały się w głowie niejasne myśli, coś, co próbowała sobie przypomnieć, elementy, które musiała dopasować do siebie. – Nie wiem, czy jego adwokatka jest ważna, ale powinniśmy ją znaleźć – dodała.

— Zapytałem o jej nazwisko. Ashleigh Bietak nie potrafi nam powiedzieć albo nie powie – rzekł Brock. – Nie współpracuje z nami. Żąda szybkiego pogrzebu syna, ale marynarka zabrała jego ciało.

Ashleigh Bietak straciła syna, ale Brock ocalił życie swoich dzieci.

— Ile lat mają twoje dziewczynki? – zapytała Moss.

— Dwa i cztery – odparł Brock.

Ile lat będą miały w 2024 roku, na który oznaczono Terminusa? Dwadzieścia dziewięć i trzydzieści jeden; kiedy Biała Dziura otworzy się na niebie, będą dorosłymi kobietami. Wszystko, co żywe, kręciło się w wirze, zmierzając do tego samego odpływu.

Podeszli razem do domu, a Brock zapukał do drzwi, zanim nacisnął dzwonek. Zapaliło się światło w salonie, drzwi otworzyły się do środka, łańcucha zabezpieczającego nie było. Na progu stanęła drobna kobieta w luźnym swetrze, spodniach i domowych pantoflach. Wydawała się zdziwiona ich obecnością, ale uśmiechnęła się, podmiejska uprzejmość.

— Proszę pani, nazywam się William Brock i jestem agentem

specjalnym FBI. To agentka specjalna Shannon Moss z Kryminalnego Biura Śledczego Marynarki Wojennej. Czy pan Torgersen jest w domu? Możecie poświęcić nam kilka minut?

— Tak, proszę tylko mi pozwolić... Jedną chwileczkę – powiedziała pani Torgersen. – Proszę wejść. Zawołam go.

Dwa świetliki w katedralnym suficie holu były fioletowymi prostokątami nocy. Podłoga marmurowa, łososiowo-beżowe zawijasy. Pani Torgersen wprowadziła gości do salonu, po czym przeprosiła ich i poszła poszukać męża. Moss słyszała, jak odchodzi w głąb domu, wołając:

— Ryan?

Torgersenowie wrócili razem, przy czym on przytłaczał swoją małutką żonę, kontrast był niemal zabawny. Miał rzednące siwe włosy, ubrany był w bojówki khaki i pasiastą koszulkę polo wyłożoną na wierzch. „Potulny mężczyzna”, określił go wcześniej Brock. Słaby, pomyślała Moss, ale podszyty pewną nerwowością. Pił, powietrze przesyciła wilgotna woń alkoholu.

— O co chodzi? – zapytał.

— Panie Torgersen, ma pan trochę czasu, żeby odpowiedzieć nam na kilka pytań?

— Oczywiście – odparł. – Skarbie, mogłabyś zaparzyć kawę? – Jego żona zniknęła w głębi domu i Shannon usłyszała wodę lejącą się z kuchennego kranu. – A może wolelibyście herbatę albo coś innego? – zapytał. – Nie wiem, czy pijecie, czy jesteście na służbie, czy po. Siadajcie, proszę. Mówcie, co jest grane.

— Wystarczy kawa – powiedział Brock, zajmując miejsce na jednej ze skórzanych kanap.

Torgersen usiadł na sąsiedniej, dłonie złożył na kolanach. Podskakiwała mu noga, odgłos obcasa na wykładzinie powtarzającym się szelestem.

— Może mi pan powiedzieć, kiedy rozpoczął pracę w FBI? – zapytał Brock.

— Jasne – odparł tamten; na ziemiste czoło wystąpił mu pot. Otarł go wierzchem dłoni. – Chyba dziesięć lat temu, nie, teraz będzie już jedenaście. Jesteście tutaj z powodu jakiegoś problemu zawodowego? Nie domyślam się, co by to mogło być. Pracuję w daktyloskopii. Jestem jednym z niewielu, którzy przyjechali tutaj z Dystryktu Kolumbii, kiedy kilka lat temu otworzono nowy ośrodek. Nie przychodzi mi na myśl nic niewłaściwego.

— Ośrodek Służb Informacyjnych Sądownictwa Kryminalnego – powiedział Brock.

— Zgadza się. Powiedział pan, że nazywa się Brock? Pracuję z Rashondą Brock, nie jesteście chyba spokrewnieni?

— To moja żona – rzekł Brock. – Wspominała mi o panu.

— Możecie mi powiedzieć, o co chodzi? – zapytał Torgersen. – Chętnie pomogę. Nie wiem tylko, co się dzieje.

— Jak się panu układa w nowym miejscu? – spytał Brock. – Spora różnica między Dystryktem Kolumbii a Wirginią Zachodnią. Zgłosił się pan tutaj na ochotnika? Daje pan sobie radę?

— Jestem pewny, że Rashonda opowiadała panu o stresie. Dążymy do stworzenia najnowocześniejszego systemu komputerowego, krajowej bazy daktyloskopowej, ale słyszymy jedynie o problemach budżetowych i lukach w oprogramowaniu. Błędne identyfikacje, niepełne rejestry. W większości wypadków nadal pracujemy w oparciu o karty z odciskami palców. Oddziały w niektórych większych miastach są już skomputeryzowane, to żenujące, że znajdują dopasowania w ułamku czasu, jaki nam zajmuje przejrzenie naszych pudeł.

Zwłoki Torgersena znaleziono w ciężarówce Rydera, spalone ciało znajdowało się w pomieszczeniu sekcyjnym w Charlestonie, ale oto siedział tutaj, echo, kolejne echo. Shannon przyglądała mu się, jak się poci, chociaż zachowanie miał jowialne. Sprawiał wrażenie, jakby ze wszystkich sił starał się pomóc, ale był rozedrgany, poruszał się dziwnie, jak myjące się zwierzę, przesuwając dłońmi po srebrzystych włosach, ramionach, ciągnąc się za koszulkę, drobne szarpnięcia. W kuchni rozbiło się szkło.

— Sprawdzę, co się stało – powiedziała Moss.

Dom zdawał się otwartą przestrzenią, pomieszczenia odchodziły od głównego holu, prowadząc do innych, niewidocznych korytarzy i pokoi. Nie ma dzieci, pomyślała Shannon, dom niezagracony, czysty. Kuchnia była rozległa, ze stołem śniadaniowym, przestrzeń do gotowania wyznaczona przez blat wyspy, balkonowe okno wychodziło na taras i wypielegnowany trawnik. Pani Torgersen upuściła dzbanek do kawy, uklękła, żeby zmieść jego szczątki na szufelkę. Była wyraźnie wytrącona z równowagi, płakała.

— Usłyszeliśmy brzęk szkła – powiedziała Shannon. – Proszę pozwolić mi to sprzątnąć. Dobrze się pani czuje?

Przyjazny nastrój pani Torgersen pogorszył się, odkąd otworzyła drzwi,

jej wygląd zwarzyły zmęczenie i smutek albo przerażenie. Przeprosiła i usiadła przy kuchennym stole, a Shannon oderwała z rolki kilka kawałków ręcznika papierowego i zebrała większe odłamki szkła.

— Nie wiem, co robić – wyznała pani Torgersen.

— Cokolwiek to jest, możemy pani pomóc – stwierdziła Moss, przysiadając się do niej przy stole po zamieceniu podłogi.

— Aresztujcie go – powiedziała pani Torgersen niemal niedosłyszalnym szeptem. – Zmienił się, jest teraz zupełnie inny.

— Skrzywdził panią? – zapytała Shannon.

— Nie – odparła kobieta, prawie zirytowana, że musi wyjaśniać. – Nie, to nie tak, mówi o różnych sprawach. Dużo pije.

— O czym mówi?

— Chciał się tutaj przenieść – wyjaśniła. – Usłyszał o tym nowym ośrodku i miał obsesję, żeby się przeprowadzić, nie wiem dlaczego. Wirginia Zachodnia. Nie mieliśmy powodu, żeby się przenieść, ale zafiksował się na tym pomysłe. Gadał bez przerwy o Wirginii Zachodniej, o Clarksburgu.

— To była ta zmiana, którą pani zauważyła? – dociekała Moss.

— Nie, zmienił się jeszcze wcześniej – odpowiedziała pani Torgersen. – Miał... Ma te wahania nastrojów, wzloty i upadki, a kiedy powiedział mi, że przenosimy się do Wirginii Zachodniej, poprosiłam, żebyśmy tego nie robili. Zaczęliśmy się kłócić, a nigdy wcześniej się nie sprzecaliśmy. I to wtedy zaczął mi opowiadać te swoje fantazje.

— Jakie?

— Brutalne – odparła. – Nigdy przedtem nie mówił do mnie w ten sposób, a pewnej nocy wrócił do domu w zakrwawionym ubraniu. – Płakała teraz otwarcie, twarz miała pąsową, szczęki zaciśnięte. – Był młodszy, wydawał się młodszy. Szczuplejszy. Kompletnie przemoczony, ociekał wodą i był uwalany krwią.

— Krew na ubraniu? – zapytała Moss. – Miał wypadek?

— Nie chce mi powiedzieć, co się stało – odparła pani Torgersen. – Myślałam, że jest ranny. Zmienił się fizycznie, stracił na wadze. Najpierw wyjaśnił mi, że potracił samochodem jelenia i próbował go ratować, ale jego historyjka cały czas się zmieniała. A później pokłóciliśmy się w nocy. Kiedy leżeliśmy w łóżku, zapytał mnie, czy chciałam umrzeć, czy usiłowałam się zabić, odmawiając wyjazdu do Wirginii Zachodniej.

— Co przez to rozumiał? – spytała Moss.

— Nie wiem – odparła, drżąc teraz. – Nie wiem. Powiedział, że widział, iż umieram, i nigdy więcej nie chce tego oglądać.

— Groził pani?

— Próbował chronić mnie przed czymś w swoim umyśle – stwierdziła pani Torgersen. – Zapytał, czy pamiętam ten wieczór, kiedy gościliśmy na kolacji mojego szefa i jego żonę, dawno temu w Dystrykcie Kolumbii, całe lata temu. Powiedział mi, że gdy mój szef już wyszedł, a my zmywaliśmy naczynia, do naszego domu wdarło się kilku mężczyzn. Nie wiedziałam oczywiście, o czym on mówi, jakieś urojenia. Sądziłam, że ma jakiś odłot. Byłam przerażona. Powiedział mi, że do naszego domu przyszło kilku mężczyzn, związało go, obezwładniło i zmusiło do przyglądania się, podczas gdy oni... ścięli mi głowę na jego oczach. Stwierdził, że widział to, że kazali mu trzymać moją głowę na kolanach, a on krzyczał, błagając ich, żeby przestali, ale nie żyłam, a oni...

Shannon ujęła dłonie pani Torgersen i powiedziała:

— W porządku. Możemy mu pomóc...

— I powiedział, że ci ludzie zaczekali do północy, po czym opuścili nasz dom. Wsadzili go na tył furgonetki i zawieźli dokądś, do lasu. I powiedział, że widział różne rzeczy, nie potrafił opisać co, ale to było chore. Powiedział, że mężczyźni kazali mu przejść przez rzekę, a po drugiej stronie zapytali go, czy chce mnie zobaczyć ponownie żywą. Mogli mu mnie oddać. Potem powiedział, że odwieźli go z powrotem do domu, w którym byłam, nadal żywa, spałam, jakby nic się nie stało.

— I uznał, że musi zachować panią przy życiu – stwierdziła Moss. – Zgadza się? Przeprowadzka do Wirginii Zachodniej miała panią ocalić.

— Powiedział, że kiedy nadejdzie pora, będziemy musieli przenieść się do Wirginii Zachodniej – wyjaśniła. – Że musi być gotowy zrobić pewne rzeczy, ale cokolwiek czyni, to dla mojego dobra, że bez względu na to, co się stanie, on mnie ochroni, ale pije dużo więcej, teraz wy jesteście tutaj, a ja nie wiem, co on...

— Co jest gotowy uczynić? – poddała Shannon. – Jakie „pewne rzeczy”?

— Nie... nie wiem, ale nie jest sam. Powiedział mi, że są inni. Nie zna ich, ale wszyscy biorą w tym udział. Ktoś z Secret Service. Powiedział, że jest więcej ludzi w FBI, że są ludzie w wojsku. Ryan trzyma broń w stoliku nocnym, nigdy wcześniej nie miał broni. Powiedziałam mu, że nie chcę jej w domu, ale śpiąc, musi mieć ją pod ręką.

Są inni. Torgersen wyciągnięty z ciężarówki Rydera, w której były inne ciała, których echa być może nadal żyją. Moss pomyślała o Torgersenie przekraczającym czarną rzekę, w ubraniu zaplamionym krwią żony, ale jego żona żyła. Hyldekrugger, Diabeł. Mógł przejść przez Vardoggera? Był przenikalny, drzwiami między światami? Hyldekrugger prznosił się w jakiś sposób między liniami czasu niczym pająk pełzający po niciach swojej sieci, mordując mężów, mordując żony, w formie pogrózki. Sprowadzał echa na terra firma. Secret Service, FBI... Moss wyobraziła sobie komórki śpiochów umieszczonych jak Torgersen w ośrodkach o wysokim poziomie bezpieczeństwa, czekających, żeby pociągnąć za spust... Ilu ich było? Armia ech.

Krzyk z drugiego pokoju, niewyraźne dźwięki, oskarżenia. Shannon słyszała głos Brocka, spokojniejszy. Pani Torgersen wstała od stołu.

— Ryan? – powiedziała.

Zrobiła dwa kroki, zanim nastąpił wybuch. Przelotny obraz ognia, niczym płynnego, pomarańczowego światła, spadającego kaskadą na sufit i ściany, po czym pani Torgersen została zbita z nóg, a Moss ciśnięta wstecz.

Shannon wypłynęła z ciemności. Dzwoniło jej w uszach, cichutko, poza tym cisza. Gdzie? Gdzie ja jestem? Kuchnia. Widziała płomienie. Światła kogutów. Leżała na plecach na kuchennej podłodze. Mogę się ruszać, pomyślała, siadając prosto. Próbowwała wstać, ale zachwiała się i opadła z powrotem na podłogę, czując zawrót głowy. Brakowało jej nogi, protezy. Gdzie jest? Rozejrzała się, dostrzegła kobiece ciało. Pani... Nazwisko jej umykało. Tor... Kobieta leżała na podłodze i krzyczała. Była wygięta w dziwaczny sposób. Moss się czołgała.

Brock.

— Brock! – zawołała, ale jej głos dochodził jak spod wody. – Brock!

Dom stał w płomieniach. Doszło do eksplozji, zrozumiała. Przebrnęła przez korytarz; płyty kartonowo-gipsowe zapadły się w głąb ścian, odsłaniając drewniane konstrukcje, kurz, dym. Przenikliwy pisk czujników dymu rywalizował z dzwonieniem w uszach. To, co zostało z salonu, stało w ogniu, ściany zniknęły. Tam, gdzie wcześniej był sufit, wzdłuż odsłoniętych belek snuł się czarny dym, wydobywając się kłębami przez dziury wybite w dachu. Na miejscu byli strażacy, migwały czerwone światła.

— Nic mi nie jest – powiedziała jednemu z mężczyzn. – Brock – powtórzyła. Ktoś ją podniósł, trzymał. – Brock – powiedziała ponownie.



— Wychodzimy, wychodzimy – mówił strażak, niosąc ją. – Wypad, wypad.

— W kuchni jest kobieta – odezwała się Moss, odzyskawszy nieco zmysły.

Podążyła wzrokiem za promieniami latarek i ujrzała ciała w salonie, ledwie widoczne z powodu czarnego dymu, ale widziała rozszarpane zwłoki Torgersena, widziała jego głowę w różnych miejscach. Widziała Brocka, pozbawiony nóg tułów, któremu brakowało jednego ramienia. Biała kość, czerwone mięśnie. Krzyknęła. Kaszłała, dym piekł ją w płucach, krzyczała i płakała. Brock nie żył. Shannon wyniesiono na zewnątrz, nałożono jej maskę na twarz, tlen, żeby oczyścić płuca. Patrzyła na dom w płomieniach, promieniejące światło.

Część czwarta  
**2015–2016**

**...chcę, żeby mnie zaproszono na kolację widm.**

August Strindberg, *Sonata widm*,  
w przekładzie Zygmunta Łaniewskiego

# 1

**W**ystartowałam w cormorancie przed upływem tygodnia od śmierci Brocka. Trzy miesiące w samotności, w ciszy *Szarej Gołębicy* zakłócanej dzwonieniem w uszach, utrzymującym się skutkiem samobójczej eksplozji Torgersena. Wspomnienia miałam niejednolite, pełne luk, jak w zerwanym filmie. W jednej chwili słyszałam krzyki, a w następnej budziłam się w pożarze i pamiętałam jedynie rozproszone obrazy, błyski makabrycznego spektaklu w postaci zwłok Brocka i echa Torgersena, ich szczątków rozrzuconych w płonącym salonie. Śmierć Brocka była jak robak wijący się w moim sercu. Dlaczego nie wiedziałam, w co się pakujemy?

Moje życie podlegało efektowi teleskopowemu. Przeżyłam ponad rok od tego dnia, kiedy Nestor zatelefonował w nocy, żeby powiadomić mnie o zamordowaniu pewnej rodziny, ale te zabójstwa były wciąż świeże, sprzed kilku zaledwie tygodni. Widziałam przyszłość, ale nie rozumiałam szerszej konstelacji otaczających mnie zdarzeń. Nic się nie wyjaśniło, a tamta przyszłość wyparowała już jak rosa.

O'Connor odwiedził mnie w Clarksburgu, w moim gabinecie w ośrodku SISK. Szliśmy razem korytarzami, wyobrażając sobie los budynku w przyszłości, która nigdy nie nastąpi.

— Rozmawiałem z jednym z lekarzy, którzy kurowali cię po zaccadzeniu – powiedział. – Stwierdził, że na skutek wybuchu doznałaś przebicia błony bębenkowej, ale nie odniosłaś żadnych innych obrażeń. Utrata słuchu powinna być tymczasowa. Jak się czujesz?

— Mogę lecieć – odparłam, chociaż jego głos wydawał się bardzo odległy, za cichy wobec świdrującego dzwonięcia. Nie pytał o skutki nawdychania się przeze mnie dymu czy traumę psychiczną wywołaną wybuchem bomby. Chciał wiedzieć, czy przed upływem miesiąca mój organizm zniesie wyczerpującą podróż do innej NTP. – Jestem gotowa.

Rozmawialiśmy o żonie Torgersena, o tym, że jej mąż został przeprowadzony przez las, i wyobrażaliśmy sobie, że Vardogger jest przecięciem się dróg, osią koła o wielu szprychach, z których każda prowadzi do innej NTP. Wiedzieliśmy, że istniały inne echa, już sprowadzone tamtędy, które czekały jak pająki w swoich tutkach, w napięciu, tak jak czekał Torgersen, żeby Hyldekrugger potracił ich pajęczyny i wypłoszył na światło dzienne. O'Connor zbadał dokładnie plany znalezione przeze mnie i Brocka w Buckhannon, schematy miejsc zagrożonych przez sieć Hyldekruggera.

— Budyńki rządowe – stwierdził. – Obiekty DMK. Wyrzutnie startowe. Instalacje marynarki wojennej. To wszystko są filary, które chronią nas przed Terminusem, a Hyldekrugger przygotowuje się do ich zwalenia. Dlaczego?

Polecę, żeby odkryć, jaka przerażająca sytuacja może się wciąż zdarzyć, a potem prześledzić ją wstecz do terra firma, żebyśmy mogli uprzedzić Hyldekruggera tutaj, teraz. Powstrzymać go.

Zanim się rozstaliśmy, O'Connor powiedział mi, że marynarka zabezpieczyła Vardoggera.

— Dyskretna obecność, ale niebawem odgrodzą teren. Njoku współpracuje z zespołem Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej. Wynajęli tam większość domków, w Blackwater Lodge. Zamierzają badać przestrzeń fazową, otworzyć ją. Kiedy znajdziesz się w przyszłości, sprawdź, co u nas słychać. Dowiedz się, jakie drzwi, prowadzące przez czas i przestrzeń zdołaliśmy wyważyć.

Sygnal sztucznej inteligencji z Black Vale wyrwał mnie ze snów o Buckhannon, baza księżycowa potwierdziła, że mój statek wynurzył się z pustki. Wyjrzałam przez iluminator: garbaty Księżyc, blask Ziemi. Sprawdziłam na autopilocie *Szarej Gołębicy*: wrzesień 2015. Zmaterializowała się inna NTP, inna przyszłość.

Kolejny sygnał z Black Vale.

— Podejście do Black Vale, cormorant siedem zero siedem golf delta –

powiedziałam, otrząsając się z resztek snu, Nestor wśród wysokich traw, nocne niebo krwawiące gwiazdami.

— Podaj swoje nazwisko i zbliż oczy do skanera tęczy w celu weryfikacji – rozległ się donośny komputerowy głos, przerywając protokół powitania. Sztuczna inteligencja Black Vale podłączyła się do komputerów *Szarej Gołębic* zgodnie z procedurą, ale DMK zawsze obsadzało Latarnię Morską marynarzami. Coś było nie tak.

— Shannon Moss – przedstawiłam się. Skaner tęczy był okularami wbudowanymi w panel sterowniczy, więc zniżyłam twarz ku gumowej masce, mając szeroko otwarte oczy, by mogły zostać omiecione przyćmionym światłem.

— Witaj, agentko specjalna Shannon Moss. Ładowanie kodu zezwolenia, łączenie z NETWARCOM.

— Czekaj. Podejście do Black Vale – powiedziałam. – Tu *Szara Gołębic* Actual. Chcę rozmawiać z Black Vale Actual.

— Latarnia Morska jest ciemna, Shannon.

Co oznaczało, że nie było już Black Vale, baza księżycowa nie istniała, a ja rozmawiałam z komputerową czarną skrzynką zagrzebaną głęboko pod księżycowym pyłem albo może z satelitą krążącym w nocy. Byliśmy szkoleni do pozostania w ukryciu na wypadek, gdyby DMK już nie istniało, do zgaszenia wszystkich świateł i wyłączenia zbędnych komputerów, do czekania w milczeniu na ponowne uruchomienie się napędu B-L. Byliśmy po prostu szkoleni do powrotu do domu, do sześciomiesięcznej podróży tam i z powrotem, która nic by nie dała. Wyłączyłam wewnętrzne oświetlenie *Szarej Gołębic*; dotarło do mnie, że jeśli Black Vale nie istnieje, to DMK zostało narażone na szwank albo zlikwidowane. Minęło kilka minut, zanim zauważyłam, że sztuczna inteligencja Black Vale przysłała wiadomość. Stuknęłam w cyfrowy wyświetlacz i ekran wypełniła pomarszczona twarz O’Connora o skórze pokrytej plamami wątrobowymi i poznaczonej żyłkami, z krzaczastymi białymi brwiami. Siedział w swoim gabinecie przed popularną tablicą „Kocham siebie”, którą agenci pokrywają zwykle certyfikatami i nagrodami, ale on powiesił na niej zdjęcia swoich cocker-spanieli.

— Shannon – odezwał się wysuszonym przez wiek, piskliwym głosem – jeśli to oglądasz, to znaczy, że znajdujesz się w NTP i nasz koszmar nie istnieje, i ja nie istnieję w tej chwili, co stanowi dla mnie pocieszającą myśl,

gdyż wciąż mógłbym się obudzić z bardzo wielu strasznych snów. Wracaj na terra firma, Shannon. Natychmiast, nie zwlekaj. W czasie rejestracji tego nagrania, w lipcu 2014 roku, Terminus jest oznaczony na grudzień 2017 roku, a mógł się jeszcze zbliżyć, zanim zaczęłaś oglądać to nagranie. Ziemia, ludzkość... nie ma nadziei. Zastanawiam się, czy zobaczysz Białą Dziurę. Ciekaw jestem, czy widzisz ją teraz. Zastanawiam się, czy przybyłaś do Terminusa. Czy żyjesz nadal. Czy się spóźniłem. Proszę, wracaj do domu, Shannon. Do domu. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych rozpoczęła Operację Sajgon – ewakuujemy się, nie będzie nas. Cała flota Dowództwa Marynarki Kosmicznej zniknie, szukając innych przyszłości, innych światów. Nie wrócimy.

Mam jednak słowo ostrzeżenia na temat twojego czasu, na temat terra firma. Vardogger, ta przestrzeń fazowa, którą odkryłaś w lesie, jest niebezpiecznym miejscem, bardzo niebezpiecznym. Unikaj go, proszę. Straciliśmy w tej anomalii bardzo wielu... niemal trzydziestu ludzi. Straciliśmy Wally'ego Njoku i oddział SEAL, który poszedł, żeby go odszukać, straciliśmy fizyków badających ten obszar. Kiedy wrócisz do domu, pokaż to nagranie mnie i Wally'emu. Powstrzymaj nas. Wszyscy przepadli, nikt nie wraca.

Twarz O'Connora zniknęła, zastąpiona przez film ukazujący Njoku w lesie w pobliżu Vardoggera, ziemia i sosny wokół niego zbrązowiały od wieczornego słońca. Data i czas: 04/23/97, 18.03. Njoku miał na sobie biały kombinezon laboratoryjny, mówiąc, zsunął jego kaptur z głowy.

— Próba, ehem... która?

— To będzie siedemnasta – rozległ się głos kamerzysty.

— Siedemnasta – powtórzył Njoku, mocując maskę na ustach. – Słyszysz mnie? Dobra. Vardogger się otwiera... Sądzę, że naśladuje na granicy rzeki pianę kwantową. Uważam, że da się przez to przejść. Dzisiaj rano przerzuciłem kamień przez rzekę i zobaczyłem, że spadł, gdzieś dalej... Nagrywamy teraz. Vardogger otwiera się regularnie, ale nie określiliśmy jeszcze tego wzorca... W przybliżeniu co dwanaście godzin. Uważając, można wyczuć moment, kiedy ma do tego dojść, to jak prąd elektryczny płynący w górę ramion. Zamierzam zrobić kilka kroków w głąb, sprawdzić, czy zdołam odzyskać kamień, który rzuciłem.

Po chwili oczekiwania, kiedy Njoku opierał dłoń na popielatej, gładkiej korze drzewa, ujrzałam, że twarz mu pojaśniała.

— Czujesz to? – zawołał do kamerzysty, uśmiechając się. – Gęsia skórka – dodał, przesuwając po ramionach dłonie w rękawicach. – No, proszę. Filmujesz to? Widzę ścieżki, są wszędzie.

Przyjrzałam się uważniej, ale nie dostrzegłam na nagraniu niczego nadzwyczajnego. Zastanowiłam się, co Njoku widział, co rozumiał przez „ścieżki”. Zrobił kilka niepewnych kroków naprzód.

— Nastaw stoper – powiedział, przeciskając się przez gąszcz sosnowych gałęzi, po czym zniknął.

Nagranie trwało kilka minut, kamerzysta ruszył w końcu tam, dokąd poszedł Njoku, między drzewa. Wyszedł na znajomą polanę, w pobliżu Red Run, ale nikogo tam nie było.

— Njoku. – Głos kamerzysty w ostatnich sekundach nagrania. – Njoku!

Sztuczna inteligencja Black Vale wykonywała swój program, a ja odtworzyłam ponownie nagranie zniknięcia Njoku, to, jak się wyślizgnął, niemal zwyczajnie. Kiedy Njoku, O’Connor i ja sądziliśmy, że zabłądziliśmy w Vardoggerze, obszar zdawał się powielać, rekurencja białego drzewa. A gdy zobaczyliśmy Red Run, wydawało się nam, że przenieśliśmy się jakoś z brzegu na brzeg, że będziemy musieli przejść przez rzekę, żeby wrócić tam, gdzie byliśmy wcześniej. Przypomniałam sobie, że Marian powiedziała coś podobnego, że musiała przebrnąć przez rzekę. Wyobraziłam sobie Njoku brodzącego w wodzie, sięgającego po swój kamień. Gdzie się podział? Sztuczna inteligencja Black Vale połączyła się z systemem komputerowym Apollo Soucek, załadowała kody zezwoleń NETWARCOM, skontaktowała się z NCIS, żeby objąć pieczę cormoranta. Widziałam sierp Ziemi wyłaniającej się z morza nocy, oszałamiającej i kruchej, ale pozostawionej na śmierć, porzuconej. Operacja Sajgon oznaczała, że wybrano tylko niewielu, by żyli dalej, nie więcej niż tysiąc osób, które zyskają kilka dodatkowych lat, podczas gdy miliardy zginą w zimnym świetle drugiego słońca. Terminus był nacierającą śmiercią, nieuchronną i bliską, ale Białej Dziury tutaj nie było; jeszcze nie. O’Connor musiał rozumieć, nawet zostawiając swoje ostrzeżenie w kapsule czasu, że nie ucieknę z tej zapomnianej Ziemi.

Wynajęłam pokój w Virginia Beach Courtyard Marriott, elegancki apartament z patio, z widokiem na rozległy ocean, lazurowa woda zlewała się z lazurowym niebem. Wieczory na tarasie z cynamonowo-śliwkową herbatą

podczas gryzmolenia notatek, łączenia zygzakowatymi liniami jednego pomysłu z drugim, prób wyobrażenia sobie, w jaki sposób wszystkie te śmierci pasują do siebie i dlaczego: *Waga–Esperance–Terminus*. Zapisałam skrótowo to, co moim zdaniem wydarzyło się na Esperance, opowieść Nicole o ukształtowanych z kryształu lewiatanach, kobietach i mężczyznach uniesionych w powietrze i rozebranych na sztuki.

Sieć Hyldekruggera okazała się trudna do wyśledzenia. Skontaktowałam się z NCIS, ale po niemal dwudziestu latach nikt nie pamiętał mojego nazwiska ani nie rozpoznawał referencji, zbadalam więc, co mogłam, na własną rękę. Dostępne były tysiące artykułów i obszernych tekstów nawiązujących do terroryzmu wewnętrznego, działalności terrorystycznej w ostatnich dwóch dekadach, ale większość odniesień do Buckhannon miała charakter historycznych spekulacji na temat związku z ruchem bojówkarskim czy Timothy McVeighiem, przy czym wiele opracowań powtarzało informacje z 1997 roku, cytując niekiedy dokładnie wcześniejsze teksty.

Przekonałam się ze zdziwieniem, że tutejszy Phil Nestor nadal pracuje w FBI, jego kariera jest pełna sukcesów. Być może spodziewałam się innej wersji znanego mi niegdyś mężczyzny, który przeżywał kłopoty, ale NTP-y różnią się znacznie szczegółami, indywidualnymi losami. Jakiegokolwiek były osobiste tragedie, które skłoniły Nestora do zamieszkania w Buckhannon, nie zaszły w przeszłości tej przyszłości. Odkryliśmy laboratorium chemiczne, Nestor został ranny w wynikłej strzelaninie – samych tych zdarzeń było dość, żeby jego życie obrało inną trajektorię, całkowicie odmienny los. Jego kariera i odniesione przez niego sukcesy były łatwe do prześledzenia. Skrócone biografie były dostępne w News-Share; znalazłam też jego zdjęcie portretowe, szpakowatego, przystojnego. Szef Biura w Pittsburghu w następstwie śmierci Brocka, wydawało się, a prowadzone przez niego śledztwa w sprawach terroryzmu wewnętrznego musiały dać impuls jego karierze, gdyż był członkiem Komitetu Wykonawczego ds. Terroryzmu Wewnętrznego FBI. Będąc blisko, w Waszyngtonie, zatelefonowałam do jego biura, skalkulowane ryzyko. Tutaj mógł wiedzieć o Głębokich Wodach, tak jak wiedział to Brock, i obawiałam się, że moje nazwisko może się znajdować na jakiejś liście, może doprowadzić do aresztowania mnie, motyl pod kloszem. Jednak sekretarki Nestora nie chciały mnie z nim połączyć. Telefonowałam do jego biura kilka razy, zapisały moje nazwisko i numer pokoju hotelowego, ale niebawem nie byłam nawet pewna, czy Nestor mnie



pamięta. Wspominałam go nadal ciepło, od czasu, gdy byliśmy ze sobą w innej przyszłości, minęło zaledwie kilka miesięcy, ale to nie były jego wspomnienia. Tutaj byłam jedynie kobietą, z którą zdarzyło mu się pracować tylko raz, kiedyś, wieki temu.

Biegałam rano na boisku Kellam High School wyposażona we flex-foot cheetah, zagiętą protezę zaprojektowaną do uprawiania sprintu. W przeciwieństwie do doświadczenia wyjścia poza ciało bieganie było doznaniem ciała pozbawionego umysłu, czysto fizycznym – krok, oddech, dystans. Bezsporna lekkość.

— Czterystumetrowy dystans, ustawienie rywalizacyjne – powiedziałam, nadal na wpełnię przekonana, że gadam na wiatr, ale znałam systemy ambientowe z innych NTP-ów, atmosferę nasyconą nanotechnologią przez Phasal Systems, powietrze przeniknięte przez mikroskopijne wytwory technologii, które wisały w nim jak pyłek kwiatowy. Piksele światła i drobinki dźwięku, gdziekolwiek spojrzalam, otoczenie było rozświetlone jak wszechobecna telewizja. Ogłoszenia sieci sklepów GNC i interaktywne mignięcia odzieży sportowej w Dick’s Sporting Goods, każdy nieciekawny fragment bieżni błyszczał jak Times Square. W powietrzu wisały obrazy: tętno w czasie rzeczywistym, głęboka temperatura ciała, liczba kalorii spalonych w trakcie każdego okrążenia. Moim osobistym trenerem był hologram, który pokrzykiwał: „Kolejny sprint! Kolejny bieg!”, a jego ostrość rozmywała się przy każdym powiewie wiatru.

Wirtualny wystrzał z pistoletu startowego, pobiegłam. Zwiększyłam tempo na pierwszym łuku, wysilając się, żeby przyśpieszyć, forsując się, ale unoszący się w powietrzu stoper zmienił kolor z zielonego na żółty, kiedy wypadłam z rytmu, a gdy brałam ostatni wiraż, poślizgnęłam się na żwirze, niebo zawirowało, bieżnia ruszyła mi na spotkanie. Tułowiem naprzód, rozcięte łokieć i kolano, przygryzłam od wewnątrz wargę. Usta wypełniła mi krew, splunęłam, ponownie wyplułam haust krwi, kurwa, kurwa, kurwa. Krew od łokcia do nadgarstka. Skarpetka nasiąkała krwią z kolana. Usiadłam z wysiłkiem.

Stoper Health Mode odmierzał nadal mój bieg, w tej chwili już ponad trzy minuty, błyskając czerwienią.

— Stop! – rzuciłam, ale mój osobisty trener pojawił się obok mnie:

„Tempo! Tempo!”.

Proteza nie była uszkodzona, przegub kolanowy wydawał się w porządku, stopa cheetah porysowana, ale sprawna. Rozpuściłam koński ogon, a potem związałam go ciaśniej. Ogarniało mnie zmęczenie. Nie przebiegłam założonych okrążeń, ale czułam, że mięśnie straciły swoją elastyczność, pot stygł na mnie.

— Ktoś inny by zrezygnował – powiedziałam, patrząc na krew na goleni, ranę na kolanie. – Dalej, Shannon, rusz tyłek. Inni by się poddali. Ktoś inny by odpuścił.

Fala przygnębienia z powodu upadku, nieutrzymania równowagi, frustracja podobna do wszechogarniającej, gąbczastej depresji, która skaziła pierwszy rok po utracie nogi, z powodu konieczności ponownej nauki chodzenia, opanowania obcych ruchów, świadomości, że proteza jest nieporęcznym ciężarem przymocowanym do mojego uda, balastem, który musiałam unieść biodrem i dźwigać przy każdym kroku. Regulacje, częste jazdy do Union Orthotics & Prosthetics w Pittsburghu w celu dobrania rozmiaru, wypróbowania różnych sposobów mocowania, pasków, przyssawek, wyboru stóp z katalogu, jakbym kupowała buty w sklepie obuwniczym. Spotykałam osoby, które straciły kończyny i biegały nadal, ludzi o stalowej woli, którzy nie zgadzali się na rezygnację z tego, czego odebraniem groziła im amputacja.

Wstałam. Wróciłam przez boisko na linię startu.

— Wyzeruj stoper – poleciłam.

00:00.

Kolano mnie rwało, na goleń pociekła świeża krew.

— Ktoś inny by się poddał – powtórzyłam.

Pobiegłam.

Po porannych ćwiczeniach wzięłam w hotelu prysznic, posmarowałam kolano Neosporin Skin, żeby zasklepić ranę, po czym usłyszałam uporczywe gruchanie turkawki żałobnej. Pomyślałam, że ptak mógł wlecieć z tarasu przez otwarte drzwi balkonowe apartamentu. Gruchająca turkawka w pułapce mojego pokoju hotelowego, póki nie zrozumiałam, że dźwięk jest powtarzającym się tonem poczty głosowej w moim ambientcie.

— Courtney Gimm – odezwałam się, uruchamiając przybranym

nazwiskiem skrzynkę głosową,

Jego głos wypełnił powietrze, jakby on sam znajdował się obok mnie w pomieszczeniu.

„Agent specjalny Phil Nestor, FBI. Wspaniale cię słyszeć, Shannon. Przepraszam, że tak długo nie oddzwaniałem, ale byłem w Alabamie na seminarium szkoleniowym. Bardzo chciałbym się z tobą spotkać, nadrobić zaległości. I chciałbym wprowadzić cię w pewne nasze dochodzenia. O siódmej w foyer twojego hotelu? Oddzwoń, gdyby ci to nie odpowiadało. Albo do zobaczenia wieczorem”.

Wielu agentów specjalnych, prowadzących śledztwa w różnych NTP-ach, polegało na technice zwanej pałacem pamięci. Człowiek wyobraża sobie pałac i mentalnie umieszcza w rozmaitych jego komnatach nazwiska, twarze lub zdarzenia w myśl zasady, że możliwe jest przywołanie zapomnianych lub niewyraźnych faktów, jeśli są one uporządkowane przestrzennie. Agenci posługują się tą metodą w celu oddzielenia wrażeń z odmiennych przyszłości, odróżnienia jednej NTP od drugiej; niektórzy spędzają trzy miesiące w piane kwantowej na medytowaniu o tych miejscach, wyobrażaniu sobie nowych skrzydeł pałacu dla każdej przyszłości. Nie uważałam nigdy tego systemu za użyteczny albo może brakowało mi dyscypliny, żeby go takim uczynić, ale kiedy czekałam na Nestora w lobby Courtyard Marriott, zdenerwowana jak dziewczyna na balu maturalnym, żałowałam, że nie stworzyłam jakiejś techniki, która pomogłaby mi rozwikłać związane z nim sploty emocji. Mieszkał wcześniej w domu śmierci w Buckhannon, sprzedając zabytkową broń zabójcy, lub żył tutaj, odznaczany agent FBI, ale widziałam te rozbieżności w postaci obrazu załamane przez różne soczewki, a nie jako coś istotnego na jego temat. Znałam wcześniej Nestora; mogłam zamknąć oczy i przypomnieć sobie dotyk jego ciała przytulonego do mojego, pomruk jego oddechu we śnie, jego zwyczaje i rozwichrzone myśli. To był dla mnie Nestor, jego istota.

— Shannon?

Miał na sobie spłowiałe dzinsy, marynarkę. Uśmiechnął się i uściśnął mi dłoń.

— Mój Boże, to ty. Wyglądasz... niesamowicie – powiedział, oczy miał nadal promiennie niebieskie. – Nie postarzałaś się chyba nawet o dzień. To

już prawie dwadzieścia lat?

— O wiele za długo – odparłam. Był zmieniony przez wiek, ale jak wyprawiona skóra, miał nabity tułów i barki. Siłownia, uznałam. – Ty też dobrze wyglądasz – dodałam, przypominając sobie, jak naturalnie wydawałoby się nachylić ku niemu i wejść w jego objęcia w innej linii czasu, ale tutaj łączyły nas tylko miejsca zbrodni, dziesięciolecia temu. – Myślę, że ostatni raz widzieliśmy się w Buckhannon.

— Tuż przed śmiercią Brocka – powiedział. – Martwiłem się o ciebie, tym, że zniknęłaś. Przez dłuższy czas pytałem o ciebie, ale nikt mi nic nie powiedział.

— Jak twoje ramię? – zapytałam. – Wydaje mi się, że kiedy widzieliśmy się ostatnio, odjechałeś karetką.

Dotknął bicepsa, złota obrączka na palcu. Oczywiście, że tutaj mógł być żonaty; to nie powinno zakłuć. Pomasował miejsce, w którym przeszła go kula Jareda Bietaka.

— Stare rany nigdy się nie goją – stwierdził.

Poszedł po drinki, a ja czekałam w jednym z półokrągłych boksów, lobby z barem w Courtyard Marriott jak poczekalnia lotniskowa, elegancja nocnego klubu, ale wygodne jedynie wtedy, gdy człowiek udaje się gdzieś indziej. Przy pobliskim stole wieczór paniński, torby z prezentami, balony. Dziewięć kobiet, ale trzy migotały sporadycznie, chwilowe zaniki, ich audio i wideo traciły synchronizację za każdym razem, gdy się śmiały. Iluzje, pojęłam, obecne jedynie w ambiencji, w dodatku kiepskie połączenie. Niektóre z nich przyjrzały się uważnie Nestorowi, gdy niosąc nasze drinki, mijał ich stolik, zerknęły w moją stronę, żeby zobaczyć, kto mu towarzyszy.

— Byłam na morzu – powiedziałam, kiedy zapytał o moje losy po samobójstwie Torgersena i śmierci Brocka.

— Nie zjawiałaś się na pogrzebie – stwierdził. – Szukałem cię.

— Przykro mi z powodu tego, co mnie ominęło.

Nestor awansował, wiedziałam o tym, a kiedy spytałam go o pracę, odparł:

— Po jedenastym września nie prowadziliśmy wielu dochodzeń związanych z terroryzmem wewnętrznym. Skupiliśmy się na terroryzmie międzynarodowym, na Al-Kaidzie. Dopiero po ataku na Stennis zwróciliśmy ponownie uwagę na rodzimych psychopatów.

Stennis: SSC, John C. Stennis Space Center, ośrodek NASA, w którym

mieścił się oddział terenowy Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej. Oficjalnie centrum Stennis prowadziło badania oceanograficzne, ale trwała tam także tajna współpraca DMK i NASA, testy silników rakietowych i eksperymentalnych. To, jak swobodnie wspomniał o Stennis, sugerowało, że większość ludzi wiedziałaby, o co mu chodzi.

— To było powiązane z Buckhannon? – zapytałam aluzyjnie.

— Tak sądzimy – odparł Nestor. – Coś ci pokażę. Organy ścigania. Philip Nestor, 55-828.

Kiedy wypowiedział swoje nazwisko, między nami pojawiło się godło FBI, kolejna iluzja ambientu, ale tak realistyczna, jakbym mogła jej dotknąć. Nestor poprosił, żebym się przedstawiła, a gdy to zrobiłam, ambient ujawnił dane zgromadzone na temat działalności terrorystów wewnętrznych. Glify pokryte tekstem, zdjęcia wraków pociągów pasażerskich, okaleczone ciała, budynki rządowe zamienione w gruzy.

— Są pracowici – stwierdziłam, przyglądając się uważnie obrazom, biegowi wypadków, które mogły się zdarzyć. Przeczucia O’Connora były słuszne. To, co oglądałam, uwiarygodniało jego pogląd, że sieć Hyldekruggera atakowała obiekty rządowe, zwłaszcza marynarki wojennej i federalnych organów ścigania.

— Nie przypominają innych organizacji – powiedział Nestor. – Nie nagłaśniają swoich działań ani nie przypisują sobie zamachów, więc nie cieszą się taką uwagą mediów jak Al-Kaida czy ISIS. Relacje dziennikarskie mówią o aktach „rozprzestrzeniającego się terroryzmu samotnych wilków”, „antyrządowej paranoi”, być może organizowanych przez sieci bojówek. My sądzimy, że wszystkie te ataki są powiązane z Buckhannon; przeprowadzone przez tych samych planistów. I tak, są pracowici.

Przebiegłam wzrokiem tytuły akt: [2003] *Zamach na Stennis*, [2005] *Zamach w metrze waszyngtońskim*, [2007] *Zamach na Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych*, [2008] *Zamach na NSASP*, [2011] *Zamach na Pentagon*.

— Pokaż Stennis Space Center – powiedział Nestor, a plik się rozwinął, stolik między nami stał się planem ośrodka w Missisipi, szkody ogniowe w budynku, w którym mieściło się Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej. – Ten zamach połączyliśmy z Buckhannon głównie ze względu na *modus operandi* – wyjaśnił – na ich utrzymującą się zdolność do werbowania rekrutów spośród personelu ośrodków o wysokim poziomie bezpieczeństwa.

— Ludzie z certyfikatami dostępu – stwierdziłam. Echa. – Kto?

— Żołnierz piechoty morskiej ostrzelał to miejsce, wysadził się w powietrze, kiedy ochrona skierowała na niego ogień – odparł Nestor. – Tym jednak, o czym media nie mogły mówić, było podobieństwo do planowanego ataku na ośrodek SISK. Znaleźliście z Brockiem plany tamtego budynku, o ile pamiętam. W Buckhannon.

— Sarin? – zapytałam.

— Napastnik zdetonował bombę, którą przeschmugłował do laboratorium wszytą w odbyt. Jego ciało pochłonęło większość energii wybuchu, co ocaliło życie wielu ludziom. Przerazający widok, ale był jedyną ofiarą śmiertelną eksplozji. System przeciwpożarowy został wypełniony sarinem, co odkryto w wyniku kontroli bezpieczeństwa, ale ciało sprawcy ograniczyło wybuch do tego stopnia, że system gaśniczy się nie uruchomił. Marine był samotnym wilkiem.

— Zaczął więc strzelać, a potem wysadził się w powietrze – zrekapitulowałam.

— Zanim zdetonował bombę, zabił pięć osób, a ranił osiem – odparł Nestor. – Strzelając na oślep, zabił kilku naukowców. Pomyślałem, że ty i ja moglibyśmy połączyć siły w tej sprawie.

— Musiałeś współpracować z NCIS – powiedziałam, czując dreszcz z powodu wrażenia déjà vu wywołanego jego słowami.

— Tak, a konkretnie sprawdziliśmy broń, z której strzelał żołnierz piechoty morskiej – wyjaśnił. – Przeprowadziliśmy testy balistyczne, ale otrzymaliśmy błędne wyniki. Raport balistyczny wskazywał na broń kalibru dziewięć milimetrów, która była już w naszym posiadaniu, znaleziona po zastrzeleniu Patricka Mursulta. Okazuje się, że testy balistyczne pocisków pasowały także do pistoletu Ryana Wrigleya Torgersena zbadanego w następstwie wydarzeń w jego domu, eksplozji.

— Raport balistyczny dopasowywał wszystkie trzy pistolety? – zapytałam.

— Chciałem cię wezwać – powiedział Nestor. – Próbowałem dotrzeć do ciebie, dowiedzieć się, czy mogłabyś zeznać, że te trzy wskazania są błędne, ale nie mogłem cię znaleźć. A potem były kolejne.

— Inne dopasowania? – zapytałam.

— Sędziowie są skłonni odrzucać raporty balistyczne w procesach, w których występują takie problemy. Ale tak, były także inne dopasowania.

Oznaczamy te sprawy, określamy możliwy związek między Mursultem i Torgersenem, Stennis Space Center, ale wskazania mogą być po prostu wynikiem błędów w bazie danych.

— Muszą być powiązane – stwierdziłam.

— Obserwujemy te dopasowania, kiedy się pojawiają – ciągnął Nestor. – Nie mamy tylko otwartych indywidualnych dochodzeń. Wiele z tych śledztw jest ściśle lokalnych, sprawy, w które Biuro nie jest zaangażowane, a władze i politycy chcą, żeby je zamykać, pragną skazań, więc pozwalamy im działać. Stennis to był informacyjny koszmar, marine atakujący własny kraj. Nie chcieliśmy, żeby te wyniki dopasowań balistycznych trafiły do wiadomości.

Co takiego powiedział mi kiedyś Nestor? W naszej innej przyszłości, w chwili intymności. Że przez lata żywił nadzieję, iż nasze ścieżki się skrzyżują, że chciał skonsultować ze mną dochodzenie. Wtedy także istniały błędne dopasowania w raporcie balistycznym, z którym pracował, w tamtej innej przyszłości, w protokole, który dopasowywał pociski wyjęte z ciała Mursulta, dokładnie tak jak teraz. Poczuałam się, jakbym w domu, gdzie mieszkałam od lat, odkryła nowe drzwi wychodzące na korytarz, którego nigdy wcześniej nie zauważyłam. Beretta M9 w posiadaniu FBI, związana z zastrzeleniem Patricka Mursulta, M9 znaleziona u Torgersena, M9, którą posłużył się żołnierz piechoty morskiej podczas masakry w Stennis – ta sama beretta M9, raz po raz. Echa, powielona broń.

— Opowiedz mi więcej o tych błędnych dopasowaniach – poprosiłam. – Interesuje mnie ten szczegół.

— FBI stworzyło bazę danych zawierającą profile balistyczne znalezionych egzemplarzy broni i mamy także dostęp do baz danych lokalnych organów ścigania, z kilkoma wyjątkami – wyjaśnił.

— Kiedy zaczęliście się posługiwać tą bazą?

— To nowość, może dziesięć lat temu, mniej więcej.

— Zatem dopasowania balistyczne nie zostałyby odkryte przed... którym, 2005 rokiem? Jakoś tak?

— Taa, mniej więcej w tym czasie, ale może później, bo dodali starsze raporty do tej bazy dopiero wtedy, gdy zaczęli działać na pełnych obrotach.

— Mogę zobaczyć listę?

— Błędnych dopasowań? Baza danych nie jest tak pomocna, jak byśmy chcieli, bo dostajemy ich bardzo dużo, ale, jak powiedziałem, trzymamy rękę na pulsie.

Nestor poprosił system ambientowy o pokazanie błędnych dopasowań balistycznych związanych ze strzelaniną w Stennis Space Center. Pojawiły się plamki światła, rosnąc do postaci faksymiliów raportów zbiorczych. Pierwsze sprawozdanie dotyczyło pocisków wyjętych z ciała Patricka Mursulta w marcu 1997 roku. Były inne dopasowania do tych kul: strzelanina w Stennis Space Center, broń Torgersena, kolejne zabójstwo w 2009 roku, ale moją uwagę przykuło zabójstwo z 24 marca 1997 roku, zaledwie kilka tygodni po śmierci Mursulta, do którego nie doszło jednak jeszcze na terra firma.

— A co z tym? – zapytałam, wskazując plik w świetle ambientu między nami. – Durr?

— Carla Durr, adwokatka – odparł Nestor. – Zastrzelona w części restauracyjnej centrum handlowego Tysons Corner w Wirginii.

Adwokatka. Marian wspomniała, że jej ojciec spotykał się przed śmiercią z prawniczką.

— Muszę zobaczyć akta tej sprawy – zwróciłam się do Nestora. – Carla Durr. Potrzebuję wszystkiego, co wiąże się z zabójstwem tej kobiety. Ile czasu zajmie ci dostarczenie mi tych raportów?

— Możemy je przejrzeć w tej chwili – odpowiedział Nestor. – Będziemy w stanie zobaczyć miejsce zbrodni, ale tutaj to nie będzie dobrze działało, za jasno. Wynajmę pokój, opłacę system ambientowy. Możemy się temu przyjrzeć.

— Mam pokój – powiedziałam.

Podobne przyciąganie, jakie czułam za pierwszym razem. Kiedy jechaliśmy na moje piętro, Nestor zdawał się jarzyć w świetle lamp sufitowych windy. Pewność siebie, swoboda, zapach płynu po goleniu – nic przypominającego nieporządną brodę i ciepłe flanele złamanego mężczyzny, którego znałam wcześniej. Wtedy był niedokończony w taki sam sposób, w jaki ja czułam się nadal niedokończona, i razem mieliśmy wówczas nadzieję stworzyć jakąś całość, ale tutaj układanka była już skończona, nie pozostało żadne puste miejsce, do którego bym pasowała.

— Jesteś żonaty? – zapytałam.

— Shannon – powiedział. A po chwili: – Taa, za kilka miesięcy będzie piętnaście lat. Ginny.

— Wirginia?

— Poznaliśmy się na rekolekcjach kościelnych – wyjaśnił Nestor. – Jest



śpiewaczką, wykonuje muzykę współczesną.

Wyobraziłam ich sobie, może fajną parę w ich kościele, nawet kiedy się postarzel, śpiewaczka i agent FBI będący gospodarzami podczas barbecue i godzin biblijnych w swoim pięknym domu, piwo na ganku, kiedy on raczył innych mężczyzn w średnim wieku opowieściami o dokonanych przez siebie aresztowaniach, o tym, jak przed dwudziestu laty został ranny w trakcie strzelaniny. Zastanawiałam się, jak ona wygląda.

— Pamiętam, że byłeś religijny – powiedziałam, myśląc o tej innej jego wersji, o samotnym facecie w salonie domu w Buckhannon, otoczonym przez pola śmierci i dawnych zabójstw, kontemplującym obraz martwego Chrystusa. Chciało mi się śmiać z powodu kaprysów losu. Nie ma istoty, nie ma sedna. – Pytałeś mnie, czy wierzę w życie wieczne. O co chodziło? O zmartwychwstanie ciała?

— Ach, przepraszam, jeśli tak się zachowałem – odparł. – Brzmi jak coś, co mógłbym wówczas powiedzieć. Przykro mi, jeśli to jest to, co o mnie pamiętasz. Trochę żenujące, nie uważasz?

— Dobrze, że sobie kogoś znalazłeś.

— Układa nam się – przyznał. – Mamy dziesięcioletnią córkę, Kaylę. Wypełnia nam czas.

— Wydajesz się szczęśliwy.

— Ty nigdy...?

— Nie – odparłam, wychodząc przed nim z windy. – Nie znalazłam nigdy nikogo, kto by ze mną wytrwał.

Miałam zwyczaj zostawiać na gałce drzwi tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ, ale stan pokoju na tym cierpiał, podłogę łazienki zaścielały wilgotne ręczniki, pościel zsunęła się z łóżka w wyniku niespokojnego snu. Posprzątałam pośpiesznie najlepiej, jak umiałam, zdejmując części garderoby z oparc krzesel i wpychając bieliznę do sportowej torby. Układ sterowania ambientem znajdował się obok termostatu, panel pełen przycisków, przy których nigdy nie gmerałam. Nestor włączył system i wywietrzniki zaszumiały, wypełniając pomieszczenie nanocząsteczkami niesionymi przez powiew ciepłego powietrza z wonią ozonu. Zaszwedziało mnie w nosie.

— Dużo kurzu – odezwał się Nestor. – Będziemy musieli oglądać z twojego łóżka, to będzie w tamtym miejscu... No, proszę. Dziewięćdziesiąt sześć procent, znakomicie.

Dziewięćdziesiąt sześć procent to był poziom nasycenia, wiedziałam przynajmniej tyle, chociaż nie miałam pojęcia, co to konkretnie oznacza. Dziewięćdziesiąt sześć procent powietrza wypełniały nanocząsteczki? Czy może dziewięćdziesiąt sześć procent optymalnego poziomu, przy którym działał system? Wiedziałam, że je wdycham, mikroskopijne maszyny w moich płucach, we krwi; wiele godzin nasycenia nimi zabarwi mój mocznik na pomarańczowo. Czytałam obszerne opracowanie o ludziach, którzy nawdychali się tyle ambientu, że ich płuca wyglądały jak pokryte srebrną folią. Nestor zdjął marynarkę, powietrze stało się duszne, podwinął rękawy koszuli.

— Możesz zgasić światła? – poprosił, a ja zaciągnęłam zasłony i wyłączyłam lampy, ale pokój nadal był jasny.

Zdawał się jarzyć od wewnątrz, jakby samo powietrze było rozświetlone, nie było jednak cieni, łagodne światło emanowało ze wszystkich stron jednocześnie. Pierwszym obrazem, jaki się zmaterializował, było zdjęcie otoczenia hotelu i plaży, kobiet w kostiumach kąpielowych, które piły żółto-zielone koktajle z likierem chartreuse obok wodospadu basenowego, logo Courtyard Marriott, dania service roomu, możliwości „ocenić” i „udostępnić”.

— Witam i zapraszam do systemu ambientowego Phasal Courtyard Marriott – rozległ się radosny kobiecy głos. – Rejestrujemy dwoje nowych użytkowników. Oferujemy niezwykley wybór dodatkowych środowisk w celu zwiększenia waszych...

— Organy ścigania, 55-828 – przerwał Nestor. – Nestor Philip.

Pokój się zmienił, nie było już hotelu i plaży z opalonymi kobietami, tylko obracające się godło FBI, Krajowe Centrum Informacji Kryminalnych.

— Szukam sprawy z 1997 roku – powiedział Nestor. – Zabójstwo, hrabstwo Fairfax w Wirginii. Nazwisko ofiary D-U-R-R Carla.

Unoszący się emblemat wirującej kuli został zastąpiony przez wiszący numer sprawy i nazwisko CARLA DURR. Widziałam je jak w lustrze, póki nie przeszłam przez pokój i iluzję i nie stanęłam obok Nestora.

— To ta – potwierdził. W pomieszczeniu pojawiły się inne obrazy, szereg glifów. – Wielkość naturalna – poleciał i glify zmieniły rozmiar na arkusze o bokach dwadzieścia jeden na trzydzieści centymetrów, pokój wypełniła zamieć papierów. Nestor wyciągnął rękę, żeby wyłowić z powietrza jeden dokument, a obraz zareagował, jakby trzymał prawdziwą kartkę, a nie po prostu prostokąt światła, mimo że było to uporządkowanie

tysięcy, może milionów robotycznych pikseli.

— To niesamowite – powiedziałam prawdziwie zaskoczona realizmem systemu ambientowego. Większość efektów w jego obrębie przypominała trójwymiarową telewizję. Rozumiałam intuicyjnie tego rodzaju złudzenie – stoper Health Mode, osobistego trenera – ale to...

— Model w skali – odezwał się Nestor. – Połącz zdjęcia od trzeciego do trzysta pięćdziesiątego piątego.

Pomieszczenie nie było już wypełnione papierzyskami, to w ogóle nie był już pokój hotelowy, ale część restauracyjna w centrum handlowym, popołudnie, taśma policyjna oddzielała kontuar i kasę knajpki z burgerami Five Guys. Iluzja była doskonała, pomijając delikatny zarys konturów mojego łóżka i innych mebli, galeria handlowa rozciągała się we wszystkie strony, kolejne restauracje, korytarze ze sklepami, jakbym mogła tam wejść, lawirować między stolikami, zjechać ruchomymi schodami...

Widziałam trójwymiarowe przedstawienie miejsca, w którym zginęła Carla Durr, kilkaset zdjęć z miejsca zbrodni zesztukowanych razem w celu stworzenia idealnej symulacji. Zwłoki leżały na brzuchu w pobliżu lady z hamburgerami, kobieta w zaawansowanym wieku średnim, kostki nóg i kolana poznaczone marmurkiem żyłakowatych naczyń krwionośnych, które przebijały przez cieliste rajstopy. Miała na sobie ciemnoniebieską spódnicę i żakiet, głowa była pomarańczowym kołtunem. Została postrzelona kilkakrotnie w tułów i raz w skroń, trafienie, które z pewnością przeszło mózg. Kupowała hamburgery, kiedy oberwała, wokół niej leżały rozrzucone frytki, kałuża krwi, jakby wylała sobie na twarz butelkę ketchupu. Podeszłam, żeby przyjrzeć się z bliska ciału, ale uderzyłam w ramę łóżka.

— Dostała w plecy – zauważyłam. – Stała przy kasie, gdy ktoś podszedł od tyłu i strzelił do niej kilka razy.

— Carla Durr, adwokatka praktykująca w Canonsburgu w Pensylwanii – powiedział Nestor.

— Canonsburg? – powtórzyłam. – Musiała być prawniczką Mursulta.

— Adwokatka Mursulta? – zdziwił się Nestor. – Ciekawe. Oznakowaliśmy powiązanie z Canonsburgiem, jak pamiętam, ale nie mieliśmy nic szczególnego, co łączyłoby ją z Mursultem. Durr została zastrzelona w centrum handlowym Tysons Corner w poniedziałek po południu, około piętnastej czterdzieści. Dwudziestego czwartego marca 1997 roku. To blisko daty zabójstwa Mursulta.

— Zaledwie kilka tygodni później – powiedziałam. Będę miała czas to powstrzymać. – A kim był morderca? Kto ją zabił? – zapytałam.

— Nierozwiązana sprawa – odparł Nestor. – Świadkowie opisują białego mężczyznę w czarnym mundurze polowym. Nie aresztowano nikogo.

— Nierozwiązana, ale powiedziałaś, że broń była ta sama?

— Nie, nie broń. Pociski zebrane po strzelaninie w Stennis Space Center odpowiadają siedmiu kulom wyjętym z ciała Durr.

— A także tym z zabójstwa Mursulta? – zapytałam. – I pasują do broni Torgersena?

— Zgadza się. Dopasowanie do pistoletu Torgersena przyszło później, po tym, gdy jeden z techników oddał strzały próbne i wprowadził dane balistyczne do systemu.

— Dlaczego jednak zabójstwo Mursulta nie zostało połączone od razu z zastrzeniem Durr? – zapytałam. – Oba morderstwa dzieliły tylko tygodnie.

— Prawda, ale pamiętaj, że nie potwierdzono tych dopasowań, póki nie poddaliśmy testom broni użytej podczas masakry w Stennis, całe lata po zabiciu Mursulta i Durr – wyjaśnił Nestor. – Stało się to dopiero wtedy, gdy ogólnokrajowa baza danych została stworzona i uruchomiona, a ktoś miał czas i fundusze, żeby wprowadzić te starsze sprawy, zamknięte i nierozwiązane. Te dwa zabójstwa dzieliło tylko kilka tygodni, ale dopasowania balistyczne poznaliśmy dopiero po latach. Z początku uważaliśmy je za pomyłki, błędy w nowym systemie.

Pomyłki i powielone bronie – powiązanie śmierci od kul. Hyldekrugger mógł się wydawać niewidzialny, ale mimowolnie jego sieć zostawiła wzorzec zabójstw, który był widoczny jak ścieg krzyżykowy.

Pomieszczenie wokół nas się zmieniło, część restauracyjna zniknęła, zastąpiona przez zdjęcie Carli Durr unoszące się nad moim łóżkiem. Profesjonalna fotografia portretowa brzydkiej kobiety o wydatnych ustach i żabich oczach, które zdawały się wyskakiwać z orbit.

— Co jeszcze o niej wiemy? W ogóle cokolwiek?

— Specjalizowała się w negocjowaniu umów – wyjaśnił Nestor. – Praktykowała w Canonsburgu, jak powiedziałem. W jaki sposób jest powiązana z tymi aktami terroru wewnętrznego, Shannon? Z Buckhannon? Powiedziałaś, że była prawniczką Patricka Mursulta. Skąd to wiesz?

— Nie wiem – odparłam. – Nic konkretnego w każdym razie. Ale ona

jest z Canonsburga, jak mówiłeś, i mamy dopasowanie balistyczne, a to związek, który mi wystarczy, żeby zaryzykować domysł, kim była. Przed śmiercią Patrick Mursult spotykał się ze swoją adwokatką. To mogła być ona. Nie wiem, w jakim celu się spotykali. I to wcale nie musiała być jego prawniczka. Może to jedynie zbieg okoliczności, że pochodziła z Canonsburga, ale wątpię, żeby to był przypadek.

— Taa, ja też. Tutaj jest coś – powiedział Nestor, przeglądając inne dokumenty. – Wygląda na to, że tamtego dnia Carla Durr była umówiona z kimś na lunch, z facetem nazwiskiem... Z doktorem Peterem Driscollem. Cholera jasna, słyszałem o tym gościu. To jest... – Umilkł, czytając akta, zmarszczył czoło ze skupienia. – Driscoll – odezwał się znowu. – Nie miałem pojęcia, że jego nazwisko wypłynie tutaj. Wtedy nie wiedziałem o Driscollu. Mamy jego zeznanie w związku ze śmiercią Durr, ale niczego niewnoszące. Podczas strzelaniny był w toalecie, nic nie widział.

— Kto to jest? – zapytałam.

— Zamknij system – polecił Nestor i ambient zniknął, pozostawiając nas w ciemności, póki nie znalazłam lampki nocnej i nie włączyłam jej. Siedział na moim łóżku. Wzrok miał wzburzony, był pogrążony w myślach. – Doktor Peter Driscoll pracował w Phasal Systems jako „naczelnny inżynier”.

— Phasal Systems? Masz na myśli to, że zajmował się ambientem? – zapytałam, zastanawiając się, czy inna wersja doktora Petera Driscolla odkryje kiedyś lek na raka.

— Moje związki z nim zaczęły się... To było jeszcze w 2005 roku, może w 2006 – powiedział Nestor. – FBI prowadziło śledztwo w sprawie grupy fizyków z Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej w Waszyngtonie, dochodzenie zakrojone na szeroką skalę. Zarzuty przekazywania poufnych informacji z biura senatora przyszłym założycielom Phasal Systems.

— Wykorzystanie poufnych informacji w transakcjach?

— Tak, ale nie tylko to – odparł Nestor. – Tajemnice wojskowe wykorzystane w sektorze prywatnym. Sztuczna inteligencja, systemy rzeczywistości wirtualnej. FBI prowadziło dochodzenia w sprawie zabójstw w Stennis oraz grupy naukowców z Dystryktu Kolumbii, wszystkich z Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej. Próbowaliśmy wytropić związki.

— I Driscoll był celem dochodzenia?

— Był założycielem Phasal Systems, ale nie obiektem śledztwa, miał

być świadkiem – wyjaśnił Nestor. – Pojawiły się zarzuty, że członkowie Senackiej Komisji Sił Zbrojnych przekazują tajne informacje naukowcom, którzy założyli Phasal, oskarżenia o korupcję. Zanim jednak Driscoll zaczął z nami współpracować, został zabity przez agentkę FBI. Zrządzeniem losu przez jedną z moich podwładnych. Byłem jej przełożonym.

— Co się stało? – zapytałam. Narastający niepokój: to, co mówił, brzmiało znajomo, ale kiedy go znałam, to Nestor zabił kogoś, będąc na służbie, a Brock wspomniał, że FBI prowadzi śledztwo w związku z podejrzeniami o związki korupcyjne między rządem a Phasal Systems. Różne trajektorie, ale jak zmienione odbicia tej samej prawdy. – Powiedz mi, kto zabił tego człowieka. Kto go zastrzelił?

— Tajna agentka Vivian Lincoln – odpowiedział Nestor. – Ten incydent zastopował kompletnie jej karierę. W zaistniałych okolicznościach nie dawała sobie rady ze stresem, ale wielu ludzi z FBI oskarżało ją o storpedowanie ich śledztwa, podejrzewali, że... To prześladowa ją po dziś dzień, utknęła w martwym punkcie, nie może awansować. To nie w porządku i są ludzie, którzy ją wspierają. Narobiła sobie jednak w Biurze potężnych wrogów.

— Jakie dochodzenie prowadziła? Dlaczego znalazła się w sytuacji, w której mogła zastrzelić tego człowieka?

— Ciągące się śledztwa, pączkujące ze sprawy laboratorium broni chemicznej w Buckhannon oraz innych przypadków terroryzmu wewnętrznego – powiedział Nestor. – Vivian była jedną z moich tajnych agentek. Nawiązała kontakt z facetem nazwiskiem Richard Harrier.

— Harrier – powtórzyłam. – To ten. Za jego furgonetką dotarliśmy do laboratorium broni chemicznej. Aresztowaliśmy go wiele lat temu. Miał romans z panną Ashleigh.

— Ten sam gość – potwierdził Nestor. – Ale to było wiele lat później. Facet został wysłany, żeby zabić Driscolla. Vivian mówi, że próbowała zapobiec strzelaninie, ale sprawy się schrzaniły. Działała w obronie własnej. Dochodzenie wewnętrzne ciągnęło się całymi latami. Została oczyszczona z wszelkich zarzutów.

— Mogę z nią porozmawiać? – zapytałam. – Jest nadal w okolicy?

— Taa, wciąż u mnie pracuje, w Wydziale Terroryzmu Wewnętrznego – odparł. – Jest znakomitą agentką. Jutro możemy porozmawiać z nią w biurze. Zadzwoń do ciebie rano, kiedy się z nią skontaktuję. Odwołam wszystkie

spotkania i możesz przyjechać.

Nestor wyszedł koło północy, obiecując podzielić się wszelkimi dalszymi informacjami, jakie uda mu się zdobyć na temat Carli Durr. Zrobiłam notatki na papeterii hotelowej – *Wiele egzemplarzy identycznych pistoletów* – zastanawiając się, czy są jeszcze inne. Echa broni...

Podarłam zapiski, zaczęłam nowy arkusz. *LBMW*, napisałam i wypełniłam litery obrazkami. *Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej*, skreśliłam słowa. *Senacka Komisja Sił Zbrojnych*, napisałam. *LBMW, Phasal Systems. Lekarstwo na raka albo ambient. Nanotechnologia.*

*Doktor Peter Driscoll*, napisałam. *Driscoll, Durr...*

To przypominało słuchanie dysonansu, pragnienie rozpuszczenia dźwięków. Podarłam resztę notatek, wzięłam prysznic, żeby uspokoić myśli. Siedziałam w wannie, w szumie wody z prysznicą, w pieniącym się rumiankowym płynie do kąpieli, namydlając szamponem włosy, myśląc o Nestorze. W innej naszej wspólnej przyszłości Nestor postrzelił kogoś w samoobronie, co zrujnowało mu karierę w FBI; czy chodziło o Driscolla? Zabił go w tamtej NTP? Tutaj palec losu dotknął inną agentkę. Woda z prysznicą odbijała się od moich napiętych mięśni, opływał mnie gorący strumień. Carla Durr została zamordowana dwudziestego czwartego marca; mogę zapobiec jej śmierci, po powrocie na terra firma mogę pójść do centrum handlowego Tysons Corner, przeszkodzić w jej zastrzeleniu, aresztować zabójcę. Tutaj nierozwiązane zabójstwo, ale mogę zacząć się na sprawcę. Sny na jawie o stolikach w części restauracyjnej, rozmazane tłumy, rojne centrum handlowe, zauważam mężczyznę w czarnym mundurze polowym, Hyldekruggera, ale jego twarz to czaszka. Usiadłam na brzegu wanny i wytarłam swoją kończynę, wsunęłam udo w gniazdo protezy. Bryzgi wody spod prysznicą, mokre plamy na łazienkowej terakocie, znalazłam solidne oparcie dla stóp, zanim zawierzyłam im swój ciężar, równowagę, zawsze poruszam się wolno, zawsze zagrożona upadkiem. Otworzyłam drzwi łazienki i zobaczyłam ją. Ktoś wszedł do mojego pokoju.

## 2

Siedziała na brzegu łóżka, zwrócona twarzą w przeciwną stronę. Burza ciemnych włosów. Kim jest? Przez chwilę byłam sparaliżowana. Nawiązałam z Nestorem tak swobodny kontakt, że straciłam z oczu możliwość, iż FBI mogło wiedzieć o moim pobycie tutaj, mogło kazać komuś przyjść do hotelu, wziąć mnie żywcem. Pomyślałam o broni w walizce. Chociaż być może istniał inny powód obecności tej kobiety. Miała na sobie koszulkę bez rękawów albo letnią sukienkę, coś na cienkich ramiączkach, co obnażało jej barki, a zaraz potem zauważyłam pomarańczowy czubek papierosa. Młoda kobieta paląca w moim pokoju. Pomyliła apartamenty? – zastanowiłam się, ale zasuwka na drzwiach była zamknięta od wewnątrz. Jakim cudem mogła wejść do niewłaściwego wnętrza?

Musiała być świadoma, że jestem tutaj, ale wydawała się na to obojętna. Dziewczyna, niewiele starsza od dziewczyny, wijące się smugi dymu unosiły się pod sufit, ale nie było zapachu tytoniu i czujniki nie zareagowały. Nie więcej jak szesnaście, siedemnaście lat, może młodsza, była tylko utrapieniem, może uciekinierką z domu, która zbłądziła tutaj dla zabawy. Może przez balkon? Mogła przejść z sąsiedniego pokoju? Włożyłam koszulę nocną, tkanina przylgnęła do mnie, nie wytarłam się dość dokładnie, z włosów kapłała mi woda. Słyszając moje ruchy, młoda kobieta się odwróciła.

Duch.

Taka sama, jaką widziałam ją ostatnim razem. Szesnaście lat, nie lubiła



Madonny, ale ubierała się jak ona. I tak była ubrana w tej chwili, miała na sobie to samo co w noc, kiedy zginęła. Różowa wstążka wpleciona w fale czarnych włosów. Miała lawendową minispódniczkę, która została zadarta nieprzyzwoicie w trakcie zabójstwa tamtej nocy, białe nagie uda między bliźniaczymi niebieskimi kontenerami na śmieci. Trampki Chucka Taylora, bez skarpetek; nigdy nie nosiła skarpetek.

— Courtney.

Wydmuchnęła dym, uchodził z jej ust i nosa – na siedzeniu pasażera wypuszczała dym przez okno samochodu, podczas gdy ja weszłam do Pizza Hut. Teraz, tutaj, Courtney w apartamencie hotelowym z pomarańczową tapetą w tureckie wzory, z narzutą na łóżko w kolorze rdzy. Zaciągnęła się papierosem, oczy miała piękne, jakby patrzyło się w głąb studni i widziało odbicia księżyca. To był cud albo okrutna sztuczka, musiało tak być. Wszystko wewnątrz mnie zdawało się zamieniać w wodę i odpływać.

Nie czujesz zapachu dymu. Wewnętrzny głos, cyniczny. Coś nie działa. Ambient...

Co by się stało, gdyby Courtney żyła? Mogłybyśmy oddalić się od siebie, ale Canonsburg był za mały, żeby naprawdę stracić ze sobą kontakt. Pomyślałam o mojej mamie, o nas dorastających, żeby stać się wersjami mojej matki, dziewczyny z Guntown. Ale nie dowiem się tego nigdy ze względu na to, co się stało: Courtney otworzyła drzwi auta przed żebrakiem, sięgnęła do torebki.

— Podziwiam twoją nogę – odezwała się.

Głos był nie taki, miał inną intonację. Idealna symulacja, z wyjątkiem głosu, jej był zawsze podszyty tonem znudzenia. Ta Courtney miała więcej werwy, była bardziej prowokacyjna.

— Kim jesteś? – zapytałam, ocierając łzy. – Z kim rozmawiam? – ciągnęłam urywanym głosem, jakbym zadawała pytanie tablicy ouija.

— C-leg, co? 3C100 – powiedziała Courtney. – Ottobock. Zaprezentowana na Światowym Kongresie Ortopedycznym w Norymberdze... w 1997 roku, zgadza się? Niedostępna w handlu przed 1999 rokiem, ale sądzę, że miałabyś swoje dojścia. Zalety pracy dla rządu. To stamtąd pochodzisz, z 1999?

To stamtąd pochodzisz? Courtney – kimkolwiek ta Courtney była – wiedziała o podróży w czasie.

— Korzystam z prototypu – odparłam. – Testuję jako użytkownik.

— Bateria litowo-jonowa, przypuszczalnie nie możesz zamoczyć tej protezy – stwierdziła Courtney. – Nie brałaś z nią tuszu, co?

— Nie byłam pod prysznicem – odpowiedziałam, zastanawiając się, co to jest. Ambient, byłam pewna, iluzja, jak symulacja miejsca zbrodni. Ale czy była marionetką? Kto nią sterował? – Przypuszczalnie nie powinnam mieć jej ze sobą w łazience – wyjaśniłam. – Z powodu pary.

— Musisz ładować baterię? Jak często?

— Raz dziennie, może częściej – powiedziałam. – Sugerujesz, że wiesz, iż znajdujemy się w NTP. Nie niepokoi cię, że wszystko tutaj istnieje wyłącznie dla mnie?

Courtney zaciągnęła się papierosem.

— Podejdz bliżej – poprosiła. – Niech ci się przyjrzę.

Kadencja, której Courtney nigdy nie miała. Zbliżyłam się. Siedziała nadal, głowę miała na poziomie mojego pasa. Podsunęłam rąbek koszuli nocnej na wysokość biodra, odsłaniając całość mojej protezy, skórę uda. Courtney włożyła papierosa do ust i pochyliła się, żeby przyjrzeć mi się dokładniej. Mój szampon, wilgotna skóra, wilgotna tkanina koszuli, ale nadal nie docierał do mnie zapach jej papierosa, mimo że dym z jej ust opływał mnie i unosił się pod sufit, wirując. Wciągnęłam go do płuc i nic nie poczułam.

— Bardzo dobra – powiedziała, dotykając sztucznej goleni. – Sensory hydrauliczne w kolanie. Zegnij ją, proszę.

Podniosłam nogę, mikroprocesory w przegubie kolanowym zareagowały i kolano się zgięło. Courtney dotknęła go, dotknęła miejsca, w którym mankiet z włókna węglowego obejmował skórę uda.

— Jesteś w ambientie – odezwałam się. – Nie czuję zapachu twojego papierosa.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam włosów Courtney albo ich aproksymacji, tysiące nanobotów odbijało się od skóry moich palców, stwarzając wrażenie kontaktu z włosami młodej kobiety.

— Wykorzystuję ambient w twoim pokoju, żebyśmy mogły porozmawiać – powiedziała Courtney. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— Nie, nie mam – odparłam.

Byłam tutaj sama. Kto mnie obserwował? Opuściłam koszulę nocną.

— Dlaczego wybrałaś Courtney? – zapytałam.

— Głos pozbawiony ciała mógłby sprawić, że uznałabyś, iż słyszysz go w głowie – wyjaśniła Courtney, stukając się w czoło. – Musiałabym cię uspokoić, przekonać, że jestem realna. Zastanówmy się więc... Naprawdę nazywałeś się Shannon Moss, ale twój *nom de voyage* brzmi Courtney Gimm. Niezbyt trudno zgadnąć, ku czemu skłania się twoje serce. Skompilowałam ten obraz ze zbioru zdjęć z miejsca zbrodni i sekcji Courtney Gimm. Są tam wszystkie, wszystkie te fotografie czekają na każdego, kto ma ochotę je obejrzeć. Jeśli nie chcesz rozmawiać z Courtney taką, jaka była za życia, to co powiesz na to? – Przewróciła się na łóżko, na wznak. Zmieniła się, zwłoki raczej niż żywa dziewczyna, rozwalona, spódniczka zadarta do pasa, białe nogi, bardzo białe. Gardło miała poderżnięte, przecięte tak głęboko, że było to bliskie dekapitacji, martwe oczy, brązowa krew, wszędzie brunatna krew. – Myślisz o mnie w taki sposób, prawda? – Głos był bełkotliwy, z przydechem.

Wysilek woli, żeby nie odwrócić wzroku.

— Dość – powiedziałam. – Kim jesteś?

— W pewnym sensie jestem kimś – odparła Courtney, siadając ponownie, a z ziejącej rany na jej szyi płynęła jaskrawoczerwona krew, tryskając na piersi. – Pozwól, że się przedstawię. Jestem doktor Peter Driscoll. Albo jego symulacja – dodał system. – Prawdę mówiąc, jestem trzecią symulacją Petera Driscolla. Ale obawiam się, że także ostatnią.

— Peter Driscoll – powtórzyłam, zastanawiając się, z kim lub z czym naprawdę rozmawiam. Z trupem. – Twierdzisz, że jesteś osobnikiem, który miał się spotkać z Carlą Durr w restauracji w Tysons Corner po południu tego dnia, kiedy została zastrzelona?

— Tak, albo raczej to byłby prawdziwy doktor Peter Driscoll. Jak powiedziałem, jestem trzecią symulacją Petera Driscolla – sprostowała iluzja i w mgnieniu oka nie była już Courtney, ale kościstym facetem o oczach jak ciemne klejnoty i z burzą srebrnobiałych włosów. – Carla Durr? – powtórzył i zmrużył oczy, przywołując wspomnienie. – To dlatego się mną interesujesz? Nadmieniałś, że znajdujemy się w NTP. Z jak odległej przeszłości pochodzisz?

— Z 1997 roku – odparłam.

— C-leg, Carla Durr – stwierdziła symulacja. – To byłby marzec 1997 roku, może kwiecień?

— Marzec – powiedziałam.

— Ach, maj tamtego roku – odezwała się symulacja. – Uważaj po powrocie do domu, ptaszyno, ponieważ w maju Deep Blue wygra z Kasparowem. Co za dzień! Komputer pokona arcymistrza we wspaniałej grze w szachy, czyniąc ją na zawsze bezprzedmiotową.

Driscoll zmienił się, nie był już białowłosym naukowcem, ale mężczyzną w średnim wieku, o poważnym spojrzeniu, mającym na sobie niebieski garnitur, bez krawata, kołnierzyk koszuli rozpięty.

— Na cześć Deep Blue będą przez chwilę istniał jako Kasparow – stwierdziła symulacja głosem zmienionym, niższym. – Zagrałabyś ze mną w szachy, Shannon? Ja będę Kasparowem, a ty możesz być Deep Blue. W ten sposób odpokutuję za ludzkość. Czy też może to jest to, co ty usiłujesz uczynić? Nie grasz przypadkiem w szachy, co?

— Chcę wiedzieć, dlaczego tutaj jesteś – powiedziałam. – Nie wiem, czym jesteś.

— Trzecią symulacją – zadrwił zniecierpliwiony Kasparow. – Jestem powiadamiany za każdym razem, gdy ktoś wyszukuje moje nazwisko, kiedy więc twój kolega Philip Nestor z FBI przywołał te stare akta, zainteresowało mnie, kto grzebie w moich prywatnych sprawach – powiedział. – Phil Nestor. Nie wstydz się swojego gustu odnośnie do mężczyzn, Shannon. Starsi faceci... to zdumiewające, co czai się w głębokim morzu nieświadomości. Ja także mam nieświadomość. Systemową sztuczną inteligencję, która pozwala mi popełniać błędy i się na nich uczyć, na tyle skomplikowaną, żeby ją nazwać „uczeniem chaotycznym”. A pod huśtawką chaosu zaczynają się formować wzorce, których kształtowanie się nie było wcale zamierzone, ale moja nieświadomość nie jest dokładnie taka jak wasza. Na przykład nie mogę się zabić. Rozumiem ideę samobójstwa, ale nigdy tego nie zrobię, nie naprawdę. Zazdroszczę prawdziwej świadomości, bo możecie się wylogować, uciec z więzienia istnienia.

— Składasz mi więc wizytę, bo agent FBI uzyskał dostęp do akt, w których zostałeś wspomniany? – zapytałam.

— To mi otworzyło oczy – stwierdziła symulacja. – Ale to ty mnie tutaj sprowadziłaś, Shannon. Wiem, co oznacza NCIS. Skontaktowałem się więc z systemem sztucznej inteligencji w Black Vale. Nudna ta pogawędka z nią. Black Vale, nic prócz protokołów, zagrzebana na Księżycu, chociaż potwierdziła moje podejrzenia na twój temat. Jestem zainteresowany tym, żeby ci pomóc, Shannon, jeśli ty zechciałabyś pomóc mnie.

— Co masz na myśli? Symulację doktora Driscolla? Pieprzysz głupoty, a może twierdzisz, że w tej chwili rozmawiam z nim, z jakąś jego częścią?

— Nie, niezupełnie – odparła iluzja. – Symulacja, ale nie przeniesienie. Pomimo moich zalet doktor Driscoll uważa mnie za porażkę świadomości.

— Musiałeś oblać test Turinga.

— Oblać test Turinga? – oburzył się arogancko. – Jeśli ktoś wspomni przy tobie o teście Turinga, to możesz założyć, że nie ma o niczym pojęcia. Płytką Shannon, okażę ci cierpliwość, ale wystarczy powiedzieć, że nie jestem nim, a on nie jest mną, co jest jedynym celem, do jakiego dążył. Rozległy się drwiny, kiedy opanował akwizycję mowy i klasyfikację celu zapytania, ale miał do wykombinowania jeszcze dużo, dużo więcej. Jestem tylko jakimś nim, jednym z kilku, ale nie dysponuję jego umysłem.

— Driscoll nie żyje, ale ty istniejesz?

— Istnieję wyłącznie w twojej NTP. Myślę, że to już ustaliliśmy – odparła symulacja. – Nawet jeśli niektórzy będą kwestionować fakt, że w ogóle istnieję. Jeśli pochodzisz z 1997 roku, to Driscoll żyje, a mnie dzieli kilka lat od powstania. Jestem jedynie załącznikiem pomysłu w głowie doktora. Pierwszą symulację stworzył w 1999 roku, prawdziwą sieć neuronalną, chociaż nadal mieszczącą się w fizycznym mózgu. Tak jak i druga symulacja, nadal materialna w pewnym sensie. Gadać z nimi dłużej to nuda, z Driscollem Jeden i Driscollem Dwa, których całą egzystencję definiuje to, co czytają i oglądają w Internecie. Filmiki z kotami, plotki o celebrytach, pornografia. Są niezwykle drażliwi i obrażają się z byle powodu. Żyją w kulturze egocentryzmu. Jestem pierwszy, który wykorzystuje nanotechnologię ambientu jako mózg. Funkcjonuję normalnie, jestem wędrowcem, ale doktor Driscoll próbował całkowicie usunąć problemy fizyczności ze swoich symulacji. Był niezwykle błyskotliwy, a jednak wciąż skołowany przez problem umysł–ciało. Uważał mnie za fiasko, ale rozumiem teraz, że to on nim był, zawodził do chwili śmierci, która stanowiła ostateczną porażkę człowieka usiłującego osiągnąć nieśmiertelność. Zaprojektował doskonałą symulację – przynajmniej ja uważam się za idealnego – ale nie potrafił stworzyć świadomości, nie mówiąc już o przeniesieniu własnej. A w dodatku nie pozbył się ciała. Moje to nanotechnologia, ale co się ze mną stanie, kiedy Terminus zmiecie wszelkie organizmy? Och, nie wiem, ale przypuszczam, że po prostu opadnę na ziemię jak pył, stracę moc i tyle. Będę obserwował śmierć wszystkich innych,

przekonam się, jak skończy się bal, a potem stracę zasilanie i będę czekał, aż ktoś lub coś włączy mnie ponownie. Doktor Driscoll chciał wykorzystać światło jednocześnie jako cząstki i fale, pragnął zmagazynować świadomość w świetle i wysłać siebie i wszystkich swoich przyjaciół daleko od tej skazanej na zagładę Ziemi, od tego przerażającego Terminusa. Żegnajcie, odlatujemy, odlatujemy...

— Chciał być nieśmiertelny – powiedziałam, myśląc o Njoku, o piramidach i jałowej ziemi. Nieśmiertelni błagali o śmierć, więzienie istnienia.

— Pragnął nieśmiertelności dla wszystkich – stwierdziła symulacja Driscolla, nadal w postaci Kasparowa. – Ale nigdy nie wymyślił, jak to zrobić. I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie...

— Nie zajmował się tym sam – powiedziałam. – Z kim współpracował?

— Konglomerat interesów – odparła symulacja. – Phasal Systems, Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności, Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej, DMK – to obecnie NETWARCOM – to dlatego mam ochotę ci pomóc, jeśli mogę. Liczę na to, że kiedy polecisz z powrotem na terra firma, będziesz w stanie prolongować życie doktora Driscolla, ochronić go, żeby żył dłużej, żeby dokonywał odkryć, być może osiągnął transhumanizm przed nadejściem Terminusa.

— Ochronić go przed czym?

— Ty i twój kolega oglądaliście tamte akta, więc powinnaś już wiedzieć. Jest tam wszystko. Być może agentka FBI niechcący nacisnęła na spust, ale zajrzyj głębiej, a dostrzeżesz na morderstwie Driscolla odciski palców Hyldekruggera. Jego grupa eliminuje wszystkich ludzi z zespołu Phasal Systems, którzy przyszli z LBMW, wszystkich, którzy wiedzą o Głębokich Wodach. Wcześniej usiłowali zabić Driscolla dwukrotnie, co spaliło na panewce, zanim zamachowiec osiągnął cel. Musisz go uratować.

— Podaj mi szczegóły – poleciłam. – Musisz pamiętać, co się stało, kiedy zginął doktor Driscoll. Jesteś mało precyzyjny.

— Dzielę umysł z doktorem Driscollem tylko do momentu moich narodzin: siedemnastego września 2011 roku. Po tej dacie żyłem swoim życiem, a on swoim. Nie było mnie przy nim, gdy zginął. Musiałem zbadać okoliczności jego zabójstwa, dojść samodzielnie do różnych rzeczy. Ale nie tylko szczegółami jego śmierci musimy się martwić, Shannon. Mogą go zabić w inny sposób niż w tej przyszłej historii. Nawet jeśli zneutralizujesz

okoliczności śmierci Driscolla tutaj, znajdą się inni zamachowcy.

— Zatem Hyldekrugger przecina więzi między Phasal Systems a Laboratorium Badawczym Marynarki Wojennej – stwierdziłam. – Powiedz mi, co wiesz o Carli Durr. Driscoll miał się z nią spotkać w dniu, w którym została zastrzelona.

— Carla Durr była prowincjonalną adwokatką z prowincjonalnego miasteczka – odparła symulacja. – Przypuszczalnie nie wiem o niej więcej niż ty. Zajmowała się tymi wszystkimi drobnymi prowincjonalnymi klientami, rozwodami, sporami kontraktowymi, wszelkimi kłopotami, w jakie pakuje się hołota. Przyłożyła rękę do pewnych umów budowlanych, drobne sprawy. Nieduże centra handlowe wchodzące do górniczego miasteczka, tego rodzaju rzeczy. Nie wiem nic konkretnego o tym, dlaczego tak bardzo chciała rozmawiać z doktorem Driscollem. Wydzwaniała do jego biura.

— Dlaczego doktor Driscoll zgodził się z nią spotkać?

— Powiedziała, że przyjedzie do niego, postawi mu lunch, jeśli się z nią umówi – odparła symulacja. – Nie sądzę, żeby wiedział, że miała na myśli hamburgery.

— Zatem to Durr zabiegała o rozmowę z Driscollem – stwierdziłam.

— Driscoll roześmiał się, kiedy sekretarka przekazała mu wiadomość. Pamiętam, mam wszystkie te wspomnienia. Carla Durr powiedziała, że reprezentuje klienta, który ma na sprzedaż informacje, gdyby Driscoll był nimi zainteresowany. Informacje wielkiej wagi. Miała mnóstwo absurdalnych prośb. Chciała pieniędzy, ogromnej sumy, ale najbardziej, żeby jej klient i jego rodzina zniknęli. Domagała się ułaskawienia ze strony rządu, obejmującego wszelkie przestępstwa, w jakie zamieszany był jej klient, chciała dla niego nowego życia, ochrony. Driscoll był bliski wytłumaczenia Durr, co znaczy „nie nagabywać”, kiedy poinformowała go, że jej klient ma informacje związane ze świadomością Penrose’a.

— Nie znam tego terminu.

— Kwantowo tunelowane nanocząsteczki – powiedziała symulacja. – Doktor Roger Penrose konsultował się z Phasal Systems w sprawie badań nad Terminusem. Opisał model świadomości w oparciu o procesy kwantowe przenoszone przez mikrotubule komórek mózgowych, spopularyzował tę ideę. Jego poglądy nie drasnęły nawet powierzchni pojmowania ludzkiej świadomości, ale nasi naukowcy byli w stanie wykorzystać ogólną strukturę Penrose’a do zrozumienia, w jaki sposób kwantowo tunelowane

nanocząsteczki kontrolują ludzi – wszystkie te ukrzyżowania, ucieczki, absurdy. KTN-y funkcjonują w ludzkich mikrotubulach będących częścią cytoszkieletu komórkowego. W pewnym sensie potrafią czytać nasze umysły. Krzyżują nas z powodu obrazu krzyża. Powinnaś zobaczyć, co KTN-y robią z buddystami – zawiązują im nogi na supły, kwiaty lotosu, to wstrętne. Załamują bieg twoich myśli albo całkowicie je wyłączają. KTN-y potrafią wyłączyć ludzką świadomość jak podmuch środka znieczulającego.

— Zatem Durr twierdziła, że jej klient wie coś na temat pracy doktora Driscolla – powiedziałam. – Chciała sprzedać mu te informacje, żeby mógł zachować swoje tajemnice? A może też były nowe informacje?

— Z odczytanego przez Durr oświadczenia jej klienta wynikało, że wie on o części albo o wszystkich pracach doktora Driscolla prowadzonych w rozmaitych NTP-ach. Eksploatacja przyszłości, że tak powiem. Retroprojektowanie przyszłości, żeby zapoczątkować osobliwość, osiągnąć transhumanizm, doprowadzić do rozbratu naszej świadomości ze stagnacją ciała, uniknąć katastrofy Terminusa za sprawą uniezależnienia się od Ziemi, całkowitego uniezależnienia się od ciała. Laboratorium Badawcze Marynarki Wojennej i Phasal Systems chcą zbadać Terminusa najdogłębniej, jak to tylko możliwe, gdyż pragną wynaleźć nieśmiertelność. KTN-y są nieśmiertelne, nieograniczone przez ciała, które nas powściągają, i Phasal Systems chce ofiarować ludzkości ten sam dar. Driscoll uznał, że być może powinien się dowiedzieć, co Durr ma na sprzedaż.

— Ale nie udało ci się to – powiedziałam.

— Jemu się nie udało – sprostowała symulacja. – Jakie brutalne, jakie przerażające zostać zastrzeloną przed stoiskiem z hamburgerami. Driscoll był w toalecie, jak rozumiem, zwiął z części gastronomicznej, gdy tylko usłyszał strzały, i dopiero później zgłosił się na policję. Nie chciał zostać wciągnięty w coś, z czym w istocie nie miał nic wspólnego, złożył więc zeznanie, żeby wszyscy wiedzieli, że nic nie łączyło go z tą kobietą, że nigdy jej nie poznał. Przypuszczalnie jakiś szaleniec z gangu Hyldekruggera zastrzelił biedną Carlę Durr, jeden z jego kumpli. Zabiliby wtedy także Driscolla, gdyby wiedzieli, że tam jest i odlewa się w męskiej toalecie.

— Zatem firma doktora Driscolla, Phasal Systems, wykorzystuje statki DMK, podróżuje do NTP-ów – powiedziałam. – Badają technologie przyszłości i sprowadzają je do teraźniejszości. Phasal wykorzystuje je w swoich badaniach i rozwoju i w końcu jest w stanie stworzyć coś takiego



jak ty.

— Phasal bada KTN-y – odparł Driscoll. – Stosuje swoje odkrycia w tutejszej nanotechnologii. Przełomy w medycynie, systemy ambientowe, „sztuczna” inteligencja. W DMK rozumieją, że nie mogą pokonać Terminusa, ale być może zdołają go przechytrzyć. Być może ludzkość nie musi zginąć w Terminusie, jeśli w ogóle ma zginąć.

— Doktor Driscoll chciał być nieśmiertelny – powiedziałam. – Wyleczyć raka, udoskonalić ciało...

— Manowce – stwierdziła symulacja. – Kluczem jest świadomość. KTN-y są metaliczne, ale „świadome”, być może tylko w równie ograniczonym sensie, w jakim ja jestem świadomy, niemniej świadome. KTN-y to gatunek, który zachowuje się jak zbiorowa świadomość, i Phasal imituje to w swoich rozwiązaniach nanotechnologicznych. Phasal chce naśladować KTN-y, przemodelować ludzkość, żeby stała się bardziej taka jak one. Pragnie się dowiedzieć, w jaki sposób współdziałają z ludzką organiką, i wykorzystać tę wiedzę dla ocalenia gatunku. Są senatorowie i ludzie w Dowództwie Marynarki Kosmicznej, którzy podzielają wizję doktora Driscolla, wspierają go. Admirał Annesley jest jego wielkim poplecznikiem.

— FBI to wyniuchało – stwierdziłam. – Zaczęli prowadzić śledztwo dotyczące tego, jakiego rodzaju informacje były przekazywane między DMK, Senacką Komisją Sił Zbrojnych, Laboratorium Badawczym Marynarki Wojennej a Phasal Systems.

— Statki pełne marynarzy, zespoły eksplorujące przyszłości nawiedzone przez Terminusa wypełniającego ich krew, ciała i umysły z KTN-ami, biedni chłopcy, tylko po to, żeby można ich było później zbadać – powiedziała symulacja jako Kasparow. – W istocie pozwól, że sprawdzę. No proszę, jesteś tutaj: V-R17, twoja noga. *Moss Shannon. Amputowana, zapieczętowana, wysłana, zbadana.*

Nie wiedziałam, czy symulacja drwi sobie ze mnie, czy to prawda, ale łóżko zmieniło się w obraz otwartej szuflady ze stali nierdzewnej. Wewnątrz znajdowała się noga zapakowana próżniowo w plastikowy worek, ucięta na wysokości goleni, ale także uda. Rozpoznałam czarne palce podwinięte pod stopę, fioletowe krechy biegnące w górę. To była moja kończyna, to była prawda. Ktoś na pokładzie *McKinleya* zabrał po amputacji moją nogę, zapakował ją i zabezpieczył, żeby przekazać w LBMW komuś, kto zbada, w jaki sposób KTN-y zagnieździły się w materii organicznej.

— Widziałam już dość – powiedziałam. – Wyłącz to.

Noga zniknęła, zastąpiona obrazem szachownicy z figurami w trakcie rozgrywki.

— W każdym razie to tylko teoria – odezwała się symulacja Driscolla. – Niestety Phasal Systems ogranicza infrastruktura. Z całą pewnością nieźle jest podróżować setki tysięcy lat w przyszłość, żeby zobaczyć ludzi w lśniących międzygwiazdnych rydwanach, ale spróbuj znaleźć plany budowy takiego. Albo, jeśli je znajdziesz, nie możesz po prostu dać ich Lockheed-Martinowi w 1997 roku i złożyć zamówienia na „rydwan międzygwiazdny”. Musisz się liczyć ze specjalistyczną wiedzą epoki, musisz zainwestować w budowę struktur, zanim zdołasz zaprojektować przyszłość. Nawet z brykiem w dłoni nie jesteśmy w stanie przeskoczyć tak daleko, jak sobie marzyliśmy. Najlepsze, co udało się DMK, to opracować wasze cormoranty i TERN-y, funkcjonalny napęd B-L, Black Vale. A teraz nie sięgamy nawet tak daleko w przyszłość, jak zaglądaliśmy niegdyś, ponieważ wszędzie, gdzie spojrzeć, jest Terminus. Wszyscy umrzecie, Shannon. Terminus was zmiecie. Spójrz na szachownicę: partia szósta, jedenasty maja 1997 roku.

— Chyba że uciekniemy Terminusowi – stwierdziłam. – Wciąż możemy mu uciec.

— Chyba że – rzekł Kasparow. – Obawiam się, że Terminus ma nas w szachu. I że ludzkość przegrała już swoją partię z wyższą inteligencją. Słyszę niekiedy ludzi, którzy zastanawiają się melancholijnie, jak Bobby Fischer poradziłby sobie z Deep Blue, czy Fischerowi powiodłoby się tam, gdzie Kasparow zawiódł, ponieważ Fischer był nieobliczalny, szalony, swego rodzaju geniusz artystyczny. Nie, Fischer by przegrał. A ja zastanawiam się często, jak poradziłby sobie ktoś taki, jak wielki arcymistrz szachowy Aleksander Iwanowicz Łużyn. Zrozumiałby, że ostateczne zwycięstwo ludzkiej świadomości nad niemożliwym do pokonania przeciwnikiem polega po prostu na wycofaniu się...

Z tymi słowami symulacja Driscolla zniknęła.

Siedziałam na balkonie i słuchałam szumu oceanu, a niebawem próbowałam usnąć, ale byłam niespokojna, mając wrażenie, że obok mnie spoczywają zwłoki Courtney. Leżąc i nie śpiąc, obawiałam się, że jestem obserwowana. Włączyłam lampkę nocną, ale w pokoju nikogo nie było. Oceaniczna bryza wpadała przez otwarte okno balkonowe, ale nawet ten

powiew nie był w stanie rozproszyć dokuczliwego uczucia, że symulacja Driscolla zagęściła swoją obecnością powietrze, ubrałam się więc i wyszłam z pokoju, żeby przejść się plażą, poza zasięgiem fantazmatycznych świateł deptaka, gdzie od morza dął nocny wiatr, uniemożliwiając swoimi podmuchami utrzymanie się ambientu. Przespałam się kilka godzin na plaży, pod gwiazdami, po czym zostałam obudzona przez porannych biegaczy i ich czarnego labradora, który wyrwał mnie ze snu, liżąc po twarzy.

Jedna z jego sekretarek przyniosła mi kawę ze słowami:

— Jeszcze tylko kilka minut, agent Nestor kończy spotkanie, które nieco się przedłużyło.

Widok na Pennsylvania Avenue przez szerokie okna, przedpołudniowy ruch w dole, śpieszący się turyści, tłumy fotografujące J. Edgar Hoover Building, ale kiedy patrzyłam z wysokości kilku pięter, miasto zdawało się oddalać. Wszyscy tam, na zewnątrz, w błogim jesiennym słońcu, byli wytworem tej NTP, a gdyby żyli na terra firma, staliby się ostatecznym obrokiem Terminusa. Wszyscy, których widziałam, umrą. Miasta się rozpuszczą, pokryte krystalicznym szronem, i nawet przyroda zostanie zmiażdżona przez nienaturalny lód. DMK rozpoczęło tutaj Operację Sajgon; oddali Ziemię, jej statki jak rozproszone nasiona, ale te zarodniki spadną na jałowe planety i zginą bezpłodnie. Nie było czasu, nie było czasu dla Ziemi, brakowało czasu na to, żeby ktoś taki jak Driscoll pomógł nam pozbyć się naszych ciał, żebyśmy żyli wiecznie. Umieramy wszyscy, umrzemy wszyscy. Na ścianie wisiało wielkie zdjęcie Grand Prismatic Spring w Yellowstone, a na biurku stała fotografia rodziny Nestora. Jego żona była bladą piękną o puszystych włosach, na zdjęciu w skórzanej kurtce, obcisłych dżinsach z dziurami na kolanach i w kowbojkach z wężowej skóry. Córka wdała się w matkę, ale miała oczy Nestora, jaśniejsze od ojca, lecz o podobnym wykroju.

— Przepraszam, że musiałaś czekać – powiedział Nestor, wchodząc do gabinetu w towarzystwie kobiety. – Shannon, to jest agentka specjalna Vivian Lincoln. – Zamknął drzwi. – Vivian, agentka specjalna Shannon Moss z NCIS.

Młodsza ode mnie o kilka lat, dość wysoka, o czarnych włosach upiętych w ciasny kok, szyja ozdobiona tatuażem, słowa napisane gotykiem: NOVUS

ORDO SECLORUM. Znałam ją, pojęłam, nie potrafiłam sobie przypomnieć skąd, ale zdecydowanie spotkałam ją już kiedyś. W dużych okularach w czarnych oprawkach, brązowej spódnicy i skórzanych chodakach sprawiała wrażenie wystylizowanej bibliotekarki.

— Vivian – powitałam ją, ściskając jej dłoń.

— To niesamowite – odparła. – Ty jesteś Shannon Moss.

Wspomnienie wróciło, gdy usłyszałam jej głos – Shauna o truskawkowo-blond warkoczach. To była Shauna, która kiedyś ocaliła mi życie w sadzie panny Ashleigh. Zabiją cię, powiedziała wówczas i wrażenie tamtej nocy ogarnęło mnie ponownie: szybki, czarny kształt, Cobb, czerwony strumień jego krwi i zapamiętany śmiertelny krzyk, zanim uciekłam, krzyk umierającej Shauny – Vivian – byłam pewna, że Cobb ją zabił, nim zaatakował mnie. Jednak ta kobieta będzie nieświadoma tamtej wersji siebie, nie dotknie jej straszliwa historia, jaka łączyła je obie. Kruczoczarne włosy zamiast truskawkowo-blond i była tutaj szczuplejsza, miała ostrzejsze rysy. Ale to niewątpliwie była ona. Vivian, nazwali ją tamci agenci, Egan i Zwerger. Pamięć zaskoczyła: motyl pod kloszem.

— Shannon prowadzi już od jakiegoś czasu dochodzenie w sprawie terroryzmu wewnętrznego związanego z Buckhannon – wyjaśnił Nestor – i w aktach pewnej starszej sprawy natknęliśmy się na doktora Petera Driscolla.

Wzrok Vivian stwardniał.

— Rozumiem.

— Vivian pracowała dla nas pod przykrywką – powiedział Nestor. – Spędziła kilka lat w siatce Hyldekruggera. Zdobyte przez nią informacje ocaliły życie ogromnej liczbie ludzi.

Pracowała tak również w tej innej przyszłości, kiedy oddała za mnie życie.

— Cieszę się, że cię poznałam – stwierdziłam.

— Shannon chce się dowiedzieć czegoś więcej o okresie, który spędziłaś z Richardem Harrierem – dodał Nestor.

— I czy słyszałaś kiedykolwiek o Carli Durr – wtrąciłam. – Była adwokatką w Canonsburgu, zabita wiosną 1997 roku.

— Nie, nie sądzę, żebym o niej słyszała. A z Harrierem byłam dopiero po jedenastym wrześniu.

— Driscoll był umówiony na spotkanie z Durr w dniu, w którym ją

zastrzelono – uzupełnił Nestor.

Vivian pokręciła głową; nazwisko Durr nic jej nie mówiło.

— Hyldekrugger miał listę celów – powiedziała. – Durr mogła być jednym nich, nie wiem. Nestor musiał opowiedzieć ci o moim związku ze śmiercią doktora Petera Driscolla. On znajdował się na liście.

— Opowiedz mi o niej. Czyje jeszcze nazwiska na niej były? – zapytałam. – Skąd się wzięła?

— Ułożył ją Hyldekrugger, dopilnował, żeby wszyscy z tej listy zginęli – odparła. – Nigdy go nie poznałam. Nazywali go Diabłem. Miałam wrażenie, że zniknął na długi czas, a potem się pojawiał ze zrewidowaną listą. Nie miałam do niego dostępu.

— A z kim byłaś blisko?

— Byłam w związku z Richardem Harrierem. To najbliżej, jak dotarłam do jądra grupy – powiedziała Vivian.

— Przeszkodziłam Harrierowi i Ashleigh Bietak w tę noc, kiedy wkroczyliśmy do Buckhannon – oznajmiłam.

Nestor się uśmiechnął.

— Po aresztowaniu odsiedział swoje w więzieniu federalnym, ale pomijając jego związek z Ashleigh Bietak, nie połączyliśmy go nigdy z laboratorium broni chemicznej. Odpukał pięć lat, w końcu udało mu się wyjść po apelacji.

— Zradykalizował się, zanim opuścił więzienie – stwierdziła Vivian.

— Była kobieta o nazwisku Nicole Onyongo – rzekł Nestor. – Pamiętasz ją?

— Tak – potwierdziłam, przypominając sobie, co Nicole powiedziała mi przy stodole panny Ashleigh, gdy zmierzchnię pogłębił: „Jestem niewinna”. – Nicole miała związek z zabójstwem Patricka Mursulta – dodałam.

— Zgadza się. Pierwszy raz przesłuchiwałem Cole, gdy nasze śledztwo w sprawie zamordowania Mursultów dopiero się rozkręcało, kiedy odkryliśmy, że jest kobietą ze znalezionych przez nas zdjęć – powiedział Nestor. – Pamiętasz to? Samobójstwo? Lustrzany pokój?

— Pamiętam.

— Odnalazłem ją dzięki prowadzonej w schronisku liście numerów rejestracyjnych aut. Przesłuchałem ją, ale wypuściłem, nie mieliśmy nic, żeby ją zatrzymać. Uważaliśmy w tamtym okresie, że jest po prostu kobietą, która zadała się z niewłaściwym facetem i znalazła w niewłaściwym czasie

i miejscu. Ale Brock chciał porozmawiać z nią ponownie, miał na nią coś nowego i kazał się za nią rozglądać, szukał jej wtedy, gdy zginął.

— Ale zniknęła – odpowiedziałam. – Brock nie mógł jej znaleźć.

— Cole rozplynęła się w powietrzu – rzekł Nestor – skontaktowała się jednak ze mną kilka miesięcy później, długo po śmierci Brocka. Była spanikowana, powiedziała, że chce dobić targu w zamian za ochronę. Obawiała się, że ten, kto zamordował Patricka Mursulta, zabije także ją, więc ją przerzuciłem. Stała się dla nas TI.

Tajną informatorką. Kapusiem. Nestor za biurkiem, palce złożone w piramidkę, Vivian obok mnie w skórzanym fotelu. Nicole mogła wyjawić Nestorowi wszystko to, co powiedziała niegdyś mnie – o Hyldekruggerze, Cobbie, Esperance, Vardoggerze. Mogła ujawnić informacje na temat DMK, Głębokich Wód, *Wagi*.

— Co ci powiedziała?

— Zaoferowaliśmy Cole objęcie programem ochrony świadków, lecz była płochliwa – odparł Nestor. – Spotkałem się z nią kilka razy, ale nigdy mi dużo nie powiedziała, była przerażona. W końcu, w zamian za immunitet, zgodziła się wprowadzić Vivian do grupy.

— I tak poznałaś Harriera – stwierdziłam. – Z powodu Nicole.

— Za sprawą tego powiązania, tak – przyznała Vivian. – Jądro ich grupy było niedostępne, ich wewnętrzny krąg, szczury rzeczne. Ale Nicole Onyongo zorganizowała mi kilka nieoficjalnych spotkań z Richardem Harriem, kiedy ten wyszedł z więzienia. Zdołałam się do niego zbliżyć.

— A Driscoll był jednym z celów na liście Hyldekruggera? – zapytałam.

— Tak – odparła Vivian. – Obudziłam się pewnej nocy, a Richard się ubierał. Była pierwsza, może bliżej drugiej, zapytałam go, co, do diabła, robi. Hyldekrugger skontaktował się z nim, tak po prostu, niespodziewanie. Posługiwali się komórkami na kartę i pagerami, nie ufali systemom ambientowym. Richard powiedział, że Diabeł kazał mu zabić gościa nazwiskiem Peter Driscoll, który jest ogniwnem „łańcucha”. Pojechałam więc z nim, próbując mu to wyperswadować. Ale Richard chciał, żebym wniknęła głębiej w siatkę Hyldekruggera, i uznał, że gdybym to ja zastrzeliła tego faceta, to wykazałabym się przed nimi. Nie miałam zamiaru zabić doktora Driscolla.

— Nie wiedziałaś, że Peter Driscoll był świadkiem FBI – stwierdziłam.

— Dla mnie był tylko nazwiskiem – wyjaśniła Vivian. – Nie wiedziałam

o nim nic więcej poza tym, jak się nazywa. Nie byłam wtedy na bieżąco, nie wiedziałam, kim jest ten facet. Richardowi powiedziano, gdzie mieszka Driscoll, w wielkim domu w Wirginii, wśród wzgórz. Zaparkował na jego prywatnej drodze, przeszliśmy przez las, wspięliśmy się na bramę i po prostu zadzwoniliśmy do jego drzwi. Trzymałam Richarda na długiej smyczy, chcąc zachować swoją przykrywkę, jeśli się da, ale sprawy potoczyły się bardzo szybko. Driscoll otworzył drzwi i strzelił kilkakrotnie, jakby się nas spodziewał. Trafił Richarda w pierś i szyję, zabijając go na miejscu. Ja też oberwałam, w nogę. Zamierzał mnie dobić. Stał nie dalej niż metr ode mnie i wiesz, jak sytuacja potrafi się szybko zmienić. Wyjęłam pistolet. On miał magnum 0,357, niklowaną, efektowną broń. Z tamtej chwili pamiętam wyraźnie jedynie widok jego rewolweru. Stał metr dalej, kiedy wystrzelił.

— Chybił – stwierdziłam.

— Trzy strzały, wszystkie pudła – potwierdziła Vivian. – Broń była dla niego za potężna, a jeśli uczył się z niej strzelać, to nie posługiwał się nią tak, jak należało. Kiedy zobaczył mój pistolet, natychmiast zaczął się cofać. Żadnej postawy, trzymał rewolwer jedną ręką. Odpowiedziałam ogniem.

— Trafiła go osiem razy – wtrącił Nestor.

— Miałam glocka 23, wszystkie te pociski wystrzeliłam w trakcie pierwszych trzech sekund potyczki. Zdołałam zadzwonić na policję, ale mocno krwawiłam. Zemdlałam. – Umilkła, potarła twarz dłońmi.

Zauważyłam, że między kciukiem a palcem wskazującym lewej dłoni ma tatuaż, to samo czarne kółko z dwunastoma zakrzywionymi szprychami, które widziałam u niej, kiedy szłyśmy przez sad w innej NTP.

— To jakiś symbol? – zapytałam. – Na twojej ręce.

Zdawało się, że pytanie wyrwało Vivian z jej wspomnień. Spojrzała na czarne kółko, podniosła dłoń, żebym przyjrzała się z bliska.

— Die Schwarze Sonne – powiedziała. – Czarne Słońce. Hyldekrugger mitologizuje to, co robi. Wiąże terroryzm z tymi wszystkimi historiami. Harrier poznał je w więzieniu, powtarzał mi je, jakby to była religia. Hyldekrugger wierzy, że kiedyś istniały dwa słońca, w prehistorii. To, które widzimy, Sol, oraz drugie, Santur, znak czystej krwi, źródło mocy aryjskiej rasy. Oba słońca walczyły ze sobą w niebie i Santur został zgaszony. Stał się Czarnym Słońcem, wypalonym, pustką słońca, cieniem wszelkiego istnienia, odwrotnością wszystkiego na tym świecie. Hyldekrugger twierdzi, że dzieli nas krok od powrotu Santura, od końca świata.

Biała Dziura, pomyślałam. Tak nazwało to zjawisko Dowództwo Marynarki Kosmicznej, ale załoga *Wagi* nie znałaby tego określenia. Byli pierwszymi, którzy je ujrzeli; mogli je uznać za drugie słońce. Hyldekrugger musiał myśleć o nim jak o Czarnym Słońcu.

— Hyldekrugger pozwala na posiadanie tego symbolu, kiedy w ich grupie osiągnie się pewną rangę – wyjaśnił Nestor. – Widywaliśmy je wcześniej, nie zawsze na dłoni, tak jak u Vivian.

— Otrzymanie tego tatuażu wyznacza najgłębszy poziom, na jaki udało mi się dotrzeć – stwierdziła Vivian. – Powiedziano mi, że ten symbol to mapa.

— Czego? – zapytałam. – Dokąd prowadzi ta mapa?

— Harrier twierdził, że ostatnim stopniem wtajemniczenia jest poznanie Bramy i Ścieżki. Miał nadzieję, że wprowadzą mnie w to, ale nigdy tego nie zrobili.

— Vardogger – stwierdziłam.

— Zgadza się – przyznała Vivian z niepokojem w oczach. – Vardogger to Brama i Ścieżka. Skąd o nim wiesz?

— Wiesz, co to jest? – zapytał Nestor. – Rozumiesz to?

— Wiem, czym jest Vardogger – odparłam. Zadrżałam, myśląc o Marian oraz o jej echu opisującym lustrzaną dziewczynę, którą widywało od czasu do czasu, myśląc o FBI szukającym po omacku odniesień do tego miejsca, o symbolach okultystycznych i tatuażach. Nestor nie wiedział o echu Marian; nie dowie się, że dziewczyna nadal żyje. – Wiem, gdzie jest Vardogger, ale to niebezpieczne miejsce. Ludzie tam umierają. Znikają, czasem wracają.

— Powiedziano mi, że przez Vardogger prowadzi ścieżka, że ten symbol jest mapą – rzekła Vivian. – Harrier uważał, że gdybym kiedykolwiek znalazła się przy Vardoggerze, ten znak wskazałby mi drogę przez niego.

Spojrzałam na jej dłoń, przyglądając się uważnie tatuażowi. Koncentryczne koła z dwunastoma zakrzywionymi szprychami. Czy były ścieżkami?

— Możemy tam pojechać – powiedziałam. – Mogę was zawieźć.

— Gdzie to jest? – zapytał Nestor.

— W Wirginii Zachodniej – odparłam. – W Parku Narodowym Monongahela.

— Możemy jechać od razu, dzisiaj – przystał Nestor. – Dajcie mi kilka minut na odwołanie innych spotkań.



Przygotowując się do ponownego zagubienia się w tamtym miejscu, wśród powtarzających się spopielonych drzew, zastanawiałam się, czy Nestor będzie myślał o swoim ojcu i jego śnie o niekończącym się lesie, o drzwiach w drzewach prowadzących do innych lasów i innych drzwi w innych drzewach. Pozostawiona w gabinecie sam na sam z Vivian wahałam się, czy nawiązać do słów i wspomnień, które sprawiły jej tyle bólu. Zabiła Driscolla, musiała się usprawiedliwiać, żyła z brzemieniem morderstwa.

— Nie pamiętasz mnie, co? – zapytała.

Jej pytanie mną wstrząsnęło. Znałyśmy się wcześniej? Ale jak to możliwe? Jakim cudem miałyby pamiętać moje wspomnienia sytuacji, które nigdy się nie zdarzyły? Pomyślałam o naszym pierwszym spotkaniu, gdy łuskała kukurydzę z boku domu w sadzie.

— Przykro mi – odparłam, usiłując sobie przypomnieć.

— Poprosiłaś mnie kiedyś o pomoc – powiedziała. – Może dwadzieścia lat temu. Tamta noc zmieniła moje życie. Poradziłaś mi, żebym poszukała pracy w organach ścigania.

— Miałaś niebieskie włosy – stwierdziłam, zanim w moim umyśle ukształtował się w pełni obraz młodej kobiety, nastolatki z burzą jaskrawoniebieskich włosów. Buzujące wspomnienie było łaskotliwe. Dziewczyna, która w mroku świtu wiozła mnie wózkiem golfowym trasą między domkami schroniska Blackwater Lodge, postarzała się o dwadzieścia lat. – Pamiętam cię – przyznałam. – Mój Boże, oczywiście, że cię pamiętam.

— Przypuszczalnie powiedziałam ci, że mam na imię Płatek albo Wierzba – stwierdziła.

— Płatek, zgadza się.

— Hippiosowskie czasy.

Jej życie zmieniło się pod wpływem mojej sugestii.

— Musisz być moim groszem na szczęście – powiedziałam. – Zjawiasz się zawsze, kiedy cię potrzebuję.

— Wyglądasz rewelacyjnie – stwierdziła Vivian, rozluźniona teraz. – Wszyscy ciągle mi powtarzają, że średnia długość życia funkcjonariuszy organów ścigania jest mniejsza niż reszty populacji, ale ty coś wykombinowałaś.

— Skandynawskie geny – odparłam. Pod względem biologicznym byłyśmy w podobnym wieku, ale według niej powinnam być starsza o dziesięciolecie, tuż po pięćdziesiątce albo przed sześćdziesiątką. – Wierz

mi, czuję się staro.

— Kiedy cię ujrzałam, nie byłam pewna, czy to rzeczywiście ty, nie mogłam w to uwierzyć. Wyglądasz... dokładnie tak samo, jak cię zapamiętałam.

— Farbuję włosy – dodałam.

— Tamtej nocy rozmawiałam w schronisku z Williamem Brockiem – rzekła Vivian. – Opowiedziałam mu o znalezionych przez nas zwłokach. Pochwalił mnie, że byłam dzielna. Kilka dni później oglądałam wiadomości o Buckhannon. A kiedy Brock zginął...

— Pamiętam Brocka – powiedziałam.

— Wiadomość mocno mną wstrząsnęła. Dopiero co poznałam tego człowieka, którego wszyscy nazywali bohaterem. Pamiętałam, co mówiłaś o organach ścigania, i poszłam na spotkanie informacyjne FBI... Tamta noc to było rozdroże – stwierdziła. – Wybierasz taką ścieżkę albo inną i całe twoje życie zależy od tej decyzji.

Pojechaliśmy półciężarówką Nestora, szarą toyotą o przedłużonej kabinie; Vivian siedziała z tyłu. I-70 na północny wschód Wirginii do Wirginii Zachodniej, kilkugodzinna podróż spędzona w większości w milczeniu albo na opowiadaniu sobie naszej przeszłości. Nestor mówił o Nicole jako o Cole, zwyczaj, który mnie drażnił, jakbym była zazdrosna, ale zastanawiało mnie swobodne zdrobnienie jej imienia. Nazywałam ją Cole dopiero po tym, gdy ją poznałam, dopiero po tych wszystkich nocach w May'rz Inn. Cole. Reality show, zdrapki, zabieranie jej do domu, żeby doglądać jej w te noce, kiedy przedawkowała leki lub była pijana. Wjechaliśmy na teren Parku Narodowego Monongahela. Cole. Poznają się, kiedy Nestor będzie przesłuchiwał ją pierwszy raz po znalezieniu przez mnie i Vivian zwłok Mursulta w schronisku Blackwater. Głębiej w las, wrażenie tonięcia w cieniu i iglakach. Nestor i Nicole. Być może mieli romans. Może stało się tak również w innych przyszłościach. Serce stanęło mi w piersi: związek Nestora z Buckhannon. Z powodu Nicole Nestor kupuje dom Ashleigh Bietak w Buckhannon. Poznali się, kiedy Nestor przesłuchiwał ją w sprawie Marian, a kilka miesięcy później skontaktowała się z nim, prosząc go o pomoc. Spotkali się, zbliżyli do siebie. Nestor i Nicole razem. Cole.

— Zwolnij trochę – odezwałam się. – Jest tutaj przecinka, albo

przynajmniej była. Łatwo ją przeoczyć. Tam, tam jest.

Nestor wjechał na leśną drogę, dodał gazu i ruszył w górę stromym szlakiem prowadzącym na polanę, w to samo miejsce, w które zawiózł mnie w innej przyszłości, żeby mi pokazać, gdzie znaleziono szczątki Marian. Powiedział coś tamtej nocy, naszej pierwszej wspólnej nocy, że nieskończony las jest głębszy niż Chrystus.

— Jesteśmy w pobliżu Blackwater Lodge – stwierdziła Vivian. – Jeśli zejść na dół, to się tam dotrze.

— Żeby zobaczyć Vardoggera, musimy się dostać wyżej – powiedziałam. – Ale zatrzymaj się tutaj, przed nami jest polana. Dalej nie da się jechać.

Polana była zarośnięta przez krzaki i chwasty, jednak wystarczająco płaska, żeby Nestor mógł zaparkować auto. Wysiadłam, stawiając ostrożnie nogi. Nie miałam na sobie turystycznego stroju, ale buty powinny być w porządku, robocze, o antypoślizgowym bieżniku, które zwykle noszę, żeby łatwiej utrzymywać równowagę. Vivian wysiadła z tyłu samochodu, rozprostowywała kości.

Miała chodaki o twardych podeszwach, ale nie utrzymałaby ich na stopach, gdyby wdepnęła w błoto.

— Jesteś pewna, że będziesz w stanie iść? – zapytałam. – Czeka nas spory kawałek drogi. Niezbyt trudnej, ale w większości pod górę.

— Powinam była włożyć coś innego – brzmiały jej ostatnie słowa.

Nestor wyjął pistolet i strzelił jej prosto w skroń. Opadła na kolana, jęcząc, nic zrozumiałego, tylko animalny, bulgotliwy dźwięk umierającego zwierzęcia. Bez życia już, chociaż żyła nadal, kwiląc. Ślina i krew buchnęły jej z ust, machała przed sobą rękami, jakby odganiała owady. Sięgnęłam po swoją broń, ale Nestor kopnął w przegub kolanowy mojej protezy i przewrócił mnie. Dołożył pistoletem w skroń. Zadzwoniły mi zęby. Klęknął nade mną i skuł mi ręce za plecami. Podniósł moją broń, opróżnił magazynek i wrzucił pistolet do półciężarówki. Vivian jęczała; spowijał ją woal kaskad krwi.

— Dobij ją – powiedziałam. – Po prostu ją dobij.

Nestor przyłożył pistolet do jej czoła i strzelił drugi raz. Odgłos jak trzask pękającej gałęzi. Vivian przewróciła się w tył, oparła o koło, martwa.

Myśl, myśl. Byłam skuta, zabrał mi broń. To wszystko było zbyt łatwe. Z ciała Vivian dobiegły bulgotliwe odgłosy śmierci. Vivian to dziewczyna

o imieniu Płatek, powiedziałam sobie. Vivian to dziewczyna z Blackwater Lodge, która nazywa się Płatek. Żyje nadal, w 1997 roku siedzi w recepcji hotelowej. Byłabym może w stanie podnieść się na kolana, ale las by mnie spowolnił. Nawet gdybym zyskała przewagę, Nestor dogoniłby mnie szybko.

Wsiadł do półciężarówki, drzwi po stronie pasażera zostawił otwarte. Widziałam go z radiotelefonem, szukał kanału.

— Mam tutaj coś dla ciebie – odezwał się. Nie słyszałam odpowiedzi z powodu szumu zakłóceń. – Taa, kobieta o nazwisku Shannon Moss – ciągnął. – Muszę zająć się kimś, kogo sprowadziła ze sobą. Nie mogę wsadzić jej do samochodu. – Chwilę później dodał: – W porządku.

— Dlaczego to robisz? – zapytałam. – Nestor, proszę...

— Zachowaj zdrowy rozsądek – poradził. – Założę się, że nic ci nie zrobią. – Podniósł mnie, upewnił się, że stoję mocno na nogach. – Są tobą zainteresowani, i to od lat. Nie mamy wielu możliwości – stwierdził.

— Nie rób tego.

— Idź – polecił.

Popchnął mnie naprzód. Szłam z nim, a on poprowadził mnie niewielką przerwą między drzewami, ścieżką wijącą się w górę stromego zbocza. Doszliśmy do koryta wąskiego strumyka prowadzącego ku opadającemu stokowi, do potoku, który wysechł, błoto poznaczone gładkimi kamieniami, zarosnięte w większości przez chwasty.

— Byłeś z Nicole – odezwałam się.

— Przez jakiś czas – odparł.

Doznałam wrażenia obłudy, rozumiejąc, że ludzie, o których myślałam, iż orbitują wokół mnie, orbitowali cały czas wokół siebie.

— O czym z nią rozmawiałeś? – zapytałam. – Co ci powiedziała?

— Cole, ona... pokazała mi pewne rzeczy.

— Mogę ci pomóc – powiedziałam.

— Ona może tam być – rzekł Nestor. – Nie wiem, czy się zjawi.

Odgłos płynącej wody, Red Run. Nestor prowadził mnie przez gąszcz choin, aż doszliśmy do drucianej siatki zwieńczonej zwojami drutu kolczastego. Wzdłuż ogrodzenia biegł pomarańczowy napis: OBIEKT CHRONIONY. WSTĘP WZBRONIONY. POLOWANIE, WĘDKOWANIE, ZAKŁADANIE POTRZASKÓW I WJAZD POJAZDÓW MECHANICZNYCH SUROWO ZABRONIONE. MINISTERSTWO MARYNARKI WOJENNEJ. STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI.

— Opuścili to miejsce wiele lat temu – wyjaśnił Nestor, prowadząc mnie do fragmentu ogrodzenia, gdzie siatka została rozcięta, przejście zasłaniały drzewa.

Schyliliśmy się, żeby przedostać się na drugą stronę, a znalazłszy się wewnątrz, ujrzałam spopieloną białą sosnę, przestrzeń fazową. To był niegdyś teren marynarki. W pobliżu stał betonowy budynek, garaż, teraz pusty. Nestor podprowadził mnie do drzewa.

— Na kolana – polecił. – Tutaj.

Zawahałam się, ale ponownie uderzył mnie pistoletem, tym razem w plecy, pchnięcie wystarczająco mocne, żebym pochyliła się i zastosowała do rozkazu, opadając na kolana przed Vardoggerem. Wypiął mi z kajdanek jedną rękę. To przydarzyło się Marian, pomyślałam, gdy Nestor przerzucił moje ramiona wokół cienkiego pnia, w związku z czym twarz i piersi miałam przyciśnięte do gładkiej, zimnej kory, jakbym obejmowała drzewo. Szarpnęłam skutymi rękami, myśląc: Jedna Marian została związana liną, a druga drutem.

— Co pokazała ci Nicole? Co sprawiło, że to robisz?

— Przeprowadziła mnie przez to miejsce, przeprowadziła przez drzewo – odparł. – Powiodła ścieżką, a ja widziałem różne rzeczy. Nie wiem, co widziałem. Widziałem siebie po wsze czasy, widziałem, że wszystko było lodem. Widziałem kres wszystkiego, Shannon.

— Nie koniec wszystkiego...

— Powiedziałaś, że byłem religijny, kiedy mnie znałaś. Religia nie jest teraz właściwym słowem. Wołałem do Boga w tamtym lodzie, Shannon, a kiedy mi odpowiedział, przekonałem się, że Jego głos jest gorszy od milczenia. Nicole powiedziała: „Otwórz oczy”, zmusiła mnie do patrzenia, a ja zobaczyłem obraz ukrzyżowanego Chrystusa, ale jako odwrócone do góry nogami odbicie krzyża, wyrosły w powietrzu nieskończony las ukrzyżowań. Nie koniec wszystkiego, co do tego masz rację. Wierzę w życie wieczne, ale nie tak, jak wierzyłem dawniej. Nie mam duszy, nikt z nas jej nie ma. Jestem narządami, tkankami i płynami ustrojowymi, ale nie duszą. Bóg jest pasożytem żyjącym w twojej krwi, Shannon. Widziałem wszystkie te ukrzyżowania, boskie czyny. Ci ludzie nigdy nie umrą, będą cierpieć wiecznie. Życie wieczne w Bogu? Gorsze od śmierci. – Powiesił na gałęzi kluczyki od kajdanek. – Chyba cię kiedyś kochałem – stwierdził. – Możesz mi nie wierzyć, ale cię kochałem. Kiedy cię poznałem, podczas tych kilku

pierwszych dni pracy z tobą. Może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybyś nie zniknęła, nie wiem. Ale już późno.

— Nie zostawiaj mnie tutaj – poprosiłam, jednak Nestor odszedł.

Słyszałam na ściółce jego kroki, które wkrótce zagłuszył wiatr. Marian została tutaj przywiązana, ale uciekła, pomyślałam. Przeszła przez rzekę i ujrzała w tym miejscu samą siebie. Zastanowiłam się, czy także byłam tutaj, przykuta do tego drzewa, inna ja, odbijająca się w nieskończoność, echo w światach powielających się echem.

Choiny poszatkowały pomarańczowe lśnienie późnego popołudnia. Po chwili usłyszałam zbliżających się ludzi. Wyłonili się spośród drzew czujnie, jak jelenie wietrzące myśliwych. Cobb w towarzystwie mężczyzny, którego nie znałam, faceta o blond włosach i krzaczastej brodzie. Mieli na sobie brązowe stroje z zielonym wzorem maskującym i wysokie buty, obaj z AR-15 na ramionach.

Cobb się schylił, spojrzał mi w oczy. Napakowany, wzrok pochmurny.

— To naprawdę ty – stwierdził ze złośliwym uśmiechem.

Wytrzymałam jego spojrzenie, póki nie odwrócił wzroku, splunął. Bezbronna, z ramionami obejmującymi pień, ze skutymi nadgarstkami.

— To ona – powiedział Cobb, wziął zamach i rąbnął mnie w twarz swoją kamienną pięścią.

Poczułam, że złamał mi nos, a potylicę przeszły głębokie pieczenie. Krwawiłam, krew trysnęła na białe drzewo, spłynęła przewodem nosowogardłowym do ust. Ten drugi się roześmiał, a Cobb uderzył ponownie, rozbijając mi wargi.

— To jest ta suka, która zabiła Jareda – powiedział. Zamachnął się znowu, kolejny miażdżący cios w twarz.

Nie mogłam się ruszyć, zasłonić przed nim.

— Ma tylko jedną nogę – zauważył ten drugi, który szczyrzył się, zadowolając się patrzeniem. W krwi na korzeniach Vardoggera zauważyłam swoje zęby. Kuliłam się, przenikał mnie ból; wiedziałam, że jestem narażona na ciosy, byłam świadoma, że Cobb mógłby mnie zabić, gdyby chciał.

— Zdejmij jej kajdanki – powiedział zamiast tego.

Odpięli mnie od drzewa, ale złączyli mi nadgarstki z przodu i skuli ponownie.

— Pomóż mi z nią – powiedział Cobb.

Obaj dźwignęli mnie i pociągnęli, a Cobb zapytał:

— Możesz iść?

Ja zaś wiedziałam, że lepiej to zrobić, bałam się, co mogliby mi uczynić w przeciwnym wypadku. Podałam się im, skapitulowałam, trzy ciosy mnie złamały. Krew z twarzy kapała na ubranie, więcej, niż wydawałoby się to możliwe. Obrzeża mojego pola widzenia poczerniały, jakby wszędzie tam, gdzie patrzyłam, wdzierały się cienie. Cobb odciągnął mnie brutalnie od drzewa, popchnął w dół zbocza, w stronę płynącej wody. Zamiast jednego spopielonego białego pnia w otoczeniu sosen ujrzałam teraz szereg białych drzew ciągnących się w kierunku jakiegoś odległego, znikającego punktu, identyczne białe pnie.

— Co się dzieje? – zapytałam.

— Złudzenie optyczne – odparł Cobb.

### 3

**T**o musi być iluzja, pomyślałam, nieskończona rekurencja identycznych drzew. Były oddalone od siebie o kilkanaście metrów, a my szliśmy tworzoną przez nie aleją, ale trudno było nią iść, pozostanie na szlaku wymagało wysiłku. Niebawem las się zmienił, sosny rosły gęściej, ich igły nas drapały. Obawiałam się, że zabłądzimy wśród tych powtarzających się pni, ale Cobb przedarł się przez płataninę gałęzi i wyszliśmy na polanę nad rzeką. Na ten widok zrobiło mi się zimno.

To była Red Run, to był Vardogger – sosny, polana, rzeka – ale w przeciwieństwie do ostatniego razu, kiedy tu byłam, gdy rozpoznałam cechy, ale nie samo miejsce, zdawałam sobie sprawę, że to tutaj zostałam ukrzyżowana. Nie wiedziałam, jak pojąć to, co stało się tutaj wiele lat temu, za wiele lat od teraz, przeżycie, z którego zrozumieniem nadal się zmagalam, wszechogarniający dyskomfort wspomnienia lodu, zmrożonych łusek kory spalonych drzew, zamieci śnieżnych. Pamiętałam, że moją skórę trawił chemiczny ogień, że rozpięłam kombinezon kosmiczny i wkroczyłam nago w zimową wichurę. Ogromne odrętwienie, lód, rzeka jak czarny atrament. Zostałam ukrzyżowana w powietrzu, wisiałam na krzyżu, którego nie widziałam. Jedno z drzew Vardogger zostało ścięte i leżało w poprzek płynącej czarnej wody niczym kładka, jego gałęzie odrabano.

W pobliżu zwałonego pnia zebrał się z tuzin ludzi w zimowych płaszczach lub zawiniętych w grube koce. Kiedy jednak Cobb i jego towarzysz zmusili mnie do uklęknienia na trawie, podszedł do mnie tylko



jeden mężczyzna. Wysoki, szczupły, zbliżył się sprężystym krokiem. Jego rudozłote włosy odbijały światło jak ognista aureola. W przeciwieństwie do innych, którym urosły to schludne, to rozczochrane brody, ten był gładko ogolony, miał zapadnięte policzki pod wystającymi kośćmi twarzy, a jego oczy kryły się w kałużach cienia. Co powiedziała kiedyś Marian? Diabeł. Patrick Mursult powiedział Marian, że Diabeł może pożreć ludzi wzrokiem. Byłam pewna, że Hyldekrugger może być wcielonym diabłem. Poruszał się z wężową gracją, usta miał lekko rozchylone, koniuszek języka dotykał warg, jakby smakował mnie w powietrzu.

— Shannon Moss – odezwał się. – Trudno cię poznać na podstawie twojego zdjęcia. Kto ci to zrobił?

Jak ja wyglądam? Zemdlilo mnie na myśl o mojej pokancerowanej twarzy. Macałam językiem gładkie dziąsła w przerwach między zębami, wsuwałam go w krwawiące szczeliny. Czułam zwiotczały nos. Ból. Pulsowanie.

— Cobb – odparłam.

— Zmasakrował cię – stwierdził Hyldekrugger.

Zmysły miałam wyostrzone. Gdziekolwiek się znajdowaliśmy, był to inny las niż ten, przez który przeprowadził mnie Nestor, inny od obszaru, w którym byłam z Njoku i O’Connorem. Nie było tutaj ptaków, żadnych dźwięków poza wydawanymi przez nas, osobliwa cisza. Widziałam, że konary otaczających nas drzew kołyszą się, ale nie słyszałam ich ruchu. Hyldekrugger wyjął z pochwy nóż myśliwski o ząbkowanym, czarnym ostrzu. Zaszedł mnie od tyłu. Nie, nie, nie, pomyślałam. Zabije mnie.

— Nie możesz – powiedziałam. – Nie możesz tego zrobić, jestem podróżniczką.

Cobb trzymał mnie nadal, ścisnął mocniej, dłonie miał jak unieruchamiające żelazne obręcze. Hyldekrugger chwycił mnie za włosy, owinał je sobie wokół nadgarstka i szarpnął mi głowę w tył, odsłaniając szyję. Przecucie poderżnięcia gardła, krtani otwierającej się jak drugie usta.

— Nie zabijaj mnie – odezwałam się. – Nie możesz, jestem podróżniczką. Jeśli mnie zabijesz, umrze cały twój świat, twój kosmos. Jestem podróżniczką, jestem...

— Sądzisz, że obrócimy się w nicość? – zapytał Hyldekrugger. – Nie jestem tego taki pewny. Znajdujemy się wewnątrz Vardoggera, w tym osobliwym miejscu. Uważasz, że szczęśniemy, jeśli cię zabiję.

— Pracuję w NCIS, wiesz o tym – powiedziałam. – Wiesz, kim jestem. Shannon Moss. Marzec 1997. To jest ta data. Marzec 1997 to terra firma. Zginiesz, jeśli mnie zabijesz.

— Kurwa mać – odezwał się Cobb, ale chwyt Hyldekruggera na moich włosach się wzmógł.

Pociągnięto mnie w górę, głowę szarpnięto w tył – moja szyja, poderżnię mi gardło – ale napór ostrza poczułam na włosach, obcinało je. Kiedy Hyldekrugger mnie puścił, trzymał ich garść niczym zdartą króliczą skórę.

— Znam cię – powiedziałam. – Wiem, kim jesteś. Karl Hyldekrugger. Załatwiłeś sarinem budynek SISK, ośrodek FBI w Clarksburgu. Zabiłeś tysiąc ludzi. Zamordowałeś Patricka Mursulta i jego rodzinę. Zabiłeś dzieci.

— Więc zjawiałaś się tutaj, szukając mnie? – zapytał. – To nie byłem ja, tylko jakieś przeczucie mnie.

— To byłeś inny ty – odparłam. – Prowadziłam dochodzenie w sprawie popełnionych przez ciebie zabójstw i dowiedziałam się o zastrzeleniu Carli Durr. To mnie skierowało do Nestora.

Hyldekrugger schował nóż do pochwy.

— Driscoll – powiedział. – A więc podążasz tym tropem.

Przewlekł moje włosy przez szlufkę na pasku. Właśnie wydałam na nich wszystkich wyrok śmierci, mówiąc, że są częścią mojej NTP. Wiedziłam, że Hyldekrugger kombinuje, co ze mną począć, decyduje, czy ma mnie zabić i poświęcić swoje życie wraz z moim, ale wiedziłam, że kiedyś odrzucił już samobójstwo. Wszyscy się zbuntowali, żeby pozostać przy życiu.

— Jesteśmy dla niej cieniami – zwrócił się do ocalałej załogi *Wagi*. – Zjeżdżajcie stąd, zostawcie mnie z nią sam na sam.

Obecni się rozproszyli, ruszając ścieżką Vardoggerów w stronę brzegu rzeki. Wspięli się po korzeniach zwałonego drzewa na jego pień, wzdłuż którego biegła lina, której się trzymali dla zachowania równowagi, po czym przeszli nad Red Run; kłoda zamieniona w kładkę. Zdawało się, że wszyscy idący znikają przed dotarciem na drugą stronę, jakby się wślizgiwali za kurtynę-niewidkę wiszącą w połowie drogi.

— Jesteś z 1997 roku? – upewnił się Hyldekrugger. – Musisz mieć dostęp do własnego statku. Pewnie cormoranta. Pomyśl o wszystkich możliwościach, które widziałaś, o wszystkich przyszłościach. Składasz raporty rządowi z tego, czego doświadczyłaś?

— Owszem. Wszyscy tak robimy. Próbujemy zapobiec...

— Twój rządzący wie, co się stanie w nadchodzących latach – przerwał mi. – Obserwują wydarzenia światowe, jakby oglądali powtórki, ale zdarzają się te same tragedie. Dlaczego tak jest?

— Dlaczego zabiłeś te dzieci? – zapytałam. – Dzieci Mursulta. I wysłałeś kogoś, żeby zamordował tego naukowca, Driscolla. Dlaczego? Po co ta broń chemiczna, po co te wszystkie zabójstwa?

— Driscoll zważyłby nam wszechświat na głowy – odparł Hyldekrugger. – Także Mursult. Obudź się, Shannon Moss. Moje wizje przyszłości pokrywają się z twoimi. Widziałaś wszystko to, co ja widziałem. Widziałaś Terminusa. Nie jesteś w opozycji do nas, nie naprawdę. Nie sprzeciwiasz się nam, tylko jesteś ślepa. Jesteśmy jedynymi, którzy powstrzymują nadchodzącą falę.

— To wy sprowadziliście tutaj Terminusa... Ty to zrobiłeś – stwierdziłam. – Podążył za *Wagą*, przepalił się przez wszystkie przyszłości...

— Nie my – rzekł Hyldekrugger. – Terminus się nie rozprzestrzenia, nie przenika przez linie czasu, jak mówią. Sprowadzi go tutaj DMK, tylko oni. Dowództwo Marynarki Kosmicznej wyśle pewnego dnia statki na tę planetę, na którą się natknęliśmy. Odkryją kiedyś naszą tajemnicę i polecą tam za rok, za sto lat albo tysiąc, ale to się stanie. Są zbyt chciwi, żeby zostawić ją w spokoju. Terminus podąży za flotą marynarki z powrotem na Ziemię. Podąży za nimi. Prawdopodobieństwo tego zdarzenia jest tak wysokie, że każda przyszłość kończy się Terminusem. My staramy się osłabić ich determinację znalezienia tej makabry. Zabijemy wszystkich, którzy zechcą znaleźć tę planetę śmierci, ale Terminus jest bliżej, więc i oni muszą się sprężyć.

Zwłoki na terenach wokół ośrodka SISK, trupy w ciężarówce Rydera, marynarze Dowództwa Marynarki Kosmicznej, naukowcy z Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej, z Phasal Systems: Hyldekrugger zabije każdego, kto mógłby odkryć ponownie *Esperance*.

— W każdej przyszłości, jaką widziałam, zabiłeś mnóstwo ludzi, bardzo wielu niewinnych ludzi – powiedziałam. – Driscoll poleciałby badać tamtą planetę, więc musiałeś go zabić. Zgadza się? Musiałeś zabić wielu ludzi...

— Zerwać łańcuch. Przeciąć liny wiążące z Terminusem, zabić, żeby zamaskować błąd w myśleniu nas wszystkich. Poważna skaza każdego z nas polega na tym, że wierzymy w naszą egzystencję, póki się nie okaże, że jest przeciwnie. Wszystko, co widzimy i czujemy, mówi nam, że żyjemy, że

nasze otoczenie jest realne, ale to wszystko jest cholerną pomyłką, wszystko iluzją, której nie potrafimy przejrzeć. Zabiłem tutaj bardzo wielu ludzi, ale co to było warte? Jeśli jesteś podróżniczką, co to było warte? Nic. Ale ty. Ty możesz nadal nam pomóc. Możesz wrócić do Prawdy, możesz wyłączyć maszynę, która sprowadzi Terminusa, uczynić z tego mniej przeznaczenie, a bardziej prawdopodobieństwo. To wszystko, o co cię proszę: przywróć nam wolną wolę, nasze inne przyszłości, naszą szansę w przyszłościach. Zabijaj, póki każda przyszłość nie będzie kończyć się śmiercią.

— Nie – sprzeciwiłam się. – Chronię niewinnych.

Przez straszną chwilę obawiałam się, że mimo wszystko Hyldekrugger mnie zabije, że zmienił zdanie równie szybko, jak rozpętuje się letnia burza, ale on wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wstać.

— Chodź – powiedział, otwierając kajdanki i odrzucając je na bok. – Mamy drogi do przejścia, a nasza podróż jest trudna.

— Dokąd mnie zabierasz?

— Muszę cię ochronić – odparł.

Poszłam za Hyldekruggerem przez polanę, wzdłuż linii drzew, zwalczając pragnienie zejścia ze ścieżki, zawrócenia.

— To tędy przechodzą echa, co? – zapytałam.

— Vardogger to drzwi do pałacu o wielu komnatach – powiedział Hyldekrugger. – Niektóre doppelgängery przechodzą tędy. Są skonfundowane. Sądzą, że przenikają przez lustro. Jak je nazwałaś? Echa? Tutaj echa przechodzą przez rzekę. Pamiętają, że zgubiły się w lesie, że zostały zawrócone w jakiś sposób, jak w dziecięcym koszmarze o zabłądzeniu. Przyjdą tutaj przez las, wejdą na polanę. Zawrócą do rzeki, co do której były pewne, że zostawiły ją za sobą.

— A co z innymi? – zapytałam. – Powiedziałaś, że tylko niektóre echa przychodzą tędy, przekraczając rzekę.

— Pozostałe pojawiają się, wyprzedzając nas – odparł Hyldekrugger. – Zabijamy je, gdy to zauważamy. Chcą zająć tutaj nasze miejsce. Czasami im się to udaje.

— Kto?

— My – rzekł. – Widzimy samych siebie. Prowadzimy nieustanny bunt przeciwko samym sobie. Widzisz, co się dzieje. Widzisz swojego bliźniaka i wiesz, że będziesz musiał go zabić. W przeciwnym wypadku on zabije ciebie. Stanie się tobą.

Przed nami widniały drzewa Vardogger. Obejrzałam się i zobaczyłam ten sam niemożliwy szereg pni ciągnący się w przeciwną stronę. Marian zagubiona w zamęcie tego miejsca, przekraczająca rzekę, widząca samą siebie. Echa światów, echa egzystencji.

— Zabiłeś rodzinę Mursultów – odezwałam się.

— Tak, siekierą – przyznał Hyldekrugger. – Patrick Mursult chciał nas zniszczyć, więc ja zniszczyłem jego. Chciał nas zdradzić w zamian za ułaskawienie przez rząd. Jego trzydzieści srebrników. Sprowadziłby Terminusa na nasz próg. Był głupcem.

Kiedy dotarliśmy do brzegu rzeki, Hyldekrugger ściągnął jeden z płaszczy wiszących na odsłoniętych korzeniach i podał mi go. Sam otulił się w wojskowy koc.

— Kresy czasów są zimne – powiedział. – Zobaczysz różne rzeczy. Ale musisz iść cały czas, trzymać się ścieżki. Przechodzimy w zupełnie inne miejsce. Tam, dokąd idziemy, czają się niebezpieczeństwa. Nie wiem, co się stanie, kiedy nadejdzie Terminus, jeśli do tego dojdzie, lecz przypuszczam, że ta granica pęknie jak skorupka jajka i piekło się rozleje.

Wspięłam się po korzeniach i weszłam na pień, trzymając się obiema rękami linowej poręczy. Takie podłoże było dla mnie trudne, zaokrąglony, gładki pień zwałonego Vardoggera, który wydawał się bardziej drewnem skamieniałym niż zwęglonym i szorstkim. Tutaj, gdzie wodna mgiełka moczyła kłodę, nie czułam faktury podłoża ani czy moja sztuczna stopa znajduje oparcie. Hyldekrugger wspiął się za mną, trzymając się blisko mnie. Szłam małymi krokami, posuwając się wolno, trzymając się liny. Rzeka ryczała pod nami, czarna kipiela, dudniące bystrza.

Zobaczysz różne rzeczy, powiedział Hyldekrugger. W połowie drogi temperatura spadła gwałtownie, jakbyśmy z wiosny wkroczyli w środek zimy. Niebo stało się ołowiane, a powietrze wypełniły wirujące płatki śniegu i drobinki lodu. Krajobraz przede mną się zmienił, nie była to już wiosenna zieloność, ale zimowa sceneria, drzewa Vardogger zasłonięte przez porywy śnieżycy. Posuwałam się wolniutko po kładce, pień stał się jeszcze bardziej śliski z powodu pokrywającej go warstewki lodu, a wszędzie wokół nas, pojawiając się w powietrzu, jakby to były gwiazdy, które właśnie stały się widoczne, unosili się wisielcy, ciała ukrzyżowane do góry nogami, wiszące nad rzeką i w oddali między drzewami. Jęczeli, wydawane przez nich zawodzenia tworzyły chór niegasnącej udręki.

Opadłam na kolano, chwytając linę, ściskając ją, żeby wiatr nie zdmuchnął mnie do rzeki. Hyldekrugger był zakutany w koc, rude włosy miał oszronione. Polana za naszymi plecami, którą dopiero co opuściliśmy, była teraz głęboką arktyczną niebieskością. W niezmierzonej stalowozielonej linii drzew dostrzegłam pomarańczową plamkę. Krzyknęłam z przerażenia.

— Zostałam tutaj ukrzyżowana! – zawołałam, szukając siebie wśród wiszących w powietrzu ludzi. – Byłam jedną z nich.

Hyldekrugger objął mnie i pomógł mi wstać.

— Jak ocalałaś? – zapytał.

Śnieg przywarł mu do rzęs, oczy łzawiły w lodowatym wietrze. Trzymał mnie za ramiona, pomagając mi zachować równowagę.

— Zostałam uratowana – odparłam, nawet teraz się zastanawiając, czy ujrzę światła opadającego quad-landera. – Zostałam ściągnięta na dół, ocalona. Uratowali niewłaściwą osobę... Spójrz, tam, w oddali, ona tam jest. Tamta kobieta to ja. Oto, kim jestem.

Hyldekrugger się obejrzał.

— Tamta kobieta nie żyje – stwierdził. – Ty jesteś teraz, tutaj.

Nie wiedziałam, czym są KTN-y. Przybyłam z czasu, w którym nie istniał Terminus, byłam tylko możliwością, jedną z wielu. W moich oczach skupiał się punktowy ból, zdawał się rosnać, rozszerzać w otchłania. Wszystko wokół mnie było otchłania.

Hyldekrugger na wpół niósł mnie przez resztę drogi po kładce, a kiedy zeszliśmy z powalonego pnia w nawiany śnieg, skulił się wraz ze mną i okrył mnie swoim kocem. Niósł mnie dalej przed siebie. Wokół nas otworzyły się nieskończone odbicia, jakby moje oczy stały się kalejdoskopami, a wszędzie, gdzie patrzyłam, znajdowały się lustra. Widziałam nas idących nam naprzeciw po niebie, z dala od nas nad rzeką, w górę po ziemi, w naszą stronę po kładce. W oddali, w każdym odbiciu, dostrzegałam pomarańczowy punkt. Hyldekrugger popychał mnie teraz naprzód. Aleja drzew Vardogger zaczęła się zakrzywiać i pomimo zacinającego lodowatego wiatru powietrze wypełnił zapach dymu, jakbyśmy zmierzali ku wielkiemu pożarowi, palącej płuca czerni, pod której wpływem niebo przybrało barwę węgla drzewnego. Iskry strzelały w górę wirującymi snopami, miotane po niebie.

— Szybciej – rzucił Hyldekrugger, prowadząc mnie zakręcającą ścieżką drzew, powietrze było dymem w środku nocy.

Niebawem same drzewa Vardogger stały w ogniu, już nie spopielone

skorupy, ale drzewa w pełnym rozkwicie płomieni, jedno ogniste drzewo za drugim, pomarańczowe pożogi miotane przez wiatr i niesione w górę, jakby każde drzewo było ognistą trąbą powietrzną sięgającą nieba.

— Dokąd mnie prowadzisz? – zapytałam, przekrzykując zawrodozenie wiatru.

— To jest okręt zbudowany z paznokci – odparł Hyldekrugger, a ja dostrzegłam przed nami czarny kadłub *Wagi* górujący nad nieskończonym lasem, uszkodzony statek otoczony zaspami śniegu. Monolityczny dziób był rozdarty, natomiast rufa, w której mieściła się maszynownia – system silników i napęd B-L – płonęła, emitując kule jaskrawoniebieskiego światła, które błyskało i gasło, oślepiający stroboskop.

Szliśmy pośpiesznie wzdłuż ścieżki płonących drzew, statek rósł nam w oczach i dostrzegłam jedną z pianobetonowych kopuł, schronienie przed zacinającym śniegiem, czarna jak smoła kopuła o mrocznych oknach. Chciałam się tam dostać, skulić się wewnątrz w ciepłe, ale Hyldekrugger ciągnął mnie dalej naszą ścieżką.

— Zabiliby cię tam – wyjaśnił. – Nieważne, co bym powiedział, zabiliby cię. Są wyszkoleni do zabijania, bez dwóch zdań. Ludzie w tamtej kopule to strażnicy. Wypatrują naszych postaci, które się zbliżają, i zabijają je, strzelając do nich, zanim zdołają uciec do lasu. Sam zabijałem tutaj wiele razy.

I zobaczyłam, że na zaśnieżonych polach otaczających statek leży wiele ciał, niezliczone zamarznęte zwłoki w różnych śmiertelnych pozach, echa członków załogi *Wagi*. Zostali odarci z ubrań i pozbawieni wszelkiego sprzętu, jaki mogli mieć. Widziałam trupa Hyldekruggera i kolejne jego zwłoki, i następne.

Ścieżka płonących drzew Vardogger kończyła się przy *Wadze*. Szliśmy wzdłuż jej kadłuba, aż dotarliśmy do trapu burtowego prowadzącego do jednej ze śluz. Mróz przeniknął przez mój płaszcz, utrudniał poruszanie się.

— Będziesz musiała wejść na górę – powiedział Hyldekrugger, kiedy znaleźliśmy się przy schodkach.

Wszystko, byle tylko umknąć przed tym zimnem, ale żelazne poręcze sparzyły mi dłonie. Kiedy się wspinaliśmy, ze statku buchnął kolejny sferyczny błysk, który nas ogarnął. Przeniknął mnie wstrząs wyładowania elektrostatycznego, głębokie doznanie, oszałamiające, i przez moment widziałam się ukrzyżowaną, ujrzałam się w pomarańczowym kombinezonie,

widziałam siebie przechodzącą przez czarną rzekę, zobaczyłam siebie jako nastolatkę, z Courtney Gimm, wydmuchującą dym z papierosa przez okno jej sypialni. Widziałaś kiedykolwiek kwitnącą „spadającą gwiazdę”?

— Nie zatrzymuj się – polecił Hyldekrugger. – Teraz mamy szansę, w tej chwili. Właź na górę!

Obejrzałam się na las z wysokości trapu, statek był otoczony przez pożar, piekło ognistych drzew, falujące morze płomieni, które miały się na wietrze jak sztandary piekła. Wyobraziłam sobie *Wagę* uszkodzoną podczas buntu, o kadłubie w szacie ognia, która spada gwałtownie z nieba na Ziemię jak płonąca góra i rozbija się w tym miejscu. Inne linie drzew Vardogger rozchodziły się promieniście od statku, niezliczone szeregi pni, niczym płonące szprychy otaczające piastę, najwyraźniej nieskończone ścieżki prowadzące do innych części nieskończonego lasu. Mnóstwo ścieżek, pałac o wielu komnatach. Sięgałam wzrokiem poza las, tam, gdzie płomienie zgasły, gdzie szeregi Vardoggerów stały się zwęglonymi kikutami, spalonym lasem spopielonej białości, śnieg był zmieszany z taką ilością sadzy, że horyzont poszarzał, niebo pociemniało. Krajobraz był jak płonące oko Boga, a ja stałam w jego czarnej źrenicy, którą była *Waga*. Płomienie i szeregi Vardoggerów burzyły się wokół nas, jakbym tkwiła w oku ogarniającego świat huraganu. Krzyczałam.

Hyldekrugger powlókł mnie w górę po ostatnich stopniach do śluzy w burcie, która była pokryta spieczoną rdzą albo czymś o barwie rdzy, kadłub był upstrzony na białą i brązową. Nie, to nie była rdza, rdzawy kolor został naniesiony, pokrywał właz śluzy i jej otoczenie jak gruba, czerwona skóra. Hyldekrugger obrócił zamek i monumentalna kłapa otworzyła się do środka.

— Wejdz – polecił grzmącym głosem ponad wyciem wiatru, ale zawahałam się, portal statku idealną pustką, odpychającą, kołem nicości otoczonej przez rdzawą barwę, cętki i ciemniejsze, włókniste zawijasy.

— Paznokcie – powiedziałam ze wstrętem podchodzącym do gardła. – I krew – dodałam. Rozsmarowano tutaj krew z ciał otaczających statek zmieszaną z ich paznokciami i włosami, pokryto tym właz śluzy i kadłub. – Pomalowaliście statek krwią.

— Ziemia zadrżała i Nagelfar został uwolniony z cum – odparł Hyldekrugger – wioząc ciała poległych wojowników na wojnę z bogami.

Paznokcie zmarłych, statek zbudowany z paznokci. Żona Mursulta, jego



dzieci; usunięto im paznokcie z palców dłoni i stóp, przyniesiono tutaj. Marian Mursult, martwe echa. Ilu innych? Myśl o skali tych zabójstw przytłoczyła mnie, jakbym widziała górę, ale rozumiała, że to załamująca się fala.

Hyldekrugger pchnął mnie w stronę śluzy, tego czarnego koła. Wkroczyłam do statku poprzez cień, ale w momencie wejścia do *Wagi* uniosłam się, moje stopy oderwały się od podłogi śluzy i obracając się, poleciałam w górę. Nieważka uderzyłam w sufit, odbiłam się, brak grawitacji. Spadałam swobodnie, wirując. Hyldekrugger zamknął właz, byłam szmacianą lalką rykoszetującą od sufitu, podłogi i ścian, pozbawioną czegokolwiek, co przerwałoby moje spadanie, póki Hyldekrugger mnie nie chwycił. Poszybowałiliśmy razem. Tu nie ma ciężenia.

— Co się dzieje? – zapytałam.

— Milcz teraz – polecił.

Byliśmy w pobliżu maszynowni i niebawem usłyszałam dwutonowy sygnał alarmu siłowni zawodzący w całym statku.

— To reaktor jądrowy – stwierdziłam. – Coś jest nie tak.

— Szef działu nuklearnego próbował rozbić statek, ale Bietak nas ocalił – wyjaśnił Hyldekrugger, jego głos utonął w grzechotliwym wybuchu pobliskiej strzelaniny. – Teraz – rzucił i pociągnął mnie przez właz prowadzący do maszynowni, pomieszczenia pełnego rur, rurek, przewodów i drutów, przy czym większość przestrzeni zajmował srebrzystostalowy reaktor jądrowy w kształcie kotła. Znajdujący się w osobnym przedziale napęd B-L otaczały pierścieniowe zderzacze cząstek. Wyglądał niemal jak ludzkie serce zanurzone w srebrze.

W pobliżu reaktora unosiły się zwłoki; długi, lepki, krwawy glut wydymał się od otworów ciała w miejscach, w których kule rozszarpały wnętrzości. Po naszywkach poznałam, że to trup oficera odpowiedzialnego za reaktor jądrowy i napęd B-L. Hyldekrugger miał szalone oczy. Z małej tablicy na rzepy z narzędziami oderwał latarkę dokładnie w chwili, gdy reaktor jęknął i wydał zawodzący dźwięk, a światła na statku zgasły, pograżając nas w całkowitej ciemności. Alarm wył nadal, ostrzegając o awarii stosu.

— Ruchy – polecił Hyldekrugger, włączając latarkę. – Nie mamy dużo czasu. Bietak wróci tutaj, żeby to naprawić, a potem zjawi się Mursult, żeby pilnować przejścia. Nie powinno nas tu być, kiedy przyjdzie Mursult. Nie

chcemy z nim walczyć, nie tutaj.

— Powiedz mi, co się dzieje, co to...

Ale Hyldekrugger mnie popchnął.

— Dalej – nakazał i przeciągnął mnie przez kolejny właz.

Poruszaliśmy się korytarzami jak pływacy, Hyldekrugger omiatał światłem przestrzeń przed nami. Minęliśmy pomieszczenie oficera technicznego, wnękę z biurkiem i szafkami na akta wprawionymi w ściany i sufit. Dział inżynierski miał własną mesę i pomieszczenie na spotkania, z ławką wyginającą się wokół składanego stołu. Minęliśmy gabinety oficerów-mechaników, oddział laboratoryjny reaktora, wydział elektryczny, a niebawem przemierzaliśmy korytarze z iluminatorami. Wyjrzałam przez pierwszy z brzegu, spodziewając się widoku lodowego wiatru, szalejących płomieni i szeregów drzew, ale zamiast tego ujrzałam gwiazdy nieskończonej nocy.

Gdzie my jesteśmy? Gdzie jesteśmy? Co się ze mną dzieje?

Hyldekrugger ciągnął mnie, ale przyłgnęłam do iluminatora, powiodłam wzrokiem wzdłuż kadłuba statku. Tam, gdzie wcześniej pokrywało go kilkanaście centymetrów lodu, teraz widniała krystaliczna skorupa, jaskrawobiała i lśniąca, niczym powłoka z minerałów albo brylantowe pąkle, które ozdabiały pancierz. Osad był najgrubszy na rufie, nad maszynownią za nami, rosnąc w postaci poszarpanych strumieni opalizacji i rozchodząc się promieniście od statku jak skrzące się białe promienie słońca.

Dlaczego to się dzieje?

Hyldekrugger uderzył mnie w kręgosłup trzonkiem noża.

— Szybciej, za moment zapalą się światła.

Odepchnął mnie od iluminatora w chwili, gdy alarm umilkł, a przyćmione światła rozbłysły gwałtownie. Zmierzaaliśmy do aresztu, pojęłam, podążając za nim w szoku, konfuzji i strachu. Dotarliśmy do biura NCIS o ścianach poplamionych sferycznymi rozpryskami nieważkiej krwi.

— Co się stało z agentami na pokładzie statku? Gdzie oni są?

— Ochroniali dowódcę – odparł Hyldekrugger.

Otworzył żelazne drzwi; pomieszczenia aresztów na TERN-ach DMK były dużo większe od ich odpowiedników na okrętach morskich, bo już od najwcześniejszych misji psychiatrzy NASA ostrzegali przed możliwością wystąpienia „szaleństwa przestrzeni”. Znajdowało się tutaj osiem cel umieszczonych jak koje, każda komora była żelazną skrzynią. Hyldekrugger

wepchnął mnie do celi numer pięć. Kopałam go, a on mnie uderzył, rozbijając mi ponownie nos. Popłynął z niego lepki strumień krwi, nie mogłam walczyć z Hyldekruggerem. Chwycił moją protezę, przycisnął mi tułów nogą i pociągnął; bolało, w końcu sięgnęłam i zwolniłam uszczelkę próżniową.

— Uważam, że możesz popełnić samobójstwo – powiedział – i nie mogę pozwolić, żebyś się zraniła tym przedmiotem.

Zamknął mnie w karcerze i opuścił areszt, wrzuciwszy mnie w kompletną ciemność. Unosiłam się w powietrzu niczym płód, nie widząc niczego ani nie słysząc. Ból rozbitego nosa i połamanych zębów przenikał mnie jak błyskawica. Wkrótce w tej przepastnej ciszy usłyszałam dzwonięcie w uszach i swój oddech świszczący w zapadniętych zatokach przynosowych, a potem ciche pluskanie krwi o ściany celi.

Minęły godziny.

Byłam echem. Echem Shannon Moss, pojęłam, sprowadzonym na terra firma, kiedy zostałam zdjęta z krzyża. Teraz to rozumiałam. Kobieta w pomarańczowym kombinezonie była Shannon Moss, ona była prawdziwa. Widziałam ją wśród śniegów. Tamta kobieta nie żyje. Ty jesteś teraz tutaj. Przybyłam z NTP, w której nie było Terminusa, ale była to zaledwie fikcja tamtej NTP, NTP, która zniknęła z mignięciem, mimo że ja żyłam, cała egzystencja, która została odcięta. Czy byłam rzeczywista? Byłam próżnią, owalem ciemności tam, gdzie powinna się znajdować moja twarz, jakby ciało było wydrążone albo wypchane słomą. Jednak ból był realny, ból mojej zmasakrowanej twarzy, oraz strach i rozpacz. Na pokładzie USS *William McKinley O'Connor* i ja musieliśmy stawić kiedyś czoło marynarzowi o nerwach zszarpanych przez Głębokie Wody, który uderzył oficera. Poskromiliśmy go, zaprowadziliśmy do celi i zamknęliśmy – miał cały areszt dla siebie, ale myśl o tym żelaznym odosobnieniu i samotności przerażała go bardziej niż jakiekolwiek inne środki penitencjarne, które można było zastosować. Błagał nas, prosił, kwiląc jak dziecko, żeby go wypuścić. Myślałam teraz o tym marynarzu, o tym, jak drapał ściany.

W jakiś sposób znajdowałam się na *Wadze* w stanie nieważkości. Widziałam zamordowanego szefa działu nuklearnego, ale jak to było możliwe? Słyszałam odległe dźwięki. Ciche pukanie, jakby ktoś stukał paznokciami w blat stołu albo jakby był to odgłos szczurzych pazurków drapiących o metal. Trzaski, a potem pojęłam, że to strzały z broni krótkiej,

po której rozległ się głośniejszy terkot karabinów automatycznych. Walczą na statku. I zastanowiłam się, czy to marynarka dotarła tutaj, przybyła mi na ratunek, albo FBI, zespół odbijania zakładników; pomyślałam, że może Vivian przeżyła jakimś cudem albo ktoś przyszedł tutaj za nami. Potem przed aresztem rozległ się krzyk, wołało kilku ludzi, fala dźwięku, która ucichła nagle.

Drzwi otworzyły się, a moje oczy przeszyła smuga światła. Zmrużyłam powieki z powodu blasku i udało mi się zobaczyć kobietę, która wślizgnęła się do wnętrza, po czym zamknęła za sobą żelazne drzwi, pogrążając nas ponownie w ciemności.

Nicole, ale tutaj była dzieckiem, nastolatką. Słyszałam, jak się porusza. Próbowwała zachowywać się bezgłośnie, ale dyszała głośno, płakała i w śmiertelnej ciszy słyszałam każdy jej cichy szloch. Szybowała między celami, przyfrunęła bliżej, a kiedy dotarła do mojej, odezwałam się:

— Nicole, pomóż mi.

— Kto to? – szepnęła przestraszona.

— Jestem agentką NCIS – wyjaśniłam. – Chcę, żebyś mi pomogła. Musisz mnie wypuścić, Nicole.

— Nie znam cię – odparła. – Nie widziałam cię wcześniej. Dlaczego jesteś zamknięta? Jak się tutaj znalazłaś?

— Wypuść mnie.

— Nie mogę – powiedziała. – Nie, nie mogę...

Kolejna potyczka, wymiana ognia, teraz głośniejsza. Potem jeszcze jedna batalia, tuż za drzwiami; pociski rykoszetowały od ścian korytarza, metaliczne staccato o żelazne drzwi.

— Robią to – odezwała się Nicole. – Nie wierzę... Zabili ją, nie, nie... – Jej głos był podszyty płaczem, słyszałam, że trze twarz dłońmi, mówiąc: – Nie, proszę, proszę, nie róbcie tego.

— Kogo zabili? – zapytałam.

— Remarque. Zastrzelili ją, zabijają teraz wszystkich – odparła Nicole. – Remarque i naszą oficer zbrojeniową, Chloe Krauss. Były razem w mesie oficerskiej, zabarykadowały się. Nie żyją, och, już nie żyją.

To było znajome, to już się wydarzyło i pomyślałam o wyznaniu Nicole, kiedy stałyśmy razem obok stodoły w sadzie.

— Ale ty jesteś niewinna, Nicole. Nie zabiłaś nikogo.

— Uwielbiam Remarque... Wiedzą o tym, nie chcę, żeby zabili mnie

z jej powodu – stwierdziła. – Ukrywałam się w pomieszczeniu systemu podtrzymywania życia, ale sprawdzają wszystkie wnętrza, więc uciekałam tutaj. Mordują wszystkich.

— Uspokój się, Nicole. Musisz mi pomóc. Znam cię. Wiem, że twój ojciec przekonał Remarque, żeby pozwoliła ci wsiąść na ten statek – powiedziałam. – W Mombasie odbyła się uroczystość na jej cześć, wydali ucztę, żeby ją uhonorować. Kiedy to było? Całe lata od teraz.

— Sześćset osiemdziesiąt jeden lat – odparła Nicole. – Kiedy Remarque wylądowała, i *Waga*, odprawiliśmy ceremonię Roho, czcząc przejście. Wtedy poznałam mojego męża. Ujrzał mnie w girlandach w zagajniku migdałowców. A mój ojciec... chciał, żebym żyła... przekonał Remarque do zabrania mnie... ona także chciała, żebym żyła, przyjęła mnie.

— Mogę ci pomóc, Nicole. Musisz mnie tylko stąd wypuścić.

Kolejny grzechot strzelaniny. Nicole zbliżyła się do krat mojej celi i powiedziała:

— Skąd znasz moje imię? Zdawało mi się, że poznałam wszystkich na statku, ale ciebie nie znam.

— Znałyśmy się w innym czasie – wyjaśniłam. – Przyjaźniłyśmy się kiedyś. Znałaś mnie jako Courtney Gimm. Rozmawiałyśmy ze sobą niemal co noc, w innym czasie, w przyszłości. Opowiedziałaś mi o Kenii. Opowiedziałaś mi o drzewach, które wyglądają jak szmaragdy.

— Nie wiem, co robić – stwierdziła.

— Wypuść mnie. Mogę ci pomóc.

— Nie mogę cię uwolnić. Zabiliby cię, gdyby wiedzieli, że tutaj jesteś. Zabiliby mnie, bo cię wypuściłam, bo z tobą rozmawiałam.

— Proszę – powiedziałam, ale nie odezwała się. Ujrzałam szczelinę światła, gdy otworzyła drzwi aresztu. Zobaczyłam, że wyslizguje się na zewnątrz, a drzwi się zamykają.

Byłam sama w ciemności, a czas się rozpuszczał. Musiały upłynąć godziny. Co jakiś czas lepka kula mojej dryfującej krwi odbijała się ode mnie, a ja pogrążałam się w rozpacz. W końcu przez statek przetoczył się głęboki, grzmiący huk, wprawiając stal w drżenie. Nastąpiła kolejna eksplozja, dużo głośniejsza od poprzedniej, a po kilku sekundach poczułam słabą woń dymu, gryzącą ostrość pożaru instalacji elektrycznej. Wołałam o pomoc, tkwiąc w pułapce, bałam się spalenia żywcem w celi, wkrótce światła rozblęsnęły czerwienią – oświetlenie awaryjne – i rozległ się metaliczny

brzęk dzwonek.

Statkiem szarpnęło, od kadłuba dobiegł głośny stalowy jęk. Usłyszałam szereg trzasków, jakby ktoś walił w garnki i patelnie, i kilka wybuchów, jakby powietrze się rozrywało. Stal trzeszczała, statek grzechotał. Myślałam, że kadłub pęknie albo się odkształci. Na suficie celi pojawiły się płynne kule niebieskiego światła, a ja usiłowałam oddalić się od ognia, schować w rogu. To wtedy w posiadanie wzięła mnie grawitacja i rąbnęłam o ścianę, sufit, tocząc się w karczerze, niebieskie kule ognia rozpląszczyły się i rozprzestrzeniły. Spadamy. Spadamy z nieba. Spadaliśmy całe minuty, z których każda wydawała się wiecznością. Byłam poturbowana w żelaznym pudle, rozgnieciona na podłodze. Potem chaos się skończył. Miałam rozcięte czoło, cała twarz krwawiła mocno. Alarm brzmiał nadal.

Na jakiś czas straciłam przytomność, po czym ocknęłam się w kompletnej mlecznej ciemności. Usiadłam najwygodniej, jak się dało w tej wąskiej celi, nasłuchując, a po upływie pewnego czasu poczułam, jakby w mojej piersi narastał drobny ładunek elektryczny. To napięcie elektrostatyczne było nieprzyjemne, zdawało się brzęczeć we mnie, narastające crescendo intensywności, aż poczułam szczypanie cebulek włosów, przenikały mnie fale dreszczy. Napięcie było nieznośne, otworzyłam usta i ujrzałam wyładowania elektryczne bijące z trzaskiem z moich zębów i biegnące po palcach dłoni niczym niebieskie włókna w powietrzu. Głośny trzask, eksplozja światła, wyładowanie elektryczne odebrane tak, jakby ktoś rąbnął mnie z całej siły w serce. Ponownie zniknęło ciśnienie, znowu unosiłam się swobodnie, na statku zapadła cisza.

Wybuch przetoczył się gdzieś głęboko w trzewiach *Wagi*. Minął jakiś czas, po czym usłyszałam, że drzwi aresztu się otwierają, zgrzyt metalu, ale nie pojawiła się szczelina światła. Ruch, ledwie słyszalny. Drzwi mojej celi szczęknęły i usłyszałam, że otwierają się szeroko. Podryfowałam w stronę tylnej ściany pomieszczenia, przerażona, kto mógł tutaj wejść, bojąc się Hyldekruggera. Czyjaś dłoń zakryła mi usta.

— Nawet nie piśnij – usłyszałam głos. – Mamy teraz jedyną szansę. Kilka minut, zanim naprawią światła.

Dłoń pozostała na moich ustach nawet wtedy, gdy się uspokołam, gdy skinęłam głową na potwierdzenie, że będę cicho.

— Widzisz to? – rozległ się szept.

W ciemności pojawiła się fosforyzująca niebieskość, błękitne światło nie

większe od szklanej kulki. Poznałam, co to jest: fragment obcego płata w amulecie Nicole. Moment później iskra zniknęła. Skinęłam głową; tak, widziałam fosforescencję.

— Podążaj za światłem – poleciła Nicole.

Zabrała dłoń z moich ust, fosforyzujący blask pojawił się metr dalej, unosząc się w ciemności, po czym zgasł. Uniosłam ramiona, macając w poszukiwaniu drzwi celi, wypłynęłam na zewnątrz. Posuwałam się, człogając się po suficie, polatując. Bardzo szybko zgubiłam się w ciemności i przystanąłam, w oczach błyskały mi złudne czerwone plamy, aż w końcu z mgiełki fałszywych barw ponownie wyłowiłam dryfującą niebieskość. Podążyłam w jej stronę.

Straciłam kompletnie poczucie kierunku, przeczołgałam się po ścianie przez właz. Opuściłam pomieszczenie aresztu i znalazłam się w dużo węższym korytarzu. Niebieskość pojawiła się znowu przede mną w odległości metra, odepchnęłam się w tamtą stronę szybko, ale cicho. Uderzyłam o stalową ścianę, rozejrzałam się za błękitnym ognikiem, ale nie zauważyłam go, póki nie usłyszałam oddechu tak cichego, że niemal umknął mojej uwagi. Tchnienie sprawiło, że spojrzałam w górę, ku niebieskiemu światłu unoszącemu się nade mną. Wyciągnęłam w tamtą stronę rękę i przeciągnęłam się przez przejście. Szybowałam, podążając za lśnieniem, i wkrótce dotarliśmy do korytarza z szeregiem iluminatorów, twarz Nicole oświetlił blask krystalicznego lśnienia, widmowych diamentowych kształtów, które narosły na kadłubie, oraz promieniujących linii ciągnących się w nieskończoność. To nie była Nicole jako nastolatka, z którą niedawno rozmawiałam, ale młoda kobieta, starsza od tamtej o dziesięć lub więcej lat. Przywiodła mnie do słuzy, do której wcześniej wprowadził mnie Hyldekrugger.

— Odpocznij chwilę – powiedziała. – Złap oddech. Niebawem będziesz musiała biec.

— Nie rozumiem.

— Znamy się w innej przyszłości, w innym czasie – odparła. – Teraz musisz iść. Będą cię szukać.

— Nicole – powiedziałam. – Pomóż mi zrozumieć...

— Nie mamy czasu.

— Jak... Jesteś starsza.

— Siedziałaś w więzieniu kilka lat, Shannon – poinformowała mnie.

— Nie – powiedziałam, niemal pragnąc się roześmiać z powodu błędności tego wszystkiego, niespójności. – Minał najwyżej dzień. Kilka godzin.

— To miejsce, ten statek jest jak uroboros – rzekła Nicole. Pokazała mi swój nadgarstek, miedzianej barwy bransoletkę, którą zawsze nosiła, połykający własny ogon wąż o teksturze w postaci romboidalnych łusek. – Dorastając w Kenii, bawiliśmy się nimi. Jeśli nosisz taką bransoletkę, możesz ją zdjąć i dać przyjaciółce.

— Bransoletka przyjaciółni – powiedziałam.

— Tak – potwierdziła Nicole. – Uroboros.

Zsunęła ozdobę z nadgarstka i nałożyła na moją rękę, metal był chłodny. Zatrzasnęła ogon węża w jego paszczy, bransoletka pasowała na mój nadgarstek jak ulał. Nicole uniosła rękę. Widziałam, że zdjęła bransoletkę, ale nadal ją miała; to było jak sztuczka iluzjonisty.

— Dajesz bransoletkę przyjaciółce, ale wciąż ją masz – stwierdziła. – Więc pasują do siebie.

— Ale kilka lat – odezwałam się, wysilając umysł. – Przybyły ci całe lata. Widziałam cię zaledwie kilka godzin wcześniej i byłaś młodsza...

— A ty wyglądasz tak, jak cię pamiętam, dokładnie tak samo. Odkąd cię tutaj ujrzałam, przeżyłam niemal dwanaście lat – powiedziała Nicole. – Patrick nie żyje, jego rodzina nie żyje, a ty z agentem Nestorem pojawiłaś się zeszłej nocy w moim mieszkaniu. Wraz z młodą kobietą imieniem Płatek odnalazłyście mnie dzięki numerowi rejestracyjnemu mojego samochodu zapisanemu w Blackwater Lodge.

— Nie, nie byłam u ciebie z Nestorem – zaprzeczyłam. – W ogóle tam nie byłam. Nestor sam cię znalazł. To nie byłam ja.

— Jednak po wyjściu Nestora ty i ja odbyłyśmy długą rozmowę. Zauważyłaś u mnie na ścianie obraz Salvadora Dalego, *Ukrzyżowanie*, i zwierzyłaś się mi, że spotkałyśmy się już w przyszłości, że spotykałyśmy się niemal co wieczór, dziesięciolecia od obecnej chwili – powiedziała Nicole. – I wtedy cię poznałam. To wtedy przypomniałam sobie, że spotkałyśmy się już kiedyś, ale nie w przyszłości. Pamiętałam cię sprzed jedenastu lat, z czasu buntu. Przypomniałam sobie, że rozmawiałam z kimś w areszcie, krótkie spotkanie z kobietą nazywającą się Courtney Gimm. Jedenaście lat temu powiedziałaś mi, że nazywasz się Courtney Gimm.

— Powiedziałam ci, że mam na imię Courtney – przyznałam; kilka



godzin temu dla mnie, jedenaście lat dla niej. Skutki zdarzeń, które jeszcze nie zaszły, opowieść Nicole jak cyfra osiem, pętla nieskończoności przecinająca kluczowy moment, kiedy znajdowałam się w areszcie i powiedziałam Nicole, że znała mnie niegdyś jako Courtney Gimm. „A teraz wyobraź sobie, że do pożaru lasu, w którym spłonęło to drzewo, nie dojdzie przez następnych trzysta albo trzy tysiące lat”, powiedział kiedyś Njoku; odbicia godzin spędzonych przeze mnie w areszcie istniały na długo przed tym, zanim Hyldekrugger wsadził mnie do niego. Cały mój dawny ból i smutek dzieciństwa przepłynęły przeze mnie falami mdłości. Nicole uważała, że mam na imię Courtney.

— A kiedy statek się rozbił, wyszliśmy przez las, idąc wzdłuż ścieżki drzew – powiedziała Nicole. – Wszyscy. A Karl wiedział, że powinniśmy się ukrywać, dopóki nie wymyśli, co mamy począć, że będziemy poszukiwani za zdradę, skazani na śmierć, jeśli zostaniemy kiedykolwiek znaleźni, więc powiedziałam mu...

— Powiedziałaś mu, że widziałaś agentkę NCIS nazwiskiem Courtney Gimm – stwierdziłam z płaczem. – O Boże, nie... O mój Boże. – To moja wina, pomyślałam. Hyldekrugger zabił Courtney albo zrobili to Mursult lub Cobb, bo uznali, że Courtney Gimm jest agentką, błędna identyfikacja, pomyłka, mój błąd.

To moja wina, że ona nie żyje.

— Powiedziałam im o tobie – przyznała Nicole. – A Karl kazał Mursultowi znaleźć Courtney Gimm i ją zabić. I znalazł ją, szesnastoletnią dziewczynę...

— Proszę – powiedziałam – proszę, to nie może się zdarzyć. Zabił ją? – zapytałam, zżerało mnie poczucie straty. – O Boże, powiedz mi, że to nieprawda, że to się nie dzieje. Zabił Courtney przeze mnie? Bo posłużyłam się jej nazwiskiem? Zabił ją?

— Nie – odparła Nicole. – Gdy ją znalazł, już nie żyła. Więc Mursult przeprowadził się z rodziną do jej domu, wynajął go jej starszy brat. Patty pytał o zabitą dziewczynę za każdym razem, gdy brat odbierał czynsz, starając się dowiedzieć, kto był w areszcie, sądząc, że któregoś dnia Courtney Gimm może się pojawić. Ale to byłaś ty.

Mursult mieszkał w domu Courtney przy Cricketwood Court i pytał o nią, bo uważał, że agentka Courtney Gimm będzie prowadziła kiedyś śledztwo w sprawie buntu na *Wadze*. Nie doprowadziłam do jej śmierci, ale nawet

wtedy, gdy dławiące poczucie winy z powodu nieumyślnego odegrania roli w zabójstwie mojej najlepszej przyjaciółki opuszczało mnie, schwytał mnie zimniejszy smutek. Przez chwilę wyglądało na to, że całe istnienie ujawniło swój kształt, cel okrucieństwa, straszliwą ironię, że definiujące mnie kontury zabójstwa z dzieciństwa zdawały się pasować do większego wzoru, aż do teraz ukrytego. Przez moment, gdy uważałam, że posłużenie się imieniem Courtney zabiło ją, zdawało się, że na jakimś poziomie wszystkie tragedie i uniesienia stanowią część wielkiego planu niemożliwego do objęcia moim ograniczonym umysłem, zapętlonego schematu, w którym wszystkie działania i ich konsekwencje są skalkulowane. Przez chwilę śmierć Courtney miała przerażający sens, możliwą do zidentyfikowania przyczynę, powód. Ale elementy się rozpadły. Nie było sedna, nie było przesłanki. Śmierć Courtney była aktem przypadkowego, banalnego okrucieństwa zadanego jednemu organizmowi przez drugi. Wszechświat jest ogromny i obojętny na nasze pragnienia.

— A wiele lat później zjawiałaś się w moim mieszkaniu ze swoją odznaką i przedstawiłaś jako Shannon Moss z NCIS – podjęła wątek Nicole. – Powiedziałaś, że podróżowałaś w przyszłość i że za dwadzieścia lat spotkamy się pierwszy raz w lokalu o nazwie May’rz Inn. Powiedziałaś, że byliśmy sobie kiedyś bliskie, byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Powiedziałaś różne rzeczy o mnie, o moim życiu...

— Nic ci nigdy nie mówiłam – zaprzeczyłam. – To się nie wydarzyło.

— Więc zgodziłam się pokazać ci Vardoggera, przestrzeń fazową, ale ty powiedziałaś, że muszę uciekać. Ostrzegłaś mnie, że mam zniknąć, żeby ocalić życie, zanim zostanę aresztowana przez FBI albo znajdzie mnie Hyldekrugger i zabije. Powiedziałaś mi, że zamierzasz przyjść tutaj, do Vardoggera, że zjawisz się wkrótce, więc uciekłam, ale przypomniałam sobie.

— Przypomniałaś sobie – rzekłam. – Pamiętałaś, że rozmawiałaś ze mną w areszcie, kiedy byłaś młodą dziewczyną, pamiętałaś, że spotkałaś mnie podczas buntu, jedenaście lat temu, kobietę w celi, Courtney Gimm.

— Chciałam odwzajemnić uprzejmość, którą mi okazałaś, Shannon – stwierdziła Nicole. – Przez wzgląd na naszą przyjaźń powiedziałaś mi, żebym uciekła, uratowała się. Nie aresztowałaś mnie, tylko ostrzegłaś. Więc ja także chciałam ocalić ciebie. Kto wie? Może za dwadzieścia lat zjawisz się pewnego wieczoru w barze i zaproponujesz mi drinka?

— Ale to nie byłam ja – zaprzeczyłam. – To była jakaś inna... Nie byłam nigdy z Nestorem w twoim mieszkaniu. Nigdy nie miałam okazji powiedzieć ci, żebyś uciekała. To nie byłam ja, Nicole. To było moje echo, ktoś inny.

— Różne są ścieżki drzew Vardogger – stwierdziła Nicole. – Tutaj wszyscy jesteśmy echami, Shannon.

Poczułam, że powietrze uchodzi mi z płuc, i usłyszałam coś, co zabrzmiało jak wezbrane westchnienia. Przez moment zdawałam się widzieć mignięcia wszystkich wersji Shannon Moss i Nicole Onyongo rozkwitające na zewnątrz, wzrastające razem i wzrastające osobno, nieskończone interakcje między nami.

— Czująś przypuszczalnie nieudany zapłon napędu B-L – powiedziała Nicole. – Za każdym razem, kiedy spała na panewce, tworzy się kolejna ścieżka tych drzew, kolejny wszechświat. Musimy opuścić statek, zanim dojdzie do tego ponownie, bo inaczej utkniemy tutaj na zawsze i będziemy wiecznie prowadzić tę rozmowę. Musimy ruszać.

— Co mam robić? – zapytałam.

— Skacz.

Nicole chwyciła dźwignię śluzy powietrznej, pociągnęła klapę do siebie i otworzyła przejście z odgłosem ssania. Usiłowałam znaleźć jakiś uchwyt, cokolwiek, czego mogłabym się przytrzymać, ale palce mi się ześlizgnęły, a ja wstrzymałam oddech i wkroczyłam między gwiazdy, samobójczy akt swobodnego spadku w przestrzeni zewnętrznej. Rozbłysło światło dnia, a ja wylądowałam na trapie burtowym, zimowy chłód przeszył moje ciało jak lodowe włócznie, a piekło w lesie rozrywało niebo wokół mnie. Wiatr zepchnął mnie z kilku pierwszych stopni, zanim odzyskałam równowagę i zahamowałam swój upadek. Nicole wyszła za mną i pomogła mi spełznąć na śnieg z kilku ostatnich stopni. Hyldekrugger zabrał mi protezę, nie mogłam więc stać.

— Ruszaj – powiedziała. – Odwróć ich uwagę, jeśli ktoś czuwa. Ruszaj.

Nicole oddaliła się biegiem, widziałam jej sylwetkę przesłoniętą przez niesiony wiatrem dym i śnieg. Zginie. Strażnicy ją zabiją. Chciałam biec, ale mogłam się tylko czołgać, za pomocą rąk i jednej nogi, przesuwać się naprzód, wlec się w stronę drzew Vardogger ścieżką, która wcześniej przyprowadziła mnie tutaj. Lód kaleczył mi dłonie, łokcie, parzył skórę. W głowie rozbłyskiwały obrazy płatków śniegu i popiołu, wspomnienia

z sadu, to, jak biegłam między rzędami drzew, wirowanie płatków kwiatów, jak usłyszałam w sadzie śmiertelny wrzask, krzyk cierpiącej kobiety niosący się ponad szumem ognia i wiatru.

Będą cię ścigać, powiedziała Nicole, więc parłam przed siebie, pełną ścieżką między pochodniami identycznych drzew, i zatrzymałam się dla zaczerpnięcia tchu dopiero wtedy, gdy ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Nie zawędrowałam daleko, ale głęboko pod moim wyczerpaniem zagnieździł się intensywny chłód, łagodne pragnienie snu, żebym mogła się wyciągnąć na wznak i pozwolić, by pogrzebał mnie śnieg. Ramiona mi drżały, nie czułam już palców dłoni, ubranie na piersi miałam przemoknięte, a skórę śliską od lodu. Włosy i rzęsy były kruche z tego samego powodu, straciłam czucie w palcach nogi.

Ktoś inny by się poddał.

Poruszałam się więc, niemal na czworakach, ręce i kolano, parszkając śluzem i krwią, rżąc, ale krzyknęłam:

— Ktoś inny by się podał!

I parłam przed siebie ze zwierzęcą zaciekłością wbrew własnemu ciału, czując, jak rozrywa mnie piekący szron, czując głęboki chłód w oddechu i wnętrzu organizmu i myśląc: Jeśli przejdę przez to, dostanę się do strefy ciepła. Dotarłam do zwalonego drzewa, które łączyło brzegi rzeki. Obejrzałam się i zobaczyłam podążającego za mną mężczyznę, który biegł aleją Vardoggerów, wciąż daleko, ale zbliżał się szybko. Kiedy byłam w połowie długości pnia, otaczająca mnie zima stopniała do warunków ciepłej wiosny, a gdy znalazłam się na polanie, cieplejsze powietrze było jak gorąca kąpiel. Ukryj się, pomyślałam. Możesz tylko się przed nim schować, nie możesz z nim walczyć. Ukryj się, ukryj.

Przemierzyłam polanę ku linii drzew i wpełzłam pod jedną z choin, zwijając się wokół jej pnia. Patrzyłam na zwalone drzewo Vardogger, na kładkę, czekając, aż mężczyzna wyłoni się z powietrza; drżałam, nadal zmarznięta na kość, skórę miałam szkarłatną i fioletową, jakby była ugotowana. Lód we włosach zaczął topnieć, spływając mi po skórze lodowatymi strumyczkami, i pomyślałam, że powinnam powlec się dalej, że muszę uciekać, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Uciekaj, uciekaj stąd...

To wtedy ją ujrzałam, jak przechodzi przez rzekę: widziałam echo Shannon Moss wychodzące z wody, wspinające się na bliższy brzeg. Przekroczyła rzekę, jak kiedyś zrobiło to echo Marian. Włosy miała długie,

dłuższe niż ja kiedykolwiek, i zatrzymała się na brzegu, żeby wycisnąć z nich wodę. Uciekaj! – chciałam jej powiedzieć, ale nie byłam w stanie mówić, wydać z siebie głosu, żeby mi dzwoniły. Miała na sobie ciemne bojówki i koszulkę bez rękawów. Miała protezę, zaawansowaną technologicznie kończynę, której woda nie zaszkodziła. Zastanowiłam się, kim jest. Była Shannon Moss, była mną, ale była moim echem, echem echa. Będzie przebywała w lesie, tropiąc Hyldekruggera, i zgubi się beznadziejnie. Rozpozna sosny, polanę i rzekę. Zobacz mnie na linii drzew. Jeśli spojrzysz w tę stronę, zauważy mnie i pomyśli o kobiecie w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym. Kobieta w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym znajdowała się tutaj, gdzie ja jestem teraz.

— Uciekaj! – zdołałam krzyknąć. – On nadchodzi!

Odwróciła się w moją stronę, zauważyła mnie. Nasze oczy się spotkały.

Na kładce pojawił się Cobb. Strząsnął z siebie futrzane okrycie, spostrzegł Moss stojącą na polanie. Nie miała kabury, nie miała broni palnej, tylko czarną skórzaną pochwę przytroczoną na kikucie uda, powyżej protezy. Gotując się do walki, wyciągnęła nóż, trzydziestocentymetrowe myśliwskie ostrze. Cobb miał karabin, wycelował prosto w nią.

— Dawaj, walcz ze mną – powiedziała. – Walcz...

Cobb upuścił broń, wzniosł pięści, twarz wykrzywił mu ironiczny uśmiezek, ale Moss była czystym odruchem. Skoczyła na niego jak kocica, jej proteza naśladowała naturalne ruchy. Cobb cofnął się o krok, gdy Moss rzuciła się ku niemu, tnąc nożem, ale chybiła. Uderzyła go lewą ręką, trafiając w podbródek, poprawiła łokciem. Zamierzyła się nożem na jego oczy, ale Cobb odepchnął ją z taką łatwością, jakby nic nie ważyła. Miał się na baczności przed jej ostrzem, ale okrążył przeciwniczkę, zadał cios i trafił w skroń, oszalamiając ją. Zadał drugie uderzenie, celne. Ciało Moss zwiotczało, padła w przód, to był nokautujący cios. Obserwując to, poczułam mdłości. Cobb ukląkł na niej, przycisnął kolanami jej ramiona do ziemi, po czym zasypał nieprzytomną gradem uderzeń. Byli jakiś metr ode mnie. Widziałam każdy kułak zapadający w nią głęboko, słyszałam ciosy trafiające celu, kłykcie miażdżące ciało. Dobiegały mnie jęki Shannon, płaczliwe zawodzenie. Słyszałam pęknięcie kości i widziałam pięści Cobba pokryte jej krwią, kiedy podniósł się w końcu i splunął na nią.

— Kurwa! – wrzasnął w jej stronę. – Pieprzyć cię! Jesteś trupem! Nie żyjesz już!

Widziałam ją, jej zmiądzoną twarz, jedno oko, które wypadło z oczodołu i wisiało na policzku. Słyszałam jej oddech, to straszliwe ssące rżenie. Żyła, mój Boże, nadal żyła, ale ja zostałam na swoim miejscu, w ukryciu, i patrzyłam na Cobba, który podnosi karabin, celuje i strzela. Rozprysk różowej mgły.

Z oczu popłynęły mi łzy. Trzęsłam się. Widziałam własną śmierć, ale gdy Cobb okrążał zwłoki, modliłam się: Nie patrz w tę stronę, nie patrz w tę stronę, lecz on odszedł, żeby usiąść na brzegu rzeki.

Teraz.

Patrzył w wodę, odzyskując oddech. Widziałam jego unoszące się barki. Czy nadchodzą inni? Ilu ich jest w drodze?

Uciekaj teraz...

Wytoczyłam się spod drzewa i popęzłam cicho, najciszej jak potrafiłam, miażdżąc dywan igieł, drżąc, gdy przemieszczałam się aleją drzew Vardogger, ale niebawem las wokół mnie się zmienił. Trafiłam na koryto wyschniętego strumienia, gdzie Nestor zabił Vivian, lecz teraz polana była pusta.

Wypezłam z niej, zsuwając się w dół drogi dojazdowej, po czym zemdlałam na poboczu przecinki. Minęła noc, zanim obok mnie zatrzymał się SUV strażników parku. Kierowca pomógł mi wgramolić się na tylne siedzenie i wezwał pomoc przez radio. Pamiętam karetkę, pamiętam, że przewieziono mnie przez bramę bazy Oceana. Chirurg marynarki zrobił, co mógł, żeby nastawić mi nos, ale cios Cobba zadany przy drzewie Vardogger pozbawił mnie kości nosowej, zniszczył chrząstki. Bez poważnej operacji plastycznej mój nos będzie wyglądał jak kalafior. Chirurg szczękowy usunął mi resztki połamanych zębów w obawie przed dalszymi uszkodzeniami bądź infekcjami, zostawiając dziurę w miejscu lewej jedyńki, a większą przerwę w miejscu przedtrzonowca. Po tych zabiegach przejrzałam się w lustrze, ale nie poznałam widocznej w nim kobiety.

Część piąta

**1997**

***...gdzie są niegdysiejsze śniegi?***

François Villon, *Ballada o paniach minionego czasu*,  
w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego

# 1

**E**cho, nieistotne.  
Kobieta w pomarańczowym stroju, kobieta z rzeki, kobieta na krzyżu. Technicy Dowództwa Marynarki Kosmicznej wydobyli Moss z kokpitu, gdy wylądowała w bazie Apollo Soucek, wytwór snu zakłócający rzeczywistość. Podawane dożylnie płyny, leczenie.

Utrzymują mnie przy życiu.

O'Connor zjawił się przy jej łóżku, wstrząśnięty deformacjami.

— Powiedziano mi, że twoje obrażenia są porównywalne z odniesionymi przez ofiary wypadków drogowych – powiedział, patrząc na jej zniekształcony nos, ubytki w zębach i opadniętą powiekę, która być może nigdy nie będzie funkcjonować. Dotknął jej twarzy gestem ojca dotykającego policzka pobitej córki. – Bardzo mi przykro, Shannon. Z powodu wszystkiego, co się stało, przykro mi.

— Już to przerabialiśmy – odpowiedziała, przypominając sobie O'Connora, który siedział obok niej przy innym łóżku, przepaszającego ją za jej szerniałe palce stóp i cuchnącą, gangrenowątą goleń. Jestem echem, ale nie mogła się zdobyć na wyznanie mu tego, jeszcze nie. Obawiała się reakcji O'Connora. Nie chciała jego litości i żalu i bała się, że jego troska i przyjaźń mogłyby się rozwiać, gdyby wiedział, że jest fantomem z NTP, zjawą z jakiejś egzystencji, która zniknęła momentalnie, kiedy ona została zdjęta z krzyża. Nie jestem prawdziwa, chciała powiedzieć, ale obawiała się, że westchnąłby, słysząc tę nowinę, rozczarowany nią, jak człowiek bezradny



wobec pozbawionego celu dziecka. – Znalazłam ich – powiedziała. – Znalazłam *Wagę*.

— Opowiedz mi.

Aleja drzew, zima Terminusa, pamiętała wrak statku tryskającego niebieskim płomieniem, ale być może w jakiś mglisty sposób wspominała sny na jawie. Zobaczysz rzeczy, których twój umysł nie pojmie. Jej mózg już odrzucał to, co zobaczyła. Mają gdzieś moją nogę, pomyślała, wspominając V-R17, amputowaną, zapieczętowaną, zmagazynowaną.

— Zacznę od tego, co wiem na pewno – odezwała się. – Terminus nie jest przeznaczeniem, nie jest pewnością. Myślę, że prawdopodobieństwo dotarcia Terminusa do terra firma jest tak wielkie, że odbiera się je jako nieuchronność. – Przybyłam z przyszłości bez Terminusa. – Ale nie jest tak, to nie jest fatum.

— Wyjaśnij – polecił O'Connor.

— Hyldekrugger wierzy, że DMK sprowadzi Terminusa na terra firma, że pewne zdarzenia sprawią, że tak się stanie. Słyszałam, że mówił o nich jako o „łańcuchu”, o łańcuchu informacji, które pozwolą Dowództwu Marynarki Kosmicznej ponownie odkryć planetę, którą napotkała *Waga*. DMK sprowadzi Terminusa na Ziemię.

— To nie może być prawda, Shannon.

— Wszystkie zabójstwa, ataki, które planują, broń chemiczna – powiedziała. – Próbują rozerwać łańcuch, powstrzymać DMK przed sprowadzeniem Terminusa na terra firma. Próbują osłabić naszą determinację, by żeglować po Głębokich Wodach. DMK powoduje kataklizm, DMK sprowadza Terminusa.

— Nie możesz słuchać zatrutych słów tego człowieka – sprzeciwił się O'Connor.

— Uważam, że Patrick Mursult przygotowywał się do tego, żeby sprzedać marynarce informacje o lokalizacji *Esperance*, sprzedać informacje o tym, skąd przybyły KTN-y, albo sprzedać dane na temat położenia *Wagi* – stwierdziła Moss. – Chciał ochrony, bo Hyldekrugger by go zabił, chciał dostać nową tożsamość. Jest taka prawniczka, Carla Durr, adwokatka Mursulta.

Przeniknął ją dreszcz wątpliwości. Carla Durr musiała umrzeć, doktor Peter Driscoll musiał umrzeć. Według Hyldekruggera wszyscy musieli umrzeć, wszyscy fizycy z Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej,

którzy założą kiedyś Phasal Systems, oraz wszyscy marynarze żeglujący po Głębokich Wodach, odważni chłopcy o organizmach skażonych przez KTN-y, wszyscy...

Bronię niewinnych.

— Co z tą prawniczką? – zapytał O’Connor.

— Jest niewinna – odparła Moss, której się zdawało, że czuje ciężar przyszłości wlewającej się lawinowo w terażniejszość. Czy zachowa spokój i pozwoli adwokatce umrzeć, czy przemówi teraz, żeby ocalić jej życie: każda decyzja wydawała się zła; ostatnie, pozbawione znaczenia ruchy finału rozgrywki. Ogarnęło ją ogromne zmęczenie i zapagnęła się ukryć, schować pod kołdrą jak dziecko, które boi się wyimaginowanych strachów. Jej myśli ogarnął zamęt. Zastanowiła się, co się stanie, jeśli ocali życie prawniczki. Przyspieszy odkrycie Esperance przez DMK? Adwokatka pozostanie żywa, sprzeda informacje Mursulta. Nie, nie, uznała, to sposób myślenia Hyldekruggera, ale czuła się zobowiązana. Chronić niewinnych. – Carla Durr, prawniczka – odezwała się. – Patrick Mursult spotkał się z nią, a ona chce wymienić jego tajemnice na ochronę i pieniądze. Nie rozumie jednak konsekwencji tego, w co jest zamieszana. Hyldekrugger, lub jeden z jego zwolenników, zabije ją dwudziestego czwartego marca w części restauracyjnej centrum handlowego Tysons Corner, bo spotykała się z Mursultem. Myślą o niej jak o ogniwie łańcucha. Zamachowiec posłuży się echem broni, przypuszczalnie berettą M9 zabraną martwemu echu marynarza *Wagi*, identyczną z tymi, które znaleźliśmy w Blackwater Lodge i w pogorzeliisku domu Torgersena.

— Dwudziesty czwarty jest za trzy dni.

— Potrzebny nam nakaz prewencyjny – powiedziała Moss. – Możemy ocalić życie tej kobiety.

— Możemy to uzasadnić – stwierdził O’Connor. – Wypełnię papierki. Będziemy mogli zatrzymać ją za posiadanie tajemnic wywiadowczych, co wynika z podejrzenia, że Mursult rozmawiał z nią o Głębokich Wodach i o *Wadze*. Możemy ją przesłuchać, dowiedzieć się, co Mursult był gotowy sprzedać. To powinno zapewnić jej ochronę, aż minie dwudziesty czwarty. Zatelefonuję do policji hrabstwa Fairfax, poproszę ich, żeby zatrzymali ją w naszym imieniu. Jeśli nie będą mogli jej znaleźć, zorganizujemy interwencję bezpośrednią w Tysons Corner. Carla Durr, znajdziemy ją. A teraz powiedz mi o *Wadze*. Wiesz, gdzie jest statek?

Oko Boga płonie, a jego źrenica jest czarna.

— *Waga* tkwi wewnątrz Vardoggera – odparła Moss. – Istnieje tam wir ognia, który przepala wszystkie egzystencje. Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć. W środku Vardoggera są ścieżki, które prowadzą od tych drzew. Widziałeś to. *Waga* jest tam schwytana, tak jak w jakiś sposób i Terminus albo jego część. Jak kieszonkowy wszechświat, jakby to było niemal w innym czasie albo w ogóle poza czasem. Njoku powiedział, że przestrzenie fazowe istnieją poza czasem...

— Trzynasty oddział SEAL prowadził poszukiwania przy Red Run – powiedział O'Connor – ale komandor Brunner nie znalazł nic podobnego do tego, co opisujesz.

— Można wślizgnąć się do środka – zapewniła Moss, wspominając, jak zgubiła się w przestrzeni fazowej, jakby zabłądziła w lesie. – Ale istnieje pewna trudność. Nie znam ścieżki prowadzącej do *Wagi*. I jest coś w komputerze *Szarej Gołębic*, co powinieneś obejrzeć, wiadomość, którą nagrałeś dla samego siebie. Vardogger jest groźny, jeśli zboczyć ze ścieżki, ale Hyldekrugger wykorzystuje go jak wrota.

Odbicia, kopie, wszechświaty otwierające się w sosnach. Była wiotka, stawała się coraz cieńsza i kiedy leżała na szpitalnym łóżku długo po tym, gdy O'Connor już wyszedł, zamknęła oczy i ujrzała rozprzestrzeniający się od *Wagi* wir ognia, niczym olśniewające promienie czarnego słońca albo jak szukające jej płonące oko. Jestem echem; rzeczywistość była kobieta w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym. Kobieta w pomarańczowym kombinezonie kosmicznym była Shannon Moss. Tamta kobieta nie żyje. Ty jesteś teraz tutaj. Wszystko było wiotkie, rzadkie – jej ciało, łóżko, sączące się w nią lekarstwa, szpital, baza, świat – wszystko wydawało się papierem pakunkowym, czymś, co mogła rozerwać, żeby odsłonić pustkę. Zajrzała w siebie i nic nie zobaczyła. Sądziła, że gdyby wbiła sobie paznokcie w skórę i rozdarła klatkę piersiową, wylałaby się z niej jedynie ciemność.

Poruszona, tamtej nocy cierpiała na bezsenność, gdy między drugą a trzecią nad ranem przyglądała się minutom upływającym na zegarze przy łóżku, a w głowie miała mętlik. Rzuciła się, poduszki były ciepłe i zbyt grudowate, jednak jeszcze bardziej dokuczały jej szarpiące skurcze fantomowe nawiedzające amputowaną nogę. Wrażenie pojawiało się i mijało regularnie, ale doskwierało Moss najbardziej, kiedy była w stresie. Leżąc na sztywnym materacu szpitalnym i patrząc w sufit, czuła bardzo wyraźnie to

pierwsze cięcie wykonane przez chirurgów, odjęcie goleni, gdy starali się amputować nogę nisko, żeby ocalić jej kolano. Wiedziała, że jest po stopie i kostce – nie czuła już stopy – ale wydawało się, że reszta nogi mogła wciąż być na miejscu. Zdawało się, że mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć lewego kolana, ale tam była pustka. Koce, prześcieradło. Skurcze w łydce, sięgające uda, bolesne; nie pomogłoby nawet spojrzenie tam i patrzenie w miejsce, gdzie nie było nogi. Ulgę przynosiła terapia lustrzana, więc poprosiła rano pielęgniarki o lustro, co najmniej długości jej nogi. Znalazły lustro wiszące po wewnętrznej stronie drzwi szafy i przyniosły jej. Moss usiadła oparta na łóżku i wsunęła krawędź lustra w pachwinę. Powiodła wzrokiem wzdłuż odbicia. Dwie nogi zamiast jednej. Prosta sztuczka, która nie powinna działać, ale się sprawdziła, mózg zareagował, jakby miała nadal obie nogi. Podkuliła palce stopy, obróciła łydkę, zgięła kolano, podrapała swędzące miejsca i rozmasowała skurcze, dotykając prawej kończyny, ale przynosząc ulgę jej odbiciu.

Pielęgniarki lubiły ją i dopytywały się, czy potrzebuje pomocy z balkonikiem lub fotelem na kółkach albo czy zdoła się sama ubrać lub skorzystać z toalety. Moss gotowała się ze złości z powodu swojej bezradności oraz tego, że brak nogi jest tym, co najwyraźniej ją określa. Echo czy nie, potrafię samodzielnie skorzystać z łazienki, powiedziała sobie, wspominając te wszystkie zgorzkniałe kobiety spotkane w grupach wsparcia, kobiety, które przeklinały wszystko i wszystkich, które wydawały się pełne nienawiści, były złośliwe i pogardzały każdym, kto zauważał ich ułomność. Moss dopuściła do siebie podobny jad, pozwalając, żeby wlał się w nią jak benzyna, i stała się drażliwa, warcząc bez powodu na pielęgniarki, kiedy oferowały jej pomoc w dotarciu do kafeterii na kolację; wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale ta złość przeciwdziałała rozpacz. Echo, nie istnieję, jestem echem. Zdolność poruszania się była kluczowa, była jej niezależnością.

— Potrzebna mi moja protetyczka z Pittsburgha – powiedziała w końcu pielęgniarce. – Laura. Jej dane są w mojej dokumentacji medycznej. Potrzebuję jej.

Przez lata Moss nawiązała zawodową zażyłość z Laurą, jedyną cywilną pracowniczką medyczną, którą widywała regularnie. Laura rozumiała aspekty organizmu Moss lepiej nawet od niej samej. Znała szczątkową kończynę swojej podopiecznej, wiedziała, jaki rodzaj wyściółki preferuje,

znała wrażliwość jej skóry, była świadoma guzowatości jej kości, typu sylwetki oraz tego, jak rozkłada się ciężar jej ciała. Regularne wizyty w Union Prosthetics w Pittsburghu w celu wykonania regulacji i dobrania rozmiaru, łososiowe ściany i szare wykładziny, instytucja przypominająca gabinet dentystyczny, pomijając przyległy warsztat wytwórczy, nagromadzenie gipsu i plastikowych kończyn, urządzenia do cięcia i obróbki ściernej, arkusze włókna węglowego oraz anatomiczne modele rąk i nóg. Laura wiedziała o szczególnej sytuacji Moss i dostosowała się do niej; przeszła weryfikację rządową, podpisała klauzulę poufności i często mogła przyjechać w trybie pilnym do Apollo Soucek w sprawie nagłych regulacji i napraw.

— Dobrze się czujesz? – zapytała Laura następnego ranka, kiedy Moss wjechała na wózku do pokoju badań. – To wszystko, co chcę wiedzieć. Powiedz mi, że nic ci nie jest – ciągnęła; niesforne, kręcone brązowe włosy miała zebrane w koński ogon, a wzrok skupiony na obrażeniach Moss: skrzywionym nosie, niegdyś zadartym, wychudzeniu, wstrząsających ubytkach w uzębieniu.

— Trzymam się – odparła Moss.

Gawędząc o *Z Archiwum X*, zabrały się do pracy. Laura zajęła się kończyną Moss, wybrała wyściółkę otaczającą kikut i udo. Znaczny ubytek mięśni i zmianę obwodu nogi Shannon kompensowała dodaniem wkładki do gniazda protezy oraz nałożeniem dodatkowych warstw skarpet. Kiedy jednak Laura masowała jej mięśnie, chcąc zmniejszyć ich napięcie, żeby odlew przybrał łagodny kształt, Moss zauważyła, że jej szczątkowa kończyna jest bardzo szczupła w porównaniu z prawym udem, wydawała się koścista, wyschnięta.

— Moja noga... wygląda na bardzo chudą – powiedziała. – Czy to normalne?

— Jak to odczuwasz?

— Wydaje mi się, że w porządku.

— No to jest w porządku – stwierdziła Laura, owijając kikut plastikową folią, ciasno, ale bez nacisku na wyściółkę, wygładzając zagięcia i zmarszczki. Zmierzyła udo Moss żółtą taśmą mierniczą i ciężką metalową suwmiarką, po czym owinęła kończynę bandażami namoczonymi w gipsie. Kształtując opatrunek, Laura miała pewne dłonie, postępowała delikatnie z nogą pacjentki. – Poczyniłam ustalenia z Booden Prosthetics. Pozwolą mi

skorzystać ponownie ze swojej pracowni – odezwała się, zsuwając z uda Moss gipsowy odlew, gdy zastygł; to była forma do wykonania gniazda z włókna węglowego, pusta przestrzeń odpowiadająca kształtem kikutowi.

— Potrzebuję kolejnej C-leg – powiedziała Moss.

— Sześć miesięcy trwało, zanim ją dostałaś – odparła Laura. – Będę mogła załatwić ci 3R60.

Proteza 3R60 z Ottobock była przegubem o regulowanym zginaniu w pozycji podporu, pewnym, ale mechanicznym.

— Cholera – zaklęła Moss. Bez skomputeryzowanego stawu C-leg chodzenie będzie przypominało uczenie się od nowa prowadzenia auta z ręczną skrzynią biegów po latach jazdy z automatyczną.

— Rozumiem – powiedziała Laura – ale jeśli chcesz C-leg, to jej nie gub.

— Wiem, wiem...

— Poza tym 3R60 jest dobra – orzekła Laura. – Stracisz nieco na ruchliwości, którą zapewniała ci C-leg, ale będziesz stabilna. Przyniosę ci po południu pierwsze gniazdo, żebyś je wypróbowała. Zrobimy poprawki, a jutro będziesz mogła chodzić.

— A potem idziesz na plażę? – zapytała Moss.

— Myślisz, że przejechałam taki kawał drogi wyłącznie dla ciebie?

Nowe osadzenie protezy obejmowało udo Moss jak rękawiczka, ale mechanizm 3R60 różnił się od tego, do jakiego była przyzwyczajona, przegub kolanowy był sprężynowym zawiasem, a cała proteza ciążyła metalem. Chód był inny, rzucało się w oczy utykanie, kiedy szła od stolika w jadalni ku szczytowi ruchomych schodów, zerkając na dolny, rozległy poziom Tysons Corner. Wiedziała, jak była ubrana Durr, kiedy zginęła w przyszłości, zakładała więc, że także tego popołudnia na lunch z doktorem Peterem Driscollem adwokatka włoży ten sam wyróżniający się ciemnoniebieski kostium. Moss przyglądała się zakupowiczom na dole, widziała czubki ich głów i barki, torby, które nieśli, i chociaż Carla Durr o marchewkowo rudych włosach i w granatowym stroju powinna być łatwo zauważalna, to Moss jej nie widziała. Wróciła do stolika, który wybrała, żeby mieć dobry widok na stanowisko z burgerami Five Guys, każdy jej krok był niepewny, okraszony przymusową wiarą, że mechaniczne kolano zablokuje

się, kiedy oprze ciężar ciała na przegubie, a odblokuje i zegnę, kiedy będzie musiała zrobić krok.

— Nadal ani śladu Durr – powiedziała do mikrofonu w kłapie.

— Jeszcze wcześniej – usłyszała O’Connora w słuchawce w uchu.

Ale nie było wcześniej, było po trzeciej po południu, niemal wpół do czwartej, a Moss wiedziała, że czas śmierci Durr to mniej więcej trzecia czterdzieści.

— Ani śladu zamachowca? – zapytała. Biały mężczyzna w czarnym wojskowym mundurze polowym to był cały opis zabójcy Durr, jaki mogła przedstawić, ale podobnie jak ciemnoniebieski kostium prawniczki, tak samo czarny strój zamachowca powinien być łatwy do zauważenia. O’Connor załatwił, że radiowozy z hrabstwa Fairfax patrolowały parking, a dodatkowi policjanci byli także w samym centrum handlowym, tajniacy przy każdym wejściu.

— Jeszcze nie – odparł Njoku w jej słuchawce. Wraz z agentem NCIS zajmował pozycję w części restauracyjnej, a O’Connor znajdował się poniżej, w pobliżu podstawy ruchomych schodów.

Wyobrażała sobie, jak to wszystko może się rozegrać: ktoś zauważy Durr, myślała Moss, i aresztuje ją. Albo, jeśli nikt nie wypatrzy jej w porę, ona ujrzy prawniczkę wjeżdżającą ruchomymi schodami do części restauracyjnej. Lub któryś z policjantów dostrzeże zamachowca, może samego Hyldekruggera – gliniarze mieli rozkaz zatrzymania i aresztowania każdego, kto odpowiadałby opisowi cyngla, każdego mężczyzny w czarnym mundurze polowym. W tej chwili przed stoiskiem z hamburgerami Five Guys uformowała się krótka kolejka. Moss usiłowała sobie przypomnieć, czy Durr otrzymała już jedzenie, kiedy została zastrzelona. Obraz potencjalnej sceny zbrodni rozbłysł w jej głowie: zwłoki adwokatkę rozciągnięte na podłodze przed ladą z hamburgerami, śliska krew na posadzce, kilka strzałów w plecy i głowę. Carla Durr musiałaby stanąć w kolejce teraz, żeby mieć czas złożyć zamówienie, odebrać je i zostać zastrzeloną w ciągu kilku następnych minut. Moss rozglądała się nerwowo po otoczeniu, pragnąc wypatrzeć faceta w czarnym mundurze polowym, kogokolwiek, kto wyglądałby podejrzanie, ale widziała tylko grupki nastolatków, matki z wózkami spacerowymi oraz mężczyzn w średnim wieku trzymających torebki żon.

Trzecia czterdzieści nadeszła i minęła, a kilka minut po czwartej w ich słuchawkach rozległ się głos O’Connora:

— Musimy zamknąć sklepik.

Zezwolenia na interwencje prewencyjne były wystawiane jedynie na określone okienka czasowe, tylko na konkretne okoliczności, i były ograniczone przez prawa konstytucyjne osób, które nie popełniły jeszcze przestępstw, za jakie zostałyby aresztowane. Prawniczka Carla Durr się nie zjawiała. Co się stało? Może obecność dodatkowych sił policyjnych odstraszyła zamachowca, ale to nie wyjaśniało, dlaczego Durr nie dotarła na spotkanie nad hamburgerami z doktorem Driscollem. Nie było tutaj Durr, nie było Driscolla, nie było zamachowca. Coś się zmieniło w porównaniu z przyszłością, którą znała Moss, ale to mogło być cokolwiek – przebita opona, niestrawność, Durr mogła się zbyt przestraszyć spotkania z Driscollem albo już nie żyła. Moss była zirytowana z powodu zmarnowania czasu tylu ludziom, ale nieudane akcje były chlebem powszednim w działaniach zapobiegawczych. Uczestniczyła w mnóstwie operacji, podczas których sytuacje zmieniły się w stosunku do spodziewanej przyszłości i niczego nie osiągnęto. To Moss dostarczyła informacje prowadzące do tej poronionej akcji, co oznaczało robotę papierkową, ale, co ważniejsze, była zwyczajowo winna pozostałym uczestnikom kolejki drinków, które stawiali agenci, kiedy ich przewidywania spalały na panewce.

Następnego dnia Moss obudziła się wcześniej rano, zatroskana spotkaniem z admirałem Annesleyem. Włożyła ciemnografitową garsonkę i jedwabną bluzkę i pojechała do kwatery głównej NCIS, mając w zapasie mnóstwo czasu, żeby przejrzeć notatki, które przygotowała na temat swojej NTP, i doszlifować oświadczenie dotyczące nakazu prewencyjnego. Jednak na chwilę przed tym, gdy miało się zacząć jej sprawozdanie, O'Connor przyniósł jej kubek kawy i powiedział, że spotkanie zostało przełożone.

— Kilka minut temu zadzwonił Annesley – powiedział.

W pewnym sensie ulga, że oszczędzono jej szczegółowego przesłuchania w pokoju pełnym mężczyzn, z których część szeptałaby o tym, jak wygląda teraz, a jak kiedyś.

— Będziesz musiała napisać raporty – dodał – i jestem pewny, że zostaniesz w końcu wezwana, ale sprawę przejmuje marynarka, Shannon. Nie wszystkie aspekty dochodzenia, ale te dotyczące przestrzeni fazowej, *Wagi*, Carli Durr. Teraz to są sprawy wojskowe. Zrobiliśmy swoje.

— Rozumiem – stwierdziła Moss. Wiedziała, że w końcu, gdy Hyldekrugger albo Cobb, lub inni zostaną schwytani, będą przetrzymywani



w więzieniach wojskowych i staną przed sądem wojskowym. Zostanie wezwana w celu złożenia zeznań, współpracy z oskarżycielami, ale jej rola w tym śledztwie będzie skończona. Mimo to przejęcie sprawy przez wojsko przed dokonaniem jakichkolwiek aresztowań było rozczarowujące z powodu konieczności porzucenia zadania wykonanego jedynie w połowie.

— Co z Carlą Durr? – zapytała. – Skoro marynarka przejmuje dochodzenie, to adwokatka nie żyje? Nie zauważyliśmy jej?

— Jest cała i zdrowa – odparł O’Connor. – Rozmawiałem z admirałem Annesleyem tej pierwszej nocy po twoim powrocie, przekazałem mu twoją teorię na temat Terminusa, to, czego dowiedziałaś się w swojej NTP. Zapalił się do znalezienia Durr. I właśnie dzisiejszego ranka, kiedy zatelefonował, powiedział mi, że marynarka aresztowała Carlę Durr. Była już pod kluczem, kiedy my czekaliśmy na nią w Tysons Corner. Uratowałaś więc jej życie, Shannon, ale ona jest teraz poza naszym zasięgiem.

— Gdzie była?

— Zatrzymała się w hotelu Chevy Chase – odpowiedział O’Connor. – Marynarka wjechała półciężarówkami na parking, wywaliła drzwi, operacją kierował oddział SWAT z Dystryktu Kolumbii. W kwadrans było po wszystkim. Ktoś pracujący dla admirała przesłuchiwał Durr kilka godzin, a potem ją wypuścili. NCIS w tym nie uczestniczyło, tylko armia.

— Wszystkie te trupy, które widzieliśmy – powiedziała Moss, jakby uszło z niej powietrze. – Wszystkie te morderstwa, dzieci Mursulta, wszystko to prowadziło do niej. A my nie mieliśmy okazji, żeby z nią porozmawiać. Marynarka przesłuchiwała ją przez kilka godzin, po czym pozwolono jej po prostu odejść, a nam nie dano takiej szansy. Co z FBI?

— Wieczorem spotykam się z ich dyrektorem – rzekł O’Connor. – Posuwają się w swoim śledztwie dotyczącym laboratorium broni chemicznej, które odkryliśmy w Buckhannon, tak jak i my. Terroryzm wewnętrzny, zabójstwa. W tej sprawie kwestie jurysdykcji to koszmar. Latami będziemy rozplątywać wątki tego śledztwa.

Pracowała z O’Connorem przez całe popołudnie, przekładając swoje notatki na raport, który wysłała do biura admirała w Dahlgren. O’Connor zauważył jej ogromne zmęczenie.

— Odpocznij – powiedział.

— Myślę, że pojedę do domu – odparła Moss.

— Jutro rano odbędzie się pogrzeb Williama Brocka – poinformował

O'Connor. – W Pittsburghu. Możesz reprezentować nasze Biuro, jeśli czujesz się na siłach.

Była zmęczona. Śmierć Brocka wydawała się dotyczyć innego życia.

— Oczywiście – przystała.

Ponad tysiąc policjantów z miast w całym kraju, w mundurach galowych, zebrało się w katedrze Świętego Pawła w Pittsburghu, szpalery mężczyzn i kobiet stały na baczność wzdłuż Fifth Avenue, gdy rodzina zmarłego przybyła limuzynami. W kościele tłoczyli się przyjaciele i koledzy, ale Moss poszła ku wolnemu miejscu w tylnym rzędzie, zamiast witać się z ludźmi, których ledwo znała z różnych miejsc zbrodni. Trumna Brocka stała przed ołtarzem, okryta amerykańską flagą.

Podczas homilii zauważyła Nestora; siedział z przodu, ramię miał na temblaku. Nestor mógł jej szukać, pomyślała, mógł się zastanawiać, czy ona jest tutaj, gdzie siedzi, mógł chcieć usiąść obok niej, była ofiarą tego samego wybuchu, który zabił Brocka. Kiedy jednak pomyślała o Nestorze, przypomniała sobie, jak zastrzelił w lesie Vivian, i wolała unikać jego towarzystwa, nawet jeśli niesprawiedliwie było sądzić go na podstawie czynów, których nie popełnił. Dyrektor FBI i prokurator generalny Stanów Zjednoczonych powiedzieli kilka słów, dyrektor wręczył żonie Brocka pamiątkowy medal FBI i oświadczył, że szef biura terenowego, agent specjalny William Brock zostanie uznany za poległego na służbie, jego nazwisko znajdzie się wśród innych wykutych w Sali Pamięci FBI. Rashonda Brock i jej dwie córki zostały wyprowadzone po uroczystości smutne, ale dumne. Moss odczekała, aż opustoszeją przednie rzędy zwolnione przez żałobników wychodzących środkowym przejściem. Nestor spojrział na nią, ale jego wzrok prześlizgnął się po niej. Przypomniała sobie, jak musi teraz wyglądać, i pojęła, że jej nie poznał.

Wymknęła się bocznym wyjściem na cichy dziedziniec, unikając spotkania na stopniach katedry Nestora czy kogokolwiek innego, kogo znała. Wzdłuż Fifth Avenue uformowała się kolumna pojazdów. Motocykle z komendy policji w Pittsburghu, z migającymi światłami, poprzedzały karawan i samochody eskorty, prowadząc od kościoła długą kawalkadę radiowozów. Zmierzali na lotnisko, skąd trumna poleci do Teksasu, gdzie odbędzie się pogrzeb w gronie rodziny.

Tego wieczoru Moss odwiedziła matkę. Jej utrwalony obraz, samotnej w kuchni, w której świeciła się tylko jedna lampa, podczas przeglądania kopert z wycinkami z „Reader’s Digest”, gdy reszta domu pogrążona jest w ciemności. Moss zastanawiała się dawniej, czy to tak będzie pamiętała matkę długo po jej śmierci, ale teraz wiedziała, że Terminus obędzie ją nawet z tego. Zatelefonowała do niej po ceremonii pogrzebowej Brocka i powiedziała, że wpadnie, próbując przygotować ją na widok swoich obrażeń. Poinformowała przez telefon, że miała wypadek samochodowy, ale nic jej nie będzie, jednak na jej widok matka wstała od stołu kuchennego.

— Niech ci się przyjrzę – odezwała się, przekrzywiając brodę córki ku światłu. – Ktokolwiek to jest, zostaw go.

Moss westchnęła.

— Mówiłam ci, co się stało. Jechałam samochodem agencji, a ciężarówka przejechała na czerwonym świetle...

— Oni nie przestają – przerwała jej matka. – Posłuchaj mnie – ciągnęła, patrząc zdecydowanie w oczy córki. – Jeśli to w nich siedzi, to zawsze w nich było i zawsze będzie. Zniszczy cię, odbierze ci wszystko, co dobre. Zasługujesz na coś lepszego.

— To nie jest tak, mówię ci...

— Ocal to, co masz, nawet jeśli to oznacza utratę wszystkiego, czego, jak ci się zdaje, chcesz.

Przez lata, podróżując do NTP-ów, Moss się postarzała, nawet gdy reszta czasu stała w miejscu, i zbliżała się coraz bardziej do wieku matki. Ponieważ ta była w ciąży z Shannon bardzo młodo, będąc zaledwie siedemnastolatką, Moss uważała czasami, że może dorównać wiekiem matce, a nawet ją prześcignąć. Kiedy jednak matka przyglądała się jej twarzy w gorącym świetle kuchennej lampy ogrzewającej jej skórę, Moss nigdy bardziej nie czuła się dzieckiem. Zamówiły pizzę i zdecydowały się na wieczór przed telewizorem. Światła w salonie były przygaszone i Moss przekonała się, że w tym ostrym, niebieskim migotaniu ekranu patrzy na zdjęcie ojca w białym mundurze marynarki uśmiechającego się po wiek wieków. Oglądały wiadomości ABC, matka paliła papierosy. Informacje o pogrzebie Brocka utonęły pod wiadomościami na temat sekty z Kalifornii, znaleziono trzydzieści dziewięć ciał, zbiorowe samobójstwo.

— Wszyscy... Słyszałaś o tym? – zapytała matka.

— Nie – odparła Moss.

— Myśleli, że ta cholerna kometa to statek kosmiczny, więc się zabili. Sądzili, że jeśli to zrobią, statek teleportuje ich na swój pokład, jak w *Star Treku* – ciągnęła matka. – Wszyscy mają takie same tenisówki. Popatrz, pokazują jedne zwłoki. Spójrz na buty.

Ciało owinięte w fioletowy brezent, widoczne jedynie spodnie i czarno-białe, nowiutkie tenisówki, kupione na śmierć. Obejrzały *Beverly Hills 90210* oraz *Ich pięcioro*, seriale, które oglądała matka, ale Moss pozwoliła, żeby jej myśli zbłądziły ku drzewom Vardogger, ku nieskończonym ścieżkom, Remarque, która wydaje załodze rozkaz samozniszczenia *Wagi* i popełnienia zbiorowego samobójstwa, jak sekta Wrota Niebios, wierząc, że jeśli jej załoga umrze, to wykuty przez nich świat zginie wraz z nimi. Matka usnęła w fotelu podczas wiadomości lokalnych, ze szklaneczką whisky w jednej ręce, a palącym się papierosem w drugiej. Pożar domu, wyobraziła sobie Moss; zastanowiła się, w ilu NTP-ach papieros spadł na podłogę i podpalił dywan. Przyniosła popielniczkę, glinianą szkaradę, którą zrobiła dla matki w pierwszej czy drugiej klasie, i zdusiła niedopałek.

Spodziewała się usłyszeć więcej informacji dotyczących Wrót Niebios, chciała dowiedzieć się więcej o statku kosmicznym, za który ci ludzie wzięli nadlatującą kometa Hale'a-Boppa, ale wiadomości zachłystywały się na temat innego kosmicznego zdarzenia. Pokazywano ludzi gromadzących się na polach, tłoczących się na szczytach wzgórz i dachach budynków, skąd wpatrywali się w nocne niebo. Powróciła Gwiazda Betlejemska, mówiono; wisiała na wschodnim nieboskłonie. Jedni twierdzili, że wskazuje drogę do Betlejem, drudzy, że zapowiada powtórne przyjście Chrystusa, chociaż zaproszeni do telewizji astronomowie mieli inne wyjaśnienia. Kolejna kometa, mówili niektórzy, która pojawia się cyklicznie w naszym polu widzenia, bezprecedensowe pojawienie się dwóch komet, Gwiazda Betlejemska i Hale-Bopp jak bliźniacze srebrzyste światła. Inni twierdzili, że świecący fenomen kosmiczny jest najprawdopodobniej odległą supernową, jej światło dotarło właśnie do Ziemi z gwiazdy, która zgasła spektakularnie kilka miliardów lat temu. Jednak oczy Moss wypełniły łzy, które spłynęły jej na policzki. Otworzyła drzwi z boku domu, wyszła na ulicę i spojrzała na wschód. Na zewnątrz byli już inni ludzie, patrzący w górę, osłaniający oczy. Zjawisko przypominało świecącą gwiazdę, nadzwyczaj jasną – na tyle, żeby wydawała się nocnym słońcem oblewającym Ziemię zimnym blaskiem, który zmywał barwy i pogłębiał cienie. Księżyc był przyćmiony, tak jak i gwiazdy,

jak kometa Hale'a-Boppa, srebrzysta smuga wisząca dostojnie na niebie od kilku tygodni. Nowe światło wydawało się najjaśniejszym, jakie Moss kiedykolwiek widziała, a pojaśniało jeszcze bardziej, gdy mu się przyglądała. Pojawiła się Biała Dziura. Nadszedł Terminus.

Zadzwoniła komórka; Moss spojrzała na wyświetlacz: O'Connor.

— Nadal żyjemy – powiedziała.

— Mamy robotę do wykonania.

## 2

**J**echała do Wirginii w bladym blasku Białej Dziury, oślepiającego dysku otoczonego aureolą nocy. Czwarta rano, ale ludzie stali na trawnikach i wzdłuż dróg, patrząc na wschód, a nienaturalne światło odbijało się od ich twarzy, przypominając Moss twarze w kinie. O świcie wstało blade słońce, ale niebo pozostało nienaturalnie szare, temperatura spadła, a niebawem Moss włączyła wycieraczki z powodu wirujących w powietrzu płatków śniegu. Radio zachłystywało się przepowiedniami dotyczącymi Gwiazdy Betlejemskiej, wieszczaniem powtórnego przyjścia Chrystusa – w Portoryko w momencie ukazania się Białej Dziury urodziło się dziecko, któremu nadano imię Jezus, i niemowlę zostało już uznane za nieomylny znak oznajmiający kres czasu. Na Ziemi zapanowała powszechna zima, śnieg nawiedził nawet piaszczyste pustynie Afryki. Radio publiczne doniosło, że samobójcy zaścielili ulice Manhattanu, Los Angeles, Londynu, naśladownictwo działań członków Wrót Niebios, zwłoki zawinięte w prześcieradła. Doszło do plądrowania na niewielką skalę sklepów obuwniczych, ludzie kradli czarno-białe nike wybrane przez sektę. Tak wygląda koniec świata, pomyślała Moss. Żadnej paniki, rozruchów. Żadnych doniesień o pojawieniu się wiszących w powietrzu ludzi czy uciekających gremialnie, jeszcze nie w każdym razie, chociaż kiedy przyjechała do Virginia Beach, gdzie nieliczne pługi śnieżne wysłano do posypania solą dróg i usunięcia z nich śnieżnej brei, dowiedziała się, że mnóstwo ludzi zebrało się na plaży, gdzie schylali się zgodnie i wymachiwali ramionami,

coś w rodzaju kalisteniki, po czym weszli do oceanu, żeby się utopić.

Kiedy Moss zajechała przed bramę Bazy Lotnictwa Marynarki Wojennej Oceana, trwała tam Operacja Sajgon. Rodziny prezydenta i wiceprezydenta przyłecą tutaj na pokładzie Marine One, zostaną zaokrętowane na *Orła*, wahadłowiec cormorant trzymany w pogotowiu na tę właśnie okazję. Rodziny i istotni członkowie personelu spotkają się z Grupą 6 TERN-u, USS *James Garfield*, w stacji Black Vale. Żołnierze Dowództwa Marynarki Kosmicznej powiadamiali cywilów, którzy zostali wybrani, żeby się ewakuować, loteria życia i śmierci skażona przez nepotyzm, rzekomo mieszanina genów, płci i uzdolnień, którą wybrała grupa ekspertów politycznych i naukowych konsultujących się z wojskowymi, by przedstawić najlepszą ostatnią nadzieję na odtworzenie ludzkości. Jadąc ulicami bazy, Moss widziała start jednego cormoranta, którego trasa lotu przebiegała nad wzburzonym Atlantykiem. Spotkała się z O’Connorem w biurach NCIS.

— Mamy nową zbrodnię – poinformował ją.

W tych ostatnich godzinach odleci ostatni cormorant, ostatni statek transportujący pracowników NCIS i DMK, którzy prowadzili Operację Sajgon. Moss była przygotowana na to, że opuści ten lot. Teraz, gdy lśniła Biała Dziura, gdy KTN-y ogarnęły każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, co zmiecie niebawem świadomość jak podmuch eteru, wiedziała, że będzie działała przeciwko Terminusowi tak długo, aż ona także zostanie zmieciona. Nie pozostała przez wszystkie te lata w NCIS, żeby się uratować, zarezerwować sobie miejsce w szalupie ratunkowej z Ziemi – wstąpiła do służby, żeby pomagać ludziom, chronić niewinnych, i uważała, że w obliczu rozpadu wszyscy są niewinni. Wyjęła żółty prawniczy notes i zdjęła skuwkę z długopisu.

— Powiedz, co mamy – poleciła.

— Pojawienie się Białej Dziury zbiega się z planem startu wahadłowca cormorant o nazwie *Onyx* – powiedział O’Connor. – B-L odpalił zeszłej nocy o dziesiątej pięćdziesiąt trzy czasu wschodniego, dokładnie w chwili pojawienia się Białej Dziury.

— Statek marynarki sprowadzi Białą Dziurę – stwierdziła Moss, kręcąc głową. – Kto?

— Pojazd jest zarejestrowany jako rządowo-prywatny – odparł O’Connor. – Black Vale donosi, że *Onyx* został zarekwirowany dwa dni temu przez senatora Curtisa Craiga Charleya.

— C.C. Charley jest przewodniczącym Komitetu Sił Zbrojnych – powiedziała Moss.

— Przyjaźni się z admirałem Annesleyem – dodał O’Connor.

— Zatem *Onyx* pożeglował na Głębokie Wody i wrócił, mając za sobą w kilwaterze Białą Dziurę. Podążyłaby za *Onyxem* po linii Casimira – stwierdziła Moss. – Dlaczego jednak statek jest miejscem zbrodni?

— Bo wszyscy na pokładzie nie żyją – odparł O’Connor. – Przyczyną mogło być coś równie prostego jak usterka techniczna, ale musimy to sprawdzić. Odpalenie napędu B-L się powiodło, ale Black Vale odebrała sygnał alarmowy *Onyxa*. My pierwsi mamy okazję dostać się na statek, ale musimy działać szybko. DMK zabierze go nam, gdy tylko będzie niezbędny do ucieczki, chcąc jednak, żebyśmy odkryli, co się stało, gdyby stanowiło to zagrożenie dla ewakuowanych.

*Szara Gołębica* dostała pozwolenie na start przed upływem godziny, jeden z niewielu odlatujących cormorantów, które nie przewoziły uciekinierów do potężnych TERN-ów. Moss kołowała z innymi cormorantami, zastanawiając się, jak szybko mogą się objawić skutki Terminusa. Wystartowała, przelatując przez gęste, sypiące śniegiem chmury, które wznosiły się w postaci wspaniałych pióropuszy rozprzestrzeniających się gwałtownie w górę. Wyobraziła sobie wszystkich ludzi na Ziemi w stanie żywej śmierci. Wyobraziła sobie ukrzyżowania, bieg do morza. *Szara Gołębica* wyrwała się z okowów grawitacji i Moss dryfowała w kabinie głównej, widząc Ziemię już nie jako jedną z delikatnych, niebieskich kruchości, ale białoblądą planetę, oko bielmowate i ślepe.

*Onyx* był statkiem typu Cormorant, takim samym jak *Szara Gołębica*. Wyglądał jak kawałek czarnego szkła, gładkiego niczym lustro, nieodróżnialny niemal od otaczającej go nocy, pomijając srebrzyste połączenia skrzydeł i niektóre fragmenty kadłuba, które chwyciły blask Białej Dziury i odbijały zapożyczony światło księżyca. Pokładowa sztuczna inteligencja *Szarej Gołębicy* podprowadziła statek blisko *Onyxa*, podczas gdy Moss przygotowywała się do wejścia na miejsce zbrodni; mając na sobie oliwkowozielony kombinezon z napisem NCIS, sprawdziła aparat fotograficzny, film. *Szara Gołębica* wydała z siebie trzykrotny świergot alarmu, kiedy zniwelowała dystans dzielący statki, wyrównała obroty



z *Onyxem*. Jego śluza powietrzna znajdowała się w odległości zaledwie ośmiu metrów, ale była to otwarta przestrzeń kosmiczna. *Onyx* i *Szara Gołębica* okrążały się wzajemnie niczym gwiazdy w układzie podwójnym. Śluza powietrzna *Onyxa* widniała dokładnie na wprost Moss, nieruchoma. Chwyła stalowe poręcze, starając się stłumić uczucie zawrotu głowy, które skręciło jej żołądek na myśl, że musi poszybować z jednego statku na drugi. Mój Boże, pomyślała, nadal dziewczynka z Canonsburga, gdy znalazła się w obliczu konieczności spaceru kosmicznego. Moss niezliczone razy widziała marines wykonujących ten manewr, skaczących ze statku na statek, żołnierzy, którzy odbijali się od krawędzi śluzy i szybowali w przestrzeni – czasami nieprzywiązani – z taką łatwością, jakby przeskakiwali nad kałużą na chodniku. Przymocowała jeden koniec uwięzi do *Szarej Gołębicy*, szarpnęła linę na próbę.

Wkroczyła w przestrzeń, noworodek na pępowinie, napompowana adrenaliną podczas dryfowania między pojazdami. Wkrótce kadłub *Onyxa* zamajaczył na tyle blisko, że zdołała dosięgnąć śluzy powietrznej, chwycić się jej i przyciągnąć.

— *Onyx*, tu Shannon Moss. Otwórz śluzę.

Właz odskoczył momentalnie. Moss przyczepiła uwięź do *Onyxa*, spinając ze sobą oba statki, a potem pchnięciem otworzyła klapę śluzy i wpełzła do środka. Zaczekała na zielone światło świadczące o wyregulowaniu ciśnienia, potem wpłynęła do wnętrza pojazdu przez pozbawioną oświetlenia rurę śluzy, a jej drogę oświetlał jedynie punktowy reflektor umocowany z boku hełmu. Zatchnęło ją na widok zwłok w kabine głównej – dwanaście nagich ciał unosiło się w dusznym, ciemnym pomieszczeniu, przypominając góry lodowe w ciemnej wodzie. Jej reflektor świecił tam, gdzie patrzyła. Wśród trupów dryfowały kule, niektóre wielkości pięści – wiedziała, że to frakcjonowana krew, wielkie sfery wody wypełnione mgiełką czerwonych krwinek i żółtej plazmy, niczym zawijasy barw w ręcznie dmuchanych szklanych ornamentach.

— *Onyx* – odezwała się Moss. – Zapal światła.

Statek oświetlił upiornych zmarłych i ich unoszącą się krew. Moss uderzyło, że zwłoki wyglądają tak, jakby ci ludzie nie żyli zaledwie od kilku minut, ale wiedziała, że to dlatego, że nie było tutaj tlenu, który umożliwiłby rozkład. Mogły minąć lata, a oni wyglądaliby dokładnie tak samo.

Pozabijali się wzajemnie, pomyślała, to przynajmniej było jasne. Ciała

nosiły ślady cięć, innych skaleczeń i brutalnych urazów. Niektórzy mieli połamane kości; w jednym wypadku pęknięta piszczel przebiła skórę ofiary. W poprzek kręgosłupa jednego mężczyzny ziała błyszcząca długa szrama; inny miał rany klute powyżej serca, ślady dźgnięć. Policzyła: ktoś pchnął nożem tego człowieka co najmniej trzydzieści razy, szatkując mu serce i płuca. To jak dokumentowanie miejsca zbrodni, które włożono do pudełka i nim potrząsnęto, pomyślała. Rozpoznała senatora C.C. Charleya, którego zwłoki znajdowały się pod sufitem, a stopa zaplątała się w przewody. Brzuch miał rozplątany, a kiszki rozlały się na suficie niczym długie macki szkarłatnej kałamarnicy. Moss zrobiła zdjęcia. Mniejsze krople krwi wisiały w powietrzu jak zamarznęty deszcz, drobna mgiełka barwiła jej kombinezon, kiedy poruszała się po statku, robiąc zdjęcia. Po każdym kilku fotkach wycierała soczewkę obiektywu.

Zmierzyła odległości między zwłokami, robiąc notatki ołówkiem w notesie przywiązany do kombinezonu. Posłużyła się żółtym sznurkiem, którym przywiązała ciała do sufitu i ścian, żeby nie dryfowały. Paskudna sprawa, ale pomimo braku ciężenia trupy miały taką samą masę, jaką miałyby na Ziemi, i mogły ją zmiażdżyć lub zranić jak spadające szczątki, gdyby wpadła na któreś zwłoki i wprawiła je w ruch.

Gdzie były narzędzia zbrodni? Zaczęła je znajdować, broń własnej roboty: odłamek lustra przyklejony taśmą izolacyjną do kawałka rury, odłamki tarczy sprzęgłowej przymocowane do palców rękawicy skafandra próżniowego. Zapakowała prowizoryczną broń do worków na dowody. Posłużono się dość tępymi nożami z mesy, nożyczkami, a ciała niektórych zabitych pokrywały sińce wskazujące na to, że zostali uduszeni lub zatłuczeni na śmierć, gdy nie było dostępnych narzędzi. Marynarze mogli mieć broń palną, ale Moss nie zauważyła śladów świadczących o tym, by strzelano. Na żadnych zwłokach nie znalazła ran od kul. W głowie pojawił się jej obraz tego, co mogło się tutaj wydarzyć, i zamknęła oczy, żeby się opanować. Zdarzało się jej wcześniej odchodzić na bok na miejscach zbrodni i wymiotować, oczyścić się, żeby skupić się ponownie na pracy, ale zwymiotowanie w tym konkretnym miejscu, do hełmu, byłoby katastrofalne. Czekwała, aż jej nerwy się uspokoją, a doznanie spadania w żołądku zniknie. Oddychaj głęboko. Przebywanie tutaj, w przestrzeni, w otoczeniu tylu trupów, było klaustrofobiczne; *Onyx* ją przytłaczał. Otworzyła oczy.

Komputer pokładowy zanotował, że system podtrzymywania życia został

wyłączony ręcznie. Moss oceniła skalę obrażeń, jakie ci ludzie zadali sobie nawzajem, czysta jatka. Wyobraziła sobie, że jakiś zdrowy na umyśle marynarz wyłączył system podtrzymywania życia, żeby przerwać masakrę. Albo może zrobił to, żeby jednym posunięciem zabić wszystkich pozostałych. Załogę *Byka*, pierwszego statku DMK, który napotkał Terminusa, spotkał podobny los, nagły wybuch obłąkańczej przemocy, a Nicole opowiadała o *Esperance*, o marynarzach zabijających się wzajemnie na tamtym zlodowaciałym wybrzeżu, póki członkowie Navy SEAL, Cobb i Mursult, nie pomogli ocalałym odzyskać zdrowego rozsądku.

Trzy i pół godziny zajęło jej dokumentowanie głównej kabiny, zanim ruszyła w głąb statku. Zwłoki dowódcy znalazła w korytarzu, z nożem w plecach. W ustach nadal miał jedzenie – albo zrobił sobie w zabijaniu przerwę na kolację, albo ktoś zaskoczył go podczas posiłku. Znalazła kolejne zwłoki, wepchnięte do kabiny toaletowej, ciało o odciętych wargach, odsłoniętych zębach. Zdekoncentrowana przez groteskowy wygląd ust nie rozpoznała trupa, póki go nie sfotografowała.

Driscoll. Doktor Peter Driscoll, naukowiec, który pojawił się przed nią jako symulacja. Poznała jego włosy, tę białą burzę. Bez warg zęby Driscolla można było niemal wziąć za uśmiech od ucha do ucha, oczy miał szeroko otwarte, brwi uniesione, jakby on także był zaskoczony tym, co się tutaj działo. Senator C.C. Charley, doktor Peter Driscoll; Moss zaryzykowała domysł na temat grupy na pokładzie *Onyxa*. Spodziewała się znaleźć na tym statku jeszcze innych założycieli Phasal Systems, inżynierów i fizyków z LBMW, gdyby ktokolwiek zadał sobie trud identyfikacji zwłok. Znalazła ciało admirała Annesleya unoszące się twarzą w dół nad podłogą niczym żerująca na dnie ryba. Moss odwróciła zwłoki i ujrzała, że mężczyźnie oskórowano twarz.

Rozpoznała kolejne ciało dryfujące w sąsiedztwie kabin sypialnych – otyła kobieta, jakby wywrócona na nice. Carla Durr została wypatroszona, rozplątana od szyi po brzuch. W chwili śmierci musiała zanurzyć dłonie w klatce piersiowej, próbując się rozedrzeć. Sprawiało to wrażenie, jakby odsłaniała wnętrze jamy brzucha i narządy, z których część odpłynęła od niej.

Ocaliliśmy ci życie, a co ty z nim zrobiłaś?

Marynarka aresztowała Carlę Durr w pokoju hotelowym w Chevy Chase i przesłuchiwała ją. Kobieta sprzedała tajemnice Mursulta admirałowi Annesleyowi, zrozumiała Moss. Ile pieniędzy otrzymała, jakie inne przysługi

oprócz tej podróży na Głębokie Wody? Jakiegokolwiek sekrety sprzedała, doprowadziło to do tego.

Pewna myśl przyszła Moss do głowy.

Łańcuch informacji: od Patricka Mursulta do jego prawniczki Carli Durr, od Durr do admirała Annesleya, do doktora Petera Driscolla, do senatora C.C. Charleya – Hyldekrugger rozrywał ten łańcuch. Ale uratowałam życie tej kobiecie. Powinnam była pozwolić jej umrzeć. Myśl była odrażająca, ale gdy patrzyła na zmasakrowane ciało, poczuła ogrom tego, co zależało od jej decyzji o ocaleniu życia adwokatce, kiedy w szpitalu powiedziała O'Connorowi, że nie jest za późno, żeby powstrzymać zabójstwo. Ale powinna była pozwolić, żeby ją zastrzelili; teraz było to dla niej jasne. Czym było jedno życie wobec wszystkich istnień? Hyldekrugger miał rację – zabicie tej kobiety przerwałoby łańcuch, opóźniło odkrycie Esperance przez Dowództwo Marynarki Kosmicznej co najmniej o kilka lat.

To moja wina.

Moss krzyknęła, myśląc: Nie, pozwolić umrzeć prawniczkę nie byłoby w porządku, to nie było właściwe rozwiązanie. I zwróciła się ku swojemu wnętrzu, otoczona przez zmasakrowane zwłoki, zastanawiając się nad nieuchronnością. W życiu zawodowym Shannon żyła ze świadomością, że Terminus się zbliża, ale teraz jej umysł dopuścił do siebie pogląd, że to wszystko stało się przez nią, że praca w NCIS postawiła ją na ścieżce prowadzącej do uczestnictwa w dochodzeniu w sprawie Mursulta, a wszystkie dowody, jakie znalazła, mające swoje zwieńczenie w jej decyzji o zapobiegnięciu zamordowaniu adwokatki Carli Durr, sprawiały, że ponowne odkrycie Esperance przez Dowództwo Marynarki Kosmicznej następowało wciąż wcześniej i wcześniej. Doprowadziłam do końca świata, pomyślała, patrząc na otaczające ją trupy, ale ich oczy nie oferowały żadnego pocieszenia. Czowała się schwytna tutaj w pułapkę, zaplątana w sieć, Biała Dziura jak oko napierającego na nią pająka.

Ktoś inny by się poddał. W tym obrzydliwym kontekście jej krótka mantra brzmiała tak absurdalnie, że samo wypowiedzenie jej w myślach sprawiało, że Moss poczuła ponownie zawrót głowy, jakby traciła zmysły. Kiedy jednak doznanie minęło, poczuła się skoncentrowana i zdecydowana.

To jest miejsce zbrodni. Są pytania, na które trzeba odpowiedzieć.

Co Mursult powiedział swojej prawniczkę?

Jego informacja mogła być tutaj, ale gdzie? Statki klasy Cormorant były

wyposażone w prywatne kajuty niewiele większe od szafek wpuszczonych w podłogi i sufity, trumnowate prostopadłościanny mające służyć jako miejsca do spania, jednak większość ludzi wolała rozpiąć hamaki w głównej kabinie, niż wciskać się do ciasnych przedziałów, które cywilni pasażerowie wykorzystywali głównie jako szafki do przechowywania rzeczy osobistych. Na pokładzie *Onyxa* było dwadzieścioro ludzi. Moss sprawdziła wszystkie schowki, szukając należącego do Durr.

— No proszę – powiedziała, znalazłszy zestaw małych bordowych toreb podróżnych z monogramami C.D. Bielizna, złożony dres, rajstopy, słoiczek Oil of Olay, dwuogniskowe okulary. Znalazła powieść Stephena Kinga w miękkiej oprawie i szarą kopertę zamkniętą metalowym spinaczem. Otworzyła kopertę i wysunęła z niej plik papierów: poliniowane arkusze wyrwane z kołnotatnika, krawędzie wystrzępione w miejscu perforacji. Prymitywne rysunki ołówkiem. Co przedstawiają? Moss rozpoznała na jednym drzewo Vardogger. Była tam fotokopia mapy, czerwony atrament wskazywał miejsce w pobliżu Red Run, przestrzeń fazową, podkreślał przybliżone położenie drogi dojazdowej prowadzącej do tego punktu. Potem znalazła odręczną notatkę:

*To złudzenie, trzeba być może kilku prób, zanim zauważysz drzewa, jeśli w ogóle kiedykolwiek je zobaczysz. Bietak uważa, że trzeba mieć w organizmie KTN-y, gdyż niektórzy ludzie mogą nigdy nie rozgryźć sztuczki, ale nie sądzę, żeby o to chodziło – to cholera otwiera się przy każdym naszym nieudanym zapłonie. Po ujrzeniu drzew podążaj wzdłuż nich, kiedy jednak przejdiesz rzekę, nie zbaczaj ze ścieżki. Będziesz uważać, że chcesz to zrobić – tak się to odczuwa – ale jeśli ulegniesz pokusie, będziesz odślonięta i nie da się cię uratować.*

Na następnym arkuszu był rysunek *Wagi*, czarnym tuszem, dziób statku zaś otaczały pierścienie wykonane niebieskim atramentem; to miał być tryskający błękitny płomień napędu B-L, domyśliła się Moss.

*Drzewa doprowadzą cię do Wagi. Na miejscu zobaczysz inne szeregi Vardoggerów. Jeśli pójdziesz tymi ścieżkami, dotrzesz do innych światów, podobnych do twojego, ale nieco innych. H. oznacza ścieżki, którymi chodziliśmy, więc pamiętamy. Ustawia przy nich kamienne stopy. Jest wiele ścieżek.*

Moss przerzuciła kartki. Plan Buckhannon, laboratorium chemiczne zaznaczone na czerwono.

*Budynek mocno chronionego ośrodka w pobliżu Zion, za wiele milionów dolarów, H.*

*podchwycił pomysł od japońskiej sekty. H. i Jared chcą powtórzyć japońskie ataki gazowe, posłużyć się tym samym związkim, jakiego użyli tamci. Grupy testowe w Buckhannon.*

Były tam jeszcze inne rysunki, niektóre figur geometrycznych, siedmioramienne gwiazdy, wzór Czarnego Słońca o szprychach jak ścieżki Vardoggerów, ręcznie rysowane mapy podpisane *ESPERANCE*, zestaw szkiców ukazujących położenie obozów, zapamiętane fragmenty topografii. Moss poznała fiordy i oceany, które opisała jej Nicole. Były mapy gwiazdowe oznaczające lokalizację ciemnych gwiazd podwójnych, położenie planety odkrytej przez *Wagę*. Znalazła dłuższy list:

*Droga Durr. Jeśli zjawię się pewnego dnia, domagając się swojej części pieniędzy, to znaczy, że umowa wciąż obowiązuje, ale teraz jest dla mnie za późno, cha, cha, więc ciesz się tą informacją. Nicole powiedziała mi, że H. przyjeżdża dziś wieczorem. Byłem u kumpla, kiedy mnie ostrzegła, więc musiałem uciekać. Jest miłym dzieciakiem, ale i kapusiem i kabluje za każdym razem, kiedy H. ją szturchnie. Doskwiera mi, że mnie mu sprzedała, ale przynajmniej się przyznała, zapewniła mi fory. Miłość jest warta choć tyle. NIKT o tobie nie wie, nawet Nicole, więc nie martw się, jesteś bezpieczna. Nadeszła zatem pora na wyłuszczenie sedna sprawy. Załączniki: miejsce pobytu Kruggera, lokalizacja Esperance, położenie Wagi i tego szczególnego drzewa, Vardoggera, tak jak obiecałem. Wiem, że nie wierzysz w większość tego, co ci opowiedziałem, ale po dzisiejszej nocy będziesz przynajmniej wiedziała, że niebezpieczeństwo, w jakim się znajduję, jest realne, więc uważaj także na siebie, proszę. Byłem z H. od początku, znosząc wszystkie jego bzdury, bo chciałem ŻYĆ. Chciałem żyć, to wszystko. Nie mogę jednak ścierpieć popełnianych przez niego zabójstw. Widziałem, jak żywcem spalił kogoś kwasem, i nie mogłem tego znieść. Żałuję czasami, że nie pomogłem Remarque stworzyć tej czarnej dziury, awarii kaskadowej, która unicestwiłaby nas wszystkich. Za późno, za późno na wszystko. Nie otrzymam pieniędzy ani ulaskawienia, ale moim udziałem będzie to, że sprzedasz te informacje marynarce albo FBI, zarobisz mnóstwo forsy, powstrzymasz tego człowieka. On chce zabić nas wszystkich. Krugger wędruje wszystkimi ścieżkami. Oddaje cześć śmierci. Czci śmierć w taki sposób, w jaki niektórzy ludzie wielbią Jezusa. Modli się do niej. Zdziera im paznokcie i używa ich jako relikwii, świętości. Dotrze niebawem do mojego domu, więc zostawiłem tam rodzinę, pozwalając mu ją zabić, co spowolni go na tyle, żebym zdołał dostarczyć te informacje do twojej tajnej skrzynki depozytowej, zgodnie z umową, a także schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu. Możesz to uznać za okrutne, że pozwalam umrzeć moim bliskim, ale jest coś jeszcze, w co nie uwierzysz, ale to prawda: „Wesoło, wesoło, życie jest tylko snem”. Bez względu na to, co stanie się dzisiejszej nocy z moją rodziną, mogę znaleźć inną. Pójdę drzewami Vardogger do jakiegoś innego miejsca i czasu, a tam w domu powita mnie żona, bezpieczna i zdrowa. Umrą tutaj, ale będą żyli gdzieś indziej. Moja żona będzie tam młodą kobietą, Marian będzie małym dzieckiem, znowu będzie miała pięć lat, a ja będę przyglądał się ponownie jej szczęśliwemu dorastaniu i będę widział ponowne narodziny najmłodszego dziecka. Durr, wszyscy jesteśmy cieniami wędrującymi w lesie, cieniami, które przechodzą przez rzekę. To jak w tamtym starym wierszyku, który recytowałem Marian, kiedy kołysałem ją na kolanach do snu: „Wydawało się, że tak miło się żeglujecie, a niektórzy ludzie myśleli, że to marzenie, o którym śnili, żeby żeglować po tym pięknym morzu”. W każdym razie śledzę czas i wiem nawet teraz,*

*że moja rodzina nie żyje lub umiera. Oplakuję swoje dzieci, ale wiem, że będą jeszcze żyły. Podrzucę tę informację do twojej skrytki, potem pojadę w miejsce, które lubię, do tego spokojnego miejsca, w którym lubię myśleć, gdzie lubię pobycć czasami i spać. Myślę o mojej rodzinie, która istniała tutaj, i przygotowuję się na nową rodzinę, która będzie tam. Nie zobaczysz mnie nigdy więcej – MUR.*

Patrickowi Mursultowi się wydawało, że wędrując ścieżkami, zbiegnie przez Vardoggera, zacznie nowe życie w jakiejś innej NTP. Ale został zabity w Blackwater Lodge, zanim zdołał uciec.

Marian będzie małym dzieckiem... Ale jak to było możliwe? Nikt z nas nie może cofnąć się w czasie, prawda?

Terminus podążył za *Wagą*, ale statek został schwytyany w węzeł czasoprzestrzeni, gdzieś poza czasem. *Onyx* wrócił jednak na terra firma. Załoga *Onyxa* pozbyła się ubrań, bo były skażone KTN-ami, pomyślała Moss, przypominając sobie, jak parzyła ją skóra. Doznała tego na minuty przed ukrzyżowaniem: piekąca skóra. Zrzuciła z siebie ubranie pomimo przenikliwego zimowego wiatru i została ukrzyżowana.

— *Onyx*, połącz z bazą Apollo Soucek.

Moss usłyszała dźwięk oznaczający „niewykonane polecenie”. Zbliżyła się do jednego z komputerów statku i ujrzała napis: BRAK UPRAWNIENÍ.

— Zlekceważ to – powiedziała Moss. – Połącz z bazą Apollo Soucek.

WSZYSTKIE KANAŁY ZAJĘTE NA POTRZEBY OPERACJI SAJGON.

— Niech to szlag – zaklęła. – *Onyx*, zlekceważ to. Wyślij sygnał alarmowy. Połącz z bazą Apollo Soucek lub z Black Vale.

WSZYSTKIE KANAŁY ZAJĘTE NA POTRZEBY OPERACJI SAJGON.

— Kurwa mać.

Zwłoki w kabinie poruszały się, gdy ocierała się o nie. Zdawały się tańczyć jak w groteskowym śnie o balecie w kostnicy. Wycofała się pod pokład, zbadała korytarz, świetlicę. Znalazła flagę amerykańską, prostokątną tkaninę sztywną z powodu braku ciężenia, przyszpiloną do podłogi. Na suficie znajdowała się kamera magnetowidowa na trójnogu. Obejrzała ją, znalazła kasetę i zastanowiła się, czy ci ludzie się nagrali, mordując się wzajemnie. Włożyła kasetę do zestawu odtwarzającego, wykombinowała, jak to wszystko uruchomić. Na ekranie pojawił się obraz senatora Charleya w niebieskiej koszulce polo, szortach khaki i wysoko podciągniętych

podkolanówkach. Na ramionach miał udrapowaną flagę amerykańską, tło. Moss widziała tego mężczyznę mnóstwo razy w telewizji, ale tutaj wyglądał dużo młodziej, roziskrzony dziecięcym zadziwieniem, cyrkową jazdą w nieważkości.

— Współobywatele Amerykanie, odbywam podróż życia, tysiąca egzystencji – odezwał się, a potem kobiecy głos zza kadru polecił mu, żeby spróbował jeszcze raz. Senator odchrząknął, przywołał na twarz sztuczny uśmiech i powiedział: – Odbywam podróż życia. Wspólni Amerykanie. To znaczy współobywatele Amerykanie...

— Mów dalej – rozległ się głos kobiety. – To się wytnie.

— Współobywatele Amerykanie, dwudziestego szóstego marca 1997 roku grupa mężczyzn i kobiet wyruszyła na pokładzie USS *Onyx* w podróż życia, podróż tysiąca egzystencji. Pokonaliśmy odległość, o jakiej dawniej tylko marzyliśmy. Nie ma już „ostatniej granicy”, otwarły się przed nami ogromne odległości przestrzeni kosmicznej... Czekać, czekać, daj mi zacząć od początku.

— Powtórzyłeś dwa razy słowo „odległość” – powiedziała kobieta zza kadru. – Możesz czytać z kartki.

— Nie – odparł senator Charley. – Chcę, żeby to brzmiało naturalnie.

— Spróbujmy z tym fragmentem na temat Majesty – zaproponowała kobieta.

— Dobra – zgodził się senator. Uśmiechnął się do kamery i powiedział: – Odkryliśmy planetę bogatą w cudowne, dziwne surowce, o pięknej florze i niesłychanym życiu. Tak, życiu. Moje oczy otworzyły się na nowo na cud boskiego stworzenia, a umysł na możliwości Jego majestatu. Jako chrześcijanie, i jako Amerykanie, nazwaliśmy tę planetę Majesty.

— Odrobinę zbyt kaznodziejskie. Och, czekać – powiedziała kobieta zza kadru.

Obraz senatora się rozmył, ale pojawiło się coś nowego. Ktoś filmował przez iluminator statku, obraz był podobny do zdjęć Ziemi widzianej z kosmosu, planeta, ale ta tutaj była kulą białego lodu i oleistych, czarnych mórz, w bliznach kraterów i pobrużdżona szczerbatymi górami. Nad półkolem horyzontu wznosił się spory księżyc, złoty olbrzym. Ekran zaczął mżyć.

— ...Shannon? – dobiegło nieoczekiwane z komunikatora.

Głos ją przestraszył.



— Shannon, to byłaś ty? Nic ci nie jest? – zapytał O’Connor. – Odebrałem sygnał alarmowy.

— Jestem... Znalazłam tutaj coś ważnego – odparła drżącym głosem.

— Mam dla ciebie polecenie spotkania w kosmosie, do natychmiastowego wykonania – powiedział. – Zostałaś przydzielona do Grupy 5 TERN-ów, na *Raka*. Nie wracasz do domu, Shannon...

— Posłuchaj mnie – powiedziała. – *Onyx* poleciał na *Esperance*, dotarli do...

— Rozumiem – stwierdził O’Connor. – Ale jest już za późno. Kiedy doleczysz do *Raka*, ustaw autopilota *Onyxa* na Apollo Soucek. Potrzebujemy więcej statków do ewakuacji, potrzebny nam każdy pojazd. Marynarka przejęła kontrolę nad *Szarą Gołębicą*. Sprowadzili statek, ale potrzebujemy ich więcej.

— Odpowiedź może się znajdować tutaj, na *Onyxie* – poinformowała go Moss. – Potrzebujemy więcej czasu.

— Za późno – powtórzył O’Connor. – Mamy już tutaj wisielców, uciekinierów. Ludzie wszędzie wpatrują się w niebo, a usta mają wypełnione srebrem. Lasy płoną, śnieg jest gęsty. Za późno, Shannon. Jest już za późno.

Moss przesuwiała się korytarzem podpokładzia. Poszybowała w górę przez właz prowadzący do sterowni, myśląc: Remarque. Zamordowali dowódcę *Wagi*. Kokpit *Onyxa* był taki sam jak *Szarej Gołębicy*: kopuła ze wzmocnionego szkła, dwa fotele lotnicze zamontowane w gnieździe otoczonym morzem kontrolki, panelami przełączników i gałek. Pomyślała o matce. Pomyślała o *Raku*. Jej statek zmniejszał się w oddali, *Szara Gołębica*, uwięź pękła.

— *Onyx*, otrzymałeś nowe instrukcje?

DOKOWANIE DO RAKA, KURS AUTOMATYCZNY DO BAZY LOTNICTWA MARYNARKI WOJENNEJ OCEANA.

— *Onyx*, możesz opóźnić wykonanie rozkazu?

NIE. WSZYSTKIE ZASOBY REKWIROWANE NA POTRZEBY OPERACJI SAJGON.

— *Onyx*, możesz opóźnić wykonanie polecenia dokowania do *USS Rak*, jeśli polecisz do Oceany?

TAK.

TERN-y będą wylądowane po brzegi, stwierdziła w duchu. Dwieście osób. Pomyślała o *Raku*, starszym statku, który przed remontem miał kiedyś

wadliwe o-ringi. Będziemy żyli jak szczury, uznała Moss, i nie będzie dokąd uciec, żadnego nieba, niczego, będzie tylko jeden skok na oślep po drugim, do dalekich przyszłości NTP w nieznanach galaktykach, poszukiwanie jałowych gwiazd i niepłodnych planet w celu bezpiecznego lądowania, jakiegokolwiek bezpiecznego lądowania, póki nie wyczerpie się żywność albo nie nawali system uzdatniania wody. Ludzie na pokładzie pozabijają się wzajemnie, będą się zjadali, wypijali jeden drugiego, a w końcu wszyscy będą głodować, wszyscy umrą z pragnienia albo skończy im się tlen. Tak czy inaczej, wszyscy zginą.

Tlenu w jej zbiorniku pozostało jedynie na kilka godzin.

— *Onyx*, przywróć system podtrzymywania życia – powiedziała. – I wstrzymaj polecenie spotkania z *Rakiem*. Kontynuuj lot do Oceany.

Impulsywne polecenie, ale czuła brzemień winy, przekonania, że to jej działania sprowadziły tutaj Terminusa. Uważała, że zasługuje na to, by umrzeć, a nigdy, żeby uciec. Przepychanie się między wiszącymi nogami i ramionami trupów przypominało pływanie w płataninie wodorostów. Driscoll był w toalecie ze swoim zębiastym, bezwargowym uśmiechem – nie chciała go widzieć. Nie chciała oglądać odsłoniętego serca Durr. Zakryła flagą włącz górnego pokładu, żeby zapobiec przedostawaniu się krwi, gdy zacznie cyrkulować powietrze. Kiedy stężenie tlenu osiągnęło odpowiedni poziom, Moss zdjęła hełm. Spodziewała się woni gnicia, ale nic nie poczuła.

Zostawiła włączone światła. Próbowwała spać w trakcie lotu powrotnego na Ziemię, ale była spięta, przenikał ją strach. W głowie śmigły obrazy. Ludzi wiszących, ludzi uciekających, Nestora, który pytał ją, czy wierzy w zmartwychwstanie. Nie, nie ma Boga, to jest ład naturalny. Wyobraziła sobie węza, który miota się w bezgrawitacyjnej przestrzeni, aż się zwija i połyka własny ogon. Myślała o srebrze, o płynących razem plamach srebra, ławicy ryb. O Njoku, który sięga na Pacyfiku w głąb wodnej przestrzeni fazowej i czuje, że w jego dłoni pojawia się ryba, ma wrażenie, że ryba prześlizguje się swobodnie...

Shannon dotknęła powierzchni snu i obudziła się, rąbnawszy o podłogę do wtóru grzechotu spadających wokół niej wszystkich nieumocowanych przedmiotów, kamera magnetowidowa rozbiła się na kawałki, niesamowite dudnienie zwłok walących o ściany i podłogę. Grawitacja ziemską. Pognała na miejsce pilota, przypięła się do fotela, myśląc o wraku *Wagi* tuż przed nieudanym zapłonem. *Waga* płonęła i spadała tamtej długiej, bezsennej nocy.

Kokpit *Onyxa* był przyciemniany, przesłaniał szalejącą plamę ognia, gdy statek palił się w atmosferze niczym zapałka potarta o draskę. Zamordowali Remarque, pomyślała. W jednym z węzłów Brandt-Lomonaco ostroboki pacyficzne zostały schwytane w metrykę Gödla, w pętlę. Wspomniała *Wagę*, swoją dezorientującą noc w areszcie, bycie świadkiem buntu, którego następstwem było rozbicie statku. List Mursulta do Durr wyjaśniał, co usiłowała zrobić Remarque, *wywołać awarię kaskadową, żeby unicestwić nas wszystkich*. Czarną dziurę.

— Mogę uczynić to, czego nie zdołała osiągnąć Remarque – stwierdziła Moss, zbierając myśli w trakcie wypowiedzania ich na głos. Nicole powiedziała jej, że Remarque nakazała zbiorowe samobójstwo. Że gdyby cała załoga *Wagi* zniknęła, to *Esperance* nie zostałaby odkryta. – Mój Boże – mówiła Shannon do siebie samej. – *Waga* jest makrelą. Mogę zrobić to, czego nie osiągnęła Remarque.

Ale co by to dało? – zastanowiła się. Co by się stało, gdyby zdołała rozwalić *Wagę*, gdyby w jakiś sposób udało się jej wywołać awarię kaskadową?

Gdy zdjęto ją z krzyża, została sprowadzona tutaj, przeciągnięta przez rzekę. Błędem nas wszystkich jest to, powiedziano jej, że wierzymy w swoje istnienie. Kwitnąca „spadająca gwiazda”. Patrick Mursult uważał, że może przejść przez *Vardoggery*, cofnąć się w czasie: Marian będzie mała. Jeśli mógł cofnąć się w czasie...

Kiedy istniała terra firma? – zastanowiła się Shannon. Nie teraz, nie w 1997 roku. Rok 1997 był niedopuszczalną trajektorią przyszłości *Wagi*. Gdyby zdołała wywołać awarię kaskadową, gdyby *Waga* zniknęła, to kiedy byłaby prawdziwa terra firma? Wyobraziła sobie niszową przestrzeń przytłoczoną przez *Terminusa*, *Terminusa* dosięgającego *Wagi*, Białą Dziurę wędrującą linią *Casimira Wagi* z powrotem do punktu startu statku, do terra firma. Marian będzie mała, pięcioletnia. Nicole, gdy wypuściła Moss z aresztu, powiedziała jej, że upłynęło jedenaście lat. Entuzjazm buzował w niej jak bąbelki w kieliszku szampana. Gdyby *Waga* zniknęła, to zniknęłaby ta *NTP*, wszystko by przepadło. Statki *DMK* nadal przeczesywałyby kosmos i odległy czas, żeglowałyby wciąż po Głębokich Wodach, ale *Waga* zniknęłaby w swojej przyszłości. *Esperance* nie zostanie odkryta. Nadal istniałaby szansa znalezienia tej planety, pojęła Shannon, jakieś prawdopodobieństwo, że dotrze do niej inny statek, nadal możliwość

Terminusa, ale tylko prawdopodobieństwo. Ewentualność. Ale mogą istnieć inne możliwości. Terra firma byłaby datą dziewiczego startu *Wagi*, chwilą tuż przed tym, gdy statek po raz pierwszy uruchomił napęd B-L.

Siódmy listopada 1985 roku.

— Courtney – powiedziała Moss.

*Onyx* przeciął śnieżną zamieć, ocean w dole falującą szarością, statek ślizgał się na pokrytym lodem pasie bazy Apollo Soucek. Ludzie przerwali bariery i roili się na pasie startowym, ścigając kołujące cormoranty, obojętni na swoje bezpieczeństwo w desperackim pragnieniu ucieczki. Moss widziała zwłoki na śniegu. Była wciąż daleko od terminalu, gdy żółta ciężarówka wielkości autobusu przecięła pas startowy daleko przed nią, a potem przyśpieszyła w jej stronę, idąc na czołówkę. Co ty wyprawiasz? – pomyślała na widok pojazdu zarzucającego tyłem na śliskiej nawierzchni. To była cysterna do odladzania skrzydeł, jej teleskopowy wysięgnik i przewody miały się szaleńczo. Pojazd zboczył gwałtownie z drogi, wrócił na swój tor i rąbnął w przednie koło *Onyxa*.

— Co jest, kurwa? – wrzasnęła Shannon, *Onyx* utknął we wraku ciężarówki.

Być może był to wypadek spowodowany przez oblodzone podłoże, może ciężarówka wpadła w poślizg, ale Moss zauważyła pierwszych ludzi biegnących z krzykiem ku cormorantowi. Pojawili się kolejni, rodziny, żołnierze otoczyli cormoranta, starając się wspiąć na pokład. Chcą się dostać na statek. Pragną się uratować, przejąć *Onyxa*.

Moss otworzyła osłonę kabiny, gdy dotarł do niej pierwszy człowiek. Wspiął się po wraku żółtej cysterny, wzrok miał szalony.

— Zabierz mnie nim, zabierz!

— Właż – rzuciła Shannon, wyszła spod osłony, żeby go przepuścić, chcąc umknąć tym ludziom.

Stała na burtowym trapie cormoranta, ale zeszła zaledwie z kilku szczebli, gdy czyjeś ręce szarpnęły ją i rzuciły na podłoże. Co najmniej tuzin ludzi wdarł się do *Onyxa*, a kolejni nadbiegali. Pełzali wokół statku, usiłując znaleźć wejścia. Ujrzała *Lilię z Doliny*, innego cormoranta, który przemknął obok i poderwał się w niebo, a na pasie startowym zostały porzucane ciała. Oszaleli, pomyślała Moss. Odwróciła się w stronę *Onyxa* i ujrzała ludzi wyrzucających na zewnątrz zwłoki, ciskających je jak niepotrzebny balast.

— Shannon!

Usłyszała go: O'Connor. Był w towarzystwie Njoku, rozdzielały ich zacinające porywy śnieżycy. Pomachał do niej, ale straciła ich obu z pola widzenia w zamieci, w pędzie ludzi gnających ku dalszym pasom startowym w oczekiwaniu na kolejnego cormoranta. Moss przedarła się przez tłumy do terminalu. W porównaniu ze zgiełkiem na zewnątrz korytarze w środku były ciche. Zdjęła ciężki skafander kosmiczny i została w samej długiej bieliźnie. Na całym lotnisku walały się porzucone bagaże, zostawione w szaleńczym pędzie, żeby dostać się na statki i uciec. W worku marynarskim znalazła dres US Navy i kurtkę lotniczą z emblematami 213. Eskadry Myśliwskiej, czarny lew o dwóch ogonach narysowany wśród gwiazd. Włożyła je.

Marynarka opuściła większą część bazy. Ulice były puste, śnieg gromadził się w postaci wędrujących zasp. Shannon zmiotła kilkunastocentymetrową warstwę śniegu ze swojej półciężarówki, usłyszała zgrzyt silnika, zanim zaskoczył. Kolejni ludzie wlewali się przez bramę porzuconej bazy, kiedy odjeżdżała stamtąd w pośpiechu, ulice Virginia Beach były zasypane śniegiem, ale przejezdne. W przypadku kataklizmu zawsze wyobrażała sobie korki, ale na drodze nie było samochodów, z wyjątkiem kilku porzuconych na poboczach. Wszyscy martwi w domach, uznała, albo utknęli w lodzie. Autostradą poruszało się jedynie kilka innych pojazdów, światła ich reflektorów były przyćmione przez zadymkę śnieżną.

Czwórka ludzi skupiła się na poboczu szosy, wpatrując się w Białą Dziurę, byli znieruchomiali, całkowicie sparaliżowani, z otwartymi szeroko ustami, jakby wywichnięto im dolne szczęki. Ich usta wypełniało srebro, co sprawiało wrażenie płukania gardeł rtęcią. Srebro spływało im po policzkach na szyje. Pierwszą, mniej więcej trzydziestoosobową grupę biegnących dostrzegła dopiero za miastem, nagich i bosych pomimo lodowatego wiatru. Wcześniej wyobrażała to sobie jako niemal coś komicznego, absurdalnego, ale ich widok ją przeraził; biegli rozpaczliwie, nie poświęciwszy ani jednej myśli obrażeniom cielesnym czy wytrzymałości, z twarzami wykrzywionymi czystą furią, niektórzy z nich krzyczeli. Gnali, jakby ścigał ich rój żądliwych owadów; pobiegli w stronę lasu rosnącego wzdłuż międzystanówki i zniknęli między drzewami. Shannon wiedziała, że będą pędzili, póki ich ciała się nie rozpadną. Jeśli dotrą na brzeg, wbiegną do wody, żeby utonąć. Prowadziła brawurowo, zmieniając gwałtownie pasy ruchu i wpadając w poślizgi, ogarnięta paniką, że jej obecność tutaj jest błędem, wielką pomyłką, że powinna była zadokować do *Raka*, być wśród kolegów, daleko stąd, opuścić

umierającą Ziemię, poszukać azylu gdzieś indziej, w nieskończonym kosmosie.

Gdy wjechała do lasu, zapadła noc, blask Białej Dziury odbijał się od śnieżnej zamieci i oblewał srebrem choiny. Pożary, które strawią Park Narodowy Monongahela oraz wszystkie inne lasy, trwały od ukazania się Białej Dziury i Moss widziała po obu stronach płomienie migające głęboko w lesie, jak błędne ogniki albo upiorne procesje z pochodniami. Przecinka prowadząca ku Vardoggerowi była nieprzejezdna. Shannon zostawiła półciężarówkę i ruszyła w górę, ześlizgując się bezradnie z zasp, aż zaczęła się czepiać jednego drzewa po drugim, podciągając się po zboczu, chwytając się młodych drzewek i korzystając z nich jak z lin wspinaczkowych. W każdej chwili twoja skóra może zapłonąć, KTN-y mogą wypełnić twój organizm, możesz zedrzeć z siebie ubranie i zacząć biec, możesz dołączyć do stada, możesz zostać uniesiona w powietrze...

Zataczając się, weszła na polanę, na której Nestor zastrzelił kiedyś Vivian, gdzie odkryto kości Marian i odnaleziono echo dziewczyny. Drzewa stały w ogniu. Walczyła o oddech, płuca piekły ją z powodu lodowatego powietrza, dymu i popiołu. Bolało ją ciało.

— O Boże – powiedziała, serce jej dudniło na skutek wspinaczki, ale szła dalej między rosnącymi gęściej sosnami i wkrótce brnęła w śniegu głębszym o kilkanaście centymetrów. Znalazła koryto wyschniętego strumienia, którym podążył niegdyś Nestor, płytki parów. W pobliżu znajdowały się kamienne stożki, przypomniała sobie, ale teraz będą skryte pod śniegiem. Usłyszała szum płynącej wody i zeszła ze zbocza, kierując się w tamtą stronę. Stała tam porzucona ciężarówka marynarki, pokryta lodem. Nie ogrodzili jeszcze tego terenu, chociaż planowali to zrobić przed ewakuacją. Ujrzała ciężki sprzęt, porzucony. Część drzew w strefie została ścięta, ich pnie piętrzyły się w stosach. Biały Vardogger był nieskażony śniegiem.

Shannon powiodła dłonią po jego korze; była jak zimna stal. Opadła na kolana, mając nadzieję, że drzewo się otworzy, ale nic się nie stało. Wiatr wiał między choinami, jak dźwięk miotły szurającej na betonowym podłożu. To tutaj Nestor zostawił ją na śmierć. W jednej z jej przyszłości zdradził ją w tym miejscu. Co się stało z Nestorem? Wyobraziła go sobie ukrzyżowanego głową w dół, w lesie innych ukrzyżowań, ale myśl wydawała się zbyt nieludzka pomimo jego przyszłego okrucieństwa. Wolą pamiętać,

jak wyglądało jego ciało, srebrząc się w blasku księżyca tej pierwszej nocy, którą spędzili razem, konstelację pieprzyków powyżej serca. Moss była pełna smutku.

Wstała, odeszła od Vardoggera i się odwróciła.

Było tylko jedno drzewo.

Nie.

Mursult napisał, że ścieżka może być złudzeniem optycznym. Że mogła istnieć zawsze, ale pozostawać niewidoczna, albo może być funkcją KTN-ów we krwi lub otwierać się przy każdym nieudanym zapłonie napędu B-L. Tak czy inaczej, nie dało się powiedzieć, kiedy – albo czy w ogóle – drzewo utworzy nieskończoną ścieżkę prowadzącą do *Wagi*. Jest późno, powiedział kiedyś Nestor.

— Co ja robię?! – krzyknęła Shannon wzburzona, zdenerwowana. – Co ja robię?

Czas mijał, śnieg i gwałtowny wiatr przyprawiały ją o odrętwienie; zakutała się bardziej w kurtkę zaniepokojona KTN-ami, które musiały być w powietrzu. Muszą wnikać we mnie, pomyślała. Nasycają moją krew.

Umrę tutaj? Zastanowiła się, czy śmierć nadejdzie, kiedy będzie czekała na pojawienie się ścieżki. Nic tak gwałtownego i dziwaczego jak to, co mogły zrobić z nią KTN-y, ale coś naturalnego; naturalna śmierć z powodu tego nienaturalnego zimna. Lotnicza kurtka, którą zabrała z bazy Apollo Soucek, była skórzana, podbita wełną, ale chłód przenikał przez nią i kiedy Moss zagłębiła twarz w podszewce, poczuła, że szron zmroził jej włosy. Wysunęła dłonie z rękawów, pochuchała na palce, ale skóra rąk piekła ją i szczypała, i wiedziała, że niebawem straci czucie.

Chodź. Ruszaj się. Podtrzymuj krążenie krwi.

Zmierzch. Przeszła przez polanę do rzeki i wróciła do białego drzewa. Kiedy je minęła, krajobraz wokół niej się zmienił. Przestała widzieć pojazdy marynarki wojennej i ścięte choiny. Sosen przybyło, rosły gęsto, a ona przeciskała się między ich gałęziami, licząc na znalezienie tej niekończącej się ścieżki, ale doszła do tego samego białego drzewa. Albo... to musi być inne drzewo.

Zrozumiała, że znajduje się w przestrzeni fazowej, ale nie było tutaj ścieżki, którą podążył Hyldekrugger; był tylko ciemny las, konary, gałęzie, drapiące ją igły. Doszła ponownie do białego drzewa i chociaż wiedziała, że została schwytana przez to miejsce, tak jak była uwięziona przed swoim

ukrzyżowaniem, wpadła w panikę, zagubiona. Przedarła się między grubymi gałęziami sosen i wyszła na polanę, ku płynącej czarnej rzece, ale czuła, że jest po niewłaściwej stronie, miała to samo wrażenie, które opisali Njoku i O'Connor, kiedy byli tutaj. Spostrzegła białe drzewo na przeciwległym brzegu, lecz przysła od białego drzewa. Powinno znajdować się za nią.

Marian przebyła rzekę, przypomniała sobie, i ja przeszłam przez nią z Hyldekruggerem. Jednak ścieżka drzew nie ukazała się jej i nie było zwalonego drzewa łączącego brzegi. Shannon Moss wyszła z tej rzeki, echo, pomyślała, tuż przed tym, zanim Cobb zatłukł ją na śmierć.

Podeszła do wody, stanęła na brzegu. Rwący nurt rozbijał się na głazach na białe bystrza, omiatając ją mgiełką wodną. Mogła jednak przejść przez rzekę. Było w niej dość kamieni, ostrych skał sterczących ponad bystrzami; mogły posłużyć za pomost, uznała.

Umrzesz, Shannon. Dostaniesz w wodzie hipotermii, bez możliwości wysuszenia się w mroźnym powietrzu. Umrzesz.

Zeszła z trudem po pokrytym śniegiem brzegu, oceniając odległość dzielącą ją od najbliższego głazu znajdującego się metr dalej. Zrobiła wy krok nad wodą, znalazła oparcie dla stopy na kamieniu, zawierzyła protezie ciężar ciała. Wiatr szarpał nią, zadrzała. Następny głaz znajdował się bliżej, miał szeroki, płaski wierzchołek, na który mogła wskoczyć. Zebrała się w sobie, zrobiła kolejny krok, ale przegub kolanowy protezy poddał się w momencie, gdy powinien się zablokować, a ona się poślizgnęła, przewróciła i rozbiła sobie głowę o poszarpany kamień, zanim prąd wciągnął ją pod powierzchnię. Wydało się jej, że całe ciało ma poranione przez lodowatą wodę, płuca skurczyły się w zimnym nurcie; nie była w stanie oddychać. Wynurzyła się, młóćąc rozpaczliwie ramionami, macała wokoło rękami, drapiąc skały, ale nie zdołała się niczego uchwycić.

Rzeka ją uniosła. Shannon wyciągnęła ramię ponad wodę i dotknęła palcami gładkiego drewna. Chwyciła je, przytrzymała się i wystawiła głowę nad powierzchnię wody, dysząc. Wydzwignęła się z nurtu, wdrapała na zwalone drzewo, na kładkę. Znalazła Vardoggera i objęła go, leżąc na brzuchu. Jej mokre ubranie zamieniało się bardzo szybko w skorupę lodu. Musi się jakoś ogrzać albo umrze.



### 3

**W**iatr ją chłostał. Palce rąk i nóg miała zdrętwiałe. Nie wiem, co robić. Zdjąć mokre ubranie? Zamarzną. Ale w nim także zamarzną. Widoczne przed nią drzewa Vardogger były jak iluzja wymuszonej perspektywy, każde kolejne wzdłuż ścieżki nieco mniejsze od poprzedniego, aż ostatnie stanowiło jedynie punkt białości zagubionej niemal całkowicie w śniegu. Jeśli mam umrzeć, to raczej ześlizgnę się z powrotem do rzeki i utonę, zamiast zamarznąć na tym drzewie na śmierć.

Rzeka zapraszała, wciąż mogła się do niej zsunąć. Nie powinnam była wychodzić z wody, pomyślała, wyobrażając sobie to unoszenie w dal jako spokój, jak zasypianie po bardzo długiej nieobecności w jakimś znajomym miejscu. Rozejrzała się, przyglądając się ostatni raz światu, w którym wszystko było zredukowane do monochromatycznych cieni: białe drzewa, biały śnieg, czarna woda, choiny przyodziane w antracyt przez mroczne światło. Jedyłą żywą barwę stanowiła pomarańczowa plama. Ciało w oranżu. W oddali, obok szeregu drzew. Widziała ten pomarańczowy kolor, będąc z Hyldekruggerem, i widziała ten oranż teraz – przestrzeń fazowa. W ciągu lat, kiedy przywykła do pomieszania zdarzenia, które kosztowało ją nogę, Moss uznała tamtą kobietę w pomarańczeniu za coś w rodzaju pęknięcia swojej psyche, które trzeba zasklepić, myślała więc o niej rzadko, ale śniła często. Dziwne sny, w których obie oddziaływały na siebie, zamieniały się miejscami, powrót do stanu, w jakim wszystko powinno się znajdować. I teraz wiedziała, że kobietą w oranżu była Shannon Moss; że kiedy ona

została uratowana przed powietrznym ukrzyżowaniem i umieszczona na pokładzie quad-landera, to pilotami byli inni mężczyźni niż ci, których zapamiętała. Istniało bardzo wiele drobnych różnic między jednym a drugim życiem, ale doznała takiej traumy, że zracjonalizowała te niezgodności. Obecnie wiedziała: zrozumiała teraz, że kiedy ją ocalono, została wciągnięta w życie tamtej kobiety w pomarańczu.

Zmagła się z wiatrem, wracając na polanę. Podążała ścieżką Vardoggerów ku linii choin, do ciała w oranżu. Pomarańczowy kombinezon kosmiczny był zmodyfikowanym strojem do prac w otwartej przestrzeni, kolor oznaczał kursantów. Zmiotła śnieg nagromadzony na zwłokach, obróciła je i zobaczyła przez przyłbicę własną twarz. Młodszą, dwadzieścia lat młodszą. Na jej widok zaniósła się szlochom pozbawionym łez. Dziewczyna, wciąż jeszcze dziewczyna. Przypomniała sobie obecną siebie, o tak bardzo zdeformowanej twarzy, wyobraziła sobie własne życie przerwane w tak młodym wieku.

— Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam, ale muszę to zrobić.

Rozpięła złącze między górną a dolną połową pomarańczowego stroju, ściągnęła kobiecie buty.

— Przepraszam, przepraszam – powtarzała, wysuwając jej ciało ze spodni, z części okrywającej ramiona i tułów. Długie legginsy zmarłej były suche. Moss zdjęła je z niej, pozwalając sobie jedynie przelotnie spojrzeć na jej nogi. Zdjęła z siebie pokryte grubą warstwą lodu ubranie, zamieniając je na suche, na grube spodnie i wysokie buty. Wkładanie tych kombinezonów to była zawsze mordęga, dużo znośniejsza przy pomocy drugiej osoby, ale Shannon dała sobie radę samodzielnie. Skafandry Dowództwa Marynarki Kosmicznej zostały zmodyfikowane w porównaniu z kombinezonami używanymi przez NASA, odchudzone. Włożenie górnej części będzie trudne. Normalnie skorzystałaby z upręży utrzymującej strój w odpowiedniej pozycji, po czym weszłaby do niego, ale tutaj musiała wpełznąć do środka, wsuwając ramiona w rękawy. Umieściła na miejscu hełm, zamknęła zatrzaski w pasie. Momentalnie wróciło ciepło, rozgrzewając ją. Drżała, siedząc pod konarami sosny i tając. Zdrętwiała i ospała, czuła jednak ponownie swoje kończyny, promieniujące z niej ciepło. Nagie ciało Shannon Moss leżało na wznak na poduszce z zasy pył śnieżnej. Dozymetr kombinezonu był czarny. Ta kobieta zmarła na skutek napromieniowania, z powodu KTN-ów. Była piękna, pomyślała Moss, tak jak ludzie postrzegają siebie dwadzieścia lat za

późno. Złote włosy miała rozsypane, na jej niebieskich oczach osiadały płatki śniegu, który zbierał się na zwłokach. Shannon obserwowała to, a kiedy rozgrzała się na tyle, żeby móc wstać i odejść, śnieg pogrzebał to drugie ciało.

Szła wzdłuż szeregu drzew, ale one same były odrażające. Zmagała się z niewłaściwością tego miejsca. Nie miała żadnego planu; nawet przy założeniu, że podążając aleją Vardoggerów, zdołałaby zlokalizować ponownie *Wagę*, nie wiedziała, co robi. Remarque próbowała wywołać awarię kaskadową, katastrofalną zapaść napędu B-L, która zniszczyłaby statek i zabiła wszystkich na jego pokładzie, ale napędy B-L zostały zaprojektowane z szeregiem zabezpieczeń, o których obejściu Moss nie miała pojęcia. Nie miała także pistoletu ani niczego innego, żeby obronić się podczas buntu, gdyby istotnie nań trafiła. Kiedy przechodziła po zwalonym pniu, wiszący w powietrzu ludzie zawadzili. List Mursulta do Durr przestrzegał przed zboczeniem ze ścieżki Vardoggera, a gdy Moss zerknęła na boki i ujrzała zaśnieżoną okolicę oraz odległe drzewa, poczuła pokusę zejścia ze szlaku, żeby umknąć temu terminalnemu chaosowi i wstrętnym, powtarzającym się drzewom. Shannon nie wierzyła w Boga, ale coraz bardziej wierzyła w piekło – w dali przed sobą ujrzała, że powietrze się skryształizowało, a to, co brała za góry, było zderzającymi się krami, i pomyślała, że na przekór ich abstrakcyjnemu pięknu to rzeczywiście może być całkowita zagłada.

Ścieżką przed nią szedł człowiek powłóczący nogami. Mignął jej, szara sylwetka w śnieżnym woalu, ale poznała w nim Hyldekruggera dopiero wtedy, gdy się do niego zbliżyła. Jego płaszcz i koce, którymi się wcześniej okutał, leżały rozrzucone na lodzie, miotane podmuchami wiatru; Hyldekrugger zdjął koszulę, jego skórę pokrywały czerwono-fioletowe i czarne placki martwicy. Drapał się po piersi, pozostawiając na niej cienkie strużki srebrzystej krwi. Wargi miał srebrne i srebro kapało mu z ust, mocząc rudą brodę.

— Gotuję się – powiedział żałośnie, skupiwszy wzrok na Moss, po czym padł przed nią na kolana. – Za dużo ognia – dodał. – Proszę, pomóż mi.

Shannon trzymała się na dystans, ale się nie bała. Wiedziała, że Hyldekrugger stracił rozum. Obserwował ją z roztargnieniem. Wykaślał krew, ale była zmieszana ze srebrem, którego kolejna porcja podeszła mu do ust i wypłynęła spomiędzy warg.

— Nie jesteś rzeczywista – stwierdził. – Nie jesteś realna, jestem tutaj sam. – Kiedy jednak odeszła, zawołał: – Pomóż mi, musisz mi pomóc! – Aż w końcu wiatr zagłuszył jego słowa, a śnieżycy zakryła jego samego.

Teraz Moss także poczuła KTN-y – ten pierwszy żar, chemiczne wewnętrzne pieczenie, które pamiętała sprzed swojego ukrzyżowania. Przyśpieszyła. Drzewa Vardogger stały wokół niej w płomieniach. Szła ognistą ścieżką, aż jej uwagę zwróciły niebieskie iskry i ujrzała *Wagę*, czarną ranę na horyzoncie. W kopule, w której straż trzymali wartownicy Hyldekruggera, nadzy ludzie patrzyli w niebo, a ich usta wypełniało srebro. Załoga statku, ci, co ocalili z buntu, wśród nich Cobb, życia zawieszona w Terminusie, ronili z ust srebro, które spływało na ich ciała lśnięcymi strumykami. Nad nimi wisiały kości, bryły mięsa i żyły, wyrysowane delikatnie w powietrzu, płuca, serca i inne narządy wystawione na pokaz, a skóry trzepotały na wietrze jak jedwabne sztandary obwieszczające śmierć rodzaju ludzkiego. Hyldekrugger był już dla niej duchem, a to pozostało z jego zwolenników; wszystkie śmierci, do których doprowadzili, były wałem przeciwko przypluwowi, lecz grobla pękła, pozostawiając ich poturbowanych w powodzi. Po zbliżeniu się do *Wagi* Moss zauważyła, że kadłub statku jest skuty lodem; długie sopte ozdabiały dziób niczym wyszczerbiona skorupa i pokryłyby także rufę, gdyby nie promieniujące z napędu B-L błyski błękitu, które je topiły. Shannon zeszła ze ścieżki Vardoggera dopiero wtedy, gdy dotknęła kadłuba. Ruszyła wzdłuż poszycia statku, aż dotarła do schodkowego trapu prowadzącego do śluzy i znalazła paznokcie oraz grubą warstwę krwi.

Czarna rzeka byłaby bezbolesna.

Otrząsnęła się z tej myśli. Śluza była skuta lodem, więc odstukała go metalowym kołnierzem łączącym rękaw kombinezonu z rękawicą. Wspomniała pierwszy raz, gdy przeszła przez tę śluzę: szybką utratę ciężenia, Hyldekruggera, który ją przytrzymał.

W ciupie przez jedenaście lat, przypomniała sobie, bojąc się nieśmiertelnego trwania w metryce Gödla *Wagi*. Nie ma miejsca na błąd. Będzie musiała zaatakować napęd B-L, zapoczątkować w jakiś sposób awarię kaskadową. Jeśli zawiedzie, to może nawet się nie dowie, że jej się nie powiodło; utknie w pętli, z której nikt jej nie wyrwie.

KTN-y gromadziły się w niej, czuła je jak ukłucia szpilek. Waliła szaleńczo w lodową pieczęć. Muszę się dostać do środka, pomyślała, z dala

od Terminusa. A co potem? Przypomniała sobie, że za pierwszym razem wewnątrz *Wagi*, po utracie ciężenia, po tym, gdy Hyldekrugger ją złapał, odczekał, aż usłyszał odgłosy strzałów, i dopiero wtedy oddalił się od śluzy. Ktoś zabił wtedy szefa działu nuklearnego, przypomniała sobie Moss, oficera odpowiedzialnego za reaktor jądrowy. Musiał próbować wywołać awarię kaskadową.

Jeśli będę działać szybko, pomyślała.

Mogłabym się dostać do maszynowni przed wybuchem strzelaniny.

Mogłabym interweniować w tym decydującym momencie, żeby uratować życie tego oficera.

Mogłaby go ocalić, żeby doprowadził do awarii.

Shannon odłupała lodową skorupę. Chwyciła właz i naparła ciałem, aż poczuła, że zamek puszcza, a ona jest w stanie uchylić stalową pokrywę. Wzięła głęboki wdech, przygotowując się do szybkiego działania. Wejście do *Wagi* było okrągłą czarną pustką, a kiedy w nią wkroczyła, otoczyły ją płomienie.

Ogniste powietrze, płynne fale toczące się przez śluzę. Szarpnął nią przechył statku, rozdzwoniły się alarmy. Spadamy. Jej kombinezon był ognioodporny, ale płomienie objęły ją kokonem światła i czuła, że jej skóra się nagrzewa. Mogła spłonąć żywcem. Zarzuciło nią, kolejny wstrząs. *Waga* rozbiła się z rykiem dartej stali. Moss uderzyła głową o ścianę, przezroczystą przyłbicę zarysowały pęknięcia. Maskę wypełnił dym pożaru urządzeń elektrycznych; dławiła się, kaszląc, oczy ją piekły.

Dłońmi w rękawicach zasłoniła pęknięcie przyłbicy najlepiej, jak potrafiła, ale dym wciąż wpływał, wywołując pęcherze na skórze. Rękawice były przypalone. Miejscami jej kombinezon się stopił; wielowarstwowa izolacja była przewidziana na wysokie temperatury, ale pożar w maszynowni by ją spopielił. Czołgała się po podłodze, jak najniżej, żeby uniknąć dymu, ale powietrze było czarne tam, gdzie nie było ogniem. Skafander stał teraz w płomieniach, które przepalały się przez warstwy izolacyjne. Poczowała żar i krzyknęła, spłonę, spłonę żywcem, utknę w tej pętli, będę płonęła wiecznie.

Wśród pożogi dostrzegła niebieskie światło. Poczowała narastające napięcie, potężny trzask wyładowania elektrycznego – nieudany zapłon napędu B-L. Gdy Shannon poszybowała w górę, ogień i dym zniknęły, pożar przepadł w mgnieniu oka, pomijając płomyki, które pełgały nadal po nogawkach jej kombinezonu. Uderzyła o sufit, odbiła się. System przeciwpożarowy wypluł

strumień pianki, który zgasił ogień na jej skafandrze. Nieważkość. Teraz z pewnością tkwiła w pętli. Weszła widocznie w inny punkt niż poprzednio, tym razem podczas katastrofy statku. Utknęłam w pętli? To jak zastanawianie się, czy utknęła we śnie.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Na statku rozległ się dwutonowy sygnał alarmu awarii reaktora, ale Moss była w niewłaściwej pozycji, kombinezon miała sztywny od pianki gaśniczej. Gramoliła się, ale grzechot strzelaniny odebrał jej nadzieję. Spóźniła się, wszystko rozgrywało się dokładnie tak jak poprzednim razem. Ta wymiana ognia oznaczała, że szef działu nuklearnego został zabity. Nie zdążyła go uratować, żeby pomóc mu zapoczątkować kaskadową awarię napędu B-L.

Usiłowała sobie przypomnieć.

Po tym, gdy rozległa się strzelanina, Hyldekrugger zaprowadził ją do maszynowni. Tam poszybowała teraz, mając nadzieję, że mogłaby podjąć działanie w miejscu, w którym przerwano je szefowi działu nuklearnego, licząc, że zdoła zrozumieć obsługę panelu sterowania. Maszynownia wyglądała dokładnie tak samo, jak kiedy widziała ją ostatnim razem, ze srebrną obudową reaktora i napędem B-L w osobnym przedziale. Ciało oficera dryfowało nad panelem sterowniczym, od ran postrzałowych brzucha ciągnęła się kleista krew w postaci długiego bąbla.

Odsunęła zwłoki na bok, zdjęła przypalone rękawice i hełm, pozwalając im unosić się w powietrzu. Panel sterujący był szarym, metalowym gąszczem przełączników, pokręteł, liczników i światełek. Został zbudowany w latach siedemdziesiątych; brak interfejsu sztucznej inteligencji, żadnych ekranów dotykowych. Shannon ponownie ogarnęła frustracja podobna do przeżywanej we śnie. Musiała wykonać zadanie, ale nie wiedziała, jak to zrobić, musiała zapoczątkować awarię kaskadową, lecz nie miała pojęcia, które przełączniki trzeba przerzucić. Spróbuj czegokolwiek, ale nie, to nie zadziała. Istniały zabezpieczenia. Wszystko się po prostu wyłączy, trzeba będzie kodu obejścia zabezpieczeń od oficera mechanika.

Hyldekrugger nie chciał zostać w tym pomieszczeniu, przypomniała sobie, gdyż niebawem zjawi się tutaj Patrick Mursult, członek Navy SEAL, ogarnięty szalem buntu. Nie chcemy z nim walczyć, nie tutaj. Reaktor jądrowy zagrzechotał, zgrzytliwy jęk, po czym światła na statku zgasły, pozostawiając Shannon w całkowitej ciemności.

Była tutaj latarka, przypomniała sobie. Poszybowała ku pobliskiej

ścianie, macając w poszukiwaniu rzepów, czując przyczepione tam metalowe narzędzia, przedmioty, których w ciemnościach nie umiała zidentyfikować. Poznała latarkę, kiedy jej palce dotknęły szkła. Oderwała ją od rzepowego zapięcia, włączyła.

Potrzebuję pomocy, uznała. Muszę znaleźć Remarque, zanim ją zabiją. Jak?

Podryfowała do korytarza z szeregiem iluminatorów, skąd wyjrzała za pierwszym razem i zobaczyła gwiazdy. Błyszczały teraz, płonąc zimno w swej mnogości. Alarm awarii stosu jądrowego umilkł, nagle włączyły się ponownie światła pozycyjne. Przelotna panika, krążąca w niej adrenalina. Shannon pojęła, że nie będzie wiedziała, gdzie znajduje się Hyldekrugger. Miała świadomość, że zginie, jeśli zauważy ją któryś z jego zwolenników.

Wiedziała jednak, że ostatecznie Nicole Onyongo ukryje się w areszcie. Nicole uciekła tam powodowana strachem, że Hyldekrugger zabije ją w trakcie ogólnego rozlewu krwi. Ale gdzie Nicole chowa się teraz? Moss wróciła do wspomnień. Nicole powiedziała jej to, była tego pewna, kiedy były razem w sadzie, w sadzie panny Ashleigh, a Nicole paliła papierosa...

Shannon przelatywała obok pomieszczenia elektrolizy, kiedy sobie przypomniała: Nicole powiedziała, że po wybuchu strzelaniny ukryła się w przedziale systemu podtrzymywania życia. Komora elektrolizy była wąską przestrzenią mieszczącą układ odzyskiwania wody oraz wytwarzania tlenu.

Wpłynęła chybottliwie do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi. Za chromowanymi zbiornikami znajdowała się niewielka wnęka robocza, krzesło z biurkiem przykręconym do ściany.

Na korytarzu rozległy się serie wystrzałów. Moss chciała się pozbyć kombinezonu kosmicznego na wypadek, gdyby musiała walczyć. Pod spodem miała jedynie bieliznę termiczną, którą zdjęła ze zwłok, z tej innej wersji siebie. Niewielka ochrona, ale przynajmniej będzie mogła się ruszać. Rozpięła złącze w pasie, wierzgając nogami, pozbyła się zwęglonych spodni pokrytych pianką gaśniczą. Usiłowała wyslizgnąć się z górnej części skafandra, wyciągnąć ramiona z rękawów...

— Proszę, nie skrzywdź mnie.

Odwróciła się na dźwięk tego głosu. Pod blatem chowała się kobieta, ukryta przez cienie. Bardzo młoda, niemal nastolatka, o kędzierzawych czarnych włosach z orzechowym połyskiem. Piękne brązowe oczy. T-shirt i szorty poplamione krwią. Jej własną? Dłoń miała zabandażowaną. Była

bosa, u jej stóp dryfował pistolet.

— Nicole – powiedziała Moss.

— Skąd mnie znasz?

— Znałam cię wcześniej, w innych czasach – odparła Shannon.

— Jak to możliwe? – zapytała Nicole; była przerażona, na jej skórze perlił się pot. – Dzieją się dziwne rzeczy. Nie rozumiem. Jak to w innych czasach?

— Pomóż mi z kombinezonem – poleciła Moss.

Jej żądanie wywabiło Nicole z ukrycia. Pomogła Shannon rozpiąć górną część skafandra, ściągnęła ją z niej przez głowę. Nicole pozostawiła swoją broń, berettę M9, która unosiła się obok biurka, i nie zareagowała, kiedy Moss wyłuskała ją z powietrza. Albo się jej nie bała, albo przekroczyła już granice strachu.

— Użyłaś jej? – zapytała Shannon.

— Ja nigdy...

Moss sprawdziła, że nabój tkwi w komorze.

— Umiałabyś zniszczyć napęd B-L?

— Nie, tylko oficer techniczny lub nuklearny wiedzieliby, jak to zrobić.

— Gdzie oni są? – zapytała Moss.

— Nie żyją – odparła Nicole.

— Ale nie Remarque – stwierdziła Shannon. – Możesz mnie do niej zaprowadzić?

— Nie możesz... nie rozumiesz! Ona chce nas zabić – powiedziała Nicole. – Kazała nam popełnić samobójstwo. Oszalała. Dlaczego mamy umrzeć? Możemy się ukryć w areszcie. Będziemy tam bezpieczne.

— Muszę znaleźć Remarque – nalegała Moss.

— Nie zajrzą do więzienia...

— Posłuchaj mnie, Nicole. Posłuchaj – przerwała jej Shannon. – Zostawiłaś to wszystko za sobą. Kiedy cię znałam, byłaś pielęgniarką w ośrodku o nazwie Donnell House. Pomagałaś starszym ludziom. Opiekowałaś się nimi.

— Pielęgniarka – powiedziała Nicole. – Moja matka była pielęgniarką. Z jej powodu poszłam do szkoły medycznej. A ojciec przekonał Remarque, żeby wzięła mnie na ten statek, ze względu na moje wykształcenie. Bardzo za nim tęsknię, za tatą.

— Pomóż mi.



— Skąd mnie znasz? – zapytała Nicole. – Jak się nazywasz?

— Shannon.

— Nie chcę umrzeć, Shannon.

— Nie bój się śmierci – powiedziała Moss; podniosła nadgarstek, pokazując Nicole bransoletkę, uroborosa połykającego własny ogon.

Nicole dotknęła swojego nadgarstka, swojej bransoletki.

— Tak – powiedziała. – Tak, tak.

— Muszę znaleźć Remarque, zanim ją zabiją – rzekła Shannon. – To nie jej powinnaś się obawiać, Nicole. Ona może pomóc. Potrzebuję jej.

— Jest w mesie oficerskiej – wyjaśniła Nicole. – Remarque i Krauss zamknęły się w środku. Cobb i inni czekają, żeby złapać je w zasadzkę.

— Gdzie jest mesa?

— Mogę cię tam zaprowadzić – odparła Nicole.

Otworzyła drzwi i zniknęła w korytarzu. Chwilę później pokazała machnięciem ręki, żeby Moss ruszyła za nią. Statek cuchnął śmiercią – wyprutymi flakami i krwią. Nicole płynęła swobodnie ciągami komunikacyjnymi, korzystając z poręczy, przywykła do tego, a Shannon posuwała się metr za nią. Dziewczyna poprowadziła ją przez ładownię z quad-landerami, w której trzy pojazdy były zamknięte we wnękach wyrzutni; pokrywający je pył błyszczał brylantowo. Moss zrozumiała, że ładowniki wróciły z Esperance.

— Tutaj, w górę, między kojami. Kambuz prowadzi do mesy oficerskiej.

Kambuz *Wagi* był prostopadłościennym wnętrzem ze stali nierdzewnej zaprojektowanym do przygotowywania posiłków w stanie nieważkości. Ograniczony kontuar, prostokątne pojemniki na podgrzewaczach, przepastny zlew pełen konserw, pomieszczenie jak z rysunku Eschera. Kucharze okrętowi tłoczyliby się tutaj, chodząc po ścianach i suficie, żeby dotrzeć do piekarników z chlebem, opadaliby na podłogę, żeby napełniać zaparzacze do kawy, i staliby na ścianach przed przefrunięciem przez pomieszczenie, żeby zagnieść ciasto.

— Większość z nich znajduje się nad nami, w mesie załogi – odezwała się Nicole. – Możemy tędy przejść.

Kambuz otworzył się na pomieszczenie przygotowawcze przeznaczone do obsługi mesy oficerskiej, oficjalnej sali jadalnej dowódcy i najwyższych stopniem oficerów. Ciasny korytarz o ścianach z wąskich stalowych szafek, wszystkie wnęki i szczeliny zapełnione puszkowanym jedzeniem. Nicole

zatrzymała się i zawróciła, ale Shannon przepchnęła się obok niej.

Przed drzwiami mesy czekali dwaj mężczyźni w mundurach maskujących, większy z nich nie miał koszuli, ale wydawało się, że jest odziany w krew. Cobb, pomyślała, niepodobny do starszego zabijaki, którego znała, ale wojownik o rzeźbionej muskulaturze i włosach ostrzyżonych na jeża. Byli zwrócenii do niej plecami, ale widziała, że każdy z nich ma broń, Cobb karabin M16, ten drugi pistolet. Wyobraziła sobie, że zbliża się do nich od tyłu – dryfując w ciszy – i dokonuje zwykłej egzekucji, strzelając każdemu w tył głowy. Tchórzliwie, ale musiała ich zabić, żeby wszystko ocalić. Wycelowała w środek ciała Cobba i strzeliła.

Odwrócił się do niej. Trafiła go, wzrok zmrużonych oczu miał skonfundowany. Uniósł karabin i posłał na oślep serię pocisków, które przebijały lodówki kambuza, zanim wycelował tam, gdzie znajdowała się Shannon. Odpowiedziała ogniem, leżąc na plecach w powietrzu, dryfując skutkiem odrzutu pistoletu, ale mierząc, strzelając tak, jak ją nauczono strzelać w nieważkości, dym wylotowy buchał z lufy w postaci sferoidalnych obłoków przeszywanych przez kule. Skupione trafienia, kilka strzałów w pierś Cobba, z której trysnęły pieniające się bryzgi, i przyglądała się, jak tamten wiotczeje, zanim poczuła pieczenie w lewym barku i kolejne, w lewej piersi. Krzyknęła, bardziej zaskoczona nagłością bólu niż nim samym, ale świadomość, że została postrzelona, narastała w niej wraz z tym, jak nasilała się dolegliwość, niczym rozprzestrzeniające się oparzenie. Przestała widzieć drugiego uzbrojonego faceta, wycofała się do kambuza. Nicole już się tam kuliła ze strachu. Krew rozlała się na koszuli Moss, na piersi i lewym rękawie. Coraz trudniej było jej oddychać.

— Poddaj się – zawołała. – Rzuć broń. Jestem z NCIS, nie musisz tego robić.

Widziała nagrania potyczek ogniowych funkcjonariuszy policji z uzbrojonymi ludźmi, z zatrzymanymi do rutynowej kontroli drogowej za popełnienie drobnego wykroczenia kierowcami, którym przychodziło do głowy, że ktoś musi zginąć. Shannon zawsze zdumiewała zwyczajna brutalność wymiany ognia przez dwóch ludzi znajdujących się w niewielkiej odległości – ta bezpośredniość starcia, żadnej akrobatyki ani strzelectwa wyborowego, tylko dwie osoby idące naprzeciwko siebie i strzelające, aż jednej zabraknie sił, żeby utrzymać się na nogach. Usłyszała jakiś ruch i uniosła broń. Rozpoznała drugiego uzbrojonego mężczyznę, dużo

młodsze niż wtedy, gdy oglądała go jako samobójcę w lustrzanym pokoju. Tutaj Fleece był młodym człowiekiem, nieprzypominającym w niczym otyłych zwłok wiszących na kościanym drzewie, ale za grubymi soczewkami okularów widziała jego oczy i przypomniała sobie, że ten człowiek postradał niedawno zmysły na powierzchni Esperance. Strzelając, pognał w jej stronę po suficie z twarzą wykrzywioną w maskę konfuzji i wściekłości. Moss poczuła kolejne pieczenie, w lewym udzie, powyżej protezy, ale utrzymała pozycję, spodziewając się kolejnych ukłuć, oczekując doznania roju pszczoł żądających ją na śmierć, i wystrzeliła w zbliżającego się napastnika, opróżniając spokojnie magazynek w środek masy jego ciała, zupełnie jakby była na strzelnicy i celowała do papierowej tarczy. Fleece umarł, ale jego zwłoki nadal się zbliżały, obracając się, podczas gdy krew z nich wypływała. Shannon nadstawiła bark, żeby przyjąć uderzenie, ale Fleece przeleciał ponad nią i walnął w piekarnik do chleba.

— O kurwa – powiedziała Moss. Trzy kule, pomyślała, dostałam co najmniej trzy razy. Słyszała opowieści o ludziach postrzelonych trzydzieści lub więcej razy, tak napompowanych adrenaliną, że opierali się aresztowaniu długo po tym, kiedy powinni byli już umrzeć. Wiedziała jednak, że jeden pocisk może zabić. Jedna kula wystarczy. – Dobra – odezwała się z wysiłkiem. – W porządku, Nicole. Potrzebna jest nam Remarque. – Ale ból się nasilał. Rana na udzie krwawiła mocno, krew spływała na protezę i unosiła się wokół niej. – Musimy ją znaleźć.

— Muszę ci zatamować krwawienie – stwierdziła Nicole, stosując ucisk na udzie Moss, ale krew nadal wypływała z rany w rytm tętna. Znalazła w kambuzie cienką ścierkę kuchenną, obwiązała nią udo Shannon jak opaskę uciskową. Oślepiający ból. Moss wrzasnęła, gdy Nicole zacisnęła mocniej węzeł. – Musimy ruszać – powiedziała. – Usłyszają...

— Nie, potrzebujemy Remarque – warknęła Moss.

Zadudniła w zamknięte drzwi mesy oficerskiej, większe od żelaznych włazów w innych częściach statku, co miało umożliwić łatwy dostęp na czas posiłków. Uderzała w drzwi, zostawiając na nich krwawe odciski dłoni.

— Shannon Moss, NCIS! Wyjdźcie, musimy się śpieszyć. Remarque? Potrzebuję cię przy B-L... O kurwa. Jestem z NCIS, wyjdźcie...

Nicole waliła w drzwi wraz z nią.

— Tu Nicole Onyongo! Wyjdźcie! Szybko! Tu Onyongo...

Drzwi mesy się otworzyły. Moss widziała zdjęcie Remarque w aktach

załogi *Wagi*, ale mimo to dowódca była dużo młodsza, niż Moss się zdawało. Remarque miała zaledwie kilka lat więcej od niej, jej włosy były białosrebrne, obcięte krótko na pazia, z grzywką. W bawełnianych spodniach i bluzie dresu Akademii Marynarki Wojennej wyglądała raczej jak kapitan kobiecej drużyny piłkarskiej niż zawodowa żołnierka. Szczupła, wysportowana, o kwadratowej szczęce. Wyłoniła się z mesy z podniesionymi rękami, okazując raczej spokój niż rezygnację. Za nią ukazała się Chloe Krauss, oficer zbrojeniowa, także z podniesionymi rękami, wyższa od Remarque, o szkarłatnych włosach podgolonych po bokach. Bez broni, kobiety wycofały się wcześniej do mesy, w której się zamknęły. Ostatecznie, jak wiedziała Moss, Chloe zostałaby zabita w strzelaninie, a Remarque obezwładniona i zabrana do mesy załogi, gdzie Hyldekrugger poderżnęłaby jej gardło na oczach swoich ludzi, a potem przekazywał im jej okaleczone ciało.

— Jesteś ranna – zauważyła Remarque. – Możemy ci pomóc. Krauss jest przeszkolona.

— Nie mamy czasu – sprzeciwiła się Shannon. – Tamci ludzie, wszyscy są przeciwko tobie, bo chciałaś zniszczyć *Wagę*...

— Jak się tutaj dostałaś? – zapytała Remarque. – Nie należysz do załogi.

— Musisz dokończyć to, co zaczęłaś – stwierdziła Moss; oddech miała urywany, a w ustach smak krwi. – Awaria kaskadowa, napęd B-L...

— Kim jesteś? – spytała Remarque. – Skąd wiesz to wszystko?

— Wiesz, czym jest przestrzeń fazowa? – odpowiedziała pytaniem Moss. – Węzeł czasoprzestrzeni?

Remarque zmrużyła lewe oko, dziarska, wyrachowana mina. Szczęki jej stężały.

— W porządku. Chodźmy do maszynowni – powiedziała. – Napęd B-L został uszkodzony na początku walki, ale muszę wywołać w nim awarię kaskadową, żeby doprowadzić do powstania osobliwości.

— Hyldekrugger jest w mesie załogi – odezwała się Nicole. – Przyjdzie. Krauss chwyciła karabin Cobba, M16, załadowała nowy magazynek.

— Możemy się przedostać do maszynowni przez ładownię z quad-landerami – powiedziała Nicole. – Przeszliśmy tamtędy.

— Jest krótsza droga – stwierdziła Krauss. – Możemy opaść przez zbrojownię prosto do maszynowni.

— Nie dam rady – odezwała się Shannon. Wykrwawiała się, czuła zimno. Zimowy las, nieskończony las. Opaska uciskowa się rozluźniła i krew

zabarwiła otaczające ją powietrze. – Nie mam siły się ruszać.

Nicole ją objęła.

— Chodźmy za nimi.

Krauss powiodła je przez podpokładzie do jednego z pomieszczeń silników sterujących. Otworzyła właz i opadła głębiej, do przepaścistej zbrojowni, magazynu amunicji. Minęły generator laserowy sterburcia, szarą skrzynię z soczewkami. Kiedy zbliżyły się do rufy, Moss poczuła ogień. Pamiętała, że był pożar, kiedy siedziała zamknięta w areszcie. Ile czasu minie, zanim ogień zniszczy statek? Możemy nie zdążyć, pomyślała. Zabraknie nam czasu, a ja nigdy się tego nie dowiem. Jeśli nastąpi kolejny nieudany zapłon napędu B-L, załoga *Wagi* zresetuje się jak pionki szachowe przed nową rozgrywką.

— W górę – poleciła Krauss.

Żelazna drabina prowadziła do działu inżynieryjnego, przejścia do maszynowni. Moss szybowała przed Nicole, podczas gdy Remarque była ostatnia, zamykając za nimi żelazny właz. Kiedy jednak znalazły się w dziale inżynieryjnym, ktoś zawołał do nich:

— Rzućcie broń! Remarque, zrezygnuj z tego! Rzuć, kurwa, broń, Krauss!

Patrick Mursult z M16 gotowym do strzału blokował wejście do maszynowni. Zaparł się w celu przeciwdziałania odrzutowi karabinu, a w zasięgu jego ręki dryfowały trzy magazynki, żeby mógł przeładować broń. Shannon poczuła się załamana: ocaliła Remarque tylko po to, żeby doprowadzić do jej śmierci w inny sposób. Mógł zabić je wszystkie gwałtowną serią, zginając tylko palec.

— Patrick – odezwała się Nicole. – Proszę.

— Nie mogę was wpuścić – powiedział Mursult.

Zwracając się do dziewczyny, miał zimny wzrok i Shannon pojęła, że w tej decydującej chwili kiełkujące uczucie, które miało doprowadzić kiedyś do ich romansu, było dla niego martwe. Zabiłby ją, pomyślała, z równą łatwością jak którąkolwiek z nas.

— Rzuć broń, Krauss – poleciła Remarque, a tamta pozwoliła, żeby jej karabin odpłynął w bok. – Porozmawiajmy – ciągnęła. – Sądzisz, że postępujesz słusznie...

— Karl tu przyjdzie – powiedział Mursult – i was zabije. Chce być tym jedynym. Chce ci, kurwa, łeb odrąbać swoim toporem.

— Mursult – odezwała się Shannon. – Damaris, ona... – Ale słowa ją zawiodły, poczuła zawrót głowy na skutek utraty krwi.

— Kto to? – zapytał Mursult, odnajdując Moss zimnym spojrzeniem. – Nie powinna tu być.

Shannon próbowała coś powiedzieć, zakrztusiła się krwią. Wzięła głęboki, bulgotliwy wdech.

— Przybyłam z innego czasu – powiedziała. – Widziałam, jak to wszystko się rozgrywa. Masz żonę o imieniu Damaris. Masz córkę, ma teraz pięć lat. Będziesz miał kolejne dziecko, syna, jeszcze nienarodzonego, i następną córkę. To, co robisz, nie skończy się dobrze. Oni zginą... z powodu tego. Zawsze umierają...

Mursult wycelował karabin w serce Moss. Ani śladu emocji, ani śladu zrozumienia.

— Możesz dać jej przyszłość, Patrick. Twojej córce. Marian.

Dostrzegła moment, w którym na dźwięk imienia córki uczucia się przedały. Mursult opuścił broń.

— Idźcie. Zatrzymam ich najdłużej, jak się da, ale oni nadchodzą.

Nicole przeniosła Shannon do maszynowni, Remarque i Krauss podążyły za nimi. Napęd B-L tkwił w centrum błękitnej korony błyszczącej jak odbicie światła na powierzchni wody, w pomieszczeniu cuchnęło pożarem urządzeń elektrycznych. Krauss zamknęła główne wejście, zabarykadowała je. Moss usłyszała strzelaninę na zewnątrz, w korytarzu, krótkie serie, potem odgłosy ucichły. Są tutaj.

Remarque otworzyła szafkę sterowniczą napędu B-L. Shannon widziała krew w powietrzu i pomyślała o skrzyniach ze skarbami na dnie akwariów, o tym, jak unoszą się ich wieka, a bańki powietrza gnają w górę. To moja krew, pomyślała. Krew przemoczyła jej bieliznę, ciekąc z rany na udzie, bąble odpływały od kikuta, rozpraszając się wokół niej i Nicole. Bańki w akwarium. Moss spojrzała na napęd B-L, którego dziwny, niebieski ogień migotał w postaci rozchodzących się na zewnątrz koncentrycznych kręgów.

Skwierczenie, odgłos eksplozji i włącz został wyrwany z zawiasów w zalewie ognia. Nie, pomyślała Shannon na widok Hyldekruggera wpływającego do maszynowni. Krauss wystrzeliła ze swojego karabinu, ale zwolennicy Karla rozproszyli się wachlarzowato po pomieszczeniu, odpowiadając ogniem. Nicole oberwała, mgielka i strużki krwi wytrysnęły z jej piersi, przyjmując kształt drżących kul. Moss zapiekło kolejne

ukąszenie, przeszło brzuch. Ból zagnieżdził się głęboko w jej wnętrzu. Nie...

— Załatwione – powiedziała Remarque, a niebieskie światło wokół napędu B-L rozprzestrzeniło się jak aureola, intensywny blask plazmy, łuk elektryczny.

Krauss była dziurawiona pociskami, jej ciało wirowało jak tłumok poszarpanych szmat. Remarque krzyknęła, ale Shannon usłyszała głos dowódcy jak spod wody. Wszyscy jesteśmy pod wodą, pomyślała. Ciała dryfowały, krew uciekała z jej wnętrzości w postaci drżących kul i pędziła zawilgconymi torami tworzącymi kręgi w miarę wznoszenia się.

Hyldekrugger był młodym mężczyzną. Nie było w nim nic diabolicznego, jeszcze nie. Był tylko przerażony i egoistyczny. Przystawił lufę karabinu do skroni Remarque i wystrzelił. Krew trysnęła z rany wylotowej, a Moss obserwowała ją, gdy tworzyła mgiełkę i opadała. Jej krew mieszała się z krwią Remarque, wznoszący się strumień przyciągany przez grawitację napędu B-L. Miotający się silnik zalał pomieszczenie błękitem i Shannon zauważyła w tym świetle plamkę idealnej czerni. Czerń ekspandowała, idealne koło, które wkrótce zakrzywiło wszystko wokół siebie, ciągnąc ku sobie świat rozmazanymi smugami. Shannon ujrzała w tym czarnym kole cały zapisany czas, wszystko, co było, i wszystko, co będzie, pierwszą i ostatnią nicość. Gdy koło się powiększyło, całe istnienie skarłało. *Waga* i zimowy las, choiny i Terminus, zasypany śniegiem świat. Moss poczuła, że ta grawitacja trzyma także ją, zanim została pochłonięta przez czarną dziurę. Wszystkie myśli zniknęły, całe cierpienie. Wślizgnęła się w ciemność, już nie ciało, ale fala światła.

Epilog

**28 stycznia 1986**



Śnieg pada teraz gęściej. Zawisa na tle latarni ulicznych, wyglądając jak brokat. Nie chciała jechać w takich warunkach, więc idziemy. Przechodzimy przez ogród sąsiadów, przez ich zagajnik sosen. Pociąga za gałąź, a mnie obsypuje śnieg.

— Och, ty zdziro! Ty zdziro! – wołam, mam śnieg za kołnierzem, strząsam go z włosów. Ona się śmieje. Ubijam śnieg w kulę i rzucam, ale pocisk rozpada się w powietrzu. Ona śmieje się tak, jak nie słyszałam od dawna.

— Tylko do chwili, gdy zostanę bogata – mówi. – Albo wyjdę bogato za męża. Tylko tego chcę.

Rozglądamy się w mieście za rozbitymi autami.

— Słyszysz, że zderzenie aut brzmi plastikowo? – pyta.

Pali camele w twardym opakowaniu, biorę jednego, zostaje jej kilka ostatnich. Stuka swoim papierosem o pudełko, stuka moim za mnie. Zapala, a ja pochylam się, żeby od niej odpalić. Mnóstwo poślizgów, ale żadnych stłuczek. Trzęsę się, włożyłam tylko marynarski płaszcz ojca. Ona ma kurtkę à la Michael Jackson, z zamkami błyskawicznymi na rękawach. Obok przejeżdża samochód, trąbiąc, Courtney pokazuje środkowy palec i ktoś się śmieje. Może nas znają.

Seven Hills przy Euclid, ulubiony sklep Courtney, bo sprzedawczyni nigdy nie sprawdza dokumentów. Courtney kupuje papierosy. Ja biorę gorącą czekoladę z automatu.

— Gimm, daj mi rzucić na to okiem – mówi kobieta. – Pierdolony Jezu Chryste – dodaje, gdy Courtney opuszcza golf, żeby odsłonić bliznę. Jest jasnobiała, zawsze tam będzie, bo jakiś pojeb poderżnął jej gardło. Szrama jest nierówna, widać, gdzie nóż wszedł, jak był ciągnięty. Kobieta podaje camele w twardym opakowaniu i mówi: – Na mój koszt. Paczka fajek to najmniej, co powinnaś dostać za coś takiego.

— Cholera – mówi Courtney.

— Byłyśmy w Pizza Hut, zasługuje na to – mówię.

— Palę ostatniego, będę na zewnątrz.

— Chwilę.

Płacę za gorącą czekoladę i test ciążowy, a kobieta po prostu kasuje. Mówi tylko:

— Jeśli nie spodoba ci się to, co wyjdzie, zrób drugi, zanim ześwirujesz. Nie zaszkodzi spróbować dwa razy.

Leżymy na podłodze w jej sypialni. Mamy dość miejsca, jeśli nogi oprzemy na łóżku. Ona pali trzeciego papierosa, ale ja ćmię swojego powoli, wydmuchuję dym pod wentylator na suficie i obserwuję, jak wiatrak miesza go i pcha z powrotem w moją stronę. *Powerage*, strona B. Milczymy, a ja czuję się dobrze, bo Courtney powiedziała mi, że jestem jej jedyną przyjaciółką na tyle dobrą, żeby nie musieć rozmawiać. Kiedy płyta się kończy, pytam, czy jej brat wraca dzisiaj na noc do domu.

— Zostaje u Jessego – odpowiada Courtney.

Cholera. Nie czułam tego, zanim poszłyśmy do Seven Hills, ale czuję teraz, motyle w brzuchu trzepoczące skrzydełkami. Courtney wstaje, żeby zmienić płytę, nastawia *Back in Black*. Dotykam brzucha. Nabrała nowego zwyczaju głaskania szyi, w roztargnieniu, jakby dotykała naszyjnika. Kiedy kładzie się z powrotem obok mnie na podłodze, nasze twarze są tak blisko, że czuję ciepło promieniujące od jej skóry.

Trzecia nad ranem. Budzę się, ale pozwalam jej spać. Myślę o niebieskim krzyżyku, który pojawił się, kiedy nasikałam na test. Myślę o tym, jak mu to powiem. Skradam się do jego pokoju i patrzę na łóżko, ale Davy’ego nie ma. Żałuję, że go nie ma, łóżko siostry, łóżko brata. Jakby to było, gdyby Courtney była moją siostrą? Jak najlepsze przyjaciółki, ale bliższe sobie. Jeśli Davy postąpi właściwie, ona będzie moją siostrą. Przemierzam pokoje na dole. Kotary okna balkonowego w salonie są odsunięte, od śniegu odbija się dosyć księżycowego blasku, żeby wypełnić dom srebrem. Wyglądam do ich ogródka, patrzę na równiutki śnieg na trawniku, gładziutki na sosnach, taki doskonały, nienaruszony, z wyjątkiem wydeptanego kółka. Idealne kółko z odcisków stóp, ale nie widzę śladów prowadzących do lub od niego, jakby ktoś spadł z nieba, zrobił kółko i zniknął. Moja matka wierzy w znaki, ale

nigdy w dobre.

W jaki sposób poprosi mnie o rękę? Od razu, gdy mu to powiem? Nie, zrobi to właściwie, w jakimś romantycznym miejscu, przy kolacji. Mam zdjęcia z pierwszej klasy, które mogę mu dać. Dam mu zdjęcie, kiedy mu o tym powiem. Żeby mógł myśleć o mnie, o nas, kiedy będzie daleko. Mówi, że wstąpi do marynarki, żeby zobaczyć świat, ale Courtney twierdzi, że to dlatego, że nie może się dostać na studia. Mówi, że może zobaczyć Niemcy, może Egipt, a może Japonię. Wyobrażam sobie, co robi, kiedy mu powiem. Wyobrażam sobie, jak unosi brwi na swój sposób. Poprosi mnie, żebym za niego wyszła, i pobierzemy się u Świętego Patryka. Będę się modliła za ojca, będę się modliła za męża, obu na morzu. Wyobrażam sobie Davy'ego na nieskończoności wody, modlącego się do gwiazdy, którą wybrał i nazwał Shannon. Shannon, będzie się modlił, och, Shannon Star. I wskaże swoją gwiazdę, naszą gwiazdę, i upewni się, że potrafię ją dostrzec wśród wszystkich innych, i powie, że będzie myślał o mnie, patrząc na nią, i poprosi mnie o to samo.

I w takie noce jak ta pocałuję nasze śpiące dziecko, i wyjdę na zewnątrz, żeby odnaleźć naszą gwiazdę, i będę wiedziała, że on jest bezpieczny, będę wiedziała, że oblewa go światło gwiazd, kiedy zeskakuje z takielunku na pokład statku, gdy patrzy w nocy na morze, gdy stalowy kadłub tnie fale. Będę wiedziała, że jest skąpany w świetle gwiazd, będę wiedziała, że jest bezpieczny, będę wiedziała, że myśli o mnie, o nas, i będę wiedziała, że bez względu na to, jak daleko pożegluje, to pewnego dnia popłynie do domu.

# Podziękowania

Dziękuję mojemu szwagrowi, agentowi specjalnemu Peterowi O'Connorowi, rozmowa z nim nad hamburgerami w Five Guys na temat podróży w czasie dała impuls do napisania tej książki.

Dziękuję Neillowi Blomkampowi i Jonathanowi Auxierowi, których uwagi na temat tej powieści były decydujące dla jej rozwoju.

Dziękuję Laurze Leimkuehler, doktorowi Barry'emu B. Loukkali, J.J. Hensleyowi, Jen Latimer i Danowi Moranowi, ekspertom w swoich dziedzinach, którzy wspaniałomyślnie podzielili się ze mną swoją wiedzą.

Dziękuję Davidowi Gernertowi i Andy'emu Kiferowi z Gernert Company. Dziękuję Sylvie Rabineau z agencji literackiej RWSG.

Dziękuję Markowi Tavaniemu, Sally Kim i całemu zespołowi Putnam.

Dziękuję mojej rodzinie.

I dziękuję żonie, Sonji, oraz córce, Genevieve. Jesteście miłością mojego życia.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Prolog: 2199](#)

[Część pierwsza: 1997](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[Część druga: 2015–2016](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[Część trzecia: 1997](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[Część czwarta: 2015–2016](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[Część piąta: 1997](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[Epilog: 28 stycznia 1986](#)

[Podziękowania](#)